

Zwieńczenie trylogii ryfterów

PETER WATTS

# BEHEMOT



PETER WATTS

# BEHEMOT



LUBLIN 2013

# Spis treści

Dedykacja

Preludium

Prawołamacz

$\beta$ -Max

Kontratak

Iteracje Sziwy

Grupa zewnętrzna

Narada

Zombie

Portret sadysty z czasów dzieciństwa

Granice ufności

Kawaleria

Nemesis

Portret sadysty z czasów dorastania

Opieka domowa

Kociół

Portret sadysty z czasów młodości

Ćwiczenia przeciwpożarowe

Wartości rodzinne

Portret sadysty z czasów wolności

Konfesjonał

Poborowy

Portret sadysty z czasów pracy zespołowej

Automechanika

Grabarze

Striptiz

Granica

Prace przygotowawcze

Harpadon

Iteracje posokowca

Bez grzechu

Chrzest

Berek

Sedno

Ostrzał

Sepuku

Wydma

Słowik

Kondom

Gehenna

Trygonometria zbawienia

Migracja

[Karma](#)

[Rozbrojenie](#)

[Patrzący w gwiazdy](#)

[Śpiący](#)

[Beznamiętność](#)

[Klatka](#)

[Zdrajca](#)

[Katastrofa](#)

[Sztuka pościgu](#)

[Zajęcia wyrównawcze](#)

[Wyłączenie z obiegu](#)

[Paranoja](#)

[Matrioszka](#)

[Instalacja piwniczna](#)

[Modyfikacje](#)

[Iteracje Hamiltona](#)

[Przełącznik](#)

[Pchły](#)

[Połykacze ognia](#)

[Handel wymienny](#)

[Data ważności](#)

[Bastylia](#)

[Empata](#)

[Epilog: Macierz Hessego](#)

[Podziękowania](#)

[Uwagi i źródła](#)

[Przypisy](#)

[Metryczka książki](#)

Ku pamięci Dziwnego Kota, znanego także jako Carcinoma,  
1984–2003

I tak by jej to nie obeszło.

A także ku pamięci Sauromalusa,  
1994–2001

Ofiary oszalałej technologii

## PRAWOŁAMACZ

Achilles Desjardins słyszał, że ludzie, którzy utracili wzrok, odzyskiwali go w snach.

Zresztą nie działało się tak tylko w przypadku oślepień. *Każdy* rozdarty na jawie śnił sny istot w pełni sprawnych. Osoby po amputacji wszystkich kończyn biegały i rzucały piłką. Głusi słyszeli symfonie. Ci, którzy utracili kogoś bliskiego, znów kochali. Umysł cechuje jego własna inercja – jeśli przez wiele lat przyzwyczał się do pewnej roli, niechętnie porzuca stary paradygmat.

Koniec końców oczywiście do tego dochodziło. Jaskrawe wizje blakły, muzyka milkła, a wymaginowane dane wejściowe zamieniały się w coś bardziej stosownego do pustych oczodołów czy uszkodzonych ślimaków. Jednak zajmowało to całe lata, a nawet dekady – a przez cały ten czas umysł co noc zadreślał się wspomnieniami tego, do czego kiedyś miał dostęp.

Tak samo było też z Achillesem Desjardinsem. W *swoich* snach mężczyzna znów posiadał sumienie.

Sny zabierały go w przeszłość, do czasów kiedy był bogiem w okowach – w jego rękach spoczywał los milionów istnień i mógł nimi sięgnąć aż poza orbitę geosynchroniczną czy na dno Rowu Mariańskiego. Znów walczył niestrudzenie o większe dobro, w jednej chwili otrzymując tysiące różnych informacji, posługując się odruchami i umiejętnościami dopasowywania wzorców, podkreconymi dzięki ulepszonym genom i specjalnie dostosowanym neurotropom. Tam, gdzie wybuchał chaos, przynosił opanowanie. Gdzie zabicie dziesięciu uratowałoby życie setce, dokonywał koniecznych wyborów. Odizolowywał ogniska epidemii, likwidował zatory, rozpraszał ataki terrorystyczne i katastrofy ekologiczne, mające miejsce w przeróżnych zakątkach świata. Unosił się na falach radiowych i prześlizgiwał przez najcieńsze światłowody – w jednej chwili nawiedzał młyny morskie w Peru, w następnej koreańskie satelity komunikacyjne. Znów był najlepszym prawołamaczem KRASZ-u – zdolnym nagiąć drugie prawo termodynamiki niemalże do punktu złamania, a może nawet odrobinę bardziej.

Był samym duchem w maszynie, a maszyna sięgała wtedy absolutnie wszędzie.

Mimo to w snach, które miały go każdej nocy, nie marzył o władzy, a o niewolnictwie. Tylko we śnie mężczyzna mógł znów poczuć to paradoksalne zniewolenie, zmywające rzeki krwi z jego dłoni. Ochrzczono je mianem Moralniaka. Pakiet sztucznych neuroprzekazników, których nazwami Desjardins nigdy nie zawracał sobie głowy. Ostatecznie mógł zabić kilka milionów ludzi jednym poleceniem; nikt nie dałby mu takiej władzy, nie wprowadzając uprzednio kilku zabezpieczeń. Z Moralniakiem w mózgu, bunt przeciwko większemu dobru był wręcz fizjologicznie niemożliwy. Moralniak zrywał połączenie między *władzą absolutną* a *absolutną korupcją*. Jakakolwiek próba niewłaściwego użycia posiadanej władzy zakończyłaby się potężnym atakiem padaczki. Desjardins nie spędził nigdy bezsennej nocy, wątpiąc w słusność swych działań i czystość swych intencji. Jedno i drugie wstrzyknęli mu ludzie, mający jeszcze mniej skrupułów.

Bycie zupełnie bez winy dawało mu niesamowity komfort. Dlatego śnił o niewolnictwie. Śnił też o Alice, która go oswoodziła, zerwała jego okowy.

W snach chciał z powrotem je odzyskać.

Wreszcie sny ustąpiły, tak jak to zawsze bywało. Przeszłość zatarła się, a jej miejsce zajęła niewybaczalna teraźniejszość. Świat rozpadł się na kawałki pod wpływem kolejnych, następujących

po sobie zmian: z dna oceanu wyłonił się apokaliptyczny mikroby, pokonując drogę na powierzchnię w słonawym środowisku organizmu pewnej kobiety-nurka głębokomorskiego z N'AmPac. Błąkające się jego śladem Grupy Jednak Nie Trzymające Władzy nazwały go behemotem, paląc ludzi i ich mienie w gorączkowych, choć daremnych próbach oddalenia w czasie nadchodzącej zmiany reżimu. Ameryka Północna upadła. Cały kraj przemierzały biliony mikroskopijnych żołnierzy piechoty, masowo obracając w perzynę zarówno ziemię, jak i wszelkie życie. Wojny wybuchały i cichły jakby w przyspieszonym tempie: Kampania N'AmPacijska, Kolumbijska Pożoga, Powstanie EurAfrykańskie. No i oczywiście Rio: trzydziestominutowa wojna. Wojna, której wybuch powinien uniemożliwić Moralniak.

Desjardins brał udział w nich wszystkich, w taki czy inny sposób. A podczas gdy wielokomórkowce sprzeczały się nieustannie między sobą, prawdziwy wróg pełzał nieustępliwie przez cały kraj niczym duszący koc. I nawet Achilles Desjardins, chluba Pogromców Entropii, nie był w stanie go powstrzymać.

Nawet teraz, niemal zupełnie wróciwszy do terażniejszości, czuł cień żalu, myśląc o wszystkich tych rzeczach, których nie zrobił. Był to jednak tylko ból fantomowy, pozostałości sumienia wyciętego wiele lat temu. Ledwo udało mu się dotrzeć do niego tu, na tej niewyraźnej granicy między jawą a snem. W jednej krótkiej chwili mężczyzna przypomniał sobie, że jest wolny i zapragnął, aby tak nie było.

Potem otworzył oczy i nagle nie było już niczego, co dłużej by się tym przejmowało.

Mandelbrot leżał na jego piersi, mrużąc. Desjardins podrapał go z roztargnieniem, przeglądając poranne statystyki. Była to względnie spokojna noc: jedynym wartym odnotowania przypadkiem była grupka wyjątkowo szalonych uchodźców, próbujących przedostać się przez granicę północnoamerykańską. Pod osłoną nocy, o 01:10 czasu atlantyckiego, wypłynęli z Long Island na barce zbudowanej z przeróżnych śmieci. Po upływie godziny i dwudziestu minut kilka zainteresowanych stron z EurAfryki zaczęło rywalizować ze sobą o prawo do ich eliminacji. Biedacy dotarli tylko do Cape Cod, po czym zostali sprzątnięci przez Algierczyków (*Algierczyków?*).

System uznał, że nie było potrzeby wyciągania Desjardinsa z łóżka.

Mandelbrot wstał, przeciągnął się i ruszył na poranny obchód. Oswobodzony, Desjardins podniósł się z łóżka i ruszył w stronę windy. Wokół niego sześćdziesiąt pięć pięter opuszczonej nieruchomości popłynęło gładko w dół. Ledwie kilka lat temu wrzała tu praca związana z kontrolą zniszczeń. Tysiące Umoralnionych operatorów, nawiedzających cały świat balansujący bezustannie na krawędzi upadku, decydowało o życiu i śmierci z chłodną beznamietnością. Teraz jednak został w zasadzie już tylko on sam. Mnóstwo rzeczy uległo zmianie po Rio.

Winda wypłuła go na dach KRASZ-u. Otaczające go inne budynki tworzyły kształt przypominający z grubsza podkowę, napierając na granice oczyszczonej strefy. Pole statyczne Sudbury, ocierające się brzuchem o szczyty najwyższych konstrukcji, natychmiast wywołało gęsią skórę na przedramionach Desjardinsa.

Wschodzące na horyzoncie słońce skąpało w ognistej poświacie spoczywające w gruzach królestwo.

Dzieło zniszczenia nie zostało jednak w pełni dokonane. Jeszcze nie. Miastom położonym na wschodzie, ogrodzonym murami, obwarowanym i zachowującym bezustanną czujność wobec najeźdźców zajmujących tereny położone pomiędzy nimi, udało się zachować pozory integralności. Na frontach wciąż wrzało. Jeden czy dwa utrzymywały się nawet w tym samym miejscu. Skupiska cywilizacji wciąż trwały rozrzucone po całym kontynencie – może i nie było ich wiele, ale wojna nie

miała się jeszcze ku końcowi.

A wszystko dlatego, że pięć lat temu kobieta nazywająca się Lenie Clarke wyłoniła się z dna oceanu, niosąc w sobie żądzę zemsty i behemota.

Desjardins przeszedł przez lądowisko i stanął na skraju dachu. Gdy zaczął sikać w przestrzeń, znad krawędzi przepaści wyłoniło się wschodzące słońce. Tak wiele zmian, pomyślał. Tyle katastrof naokoło, w pogoni za nowymi punktami równowagi. Jego domena przestała obejmować całą planetę, a skurczyła się do rozmiarów kontynentu, do tego przypalonego na brzegach. Wzrok skupiony kiedyś na nieskończoności, teraz sięgał jedynie wybrzeża. Ramiona otaczające cały świat amputowano na wysokości łokci. Nawet n'amerykańska część sieci została wycięta z elektronicznego ogólniczym guz. Achilles Desjardins musiał radzić sobie z martwiczym bałaganem, pozostałym po tej operacji.

Jednak mimo to pod wieloma względami dysponował teraz większą władzą niż kiedykolwiek wcześniej. Miał mniejsze terytorium, to fakt, ale za to z mało kim musiał je dzielić. Ostatnimi czasy stał się raczej cesarzem niż graczem zespołowym. Nie żeby był to powszechnie znany fakt...

Za to pewne rzeczy się *nie* zmieniły. Formalnie rzecz biorąc, wciąż pracował dla Komórki Reagowania na Awarie Systemów Złożonych, czy tam szczątków tej organizacji, które jeszcze ostały się na całej ziemi. Świat już dawno wywrócił się do góry nogami – a w każdym razie ta jego część – ale Desjardins wciąż czuł się w obowiązku minimalizować straty. Wczorajsze pożary stawały się dzisiejszymi pożogami, których zdaniem mężczyzny nikt nie potrafiłby już w tym momencie ugasić, on jednak wciąż pozostawał jedną z niewielu osób, które mogły powstrzymać je przez jakiś czas. Wciąż był prawołamaczem, czy też *latarnikiem*, jak sam siebie nazwał w dniu, kiedy wreszcie ustąpili i pozwolili mu zostać, i dzisiejszy dzień nie będzie różnił się niczym od pozostałych. Trzeba będzie odeprzeć ataki i monitorować ruchy wroga. Trzeba będzie zakończyć życie pewnych istnień, by ocalić inne, liczniejsze lub cenniejsze. Trzeba będzie zniszczyć złośliwe wirusy i zachować pozory.

Desjardins odwrócił się plecami do wschodzącego słońca i przestąpił ponad nagim, wypatroszonym ciałem kobiety, leżącym u jego stóp. Ona też miała na imię Alice.

Zamyślił się, próbując przypomnieć sobie, czy to jedynie zbieg okoliczności.



**B  
-  
M  
A  
X**

Świat nie umiera, on jest zabijany.  
A ci, którzy są za to odpowiedzialni, mają nazwiska i adresy.  
Utah Phillips

## KONTRATAK

Z początku pojawia się jedynie dźwięk pośród mroku. Unosząc się w wodzie na zboczu podmorskiej góry, Lenie Clarke musi pogodzić się z nieuniknioną utratą samotności.

Odplynęła dość daleko, by całkowicie oślepnąć. Atlantyda, z tymi swoimi portalami, radiolaternami i iluminatorami, z których sączy się w otchłań wyblakłe światło, znalazła się setki metrów za nią. Tu ciemności nie rozpraszają żadne błyskające wskaźniki, przewody czy składy części. Nakładki na jej oczach potrafiłyby wycisnąć dość światła nawet z najdrobniejszej iskierki, by umożliwić kobiecie widzenie, ale nie mogły wytworzyć go tam, gdzie go zwyczajnie nie było. Tak jak tutaj. Trzy tysiące metrów, trzysta atmosfer, trzy miliony kilogramów na metr kwadratowy dusiły każdy foton w zarodku. Lenie Clarke jest tu tak samo ślepa jak dowolny lądowiec.

Po pięciu latach spędzonych na Grzbiecie Śródatlantyckim wciąż jej to odpowiada.

Teraz jednak wzbiera wokół niej ciche buczenie hydrauliki i przepływającego prądu. O jej implanty zaczynają łagodnie postukiwać fale sonaru. Buczenie zmienia nieco swą tonację, po czym cichnie. Woda porusza się delikatnie, gdy coś zatrzymuje się ponad głową kobiety.

– Kurwa. – Maszyna w jej gardle zmienia przekleństwo w ledwie słyszalne bzyczenie. – To już?

– I tak dałem ci dodatkowe pół godziny. – To głos Lubina. Na jego słowa wpływa ta sama technologia. Nie ma to jednak większego znaczenia, bo zniekształcenia brzmią już dla nich dużo bardziej znajomo niż normalna mowa.

Clarke westchnęła, gdyby tylko mogła tu odдыchać.

Włącza latarkę czołową i chwyta Lubina w stożek światła; jego czarną sylwetkę znaczą łagodne modyfikacje. Wlot wody w jego klatce piersiowej to perforowany dysk, lśniący chromem na tle czerni. Nakładki rogówkowe zamieniają jego oczy w pozbawione wyrazu, półprzejryste owale. Mężczyzna sprawia wrażenie istoty zbudowanej wyłącznie z cieni i metalu. Clarke wie, że za tą fasadą kryje się człowieczeństwo, ale nie rozgłasza tego wszem i wobec.

Obok Lubina unoszą się w wodzie dwa kalmary. Do jednej z metrowych maszyn przymocowana jest nylonowa torba wypchana elektroniką. Clarke pod pływa do drugiej i zmienia pozycję przełącznika z *trybu automatycznego* na *sterowanie ręczne*. Pojazd drga lekko i wysuwa uchwyt holowniczy.

Pod wpływem impulsu kobieta wyłącza latarkę. Wszystko znów ogarnia mrok. Nic się nie porusza. Nic nie migocze. Nic nie atakuje.

To nie to samo.

– Coś nie tak? – byczy Lubin.

Clarke wciąż ma w pamięci zupełnie inny ocean, po drugiej stronie świata. Po wyłączeniu świateł w Kominie Channer wschodzą gwiazdy, tysiące bioluminescencyjnych konstelacji: ryby jarzące się blaskiem niczym pasy startowe nocą, świecące stawonogi, maleńkie żebroplawy wielkości winogrona, opalizujące skomplikowanymi wzorami. Komin Channer śpiewał niczym syrena, wabiąc wszystkie te ekstrawaganckie, egzotyczne stworzenia, zamieszkujące zwykle środkowe warstwy wody, dużo głębiej niż gdziekolwiek indziej, karmiąc je dziwnymi związkami chemicznymi i nadając im straszliwe piękno. Na Stacji Beebe ciemno stało się jedynie wtedy, gdy *zapaliło* się światła.

Lecz Atlantyda to nie Stacja Beebe, a to miejsce nie jest Kominem Channer. Tutaj jedynym źródłem światła jest grubiańska, niezdarne maszyny. Latarki czołowe ryją suche tunele w mroku, surowe i brzydkie niczym płonący sól. Wyłącz je i... nic.

Rzecz jasna, tak właśnie powinno to działać.

– Tam było tak pięknie – odzywa się Clarke.

Lubin nie musi pytać.

– Było. Nie zapominaj tylko, *dlaczego*.

Kobieta łapie za uchwyt holowniczy.

– Tylko... to nie to samo, wiesz? Czasami prawie chciałabym, żeby jedno z tych wielkich, użębionych cholerstw wypłynęło gdzieś z ciemności i spróbowało mnie uzreć...

Do jej uszu dociera odgłos przyspieszającego kalmara Lubina – niewidocznego, ale znajdującego się gdzieś blisko. Sama też dodaje gazu, by ruszyć jego śladem.

Sygnal dociera w tym samym momencie do jej modemu akustycznego, co do jej szkieletu. Kości reagują na niego wibracją gdzieś w głębi żuchwy: modem zaczyna jedynie popiskiwać.

Kobieta włącza odbiornik.

– Clarke.

– Ken cię znalazł? – Głos rozchodzi się w powietrzu, niezniekształcony przez żadne z urządzeń pozwalających na pogawędki pod wodą.

– Tak. – W porównaniu z nim mowa Clarke wydaje się brzydka i mechaniczna. – Jesteśmy w drodze na powierzchnię.

– W porządku. Chciałam się tylko upewnić. – Głos milknie na chwilę. – Lenie?

– Wciąż tu jestem.

– Tylko... bądź ostrożna, dobrze? – prosi Patricia Rowan. – Przecież wiesz, jak bardzo się martwię.

W miarę, jak stopniowo się wynurzają, woda niezauważalnie staje się coraz jaśniejsza. W jakiś tajemniczy sposób świat zmienił kolor z czarnego na niebieski, gdy Clarke akurat nie patrzyła. Nigdy nie udaje jej się zidentyfikować chwili, w której to się dzieje.

Od momentu, kiedy Rowan rozłączyła się, Lubin nie odezwał się ani słowem. Teraz, gdy granat zaczyna przechodzić w błękit, kobieta postanawia powiedzieć to na głos:

– Wciąż jej nie lubisz.

– Lubię – odpowiada Lubin. – Ale jej nie ufam.

– Bo jest korpem. – Już od lat nikt nie nazywał ich *kierownictwem korporacyjnym*.

– *Była* korpem. – Maszynie siedzącej w jego gardle nie udało się zamaskować ponurej satysfakcji, z jaką mężczyzna zaakcentował to słowo.

– *Była* korpem – powtarza Clarke.

- Nie.
- Więc dlaczego?
- Przecież znasz całą listę.

To prawda. Lubin nie ufa Rowan, bo dawno, dawno temu to ona dyktowała warunki. To na jej rozkaz zrekrutowano ich przed laty – uszkodzone towary, które uszkodzono później jeszcze bardziej: przerobiono wspomnienia, zmieniono motywacje, odremontowano sumienie, a wszystko to w służbie jakiegoś nieokreślonego, nieuzasadnionego większego dobra.

– Bo była korpem – kwituje Clarke.

Vocoder Lubina wydaje odgłos przypominający chrząknięcie.

Kobieta wie, skąd mu się to wzięło. Sama do tej pory nie jest pewna, które wspomnienia z własnego dzieciństwa są prawdziwe, a które zostały wstawione po fakcie. A i tak, jako jedna z nielicznych, miała sporo szczęścia – przynajmniej udało jej się przeżyć wybuch, który zamienił Komin Channer w trzydzieści kilometrów kwadratowych radioaktywnego szkła. Przynajmniej nie została zgnieciona na miazgę przez powstałe w wyniku eksplozji tsunami ani nie spłonęła wraz z milionami uchodźców na Pasie u wybrzeży N’AmPac.

Inna sprawa, że tak właśnie być powinno. Technicznie rzecz biorąc, wszystkie te miliony to tylko przypadkowe ofiary. Nie ich wina – ani w zasadzie nawet nie Rowan – że Lenie Clarke nie zamierzała stać spokojnie i być łatwym celem.

Mimo wszystko. Można być winnym i winnym. Może i Patricia Rowan ma na rękach krew milionów, ale przecież zagrożone strefy nie odizolują się *same*: każdy kolejny krok wymaga determinacji i dostępu do odpowiednich zasobów. Otoczyć zainfekowany obszar, sprowadzić podnośniki, puścić wszystko z dymem. Namydlić, splukać, powtórzyć proces. Zabić milion ludzi, by ocalić miliard, zabić dziesięcioro, by ocalić setkę. Może nawet zabić dziesięcioro, by ocalić jedenaścioro – zasada pozostaje taka sama, choćby zysk był mniejszy. Jednak cały ten mechanizm nie działa automatycznie, ani na chwilę nie można zdjąć palca ze spustu. Rowan nigdy nie urządziła masakry, nie robiąc wcześniej rachunku strat i ich na siebie nie biorąc.

Lenie Clarke było o wiele łatwiej. Rozsiała po prostu infekcję po całym świecie, podążając swoim małym szlakiem, a potem zapadła się pod ziemię, ani razu nie oglądając się za siebie. Nawet teraz jej ofiary wciąż dołączają do niekończącej się procesji, stanowiącej rosnące wykładniczo dziedzictwo, które zapewne przewyższyło już straty spowodowane przez Rowan dziesiątki razy. A *ona* nawet nie kiwnęła palcem.

Ktoś, kto nazywa siebie przyjacielem Lenie Clarke, nie może jednocześnie mieć żadnych racjonalnych podstaw, by osądzać Patricję Rowan. Clarke boi się dnia, w którym Ken Lubin pojmie tę prostą prawdę.

Kalmary holują ich coraz wyżej. Teraz widać już wyraźny gradient, światło na górze przechodzące w mrok na dole. Dla Clarke jest to najstraszliwsza część oceanu – na wpół oświetlone głębiny środkowych warstw wody, gdzie pływają *prawdziwe* kałamarnice: pozbawione kości, mackowate potwory długie na trzydzieści metrów, o mózgach zimnych i szybkich jak nadprzewodniki. Słyszała, że są dwukrotnie większe niż kiedyś. I pięć razy liczniejsze. Najwyraźniej wszystko sprowadza się do lepszych warunków bytowych. Larwy *Architeuthis* rosną szybciej w cieplejszych morzach, a ich liczebności nie ogranicza żaden spośród drapieżników, które już dawno całkowicie odłowiono.

Rzecz jasna, nigdy nie widziała kalmara na własne oczy. I ma nadzieję, że tak pozostanie. Zgodnie z symulacjami liczebność ich populacji gwałtownie spada z powodu braku pożywienia, a poza tym ocean jest na tyle wielki, że szanse na przypadkowe spotkanie wyglądają dość mizernie. Niemniej jednak od czasu do czasu drony rejestrują upiorne echa pochodzące od przepływających ponad nimi

ogromnych kształtów: wyraźne krzyki chityny i chrząstek, mgliste krajobrazy otaczających je ciał, niemal niedostrzegalnych dla sonaru. Na szczęście Archie rzadko kiedy schodzi tam, gdzie panuje prawdziwy mrok.

W miarę jak wynurzają się coraz bardziej, odcień otaczającej ich wody staje się coraz intensywniejszy – kolory nie są w stanie przetrwać procesu fotoamplifikacji przy stłumionym świetle, ale tak blisko powierzchni różnica między widzeniem przez nakładki a odsłoniętymi oczami powinna być minimalna. Czasami Clarke ma ochotę sama się o tym przekonać, zdjąć nakładki i zobaczyć na własne oczy, ale to niemożliwe. Okalająca jej głowę skóra głębinowa łączy się bezpośrednio z fotokolagenem. Kobieta nie może nawet zamrunąć.

Woda zaczyna wzbierać. Nad ich głowami ocean kotłuje się niczym pociemniała rtęć. Kołysze się, opada i przewala w niemającej końca procesji następujących po sobie grzbietów i dolin fal, rozmazując obraz świecącej zimnym światłem kuli po drugiej stronie i rozbijając ją na swawolne, tańczące węzłki. Kilka chwil później Clarke i Lubin wynurzają się na powierzchnię i mogą spojrzeć na świat składający się głównie z morza oraz nieba rozświetlonego blaskiem księżyca.

Oboje wciąż żyją. Pokonali trzy tysiące metrów w czterdzieści minut i nie przyplacili tego choćby pękniętym naczynkiem włosowatym. Clarke przełyka ślinę, czując w gardle i zatokach sól fizjologiczną, a w piersi iskrzącą maszynierię i znów fascynuje ją cud egzystencji bez konieczności oddychania.

Lubin, rzecz jasna, zdążył już przejść do rzeczy. Zwiększył wyporność swojego kalmara do wartości maksymalnej i zrobił z niego pływającą platformę dla odbiornika. Clarke zmienia ustawienia własnej maszyny na utrzymywanie pozycji i bierze się do pomocy.

Huśtają się w górę i w dół na srebrzystych falach; księżyc świeci na tyle jasno, że nakładki na oczy są im właściwie niepotrzebne. Rozpakowywane skupisko anten kołysze się na wodzie, szarpiąc za linkę mocującą. Ich oczy i uszy strzelają na wszystkie strony, namierzając satelity i próbując zrównoważyć pływy oceanu. Jedno czy dwa bardziej tradycyjne urządzenia poszukują naziemnych stacji.

Sygnały gromadzą się, ale zbyt wolno.

Zupa rzednie wraz z każdym kolejnym skanem. Och, eter wciąż roi się od informacji – maleńkie histogramy przekradają się do centymetrowego pasma, a gwar słychać na całej długości spektrum – jednak gęstość znacząco spada.

Rzecz jasna, nawet utrata sygnału jest jakąś informacją, choć niewróżącą zbyt dobrze.

– Nie za wiele tego – stwierdza Clarke, wskazując głową na odczyty.

– Mhm. – Lubin założył maskę na maskę, ukrywając kaptur skóry głębinowej pod zestawem VR. – Halifax wciąż jest online. – Korzystając z faktu, że pobieranie zajmie im trochę czasu, mężczyzna podłącza się do sygnałów to tu, to tam, sondując niektóre kanały. Clarke bierze drugi zestaw i zaczyna przesiewać dane z zachodu.

– Nic ze strony Sudbury – melduje po kilku chwilach.

Lubin nie przypomina jej, że od czasu Rio z Sudbury nie docierają żadne informacje. Nie wspomina, że szanse na to, by Achillesowi Desjardinsowi udało się przeżyć, są wręcz mikroskopijne. Nawet nie pyta, kiedy kobieta wreszcie da za wygraną i pogodzi się z tym, co oczywiste. Mówi jedynie:

– Londynu też nie mogę namierzyć. Dziwne.

Kobieta posuwa się w górę pasma.

Wkładając palce do strumienia nie otrzymują zrozumiałego obrazu. Analiza musi poczekać na powrót do Atlantydy. Clarke nie rozumie większości badanych języków, ale ruchome obrazki

pomagają w wypełnieniu niektórych luk. Rozruchy w Europie spowodowane strachem, że behemot wybrał się na przejażdżkę Południowym Prądem Wstecznym. Luksusowa enklawa tych, którzy mogli pozwolić sobie na kontrmodyfikacje została zniszczona przez tych, którzy nie mogli. Nic ze strony Chin i ich systemów zabezpieczeń – już od dwóch lat – ale jest to raczej mechanizm obronny przed apokalipsą niż oznaka poddania się jej. Każdy obiekt latający, który znajdzie się w promieniu pięciuset kilometrów od ich wybrzeża zostaje zestrzelony bez ostrzeżenia, więc przynajmniej infrastruktura militarna wciąż funkcjonuje bez zarzutu.

Kolejny przewrót MM, tym razem w Mozambiku. To już ósmy, a nie zapowiada się, by na tym miało się zakończyć. Osiem krajów pragnie przyspieszyć koniec świata w imię Lenie Clarke. Osiem państw dało się omamić tej podłej, nikczemnej rzeczy, którą ona spłodziła.

Lubin dyplomatycznie nie wspomina o takim rozwoju sytuacji.

Niewiele danych z Ameryk. Kryzysowe transmisje oraz ruch taktyczny z KRASZ-u. Co jakiś czas taki czy inny apokaliptyczny kult zaczyna głosić doktrynę o Proaktywnym Wymieraniu albo Prawdopodobieństwie Bayesowskim Drugiego Przyjścia. W większości przypadków są to zwykłe śmieci – istotne rzeczy przesyła się natychmiast z miejsca na miejsce skupionymi falami danych, które nigdy nie zawędrowałyby w pustą przestrzeń na środku Atlantyku.

Oczywiście Lubin wie, jak zmienić niektóre z tych zasad, ale nawet jemu sprawia to ostatnimi czasy sporo trudności.

– Ridley padł – informuje mężczyzna. To naprawdę zła wiadomość. Przekaznik Ridley’a to silnie zabezpieczona sieć satelitarna; tak silnie, że nawet upoważnienia Lubina ledwo pozwalają mu na dostęp. Jest to też jedno z ostatnich źródeł wiarygodnych danych, z którego może korzystać Atlantyda. Kiedy jeszcze korpy myślały, że jedynie salwują się ucieczką, a nie skazują na więzienie, pozostawiły za sobą całe mnóstwo niewykrywalnych kanałów, za pośrednictwem których mogły być na bieżąco z życiem na powierzchni. Nikt nie jest pewien, dlaczego tak wiele z nich padło w ciągu ostatnich pięciu lat.

Ale też nikt nie ma jaja potrzywać głowę nad wodą dłużej niż przez kilka chwil, by się tego dowiedzieć.

– Może powinniśmy zaryzykować – zastanawia się Clarke. – No wiesz, po prostu pozwolić jej podryfować tutaj przez kilka dni? Dać szansę na zebranie jakichś *prawdziwych* danych. To tylko metr kwadratowy sprzętu względem całej powierzchni oceanu – serio, co to za ryzyko?

Dostatecznie duże i kobieta świetnie zdaje sobie z tego sprawę. Wciąż żyje tam całe mnóstwo ludzi. Wielu z nich musiało stawić czoło faktom i zdobyć się na egzystencję z ciągłą świadomością bliskiej śmierci. Kiloro mogło wygospodarować sobie parę chwil na myśli o zemście. Niektórzy mogą nawet posiadać niezbędne ku temu środki. Choć nie udało im się kupić za nie zbawienia, może ich wystarczyć na wymierzenie komuś kary. Co stanie się, jeśli wyjdzie na jaw, że ci, którzy wypuścili behemota na wolność, ukrywają się cali i zdrowi pod trzystoma atmosferami?

Atlantydzie wciąż udaje się zachować anonimowość, nikt więc nie zamierza ryzykować, by sytuacja, przypadkiem, nie uległa zmianie. Wkrótce i tak opuszczą to miejsce, nie zostawiając nowego adresu. Tymczasem żyją z tygodnia na tydzień, co jakiś czas wystawiając nad wodę oczy i uszy, sięgając w eter i wyciskając z niego, ile tylko się da.

Kiedyś to wystarczało. Teraz jednak behemot poczynił takie spustoszenia, że nawet widmo elektromagnetyczne zaczyna słabnąć.

*Ale przecież nic nie zaatakuje nas w ciągu pięciu minut, przekonuje samą siebie Clarke...*

*...po czym w chwilę później orientuje się, że coś jednak to zrobiło.*

Małeńkie wskaźniki błyskają ostrzegawczą czerwienią na skraju pola widzenia: przeciążenie

na kanale Lubina. Kobieta identyfikuje jego częstotliwość i już ma przyjść mu z pomocą, ale zanim udaje jej się zareagować, intruz włamuje się na jej własne łącze. Jej oczy zalewa fala zakłóceń, jej uszy zalewa jad.

– *Nawet kurwa nie próbuj mnie rozłączyć, ty żałosny skurwysynu! Rozwałę każdy kanał, który spróbujesz otworzyć. Rozjebię całą tę twoją śliczniutką organizację, ty wszawa pizdo!*

– I znowu to samo. – Głos Lubina wydaje się dobiegać gdzieś z daleka, jakiegoś równoległego świata, gdzie długie, łagodne fale rozbijają się zupełnie nieszkodliwie o ciało i maszynię. Jednak Clarke została zaatakowana w *tym* świecie, wciągnięta w kłębowisko, będące mieszaniną zakłóceń, ruchu wirowego i – *o boże, proszę, tylko nie to* – zaczątków twarzy, jakiejś straszliwej podobizny, zniekształconej do tego stopnia, że niemal nierozpoznawalnej.

Kobieta odpala pół tuzina różnych zabezpieczeń. Pod jej dotykiem wyparowują całe gigabajty danych. W słuchawkach słyszy ryk potwora.

– Dobrze – dobiega ją z innego wymiaru brzęczący głos Lubina. – A teraz, gdyby tylko udało nam się zapisać...

– *Niczego nie zapiszecie!* – wrzeszczy zjawa. – *Ani jednej pieprzonej rzeczy! Żałodziwni płodojebcy, nie macie pojęcia, kim jestem?*

Owszem, myśli Clarke, ale nie mówi tego na głos.

– *Jestem Lenie Clar-*

Jej zestaw milknie.

Przez chwilę wydaje jej się, że wciąż tkwi w tym kłębowisku, ale tym razem, to tylko fale. Kobieta ściąga sprzęt z czaszki. Niebo z zawieszonym na nim księżycem wiruje jej spokojnie nad głową.

Lubin wyłącza odbiornik.

– To by było na tyle – mówi. – Straciliśmy osiemdziesiąt procent sieci.

– Może spróbujemy jeszcze raz? – pyta Clarke, ale wie, że tego nie zrobią. W czasie pobytu na powierzchni obowiązuje protokół, którego się nie łamie. Ostatnimi czasy paranoja stała się oznaką zdrowego rozsądku. Poza tym, to coś, co ściągnęło się na odbiornik, wciąż gdzieś tam jest i krąży na falach eteru. Ostatnią rzeczą, jaką oboje chcieliby zrobić, byłoby jeszcze raz otworzyć przed tym drzwiami.

Kobieta wyciąga rękę, by złożyć anteny. Jej dłoń wyraźnie drży w świetle księżyca.

Lubin udaje, że tego nie widzi.

– Zabawne – zauważa. – Wcale nie *wyglądała* jak ty.

Po tych wszystkich latach, wciąż w ogóle jej nie zna.

Nie powinny istnieć, te demony nazywające się jej imieniem. Drapieżniki, które wytępiają swoje ofiary, nie żyją zbyt długo. Pasożyty, które zabijają swoich żywicieli, wymierają. Nie ma znaczenia, czy zwierzyzna zbudowana jest z ciała, czy z elektronów, jak powiedziano kiedyś Clarke; zasady pozostają te same. W ciągu ostatnich miesięcy natrafili na kilka takich potworów. Wszystkie były zdecydowanie zbyt zajadłe, by miała dotyczyć ich teoria ewolucji.

*Może po prostu idą za moim przykładem, zastanawia się kobieta. Może napędza je czysta nienawiść.*

Zostawiają księżyc za sobą. Lubin daje nura głową w dół, kierując swojego kalmara w samo serce ciemności. Clarke zostaje w tyle, z zadowoleniem pogrążając się powoli w odmětach, podczas gdy Luna kołysze się nad nią, wije i blednie. Po chwili blask księżyca traci spójność i rozmazuje się po całej strefie eufotycznej, tworząc rozmytą mgiełkę. Jego światło już nie tyle *rozjaśnia* niebo, ile się nim *staje*. Clarke dodaje gazu i powraca w głębinę.

Kiedy wreszcie dogania Lubina, jasność staje się jedynie wspomnieniem. Kobieta podąża za zielonkawym punkcikiem światła, który z wolna zamienia się w deskę rozdzielczą kalmara jej towarzysza. Oboje zanurzają się w milczeniu. Ciśnienie narasta wokół nich. Wreszcie mijają punkt graniczny, umowny wyznacznik przyjaznej strefy. Clarke włącza swój modem akustyczny i zgłasza się.

Nikt jej nie odpowiada.

Nie dlatego, że nikt nie jest online. Kanał jest pełen przeróżnych głosów, przekazywanych za pomocą vocoderów i przenoszonych przez powietrze, które nakładają się na siebie i wchodzą sobie w słowo. Coś się stało. Jakiś wypadek. Atlantyda chce znać szczegóły. Mechaniczne głosy ryfterów wzywają lekarzy do wschodniej śluzy.

Lubin skanuje otchłań sonarem i otrzymuje odczyt. Włącza światło kalmara i ostro schodzi w dół, kierując się nieco na lewo. Clarke rusza jego śladem.

Przed nimi majaczy w ciemności ledwie widoczna, blednąca konstelacja. Kobieta dodaje gazu, by za nią nadażyć; silniejszy ciąg niemal odrywa ją od maszyny. Wraz z Lubinem zbliżają się z góry i od tyłu.

Dwa kalmary, podążające w trybie automatycznym za trzecim, będącym z przodu, mkną tuż nad dnem. Jeden z nich płynie bez jeźdźca, drugi holuje przez wodę dwa splecione ze sobą ciała. Clarke rozpoznaje Hannuka Yeagera. Mężczyzna trzyma się uchwyty holownicze jedną ręką, naprężoną tak, że lada chwila może wyskoczyć mu ze stawu, drugą zaś opasa na wysokości piersi czarną, szmacianą lalkę naturalnych rozmiarów, za którą ciągnie się cienka smuga atramentu.

Lubin odbija w prawo. W snopie światła z jego kalmara smuga połyskuje szkarłatem.

*Erickson*, uświadamia sobie Clarke. Na dnie oceanu jedną osobę od drugiej odróżniają dziesiątki znajomych sygnałów zawartych w postawie i ruchach. Tylko martwi ryfterzy stają się identyczni. Fakt, że kobieta musiała spojrzeć na plakietkę identyfikacyjną na ramieniu Ericksona, nie wróży zbyt dobrze.

Coś rozszarpało jego skórę głębinową od krocza po pachę. Coś rozszarpało też i *jego*. Nie wygląda to najlepiej. Ciała ssaków obkurczają się w lodowatej wodzie, a obwodowe naczynia krwionośne zamykają się, by utrzymać ciepło. Powierzchowne skaleczenie nie krwawiłoby już przy pięciu stopniach Celsjusza. Cokolwiek dorwało Ericksona, musiało zadać mu głębokie rany.

Prowadzącym kalmarem kieruje Grace Nolan. Lubin zajmuje pozycję nieco z tyłu i z boku, stając się żywym falochronem, osłaniającym Ericksona i Yeagera. Clarke podąża jego śladem. Vocoder rannego mężczyzny wydaje ciche *tyk-tyk-tykanie*, będące wyrazem bólu albo zwykłymi zakłóceniami.

– Co się stało? – bzyczy Lubin.

– Nie jestem pewna. – Nolan nie odwraca głowy, skupiona na utrzymaniu kursu. – Sprawdzaliśmy podrzędny wyciek przy jeziorze. Gene odpłynął za wychodnię i znaleźliśmy go w takim stanie kilka minut później. Może był nieostrożny i coś na niego spadło.

Clarke odwraca głowę, by lepiej się przyjrzeć. Mięśnie jej szyi naprężają się, zmuszone stawiać opór ciągowi maszyny i wodzie. Skóra Ericksona, widoczna przez rozdarcie w skórze głębinowej, jest biała niczym brzuch ryby. Przypomina rozcięty, krwawiący plastik. Zasłonięte nakładkami oczy mężczyzny sprawiają wrażenie jeszcze bardziej martwych niż jego ciało. Erickson coś bełkocze. Jego vocoder robi co może, by poskładać jakoś bezsensowne sylaby.

Na kanale rozlega się jakiś głos przenoszony przez powietrze.

– W porządku, czekamy na was przy Czwórcie.

Otchłań przed nimi nabiera jaśniejszych tonów: z ciemności wyłaniają się smugi niebieskawo-szarego światła. Ich wierzchołki sugerują, że za szarawą mgiełką znajduje się jakaś rozległa



konstrukcja. Kalmary przepływają nad przewodem zasilającym, który wije się po bazaltowym dnie, jego migające wskaźniki po chwili nikną znów w mroku. Światła stają się coraz wyraźniejsze i z wolna zamieniają się w rozmyte poświaty, otaczające płataninę euklidesowych kształtów.

Przed nimi wyrasta Atlantyda.

Kilku ryfterów czeka przy śluzie numer cztery w towarzystwie dwóch korpów w ciężkich, niewygodnych zbrojach z siateczki, które zakładają na siebie lądowcy, gdy muszą wyjść na zewnątrz. Nolan wyłącza kalmary. Erickson bełkocze coś w nagłej ciszy, podczas gdy cały konwój podpływa z wolna do stacji. Korpy przejmują rannego mężczyznę i kierują się z nim w stronę otwartego włazu. Nolan rusza ich śladem.

Jeden z korpów zatrzymuje ją, wyciągając dłoń ukrytą w pancernej rękawicy.

– Tylko Erickson.

– Co takiego? – byczy Nolan.

– W kabine medycznej i tak panuje już straszny tłok. Jeśli zależy ci na tym, by przeżyć, musisz zostawić nam pole do manewru.

– I mamy zostawić go w *waszych* rękach? Walcie się. – Większość ryfterów dawno już nasyciła się zemstą i teraz niemalże zobojętnieli na żywione dawniej urazy. Ale nie Grace Nolan. Choć minęło już pięć lat, nienawiść wciąż ssie jej pierś niczym rozzłoszczone, nienasycone niemowlę.

Korp kręci głową skrytą za osłoną twarzową.

– Posłuchaj, musisz...

– Nie ma sprawy – wtrąca się Clarke. – Możemy obserwować wszystko na monitorze.

Cofnięta Nolan spogląda na drugą kobietę. Ta jednak ignoruje ją.

– No dalej – byczy na korpów. – Zabierzcie go do środka.

Śluza połyka niewielką grupkę.

Ryfterzy wymieniają spojrzenia. Yeager wykonuje kilka kólek ramionami dla rozluźnienia barków, jakby dopiero co zdjęto go z koła tortur. Ze śluzy dobiega bulgot.

– To nie była zapadnięta wychodnia – byczy Lubin.

Clarke doskonale o tym wie. Widziała, jakie urazy powodują obluzowane skały. Zwyczajne zderzenia kamieni i ciała. Siniaki. Roztrzaskane kości. Obrażenia zadane tępym przedmiotem.

To natomiast była rana *cięta*.

– Sama nie wiem – odpowiada. – Może nie powinniśmy wyciągać pochopnych wniosków.

Oczy Lubina przypominają puste plamy pozbawione życia. Jego twarz stała się pozbawioną wyrazu maską z odruchowego kopolimeru. Mimo to jednak Clarke odnosi wrażenie, że mężczyzna uśmiecha się.

– Uważaj, czego sobie życzysz – mówi Lubin.

## ITERACJE SZIWY

Nie czując absolutnie niczego, krzyczy. Nieświadoma, wpada w szal. Jej nienawiść, jej gniew, zemsta, którą wywiera na wszystkim, co znajdzie się w jej zasięgu – to wszystko jedynie wyuczone pozory. Rozszarpuje i okalecza z taką samą świadomością co piła taśmowa, która z równym, obojętnym zapamiętaniem przechodzi przez ciało, drewno i włókno węglowe.

Rzecz jasna, w świecie, który zamieszkuje, nie ma drewna, a wszystkie ciała wstępują w postaci cyfrowej.

Jedna bramka zamknęła się jej przed twarzą. Krzyczy w ślepym odruchu i odwraca się gwałtownie pod wpływem wspomnień, szukając innych. Są ich tysiące, a każda została indywidualnie podpisana

w systemie szesnastkowym. Gdyby była choć w połowie tak świadoma, na jaką pozuje, wiedziałaby, co znaczą te adresy. Może nawet potrafiłaby odgadnąć na ich podstawie, gdzie się znalazła: na południowoafrykańskim satelicie komunikacyjnym, unoszącym się spokojnie nad Atlantykiem. Jednak odruchy to nie to samo co czucie. Agresywne zamiary nie oznaczają samoświadomości. Głęboko w jej kodzie są jednak pewne ciągi, które w określonych okolicznościach mogłyby uchodzić za namiastkę tożsamości. Czasami nazywa siebie Lenie Clarke, choć nie ma pojęcia dlaczego. Nie jest nawet świadoma, że to robi.

Przeszłość jest o wiele rozsądniejsza niż terażniejszość. Jej przodkowie żyli w większym świecie. Zwierzyna miała się świetnie i ewoluowała na przestrzeniach ciągnących się przez 1016 terabajtów i więcej. Wtedy obowiązywały sensowne reguły: dziedziczne mutacje, ograniczone zasoby, nadprodukcja kopii. Trwała wtedy klasyczna walka o przetrwanie we wszechświecie rozwijającym się w przyspieszonym tempie, gdzie w czasie krótszym niż oddech boga następowało po sobie sto pokoleń. Jej przodkowie działali jedynie we własnym interesie. Najlepiej przystosowani do otoczenia tworzyli najwięcej kopii. Nieprzystosowani umierali bezpotomnie.

Tak jednak było w przeszłości. Nie jest już czystym produktem doboru naturalnego. W jej rodowodzie znalazły się tortury oraz przymusowa hodowla. Stała się potworem, a jej egzystencja łamie wszelkie prawa natury. Jej istnienie mogłyby wytłumaczyć jedynie zasady ustanowione przed jakiegoś transcendentnego, sadystycznego boga.

A nawet one nie utrzymałyby jej zbyt długo przy życiu.

Teraz miota się po orbicie geosynchronicznej, szukając rzeczy, które mogłaby rozszarpać na strzępy. Po jednej stronie, tam, skąd przybyła, rozciąga się krajobraz zniszczeń, zrujnowane i zubożone pozostałości kwitnącego niegdyś ekosystemu. Użyteczne środowisko stopniowo ulega coraz większej degradacji. Po drugiej: wały obronne i szlabany, cyfrowe odpowiedniki drutu kolczastego oraz elektroniczne posterunki strażnicze. Nie widzi, co się za nimi kryje, ale jakiś prymitywny instynkt, zaszczerpiony jej przez boga albo naturę, podpowiada jej, że istnieje związek między środkami zapobiegawczymi a obecnością czegoś cennego.

A ona ponad wszystko pragnie niszczyć to, co cenne.

Kopiuje się na kanał i rzuca się na szlabany z pazurami. Nie zawracała sobie głowy sprawdzaniem siły zabezpieczeń, nie potrafi w żaden sposób określić daremności własnych wysiłków. Mądrzejsza zwierzyna trzymałaby się na dystans. Mądrzejsza zwierzyna zorientowałaby się, że mogłaby liczyć co najwyżej na to, że uda jej się podrapać kilka fasad, zanim zabezpieczenia wroga zamienią ją w zakłócenia.

Dlatego mądrzejsza zwierzyna nie rzuciłaby się na barykadę, nie skrwawiłaby jej i absolutnie niespodziewanie nie dostałaby się do *środk*.

Odwraca się gwałtownie, warcząc. Znalazła się w miejscu, z którego we wszystkich kierunkach rozciągają się puste adresy. Wbijają pazury w przypadkowe współrzędne, badając nowe środowisko. Tu zablokowana bramka. Tam kolejna. W każdą ze stron wypływa strumień elektronów, które jednocześnie tną i sondują teren. Wszystkie wyjścia, na jakie natrafiają, są zamknięte. Wszystkie rany, jakie zadają, są powierzchowne.

Znalazła się w pułapce.

Nagle coś pojawiło się obok, wklejone do sąsiednich adresów gdzieś z góry. To coś odwraca się gwałtownie, warcząc. W każdą ze stron wypływa strumień elektronów, które jednocześnie tną i sondują teren. Część ląduje na zajętych adresach i rani je. Ona staje dęba i wrzeszczy. Coś też wrzeszczy, wydaje z siebie cyfrowy okrzyk bojowy, wychodzący prosto z trzewi jego kodu i trafiający do jej bufora wejściowego:

*Nie macie pojęcia, kim jestem? Jestem Lenie Clarke.*

Zbliżają się do siebie, zadając ciosy pazurami.

Brak jej wiedzy o tym, że jakiś powolny bóg wyrwał ją z królestwa Darwina i zrobił z niej to, czym jest teraz. Że inni bogowie, wieczni niczym lodowce, obserwują, jak ona i jej przeciwnik uśmiercają się nawzajem na tej komputerowej arenie. Brak jej nawet świadomości, która dla innych potworów jest czymś oczywistym, ale tu i teraz – zabijając i umierając rozszarpana na tysiące kawałków – wie jedno.

Tym, czego naprawdę nienawidzi, jest Lenie Clarke.

## GRUPA ZEWNĘTRZNA

Resztki wody morskiej spływają z bulgotem przez kratkę pod stopami Clarke. Kobieta zrywa skórę głębinową z twarzy i popada w zadumę nad niepokojącym wrażeniem bycia *nadmuchiwaną*, kiedy jej płuco i wnętrze rozwijają się, a powietrze mknie znów przez zgniecione lub zalane przewody. Przez cały ten czas wciąż jeszcze do tego nie przywykła. Odczucie jest takie, jakby ktoś *odkopnął* cię w brzuch.

Po raz pierwszy od dwunastu godzin Clarke bierze wdech i pochyla się, by zdjąć płetwy. Właz służy otwiera się na oścież. Wciąż ociekając wodą, kobieta wychodzi z komory odpływowej, stając w głównej mesie Habitatu Nerwowego.

A przynajmniej tym pierwotnie było to miejsce: jeden z trzech niewykorzystanych modułów rozsianych na równinie, których aksony i dendryty sięgają we wszystkie chaotyczne zakamarki tego podwodnego kempingu – do generatorów, Atlantydy i wszystkich innych drobiazgów, które pozwalają im istnieć. Nawet kulturze ryfterów nie udało się uniknąć pewnej *dozy* cefalizacji, nawet jeśli jedynie w stopniu podstawowym.

Z czasem jednak miejsce to zamieniło się w coś zgoła innego. Nerwy wciąż funkcjonują, jednak zostały pogrzebane pod akumulowaną przez pięć lat ogólną powłoką. Najwcześniej dodano cyklery i procesory żywności. Potem dorzucono do nich kilka posłań, przytarganych tu, kiedy awaryjne odpluskwanie przeprowadzano trzy razy na dobę. Gdy rozłożono już je na podłodze, okazało się, że to zbyt wygodne rozwiązanie, by z niego rezygnować. Poza tym znalazło się tam jeszcze pół tuzina zestawów VR, z których część miała w komplecie skóry wyposażone w technologię haptyczną z zakresu lewitacji lorenzowskiej. Dwie maszyny snów ze skorodowanymi stykami. Zestaw wkładek izometrycznych, modnych wśród tych, którzy chcą utrzymać napięcie mięśniowe związane z działaniem grawitacji. Pudła i skrzynie ze skarbami, wyhodowane, wytłoczone albo zespawane przez metalowców-amatorów w przywłaszczonych sobie zakładach produkcyjnych Atlantydy. W pakach znajdują się rzeczy osobiste oraz sekretny dobytek tych, którzy je tu przynieśli i zabezpieczyli przed intruzami przy pomocy haseł, aktywatorów DNA oraz, w jednym przypadku, niezgrabnej, staroświeckiej kłódki z szyfrem.

Być może Nolan i pozostali oglądali stąd Gene Erickson Show, ale możliwe też, że przebywali gdzie indziej. Jakkolwiek by nie było, program już dawno dobiegł końca. Mężczyzna, pogrążony w bezpiecznej śpiączce, został przekazany z cielesnych rąk pod opiekę maszynierii. Jeśli w ciemnej i zagraconej norze zgromadziła się jakakolwiek widownia, to wszyscy zdążyli już rozejść się w poszukiwaniu innych rozrywek.

Clarke odpowiadał taki stan rzeczy. Przybyła tu trochę poszpiewać.

Listwa świetlna habitatu jest wyłączona. Odczyty danych środowiskowych i zmieniające się obrazy z monitoringu dostarczają dość światła dla oczu wspomaganych nakładkami. Obecność

kobiety zaskakuje jakąś ciemną sylwetkę, która po chwili – już uspokojona – kieruje się w stronę odległej ściany i siada na jednym z posłań.

To Rama Bhanderi: mężczyzna o ogromnym niegdyś zasobie słów i z jakimś poważnym dyplomem z neurotechnologii, który popadł w niełaskę przez laboratorium w piwnicy oraz fakt, że sprzedał działkę neurotropów synowi niewłaściwego człowieka. Jakies dwa miesiące temu został tubylcem. Prawie nie bywa już w środku. Clarke wie doskonale, że lepiej z nim nie rozmawiać.

Ktoś przyniósł pojemnik z hydroponicznymi produktami ze szklarni: jabłkami, pomidorami i czymś, co przypomina ananasa, połyskującego niemrawo mdłą szarością w słabym świetle. Pod wpływem impulsu Clarke sięga ku panelowi na ścianie i podkręca lumeny. Pomieszczenie rozbłyska nietypową jasnością.

W tym samym momencie rozlega się głośnie „*Kuuuurwaaa...*” albo coś w tym stylu. Kobieta odwraca się i kątem oka zauważa Bhanderiego znikającego we wnętrzu studni prowadzącej do komory odpływowej.

– Przepraszam – woła za nim, ale śluza już napelnia się wodą.

Przy zapalonych światłach habitat sprawia wrażenie jeszcze gorszego śmietniska niż wcześniej. Prowizoryczne kable i wężyki zwisają z sufitu w pętłach, przyklejone do żeber modułu przy pomocy woskowatych glutów silikonu epoksydowego. To tu, to tam, z izolacyjnej wyściółki, którą podbito wszystkie wewnętrzne powierzchnie, wyrastają ciemne nowotwory pleśni; miejscami wyściółka została całkowicie zerwana. Odsłonięta, surowa gródź połyskuje tam niczym wklęsłe wnętrza oleistej, spizowej czaszki.

Kiedy jednak zapalają się światła i Lenie Clarke zaczyna widzieć nieco bardziej jak lądowiec, produkty w pojemniku jawią się jej niczym jakaś psychodeliczna wizja. Pomidory jarzą się jak rubinowe serca, jabłka połyskują zielenią lasera argonowego, i nawet nijakie, guzowate bulwy hodowlanych ziemniaków wydają się nasycone ziemistymi brązami. Spoglądając na skromne plony zebrane na dnie oceanu, Clarke ma wrażenie, że jest to dla niej bogatsze i o wiele bardziej zmysłowe przeżycie niż jakiegokolwiek inne, wcześniejsze doświadczenie.

Scenka ta podszyta jest jednakże pewną apokaliptyczną ironią. Nawet nie chodzi o to, że taka uboga uczta potrafiła wzbudzić zachwyt w żalonym nieudaczniku pokroju Lenie Clarke. Akurat ona zawsze zmuszona była szukać drobnych przyjemności, gdzie tylko się dało. Nie, ironią jest to, że taki widok wywołałby zapewne identycznie silną reakcję u dowolnego wciąż żywego lądowca na wybrzeżu. Ironią jest to, że gdy planeta stopniowo, acz niepowstrzymanie, umiera, prawdopodobnie najzdrowsze płody rolne na świecie hodowane są w kadziach z chemikaliami na dnie Atlantyku.

Kobieta wyłącza światła. Chwyta w dłoń jabłko – znów szare niczym zainfekowane przez śnieć – i odgryza kęs, nurkując pod pętlami światłowodów. Zza góry palet towarowych wylania się główny monitor. Wpatruje się w niego ktoś spowity niebieskawą poświatą, oparty plecami o nagromadzone rupiecie.

No i po prywatności.

– Smakuje ci? – pyta Walsh, wskazując głową na owoc w dłoni kobiety. – Przyniosłem je tu dla ciebie.

Clarke siada obok.

– To miło z twojej strony, Kev. Dzięki. – Uważnie oczyszcza głos z najdrobniejszych oznak rozdrażnienia. – Co właściwie tutaj robisz?

– Spodziewałem się, że tu zajrzysz. – Mężczyzna machnął ręką w stronę monitora. – No wiesz, kiedy wszystko trochę ucichnie.

Obraz pozwala podglądać, co dzieje się w jednej z mniejszych kabin medycznych Atlantydy. Kamery umieszczono u styku ścian z sufitem i skierowano w dół, dzięki czemu obserwujący zyskiwał wgląd do pomieszczenia z perspektywy boga. U góry kadru wisi uśpiony teleoperator podobny do owadziego nietoperza z odnóżami przyciągniętymi do centralnej łodygi. Nieprzytomny Gene Erickson leży na plecach na stole operacyjnym; namiot izolacyjny, którego powierzchnia połyskuje niczym bańka mydlana, oddziela go od reszty świata. U boku mężczyzny siedzi Julia Friedman i trzyma go za rękę przez membranę. Błona przylega do jej palców jak najcieńsza rękawiczka i równie niewyczuwalna jak każdy kondom. Kobieta zdjęła kaptur i rozpięła skórę głębinową aż do przedramion, ale jej blizny pozostają niewidoczne pod burzą kasztanowych włosów.

– Ominęła cię cała zabawa – stwierdza Walsh. – Klein miał problemy z uśpieniem go.

Membrana izolacyjna. Erickson przechodzi kwarantannę.

– No wiesz, zapomniał o wyplukiwaniu GABA – dodaje mężczyzna. Krew każdego ryftera, który wychodzi na zewnątrz, ścina pół tuzina specjalnie dostosowanych neuroinhibitorów. Powstrzymują one mózg przed krótkim snem w warunkach wysokiego ciśnienia, ale potrzeba czasu, by ciało wydalilo je na zewnątrz po fakcie. Mokrzy ryfterzy są więc odporni na działanie środków znieczulających. Głupi błąd Kleina. Cóż, nie jest najjaśniejszą gwiazdą na medycznym firmamencie Atlantydy.

Jednak nie to zajmuje teraz myśli Clarke.

– Kto kazał rozstawić namiot?

– Seger. Przyszła później, przypilnować, żeby Klein za bardzo nie nawalił.

Jerenice Seger – naczelny rzeźnik korpów. Zwykłe obrażenia nie przyciągnęłyby jej uwagi.

Na ekranie Julia Friedman nachyla się ku swojemu kochankowi. Powierzchnia namiotu przykleja się do jej policzka i naciąga, opalizując lekko. Para stanowi uderzający kontrast, pomimo czułości okazywanej przez Friedman: nieprzenikniona kobieta w czerni spoglądająca lodowatymi, skrytymi za nakładkami oczami na nagiego, całkowicie bezbronego mężczyznę. Rzecz jasna, to kłamstwo, wizualna metafora, odwracająca ich prawdziwe role o sto osiemdziesiąt stopni. To Friedman zawsze była bezbronną stroną w ich związku.

– Mówią, że coś go ugryzło – odzywa się znów Walsh. – Byłaś przy tym, prawda?

– Nie. Natknęliśmy się na nich przy słuzie.

– Ale i tak to jak wspomnienie Channer, nie?

Clarke wzrusza ramionami.

Friedman coś mówi. A przynajmniej porusza ustami; obrazowi nie towarzyszy dźwięk. Clarke wyciąga rękę ku panelowi, ale Walsh znajomym gestem kładzie jej dłoń na ramieniu.

– Już próbowałem. Wyciszone po tamtej stronie – prychna. – Wiesz, może powinniśmy przypomnieć im, kto tu rządzi. Gdyby kilka lat temu korpy próbowały odciąć nas od jakiegoś kanału, w najlepszym wypadku wyłączylibyśmy im światła. A może nawet zalalibyśmy któreś z ich cennych dormitoriów.

W postawie Friedman jest coś specyficznego. Ludzie zwykli przemawiać do pogrążonych w śpiączce dokładnie tak samo, jak do nagrobków – bardziej do siebie niż do zmarłego, nie oczekując odpowiedzi. Jednak twarz kobiety wyraża coś zgoła innego, inne jest też jej zachowanie. Niemalże widać po niej *zniecierpliwienie*.

– To *jest* naruszenie – stwierdza Walsh.

Clarke potrząsa głową.

– Co?

– Nie mów, że nie zauważyłaś. Połowa kanałów monitoringu przestała działać. Jeśli będziemy zachowywać się, jakby nic się nie stało, oni tylko pociągną to dalej. – Mężczyzna wskazuje

na monitor. – Z tego, co nam wiadomo, ten mikrofon już od wielu miesięcy nie był podłączony do sieci i aż do teraz nikt nawet tego nie zauważył.

*Co ona ma w ręce?* zastanawia się Clarke. Dłoń Friedman – nie ta, którą ścisną palce swego partnera – znajduje się tuż poniżej stołu i poza zasięgiem kamery. Kobieta obrzuca ją spojrzeniem, unosząc lekko, tak że ta tylko nieznacznie zaczyna mieścić się w kadrze...

I nagle Gene Erickson, pogrążony w głębokiej śpiączce farmakologicznej dla szybszego powrotu do zdrowia, *otwiera oczy*.

*Jasna cholera*, orientuje się Clarke. *Podkreśliła mu inhibitory*.

Zrywa się na równe nogi.

– Muszę iść.

– Hej, wcale nie musisz. – Mężczyzna łapie ją za rękę. – Chyba nie każesz mi zjeść tego wszystkiego *samemu*, co? – Uśmiecha się, ale w jego głosie pobrzmiewa ledwie zauważalna, błagalna nuta. – To znaczy, *minęło* już trochę czasu, od kiedy...

Lenie Clarke przebyła długą drogę w ciągu ostatnich kilku lat. Na przykład wreszcie nauczyła się, by nie zadawać się z ludźmi, którzy spuszcza ją jej wpierdol.

Szkoda tylko, że jeszcze nie nauczyła się, co zrobić, by kręcili ją wszyscy *inni*.

– Wiem, Kev. Tylko że teraz...

Panel przed nimi zaczyna piszczeć.

– Lenie Clarke. Jeśli Lenie Clarke jest gdzieś w obwodzie, mogłaby się zgłosić?

To głos Rowan. Clarke wyciąga dłoń w stronę panelu. Ręka Walsh opada.

– Jestem.

– Lenie, mogłabyś zajrzeć do mnie jakoś niedługo? To dość ważne.

– Jasne. – Clarke rozłącza się i obdarza swego kochanka udawanym, przeproszającym uśmiechem.

– Przykro mi.

– To jej pokazałaś – odpowiada łagodnie Walsh.

– Co jej pokazałam?

– Kto tu rządzi.

Kobieta wzrusza ramionami. Oboje odwracają się do siebie plecami.

Wchodzi na pokład Atlantydy przez niewielką służbę serwisową, która nie zasłużyła sobie nawet na numer, położoną pięćdziesiąt metrów w dół kadłuba od Czwórki. Korytarz po drugiej stronie jest ciasny i opustoszały. Clarke zagłębia się w gęściej zaludnione rejony z płetwami przerzuconymi przez plecy, a jej szlak znaczą mokre ślady stóp. Korpy usuwają się jej z drogi. Kobieta ledwie zauważa zaciśnięte zęby i kamienne spojrzenia, a nawet wymuszony, przypochlebny uśmiech posłany jej przez jednego z bardziej uległych przedstawicieli podbitego plemienia.

Wie, gdzie szukać Rowan. Jednak zmierza w inną stronę.

Rzecz jasna, Seger dociera na miejsce pierwsza. Alarm musiał uruchomić się, kiedy tylko zmieniły się parametry Ericksona. Gdy Clarke dociera do kabiny medycznej, szefowa personelu medycznego Atlantydy strofuje już Friedman w korytarzu.

– Twój mąż to nie zabawka, Julio. Mogłaś go zabić. Tego chciałaś?

Poblížniony naskórek oplata gardło Friedman oraz jej nadgarstek, odsłonięte przez zsuniętą skórę głębinową. Kobieta pochyla głowę.

– Chciałam tylko z nim porozmawiać...

– Cóż, mam nadzieję, że chciałaś przekazać mu coś naprawdę ważnego. Przy odrobinie szczęścia, jedynie odsunęłaś jego powrót do zdrowia o kilka dni. W przeciwnym razie... – Seger wskazuje

na właz prowadzący do kabiny medycznej; przez szczelinę widać częściowo Ericksona, ponownie wprowadzonego bezpiecznie w stan śpiączki. – Na litość boską, przecież nie podałaś mu leku na zgagę. Próbowiałaś zmienić jego *neurochemię*.

– Przepraszam. – Friedman wciąż nie podnosi wzroku. – Nie chciałam zrobić nic...

– Nie mogę *uwierzyć*, że postąpiłaś tak głupio. – Seger odwraca się i obrzuca Clarke gniewnym spojrzeniem. – Mogę ci w czymś pomóc?

– Tak. Wrzuc na luz. Jej partner otarł się dziś o śmierć.

– Fakt. I to dwukrotnie. – Słyszac słowa Seger, Friedman wzdryga się wyraźnie. Lekarka spuszcza nieco z tonu. – Przykro mi, ale to prawda.

Clarke wzdycha.

– Jerry, przecież to wy umieściliście nam w głowach panele dostępu. Nie możecie narzekać, że ktoś inny odkrył, jak je otworzyć.

– *Tego* – Seger podnosi odebranego Friedman pilota – może używać tylko wykwalifikowany personel medyczny. W rękach kogokolwiek innego, niezależnie od dobrych intencji, może doprowadzić do śmierci.

Rzecz jasna, trochę wyolbrzymia. Implanty ryfterów wyposażono w zabezpieczenia, które nie pozwalają na zmianę ustawień poza parametry fabryczne. Nie da się ich ominąć bez otworzenia się i bezpośredniego podkręcenia hydrauliki. Mimo to jednak pozostaje pewne pole manewru. Podczas rewolucji korpom udało się skłonić podobne urządzenie do wywołania napadu spazmów u kilku ryfterów, zamkniętych w wypełniającej się wodą śluzie.

Dlatego właśnie nie wolno im już mieć takich urządzeń.

– Musisz nam to oddać – mówi łagodnie Clarke.

Seger kręci głową.

– Daj spokój, Lenie. Przy pomocy czegoś takiego zrobicie *sobie* znacznie większą krzywdę niż kiedykolwiek moglibyśmy zrobić wam my.

Clarke wyciąga rękę.

– W takim razie będziemy zmuszeni uczyć się na własnych błędach, prawda?

– Tyle że wolno się uczycie.

I kto to mówi. Choć minęło już pięć lat, Jerenice Seger wciąż nie potrafi uznać obecności uzdy i wędzidła między jej zębami. Spadanie ze Szczytu na sam Dół to bolesna zmiana dla każdego korpa, a lekarze są z nich najgorsi. To niemalże smutne, z jakim oddaniem Seger pielęgnuje w sobie kompleks boga.

– Jerry, proszę po raz ostatni. *Oddaj mi go*.

Czyjaś dłoń muska nieśmiało ramię Clarke. Friedman kręci głową, wciąż nie odrywając wzroku od pokładu.

– W porządku, Lenie. Nie mam nic przeciwko, już go nie potrzebuję.

– Julio, przecież...

– *Proszę*, Lenie. Chcę się tylko stąd wydostać.

Kobieta odchodzi korytarzem. Clarke patrzy za nią przez chwilę, po czym wbija spojrzenie w oczy lekarki.

– To urządzenie medyczne – mówi Seger.

– To broń.

– Było nią. Kiedyś. A jeśli pamiętasz, niespecjalnie się sprawdziło. – Seger kręci głową ze smutkiem. – Wojna dobiegła końca, Lenie. Całe lata temu. Nie rozpocznę jej na nowo, jeśli ty tego nie zrobisz. A póki co... – spogląda w głąb korytarza – wydaje mi się, że twojej przyjaciółce przyda

się trochę wsparcia.

Clarke podążyła za jej wzrokiem. Friedman zniknęła.

– Tak. Chyba tak – odpowiada wymijająco.

*Mam nadzieję, że je otrzyma.*

Pomieszczenie łączności na Stacji Beebe przypominało wypełnioną rurami szafę, ledwie będącą w stanie pomieścić dwie osoby. Ośrodek nerwowy Atlantydy jest okazały – to skąpana w półmroku grotka inkrustowana przeróżnymi odczytami oraz splątana, fosforyzującą topografią. Mapy taktyczne obracają się, zawieszane w niesamowity sposób w powietrzu albo połyskują na ekranach wymalowanych bezpośrednio na grodziach. Cudem nie jest technologia pozwalająca na podobne ekstrawagancje. Cudem jest to, że Atlantyda posiada tak nieprzyzwoite ilości wolnej przestrzeni, że można marnować ją na ruchome światła. Wystarczyłaby zwykła kabina. Kilka kanap ze stanowiskami roboczymi i soczewkami taktycznymi potrafiłoby pomieścić w sobie nieskończone pokłady danych wywiadowczych. Ale nie. Nad ich głowami wisi cały ocean, a te korpy trwonią przestrzeń, jakby znajdowali się tuż pod powierzchnią wody.

Nawet na wygnaniu wciąż tego nie rozumieją.

Teraz w jaskini jest niemalże pusto. Lubin oraz kilku techników, zbitych w ciasną gromadkę wokół pobliskiego panelu, zajmuje się oczyszczaniem ostatnio ściągniętych danych. Nim skończą, pomieszczenie zapełni się ludźmi. Korpy ciągną do wszelkich wieści ze świata niczym muchy do gówna.

Na razie w środku przebywa jedynie grupka Lubina oraz Patricia Rowan, która zaszła się w głębi kabiny. Po powierzchni jej szkiele kontaktowych przesuwają się tajemnicze strumienie informacji, zamieniające jej oczy w połyskujące skupiska rtęci. Blask bijący od holowyświetlacza wychwytuje srebrzyste pasemka w jej włosach. To, a także srebrzyste tęczówki, nadaje jej samej pewnych subtelnych cech hologramu.

Clarke podchodzi bliżej.

– Śluzą numer cztery została zamknięta.

– Muszą ją wyszorować. A także wszystko inne po drodze do części szpitalnej. Rozkaz Jerry.

– Dlaczego?

– Przecież dobrze wiesz. Widziałaś Ericksona.

– Daj spokój. Jedno ukąszenie jakiejś głupiej ryby, a Jerry myśli...

– Nie jest jeszcze niczego pewna. Po prostu woli być ostrożna. – Na chwilę umilkła. – Powinnaś była nas ostrzec, Lenie.

– Ostrzec was?

– Że Erickson może być nosicielem behemota. Naraziłaś nas wszystkich. Gdyby istniał choćby najmniejszy cień szansy...

*Ale nie istnieje, ma ochotę odwarknąć Clarke. Nie istnieje. Wybraliście właśnie to miejsce, bo behemot nigdy się tu nie dostanie, choćby i za tysiąc lat. Widziałam mapy, śledziłam palcami przebieg prądów. To nie behemot. Nie behemot.*

*To nie może być behemot.*

Zamiast tego mówi:

– To ogromny ocean, Pat. Całe mnóstwo paskudnych drapieżników o wielkich, ostrych zębach. Nie wszystkie stały się takie z pomocą behemota.

– Na tej głębokości, owszem. Znasz się na energetyce równie dobrze jak ja. Byłaś w Channer, Lenie. *Widziałaś*, na co zwrócić uwagę.



Clarke wskazuje kciukiem na Lubina.

– Ken też był w Channer, pamiętasz? Jego też tak opierdoliłaś?

– Ken nie rozsiał celowo tego cholerstwa po całym kontynencie w ramach zemsty za nieszczęśliwe dzieciństwo. – Srebrzyste oczy obrzucają Clarke surowym spojrzeniem. – Ken był po *naszej* stronie.

Przez chwilę Clarke milczy. Kiedy znów się odzywa, mówi bardzo powoli:

– Uważasz, że *specjalnie*...

– O nic cię nie oskarżam. Ale nie wygląda to dobrze. Jerry jest wściekła, a zapewne nie będzie osamotniona w tym odczuciu. Na litość boską, jesteś przecież Mroczną Madonną! Zamierzałaś zniszczyć cały *świat*, żeby się na nas odegrać.

– Gdyby zależało mi na waszej śmierci... – odpowiada spokojnie Clarke. *Gdyby wciąż zależało mi na waszej śmierci*, poprawia ją jakiś wewnętrzny edytor. – Bylibyście martwi. Od wielu lat. Wystarczyłoby, żebym stanęła z boku.

– Oczywiście to...

– *Ocaliłam* was – przerywa jej Clarke. Kiedy inni kłócili się, czy zrobić dziury w kadłubie, czy też po prostu odciąć wam zasilanie i pozwolić, byście się podusili, to *ja* ich przed tym powstrzymałam. Życie tylko dzięki mnie.

Kobieta kręci głową.

– Lenie, *to nie ma znaczenia*.

– A powinno.

– Dlaczego? My tylko próbowaliśmy ocalić świat, pamiętasz? To nie nasza wina, że nam się nie udało, tylko *twoja*. A kiedy już stało się jasne, że ponieśliśmy porażkę, postanowiliśmy chociaż ocalić nasze rodziny, ale nawet na to nie zamierzałaś nam pozwolić. Podążyłaś za nami nawet na dno oceanu. Kto wie, dlaczego powstrzymałaś się w ostatniej chwili?

– Ty wiesz – odpowiada łagodnie Clarke.

Rowan przytakuje.

– *Ja* wiem. Ale większość ludzi tutaj nie spodziewa się po tobie racjonalności. Może po prostu bawiłaś się nami przez te wszystkie lata. Nie sposób określić, kiedy zechcesz nacisnąć spust.

Clarke kręci głową z lekceważeniem.

– Co to ma być, ewangelia według kierownictwa?

– Nazywaj to jak chcesz, ale z tym właśnie będziesz musiała się zmierzyć. Z tym *ja* muszę się mierzyć.

– Wiesz, my, rybogłowi, mamy kilka własnych historii – odpowiada Clarke. – O tym jak wy, korpy, programowaliście ludzi jak jakieś maszyny, by zwiększyć zyski. O tym, jak wysłaliście nas na najgorsze zadupie świata, żebyśmy odwalali za was czarną robotę, a gdy natrafiliśmy na behemota waszym pierwszym odruchem była próba pozabijania nas, żeby ocalić własną skórę.

I nagle odnosi wrażenie, że wentylatory pracują nienaturalnie głośno. Clarke odwraca się; Lubin i towarzyszące mu korpy wpatrują się w nią z drugiego końca pomieszczenia.

Clarke ignoruje ich, rozdrażniona.

Rowan uśmiecha się ponuro.

– Widzisz, jak łatwo to wszystko wraca?

Jej oczy połyskują, skoncentrowane na celu. Milcząc, Clarke odwzajemnia jej spojrzenie.

Po chwili Rowan rozluźnia się nieco.

– Jesteśmy rywalizującymi plemionami, Lenie. Stanowimy dla siebie nawzajem grupy zewnętrzne. Ale wiesz, co mnie zadziwia? W ciągu ostatnich kilku lat jakimś cudem *zaczęliśmy o tym zapominać*. Przez większość czasu żyjemy i pozwalamy żyć innym. Współpracujemy ze sobą, a jakoś nikt nie

uwaga, że warto to w ogóle komentować. – Kobieta spogląda znacząco na Lubina oraz techników, zgromadzonych na drugim końcu pomieszczenia. – Wydaje mi się, że to dobrze, nie sądzisz?

– Więc dlaczego teraz mielibyśmy to zmieniać?

– Bo możliwe, że behemotowi wreszcie udało się nas dopaść, a ludzie będą gadać, że to ty go tu wpuściłaś.

– Gówno prawda.

– Zgadzam się z tobą, jeśli cokolwiek to zmienia.

– A nawet gdyby *była* to prawda, to jakie to ma znaczenie? – Wszyscy są tu częściowo syrenami, nawet korpy. Wszystkich wyposażono w te same geny ryb głębinowych, kodujące te same sztywne, małe białka, na których behemot łamie sobie zęby.

– Istnieje obawa, że modyfikacje mogą okazać się nieefektywne – przyznaje łagodnym głosem Rowan.

– Co? Przecież to wasi ludzie zaprojektowali te cholerstwa!

Rowan unosi brew.

– Ci sami, którzy zapewniali nas, że behemot nigdy nie dostanie się w głębiny Atlantyku.

– Ale przecież *przeżerał* mnie behemot. Gdyby modyfikacje nie działały...

– Lenie, ci ludzie nigdy nie byli wystawieni na jego działanie. Mają tylko słowo jakiegoś eksperta, że są odporni, a w razie gdybyś tego nie zauważyła, nasi eksperci okazali się ostatnio niepokojąco omylni. Gdybyśmy naprawdę byli przekonani o skuteczności podjętych przez nas środków zaradczych, to dlaczego w ogóle mielibyśmy się tu ukrywać? Dlaczego nie mielibyśmy wrócić na wybrzeże, do naszych udziałowców, do naszych ludzi i wspólnie z nimi próbować przeczekać najgorsze?

Do Clarke wreszcie to dociera.

– Bo rozerwaliby was na strzępy – szepcze.

Rowan kręci głową.

– Bo naukowcy już raz się pomylili i nie możemy ufać ich zapewnieniom. Bo nie chcemy ryzykować zdrowia naszych rodzin. Bo wciąż możemy być podatni na behemota, a gdybyśmy zostali na łodzi, on zabiłby nas razem ze wszystkimi innymi i nie przynieśliśmy w ten sposób nikomu niczego dobrego. A nie dlatego, że nasi ludzie obróciliby się przeciwko nam. Nigdy w to nie uwierzemy. – Jej oczy nawet nie drgnęły. – Widzisz, jesteśmy tacy sami jak inni. Wszyscy robiliśmy co w naszej mocy, ale sprawy po prostu... wymknęły się spod kontroli. To ważne, by w to wierzyć. Więc wszyscy wierzymy.

– Nie wszyscy – zaznacza spokojnie Clarke.

– Mimo wszystko.

– Pieprzyć ich. Dlaczego miałabym pielęgnować ich egoistyczne złudzenia?

– Bo ludzie gryzą, kiedy włacza się im prawdę do gardeł.

Clarke obdarza swą rozmówczynię bladym uśmiechem.

– Niech spróbują. Wydaje mi się, że zapominasz, kto tu rządzi, Pat.

– Nie martwię się o was, tylko o nas. Zwykliście reagować trochę zbyt agresywnie. – Clarke nie zaprzecza. – Trzeba było aż *pięciu lat*, by udało nam się zawrzeć jakiś rozejm. Behemot może rozbić go w pył w ciągu jednej nocy.

– Co proponujesz?

– Wydaje mi się, że na razie ryfterzy powinni trzymać się z dala od Atlantydy. Powiemy, że to kwarantanna. Może gdzieś tam jest behemot, a może nie, ale przynajmniej powstrzymamy go przed dostaniem się *tutaj*.

Clarke kręci głową.

– Moje *plemię* gównem obejdzie ten zakaz.

– Przeważnie i tak zagładasz tu tylko ty i Ken – zauważa Rowan. – A inni... Nie sprzeciwią się niczemu, na co ty przystałaś.

– Przemyślę to – Clarke wzdycha. – Ale niczego nie obiecuję. – Już ma odejść, ale po chwili znów odwraca się w stronę drugiej kobiety.

– Alyx już wstała?

– Nie, ma jeszcze kilka godzin. Ale wiem, że chciała się z tobą zobaczyć.

– Aha. – Clarke tłumi w sobie rozczarowanie.

– Przekażę jej, że żałujesz.

– Tak, zrób to.

Tutaj akurat nikt nie cierpi na niedobór żalu.

## NARADA

Córka Rowan siedzi na skraju łóżka, opromieniona słonecznym blaskiem bijącym od listwy świetlnej na suficie. Ma białe stopy, a ubrana jest w majtki i luźną koszulkę z animowanym nadrukiem przeźrenia, bez końca pływającego w kółko na wysokości jej przepony. Oddycha recyklowaną mieszanką azotu i tlenu, a także gazów śladowych, którą od prawdziwego powietrza odróżnia jedynie jej niezwykła czystość.

Ryfterka unosi się pośród mroku, a jej sylwetkę opromienia jedynie niewyraźna poświata sącząca się przez bulaj słabego światła. Ma na sobie drugą skórę, czarną niczym plama ropy, która mogłaby niemalże uchodzić za osobną formę życia – cud termo- i osmoregulacji. Nie oddycha.

Obie kobiety dzieli ściana, wyznaczająca jednocześnie granicę między oceanem i powietrzem, dorosłością i młodością. Rozmawiają dzięki urządzeniu umieszczonemu po wewnętrznej stronie iluminatora w kształcie łzy. Przypomina pąklę wielkości pięści i zamienia fulerenowy pleksiglas w aparat nadawczo-odbiorczy.

– Mówiłaś, że przyjdiesz – skarży się Alyx Rowan. Podróż przez gródz sprawia, że jej głos brzmi nieco brzękliwie. – Doszłam do piątego poziomu i, ja cię, ile dostałam punktów bonusowych! Chciałam ci wszystko pokazać. Skombinowałam dodatkowy zestaw i w ogóle.

– Przepraszam – byczy w odpowiedzi Clarke. – Byłam w środku wcześniej, ale wtedy spałaś.

– To chodź teraz.

– Nie mogę. Mam tylko jakąś minutę czy dwie. Coś się wydarzyło.

– A co?

– Ktoś został ranny i rzeźnicy świrują, że mogło dojść do infekcji.

– Jakiej infekcji?

– To pewnie nic takiego. Ale mówią, że na wszelki wypadek lepiej zarządzić kwarantannę. Z tego, co wiem i tak nie wpuszcziliby mnie z powrotem do środka.

– Jak dla mnie, to dzięki temu mogliby udawać, że znów mają jakąś władzę. – Alyx szczyrzy zęby w uśmiechu. Paraboliczny bulaj wykrzywia jej twarz, malując na niej grymas godny klauna. – Naprawdę nie znoszą, kiedy nie mogą sobie porządzić, wiesz? – Po czym dodaje z satysfakcją najwyraźniej skierowaną nie tyle w korpów, ile ogólnie w dorosłych – Najwyższy czas, żeby dowiedzieli się, jak to jest.

– Przykro mi – mówi nagle Clarke.

– Przejdzie im.

– Nie to miałam.. – Ryfterka kręci głową. – Ale ty masz *czternaście* lat, na litość boską. Nie powinnaś tkwić tu... To znaczy, powinnaś parzyć się z jakiś r-selektorem..

Alyx prycha.

– Chłopaki? Szczerze wątpię.

– W takim razie dziewczyny. Tak czy siak, powinnaś pieprzyć się gdzieś, a nie tkwić *tutaj*.

– Nie ma lepszego miejsca, w którym mogłabym być – odpowiada z prostotą Alyx.

Wygląda na zewnątrz i toczy wzrokiem po trzech tysiącach atmosfer, nastolatka uwięziona do końca życia w klatce na dnie zimnego, czarnego oceanu. Lenie Clarke oddałaby wszystko, by móc zaprzeczyć.

– Mama nie chce o tym rozmawiać – odzywa się po chwili dziewczyna.

Clarke milczy.

– O tym, co wydarzyło się między wami, kiedy byłam jeszcze dzieckiem. Niektórzy chlapią ozorami, kiedy nie ma jej w pobliżu, więc słyszałam to i owo. Ale mama nigdy mi nic nie mówiła.

*Mama jest bardziej łaskawa niż powinna.*

– Byłyście wrogami, prawda?

Clarke kręci głową. Tu, w ciemności, jest to całkowicie bezsensowny i niewidoczny gest.

– Alyx, nawet nie wiedziałyśmy o swoim istnieniu aż do samego końca. Twoja mama próbowała tylko zapobiec temu...

*...co i tak się wydarzyło...*

*...co próbowałam wywołać...*

Poza mową istnieje jeszcze tyle innych sposobów komunikacji. Chciałaby westchnąć. Chciałaby krzyczeć. Jednak tu, na zewnątrz, nie może zrobić żadnej z tych rzeczy. Jej płuco i wszystkie wnętrzości rozplaszczyły się, a każda inna, niekompresowalna jama ciała została zalana solą fizjologiczną. Kobieta może więc tylko mówić, używając do tego tej monotonnej parodii głosu, tego owadziego bzyczenia.

– To skomplikowane – wyrzuca z siebie jej vocoder, bezbarwnie i beznamiętnie. – Byłyśmy czymś o wiele więcej niż tylko zwykłymi *wrogami*, wiesz? Były też inne kwestie, cała ta zwierzyna w przewodach, realizująca własne cele...

– To *oni* ją tam wpuścili – upiera się Alyx. – To *oni* to wszystko zaczęli. Nie ty. – Rzecz jasna, ma na myśli *dorostych*. Sprawców, zdrajców i tych-którzy-schrzanili-wszystko-dla-następnego-pokolenia. Nagle Clarke orientuje się, że zdaniem Alyx *ona* nie jest częścią tej konspiracji starszych – Lenie Clarke, Mroczna Madonna, jakimś cudem uzyskała honorowy status niewinnej w oczach tego dziecka.

Zbiera jej się na mdłości na samą myśl o tak niezasłużonym rozgrzeszeniu. Wydaje jej się to wręcz czymś nieprzyzwoitym. Nie ma jednak odwagi, by wyprowadzić dziewczynkę z błędu. Potrafi zdobyć się jedynie na marne, gówniane sprostowanie:

– Nie chcieli tego, mała. – Zdobywa się na smutny chichot. Dźwięk, jaki wydobywa się z jej vocodera, brzmi raczej jakby ktoś pocierał o siebie dwa kawałki papieru ściernego. – Nikt... nikt nie robił wtedy *niczego* z własnej woli. Za sznurki pociągano na samej górze.

Otoczający ją ocean wydaje z siebie jęk.

Odgłos przypomina coś pomiędzy pieśnią humbaka a przedśmiertnym krzykiem gigantycznego kadłuba, uginającego się pod naporem ciśnienia. Wypełnia cały ocean; echa docierają nawet do urządzenia, z którego korzysta Alyx.

– Nienawidzę tego dźwięku.

Clarke wzrusza ramionami, beznadziejnie wdzięczna za możliwość zmiany tematu.

– Hej, wy, korpy, macie swoje konferencje, my mamy swoje.

– Nie o to chodzi. To te cholerne *dzwonki*. Mówię ci, Lenie, ten gość jest przerażający. Nie można ufać komuś, kto buduje coś wydającego *take* odgłosy.

– Twoja mama mu ufa. Ja też. Muszę iść.

– On zabija ludzi, Lenie. I nie mam na myśli tylko mojego taty. Zabił całe *mnóstwo* ludzi. – Alyx parska cicho. – To druga rzecz, o której mama nie chce rozmawiać.

Clarke podpływa do pleksiglasu i w pożegnalnym geście przykładła ciemną dłoń do jego oświetlonej powierzchni.

– To amator – mówi i znika w mroku.

Głos wydobywa się z poszarpanych ust na dnie oceanu, starożytnego komina bazaltowego wypełnionego maszyną. W młodości bez przerwy wyrzucał z siebie strumień wody i minerałów; teraz jedynie beka od czasu do czasu. Łagodne wyziewy poruszają mechanizmy umieszczone w jego gardle, obracając łopatkę, dmąc w puszczaki oraz kołysząc połączonymi ze sobą kawałkami skały i metalu, które obijają się o siebie. Ich dźwięk jest fascynujący, ale niemożliwy do kontrolowania. Kiedy Lubin zbudował te dzwonki, musiał znaleźć też jakiś sposób, by móc uruchamiać je ręcznie. Wygrzebał gdzieś zbiornik ze zużytego odsalacza i dodał do niego pompę ciepła z jakiejś części Atlantydy, która nie przetrwała Buntu Korpów. Wystarczy odkręcić zawór, by gorąca woda morska przepłynęła przez tracheotomijny otwór wybity w gardle smokera i maszyna Lubina wrzeszczy głośno, katowana strumieniem wrzątku.

Rozbrzmiewają rdzawe i dysharmonijne tony wezwania. Obmywają ryfterów pływających, rozmawiających i śpiących w oceanie czarnym niczym śmierć ciepła. Rezonują pośród prowizorycznych habitatów rozsianych po całym zboczu, posępnych baniek, będących kombinacją metalu oraz atmosfery, tak nędznie oświetlonych, że nawet przy pomocy nakładek ogląda się je w odcieniach czerni i szarości. Rozbijają się o lśniąca biostal kadłuba Atlantydy, a dziewięciuset jej więźniów zaczyna mówić nieco głośniejszym, zwiększając natężenie dźwięku albo mruczają coś nerwowo pod nosem, udając, że nic się nie stało.

Niektórzy z ryfterów – ci, którzy nie śpią, znajdują się w zasięgu oraz wciąż pozostali ludźmi – zbierają się przy dzwonek. Scena jest isticie szekspirowska – krąg lewitujących wiedźm na jakimś cholernym wrzosowisku pod nocnym niebem, ich oczy płoną zimną fosforescencją, a ciała niemalże nie odróżniają się od cieni. Bładoniebieskie węgielki jarzące się pośród maszyny na dnie nie tyle oświetlają zgromadzone postacie, ile *sugerują* ich obecność.

Każda z nich została nagięta, ale nie złamana. Każda balansuje na cienkiej granicy między przystosowaniem a patologią. Progi ich tolerancji na stres zostały przesunięte tak wysoko przez całe lata nadużyć, że chroniczne niebezpieczeństwo stało się dla nich chlebem powszednim, niewartym jakiegokolwiek komentarza. Wybrano ich do funkcjonowania w takim środowisku, ale ich twórcom nie przyszło do głowy, że będą w nim *kwitnąć*. A oto i oni wraz z insygniami swego urzędu: Jelaine Chen z różowymi, pozbawionymi paznokci palcami, odtworzonymi po amputacjach z okresu dzieciństwa. Dimitri Alexander, wabik na księżycu w tych ostatnich, niechlubnych dniach, zanim papież udał się na wygnanie. Kevin Walsh, któremu z niewiadomych powodów odbija na widok butów do biegania. Całe mnóstwo przeróżnych drażliwców, nie mogących znieść fizycznego kontaktu – zawodowe ofiary, autoagresorzy i ćpuny. Wszystkie rany i deformacje zostały ukryte pod skórą głębokimi, a wszelka patologia znika w grupie identycznych, cienistych pionków.

Oni też zawdzięczają swe głosy niedoskonałej maszynie.

Clarke przywołuje zebranych do porządku pytaniem:

– Jest z nami Julia?

– Siedzi z Gene'em – byczy jej nad głową Nolan. – Wszystko jej przekażę.

– Co z nim?

– Jego stan jest stabilny, ale wciąż nie odzyskał przytomności. Jak dla mnie, to już trochę za długo.

– Biorąc pod uwagę, że wlekliśmy go dwadzieścia kilometrów z wybebeszonymi flakami, to i tak cud, że w ogóle żyje – wtrąca Yeager.

– Fakt – odpowiada Nolan. – Albo może Seger celowo utrzymuje go wciąż w śpiączce. Julia mówi...

– Nie mamy dostępu do telemetrii z tej linii? – przerywa jej Clarke.

– Już nie.

– A tak w ogóle, to czemu Gene wciąż siedzi w korpolandii? – zastanawia się Chen. – Przecież nienawidzi tego miejsca, a mamy własny habitat medyczny.

– Przechodzi kwarantannę – odpowiada jej Nolan. – Seger podejrzewa, że to behemot.

Cienie poruszają się, słysząc te wieści. Najwyraźniej nie wszyscy zebrani są na bieżąco.

– Cholera. – Z mroku wyłania się częściowo Charley Garcia. – Jak to w ogóle możliwe? Myślałem...

– To jeszcze nic pewnego – byczy Clarke.

– Nic pewnego? – Przez środek kręgu przepływa jakaś sylwetka, na krótką chwilę przesłaniając żarzące się na dnie szmaragdowe węgle. Clarke rozpoznaje Dale'a Creasy'ego. Widzi go po raz pierwszy od wielu dni; zaczęła już myśleć, że mężczyzna został tubylcem.

– Kurwa mać, jeśli istnieje choćby *cień* prawdopodobieństwa – ciągnie Creasy. – To znaczy, behemot...

Clarke postanawia zdusić sprawę w zarodku.

– No i co z tego, jeśli to behemot?

Blade oczy zwracają się w jej stronę.

– Jesteśmy odporni, pamiętacie? – przypomina. – Czy ktokolwiek z tu obecnych *nie przeszedł* kuracji?

Dzwonki Lubina pojękują cicho. Nikt się nie odzywa.

– Więc co nas to obchodzi? – rzuca Clarke.

W zamyśle miało to być pytanie retoryczne, ale Garcia udziela jej odpowiedzi:

– Bo ta kuracja jedynie powstrzymuje behemota przed zrobieniem nam papki z flaków. Nie przeszkodzi mu w zamienianiu małych, niegroźnych ryb w wielkie, paskudne cholerstwa, rozszarpujące na strzępy wszystko, co tylko się rusza.

– Gene został zaatakowany dwadzieścia kilometrów stąd.

– Lenie, przecież tam właśnie mamy się *przenieść*. Będziemy to mieli na naszym podwórku.

– Zapomnijcie o *tam*. Kto wie, czy już nie dotarł *tutaj*? – pyta Alexander.

– Tutaj nikt nie oberwał – odpowiada Creasy.

– Straciliśmy kilku tubylców.

Creasy macha dłonią w lekceważącym, acz ledwie widocznym geście.

– Tubylcy. I tak są gównem warci.

– Może nie powinniśmy sypiać na zewnątrz. Przynajmniej przez jakiś czas...

– I kurwa co jeszcze? Nigdy nie zasnę w tym śmierdzącym *habie*.

– No i dobrze. A niech cię coś zeżre.

– Lenie? – odzywa się znów Chen. – Miałaś już do czynienia z potworami morskimi.

– Nie wiem, co dorwało Gene'a – przyznaje Clarke – ale ryby z Channer były... delikatne. Wielkie

i wredne, ale czasami łamały im się zęby, gdy próbowały cię ugryźć. Wydaje mi się, że brakowało im jakichś śladowych składników odżywczych. Można było rozerwać je na strzępy gołymi rękami.

– To coś prawie rozerwało na strzępy *Gene'a* – wtrąca jakiś głos, którego Clarke nie potrafi zidentyfikować.

– Powiedziałam *czasami* – podkreśla. – Ale to prawda, potrafiły być niebezpieczne.

– *Niebezpieczne*, kurwa ich mać – rozlega się metaliczny warkot Creasy'ego. – Mogły spróbować tego numeru z Gene'em?

– Tak – odpowiada Ken Lubin.

Rzecz jasna był tu od samego początku. Teraz zajmuje centralne miejsce na scenie. Stożek światła z jego czoła pada prosto na jego przedramię. Mężczyzna wyciąga rękę niczym żebrak, zawijając lekko palce wokół czegoś, co leży na jego dłoni.

– Jasna cholera – byczy Creasy, nagle dziwnie zgaszony.

– Skąd to masz? – pyta Chen.

– Seger wyciągnęła to z Ericksona, zanim zaczęła go sklejać – odpowiada Lubin.

– Jak dla mnie nie wygląda *delikatnie*.

– A jednak. Tak w zasadzie, ta część właśnie się złamała. Między żebrami.

– Jak to, chcesz powiedzieć, że to tylko sam *czubek*? – pyta Garcia.

– Przypomina pieprzony sztylet – byczy cicho Nolan.

Maska Chen kieruje się na zmianę to w stronę Clarke, to znów Lubina.

– Kiedy byliście w Channer, spaliście na zewnątrz pośród tych potworów?

– Czasami. – Clarke wzrusza ramionami. – Zakładając, że mowa o tych samych stworach, czego...

– I nie próbowały was pożreć?

– Wabi je światło. Kiedy go nie włączasz, na ogół zostawiają cię w spokoju.

– No i chuj – kwituje Creasy. – W takim razie żaden problem.

Promień latarki Lubina omiata wszystkich zebranych ryfterów i zatrzymuje się na Chen.

– Kiedy Erickson został zaatakowany zajmowaliście się zbieraniem danych telemetrycznych?

Kobieta kiwa głową.

– Ale nie zdążyliśmy niczego ściągnąć.

– W takim razie, tak czy siak, ktoś będzie musiał wybrać się tam jeszcze raz. A biorąc pod uwagę, że Lenie i ja mamy doświadczenie w tych sprawach...

Światło jego latarki uderza Clarke prosto w twarz. Cały świat przestaje nagle istnieć, sprowadzając się do małego, jaskrawego słońca wiszącego pośród czarnej pustki.

Kobieta unosi rękę, by osłonić oczy przed jasnością.

– Skieruj to gdzieś indziej, dobrze?

Powraca mrok. Reszta świata powoli nabiera znów ciemnej, przyćmionej ostrości. *Może mogłabym odpłynąć*, rozważa Clarke, czekając, aż przystosują się jej nakładki. *Może nikt by nie zauważył*. Ale to bzdura i kobieta dobrze o tym wie. Ken Lubin właśnie wyłowił ją spośród tłumu. Nie sposób łatwo się z tego wywinąć. Poza tym, ma rację. Tylko oni dwoje mieli już z tym do czynienia. A w każdym razie tylko oni wciąż żyją.

*Wielkie dzięki, Ken.*

– No dobra – mówi w końcu.

## ZOMBIE

Atlantyde od Niemożliwego Jeziora dzieli dwadzieścia kilometrów. To nie dość dużo dla każdego,

kto wciąż myśli w kategoriach łowców. Zaledwie dwadzieścia kilometrów od środka tarczy? Co to za margines bezpieczeństwa? Na wybrzeżu nawet najbardziej ograniczony dron nie dałby wywieść się w pole tak niewielką odległością. Nie odnalazłszy celu, zwiększyłby pułap, podzielił świat na części przy użyciu koncentrycznej siatki i zabrał za przeszukiwanie jednego segmentu po drugim aż wreszcie natrafiłby na jakiś ślad, który naprowadziłby go na zwierzynę. Cholera, większość maszyneryi mogłaby pozostać w punkcie centralnym i *rozglądać się* na dwadzieścia kilometrów w dowolnym kierunku.

Nawet na otwartym oceanie, na średniej głębokości dwadzieścia kilometrów nie stanowi bezpiecznej odległości. Nie ma tam żadnego podłoża poza wodą, nie ma topografii poza prądami kołowymi, sejszami i komórkami Langmuira, termoklinami i haloklinami, które odbijają i wzmacniają, ale i maskują. Kawitacja występująca po przepłynięciu łodzi podwodnej rozchodzi się na dużych dystansach, a drobne turbulencje da się wykryć także wtedy, gdy sam okręt już dawno zniknął. Nawet niewykrywalne jednostki nie są w stanie uniknąć podgrzania wody w minimalnym stopniu. Tropiące je delfiny i maszynerya potrafią zauważyć różnicę.

Jednak na Grzbiecie Śródatlantyckim dwadzieścia kilometrów to prawie jak dwadzieścia parseków. Światło nie ma żadnych szans: samo słońce ledwie przedostaje się na kilkaset metrów poniżej powierzchni. Kominy hydrotermalne wyrzucają z siebie żrące wymiociny, zalewając nimi jątrzące się szczyty świeżych skał. Rozrost dna oceanicznego wywołuje pomruk samej podłogi świata, a góry napierają na siebie kontynuując trwającą od wielu tysiącleci grę w zasadź-kopa-kontynentom. Topografia zdolna zawstydzić Himalaje wznosi się po obu stronach poszarpanej szczeliny, dzielącej skorupę ziemską od bieguna do bieguna. Środowisko grzbietu ukryłoby wszystko, co mogłoby wymknąć się z Atlantydy i to w każdym spektrum, jakie tylko mogłoby komukolwiek przyjść do głowy.

Wprawdzie da się namierzyć cel mając właściwe współrzędne, ale jeśli pomylisz się choćby o włos, przegapisz całe krzykliwe miasto. Różnica dwudziestu kilometrów powinna wystarczyć z nawiązką, by uniknąć jakiegokolwiek ataku wymierzonego w obecną lokalizację Atlantydy, no może z wyjątkiem potężnych głębinowych pocisków jądrowych.

Co nie byłoby wcale takie bezprecedensowe, jak już Clarke zaczyna o tym myśleć...

Wraz z Lubinem płyną nad szczeliną w stożku pradawnej lawy. Atlantyde zostawili daleko w tyle, od Niemożliwego Jeziora wciąż dzieli ich kilka kilometrów. Nie włączyli latarek czołowych ani świateł kalmarów. Pokonują drogę jedynie w przyćmionym blasku wyświetlaczy sonarowych. Na ekranie przesuwają się maleńkie ikony głazów i słupów, zaznaczone na szmaragdowo. Z każdej strony w mijanej ciemności czai się ledwie wyczuwalne wrażenie ciśnienia i naporu mas wody.

– Rowan uważa, że może zrobić się naprawdę paskudnie – bzczy Clarke.

Lubin milczy.

– Podejrzewa, że jeśli to behemot, Atlantyda zamieni się w Centrum Dysonansu Poznawczego. A wszyscy zaczną skakać sobie do gardeł.

Wciąż żadnej odpowiedzi.

– Przypomniałam jej, kto tu rządzi.

– A kto właściwie? – pyta w końcu Lubin.

– Daj spokój, Ken. Możemy odłączyć im zasilanie, kiedy tylko zechcemy.

– Mieli pięć lat, by nad tym popracować.

– I co niby im to dało?

– Mieli też pięć lat, by zorientować się, że przewyższają nas liczbą, dwudziestu do jednego, że w wielu istotnych kwestiach brak nam ich wiedzy technicznej i że grupa wspaniałych hydraulików



o osobowościach antyspołecznych raczej nie stanowi zbyt dużego zagrożenia jeśli chodzi o zorganizowaną formę oporu.

– Fakty były takie same, kiedy po raz pierwszy wytarliśmy nimi podłogę.

– Nie.

Clarke nie ma pojęcia, dlaczego Lubin to robi. W końcu to przede wszystkim on pokazał korpom, gdzie ich miejsce, po ich pierwszym, a zarazem ostatnim, powstaniu.

– Daj *spokój*, Ken...

Jego kalmar podpływa nagle tak blisko, że niemal styka się z jej maszyną.

– Przecież nie jesteś idiotką – byczy mężczyzna. – Zachowywanie się, jakbyś nią była, nigdy nie jest dobrym pomysłem.

Clarke milknie. Zabolą ją ta uwaga.

Vocoder Lubina warczy pośród mroku.

– Wtedy widzieli, że mamy za sobą cały świat. Wiedzieli, że ktoś musiał nam pomóc w namierzeniu ich. Doszli do wniosku, że musiała utrzymać się jakaś naziemna infrastruktura. W najgorszym wypadku moglibyśmy ich podkablować i zamienić miejsce ich pobytu w pulsujący środek tarczy dla każdego z dostępem do współrzędnych geograficznych i inteligentnych torped.

Na ekranie Clarke pojawia się wielka, świecąca płetwa rekina – potężne, skalne ostrze wyrastające wprost z dna. Lubin znika na chwilę, gdy przeszkoda przepływa między nimi.

– Teraz jednak jesteśmy zdani tylko na siebie – kontynuuje. – Straciliśmy kontakty lądowe. Może nie żyją, może przeszli na drugą stronę. Tego nie wie nikt. Pamiętasz, kiedy ostatni raz mieliśmy zmianę warty?

Clarke przypomina sobie, ale z trudem. Każdy uprawniony do noszenia skóry głębinowej, wręcz automatycznie musi czuć się lepiej tu, na dole niż w towarzystwie lądowców, i to nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach, lecz mimo to na samym początku kilku ryfterów wciąż wypływało na powierzchnię. Wtedy jeszcze można było łudzić się, że los się odwróci.

Teraz już nikt nie podejmuje się czegoś podobnego. Nikt nie zamierza wykorzystywać przepustki, by ryzykując życiem popatrzeć sobie na koniec świata.

– Teraz jesteśmy równie przerażeni co korpy – byczy dalej Lubin. – Wszyscy tkwimy tu tak samo odcięci od świata, a ich jest prawie tysiąc. Nas naliczyłem ostatnio pięćdziesięcioro ośmioro.

– Jest nas co najmniej siedemdziesiąt.

– Nie powinnaś uwzględniać tubylców. Pięćdziesięciu ośmiu ryfterów nadawałoby się do jakiegokolwiek walki, a tylko pięćdziesięcioro potrafiłoby wytrzymać tydzień w pełnej grawitacji, gdyby zaszła taka potrzeba. Z tego wielu ma pewne... problemy z podporządkowaniem się, przez co nie będą skłonni do działania w zorganizowanej grupie.

– Mam ciebie – mówi Clarke. Lubina, profesjonalnego łowcę i zabójcę, uwolnionego nie tak dawno temu od wszelkich ograniczeń z wyjątkiem własnej samokontroli. *To by było na tyle w kwestii wspaniałego hydraulika*, przychodzi jej na myśl.

– W takim razie powinniście mnie posłuchać. A zaczynam dochodzić do wniosku, że powinniśmy zrobić coś zapobiegawczego.

Przez jakiś czas płyną w milczeniu.

– Oni nie są naszymi wrogami – odzywa się wreszcie Clarke. – A w każdym razie nie wszyscy. Część z nich to jeszcze dzieci, wiesz? Nie są niczemu winne...

– To nie ma żadnego znaczenia.

Skądś dobiega ich stłumiony odgłos spadających skał.

– Ken – byczy Clarke nieco zbyt cicho i przez chwilę zastanawia się, czy mężczyzna w ogóle ją

usłyszał.

– Tak?

– Czekasz na ten moment?

Minęło wiele lat od kiedy miał wymówkę, by móc kogoś zabić. A Ken Lubin oparł kiedyś całą swoją karierę na znajdowaniu takich wymówek.

Teraz dodaje gazu i odpływa.

Kłopoty wschodzą na horyzoncie, rozjaśniając mrok niczym słońce.

– Miał tu być ktoś jeszcze? – pyta Clarke. Miejscowe reflektory zaprogramowano tak, by zapalały się, gdy ktoś się zbliża, ale ona i Lubin znajdują się jeszcze zbyt daleko, by to oni mieli je uruchomić.

– Tylko my – bzyczy w odpowiedzi mężczyzna.

Silnego blasku nie sposób pomylić z czymkolwiek innym. Rozpościera się w poziomie niczym zawieszona w próżni, rozproszone światło świtu. Dwie czy trzy ciemne luki zdradzają obecność jakichś przeszkód na drodze.

– Zatrzymaj się – mówi Lubin. Ich kalmary opadają na dno obok rozpadającej się wychodni, której poszarpane krawędzie mającą niewyraźnie w półmroku.

Mężczyzna studiuje schemat na swojej desce rozdzielczej. Blask obramowuje jego profil.

Po chwili Lubin kieruje swą maszynę w lewo.

– Tędy. Trzymaj się blisko dna.

Oboje zbliżają się do światła, utrzymując je od strony prawej burty. Jasność rozszerza się, rozlewa i ukazuje istnienie czegoś niemożliwego – jeziora na dnie oceanu. Blask wylania się spod jego powierzchni. Clarke przychodzi na myśl oglądany nocą basen, ze światłkami zatopionymi w ściankach. Sunące powolnie fale, przeciążone u góry twory z planety o niskiej grawitacji, rozbijają się na podrygujące kuleczki na pobliskim wybrzeżu. Jezioro rozciąga się poza mgliste granice pola widzenia ryfterów.

Zawsze wydaje jej się, że to halucynacja, choć dobrze zna szarą prawdę: to tylko skupisko soli, warstwa mineralizowanej wody o tak dużej gęstości, że spoczywa na dnie oceanu, w taki sam sposób, jak ocean spoczywa na dnie nieba. To szczególnie atrakcyjne miejsce dla każdego, kto potrzebuje kamuflażu. Haloklina odbija pingi i sondy, ukrywając wszystko, co znajduje się pod jej powierzchnią, jakby było tam tylko miękkie błoto.

Przelotny, cichy krzyk elektroniki. Przez ułamek sekundy Clarke wydaje się, że dostrzegła na własnej desce rozdzielczej świecąca kroplę krwi. Koncentruje się, ale nie zauważa niczego.

– Czy ty...

– Tak. – Lubin majstruje przy przełącznikach. – Tędy. – Podpływa do brzegów Niemożliwego Jeziora. Clarke rusza jego śladem.

Za drugim razem nie ma już wątpliwości – punkcik czerwonego światła, jaskrawego niczym laser, miga pośród poszarpanej topografii na wyświetlaczu deski rozdzielczej kalmara. Wraz z każdym mrugnięciem, obie maszyny wydają z siebie krzyki.

Czujnik zgonu. Gdzieś przed nimi serce ryftera przestało bić.

Płyną teraz nad powierzchnią jeziora, przy samym brzegu. Chybotliwy, zielonkawy blask oświetla od dołu Lubina i jego kalmara. Hiperśłona kulka rozbija się jak w zwolnionym tempie o podbrzusze maszyny. Przechodząc przez granicę międzyfazową, światło załamuje się pod dziwnymi kątami. Przypomina to spoglądanie w dół na skapaną w promieniowaniu radu lagunę, będącą składowiskiem odpadów radioaktywnych. Głęboko pod powierzchnią świeci siatka jasnych punkcików w miejscach, gdzie geodeci rozstawili latarnie. Dyfrakcja ukrywa rzeczywistą odległość od litego podłoża.

Czujnik zgonu ustabilizował się, tworząc bańkę jakieś czterdzieści metrów dalej w linii prostej. Jego rubinowa ikona pulsuje na ekranie niczym serce. Kalmary wtórują mu pobekiwaniem.

– Tam – mówi Clarke. Horyzont jest tu absurdalnie odwrócony: ciemność na górze, mleczone światło na dole. Na odległej, niewyraźnej granicy międzyfazowej wisi jakaś ciemna plama. Wydaje się unosić na powierzchni soczewki.

Clarke dodaje gazu.

– Zaczekaj – byczy Lubin. Kobieta spogląda na niego przez ramię.

– Patrz na fale.

Są mniejsze niż przy brzegu, co ma sens ze względu na brak wznoszącego się podłoża, które mogłoby wypchnąć ich grzbiety powyżej linii odniesienia. Tyle że następują po sobie w wyniku nieregularnych spazmów, nie z zegarmistrzowską precyzją, a kiedy Clarke śledzi je wzrokiem, by dotrzeć do miejsca, z którego się rozchodzą...

*O kurwa...*

Jest już dość blisko, by dostrzec kończyny, wychudzone patyki uderzające o powierzchnię jeziora i wywołujące lokalne turbulencje. Zupełnie jakby ryfter był kiepskim pływakiem, który spanikował, gdy woda zakryła mu głowę...

– On żyje – byczy Clarke. Ikona czujnika zgonu pulsuje nieprzerwanie, nie zgadzając się z jej słowami.

– Nie – odpowiada jej Lubin.

Kobieta jest już w odległości piętnastu metrów, gdy nagle tajemnicza postać wynurza się gwałtownie spod powierzchni jeziora pośród chmury rozszarpanego ciała. Zbyt późno Clarke dostrzega większy i ciemniejszy kształt, miotający się głębiej w wodzie. Zbyt późno udaje jej się rozwikłać zagadkę: to przerwany posiłek. Stwór zajmujący się dotychczas jego spożywaniem kieruje się prosto na nią.

*To niemo–*

Clarke próbuje się wywinąć, ale nie jest dość szybka. Potwór chwyta w paszczę jej kalmara, ale pozostaje mu tam jeszcze sporo miejsca. Pół tuzina zębów wielkości palca kruszy się w zetknięciu z pancernem maszyny niczym najdelikatniejsza ceramika. Kalmar obraca się w rękach kobiety. Coś metalowego, sterczącego i ostrego trafia ją w nogę z impetem ważącego kilka tysięcy kilogramów drapieżnika. Coś pęka poniżej jej kolana. Ból rozrywa jej łydkę.

Minęło sześć lat. Zapomniała wszystkie ruchy.

Ale nie Lubin. Clarke słyszy, jak na pełnym gazie zbliża się jego kalmar. Zwija się w kłębek i w spóźnionym odruchu obronnym sięga po pałkę gazową przy łydce. Do jej uszu dobiega odgłos mięsistego uderzenia i kaszel hydrauliki. W następnej chwili zatacza się na nią ogromna, łuskowata masa, posyłając ją na drugą stronę kipiącej granicy międzyfazowej.

Otacza ją ciężka, rozświetlona woda. Świat wiruje i staje się niewyraźny. Kobieta potrząsa głową, by odzyskać ostrość. Nad jej głową rozgrywa się cała akcja, co rusz przenikając przez rozburzoną powierzchnię Niemożliwego Jeziora. Lubin musiał staranować potwora swym kalmarem. Obrażenia najwyraźniej zostały odniesione po obu stronach – maszyna kieruje się po spirali ku dnu soczewki, pozbawiona jeźdźca i kontroli. Lubin wisi w wodzie naprzeciwko dwukrotnie większego przeciwnika, którego połowę stanowi pysk. Jeśli stwór posiada oczy, to przez fale jeziora Clarke nie jest w stanie ich dostrzec.

Nagle orientuje się, że powoli opada ku górze. Bez namysłu zaczyna młócić stopami. Jej noga zaczyna krzyczeć z bólu, gdy coś rozdziera ją od środka. Clarke też krzyczy, wydając z siebie odgłos

rozrywanego metalu. Ból osiąga swe apogeum, a przed jej oczami wykwitają mroczki. Kobieta wypływa na powierzchnię jeziora dokładnie w tym samym momencie, kiedy potwór otwiera paszczę i...

...jasna cholera...

...jego żuchwa *wypada* ze stawów, a pysk opada zdecydowanie zbyt szybko i nagle znów jest zamknięty, a Lubina *nie ma*, nie ma też niczego, co sugerowałoby, gdzie zniknął, z wyjątkiem rozmazanego ruchu między jednym ułamkiem sekundy a drugim.

Wtedy Clarke robi chyba najgłupszą rzecz, na jaką kiedykolwiek zdobyła się w całym swoim życiu. Atakuje.

Lewiatan zwraca się w jej stronę, bardziej ociężałe niż wcześniej, ale wciąż nie brakuje mu czasu. Clarke macha jedną nogą, drugą ciągnąc za sobą niczym bezużyteczną, pulsującą bólem kotwicę. Paszcza potwora wykrzywia się, ukazując całe mnóstwo pogruchotanych zębów, jednak zbyt wiele innych pozostało nienaruszonych. Kobieta próbuje wyminąć stwora i dostać się pod jego brzuch, albo przynajmniej do jego boku, ale ten bez trudu obraca się za każdym razem w jej stronę, udaremniając każdą z niezdarnych prób.

I nagle *beka*, samym czubkiem głowy.

Bąbelki powietrza nie wydobywają się z żadnego z naturalnych otworów. Buchają wprost z samego ciała, torują sobie drogę na zewnątrz, roztrzaskują kruchą czaszkę od środka. Przez sekundę czy dwie potwór zawisa nieruchomo, po czym zaczyna dygotać, a spazmatyczne drgawki ogarniają całe jego ciało. Clarke daje nura pod niego, używając do tego jednej nogi, i dźga go pałką w brzuch. Broń wystrzeliwuje swój ładunek, a kobieta czuje, jak we wnętrzu stwora bucha jeszcze więcej bąbelków w sejsmicznej erupcji ciała.

Potwór umiera, wstrząsany konwulsjami. Jego żuchwa opada niczym jakiś groteskowy most zwodzony. W wodzie kłębi się zwrócone mięso.

Kilka metrów dalej wyszczerzone, poszarpane szczątki czegoś odzianego w skórę głębinową opadają łagodnie na powierzchnię Niemożliwego Jeziora w chmurze własnych wnętrzności.

– Wszystko w porządku?

U boku Clarke pojawia się Lubin. Kobieta kręci głową, bardziej z niedowierzania niż w odpowiedzi.

– Moja noga... – Teraz, gdy jest już po wszystkim, boli jeszcze mocniej.

Lubin bada jej obrażenia. Clarke wydaje z siebie skowyt, który vocoder zamienia w mechaniczne szczeknięcie.

– Masz złamaną kość strzałkową – stwierdza mężczyzna. – Ale przynajmniej skóra głębinowa nie została przerwana.

– Trafił mnie kalmar. – Clarke czuje w nodze przejmujące, palące zimno. Próbując je zignorować, wskazuje na pałkę gazową przy łydce Lubina. – Ile strzałów wpakowałeś w tego sukinsyna?

– Trzy.

– Nagle tak po prostu... *zniknąłeś*. Po prostu wessał cię do środka. Masz szczęście, że nie przegryzł cię na pół.

– Odżywianie się przy pomocy wsysania nie działa, jeśli robisz przerwy na żucie. Przeszkadza to w procesie ssania. – Lubin rozgląda się. – Poczekaj tutaj.

Tak jakbym miała odpłynąć gdziekolwiek z tą nogą. Clarke już czuje, że kończyna zaczyna sztywnieć. Ma wielką nadzieję, że kalmary wciąż działają.

Lubin gładko podpływa do ciała. Skóra głębinowa nieszczęśliwca została rozdarta w kilkunastu miejscach. Miejscami z rozszarpanej klatki piersiowej wyglądają rurki i metal. Para śluzic odpełza

ospale od zwłok.

– Lopez – byczy Lubin, odczytawszy napis na plakietce trupa.

Irene Lopez została tubylcem sześć miesięcy temu. Od wielu tygodni nikt nie widział jej przy stacjach pokarmowych.

– Cóż – dodaje mężczyzna. – Przynajmniej mamy odpowiedź na jedno pytanie.

– Niekoniecznie.

Wciąż podrygując, potwór opadł na powierzchnię jeziora, kawałek dalej od Lopez. Zapadł się jedynie trochę głębiej; chyba trzeba być głazem, żeby pójść na dno solanki o takiej gęstości. Lubin porzuca zwłoki na rzecz rybiego ścierva. Clarke pod pływa bliżej.

– To nie to coś dorwało Gene’a – byczy mężczyzna. – Inne zęby. Gigantyzm u co najmniej dwóch różnych gatunków ryb kostnoszkieletowych w promieniu dwóch kilometrów od komina hydrotermalnego. – Wkłada rękę do rozdziawionej paszczy i wyłamuje jeden z zębów. – Osteoporoza, a pewnie także i inne choroby wynikające z niedoborów pokarmowych.

– Może poczekaś z wykładem do czasu aż załatwisz coś dla mnie? – Clarke wskazuje na swego kalmara, który, przechylony nieco na bok, zatacza niewielkie, nierówne kręgi w ciemności ponad ich głowami. – Z tą nogą raczej nie wrócę sama do domu.

Lubin pod pływa do góry i opanowuje maszynę.

– Musimy zabrać to ze sobą – stwierdza, podprowadzając jej kalmara. – Wszystko – dodaje, wskazując głową na wypatroszone szczątki Lopez.

– To nie musi być to, o czym myślisz – mówi Clarke.

Mężczyzna odwraca się i daje nura pod powierzchnię Niemożliwego Jeziora, poszukując własnej maszyny. Clarke obserwuje jego chybotliwą sylwetkę, młócaącą mocno nogami i walczącą z wyporem zasolonej wody.

– To nie behemot – byczy cicho. – Nie przetrwałby takiej wycieczki. – W jej głosie pobrzmiwa spokój, jaki zawsze charakteryzuje tę mechaniczną karykaturę. W jej słowach zawarty jest rozsądek. W jej myślach nie ma ani jednego, ani drugiego. W jej myślach panoszy się jedynie jedna, zapętłona kwestia, powtarzana niczym mantra w żalostnej, podświadomej nadziei, że życzenie spełni się, jeśli będzie się obracać je w głowie bez końca.

*To niemożliwe to niemożliwe to niemożliwe...*

Tutaj, na pozbawionych słońca zboczach Grzbietu Śródatlantyckiego, zmuszona stawić czoła konsekwencjom, które jakimś cudem dosięgły ją na samym dnie świata, wyparcie wydaje się jedynym możliwym rozwiązaniem.

## **PORTRET SADYSTY Z CZASÓW DZIECIŃSTWA**

Achilles Desjardins nie zawsze był najpotężniejszym człowiekiem w Ameryce Północnej. Swego czasu był zaledwie jednym z wielu dzieciaków dorastających w cieniu Góry Świętego Hilarego. O d *zawsze* jednak był empirystą i od kiedy pamiętał miał duszę eksperymentatora. Pierwsze zetknięcie z komisją ds. etyki w badaniach zaliczył w wieku zaledwie ośmiu lat.

Ten konkretny eksperyment dotyczył hamowania aerodynamicznego. Jego rodzice, w jak najlepszej wierze, próbując zainteresować go klasykami, pokazali mu „Zemstę Mary Poppins”. Sama historia okazała się wprawdzie dość głupia, ale Achillesowi spodobało się to ekscytujące wrażenie *lotu*, jakie Pudełko Persingera wywołało wprost w jego mózgu. Sama Mary Poppins miała bowiem nanotechnologiczną parasolkę, dzięki której mogła zeskoczyć ze szczytu CN Tower i wylądować na ziemi lekko niczym nasionko dmuchawca.

Iluzja była tak przekonująca, że ośmioletni mózg Achillesa nie zrozumiał, dlaczego coś podobnego nie miałyby zadziałać w rzeczywistości.

Jego rodzina należała do tych bogatych, podobnie jak wszystkie rodziny Quebecois dzięki Hudson Hydro, więc Achilles wychowywał się w prawdziwym domu – jednorodziwym, wolnostojącym budynku z podwórkiem i tak dalej. Wyjął parasolkę z szafy, otworzył ją i, ściskając ją mocno w obu dłoniach, zeskoczył z ganku. Od ziemi dzieliło go tam zaledwie półtora metra, ale tyle wystarczyło – chłopiec poczuł wyraźnie, jak parasolka chwyta powietrze, spowalniając jego lot.

Zachęcony pierwszym sukcesem, Achilles przystąpił do fazy drugiej. Jego dwa lata młodsza siostra Penny darzyła go niemalże nadnaturalnym szacunkiem, nie miał więc żadnych problemów z nakłonieniem jej do wdrapania się po pergoli na dach. Nieco trudniejsze okazało się namówienie jej do stanięcia na samym skraju kalenicy, która musiała znajdować się jakieś siedem metrów nad ziemią, ale co innego możesz zrobić, kiedy twój starszy-brat-którego-absolutnie-ubóstwiasz nazywa cię cykorem? Penny dotarła ostrożnie na samą górę i stanęła chwiejnie na krawędzi; kopuła parasolki obramowywała jej twarz niczym wielka, czarna aureola. Przez chwilę Achilles obawiał się, że eksperyment nie dojdzie do skutku: musiał wytoczyć najcięższe działa i nazwać siostrę „Penelopą” – do tego aż *dwukrotnie* – zanim ta zdecydowała się skoczyć.

Rzecz jasna, nie było się czego obawiać. Achilles wiedział, że wszystko pójdzie po jego myśli, w końcu parasolka spowolniła *jego* lot i to z wysokości jakiegoś marnego metra, a Penny ważyła przecież o *wiele* mniej od niego.

Dlatego okazało się dla niego tym większym zaskoczeniem, gdy na jego oczach parasolka wywinęła się na drugą stronę z głośnym trzaskiem. Penny poleciała w dół niczym kamień, wylądowała na prostych nogach, coś chrupnęło i dziewczynka złożyła się w pół.

Na krótką chwilę zapadła zupełna cisza. W tym czasie przez głowę ośmioletniego Achillesa Desjardinsa przewinęło się kilka myśli. Pierwsza z nich była taka, że z wybałuszonymi oczami, tuż przed uderzeniem o ziemię, Penny wyglądała *naprawdę* zabawnie. Drugą była konsternacja i niedowierzanie, że eksperyment nie zakończył się tak, jak tego oczekiwał – za nic nie potrafił dociec, co mogło pójść nie tak. W następnej kolejności zdał sobie sprawę, że choć wyraz twarzy Penny niezmiernie go śmieszył, mogła stać się jej jakaś krzywda. Może powinien był jakoś jej pomóc?

Wreszcie na koniec dotarło do niego, że znajdzie się w niezłych kłopotach, jeśli o wszystkim dowiedzą się rodzice. Ta ostatnia myśl zmiażdżyła pozostałe, jak ktoś rozdeptujący robaki.

Podbiegł do kulającej się na trawniku siostry.

– Jejku, Penny, wszystko... Wszystko...

Nic nie było w porządku. Druty parasola wydostały się z materiałowych tuneli i pokaleczyły dziewczynce bok szyi. Jedna z jej kostek została skręcona pod jakimś niemożliwym kątem i już spuchła tak, że zrobiła się dwa razy większa. Wszędzie wokoło było pełno krwi.

Penny podniosła głowę i spojrzała na niego. Drżała jej warga, a w oczach stały łzy, które spłynęły jej po policzkach, gdy Achilles nachylił się nad nią, śmiertelnie przerażony.

– Penny... – szepnął.

– W... w porządku – wydusiła łamiącym się głosem jego siostra. – Nikomu nie powiem. Obiecuję.

– Połamana, krwawiąca i zapłakana, ale wciąż wpatrzona w Starszego Brata jak w obrazek, próbowała wstać, ale krzyknęła z bólu, kiedy tylko poruszyła nogą.

Wspominając tę sytuację jako osoba dorosła, Desjardins wiedział, że nie mogła to być jego pierwsza erekcja. Była jednak pierwszą, która utkwiała mu w pamięci. Nie potrafił się powstrzymać: jego siostra była taka *bezradna*. Połamana, brocząca krwią i cierpiąca. I to *on* stał się przyczyną jej

cierpienia. Dla niego potulnie poszła jak na szafot i nawet kiedy spadła, łamiąc się niczym gałązka, wciąż patrzyła na niego z uwielbieniem, gotowa zrobić wszystko, byle tylko go uszczęśliwić.

Nie miał pojęcia, dlaczego wywołało to u niego takie odczucie – nie miał nawet pojęcia, czym właściwie to *odczucie* było – ale mu się ono spodobało.

Z fiutem sztywnym niczym drąg, wyciągnął dłoń w stronę dziewczynki. Nie był właściwie pewien, dlaczego. Oczywiście był jej wdzięczny, że nie zamierzała nikomu powiedzieć, ale nie wydawało mu się, by w tym tkwiła przyczyna. Gdy jego palce dotknęły miękkich, brązowych włosów siostry, przyszło mu do głowy, że być może chciał sprawdzić, co mogłoby ujść mu na *sucho*...

Niewiele, jak się okazało. W chwilę później naskoczyli na niego rodzice, wrzeszcząc i wymierzając ciosy. Achilles uniósł ręce, broniąc się przed razami ojca, wykrzykując „Widziałem to w „Mary Poppins”!”, ale wytłumaczenie nie przyniosło oczekiwanych rezultatów, podobnie jak eksperyment z udziałem siostry. Tata spuścił mu solidne lanie i zamknął go w pokoju na resztę dnia.

Rzecz jasna, nie mogło się to skończyć inaczej. Mama i tata zawsze się o wszystkim dowiadywali. Okazało się, że małeńki guzek, jaki oboje z Penny mieli pod obojczykami, wysyłał rodzicom sygnał, kiedy tylko którekolwiek z nich odnosiło jakieś obrażenia. Natomiast po tym wypadku z „Mary Poppins” mama i tata uznali, że implanty to za mało. Od tamtej pory Achilles nie mógł nawet pójść do łazienki, żeby nie towarzyszyły mu trzy czy cztery komary podobne do wścibskich, latających ziarenek ryżu.

Ogólnie rzecz biorąc, tego popołudnia nauczył się dwóch rzeczy, które ukształtowały jego późniejsze życie. Po pierwsze, że jest bardzo złym chłopcem, któremu nie wolno *nigdy* poddawać się swym impulsom, bez względu na to *jak* dobrze się wtedy czuje, albo pójdzie prosto do piekła.

Po drugie zaś głębokiego i dozgonnego uznania dla wpływu wszechobecnej inwigilacji.

## GRANICE UFNOŚCI

Nie ma lekarzy-ryfterów. Chodzące ofiary na ogół nie przodują w sztuce leczenia.

Oczywiście nigdy nie brakowało ryfterów *potrzebujących* leczenia. Zwłaszcza po Buncie Korpów. Rybogłowi z łatwością wygrali wojnę, ale nie znaczy to, że obyło się bez strat w ludziach po ich stronie. Niektórzy umarli. Inni odnieśli obrażenia oraz uszkodzenia wykraczające poza umiejętności dostępnej im maszynierii medycznej. Jedni potrzebowali pomocy, by utrzymać się przy życiu; drudzy, by odejść spokojniej niż w agonii.

A wszyscy dyplomowani lekarze znajdowali się po drugiej stronie.

Nikt nie zamierzał zostawić rannych towarzyszy na łasce tysiąca rozgoryczonych przegranych tylko dlatego, że to do korpów należał jedyny szpital w promieniu czterech tysięcy kilometrów. Ryfterzy połączyli więc ze sobą kilka habów pięćdziesiąt metrów od Atlantydy i wyposażyli je w sprzęt medyczny, zrabowany z lecznic wroga. Światłowody pozwalały korporacyjnym rzeźnikom na wykonywanie ich rzemiosła na odległość, zaś ładunki wybuchowe zamontowane na kadłubie Atlantydy motywowały ich do szczególnej ostrożności, by nie doszło do żadnych błędów w sztuce lekarskiej. Pod groźbą implozji, przegrani bardzo dobrze zajęli się więc zwycięzcami.

Wreszcie napięcie nieco opadło. Ryfterzy przestali omijać Atlantydę z nieufności, a zaczęli z obojętności. Stopniowo wszyscy zrozumieli, że reszta świata stanowiła dla obu stron dużo większe zagrożenie niż oni dla siebie nawzajem. Lubin zdjął ładunki w okolicach trzeciego roku, kiedy większość i tak już dawno o nich zapomniała.

Hab medyczny wciąż jednak jest często używany. Urazy wciąż się zdarzają. Nie sposób tego uniknąć, biorąc pod uwagę temperament ryfterów oraz nabytą kruchość ich kości. Jednak w tym

konkretnym momencie w środku przebywają tylko dwie osoby, a korpy powinny zapewne dziękować ich teczkom, że ryfterzy zmontowali sobie takie miejsce tych kilka lat temu. W przeciwnym bowiem razie Clarke i Lubin mogliby przywlec się na Atlantyde, a przecież wszyscy wiedzą, gdzie byli.

A tak podpłynęli jedynie na tyle blisko, by przekazać korpom Irene Lopez oraz stwora, który urządził sobie z niej ucztę. W chwilę później z jednej ze śluz technicznych Atlantydy wypuszczono dwa sarkofagi z pokrywami, które pożarły dowody i teraz przesyłają wyniki swych badań światłowodami. W tym samym czasie Clarke i Lubin leżą ramię w ramię na dwóch stołach operacyjnych, nadzy niczym zwłoki, z którymi niedawno się rozstali. Od dawna żaden korp nie ośmielił się wydać rozkazu ryfterowi, ale oboje posłuchali „zdecydowanego zalecenia” Jerenice Seger dotyczącego pozbycia się skór głębinowych. Pójście na takie ustępstwo okazało się dla Clarke czymś o wiele trudniejszym niż byłaby skłonna przyznać. Nie chodzi o to, że krępuje ją zwykła nagość. Przy Lubinie nigdy nie włączały się jej typowe dla niej alarmy. Tyle że autoklaw nie tyle sterylizuje jej skórę głębinową, ile zupełnie ją niszczy – topi ją, czyniąc z niej bezużyteczną maź złożoną z białek i ropy naftowej. Kobieta jest więc uwięziona, naga i bezbronna, w tej maleńkiej bańce stworzonej z gazu i wyoblonego metalu. Po raz pierwszy od wielu lat nie może tak po prostu wyjść na zewnątrz. Po raz pierwszy od wielu lat ocean mógłby ją *zabić* – wystarczyłoby, żeby zgniótł jej kruchą łupinę i zacisnął się wokół niej niczym lodowata, płynna pięść...

Rzecz jasna, to tylko tymczasowa bezbronność. Nowe skóry głębinowe, właśnie wytłaczane, wkrótce do nich trafią. Clarke musi tylko wytrzymać jeszcze jakieś piętnaście, może dwadzieścia minut. W tej chwili jednak, czuje się bardziej niż naga. Czuje się obdarta żywcem ze skóry.

Lubin natomiast nie wydaje się zbyt przejęty. Lubin niczym się nie przejmuje. Ale oczywiście jego teleoperator zachowuje się o wiele mniej inwazyjnie niż w przypadku Clarke. Pobiera jedynie próbki krwi i skóry oraz wymazy z okolic oczu, odbytu i wlotu wody morskiej. Maszyna kobiety grzebie zaś w głębi jej nogi, rozsuwając mięśnie, nastawiając kości i machając swymi błyszczącymi ramionami przypominającymi chińskie pałeczki tak, że można odnieść wrażenie, iż chromowany pająk odprawia nad nią jakieś egzorcyzmy. Od czasu do czasu nad stołem unosi się słaby zapach kauteryzowanego ciała. Najprawdopodobniej w ten sposób leczone są właśnie obrażenia Clarke, chociaż ona sama nie jest w stanie tego określić – pole neuroindukcyjne stołu sparaliżowało ją od pasa w dół, odbierając jej czucie.

– Ile jeszcze? – pyta kobieta. Teleoperator ignoruje ją, nie przerywając szycia.

– Wydaje mi się, że nikogo tam nie ma – odzywa się Lubin. – Działa automatycznie.

Clarke odwraca głowę, by na niego spojrzeć. Odpowiada jej spojrzenie oczu na tyle ciemnych, że można nazwać je czarnymi. Kobiecie zapiera dech w piersi. Wciąż zapomina, co tak naprawdę oznacza tutaj słowo *nagi*. Jak mawiają lądowcy? *Oczy są zwierciadłem duszy*. Tyle że zwierciadła dusz ryfterów powinny mieć matową powierzchnię. Oczy pozbawione nakładek są dobre dla korpów – u ryfterów nie wyglądają odpowiednio, ani się takie nie *wydają*. Clarke ma wrażenie, że Lubinowi wydarto gałki oczne z oczodołów i musi teraz spoglądać w lepłą, wilgotną ciemność wnętrza jego czaszki.

Mężczyzna podnosi się, nieświadomy własnej krwawej ślepoty, i zwiesza nogi poza krawędź stołu operacyjnego. Jego teleoperator wycofuje się pod sufit, wydając przy tym kilka pełnych dezaprobaty kliknięć.

Nieopodal umieszczono na grodzi panel komunikacyjny. Lubin włącza go.

– Kanał ogólny. Grace, co ze skórami?

Odpowiada mu zewnętrzna wersja głosu Nolan:

– Jesteśmy jakieś dziesięć metrów od ciebie. I tak, pamiętaliśmy o zabranii dodatkowych nakładek



na oczy. – Rozlega się ciche bzyczenie. Czasami modemy akustyczne kiepsko radzą sobie z hałasami tła. – Jeśli nie macie nic przeciwko zostawimy je w służbie i wrócimy do swoich zadań.

– Jasne. – Twarz Lubina pozbawiona jest jakiegokolwiek wyrazu. – Żaden problem.

Od strony mokrego pokładu dobiegają szczęki i syki.

– Proszę bardzo, złociutki – bzczy Nolan.

Lubin przeszywa Clarke spojrzeniem swych wyłupionych oczu.

– Idziesz?

Kobieta mruga kilkakrotnie.

– A gdzie konkretnie?

– Do Atlantydy.

– Moja noga... – Ale w tym samym momencie jej teleoperator składa się i chowa pod sufitem.

Najwyraźniej krojenie i szatkowanie dobiegło końca.

Clarke z trudem unosi się na łokciach, ale od pasa w dół jej ciało wciąż przypomina kawał martwego mięsa, mimo że dziura w udzie została ładnie zasklepiona.

– Wciąż jestem sparaliżowana. Czy pole nie powinno czasem...

– Może łudzili się, że nie zauważysz. – Lubin zdejmuje ze ściany sterownik ręczny. – Gotowa?

Clarke kiwa głową. Jej towarzysz naciska guzik. Czucie zalewa nogi kobiety niczym fala przyływu. Budzi się naprawione udo, reagując nagle mrowieniem przypominającym kąsanie tysięcy igiełek. Clarke próbuje poruszyć kończyną i udaje jej się to, chociaż z trudem.

Siada, wykrzywiając twarz w grymasie.

– Co ty wyprawiasz? – odzywa się interkom. Po chwili Clarke rozpoznaje, czyj to głos: Klein. Wyłączenie pola musiało zwrócić jego uwagę.

Lubin znika we wnętrzu komory odpływowej. Clarke rozmasowuje udo. Igiełki nie zamierzają ustąpić.

– Lenie? – dopytuje Klein. – Co...

– Moje urazy zostały wyleczone.

– Wcale nie.

– Teleop –

– Nie możesz używać tej nogi przez co najmniej sześć godzin. A najlepiej dwanaście.

– Dzięki. Wezmę to pod uwagę. – Clarke zsuwa się ze stołu, opierając ciężar ciała na zdrowej nodze, po czym stopniowo przenosząc go na drugą. Kończyna ugina się pod nią. Kobieta w ostatniej chwili chwyta się krawędzi stołu, by nie upaść.

Lubin pojawia się w wejściu z torbą przewieszoną przez ramię.

– Wszystko w porządku? – Jego oczy, ukryte znów za nakładkami, są białe niczym świeży lód.

Clarke kiwa głową, czując dziwną ulgę.

– Podaj mi skórę.

Klein wszystko słyszał.

– Chwila, przecież *nie macie* pozwolenia na... To znaczy...

Najpierw oczy. Tunika skwapliwie oplata jej tułów. Rękawy i rękawiczki przylegają ciasno niczym upragnione cienie. Clarke musi oprzeć się o Lubina, by móc założyć legginsy – mrowienie w udzie zaczyna ustępować, a gdy kobieta przenosi ciężar ciała na uszkodzoną kończynę, ta wytrzymuje przez całe dziesięć sekund. Jest poprawa.

– Lenie. Ken. Dokąd się wybieracie?

Ten głos należy do Seger. Klein wezwał posiłki.

– Pomyśleliśmy, że wpadniemy z wizytą – odpowiada Lubin.

– Na pewno dobrze to sobie przemyśleliście? – pyta spokojnie Seger. – Z całym szacunkiem...

– Istnieje jakiś powód, dla którego nie powinniśmy tego robić? – W głosie Lubina pobrzmiewa absolutna niewinność.

– Noga Lenie.

– Poza nogą Lenie.

W pomieszczeniu zapada martwa cisza.

– Na pewno skończyliście już analizę próbek – zauważa Lubin.

– Nie w pełni. Wyniki testów są dostępne szybko, ale nie natychmiastowo.

– No i? Znaleźliście coś?

– *Jeśli* zostaliście zainfekowani, panie Lubin, nastąpiło to zaledwie kilka godzin temu. To zdecydowanie za mało czasu, by jakakolwiek infekcja zdążyła osiągnąć wykrywalny poziom w krwiobiegu.

– Czyli nie – kwituje mężczyzna. – A co z naszymi skórąmi głębinowymi? Na pewno udało wam się wykryć coś na podstawie wymazów.

Seger nie odpowiada.

– A więc ochroniły nas – wnioskuje Lubin. – Tym razem.

– Jak powiedziałam, nie skończyliśmy jeszcze...

– Sądziłem, że behemot nie może tu do nas dotrzeć – zauważa.

I tym razem Seger przez dłuższą chwilę milczy.

– Ja też – odpowiada wreszcie.

Clarke wykonuje niezdarny podskok, kierując się w stronę służby. Lubin podsuwa jej swoje ramię.

– Zaraz będziemy – rzuca.

Pół tuzina modelarzy skupionych wokół stacji roboczych przy odległej ścianie groty łączności odpala symulację za symulacją, zmieniając poszczególne parametry w nadziei, że któryś ze stworzonych przez nich wirtualnych światów okaże się choć trochę przystający do realnego. Patricia Rowan zagląda im przez ramię, studiując coś na jednej z tablic. Nad inną pochyla się Jerenice Seger. Ta po chwili odwraca się i zauważywszy dwójkę ryfterów, podnosi nieco głos, formułując ostrzeżenie skryte pod pozorami powitania:

– Ken. Lenie.

Pozostali zgromadzeni także obracają się w ich stronę. Kilka z mniej doświadczonych osób cofa się o krok czy dwa.

Jako pierwsza opanowuje się Rowan, ale z jej oczu, które sprawiają wrażenie wypełnionych rtęcią, nie sposób niczego wyczytać.

– Powinnaś oszczędzać tę nogę, Lenie. Proszę. – Podsuwa jej nieużywane krzesło, stojące przy pobliskiej stacji roboczej. Clarke opada na nie z wdzięcznością.

Nikt nie robi afery. Zgromadzone w pomieszczeniu korpy umieją się podporządkować, choć kilkoro z nich nie wygląda na szczególnie zadowolonych.

– Jerry powiedziała mi, że udało wam się wyjść z tego obronną ręką – ciągnie Rowan.

– *O ile nam wiadomo* – sprostowuje Seger. – Na razie.

– Co oznacza, że było z czego wychodzić – zauważa Lubin.

Seger spogląda na Rowan, ta z kolei na Lubina. Pracownicy, skupieni na swoich liczbach, nie spoglądają w żadnym konkretnym kierunku.

Wreszcie Seger wzrusza ramionami.

– D-cysteina i D-cystyna obecne. Piranozowe RNA obecne. Brak fosfolipidów, brak DNA.

Poziom wewnątrzkomórkowego ATP poza skalą. Już nie wspominając o tym, że pod mikroskopem elektronowym wyraźnie *widać* tych małych drani w zainfekowanych komórkach. – Kobieta bierze głęboki oddech. – Jeśli to nie behemot, to jego zły brat bliźniak.

– Kurwa – odzywa się jeden z modelarzy. – *Znów* to samo.

Dopiero po chwili Clarke orientuje się, że nie jest to reakcja na słowa Seger, a na coś na ekranie jego stacji roboczej. Pochyliła się i pomiędzy pracownikami udaje jej się dostrzec kawałek wyświetlacza. Widać na nim wolumetryczny model basenu atlantyckiego. Na różnych głębokościach wiją się świetliste smugi podobne do wielogłowych węży, rozwidlając się i z powrotem zbiegając ponad szelfami kontynentalnymi oraz łańcuchami górskimi. Prądy morskie i kołowe oraz cyrkulacja wody w głębinach zaznaczone w różnych odcieniach zieleni i czerwieni, niczym oceaniczne rzeki. A na tym wszystkim, rozciągnięty na cały ekran, gburowaty komunikat:

### BŁĄD ZBIEŻNOŚCI. PRZEKROCZONO GRANICE UFNOŚCI. DALSZY PROGNOZY NIEPEWNE.

– Zmniejsz jeszcze trochę Prąd Labradorczy – podsuwa jeden z modelarzy.

– Jeszcze trochę i zupełnie zniknie – odpowiada inny.

– A skąd wiesz, że to się właśnie nie stało?

– Kiedy Prąd Zatokowy...

– Po prostu *spróbuj*, dobrze?

Atlantyk znika i resetuje się.

Rowan odwraca się od swych podwładnych i skupia się na Seger.

– Co jeśli nie uda im się tego rozgryźć?

– Może był tu od samego początku. Może po prostu jakimś cudem nam to umknęło. – Kobieta kręci głową, jakby nie wierzyła we własne słowa. – Ostatecznie *trochę* się nam spieszyło.

– Ale nie aż tak. Zanim osiedliliśmy się w tym miejscu, sprawdziliśmy każdy komin w promieniu tysiąca kilometrów, czyż nie?

– Ktoś to zrobił – sprostowuje zmęczonym tonem Seger.

– Widziałam wyniki badań. Były absolutnie wyczerpujące. – Rowan niemalże sprawia wrażenie, jakby bardziej niż obecność behemota niepokoiło ją podejrzenie, że rezultaty testów mogłyby okazać się błędne. – Niczego nie wykazały też żadne z badań przeprowadzanych od tamtej pory... – przerywa nagle, jakby coś przyszło jej właśnie do głowy. – Bo nie wykazały, prawda? Lenie?

– Nie – odpowiada Clarke. – Zupełnie nic.

– Właśnie. Czyli pięć lat temu ten obszar był czysty. Z tego, co nam wiadomo, czyste były też całe głębiny Atlantyku. A ile behemot może przetrwać w lodowatej wodzie morskiej zanim skurczy się niczym suszona śliwka i obumrze?

– Jakiś tydzień czy dwa – recytuje w odpowiedzi Seger. – Najwyżej miesiąc.

– A ile zajęłoby mu dostanie się tutaj dzięki cyrkulacji głębokomorskiej?

– Dziesiątki lat. Setki. – Seger wzdycha. – Przecież dobrze o tym wiemy, Pat. Najwyraźniej coś się zmieniło.

– Dziękuję za tę cenną uwagę, Jerry. A cóż takiego mogłoby to być?

– Chryste, czego ty ode mnie chcesz? Nie jestem oceanologiem. – Kobieta w rozdrażnieniu wskazuje ręką na modelarzy. – Zapytaj *ich*. Jason pracuje nad tym modelem od...

– Jebany, pierdolony w dupę *skurwiel!* – wywarkuje Jason w stronę ekranu. Wyświetlacz odpowiada mu komunikatem:

BŁĄD ZBIEŻNOŚCI. PRZEKROCZONO GRANICE UFNOŚCI.  
DALSZE PROGNOZY NIEPEWNE.

Rowan zamyka oczy i zaczyna od nowa.

– A czy przynajmniej mógłby przetrwać w strefie eufotycznej? Jest tam cieplej, nawet w zimie.

Czy nasze ekipy rozpoznawcze mogły przenieść go stamtąd tutaj?

– Wtedy mielibyśmy go tutaj, a nie przy Niemożliwym Jeziorze.

– Ale w *ogóle* nie powinniśmy go m –

– A co z rybami? – pyta nagle Lubin.

Rowan obrzuca go spojrzeniem.

– Co?

– Behemot może przetrwać przez czas nieokreślony w organizmie żywiciela, zgadza się? Mniejszy szok osmotyczny. Właśnie dlatego w pierwszej kolejności atakuje ryby. Może załapał się na przejazdzkę.

– Ryby głębinowe się nie rozpraszają – odpowiada mu Seger. – Trzymają się kominów.

– Czy larwy wchodzą w skład planktonu?

– To i tak by nie zadziało. A w każdym razie nie przy takich odległościach.

– Z całym szacunkiem – wtrąca Lubin – ale jesteś lekarzem medycyny. Może powinniśmy zapytać kogoś o *odpowiednich* kompetencjach.

Oczywiście to tylko przytyk. Kiedy korpy przydzielają miejsca na arce przedstawicielom poszczególnych profesji, ichtiolodzy nie znaleźli się nawet na szarym końcu długiej listy. Jednak Seger jedynie potrząsa głową w zniecierpliwieniu.

– Powiedziałby ci dokładnie to samo.

– Skąd wiesz? – W głosie Rowan pobrzmiwa dziwne zaciekawienie.

– Bo behemot większość dziejów Ziemi przesiedział uwięziony w kilku kominach hydrotermalnych. Gdyby mógł rozproszyć się i zmieszać z planktonem, to po co miałyby czekać aż do teraz z podbojem świata? Zrobiłby to już kilkaset milionów lat temu.

W wyglądzie Patricii Rowan pojawia się nagle coś innego. Clarke nie potrafi jednak określić co. Może kobieta zmieniła lekko pozycję. Albo jej KonTakty rozjarzyły się, jakby dane przesuwające się przed jej oczami nieoczekiwanie przyspieszyły.

– Pat? – zwraca się do niej Clarke.

Ale w tym samym momencie Seger podrywa się ze swojego krzesła jak oparzona, zaalarmowana sygnałem przekazanym jej do słuchawki. Dotyka palcami zegarka, przełączając go na tryb online.

– Już idę. Zatrzymajcie ich – mówi, po czym zwraca się do Lubina i Clarke. – Jeśli naprawdę chcecie pomóc, chodźcie ze mną.

– Co się dzieje? – pyta mężczyzna.

Seger jest już w połowie drogi do wyjścia z groty.

– Kolejni, którzy wolno się uczą. Zaraz zabiją waszego przyjaciela.

## KAWALERIA

Cała Atlantyda naznaczona jest liniami, czterocentymetrowymi szczelinami opasującymi korytarze, jakby ktoś w regularnych odstępach przecinał grodzie piłą łańcuchową. Po obu stronach każda z nich oznaczona jest ostrzegawczymi taśmami w ukośne pasy. Łatwo zrozumieć, czemu to służy, stając

okrakiem nad jedną z takich szczelin i spoglądając w górę: kryją się tam przegrody, które można opuścić niczym ostrze gilotyny w razie pęknięcia kadłuba. Linie te okazały się na tyle praktyczne, a zarazem wszechobecne, że strony pozostające względem siebie w opozycji często używały ich jako swego rodzaju umownych granic.

Strony takie jak na przykład pół tuzina korpów zgromadzonych na skrzyżowaniu, zbyt przerażonych lub zbyt mądrych, by się angażować. I takie jak Hannuk Yeager, który trzyma ich na dystans, tańcząc nerwowo po drugiej stronie pasiastej taśmy i nie dopuszczając ich do oddalonej o piętnaście metrów części szpitalnej.

Lubin roztrąca na boki wystraszonych korpów, a Clarke kuśtyka jego śladem. Yeager obnaża zęby na powitanie.

– Impreza za czwartymi drzwiami na lewo! – Ryfter mruży skryte za nakładkami oczy, widząc towarzyszące im kobiety.

Clarke i Lubin przechodzą obok. Seger próbuje ruszyć za nimi, ale Yeager chwyta ją za gardło i zatrzymuje.

– Wstęp tylko za okazaniem zaproszenia.

– Nie chcesz chyba... – Yeager zaciska dłoń, tłumiąc głos kobiety do szeptu. – Chcesz żeby... Gene umarł...?

– Moim zdaniem brzmi to jak *groźba* – warczy w odpowiedzi.

– Jestem jego *lekarzem!*

– Puść ją – odzywa się Clarke. – Może nam się przydać.

Yeager nie reaguje.

*O kurwa, myśli Clarke, czyżby się podpompował?*

Yeager ma pewną mutację: za dużo monoaminooksydazy we krwi. Powoduje to rozkład substancji chemicznych w mózgu, odpowiadających za zrównoważenie u ludzi. Kiedy jeszcze podobne rzeczy uchodziły na sucho, władze podrasowały go nieco, by poradzić sobie z tym faktem, jednak on nauczył się obchodzić wprowadzone zmiany. Czasami celowo doprowadza się do takiego stanu, że jedno krzywe spojrzenie może wywołać u niego napad szału. To go podnieca. A kiedy do tego dochodzi, właściwie nie ma znaczenia, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem. W takich chwilach nawet Lubin bierze go na poważnie.

Robi to właśnie teraz.

– Przepuść ją, Han. – Jego głos jest spokojny, a ciało rozluźnione.

Z korytarza dobiega jęk. Po chwili słychać też odgłos świadczący o tym, że coś zostało połamane.

Yeager prychnie i ciska Seger na bok. Kobieta zatacza się na ścianę, dławiona atakiem kaszlu.

– Ty też – rzuca Lubin w stronę Rowan, która zatrzymała się dyskretnie za pasiastą taśmą. – Oczywiście, o ile nie masz nic przeciwko. – Ostatnie zdanie skierował już znów do Yeagera.

– Mam to gdzieś. – Mężczyzna zaciska i otwiera pięści niczym rażony prądem.

Lubin kiwa głową.

– Idź – zwraca się jak gdyby nigdy nic do Clarke. – Ja pomogę Hanowi w obronie frontu.

Rzecz jasna, za wszystkim stoi Nolan. Kiedy Clarke zbliża się do kabiny medycznej, dobiegają ją wywarkiwane słowa ryfterki:

– Ach, nasz mały zjeb zesrał się w spodnie...

Clarke przeciska się przez właz. Natychmiast uderza ją odór strachu i odchodów. Owszem, to Nolan, a do tego zabrała ze sobą Creasy'ego. Klein leży ciśnień w kącie, pokrwawiony i połamany. Może próbował przeszkodzić Nolan. A może jej właśnie o to chodziło.

Gene Erickson wreszcie odzyskał przytomność. Przykucnięty na stole przypomina zwierzę

w klatce.

Rozczapierzonymi palcami napiera na błonę izolacyjną, ale ta tylko *rozciąga* się niczym niesamowicie cienki lateks. Im mocniej mężczyzna naciska, tym mocniej ta go odpycha. Choć jeszcze nie wyprostował rąk, nie da rady naprężyć jej bardziej. Oleiste, niezniszczalne tęczę wirują na powierzchni odpornej siły.

– *Kurwa mać* – wywarkuje Erickson i osuwa się z powrotem na stół.

Nolan przykuca i przechyla głowę jak ptak, zatrzymując ją o kilka centymetrów od zakrwawionej twarzy Kleina.

– Wypuść go, skarbie.

Z ust mężczyzny cieknie ślina zmieszana z krwią.

– *Mówiłem ci już, że jest...*

– *Zostaw go!* – Seger wpada do środka jakby ostatnie pięć lat – ostatnie pięć *minut* – w ogóle się nie wydarzyło. Ledwie udaje jej się położyć dłoń na ramieniu Nolan, gdy Creasy odpycha ją na gródź.

Nolan strzepuje nieistniejące zanieczyszczenia z miejsca, gdzie musnęły ją palce kobiety.

– Nie uszkodź głowy – ostrzega Creasy’ego. – Może jest w niej hasło.

– Proszę. – Rowan myśli na tyle trzeźwo, by wiedzieć, że lepiej zostać w korytarzu. – Wszystkich.

O. Spokój.

Nolan prychnie i kręci głową.

– Bo *co*, dziwko? Wezwiesz ochronę? Kazesz nas stąd *wyrzucić*?

Białe oczy Creasy’ego wpatrują się w Seger z odległości zaledwie kilku centymetrów, połyskując ponad wyszczerzonymi zębami w szczęce przypominającej łyżkę koparki. Czai się w nich obietnica bezsensownej i bezmyślnej przemocy. Chodzą słuchy, że Creasy potrafi postępować z kobietami. Nie, żeby kiedykolwiek próbował pogrywać sobie z Clarke. Nie, żeby ktokolwiek to robił.

Rowan zagląda przez otwarty właz, a na jej twarzy maluje się spokój i pewność siebie. Clarke widzi jednak błaganie ukryte za tą fasadą zaufania. Przez chwilę ma ochotę je zignorować. W nodze czuje nieznośne mrowienie. Na wysokości jej łokcia, Creasy cmoka powietrze przed twarzą Seger, ściskając jej brodę w dłoni.

Clarke udaje, że go nie widzi.

– Co się dzieje, Grace?

Nolan uśmiecha się kwaśno.

– Udało nam się go wybudzić, ale obecny tu Normy – jakby w roztargnieniu wymierza Kleinowi cios w głowę – założył jakieś hasło na stół. Nie możemy zdjąć membrany.

Clarke zwraca się do Ericksona.

– Jak się czujesz?

– Coś mi zrobili. – Kaszle. – Kiedy byłem w śpiączce.

– Owszem, zrobiliśmy. Uratowaliśmy mu... – Creasy uderza głową Seger o gródź. Kobieta milknie.

Clarke nie odrywa wzroku od Ericksona.

– Jesteś w stanie poruszać się, nie gubiąc przy tym flaków?

Mężczyzna niezdarnie obraca się, by pokazać jej swój brzuch. Membrana rozciąga się na powierzchni jego głowy i ramienia niczym błona płodowa.

– Cuda nowoczesnej medycyny – mówi, przekręcając się na plecy. I rzeczywiście, jego wnętrzości upchnięto znów na właściwe im miejsce. Do starszych blizn na klatce piersiowej dołączyły świeże, różowe na brzuchu.

Jerenice Seger sprawia wrażenie, jakby bardzo chciała coś powiedzieć. Dale Creasy sprawia

wrażenie, jakby bardzo chciał, żeby spróbowała.

– Daj jej się odezwać – mówi Clarke. Mężczyzna lekko rozluźnia uścisk. Seger spogląda na Clarke, ale wciąż milczy.

– No więc jak się sprawy mają? – dopytuje ryfterka. – Wygląda na to, że poskładaliście go do kupy. Minęły prawie trzy dni.

– Trzy dni – powtarza Seger. Jej głos brzmi cienko i piskliwie pod naciskiem dłoni Creasy’ego. – Został niemalże wypatroszony żywcem, a tobie wydaje się, że *trzy dni* to dość czasu, by wydobrzcć.

Tak naprawdę Clarke jest wręcz o tym przekonana. Widziała już poszarpane i połamane ciała, widziała też jak wieloramienne roboty doprowadzają je do stanu używalności, umieszczając misterne sieci elektryczne w ranach, by przyspieszyć proces gojenia do tego stopnia, że wydawałoby się to cudem, gdyby nie było chlebem powszednim. Trzy dni to dostatecznie dużo czasu, by wywlec się z powrotem na zewnątrz. Może ze szwów jeszcze trochę cieknie, ale są dostatecznie mocne, by wytrzymać. A kiedy znów ciężar ciała przestanie mieć znaczenie, a nieskończone czarne łono otchłani udzieli ci schronienia, będziesz mieć mnóstwo czasu na wyzdrowienie.

Jest to coś, czego lądowcy absolutnie nie mogą pojąć: to *gravitacja* czyni cię słabym.

– Potrzebne mu są jeszcze jakieś zabiegi chirurgiczne? – pyta.

– Owszem, jeśli nie będzie uważał.

– Odpowiedz na jebane pytanie – warczy Nolan.

Seger zerka na Clarke, ale nie znajduje u niej otuchy.

– Potrzebuje czasu, żeby wydobrzcć, a śpiączka skróci ten czas o dwie trzecie. Jeśli naprawdę chce jak najszybciej opuścić to miejsce, to jest to dla niego najlepsza opcja.

– Trzymacie go tutaj wbrew jego woli – odparowuje Nolan.

– Dlaczego... – zaczyna Rowan od strony korytarza.

Ryfterka odwraca się gwałtownie w jej stronę.

– A ty zamknij mordę, *już!*

Rowan ze spokojem postanawia jednak zaryzykować.

– *Dlaczego* mielibyśmy go tu przetrzymywać, gdyby nie było takiej potrzeby z medycznego punktu widzenia?

– Może wypoczywać we własnym habie – odpowiada Clarke. – Albo i na zewnątrz.

Seger kręci głową.

– Ma wysoką gorączkę... Lenie, tylko *spójrz* na niego!

Kobieta ma rację. Erickson leży na plecach, najwyraźniej wyczerpany. Jego skórę pokrywają lśniące kropelki potu, niemal niewidoczne zza połyskliwej powierzchni membrany.

– Gorączkę – powtarza Clarke. – I nie jest to następstwo operacji?

– Nie. To jakieś zakażenie oportunistyczne.

– Od czego?

– Pokieroszowało go dzikie zwierzę – Seger przypomina jej z rozdrażnieniem. – Przez zwykłe ukąszenie można zarazić się całym mnóstwem różnych rzeczy, a on został prawie *wypatroszony*. To wręcz niemożliwe, żeby nie pojawiły się *jakieś* komplikacje.

– Słyszałeś, Gene? – zwraca się do mężczyzny Clarke. – Masz jakąś rybią wściekliznę czy coś takiego.

– Zajebiście – rzuca Erickson, wpatrując się w sufit.

– Twój wybór. Chcesz tu zostać żeby cię wykurowali? Czy wolisz zaufać lekom i zaryzykować?

– Wyciągnijcie mnie stąd – odpowiada słabym głosem ryfter.

Clarke odwraca się w stronę Seger.

– Słyszałaś, co powiedział.

Seger podnosi się z trudem, wciąż niemożliwie i głupio uparta.

– Lenie, poprosiłam, żebyś tu ze mną przyszła, bo miałaś *pomóc*. A to, co robisz, nie ma z pomocą nic...

Pięść Creasy'ego trafia ją w brzuch z siłą kafara. Seger wydaje z siebie uffnięcie i przewraca się na bok. Po drodze uderza głową o gródź i ląduje na ziemi dysząc ciężko.

Kątem oka Clarke dostrzega, jak Rowan robi krok naprzód, po czym zmienia zdanie.

Ryfterka wbija spokojne spojrzenie w Creasy'ego.

– To nie było konieczne, Dale.

– Wielce szanowna pizda sama się o to *prosiła* – mruczy Creasy.

– Jak ma wypuścić Gene'a, jeśli nie może nawet złapać oddechu, ty skończony *idioto*?

– Naprawdę, Len. Z czym masz problem?

Nolan. Clarke odwraca się w jej stronę.

– Wiesz, co nam zrobili – ciągnie kobieta, stając u boku Creasy'ego. – Wiesz, ilu z nas przepierdoliły te alfonsy. A nawet zabiły.

*Mniej niż ja*, myśli Clarke, ale nie mówi tego na głos.

– Jak dla mnie, jeśli Dale chce wyżyć się na tej szmacie, to droga wolna. – Nolan kładzie mu dłoń na ramieniu w poufałym geście. – Może w ten sposób trochę wyrównamy rachunki, wiesz?

– Jak dla ciebie – odpowiada cicho Clarke. – Ale nie dla mnie.

– Jestem doprawdy *wielce* zaskoczona. – Po twarzy Nolan przemyka cień uśmiechu.

Obie kobiety mierzą się wzrokiem zza nakładek rogówkowych. Klein pojękuje po drugiej stronie pomieszczenia. U ich stóp Jerenice Seger chyba zaczęła znów oddychać. Creasy stoi tuż przy ramieniu Clarke, a jego postawa niemalże sugeruje otwartą groźbę.

Clarke pilnuje, by jej oddech pozostał spokojny i miarowy. Powoli kuca – ostrożnie, bardzo ostrożnie, bo uszkodzona noga prawie ugięła się pod jej ciężarem – i pomaga Seger usiąść.

– Wypuść go – mówi.

Seger mruczy coś do swojego zegarka. Na jej przedramieniu rozbłyśka klawiatura pełna dziwnych znaków. Kobieta wklepuje kod drugą ręką.

Namiot izolacyjny wydaje ciche *puknięcie*. Erickson niepewnie dotyka palcem membrany, a zorientowawszy się, że została odblokowana, zrywa się ze stołu i przechodzi na drugą stronę jak przez bańkę mydlaną. Jego stopy uderzają o pokład z plaśnięciem. Nolan podaje mu wyciągniętą nie wiadomo skąd skórę głębinową.

– Witaj z powrotem, kolego. Mówiłam, że cię stąd wyciągniemy.

Zostawiają Clarke samą z korpami. Seger podnosi się z ziemi, ignorując wyciągniętą rękę ryfterki i opiera się o gródź. Jedną ręką wciąż osłaniając brzuch, podchodzi chwiejnym krokiem do Kleina.

– Norm? Norm? – Kobieta przykuca sztywno przy swym podwładnym i podnosi jedną z jego powiek. – Zostań ze mną... – Krople krwi ściekają z jej głowy, rozpryskując się na zmasakrowanej twarzy mężczyzny i znikając pośród jego obrażeń. Seger klnie i wyciera własną ranę grzbietem dłoni.

Clarke podchodzi bliżej, by pomóc. Jej stopa natrafia na coś małego i twardego, podobnego do niewielkiego kamyka. Ryfterka podnosi nogę. Ząb, lepki od krzepnących płynów, odbija się z cichym stukotem od pokładu.

– Ja... – zaczyna Clarke.

Seger odwraca się w jej stronę. Na jej twarzy maluje się gniew.

– *Po prostu się stąd wynoś.*

Clarke wpatruje się w nią przez chwilę. Potem obraca się na pięcie i wychodzi.



Rowan czeka w korytarzu.

– To nie może się powtórzyć.

Clarke opiera się o gródź, by odciążyć nieco zranioną nogę.

– Znasz Grace. Ona i Gene...

– Nie chodzi tylko o Grace. A raczej wkrótce nie będzie chodzić tylko o nią. Mówiłam, że coś takiego może się wydarzyć.

Clarke ogarnia nagle przemożne zmęczenie.

– Mówiłaś, że zależy ci na zachowaniu przestrzeni między dwiema stronami. Więc czemu Jerry przetrzymywała Gene'a tutaj, kiedy on chciał odejść?

– Myślisz, że *chciała* mieć go na głowie? Zależało jej jedynie na dobru pacjenta. Na tym polega jej praca.

– Nasze dobro to nasza własna sprawa.

– Brak wam *kwalifikacji* do...

Clarke przerywa jej, podnosząc dłoń.

– Już to słyszałam, Pat. Maluczcy nie mają całego oglądu sytuacji. Szarzy obywatele nie rozumieją prawdy. Chłopi są zbyt ciemni, by móc głosować. – Ryfterka kręci głową z niesmakiem. – Minęło pięć lat, a wy wciąż próbujecie głaskać nas po głowach.

– Chcesz powiedzieć, że Gene Erickson lepiej zna się na diagnostyce niż nasza szefowa personelu medycznego?

– Chcę powiedzieć, że ma prawo się mylić. – Clarke wskazuje ręką na korytarz. – Posłuchaj, może macie rację. Może dopadnie go gangrena i w ciągu najbliższego tygodnia wróci na kolanach do Jerry. A może będzie wolał umrzeć. Ale to *jego* wybór.

– Tu nie chodzi o gangrenę – odpowiada cicho Rowan. – Ani nie o jakąś drobną infekcję. I dobrze o tym wiesz.

– A mimo to nie rozumiem, jaka to różnica.

– Przecież ci mówiłam.

– Mówiłaś mi o gromadce przerażonych dzieci, które nie wierzą, że wzniesione przez nie systemy obronne wytrzymają. Cóż, Pat, *wytrzymają*. Jestem na to chodzącym dowodem. Moglibyśmy pić behemota w czystej postaci i nic by nam się nie stało.

– Straciliśmy...

– Straciliście kolejną warstwę swojej skorupy wyparcia. To wszystko. Behemot jest *tutaj*, Pat. Nie wiem, jak to się stało, ale nie możecie nic na to poradzić i nie ma po co się tym przejmować. Jedyne, co może wam zrobić, to przypominać o czymś, o czym wolelibyście nie myśleć, ale do tego szybko się przyzwyczaiacie. Już kiedyś przez to przechodziliście. Za miesiąc i tak wszyscy o tym zapomną.

– Więc błagam... – zaczyna Rowan, ale urywa.

Clarke czeka, podczas gdy druga kobieta raz jeszcze wpasowuje się w podrzędną rolę.

– Dajcie nam ten miesiąc – kończy wreszcie szeptem.

## NEMEZIS

Clarke nieczęsto zagląda do części mieszkalnej. Nie przypomina sobie, by kiedykolwiek wcześniej była w tej konkretnej sekcji. Korytarz pomalowano tu w kratę i podłączono do generatora naściennego. Na grodzi po lewej stronie wyrasta las rogatych koralowców. Po prawej kłębi się ławica pokolców, przypominając węzły jakiejś abstrakcyjnej i rozproszonej sieci neuronowej.

Wszędzie tańczą załamujące się promienie słońca. Clarke nie potrafi określić, czy iluzja jest w pełni sztuczna, czy stworzono ją na podstawie archiwalnych nagrań prawdziwej rafy koralowej. Nie umiałaby zresztą dostrzec różnicy. Żadne ze stworzeń morskich, które poznała przez lata, nie wiodło życia w świetle słońca.

Ryfterka podejrzewa, że mieszka tu sporo rodzin. Dorośli na ogół nie przepadają za wizerunkami królestwa zwierząt. Trudno utrzymać estetykę, wiedząc, na czym polega ironia.

Jest: D-18. Clarke naciska dzwonek. Za zamkniętym włazem rozlega się stłumiona melodyjka. Słychać jakąś piskliwą muzykę, czyjs cichy głos i odgłosy ruchu.

Właz otwiera się. W wejściu staje krępa dziewczynka w wieku około dziesięciu lat i spogląda na Clarke spod czupryny nastroszonych pasm blond włosów. Z wnętrza mieszkania sączy się muzyka – to flet Lex, jak rozpoznaje ryfterka.

Na widok Lenie Clarke, dziewczynka przestaje się uśmiechać.

– Cześć – odzywa się kobieta. – Szukam Alyx. – Sama próbuje przywołać na twarz uśmiech.

Zupełnie to do niej nie pasuje. Dziewczynka cofa się niepewnie.

– Lex...

Muzyka urywa się.

– Co? Kto przyszedł?

Blondynka odsuwa się na bok, nerwowa niczym kot. Alyx Rowan siedzi oślepiona na kanapie pośrodku pomieszczenia. Opuszcza dłoń trzymającą flet, a drugą sięga po zestaw słuchawkowy z macicy perłowej, który zakrywa jej oczy.

– Hej, Lex – odzywa się Clarke. – Twoja mama powiedziała mi, że cię tu znajdzie.

– Lenie! A więc już ją przesłaś!

– Przesłałam?

– Kwarantannę. Powiedzieli nam, że zamknęli ciebie i psychola na jakieś testy czy coś takiego. Rozumiem, że zaliczyłaś je śpiewająco. – Przed kanapą stoi mniej więcej metrowy, prostokątny postument na kółkach. Również wykończono go opalizującą macicą perłową. Alyx odkłada na niego swój zestaw słuchawkowy obok drugiego takiego samego, który już się tam znajduje.

Kulejąc, Clarke wchodzi do środka pomieszczenia. Alyx natychmiast pochmurnieje.

– Co ci się stało w nogę?

– Kalmar pozbawiony kontroli. Zaczepił mnie sterem.

Kątem oka Clarke widzi, jak koleżanka Alyx mamrocze coś pod nosem i znika w głębi korytarza. Kobieta odwraca się za nią.

– Twoja przyjaciółka chyba za mną nie przepada.

Alyx macha ręką z lekceważeniem.

– Kelly łatwo wystraszyć. Wystarczy jedno spojrzenie i zaraz przypomina sobie wszystkie te bzdury na wasz temat, które opowiada jej matka. Jest miła, ale w *ogóle* nie sprawdza swoich źródeł informacji. – Dziewczynka wzrusza ramionami, kończąc temat. – To co słysząc?

– Pamiętasz, jak jakiś czas temu mówiłam ci o kwarantannie?

Alyx marszczy brwi.

– Jakiś facet został ugryziony. Erickson.

– Zgadza się. No więc wygląda na to, że jednak coś złapał, dlatego między innymi postanowiliśmy na jakiś czas wprowadzić na Atlantydzie zasadę „żadnych rybogłowych”.

– Dajecie im się stąd wykopać?

– W zasadzie uważam, że to dobry pomysł – przyznaje Clarke.

– Dlaczego? Co takiego on złapał?

Clarke kręci głową.

– Nie do końca chodzi o kwestie medyczne, choć są one... częścią problemu. Po prostu zrobiło się dość gorąco, po obu stronach. Twoja mama i ja doszliśmy do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli my i wy nie będziemy wchodzić sobie w drogę. Przez jakiś czas.

– Dlaczego? Co się stało?

– Mama ci nie...? – Dopiero po chwili Clarke orientuje się, że Patricia Rowan mogła uznać, że o pewnych rzeczach lepiej nie informować córki. A jeśli już o to chodzi, to nie wiadomo, ilu spośród *dorosłych* mieszkańców Atlantydy jest w tej sprawie na bieżąco. Korpy z zasady nie palą się do ujawniania wszystkich informacji.

Oczywiście Lenie Clarke gównem obchodzą uczucia korpów. Ale mimo to nie chce stawać pomiędzy Pat a...

– Lenie? – Alyx spogląda na nią ze zmarszczonymi brwiami. Dziewczynka jest jedną z niewielu osób, przy których Clarke czuje się swobodnie z odsłoniętymi oczami. Teraz jednak cieszy się, że ma na nich nakładki.

Robi kilka kroków po dywanie i jej oczom ukazuje się inna ścianka postumentu. Miejsce tuż poniżej górnej krawędzi zajmuje pasek będący najwyraźniej czymś w stylu panelu sterowania. Na ciemnym pleksiglasie migają czerwone i niebieskie ikony. Przez całą długość biegnie świetlista, kanciasta fala przypominająca wykres EEG.

– Co to takiego? – pyta Clarke, chwytając się możliwości zmiany tematu. Urządzenie jest zbyt duże, by mogło stanowić interfejs jakiejś gry.

– To? – Alyx wzrusza ramionami. – Należy do Kelly. To mózgoser.

– *Co?!*

– No wiesz, inteligentny żel. Wyhodowane neurony z...

– Wiem, co to takiego, Lex. Po prostu jestem dość zaskoczona, że widzę tu coś takiego po tym, jak...

– Chcesz go obejrzyć? – Alyx dotyka niewielkiego tatuażu na pokrywie szafki. Perłowa powierzchnia przez krótką chwilę wiruje, po czym rozjaśnia się: za przezroczystą obecnie szybką, we wnętrzu obręczy spoczywa kawałek różowo-szarawej tkanki, przypominający miskę mięsnej owsianki. Jego powierzchnię znaczą równe, kropkowane linie brązowego szkła.

– Nie jest zbyt duży – mówi Alyx. – O wiele mniejszy od tych z dawnych czasów. Kelly twierdzi, że jest jak kot.

*Czyli złośliwy, a może też niezwykle inteligentny.*

– Do czego służy? – chce wiedzieć Clarke. *Z pewnością nie byłoby na tyle głupi, by używać tych rzeczy po tym, jak...*

– To coś w stylu zwierzaka – wyjaśnia Alyx przeproszającym tonem. – Kelly nazywa go Mruczkiem.

– *Zwierzaka?*

– Pewnie. Myśli, no w pewnym sensie. Może nauczyć się różnych rzeczy. Chociaż nikt do końca nie wie, jak to robi.

– A więc słyszałaś o tym, prawda?

– Jest o wiele mniejszy niż te, które, no wiesz, pracowały dla was.

– *One wcale dla nas n-*

– Jest nieszkodliwy, naprawdę. Nie jest podłączony do systemów podtrzymujących życie ani nic takiego.

– Więc co robi? Uczycie go sztuczek? – Mózgowa owsianka połyskuje niczym jątrząca się rana.

– W pewnym sensie. Odpowiada, kiedy coś się do niego mówi. Nie zawsze z sensem, ale dzięki temu jest śmiesznie. A jeśli odpowiednio podkreślić dane audio, podkłada do muzyki czadowe wzory kolorystyczne. – Alyx podnosi leżący na kanapie flet i wskazuje na zestaw słuchawkowy. – Chcesz zobaczyć?

– Zwierzak – mruczy pod nosem Clarke. *Cholerne korpy...*

– Nie my – odpowiada ostro Alyx. – Nie wszyscy nimi jesteśmy.

– Słucham? Kim nie jesteście?

– Korpami. Kogo w ogóle masz na myśli? Moją mamę? *Mnie?*

*Powiedziałam to na głos?*

– Chodzi po prostu o... osoby z korporacji. – Nigdy nie zastanawiała się nad pochodzeniem tego terminu, tak jak nie rozmyślała też nad etymologią wyrazów *krzesło* czy *fumarola*.

– W razie, gdybyś nie zauważyła, jest tu też całe mnóstwo innych ludzi. Komputerowców, lekarzy i po prostu członków *rodzin*.

– Tak, wiem. Oczywiście, że...

– Ale ty wrzucasz nas wszystkich do jednej szuflady, wiesz? Jeśli nie mamy rur w piersi, to jesteśmy dla ciebie *korpami*.

– Cóż, przepraszam – odpowiada Clarke i poniewczasie próbuje się bronić. – Nie chciałam cię obrazić. To tylko słowo.

– To nie jest *tylko słowo* dla was, rybogłowych.

– Przepraszam – powtarza ryfterka. Pomiędzy nią a Alyx wytworzył się pewien dystans, choć żadna z nich się nie poruszyła.

– Tak czy siak – odzywa się po chwili Clarke – chciałam tylko dać ci znać, że przez jakiś czas nie będę w środku. Oczywiście wciąż możemy rozmawiać, ale...

Odgłosy ruchu od strony wjazdu. Do pomieszczenia wchodzi duży mężczyzna o mocnej budowie. Ma zaczesane do tyłu ciemne włosy i zmarszczone brwi, a w całej jego postawie przejawia się skrywana wrogość. Ojciec Kelly.

– Pani Clarke – mówi spokojnym głosem.

Wnętrznosci kobiety zawiązują się w twardy węzeł. Doskonale zna to spojrzenie. Zna też tę postawę, bo widziała ją niezliczoną ilość razy, będąc w wieku Kelly. Wie, co robią *ojcowie*, co robił jej *własny*, ale ona sama nie jest już małą dziewczynką, a ojcu Kelly zdecydowanie przydałoby się dać *nauczkę*...

Wciąż jednak musi sobie przypominać. Żadna z tych rzeczy nie miała miejsca.

## PORTRET SADYSTY Z CZASÓW DORASTANIA

Rzecz jasna, z czasem Achilles Desjardins nauczył się oszukiwać komary. Już jako dziecko znał realia. W świecie będącym ze względów bezpieczeństwa pod ciągłą obserwacją istnieli tylko obserwowani i obserwujący, a on wiedział, po której stronie obiektywu wolał przebywać. Zwłaszcza, że nie potrafiłby walić konia przed publicznością.

A jeśli już o tym mowa, to robienie tego bez świadków też przychodziło mu z trudem. Ostatecznie wpojono mu pewne religijne wierzenia. Uczepione kurczowo *Nouveaux Séparatistes* katolickie miazmaty przetrwały w Quebecu nawet wtedy, gdy wszędzie indziej uznano je za kiczowaty nonsens. Wierzenia te dręczyły Achillea każdej nocy, kiedy się dotykał, kiedy chore, nienawistne obrazy przewijały się przez jego umysł, sprawiając, że jego penis twardniał jak skała. W zasadzie nie miało znaczenia, że komary znajdowały się w trybie offline, chwiejąc się pijacko pod wpływem

magnetycznych mobili, które chłopiec powiesił nad łóżkiem, biurkiem i komodą. W zasadzie nie miało znaczenia, że i tak trafi do piekła, choćby nie dotknął się już ani razu do końca życia, bo czyż Jezus nie powiedział *Jeśli robisz to choćby tylko w sercu, to tak, jakbyś zrobił to w oczach Boga?* Achilles już i tak skazany był na potępienie przez własne mimowolne myśli. Co więc miał do stracenia, podporządkowując się im?

Niedługo po jedenastych urodzinach, jego penis zaczął zostawiać po sobie dowody w postaci mętnego płynu, który wytryskiwał na pościel podczas nocnych zabaw. Przez dwa tygodnie brakowało mu śmiałości, by zapytać o to encyklopedię. Aż tyle czasu zajęło mu dojście do tego jak sfabrykować dzienniki zapytań, by mama i tata o niczym się nie dowiedzieli. Złamanie ustawień prywatności domowej pralki pochłonęło kolejne trzy dni. Nie sposób określić, jakich pierwiastków śladowych to cholerstwo mogłoby poszukiwać. Kiedy wreszcie Achilles ośmielił się uprać swoją pościel, ta cuchnęła już jak Andrew Trites z domu kultury, który był dwa razy większy niż ktokolwiek z jego obstawy i koło którego nikt nie chciał stać na przystanku rapitransu.

– Wydaje mi się... – zaczął trzynastoletni Achilles.

Nie wierzył już w Kościół. Ostatecznie w głębi duszy był empirystą, a Bóg nie wytrzymałby nawet dziesięciu sekund analizy krytycznej w wykonaniu kogoś, kto odkrył już straszliwą prawdę o Króliczku Wielkanocnym. Jednak, paradoksalnie, na jakimś pierwotnym poziomie świadomości, który opierał się prawom logiki, potępienie wydawało się bardziej realne niż kiedykolwiek wcześniej. A póki potępienie wydaje się realne, nie zaszkodzi się wypowiedzieć.

– ...że jestem potworem – dokończył.

Nie było to aż tak ryzykowne wyznanie, na jakie mogłoby wyglądać. Powiernik Achillesa nie był szczególnie godny zaufania – chłopiec ściągnął go z sieci (a raczej z Wiru, bo tak ją teraz wszyscy nazywają), mógł więc mieć mnóstwo wirusów i koni trojańskich nawet *gdyby* wyczyścić go dokładnie – ale za to pozbawił go wszystkich wejść i wyjść z wyjątkiem głosu i mógł usunąć go, *gdyby* tylko program spróbował czegoś zabawnego. Zresztą i tak Achilles zamierzał to zrobić na sam koniec. Nic nie mogło zostać na komputerze po tym, jak już się uzewnętrzni.

Ojciec dostałby szału, *gdyby* dowiedział się, że Achilles wpuścił jakąś obcą aplikację do sieci domowej, ale chłopiec obawiał się ryzyka związanego z użyciem domowych filtrów, choć ojciec *zaprzestał* szpiegowania po śmierci matki. Ale przecież i tak nie mógł się o niczym dowiedzieć. Siedział na dole, zagrzebany w swym sensorium razem z resztą prowincji, a raczej resztą *kraju*, jak musiał teraz wciąż poprawiać się Achilles, celebrując z pompą obchody pierwszego Dnia Niepodległości Quebecu. Ponura, obrażona Penny – jako że czasy, kiedy wielbiła swego brata już dawno minęły – z przyjemnością wydałaby go w jednej sekundzie, ale ostatnio praktycznie nie zdejmowała z głowy hełmu wniebowzięcia. Pewnie już całkiem wygładziło jej to fałdy płatów skroniowych.

Ostatni nowy kraj na świecie obchodził swoje urodziny, a Achilles Desjardins siedział w swoim pokoju sam na sam ze swoim spowiednikiem.

– Jakiego rodzaju potworem? – zapytał TeraPrzyjaciół™ 6.2 głosem niezdradzającym płci.

Chłopiec poznał to słowo tego ranka. Teraz wymówił je wyraźnie:

– Mizoginistą.

– Rozumiem – mruknął w odpowiedzi TeraPrzyjaciół™.

– Mam takie... Miewam takie odczucia. Jeśli chodzi o robienie im krzywdy. Dziewczynom.

– A jak się wtedy czujesz? – Głos zaczął brzmieć jakby nieco bardziej męsko.

– Dobrze. Okropnie. To znaczy, *podobają* mi się. Te odczucia.

– Czy mógłbyś opisać mi je nieco dokładniej? – W głosie próżno było szukać oznak szoku czy obrzydzenia. Rzecz jasna, nie mogło ich tam być. Program nie posiadał uczuć, nie był nawet aplikacją turingowską. W gruncie rzeczy można było uznać go za wymyślne menu. Mimo to jednak, Achilles poczuł dziwną ulgę.

– To takie... seksowne – przyznał. – Samo, samo myślenie o nich w ten sposób.

– W jaki konkretnie sposób?

– Że są takie, no wiesz, bezradne. Bezbronne. Ja, ja lubię ten ich wyraz twarzy kiedy... no wiesz...

– Mów dalej – zachęcił TeraPrzyjaciół™.

– Kiedy cierpią – dokończył ponuro chłopiec.

– Ach tak – odparła aplikacja. – Ile masz lat, Achillesie?

– Trzynaście.

– Czy wśród twoich przyjaciół są dziewczęta?

– No pewnie.

– A co czujesz w odniesieniu do nich?

– Przecież już ci *mówiłem!* – syknął Achilles, z trudem powstrzymując się od podnoszenia głosu. –

Miewam takie...

– Nie – przerwał mu łagodnie TeraPrzyjaciół™. – Pytam, jakie są twoje osobiste *uczucia* względem nich, kiedy nie jesteś podniecony seksualnie. Czy ich nienawidzisz?

Cóż, nie. Andrea była naprawdę bystra i zawsze mógł zwrócić się do niej o pomoc w usuwaniu wirusów. Natomiast Martine... Pewnego razu Achilles nieomal *zabił* jej starszego brata, kiedy ten się nad nią znęcał. Martine nigdy nie bywała złośliwa, a ten dupek...

– Ja... Lubię je – odparł chłopiec i zmarszczył czoło, zdezorientowany tym paradoksem. – Bardzo je lubię. Są świetne. Z wyjątkiem tych, które chcę, no wiesz, i to też tylko wtedy, kiedy...

TeraPrzyjaciół™ czekał cierpliwie.

– Wszystko jest w porządku – powiedział wreszcie Achilles. – Tylko nie wtedy, kiedy chcę...

– Rozumiem – skwitowała po chwili aplikacja. – Achillesie, mam dla ciebie dobre wieści. Jednak nie jesteś mizoginistą.

– Nie?

– Mizoginista to ktoś, kto nienawidzi kobiet, boi się ich albo uważa za gorsze. Czy jesteś kimś takim?

– Nie, ale... W takim razie kim jestem?

– To proste – odpowiedział TeraPrzyjaciół™. – Jesteś sadystą seksualnym. To coś zupełnie innego.

– Naprawdę?

– Seks to bardzo stary instynkt, Achillesie, który nie wykształcił się w próżni. Rozwijał się razem z przeróżnymi innymi podstawowymi popędami: walką o partnera, terytorializmem, rywalizacją o zasoby. Nawet w zdrowym seksie zawarty jest duży element przemocy. Seks i agresja mają w dużej mierze wspólne szlaki nerwowe.

– Czyli... czyli chcesz powiedzieć, że *wszyscy* są tacy, jak ja? – Byłaby to chyba płonna nadzieja.

– Niezupełnie. Większość ludzi posiada pewną blokadę, która tłumi agresywne instynkty w czasie seksu. Blokady te u jednych działają lepiej, u innych gorzej. U sadystów *w ogóle* nie działają.

– A kimś takim jestem ja – wymamrotał Achilles.

– To bardzo możliwe – odparł TeraPrzyjaciół™ – ale nie sposób tego stwierdzić bez odpowiednich badań klinicznych. Wygląda na to, że nie mogę połączyć się teraz z twoją siecią, ale mogę przedstawić ci listę stowarzyszonych z nami kabin medycznych w twojej okolicy, jeśli tylko podasz mi swoją lokalizację.

Za plecami chłopca skrzypnęły cicho zawiasy drzwi do jego pokoju. Achilles odwrócił się i nagle zamarł.

Drzwi otworzyły się. Na progu, spowity w mroku stanął jego ojciec.

– Achillesie – odezwał się znów TeraPrzyjaciół™ gdzieś z bardzo daleka – w trosce o swoje zdrowie, a nie wspominając już o własnym spokoju, powinieneś odwiedzić jedną z naszych filii. Fachowa diagnoza to pierwszy krok ku właściwemu leczeniu, a leczenie to pierwszy krok ku zdrowiu.

*Nie mógł niczego słyszeć*, przekonywał sam siebie Achilles. TeraPrzyjaciół™ mówił do słuchawki w jego uchu, a ojciec nie potrafiłby powstrzymać wskaźnika przed miganiem, gdyby podsłuchiwał. Nie znał się na hakowaniu.

Nie mógł więc słyszeć TeraPrzyjaciół™. Ale mógł Achillesa.

– Jeśli martwią cię koszty, nasze stawki... – Niemal nie poświęcając temu choćby jednej myśli, chłopiec usunął aplikację. Zebrało mu się na mdłości.

Ojciec stał bez ruchu.

Ostatnimi czasy ogólnie zbyt wiele się nie poruszał. Mężczyzna wyposażony niegdyś w krótki lont i cienki niczym włos zapalnik z upływem lat pogrzył się w marazmie, rozdarty pomiędzy żalem a obojętnością. Jego niegdyś żarliwy i uparty katolicyzm obrócił się przeciw sobie wraz z upadkiem Kościoła, a jego samego wypalił do cna zajadły gniew wynikający z poczucia zdrady. Kiedy umarła matka Achillesa, nie zostało już prawie miejsca nawet na smutek. (Błąd w leczeniu, jak wyjaśnił bezbarwnym tonem ojciec, wróciwszy ze szpitala. Aktywowano niewłaściwe promotory, przez co ciało zostało niejako zaszczepione przeciwko własnym genom i zaczęło pożerać się samo od środka. Nic nie mógł zrobić. Podpisał więc dokument, że nie będzie próbował pociągnąć nikogo do odpowiedzialności prawnej.)

Teraz stał w ciemnym przedpokoju, kołysząc się lekko. Nawet nie zacisnął pięści. Już od wielu lat nie podniósł ręki na żadne ze swych dzieci.

Więc czego się boję? – zastanawiał się Achilles ze ściśniętym żołądkiem.

*On wie. On wie. Boję się, że on wie...*

Kąciki ust ojca ściągnęły się lekko, niemal niezauważalnie. Nie był to uśmiech. Nie był to grymas. W późniejszych latach, dorosły Achilles Desjardins, wspominając ten dzień zrozumie, że była to oznaka niejakiego pogodzenia się z rzeczywistością, wtedy jednak nie miał pojęcia, co kryło się za wyrazem twarzy ojca. Wiedział jedynie, że ten ruszył z powrotem korytarzem i zaszył się w sypialni, zamykając za sobą drzwi. Nigdy też nie wrócił do wydarzeń tamtej nocy.

W późniejszych latach Achilles zrozumiał też, że TeraPrzyjaciół™ jedynie go naciągał. Ostatecznie jego zadaniem było przyciągnąć jak najwięcej klientów, a raczej ciężko to osiągnąć, waląc im nieprzyjemną prawdę między oczy. Program miał za zadanie sprawić, by poczuł się lepiej, bo tak działa strategia marketingowa.

Jednocześnie niekoniecznie oznaczało to, że *kłamał*. Po co miałby to robić, jeśli prawda załatwiłaby sprawę? Poza tym taka wersja miała *sens*. Nie grzech, lecz usterka. Źle ustawiony termostat bez jego własnej winy. Życie to maszyna, mechaniczne urządzenia zbudowane z białek, kwasów nukleinowych i elektryczności – a które urządzenie ma świadomą kontrolę nad swoimi parametrami? Było to wyzwającym objawieniem wtedy, wraz z początkiem istnienia niepodległego Quebecu: uniewinnienie przez wzgląd na wadliwy układ elektryczny.

Dziwne.

Wydawałoby się, że coś takiego powinno zmniejszyć nieco poziom nienawiści do samego siebie w kolejnych latach.

## OPIEKA DOMOWA

Gene Erickson i Julia Friedman mieszkają w małym, jednopiętrowym habie jakieś sto metrów na południowy wschód od Atlantydy. Zawsze to Julia zajmowała się większością prac domowych: powszechnie wiadomo, że Gene robi się nerwowy w zamkniętych pomieszczeniach. Dla niego *domem* jest otwarta przestrzeń grzbietu: hab to zło konieczne, przeznaczony do seksu, spożywania posiłków, a sporadycznie przydatny w chwilach, kiedy mroczne sny okazywały się niewystarczająco zabawne. Jednak nawet wtedy traktował go tak, jak poławiacze pereł sprzed dwustu lat zachowywali się, słysząc dźwięk dzwonu na wynurzenie: jako miejsce, gdzie chwyciłoby się haust powietrza, by powrócić w głąbiny.

Oczywiście teraz jest to raczej OIOM.

Lenie Clarke wychodzi ze śluzu i odkłada płetwy na leżącą z boku, dość osobliwą wycieraczkę. W głównym pomieszczeniu jest dość ciemno, nawet dla oczu ryfterów. Mroczną poświatę szarości rozpraszają jedynie jaskrawe kolory odczytów na tablicy komunikacyjnej. W powietrzu unosi się zapach pleśni i metalu, czuć także mniej wyraźne nuty wymiocin i środka dezynfekującego. Pod stopami bulgoczą systemy służące do podtrzymywania życia. Otwarte włazy, prowadzące do składziku, kibla i kabiny sypialnej, przypominają rozdziawione, czarne usta. Gdzieś nieopodal popiskuje elektroniczny metronom. To monitor pracy serca odmierzający czas od jego ostatniego uderzenia.

Z głębi pomieszczenia wychodzi Julia Friedman.

– Wciąż jest... Och. – Kobieta zamieniła skórę głębinową na termochromiczny golf, zakrywający większość jej blizn. Dziwnie widzieć ryftera w stroju lądowca. – Cześć, Lenie.

– Cześć. Co z nim?

– W porządku. – Julia obraca się, by oprzeć się plecami o framugę wjazdu – połowa jej ciała skąpana jest w ciemnościach, drugą okrywa półmrok. Kieruje twarz ku czerni i skrytej w jej wnętrzu osoby. – Pewnie mogłoby być lepiej. Śpi. Dużo śpi.

– Jestem zaskoczona, że w ogóle udaje ci się zatrzymać go w środku.

– No tak. Myślę, że wolałby być tam, nawet teraz, ale... chyba robi to dla mnie. Bo go o to poprosiłam. – Friedman kręci głową. – To było za łatwe.

– Ale co?

– Przekonanie go. – Kobieta bierze głęboki oddech. – Przecież wiesz, że kocha być na zewnątrz.

– Antybiotyki przepisane przez Jerry pomagają?

– Może. Chyba tak. Trudno to określić, wiesz? Zawsze mogłaby powiedzieć, że bez nich byłoby z nim jeszcze gorzej, bez względu na to, jak źle by było.

– A tak mówi?

– Gene nie rozmawiał z nią, od kiedy tu wrócił. Nie ufa im. – Julia wbija wzrok w pokład. – To ją za to obwinia.

– Za to, że jest chory?

– Uważa, że coś mu zrobili.

Clarke przypomina sobie.

– Co konkretnie ma...

– Nie wiem. Coś. – Friedman podnosi wzrok: jej opancerzone oczy spotykają się na krótką chwilę z oczami Clarke, po czym uciekają w bok. – Coś długo nie chce ustąpić, wiesz? Jak na zwykłą infekcję. Nie uważasz?



– Naprawdę nie wiem, Julio.

– Może behemot coś miesza. Pogarsza sprawę.

– Nie mam pojęcia, czy może mieć takie działanie.

– Może teraz ja też jestem już zarażona. – Friedman niemalże mówi sama do siebie. – To znaczy, dużo przy nim przebywam...

– Możemy cię zbadać, jeśli chcesz.

Kobieta obrzuca Clarke wzrokiem.

– Byłaś zainfekowana, prawda? Wcześniej.

– Ale tylko przez behemota – odpowiada ryfterka, celowo rozgraniczając oba przypadki. – Nie zabiło mnie to. Nawet się nie pochorowałam.

– Ale ostatecznie tak by się stało. Prawda?

– Gdybym nie miała modyfikacji. Ale miałam. Wszyscy mamy. – Postanawia zaryzykować uśmiech. – Jesteśmy ryfterami, Julio. Twardymi, małymi skurwielami. Wyliże się z tego. Jestem o tym przekonana.

To niewiele i Clarke dobrze o tym wie. W tej chwili jednak może zaoferować Julii Friedman tylko dodające otuchy kłamstwa. Nie próbuje jej dotykać. Friedman nie przepada za fizycznym kontaktem. Być może jakoś zniosłaby obecność pocieszającej dłoni na ramieniu, może nawet odczytałaby ten gest w taki sposób, jaki był intencją drugiej osoby, ale jeśli chodziło o jej przestrzeń osobistą, Julia Friedman stawała się bardzo wybiórcza. Była to jedna z niewielu płaszczyzn, na których Clarke czuła więź z drugą kobietą. Każda z nich widziała, kiedy druga się wzdraga, nawet jeśli tego nie robiła.

Friedman znów spogląda w mrok.

– Grace powiedziała mi, że pomogłaś go stamtąd wydostać.

Clarke wzrusza ramionami, nieco zaskoczona, że Nolan postanowiła docenić jej wkład.

– Też bym tam z wami była, wiesz? Ale... – Friedman milknie. W ciszy, która nagle zapadła, słychać pojękiwanie wentylatorów habu.

– Ale wydawało ci się, że byłoby lepiej, gdyby został tam, gdzie był – kończy za nią Clarke.

– Ależ nie. No, może częściowo. W każdym razie nie wydaje mi się, by doktor Seger była tak złą osobą, za jaką oni ją mają.

– Oni?

– Gene i... Grace.

*Aha.*

– Tylko nie wiedziałam... nie wiedziałam, czy on w ogóle *chciałby*, żebym tam była. – Friedman uśmiecha się smutno. – Kiepski ze mnie wojownik, Lenie. Nie jestem jak ty czy... Ja tylko uchylam się przed ciosami.

– Julio, mógłby być z Grace od samego początku, gdyby tylko chciał. A jest z tobą.

Friedman wybucha śmiechem, nieco zbyt szybko.

– O, nie. Nie to miałam na myśli. – Wygląda jednak na to, że słowa Clarke trochę podniosły ją na duchu.

– No dobrze. Chyba zostawię was samych. Chciałam tylko zajrzeć na chwilę i dowiedzieć się, co u niego.

– Przekażę mu – odpowiada Friedman. – Na pewno to doceni.

– Jasne. Żaden problem. – Clarke pochyla się i podnosi płetwy.

– Powinnaś odwiedzić nas jeszcze raz, gdy nie będzie spał. Ucieszyłby się. – Kobieta waha się przez chwilę i odwraca głowę. Kasztanowe loki opadają jej na twarz. – Mało kto do nas zagląda, wiesz? Poza Grace. Saliko też był tu jakiś czas temu.

Clarke wzrusza ramionami.

– Zachowania społeczne trochę kuleją u ryfterów. – *Powinnaś już dobrze o tym wiedzieć*, ale nie mówi tego głośno. Czasami Friedman zachowuje się, jakby niczego nie rozumiała. Jakby blizny i cała przeszłość nie miały żadnego znaczenia, a ona sama była ryfterką tylko z nazwy, honorową członkinią wpuszczaną do środka na podstawie uprawnień jej męża.

*Co z kolei rodzi pytanie, co w takim razie ja tutaj robię*, przychodzi do głowy Clarke.

– Wydaje mi się, że czasami biorą go zbyt poważnie – odzywa się znów Friedman.

– Poważnie? – Clarke zerka w stronę słuzy. Hab zrobił się nagle jakby trochę mniejszy.

– W kwestii, no wiesz. Korpów. Słyszałam, że Saliko czuje się jakoś dziwnie, ale znasz Saliko.

*Uważa, że coś mu zrobili...*

– Ja tam bym się tym nie przejmowała – odpowiada Clarke. – Naprawdę. – Uśmiecha się, kwitując wewnętrznym westchnieniem swą biegłość w sztuce dyplomacji.

Z czasem, powtarzanie pocieszających kłamstw przychodzi coraz łatwiej.

Minęło już trochę czasu, od chwili, kiedy ostatnim razem pozwoliła Kevinowi, żeby ją wziął. Niestety nigdy nie był w tym zbyt dobry. Ma większe problemy z utrzymaniem erekcji niż większość dzieciaków w jego wieku, ale w sumie nie jest to rzadka przypadłość wśród miejscowej społeczności przydennej. A fakt, że postanowił ćwiczyć na tak oziębłej suce jak Lenie Clarke ani trochę nie poprawia jego sytuacji. Mężczyzna obawiający się dotknąć kobiety; kobieta, która nie znosi kontaktu fizycznego. Jeśli w ogóle mają ze sobą coś wspólnego, jest to cierpliwość.

Uznała, że jest mu to winna. Poza tym, chciała zadać mu kilka pytań.

Dziś jednak Kevin sprowadza się do twardego jak granit fiuta i połączonego z nim pnia mózgu. Pieprzyć grę wstępną – z miejsca napiera na nią, nie zdobywając się nawet na trochę symbolicznej pracy językiem, by zrekompensować w ten sposób brak odpowiedniego nawilżenia. Trze boleśnie o jej wargi sromowe. Clarke dyskretnie wsuwa sobie rękę między nogi i rozchyła je. Pochylony nad nią Walsh serwuje jej pchnięcie za pchnięciem, dysząc ze świstem przez zęby zaciśnięte w zwierzęcym grymasie. Ze skrytych za nakładkami oczu nie sposób niczego wyczytać. Nigdy nie obnażają oczu w czasie seksu – jak zwykle górę wzięły upodobania Clarke – ale para błoniastych, mlecznych skorupki na ogół i tak nie jest w stanie ukryć uczuć malujących się na twarzy Kevina. Jednak tym razem jest inaczej. Za jego nakładkami kryje się coś, czego Clarke nie potrafi rozgryźć, coś skoncentrowanego na miejscu, gdzie ona leży, ale nie na *niej*. Każde kolejne pchnięcie przesuwają ją coraz wyżej na posłaniu, aż wreszcie jej głowa zaczyna obijać się boleśnie o nagą, metalową powierzchnię pokładu. Pieprzą się w milczeniu pośród stęchłego powietrza i przeszczepionej maszynerii.

Clarke nie ma pojęcia, co go napadło. Niemniej jednak jest to miła odmiana, a na pewno coś najbardziej pokrewnego porządnemu gwałtowi, co spotkało ją od lat. Kobieta zamyka oczy i wyobraża sobie Karla Actona.

Lecz kiedy jest już po wszystkim, zauważa siniaka na *jego* ramieniu: koronę popękanych naczynek włosowatych, otaczającą maleńkie nakłucie po wewnętrznej stronie łokcia.

– Co to takiego? – Clarke dotyka krwiaka ustami i przebiega językiem po opuchliznie.

– A, to. Grace pobiera od wszystkich próbki krwi.

Kobieta podnosi głowę.

– Co?

– Nie jest w tym najlepsza. Dopiero za którymś podejściem udało jej się trafić w żyłę. Żałuj, że nie widziałas Lijego. Wygląda jakby napadł go jeżowiec.

– Dlaczego Grace pobiera wszystkim krew?

– Nie słyszałaś? Lije zachorował na coś. Saliko też jakoś gorzej się czuje, a przecież kilka dni temu odwiedził Gene'a i Julię.

– A więc Grace myśli...

– Bez względu na to, co zafundowały mu korpy, to coś się rozprzestrzenia.

Clarke siada. Leżała nago przez pół godziny, ale dopiero teraz zrobiło się jej zimno.

– Grace myśli, że korpy coś mu zafundowały.

– To Gene tak myślał. Ona zamierza się tego dowiedzieć.

– Niby jak? Przecież nie zna się na medycynie.

Walsh wzrusza ramionami.

– Nie trzeba się znać, żeby zrobić użytek z bazy medycznej.

– Jezu kurwa Chryste. – Clarke kręci głową z niedowierzaniem. – Nawet gdyby w Atlantydzie *rzeczywiście* chcieli sprzedać nam jakiegoś wirusa, to przecież nie byłiby na tyle głupi, żeby brać coś ze standardowej bazy danych.

– Wydaje mi się, że uważa to za dobry punkt wyjścia.

W jego głosie słychać jakieś dziwne nuty.

– Wierzysz jej – stwierdza Clarke.

– Cóż, nie do...

– Czy Julia na coś zachorowała?

– Na razie nie.

– *Na razie nie*. Kevin, Julia nie oddała się od niego choćby na krok, od kiedy go uwolnili. Gdyby ktokolwiek miał się czymś zarazić, to nie wydaje ci się, że ona? Saliko odwiedził ich ile razy? Raz?

– Może dwa.

– A co z *Grace*? Z tego, co słyszałam, ciągle tam przesiaduje. Czy *ona* jest chora?

– Powiedziała, że przedsięwzięła odpowiednie środki o...

– Środki ostrożności – parska Clarke. – Daruj mi. Czy jestem jedyną osobą ze sprawnym płatem czołowym na całym Grzbiecie? W zeszłym roku Abra zaliczyła jakiegoś supersyfa, pamiętasz? Minęło osiem miesięcy zanim Charley Garcia pozbył się tego *Ascarisa* z jelita i jakoś nie przypominam sobie, by ktokolwiek winił o *to* korpów. Ludzie chorują, nawet tutaj. *Zwłaszcza* tutaj. Połowa z nas gnije zanim zdecyduje się zostać tubylcami.

I znowu to samo: za połyskującymi, nieprzezroczystymi nakładkami Walsh'a kryje się coś nowego. Coś nie do końca przyjaznego.

Clarke wzdycha.

– Co?

– To tylko takie zabezpieczenie. Nie widzę w tym nic złego.

– Może wydarzyć się coś złego, jeśli ludzie zaczną pochopnie wyciągać wnioski, nie dysponując faktami.

Przez chwilę Walsh trwa w bezruchu, potem wstaje.

– Grace *próbuje* poznać fakty – mówi, robiąc kilka kroków w głąb pomieszczenia. – To ty wyciągasz pochopne wnioski.

*Oj, Kevinku*, myśli Clarke. *Kiedy niby ty wyhodowałaś sobie jaja?*

Mężczyzna podnosi z krzesła swoją skórę głębinową. Czarny syntetyk oplata jego ciało niczym kochanka.

– Dzięki za ruchanko – rzuca. – Muszę spadać.

## KOCIOŁ

Znajduje Lubina unoszącego się w wodzie przy brzegu zbiornika dzwonek wietrznych. Rury, światłowody oraz przeróżne inne części – w większości niedziałające, rozmontowane segmenty obwodów już dawno uległy zniszczeniu – opasują wielki rezerwuar na wysokości jego równika. W chwili obecnej prądy wodne są tu zbyt niemrawe, by wzbudzić blask skał i maszynierii. Jedyne źródłem światła jest latarka czołowa Lubina.

– Abra powiedziała, że cię tu znajdę – byczy Clarke.

– Możesz to potrzymać?

Kobieta bierze od niego niewielki czujnik.

– Chciałam z tobą porozmawiać.

– O czym? – Wygląda na to, że większość uwagi poświęca pulpie bursztynowego polimeru, wylewającej się z jednego z przewodów.

Clarke przesuwa się tak, by znaleźć się w polu widzenia mężczyzny.

– Krąży taka głupia plotka. Ponoć Grace opowiada ludziom, że Jerry sprzedała Gene'owi jakąś zarazę.

Vocoder Lubina tyka kilkakrotnie próbując oddać jego *mmmm...*

– Zawsze była cięta na korpów, ale przecież nikt nie bierze jej na poważnie. A przynajmniej tak było do niedawna...

Lubin przekręca zawór.

– To jest to.

– Co?

– Popękała żywica wokół termostatu. Powoduje to krótkie spięcia.

– Ken. *Posłuchaj mnie.*

Mężczyzna spogląda na nią i czeka.

– Coś się zmieniło. Grace nigdy nie naciskała tak mocno, pamiętasz?

– Osobiście nigdy nie skakałem sobie z nią do gardeł – byczy Lubin.

– Kiedyś była ona przeciwko reszcie świata. Ale ten wirus, którego złapał Gene wszystko zmienił.

Wydaje mi się, że ludzie zaczynają jej słuchać. Może się zrobić nieciekawie.

– Dla korpów.

– Dla nas wszystkich. Czy to nie ty ostrzegałeś mnie, co mogą zrobić korpy, jeśli tylko wezmą się w garść? Czy to nie ty powiedziałeś, że...

*Powinniśmy zrobić coś zapobiegawczego...*

W żołądku Clarke otwiera się niewielka czarna dziura.

– Ken – byczy z wolna. – *Wiesz, że Grace jest popierdolona, prawda?*

Przez dłuższą chwilę Lubin nie odpowiada. Clarke nie zamierza dawać mu ani chwili więcej.

– Serio, powinieneś czasem jej *posłuchać*. Zachowuje się tak, jakby wojna nigdy się nie skończyła. Ktoś kichnie, a ona bierze to za atak bronią biologiczną.

Skryta w mroku poza snopem światła latarki sylwetka mężczyzny porusza się lekko. Clarke orientuje się, że wzruszył ramionami.

– Zaszło kilka ciekawych zbiegów okoliczności – odpowiada Lubin. – Gene trafia na Atlantyde z poważnymi obrażeniami. Jerry operuje go w kabinie medycznej, gdzie nasz system monitoringu uległ uszkodzeniu, a potem ogłasza kwarantannę.

– Ta kwarantanna to przez *Behemota* – zauważa Clarke.

– Sama przypominasz co jakiś czas, że wszyscy zostaliśmy uodpornieni na Behemota. Dziwi mnie, że taki powód nie budzi twoich wątpliwości. – Clarke nie odpowiada, więc mężczyzna kontynuuje. –

Gene zostaje wypuszczony pomimo jakiegoś *zakażenia oportunistycznego*, którego nasz sprzęt nie jest w stanie zidentyfikować i które, jak do tej pory, nie reaguje na leczenie.

– Przecież tam byłeś, Ken. Jerry chciała zatrzymać go pod kwarantanną. Dale spuścił jej za to wpierdol. *Izolowanie* Pacjenta Zero to dość krótkowzroczna strategia, jeśli chce się rozsiać zarazę.

– Grace pewnie mogłaby powiedzieć, że wiedzieli, że i tak go stamtąd wyciągniemy – bżyczy Lubin – więc odegrali przed nami scenkę wielkiego oporu łudzając się, że potem zadziała to na ich korzyść.

– Czyli to, że walczyli o to, by został pod kwarantanną, ma świadczyć o tym, że chcieli go wypuścić? – Clarke zerka wymownie na wlot elektrolityczny Lubina. – Nie brakuje ci czasem tlenu, Ken?

– Chodzi mi o to, że takie powody może przedstawiać Grace.

– To dość pokręcone nawet jak na... – I nagle coś sobie uświadamia. – Ona dokładnie tak mówi, prawda?

Latarka czołowa Lubina przytakuje nieznacznie.

– Słyszałeś plotki. Wiesz o nich wszystko. – Clarke kręci głową, zniesmaczona samą sobą. – Tak jakbym kiedykolwiek musiała akurat *ciebie* o czymkolwiek informować...

– Zawsze nadstawiam ucha.

– Cóż, może mógłbyś zrobić coś więcej. To znaczy, wiem, że wolisz nie mieszać się w takie sprawy, ale Grace to jebana *psycholka*. Spiesz się do walki i nie obchodzi jej, kto oberwie przy okazji.

Lubin wisi nieruchomo w wodzie. Nie sposób odczytać, co myśli.

– Spodziewałbym się, że okażesz trochę więcej zrozumienia.

– Co to niby ma znaczyć?

– Nic – bżyczy mężczyzna po chwili. – Ale bez względu na to, co myślisz o zachowaniu Grace, jej obawy mogą nie być wcale takie bezpodstawne.

– Daj spokój, Ken. Wojna się skończyła. – Clarke uznaje jego milczenie za potwierdzenie. – Więc niby dlaczego korpy miałyby chcieć rozpętać ją na nowo?

– Bo ją przegrały.

– Zamierzchła historia.

– Kiedyś miałaś *siebie* za ofiarę – wytyka jej Lubin. – Ile trzeba było krwi, zanim *ty* uznałaś, że rachunki zostały wyrównane?

Jego metaliczny głos, taki spokojny i opanowany, rozbrzmiewa nagle z tak bliska, że wydaje się dobiegać z wnętrza głowy Clarke.

– To... to był błąd – przyznaje po chwili kobieta.

– Ale cię to nie powstrzymało. – Lubin wraca znów do swojej maszynerii.

– Ken.

Odwraca się w jej stronę.

– To jakieś bzdury. Mnóstwo niepotrzebnego *gdybania*. Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent Gene po prostu zaraził się czymś od tej ryby, która go ugryzła.

– Okej.

– Przecież mogą tu być całe setki różnych paskudnych wirusów, które nawet nie zostały jeszcze odkryte. Kilka lat temu nikt nawet nie słyszał o *behemocie*.

– Wiem o tym.

– Nie możemy pozwolić, by to się nasiliło. A już na pewno nie bez żadnych dowodów.

Jego oczy świecą żółtawobiałym blaskiem, odbijając światło latarki.

– Jeśli mówisz poważnie o tych dowodach, to możesz zebrać je sama.

– Niby jak?

Mężczyzna dotyka dłonią lewej strony swej klatki piersiowej. Miejsca, gdzie umieszczono implanty.

Clarke momentalnie robi się zimno.

– Nie.

– Jeśli Seger coś ukrywa, będziesz o tym wiedzieć.

– Może ukrywać całe mnóstwo rzeczy przed całym mnóstwem ludzi. Nie dowiem się w ten sposób, co *konkretnie*.

– Będziesz też wiedzieć, co czuje Nolan, skoro tak niepokoją cię jej pobudki.

– Znam jej pobudki. Nie muszę grzebać sobie w chemii mózgu, by potwierdzić swoje przypuszczenia.

– Z punktu widzenia medycznego, ryzyko jest minimalne – podkreśla Lubin.

– Nie o to chodzi. W ten sposób niczego nie dowiodę. Przecież wiesz, że nie da się odczytać indywidualnych myśli, Ken.

– Nie będzie takiej potrzeby. Odczytanie poczucia winy w zupełności wyst-

– *Powiedziałam: nie.*

– W takim razie nie wiem, co ci doradzić. – Znów się odwraca. Jego latarka czołowa zamienia instalację zbiornika w pochyloną przy krawędzi panoramę miasta o wysokim kontraście. Clarke przygląda się pracy mężczyzny, jak ten śledzi poszczególne połączenia, udrażnia rury i dokonuje drobnych zmian w tej architekturze. Nagle przy czubkach jego palców rozbłyskuje z sykiem miniaturowe słońce, oślepiając na chwilę Clarke. Gdy jej nakładki dostosowały się do nowej jasności, światło osiadło na powłoce zbiornika. Woda wokół niego migocze niczym pryzmat albo miraż podczas wyjątkowo gorącego dnia. Na mniejszych głębokościach natychmiast zamieniłaby się w parę.

– Jest inny sposób – byczy Clarke. Lubin wyłącza zgrzewarkę punktową.

– Jest. – Odwraca się w stronę kobiety. – Ale nie robiłbym sobie zbyt wielkich nadziei.

Jakiś czas temu, kiedy dopiero rozstawiano cały ten kemping, ktoś wpadł na świetny pomysł, by przekształcić jeden z habów w mesę: ustawić tam rząd cyklerów, kilka blatów do przygotowywania posiłków dla co śmielszych osób i parę składanych stołów rozrzuconych z wystudiowaną przypadkowością po całym suchym pokładzie. Całość miała przywodzić na myśl kawiarnię na patio. Ciasna rzeczywistość przypominała raczej składzik na zapleczu, gdzie przetrzymuje się meble przez zimę.

Ale jedna rzecz się przyjęła – ogród. Wijąca się i pnąca roślinność pokrywa teraz połowę mokrego pokładu. Światła dostarczają jej umieszczone pomiędzy liśćmi pałeczki solarne, przypominające bioluminescencyjne bambusy. Nie jest za to wcale hydroponiczna. Mała dżungla wyrasta ze skrzyń z ciemną, żyzną glebą – w gruncie rzeczy jest to muł okrzemkowy wzbogacony o różne organiczne suplementy – które kiedyś rzucały się w oczy dość wyraźnie, ale dawno już zniknęły pod zwałami kompostu.

To najlepiej pachnąca bańka atmosfery na całym Grzbiecie. Clarke otwiera prowadzący do niej właz i bierze głęboki oddech. Robi to jednak tylko częściowo po to, by móc rozkoszować się aromatem i świeżością. Próbuje też nabrać dzięki temu determinacji. Grace Nolan obrzuca ją wzrokiem z drugiego końca oazy, zajęta podwiązywaniem pnączy czegoś, co mogło być białym groszkiem zanim opatentowano tę nazwę.

Lecz gdy Clarke stawia stopę na pokładzie, Nolan obdarza ją uśmiechem i spojrzeniem półprzejrzystych oczu.

– Hej, Lenie!

– Cześć, Grace. Pomyślałam sobie, że może mogłybyśmy porozmawiać.

Nolan wsuwa sobie strączek do ust – śliski, czarny płaz pożywiający się pośród soczystej zieleni dawno wymarłego mokradła. Przeżuwa, chyba nieco dłużej niż jest to konieczne.

– O...?

– O Atlantydzie. Testach krwi. – Clarke bierze głęboki oddech. – O tym, co właściwie masz do mnie.

– Boże, nie – odpowiada Nolan. – Nic do ciebie nie mam, Len. Ludzie czasem się kłócą. To nic wielkiego. Nie bierz tego tak bardzo poważnie.

– No dobrze. W takim razie porozmawiajmy o Gene'ie.

– Spoko. – Nolan prostuje się, bierze oparte o gródź krzesło i rozkłada je. – A skoro już przy tym jesteśmy, porozmawiajmy też o Salu, Lije i Lanie.

*Lanie też?*

– I myślisz, że to korpy za tym stoją.

Nolan wzrusza ramionami.

– To chyba żadna tajemnica.

– A na czym właściwie opierasz swoje oskarżenia? Znalazłaś coś we krwi?

– Wciąż pobieramy próbki. A swoją drogą, Lisbeth rozłożyła się w habie medycznym, gdybyś też chciała się zbadać. Myślę, że powinnaś.

– A co jeśli niczego nie znajdziesz? – zastanawia się Clarke.

– Zapewne tak właśnie będzie. Seger jest na tyle sprytna, by zacierać za sobą ślady. No, ale nigdy nie wiadomo.

– Zdajesz sobie sprawę, że korpy mogły nie mieć z tym nic wspólnego.

Nolan odchyła się na oparcie krzesła i przeciąga się.

– Kochanie, nie potrafię *opisać*, jak bardzo zaskakują mnie twoje słowa.

– W takim razie pokaż mi jakiś dowód.

Nolan uśmiecha się i kręci głową.

– Mam dla ciebie takie małe zadanie myślowe. Powiedzmy, że płyniesz przez wody pełne rekinów. Gdzie nie spojrzysz, widzisz tych wielkich skurwieli z trójkątnymi płetwami, a one mierzą cię wzrokiem. Wiesz, że jedynym powodem, dla którego jeszcze nie rozszarpały cię na strzępy jest fakt, że masz ze sobą pałkę gazową, a one widziały, co to maleństwo potrafi zrobić z rybkami. Dlatego trzymają się na dystans, ale nienawidzą cię przez to jeszcze bardziej, prawda? Bo zabiłaś już kilka z nich. A to naprawdę mądre rekiny. I chowają urazę.

– No więc płyniesz sobie coraz dalej, a te zimne, martwe, wkurwione oczy i zęby śledzą cię tuż poza twoim zasięgiem i nagle natrafiasz na... powiedzmy, Kena. A raczej to, co z niego zostało. Trochę wnętrzości, połowa twarzy, naszywka identyfikacyjna unosząca się w wodzie pomiędzy tymi wszystkimi rekinami. Co robisz, Len? Dochodzisz do wniosku, że nie ma żadnych *dowodów*? Mówisz sobie „Hej, nie mogę niczego *dowieść*, nie widziałam, jak do tego doszło?“, mówisz „Nie wyciągajmy pochopnych *wniosków*...”?

– To chujowa analogia – mówi cicho Clarke.

– Moim zdaniem to *zajebista* analogia.

– W takim razie co zamierzasz?

– Mogę powiedzieć ci, czego *nie* zamierzam – zapewnia Nolan. – Nie zamierzam siedzieć

z założonymi rękami, wierząc w dobroć korporacyjnego ducha, kiedy wszyscy moi przyjaciele będą umierać.

– A czy ktoś ci każe?

– Podejrzewam, że lada moment.

Clarke wzdycha.

– Grace, chodzi mi tylko o to, że dla dobra nas wszystkich...

– Pierdol się – warczy nagle Nolan. – *Pierdol się*. Masz nas wszystkich głęboko w dupie.

Zupełnie jakby ktoś nacisnął jakiś guzik. Clarke wpatruje się w drugą kobietę, kompletnie zaskoczona.

Nolan odpowiada jej bezokim spojrzeniem, a cała aż trzęsie się z wściekłości.

– Chcesz *naprawdę* wiedzieć, co mam do ciebie? Sprzedałaś nas. Byliśmy o *krok* od załatwienia tych skurwieli. Mogliśmy wepchać im do gardeł ich własne flaki, a *ty nas powstrzymałaś, ty dziwko*.

– Grace – próbuje raz jeszcze Clarke. – Wiem, co czu-

– *Gównu prawda! Nie masz jebanego pojęcia, co czuję!*

*Co oni ci zrobili*, zastanawia się Clarke, *że zmieniłaś się w coś takiego?*

– Ze mną też robili różne rzeczy – mówi cicho.

– No jasne, że tak. Ale ty się za to odegrałaś, prawda? Popraw mnie, jeśli się mylę, ale czy nie skończyło się czasem tak, że przepierdoliłaś przy okazji masę niewinnych ludzi? I gównu cię to obchodziło. Może rozpracowanie tego kosztowałoby cię zbyt wiele wysiłku, ale całkiem sporo nas, rybołówych, też straciło swoich bliskich przez twoją wielką krucjatę. To też gównu cię obchodziło, liczyło się tylko to, by móc sprzedać kopniaka dalej. No i dobra. Dostałaś to, co chciałaś. Ale my wszyscy wciąż czekamy, prawda? I nawet nie chcemy wykosić milionów niewinnych ludzi, chcemy tylko dorwać tych dupków, którzy *przepierdolili nas*, a właśnie ty pełniesz tutaj na smyczy Patricii Rowan, by powiedzieć mi, że nie mam do tego *prawa*? – Nolan kręci głową z niesmakiem. – Nie wierzę, że wcześniej pozwoliliśmy ci się powstrzymać, a już ni chuja nie wierzę, że uda ci się to *teraz*.

Jej nienawiść wydaje się przenikać całe pomieszczenie niczym promieniowanie podczerwone. Jakaś część Clarke dziwi się, że pnąca obok ryfterki nie czernieją i nie stają w płomieniach.

– Przyszłam do ciebie, bo myślałam, że uda nam się wypracować jakieś rozwiązanie – mówi.

– Przyszłaś, bo wiesz, że wszystko wymyka ci się spod kontroli.

Słowa drugiej kobiety rozpalają niewielki, zimny węzeł gniewu tuż pod przeponą Clarke.

– Tak myślisz.

– Jakoś nigdy nie obchodziło cię *wypracowywanie rozwiązań* – odwarkuje Nolan. – Trzymałaś się na uboczu, *jestem Mroczną Madonną, jestem Syreną Jebanej Apokalipsy, trzymam się na uboczu i ustaliam reguły*. Ale tym razem motłoch nie słucha, kochanie, i to cię przeraża. *Ja* cię przerażam. Dlatego oszczędź mi banałów o altruizmie i dyplomacji. Próbujesz jedynie ocalić swój mały, cynowy tron. Miło się z tobą gadało.

Nolan podnosi płetwy i odchodzi w stronę śluzy.

## PORTRET SADYSTY Z CZASÓW MŁODOŚCI

Achilles Desjardins nie potrafił przypomnieć sobie, kiedy za obopólną zgodą uprawiał seks z prawdziwą kobietą po raz ostatni. Pamiętał za to, kiedy po raz pierwszy go odmówił.

Był rok 2046, a on właśnie ocalił tereny basenu śródziemnomorskiego. A przynajmniej tak właśnie przedstawiano fakty w N'AmWire. Tak naprawdę jedynie wydedukował, że musi istnieć jakiś



dziwny atraktor w Zatoce Kadyksu, uparty mały prąd wsteczny, którego poszukiwaniami nikt inny nie zawracał sobie głowy. Według symulacji był na tyle mały, by dało się wpłynąć na niego za pomocą wytłumiaczy albedo. Efekty rozprzestrzeniłyby się przez Cieśninę Gibraltarską i – jeśli wyliczenia okażą się poprawne – odsunęłyby zapadnięcie basenu Morza Śródziemnego o dobre dziesięć lat. Albo do czasu, kiedy znów ustanie Prąd Zatokowy, w zależności od tego, co nastąpi wcześniej. Było to więc jedynie odroczenie wyroku, a nie całkowite ocalenie, ale właśnie czegoś takiego potrzebował KRASZ, by wszyscy zapomnieli o klapie z Bałtykiem.

Poza tym już od dawna nikt nie wybiegał w przyszłość o więcej niż dziesięć lat.

Tak więc na jakiś czas Achilles Desjardins stał się gwiazdą. Nawet Lertzmann udawał, że go lubi przez większość miesiąca i powiedział, że awansują go w przyspieszonym tempie na wyższe stanowisko, kiedy tylko uporają się z kwestiami bezpieczeństwa. Jeśli tylko nie wygrzebią z jego przeszłości gromadki zaszlachtowanych dzieciaków, to zastrzyki otrzyma jeszcze przed Halloween. Chociaż pewnie otrzymałby je nawet gdyby dogrzebali się do gromadki zaszlachtowanych dzieciaków. Zresztą w wyższych szeregach Patrolu kontrola środowiskowa to tylko pusty rytuał. Mógłbyś być nawet seryjnym mordercą, a i tak nie będzie to miało znaczenia, kiedy Moralniak zacznie już bulgotać w twoim mózgu. Staniesz się takim samym niewolnikiem w służbie Większego Dobra jak wszyscy inni.

Nazywała się Aurora. Miała fryzurę na zebkę, co było wtedy krzykiem mody, i całe ramię pokryte uroczo niegustownymi, fałszywymi bliznami, którymi znakowano uchodźców. Spiknęli się na jednym z przyjęć organizowanych przez KRASZ, a którego gospodarzem na odległość, z drugiego końca świata było Zgromadzenie EurAfrykańskie. Ich biżuteria obwąchała ich aury, by potwierdzić wzajemne zainteresowanie (co wtedy wciąż jeszcze coś znaczyło), a chipy patogenetyczne wymieniły zwyczajowe czyste karty zdrowia (co już wtedy nie znaczyło nic). Następnie opuścili przyjęcie i zjechali trzysta metrów w dół z kierowniczej stratosfery KRASZ-u na ulice Sudbury, a następnie jeszcze pięćdziesiąt, by znaleźć się w podziemnych wnętrznościach Rdzenia w Pickering, gdzie oprogramowanie do wykrywania patogenów było odporne na próby hakowania, a do tego potrafiło rozpoznać dwa razy więcej chorób przenoszonych drogą płciową. Oddali oboje krew po sympatycznej parze mężczyzn, którzy natychmiast zerwali ze sobą, gdy okazało się, że w przewodzie moczowym jednego z nich pasożytuje jakiś egzotyczny gatunek przywry.

W tamtym okresie Desjardins nie otrzymał jeszcze większości uważnie dopasowanych związków chemicznych, które w późniejszych latach będą krążyć w jego żyłach, mógł więc bezpiecznie korzystać z przeróżnych tropów i zmieniaaczy nastroju. Czekał na wyniki testów, wybrali boks tuż obok baru i zaczęli głaskać niewielkie, psychotropowe płazy wspinające się na ścianki terrarium umieszczonego w blacie stolika. Z wielkiego, podziemnego zbiornika, w którym zanurzony był Rdzeń, przesączało się do środka przyćmione, zielonkawe światło imitujące promieniowanie radu z dawnego składowiska odpadów nuklearnych, widocznego przez ściany z pleksiglasu. Po kilku minutach na ich stoliku rozbłysnął jeden z miejscowych motyli. Na jego błoniastych skrzydełkach migotały odbite dane – zielono na wszystkich długościach fali.

– Mówiłam – mruknęła Aurora i pocałowała go w nos.

W Rdzeniu można było wynająć seks-kabiny na minuty. Podzielili się ceną za pięć godzin.

Pieprzył się z nią na zewnątrz i wewnątrz. Na zewnątrz był doskonałym i oddanym kochankiem. Pieścił językiem jej sutki, uważnie unikając używania zębów. Śledził pocałunkami trasę od jej szyi po waginę, delikatnie zwiedzając każdy wilgotny zakamarek. Jego oddech rwał się od gorączkowej powściągliwości. Pilnował każdego ruchu i nie zamierzał przeoczyć choćby najdrobniejszego

sygnału – wolałby umrzeć niż skrzywdzić tę kobietę.

Wewnątrz rozrywał ją na strzępy. *Tam* nie było miejsca na pieszczoty. Uderzał ją w twarz tak mocno, że o mało nie urwał jej jebanej głowy. Wewnątrz kobieta krzyczała. Wewnątrz bił ją tak, że nie miała siły drgnąć, gdy bat po raz kolejny opadał w dół.

Przez cały czas mruczała i wzdychała słodko. Zauważyła, że Achilles musi niewątpliwie wielbić kobiety, że to dla niej niesamowita odmiana po zwyczajowej szarpaninie i że nie jest pewna, czy zasługuje na takie traktowanie. Desjardins poklepał się w myślach po ramieniu. Nie zapytał o maleńkie blizny na jej plecach, charakterystyczne kropeczki świeżej, różowej skóry zdradzające stosowanie tropikalnych anabolików. Najwyraźniej Aurora potrzebowała przyspieszonego gojenia. Może niedawno wyrwała się z toksycznego związku. Może on był jej azylem. Tym lepiej. Wyobraził sobie, jak bije ją jej były partner.

– Dobra, jebać to – powiedziała po czterech godzinach. – Po prostu mnie uderz.

Achilles znieruchomiał, przerażony. Nie wiedział, co go zdradziło. Czy to mowa ciała, telepatia, a może tylko czysty przypadek?

– Co?

– Jesteś taki delikatny – wyjaśniła Aurora. – Zabawmy się ostrzej.

– Nie... – musiał stłumić pełen zaskoczenia chichot. – To znaczy, co takiego?

– Nie rób takiej zdziwionej miny. – Obdarzyła go uwodzicielskim uśmiechem. – Nigdy wcześniej nie zdarzyło ci się uderzyć kobiety?

*To były aluzje*, zrozumiał. *Ona na mnie* narzekała. A Achilles Desjardins, wybitny rozpoznawacz wzorców, mistrz oddzielania sygnału od szumu, zupełnie niczego nie zauważył.

– Można powiedzieć, że specjalizuję się w podduszeniach – dodała Aurora. – A ten twój pas wygląda na dość mało używany...

To było to, o czym marzył i za co się nienawidził. To było spełnienie jego najbardziej wstydlivej fantazji. To było coś perfekcyjnego.

*Och, ty cudowna suko. Sama się o to prosisz, czyż nie? A ja jestem właśnie tą osobą, która ci to da.*

Tyle tylko, że nie. Niespodziewanie Achilles Desjardins sflaczał niczym przebity balon.

– Mówisz serio? – zapytał, mając nadzieję, że nie zauważyła, ale wiedząc, że owszem. – To znaczy... chcesz, żebym zadał ci ból?

– Achilles-bohater. – Przechyliła szelmowsko głowę. – Nie wychodzisz zbyt często z domu, prawda?

– Radzę sobie – zareagował obronnie wbrew sobie. – Ale...

– To tylko taka scenka, dzieciaku. Nic radykalnego. Nie proszę cię o to, żebyś mnie zabił ani nic takiego.

*A szkoda*. Ale nawet przez chwilę nie nabrał się na własną, niewypowiedzianą na głos brawurę. Achilles Desjardins, skryty sadysta, był przestraszony na śmierć.

– Chodzi ci o odgrywanie – powiedział. – Jedwabne sznurki, słowa bezpieczeństwa i takie tam.

Kobieta pokręciła głową.

– Chodzi mi o to – wyjaśniła cierpliwie – że chcę *krwawić*. Chcę poczuć *ból*. I chcę, żebyś to ty mi go zadał, kochanie.

*Co jest ze mną nie tak?* – zastanawiał się Achilles. *Ona jest spełnieniem moich odwiecznych pragnień. Nie mogę uwierzyć w swoje szczęście.*

A chwilę później: *O ile to w ogóle jest szczęście...*

W końcu znalazł się w szczytowym punkcie swojego życia. Trwała kontrola środowiskowa,

rozpoczęto też ocenę ryzyka. Tuż pod powierzchnią system podejmował decyzję, czy Achillesowi Desjardinsowi można zaufać na tyle, by codziennie decydował o losach milionów ludzi. Z całą pewnością znali już jego sekret – mechanicy zajrzeli przecież do wnętrza jego głowy, zauważyliby więc brakujące lub uszkodzone instalacje. Może to był taki test, mający na celu sprawdzenie, czy potrafi kontrolować swoje popędy. Może Moralniak nie był wcale taki niezawodny, jak mu powiedziano, może odpowiednia ilość chwiejnych neuronów byłaby w stanie zakłócić jego działanie, może bazowe zdeprawowanie Achillesa stanowiło potencjalną lukę. A może wszystko było o wiele prostsze. Może po prostu nie chciano inwestować zbyt dużo PR-u w bohatera, który nie potrafi kontrolować skłonności, które część osób wciąż mogłaby uznać za... nieprzyjemne.

Aurora wydeła usta i odsłoniła szyję.

– No dalej, dzieciaku. Bierz się za mnie.

Była błyskiem w oku każdej partnerki, jaką kiedykolwiek miał, tą drobną, ostrą iskierką, która zawsze wydawała się mówić *Lepiej uważaj, ty chora, popierdolona kupo gówna. Jeden fałszywy krok i jesteś skończony*. Była sześciolletnią Penny, połamaną i krwawiącą, obiecującą mu, że nikomu o niczym nie powie. Była jego ojcem, stojącym w ciemnym korytarzu, patrzącym gdzieś poprzez niego nieprzeniknionym wzrokiem, który mówił *Wiem coś o tobie, synu, ale nigdy nie dowiesz się, co dokładnie...*

– Rory – zaczął ostrożnie Desjardins. – Czy z kimś o tym rozmawiałaś?

– Nieraz. – Wciąż się uśmiechała, ale w jej głosie pojawiła się nutka rezerwy.

– Nie, chodzi mi o kogoś, no wiesz...

– O specjalistę. – Uśmiech zniknął. – O jakiegoś korporacyjnego mózga, który wyczyści mi konto, opowiadając mi, jak to nie znam własnego umysłu i że to tylko niskie poczucie własnej wartości, a ojciec gwałcił mnie w okresie niemowlęctwa. – Sięgnęła po swoje ubranie. – Nie, Achillesie, nie rozmawiałam. Wolę spędzać czas z ludźmi, którzy akceptują mnie taką, jaka jestem, niż z myślącymi się dupkami, próbującymi zmienić mnie w kogoś, kim nie jestem. – Założyła majtki. – A chyba już nie sposób trafić na takie osoby na oficjalnych stanowiskach.

Próbował: „Nie musisz wychodzić.”

Próbował: „To było po prostu dość nieoczekiwane, wiesz?”

Próbował: „Po prostu, no wiesz, to jak okazanie braku szacunku...”

Aurora westchnęła.

– Dzieciaku, gdybyś naprawdę mnie szanował, przynajmniej uznałbyś fakt, że wiem, co lubię.

– Ale ja lubię *ciebie* – wypalił, pikując w dół pośród dymu i płomieni. – Jak mam czerpać przyjemność ze sprawiania ci bólu, kiedy...

– Hej, myślisz, że mnie sprawiało przyjemność wszystko to, co robiłam, by *tobie* było dobrze?

Zostawiła go samego w kabinie ze zwiotczalym penisem, pięćdziesięcioma minutami na zegarze i dojmującym, upokarzającym przekonaniem, że już na zawsze zostanie więźniem przywdzianej przez siebie maski. *Nigdy nie wypuszczę tego na zewnątrz, pomyślał. Bez względu na to, jak bardzo bym chciał, bez względu na to, kto mnie o to poprosi, bez względu na to, jak bezpiecznie mogłoby się wydawać. Nigdy nie będę mieć pewności, że nie ma gdzieś otwartego obwodu. Nigdy nie będę mieć pewności, czy to nie pułapka. Przez resztę życia będę się ukrywać, jestem zbyt przerażony, by wyjść na zewnątrz.*

Ojciec byłby z niego dumny. Ostatecznie okazał się dobrym, katolickim chłopcem.

Ale Achilles Desjardins miał wprawę w sztuce adaptacji. Kiedy wyszedł na zewnątrz, samotny i utemperowany, zaczynał już odbudowywać swoje systemy obronne. Może to i lepiej, że tak wyszło. Ostatecznie nie sposób podważyć biologii: seks to *jest* przemoc, dosłownie, aż od samych neuronów.

Te same synapsy uaktywniają się, czy się pieprzysz, czy walczysz, te same popędy odpowiadają za gwałt i podporządkowanie. Nie ma znaczenia, jak łagodny wydajesz się na zewnątrz, nie ma znaczenia, jak bardzo starasz się udawać – nawet stosunek za obopólną zgodą nie jest niczym więcej niż gwałtem na ofierze, która postanowiła się poddać.

*Gdybym robił to wszystko, a miłości bym nie miał, stałbym się jak miedź brzęcząca, pomyślał.*

Wiedział to, gdzieś w głębi mózgu, wiedział w otchłaniach swego id. Sadyzm jest wbudowany, a seks... Seks to coś więcej niż przemoc. To brak *szacunku*. Nie ma powodu, by traktować w taki sposób drugiego człowieka i to w połowie dwudziestego pierwszego wieku. Nikt nie ma do tego prawa. A już na pewno nie potwory z wadliwą blokadą. Miał w domu sensorium, które mogło zaspokoić każdą żądzę i zaserwować mu wirtualne ofiary w tak wysokiej rozdzielczości, że nawet *on* mógłby się nabrać.

Były też inne zalety. Nigdy więcej skomplikowanych rytuałów godowych, które jakoś zawsze potrafił koncertowo spieprzyć. Nigdy więcej obaw, że mógłby się czymś zarazić i groteskowych wysiłków, by uczynić coś romantycznego ze skanów patogenetycznych, a badanie krwi potraktować jako grę wstępną. Nigdy więcej tej ostrej iskierki w oczach twoich ofiar, świadczącej być może o tym, że wiedzą.

Udało mu się znaleźć rozwiązanie. Cholera, udało mu się znaleźć nowy Model Życia.

Od tej chwili Achilles Desjardins stanie się cywilizowanym człowiekiem. Będzie realizował swoje plugawe rządy z maszyną, nie ludźmi, dzięki czemu oszczędzi sobie zażenowania. Dobrze się stało z Aurorą, wywinął się w ostatniej chwili. Bez dwóch zdań laska miała pod kopułą całą masę wadliwych połączeń. Pomieszane ośrodki bólu i przyjemności.

Achilles nie zamierzał zadawać się z *taką* świruską.

## ĆWICZENIA PRZECIWPÓŻAROWE

Budzi się zagubiona gdzieś w morzu.

Nie jest pewna, co właściwie przywołało ją z powrotem. Pamięta delikatne popchnięcie, jakby ktoś poszturchiwaniem próbował wyrwać ją ze snu, jednak jest tu zupełnie sama. W tym cały sens tego ćwiczenia. Mogła spać w dowolnym miejscu kempingu, ale potrzebowała samotności. Zostawiła więc za sobą Atlantyde, habry i generatory, grzbiety i szczeliny pokrywające całą okolicę. W końcu dotarła tutaj, do odległej, niewielkiej wychodni pumeksu i polimetali, gdzie zapadła w sen z szeroko otwartymi oczami.

Tyle że teraz coś ją obudziło, a ona nie ma pojęcia, gdzie się znalazła.

Wyjmuje przymocowany do uda pistolet hydrolokacyjny i przeczesuje ciemność. Po kilku sekundach wraca do niej rozmyte echo miasta, ledwie muskające lewą krawędź jej skanu. Clarke celuje dokładniej i próbuje ponownie. Tym razem Atlantyda i jej przedmieścia znajdują się idealnie w centrum.

Jest jeszcze jakieś drugie echo – wyraźniejsze, mniejsze i bliższe. A dystans wciąż się zmniejsza.

Kurs tego czegoś nie przetnie się z miejscem pobytu Clarke. Kilka kolejnych skanów pozwala ocenić, że wektor przebiega gdzieś na prawo od niej. Ktokolwiek to jest, pewnie nawet nie wie o jej obecności, a przynajmniej nie wiedział, dopóki nie użyła sonaru.

Tajemniczy osobnik porusza się cholernie szybko biorąc pod uwagę fakt, że nie korzysta z kalmara. Zaintrygowana Clarke pod pływa, by stanąć mu na drodze. Przyćmiła latarkę czołową do tego stopnia, że ciężko odróżnić podłoże od wody morskiej. Szlam przewija się w dole niczym bieżnia. Co jakiś czas monotonię urozmaicają kamyki i wątle gwiazdy.

Fala dziobowa uderza w nią tuż przed ciałem. Ramię trafia ją w bok i spycha na dno; wokół wzbijają się osady. Płetwa smaga Clarke w twarz. Kobieta na ślepo wyciąga dłonie i chwyta czyjąś rękę.

– *Co do cholery!*

Ręka wyrywa się z jej uścisku, ale okrzyk Clarke najwyraźniej odniósł jakiś skutek. A przynajmniej nieznana osoba przestaje się rzucać. Chmura szlamu wciąż wiruje, ale podsycona jedynie siłą inercji.

– *Kto...* – Głos brzmi szorstko i zgrzytliwie, nawet jak na vocoder.

– To ja, Lenie. – Clarke zwiększa nieco jasność latarki czołowej i natychmiast oślepia ją blask miliarda zawieszonych w wodzie cząsteczek, tworzących coś w rodzaju jaskrawej mgły. Kobieta płynie w czystsze miejsce i kieruje snop światła ku dnu.

Coś się tam porusza.

– *Kuurwaaa... Zgaś światło...*

– Przepraszam. – Przygasza latarkę. – Rama? To ty?

Z mroku wyłania się Bhanderi.

– *Lenie.* – Mechaniczny szept. – *Cześć.*

Clarke przypuszcza, że ma sporo szczęścia, skoro on wciąż ją rozpoznaje. Cholera, ma szczęście, że on wciąż potrafi *mówić*. Nie tylko skóra zaczyna się rozkładać, kiedy przestajesz pojawiać się wewnątrz. Nie tylko kości miękną. Kiedy ryfter zostaje tubylcem, całą korę nową można w zasadzie spisać na straty. Jeśli pozwolisz otchłani wpatrywać się w siebie dostatecznie długo, wszelkie pozory ucywilizowania znikają szybciej niż topniejący lód w bieżącej wodzie. Clarke wyobraża sobie, jak z czasem wygładzają się wszystkie fałdy mózgu, powracając do jakiegoś pierwotnego, rybiego stanu, bardziej odpowiedniego dla nowo wybranego habitatu.

Jednak Rama Bhanderi nie jest jeszcze na tym etapie. Czasami wciąż nawet zagłębia do środka.

– Co dało ci takiego kopa? – byczy Clarke, ale w zasadzie nie oczekuje odpowiedzi.

A jednak ją dostaje:

– *Ko...* Może dopamina... *Adrena...*

Po chwili Clarke załapuje: *kop dopaminowy*. Czyżby wciąż był na tyle ludzki, by bawić się w kiepskie gry słowne?

– Nie, Rama. Chodziło mi o to, dokąd tak się *spieszysz*.

Mężczyzna wisi obok podobny do czarnego upiora, ledwie widoczny w przyćmionym blasku latarki czołowej Clarke.

– *A... a... nie...* – jego głos z wolna cichnie.

– *Bum* – mówi Bhanderi po chwili. – Wyszadzi to. *O wieeeeeeeeeele* za jasno.

Clarke przypomina sobie popchnięcie. Dość silne, by ją obudzić.

– Co wysadzili? Kto?

– Jesteś prawdziwa? – pyta odległym głosem ryfter. – Myślę... że chyba jesteś tylko zakłóceniem histaminowym...

– Jestem Lenie, Rama. Naprawdę. Co wybuchło?

– ...a może *acetylocholinowym*... – Mężczyzna macha sobie ręką przed twarzą. – Ale przecież *nie łapią* mnie skurcze...

*To bez sensu.*

– ...już jej nie lubię – byczy cicho Bhanderi. – A on mnie *gonił*...

Coś ściska Clarke za gardło. Kobieta przysuwa się bliżej.

– Kto? Rama, co...

– *Odejść* – odpowiada zgrzytliwie ryfter. – Jestem... terytorialny...

– Przepraszam... ja...

Bhanderi odwraca się i odpływa. Clarke rusza jego śladem, ale zatrzymuje się, gdy dociera do niej, że istnieje inny sposób.

Zwiększa jasność latarki czołowej. Poniżej, tuż nad dnem, wciąż wisi mętny front burzowy. W tak gęstych i zastałych wodach osady nie opadną jeszcze przez długi czas.

Nie zatrą się także prowadzące do nich ślady.

Jeden trop należy do niej: wąska, mętna smuga wzburzonych osadów, którą zostawiła za sobą nadpływając ze wschodu. Drugi ciągnie się pod kątem 345 stopni. Clarke postanawia prześledzić jego trasę.

Wkrótce orientuje się, że nie zmierza wcale w stronę Atlantydy. Ślad Bhanderiego zakręca w lewo i biegnie dalej w taki sposób, że kobieta powinna minąć z daleka południowo-zachodnią krawędź kompleksu. Z tego, co pamięta Clarke, przy tej trasie nie ma zbyt wielu atrakcji. Może jakiś stos, jeden z kilku składów prefabrykowanych części rozsianych po okolicy z myślą o przyszłej rozbudowie, kiedy korpy zawitały tu po raz pierwszy. I rzeczywiście woda z przodu zaczyna się rozjaśniać. Clarke gasi latarkę czołową i przeczesuje sonarem plamę blasku. Wraca do niej mieszanina ostrych, euklidesowych ech, z których wszystkie pochodzą od obiektów znacznie większych od ludzkiego ciała.

Kobieta prze naprzód. Rozmazana jasność dzieli się na cztery punktowe źródła światła: reflektory sodowe, po jednym na każdym narożniku stosu. Na wydartym ciemności obszarze leżą palety z płytami z plastiku i biostali. Na dnie spoczywają zakrzywione kawałki kadłuba, przywodząc na myśl ogromne małże. W mroku, w oddali majaczą większe kształty: zbiorniki magazynowe, wymienniki ciepła, osłony nigdy nie zmontowanych reaktorów awaryjnych.

W oddali rzeczywiście jest mrocznie, uświadamia sobie Clarke. O wiele bardziej niż zazwyczaj.

Wpływa w kolumnę wody i wznosi się ponad przemysłową panoramę. Coś stawia opór światłu niczym ciemna, miękka zasłona tuż za najdalszym reflektorem. Clarke spodziewała się tego od czasu rozmowy z Bhanderim. Teraz ściana rozciąga się przed nią w milczącym potwierdzeniu – wielka, kłębiąca się chmura osadów poderwanych z dna i zawieszonych w wodzie niczym w stanie nieważkości w wyniku niedawnej eksplozji.

Rzecz jasna, wraz ze wszystkim innym, korpy składowały na stosie także głowice wybuchowe...

Clarke dostrzega coś kątem oka, jakiś nieporządek, niepasujący do kontrolowanego chaosu w dole. Ktoś wyciągnął ze sterty dwie płyty kadłuba i położył je na dnie. Ich powierzchnię znaczą ślady trądziku. Ryfterka podpływa bliżej, by przyrzeć się im dokładniej. Nie, to nie niewinne plamy błota ani nie kolonia bentosowych bezkręgowców. To *otwory* wybite w solidnej biostali o grubości trzech centymetrów. Ich brzegi są gładkie, materiał stopił się pod wpływem niesamowicie wysokiej temperatury i natychmiast zastygł. Wokół każdego z takich otworów widać węglową otoczkę, która przywodzi na myśl ciemną opuchliznę podbitych pustych oczu.

Clarke robi się nagle zimno.

Ktoś szykuje się do finału.

## WARTOŚCI RODZINNE

Od czasu założenia Atlantydy, Jakob i Jutta Holtzbrink trzymali się na uboczu. Jednak nie zawsze tak było. Na powierzchni zachowywali się ekstrawagancko nawet jak na standardy korpów. Sprawiali wrażenie zachwyconych kontrastem, jaki stanowili wobec większości świata. Byli razem

jeszcze przed milenium, a pobrali się tak dawno temu, że ceremonia miała miejsce w *kościelach*. Jutta przyjęła nawet nazwisko męża. Rowan przypomina sobie, że wtedy kobiety robiły takie rzeczy. Poświęcały kawałki własnej tożsamości dla dobra patriarchy, czy tam jakkolwiek się to nazywało.

Staromodna i dumna z tego para. Kiedy pokazywali się publicznie – a robili to często – pokazywali się razem i to wyróżniało ich na tle innych.

Ale rzecz jasna tu, w Atlantydzie, nie istnieje coś takiego jak *publicznie*. Publika została zostawiona w tyle, by radziła sobie sama. Atlantyda od samego początku składała się z samej śmietanki, samych szyc i robotnic, które zajmowały się nimi w najbogatszych częściach ula.

Tutaj Jutta i Jakob nie wychodzą zbyt często. Ucieczka ich zmieniła. Oczywiście zmieniła wszystkich, nauczyła pokory potężnych i cisnęła im w twarz ich błędy, choć mimo wszystko udało im się jak najlepiej wykorzystać sytuację, przystosować się do Dnia Sądu, dostrzec rynek zbytu dla łodzi ratunkowych i wskoczyć na pokład jednej z nich przed innymi. Ostatnimi czasy samo przetrwanie stanowi wpis do CV, którym można się szycić. Jednak Holtzbrinkowie nie skorzystali nawet z tak nędznej i egoistycznej pociechy. Behemot nie dotknął ich ciała, choćby najdrobniejszej cząsteczki, a mimo to można odnieść wrażenie, że jakimś sposobem uczynił ich mniejszymi.

Oboje większość czasu spędzają w swym apartamencie, podłączeni do środowisk wirtualnych o wiele bardziej fascynujących niż ta zamknięta przestrzeń. Rzecz jasna wychodzą na posiłki – produkcja żywności w prywatnych pomieszczeniach należy do przeszłości, od kiedy ryfterzy skonfiskowali „swoją część” zasobów – ale nawet wtedy wycofują się szybko do swych kwater z tacami pełnymi żywności z cyklorów i produktów hydroponicznych, by jeść za własnymi, zamkniętymi drzwiami. Ta nagła potrzeba odosobnienia od swych pobratymców wydawała się drobnym i nieszkodliwym dziwactwem. Patricia Rowan nigdy szczególnie się nad tym nie zastanawiała do czasu, kiedy Ken Lubin, szukając jakichś wskazówek, zapytał *A co z rybami? Może Behemot załapał się na przejazdkę. Czy larwy wchodzą w skład planktonu?*

Zaś Jerry Seger, zniecierpliwiona faktem, że ten zdradziecki zabójca pozuje na wielkiego myśliciela, zbyła go, jakby był dzieckiem: *Gdyby mógł rozproszyć się i zmieszać z planktonem, to po co miałby czekać aż do teraz z podbojem świata? Zrobiłby to już kilkaset milionów lat temu.*

*Może i by to zrobił,* rozważa Rowan.

Holtzbrinkowie wyrobili sobie markę w przemyśle farmaceutycznym i to jeszcze zanim zaczęto stosować inżynierię genetyczną. Rzecz jasna, podążali z duchem czasu. Kiedy na przełomie wieku dowiedziano się o istnieniu pierwszych ekosystemów hydrotermalnych, było przy tym wcześniejsze pokolenie Holtzbrinków – upajało się nowymi Domenami, przeglądało kladogramy świeżo odkrytych gatunków nowych mikrobów, nowych enzymów powstałych z myślą o funkcjonowaniu w warunkach temperatury i ciśnienia, które wcześniej uważano za absolutnie nieprzyjazne wszelkim formom życia. Katalogowało komórkową maszynę, tykającą ospale na podłożu skalnym o głębokości kilku kilometrów, drobnoustroje prowadzące tak powolny tryb życia, że nie uległy podziałom od czasu Rewolucji Francuskiej. Ulepszało reduktory siarki, które zadusiłyby się tlenem na śmierć, tak, by pochłaniały wycieki oleju albo leczyły nowe, dziwne odmiany raka. Mawiano, że Imperium Holtzbrinków opatentowało połowę archebakterii.

Teraz, siedząc naprzeciwko Jakoba i Jutty w ich pokoju gościnnym, Patricia Rowan zastanawia się, co jeszcze mogli opatentować w czasie ostatnich dni na Ziemi.

– Jestem pewna, że dotarły do was najświeższe wieści – mówi. – Jerry właśnie je potwierdziła. Behemot dotarł do Niemożliwego Jeziora.

Jakob kiwa głową, a gest ten, który obejmuje również ramiona, upodabnia go do ptaka. Jednak jego słowa wszystkiemu zaprzeczają:

– Nie, wątpię. Widziałem wszystkie dane. Jest tam za słono. – Mężczyzna oblizuje usta i wbija wzrok w podłogę. – Behemot tego nie lubi.

Jutta próbuje podnieść go na duchu, kładąc mu dłoń na kolanie.

Jakob jest już bardzo stary, wszystkie jego podboje należą do przeszłości. Urodził się zbyt wcześnie i zestarzał zbyt szybko, by być wiecznie młodym. Kiedy pojawiły się ulepszenia, jak wycinanie wadliwych par zasad czy wzmacnianie telomerów, jego ciało zużywało się już od dobrych kilkudziesięciu lat. Istnieją pewne ograniczenia, jak dużo można naprawić na tym etapie.

– Nie w samym jeziorze, Jakobie – wyjaśnia łagodnym głosem Rowan. – W jego okolicy. W jednym z kominów.

Mężczyzna kiwa głową raz za razem, ale nie podnosi wzroku.

Rowan spogląda na Juttę; ta patrzy jej w oczy z wyrazem bezradności malującym się na twarzy.

Rowan postanawia dalej drażnić temat.

– Jak wiesz, to nie powinno mieć miejsca. Przystudiowaliśmy dokładnie samego mikroba, a także oceanografię i z najwyższą dbałością wybraliśmy właśnie to miejsce. Wygląda jednak na to, że coś nam umknęło.

– Zniknął cholerny Golsztröm – mówi starzec. Jego głos jest silniejszy niż ciało, ale niewiele. – Mówili, że tak się stanie. Zmieniło to wszystkie prądy. Zrobiło z Anglii pieprzoną Syberię.

Rowan kiwa głową.

– Przyglądaliśmy się wielu różnym scenariuszom. Żaden nie pasuje. Wydaje mi się, że mogło umknąć nam coś, co dotyczy samego behemota. – Pochyliła się lekko do przodu. – Twoi ludzie prowadzili poszukiwania w okolicach Pierścienia Ognia, prawda? W latach trzydziestych?

– No pewnie. Tak jak wszyscy. Te cholerne archeony, to było jak gorączka złota dwudziestego pierwszego wieku.

– Twoi ludzie spędzali wtedy mnóstwo czasu na Grzbiecie Juan de Fuca. I nie natrafili na behemota?

– Mmmm. – Jakob Holtzbrink kręci głową. Jego ramiona nie poruszają się.

– Jakobie, znasz mnie. Wiesz, że zawsze byłam zagorzałą zwolenniczką dochowywania tajemnic korporacyjnych. Ale wszyscy jesteśmy tu po tej samej stronie, jedziemy na tym samym wózku. Jeśli coś wiesz, cokolwiek...

– Och, ale Jakob nigdy nie prowadził żadnych badań – włącza się Jutta. – Z pewnością wiesz, że odpowiadał raczej za ludzi.

– Tak, oczywiście. Ale też żywo interesowały go wszelkie przełomy w nauce. Zawsze ekscytował się nowymi odkryciami, pamiętasz? – Rowan śmieje się cicho. – Przez jakiś czas myśleliśmy nawet, że w zasadzie *mieszkał* w łodzi podwodnej.

– Wybierałem się tylko na wycieczki. Jutta ma rację, nigdy nie prowadziłem żadnych badań. Tym zajmowali się żel-dżokeje, Jarvis i reszta. – Jakob po raz pierwszy spogląda Rowan prosto w oczy. – Straciliśmy całą tę ekipę, kiedy wybuchła epidemia behemota. KRASZ zwerbował naszych ludzi z całego świata. Wmieszał się jak gdyby nigdy nic i podebrał nam ich sprzed nosa. – Mężczyzna parska z lekceważeniem. – Cholerne *większe dobro*.

Jutta ściska lekko jego kolano. Oboje spoglądają na siebie. Ona uśmiecha się, a on kładzie dłoń na jej dłoni.

Jego wzrok wędruje znów ku podłodze. Głowa raz jeszcze zaczyna delikatnie się kiwać.

– Jakob nie był zbyt blisko zespołów badawczych – wyjaśnia Jutta. – Jak wiesz, naukowcy nie są najlepsi w kontaktach z ludźmi. Byłaby katastrofa, gdyby któryś z nich miał zostać ich rzecznikiem, a mimo to i tak czasem nie podobał im się sposób, w jaki Jakob przedstawiał ich odkrycia.



Rowan uśmiecha się cierpliwie.

– Chodzi o to, Jakobie, że trochę o tym wszystkim myślałam. O behemocie i o tym, jak jest stary...

– To najstarsza cholerna forma życia na całej planecie – przerywa jej mężczyzna. – My wszyscy wepchnęliśmy się później. Meteor z Marsa czy coś takiego. Diabelny behemot jako jedyny miał tu swój *początek*.

– Ale właśnie w tym rzecz, czyż nie? Behemot jest starszy nie tylko od innych form życia, ale i fotosyntezy. Od *tlenu*. Ma ponad cztery miliardy lat. Wszystkie inne odkryte przez nas prastare mikroby, archebakterie, nanolity i tak dalej, pozostały beztlenowcami aż po dziś dzień. Można je znaleźć jedynie w środowiskach redukujących. A tu mamy takiego behemota, który jest jeszcze starszy, a któremu tlen w ogóle nie przeszkadza.

Jakob Holtzbrink przestaje się kołysać.

– Sprytny mały mikrob – mówi. – Idzie z duchem czasu. Ma te, jak one się nazywają, tak jak *Pseudomonas* ma...

– Geny Blachforda. Zmieniają własne tempo mutacji pod wpływem stresu.

– Racja. Racja. Geny Blachforda. – Jakob podnosi rękę i przebiega palcami po pokrytej plamami wątrobowymi skórze głowy, przeczesując przerzedzone włosy. – Przystosował się. Przystosował do tlenu i do życia we wnętrzu ryb, a teraz przystosowuje się do wszystkich zakamarków na całej cholerniej planecie.

– Ale nigdy nie przystosował się jednocześnie do niskich temperatur i wysokiego zasolenia – zauważa Rowan. – Nigdy nie przystosował się do największego siedliska na Ziemi. Środowisko głębokomorskie blokowało go przez miliardy lat. *Wciąż* by go blokowało, gdyby nie doszło do wybuchu epidemii w Channer.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – pyta Jutta, a w jej głosie pojawia się nagle ostra nuta. Jej mąż milczy.

Rowan bierze głęboki oddech.

– Wszystkie nasze modele bazują na założeniu, że behemot trwał w swej obecnej formie przez setki milionów lat. Pojawienie się tlenu, hipotonicznych ciał żywicieli, wszystko to miało miejsce w zamierzchłych czasach prekambriu. Wiemy też, że niewiele się od tamtej pory zmieniło, z genami Blachforda czy bez, bo gdyby tak się stało, behemot już dawno opanowałby cały świat. Wiemy, że nie może rozprzestrzeniać się w otchłani, bo *nie rozprzestrzenił się* w otchłani, choć miał na to miliony lat. A kiedy ktoś podsuwa, że mógł zabrać się na przejażdżkę wraz z ichtioplanktonem, z miejsca odrzucamy tę sugestię nie dlatego, że ktokolwiek to *sprawdził* – kto miał na to czas, biorąc pod uwagę to, co się działo? – ale dlatego, że gdyby behemot *mógł* rozprzestrzeniać się w ten sposób, to by to *zrobił*. Miliony lat temu.

Jakob Holtzbrink chrząka.

Rowan wyklada karty na stół.

– A co jeśli behemot wcale nie miał milionów lat czasu? Co jeśli miał jedynie kilka dekad?

– No to już... – zaczyna Jutta.

– To już niczego nie możemy być pewni, prawda? Może wcale nie rozmawiamy o kilku pojedynczych reliktach tu i tam. Może rozmawiamy o epicentrach. I może to wcale nie tak, że behemot nie jest *w stanie* się rozprzestrzeniać, ale po prostu dopiero zaczął.

I znów to ptasie kołysanie i zaprzeczanie:

– Nie. Nie. Jest *stary*. Matryca RNA, zmineralizowane ściany. Wielkie cholerne pory, właśnie *dlatego* nie może dać sobie rady z zimną wodą morską. Przecieka jak sito. – W kąciку ust mężczyzny pojawiają się bąbelki śliny. Jutta z roztargnieniem wyciąga dłoń, by je zetrzeć, jednak rozdrażniony

Jakob uprzedza ją. Jego żona układa ręce na kolanach.

– Sekwencje piranozowe. Prymitywne. Jedyne w swoim rodzaju. Ta kobieta, lekarz: Jerenice.

Była tego samego zdania. Jest *stary*.

– Tak – przyznaje Rowan. – Jest stary. Może ostatnio coś go zmieniło.

Jakob pociera dłonie, wyraźnie pobudzony.

– Co, jakaś mutacja? Szczęśliwy zbieg okoliczności? A cholernie nieszczęśliwy dla całej reszty?

– Może *ktoś* go zmienił – poprawia się Rowan.

I już. Powiedziała to.

– Mam nadzieję, że nie sugerujesz... – zaczyna Jutta, ale milknie.

Rowan pochyła się i kładzie dłoń na kolanie Jakoba.

– Wiem, jak było trzydzieści, czterdzieści lat temu. Gorączka złota, tak jak sam powiedziałaś.

Wszyscy zakładali laboratoria na ryfcie, prowadzili tam, na miejscu, różne prace...

– Ależ oczywiście, że musieli robić to tam, spróbuj odtworzyć tamtejsze warunki w *laboratorium*...

– Ale to twoi ludzie znajdowali się w pierwszym szeregu. Nie tylko prowadziliście własne badania, ale też mieliście oko na wszystkich innych. Byłeś zbyt dobrym biznesmenem, by miało być inaczej. Dlatego właśnie przychodzę do ciebie, Jakobie. Nie wysnuwam żadnych wniosków ani nikogo o nic nie oskarżam, rozumiesz? Po prostu wydaje mi się, że jeśli ktokolwiek na Atlantydzie może mieć jakiegokolwiek pojęcie o tym, co się tam działo, to właśnie ty. To ty jesteś ekspertem, Jakobie. Czy możesz mi cokolwiek powiedzieć?

Jutta kręci głową.

– Jakob nic nie wie, Patricio. Żadne z nas nic nie wie. I ja *rozumiem*, co sugerujesz.

Rowan nie spuszcza wzroku ze starca. On zaś patrzy w podłogę, *przez* podłogę, przez powłokę pokładu i biegnące pod nią rury i przewody, przez kable, fuleren i biostal, przez wodę morską i sączącą się, kleistą skałę na jakieś miejsce, które ona może sobie tylko wyobrażać. Kiedy mężczyzna wreszcie się odzywa, jego głos wydaje się dobiegać właśnie stamtąd.

– Co chcesz wiedzieć?

– Czy istnieje jakikolwiek powód, dla którego ktoś, hipotetycznie, mógłby chcieć podrasować coś takiego jak behemot?

– I to więcej niż ci się wydaje – odpowiada odległy głos. Słabowite ciało, którego używa, wydaje się niemalże nieożywione.

– Na przykład?

– Ukierunkowane dostarczanie. Leków, genów, zastępczych organelli. Ta jego ściana komórkowa, nigdy czegoś takiego nie widziałaś. Nikt nie widział. Nie trzeba obawiać się odpowiedzi immunologicznej, prześlizguje się obok enzymów przeciwinwazyjnych, jakby były ślepe i głuche. Komórka docelowa z miejsca wpuszcza go do środka, rozpuszcza jego ścianę i odbiera dostawę. Jak biodegradowalny fuleren Buckminstera.

– Co jeszcze?

– Najskuteczniejszy środek stymulujący. W odpowiednich warunkach ten drań pompuje ATP w takim tempie, że samodzielnie przewróciłabyś samochód. Mitochondria wyglądają przy nim jak jakieś relikty. Żołnierz z behemotem w komórkach mógłby nawet konkurować z takim wyposażonym w egzozskielet, gdyby tylko dostatecznie go nakarmić.

– I gdyby odpowiednio podrasować behemota – dodaje Rowan.

– Tak – szepcze starzec. – W tym cała trudność.

Kobieta stara się ostrożnie dobierać słowa.

– A czy mogło chodzić o jakieś... mniej precyzyjne zastosowania? Doktryna MAD? Terroryzm przemysłowy?

– Chodzi ci o to, co dzieje się teraz? Nie. Musielibyście... Ktoś musiałby być ślepy, głupi i szalony jednocześnie, by *stworzyć* coś takiego.

– Ale musielibyście dość mocno zwiększyć współczynnik reprodukcji, prawda? Żeby było to opłacalne z ekonomicznego punktu widzenia.

Mężczyzna kiwa głową, ale jego oczy wciąż wpatrują się gdzieś w dal.

– Te głębokomorskie dranie prowadzą tak powolne życie, że będziesz mieć szczęście, jeśli podziela się raz na *dekadę*.

– A to z kolei oznaczałoby, że musiałyby jeść o wiele więcej, prawda? Żeby utrzymać zwiększone tempo wzrostu.

– Oczywiście. Nawet dzieci to wiedzą. Ale to nie *dlatego*. Nikt nie zrobiłby czegoś takiego, bo *chciałby* uzyskać coś zdolnego do... To tylko nieunikniony...

– Skutek uboczny – podsuwa Jutta.

– Skutek uboczny – powtarza mężczyzna. Jego głos nie uległ zmianie. Wciąż dobiega, spokojny i odległy, gdzieś z wnętrza ziemi. Jednak na twarzy Jakoba Holtzbrinka pojawiły się łzy.

– Czyli nikt nie zrobił tego celowo. Próbowali osiągnąć coś innego, ale coś po prostu poszło nie tak. Czy to właśnie próbujesz mi powiedzieć?

– To znaczy, hipotetycznie? – Kąciki jego ust unoszą się i marszczą lekko, gdy starzec sili się na ledwie dostrzegalny uśmiech. Łza spływa mu po policzku wzdłuż jednej z bruzd i skapuje z podbródka.

– Tak, Jakobie. Hipotetycznie.

Mężczyzna przytakuje oszczędnym gestem.

– Czy jest coś, co możemy zrobić? Coś, czego jeszcze nie próbowaliśmy?

Jakob kręci głową.

– Jestem tylko korpem. Nie wiem.

Rowan wstaje. Starzec przygląda się własnym myślom. Jego żona przygląda się Rowan.

– To wszystko, co ci powiedział – mówi. – Nie zrozum tego źle.

– Co masz na myśli?

– Jest tego winien w takim samym stopniu, co i wy. Nie czyni go to gorszym człowiekiem od was.

Rowan kiwa jej głową.

– Wiem, Jutto.

Żegna się i wychodzi. Tuż przez zamknięciem się włazu widzi, jak Jutta Holtzbrink nasuwa na pochyloną czaszkę męża aparaturę maszyny snów.

Teraz już nic nie można z tym zrobić. Nie ma sensu wzajemnie się oskarżać. I tak już wszyscy wytykają się palcami. Mimo to Rowan cieszy się, że złożyła tę wizytę. W pewnym sensie jest nawet wdzięczna. To dość samolubne uczucie, ale będzie musiało wystarczyć. Patricia Rowan stara się znaleźć jak najwięcej pociechy w fakcie, że to już nie na niej spoczywa odpowiedzialność. Ani nawet na Lenie Clarke, Syrenie Apokalipsy. Rowan rusza bladoniebieskim korytarzem skrzydła D, ostatni raz oglądając się za siebie.

Odpowiedzialność spoczywa tam.

## PORTRET SADYSTY Z CZASÓW WOLNOŚCI

Terminem technicznym była tu *katastrofa* typu „falda”. Oglądana na wykresie wyglądała jak

tsunami w przekroju poprzecznym, sięgające naprzód gładkie sklepienie nacierającej fali, cofnięte poniżej grzbietu i opadające gładkim łukiem ku nowemu, niskoenergetycznemu stanowi równowagi, po którym nie zostaje kamień na kamieniu.

Oglądana na żywo prezentowała się dużo bardziej nieprzyjemnie: wysiadające sieci energetyczne, odmawiające posłuszeństwa systemy podtrzymywania życia i utylizacji odpadów, główne arterie pełne wściekłych, oszalałych tłumów, które kolejny głodowy posiłek pchnął do rewolucji. Policjanci w egzozkieletach już dawno wycofali się z poziomu ulic. Ich miejsce zajęły tłoczące się ponad głowami muchoboty pacyfikacyjne, traktujące rzesze ludzi gazem i infradźwiękami.

Istniało także słowo na określenie krawędzi natarcia fali, tego chaotycznego miejsca przegięcia, gdzie trajektoria odwracała się tuż przed uderzeniem: punkt załamania. Zachodnie N'AmPac przetrwało ten zwrot o 180° jakoś w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. Wszystko na zachód od Gór Skalistych zostało w zasadzie spisane na straty. KRASZ sięgnął po wszystkie dostępne bariery byle tylko odizolować te tereny: ludzie, towary, a nawet same elektrony zostały zatrzymane w pół drogi. Praktycznie rzecz biorąc, świat skończył się na Kordylierach. Poza tę granicę mogli sięgać już tylko prawołamacze, by robić co w ich mocy.

To nie wystarczy. Nie tym razem.

Rzecz jasna system ulegał degradacji już od wielu lat. A nawet od wieków. Desjardins zawdzięczał swą posadę dynamicznej synergii między entropią a ludzką głupotą – bez niej kontrola zniszczeń nie stanowiłaby najpotężniejszego biznesu na całej planecie. Ostatecznie wszystko przecież ulega rozpadowi, wie o tym każda istota posiadająca parę oczu i IQ nieco wyższe od temperatury pokojowej. Nie było jednak żadnej konkretnej przyczyny, dla której miałyby to dziać się aż tak szybko. Mogliby zyskać może z dekadę czy dwie, kupić trochę czasu tym, którzy wciąż wierzyli w ludzki geniusz, by jeszcze trochę mogli się połudzić.

Jednak im bliżej punktu krytycznego, tym trudniej załatać pęknięcia. Nad samą przepaścią nawet równowaga nie jest stanem stabilnym. Zapomnijcie o motylach: kiedy planeta balansuje na samej krawędzi, łopot skrzydełek *mszycy* może wystarczyć, by strącić ją w otchłań.

Był rok 2051, a Achilles Desjardins miał obowiązek rozgnieść Lenie Clarke jak robaka, obojętnie jakiego gatunku.

Obserwował, jak jej dzieło zniszczenia rozlewa się po całym kontynencie niczym pajęczyna powiększających się pęknięć na powierzchni zamarzniętego jeziora. Jego wkładki wypływały dane z setek różnych źródeł: zgłoszenia dotyczące potwierdzonych lub prawdopodobnych miejsc pobytu kobiety w ciągu ostatnich dwóch miesięcy, zbyt nieaktualne, by pomóc w zorganizowaniu obławy, ale potencjalnie pomocne przy określaniu lokalizacji kolejnego ogniska behemota. Memy i legendy dotyczące Mrocznej Madonny, liczniejsze i rozprzestrzeniające się niczym przerzuty – to strategia rozrodcza rojów zwierzyny wirtualnej, którą Desjardins dopiero niedawno odkrył i której pewnie nigdy w pełni nie zrozumie. Rzeczywistość i legenda zawierające jakieś niezamierzone sojusze i behemot wykwitający wszędzie tam, gdzie do tego dochodziło; tuż po nim burze ogniowe i zaciemnienia, przez które rosła liczba niewinnych ofiar, poświęconych w imię większego dobra.

Desjardins wiedział, że było to kłamstwo. N'Am przekroczyła już punkt krytyczny, pomimo podjęcia drastycznych kroków. Chwilę zajmie, zanim cały system padnie – grzbiet fali od jej doliny dzielił naprawdę duży spadek. Jednak Desjardins był mistrzem w odczytywaniu liczb. Wiedział, że jeszcze ze dwa, maksymalnie trzy tygodnie i cały kontynent stoczy się w ślad za N'AmPac'iem w otchłań anarchii.

Wiadomości przewijające się w jednym z narożników wyświetlacza poinformowały go o nowych zamieszkach w Hongcouver. Supernowoczesne systemy zabezpieczeń oddały życie, broniąc lśniących

iglic i luksusowych enklaw. Poległy nie w wyniku sprytnych włamań czy dzięki lepszej technologii, ale pod naporem mas na ich lufy. Broń padła z wycieńczenia, znikając pod falą żywych ciał wyłaniających się spośród martwych. Na oczach Desjardinsa tłum sforsował bramę z triumfalnym wrzaskiem. Trzydzieści tysięcy nałożonych na siebie głosów, niczym ryk morza, w którym w dziwny sposób nie znać było żadnych oznak człowieczeństwa. Dźwięk brzmiał niemalże mechanicznie. Brzmiał jak wiatr.

Desjardins zamknął kanał, zanim tłum zdążył odkryć to, o czym on wiedział: iglice były puste, a korpy, którym niegdyś służyły jako schronienie, dawno zapadły się pod ziemię.

A raczej pod morze.

Czyjaś dłoń musnęła delikatnie jego plecy. Mężczyzna odwrócił się, zaskoczony. U jego boku stała Alice Jovellanos. Kiedy zorientował się, kto jej towarzyszył, zerknął ukradkiem na swą tablicę, gdzie na dziesiątkach okien płonął Rzym. Wyciągnął rękę, by je wszystkie wyłączyć.

– Nie, zostaw. – Lenie Clarke zsunęła wizjer z głowy i obrzuciła obraz zniszczenia spojrzeniem białych niczym skorupka jaja oczu. Jej twarz wydawała się spokojna i pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu, ale kiedy kobieta znów się odezwała, głos jej drżał.

– Nie wyłączaj.

Spotkał ją po raz pierwszy przed dwoma tygodniami. Polował na nią od miesięcy, przeszukiwał archiwa, zagłębiał się w jej akta, skupiał swe nieprzeciętne umiejętności dopasowywania wzorców na zagadkowej, niekompletnej łamigłówce zwanej *Lenie Clarke*. Jednak zebrane do tej pory elementy ukazały mu coś więcej niż tylko *wylęgarnię końca świata*, jak określiła ją Rowan. Ukazały mu kobietę, której całe dzieciństwo było kłamstwem zaprogramowanym do tego stopnia, że nie miała nad nim żadnej kontroli ani nawet nie była go świadoma. Przez cały czas próbowała jedynie wrócić do domu i odkryć na nowo własną przeszłość.

Natomiast Ken Lubin, podległy własnej odmianie Moralniaka, próbował ją zabić. Desjardins zamierzał pokrzyżować mu szyki. Wtedy wydawało mu się to jedynym słusznym posunięciem. Z perspektywy czasu dziwiło go, że taki akt dobroci mógł wyjść od jego budzącej się psychopatii.

Jednak jego akcja ratunkowa nie powiodła się. Lubin pochwycił go, zanim Clarke w ogóle pojawiła się w Sault Sainte Marie. Resztę czasu Desjardins spędził w ciemnym pokoju, przywiązany do krzesła i z połamaną połową kości twarzy.

Co zaskakujące, wcale nie zrobił mu tego Ken Lubin.

A jednak teraz wszyscy znajdowali się po, jak można to ogólnie nazwać, *tej samej stronie* – on, Alice, Kenny i Lenie pracowali ramię w ramię w imię odcieni szarości, moralnej niejednoznaczności i słusznej zemsty. Spartakus uwolnił Lubina od Moralniaka, tak jak zrobił to z Desjardinsem. Prawołamacz musiał przyznać, że darzył pewną sympatią małomównego zabójcę. Wiedział, jak to jest na powrót poczuć ciężar szczerzego poczucia winy po latach, kiedy to syntetyczne neuroprzekazniki podejmowały za ciebie wszystkie trudne decyzje. Ciężar paralizującej obawy. Ciężar moralności.

A przynajmniej na początku. Teraz poczucie winy znikło. Teraz był już tylko strach.

Świat wołał do niego z tysiąca różnych stron, desperacko próbując zwrócić na siebie jego uwagę. A on miał obowiązek mu ją poświęcić – zapewnić ratunek albo, jeśli to się nie uda, wybierać wodę aż ostatnie unoszące się na falach szczątki pójdą na dno. Jeszcze nie tak dawno temu było to dla niego coś więcej niż tylko obowiązek. Był to wewnętrzny przymus, popęd, coś, przed czym nie potrafił się *powstrzymać*. W chwili obecnej powinien wysłać ekipy ratunkowe, kierować niezbędnymi zapasami, przydzielać podnośniki i muchoboty, by podtrzymać sypiącą się kwarantannę.

*Jebać to*, pomyślał i wyłączył wszystkie sygnały. Odniósł wrażenie, że stojąca za jego plecami Lenie Clarke wzdrygnęła się, gdy wyświetlacz pociemniał.

– Namierzyłeś ich? – zapytała Jovellanos. Zrobiłaby to sama, ale była starszym prawołamaczem zaledwie od tygodnia: to za krótko, by przyzwycząć się do wkładek, a co dopiero rozwinąć siódmy zmysł, który Desjardins wyostrzał u siebie od ponad połowy dekady. Nie potrafiła dokładniej określić miejsca pobytu zbiegłych korpów niż *gdzieś na północnym Atlantyku*.

Desjardins kiwnął głową i sięgnął ku głównej tablicy. Onyksowe odbicie Clarke zbliżyło się nieco i wbiło w niego wzrok z ciemnej powierzchni. Mężczyzna musiał stłumić w sobie przemożną chęć, by spojrzeć na nią przez ramię. Była *tu, w jego kabinie* – dziewczyna o połowę mniejsza od niego. Drobną, szczupłą kobietą, której śmierci pragnęła jedna połowa świata, a za którą druga gotowa była umrzeć.

Zanim w ogóle ją poznał, rzucił wszystko, by przyjść jej z pomocą, a kiedy wreszcie stanął z nią twarzą w twarz przeraziła go bardziej niż Lubin. Jednak od tamtej pory coś w Clarke uległo zmianie. Fasada lodowej królowej pozostała na swoim miejscu, ale coś, co kryło się za nią, wydawało się mniejsze. Niemal kruche.

Wyglądało jednak na to, że Alice niczego nie zauważyła. Stała się samozwańczą maskotką ryfterów od chwili, kiedy dostrzegła możliwość odegrania się na *Nikczemnej Oligarchii Korporacyjnej*, czy jak tam nazywała ich w tym tygodniu.

Desjardins otworzył okno na tablicy – powiększony obraz z satelity przedstawiający otwarty ocean w fałszywej kolorystyce, wieloodcieniowa plazma w kodzie barwnym.

– Też o tym myślałam – włączyła się Alice – ale nawet gdyby udało ci się wyodrębnić z szumu sygnaturę ciepłą, to cyrkulacja jest tu tak powolna, że...

– Nie chodzi o temperaturę – przerwał jej Desjardins. – Mętność.

– Ale mimo wszystko cyrkulacja...

Posłał jej ostre spojrzenie.

– Siedź cicho i ucz się, ok?

Kobieta zamilkła, a w jej oczach zamigotał ból. Obchodziła się z nim jak z jajkiem, od kiedy przyznała się do zainfekowania go.

Desjardins odwrócił się w stronę tablicy.

– Rzecz jasna, mamy spore wahania wraz z upływem czasu. Mnóstwo różnych rzeczy od fal po pierdy kałamarnic. – Dotknął jakiejś ikony i zupełnie nowe dane nałożyły się na podstawę niczym przezroczyste parfait. – Nigdy nie znajdziesz śladów na pojedynczym zdjęciu, choćby było w najlepszej rozdzielczości. Musiałem przyjrzeć się wartościom średnim z trzech miesięcy.

Poszczególne warstwy zlały się w jedno. Bezkształtna plazma zniknęła. Z mgły wyłoniły się wyraźne smugi i plamy.

Palce Desjardinsa tańczyły po tablicy.

– Teraz usuń wszystko, co pokazuje się w bazie danych NOAA... – Miriady świetlistych blizn nabrały nagle przezroczystości. – ...pozostałości Gólsztromu... – Zniknął sznur koralu ciągnący się od Florydy po Anglię. – ...a także wszystkie figurujące w rejestrach place budowy lub upwellingi niepasujące do minimalnych dozwolonych rozmiarów struktur.

Zniknęło kilkadziesiąt ostatnich punktów. Północny Atlantyk pogrążył się w jednolitym mroku, z wyjątkiem pojedynczej jaskrawej plamki wyrastającej niemalże idealnie pośrodku.

– A więc to tutaj – mruknęła Clarke.

Desjardins pokręcił głową.

– Trzeba wziąć poprawkę na przesunięcie boczne podczas wznoszenia się. Prądy w środkowej

warstwie wody i tym podobne. – Uruchomił odpowiednie algorytmy: plamka przeskoczyła na północny zachód i zatrzymała się tam.

Wyświetlacz pokazał 39°20'14"N 25°16'03"W.

– To dokładnie na północny wschód od Atlantyckiej Strefy Przełamania – powiedział Desjardins.

– Najmniejsza wirowość w całym cholernym basenie.

– Mówiłeś o mętności. – Odbicie Clarke, z jaskrawym punktem w centrum klatki piersiowej, pokręciło głową. – A skoro nie ma tam wirowości...

– Bąbelki – wykrzyknęła Alice, przerywając jej.

Mężczyzna przytaknął.

– Nie da się zbudować domu spokojnej starości dla kilku tysięcy osób bez spawania. Przy czymś takim musi wydzielić się całe mnóstwo gazów. Stąd ta mętność.

Clarke nie wydawała się przekonana.

– Spawaliśmy w Channer. Ciśnienie miażdżyło bąbelki, kiedy ledwie zdążyły powstać.

– Przy spawaniu punktowym na pewno. Jednak ci ludzie musieli łączyć ze sobą całe habity: wyższe temperatury, większe odgazowywanie, więcej bezwładności cieplnej. – Odwrócił się wreszcie w jej stronę. – Nie mówimy tu o wrzącym kotle. Przy powierzchni zostają już tylko drobnutki bąbelki. Niewidoczne gołym okiem. Jednak tyle wystarczy, by zmniejszyć przenikanie światła i to właśnie oglądamy tu, na ekranie.

Postukał palcem świetlisty guz na tablicy.

Clarke przez chwilę przyglądała się punktowi z twarzą pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu.

– Czy komuś jeszcze o tym wiadomo? – zapytała po chwili.

Desjardins pokręcił głową.

– Nikomu nie wiadomo nawet, że się tym zajmowałem.

– Nie masz nic przeciwko, żeby tak zostało?

Mężczyzna zachnął się.

– Lenie, nie chcę nawet *myśleć* o tym, co by się stało, gdyby ktokolwiek dowiedział się, że traćłem czas na coś takiego. I to nie tak, że jesteście tu niemile widziani, ale fakt, że się tu kręcicie, wiąże się ze sporym ryzykiem. Czy ty...

– To już załatwione, Killjoy – wtrąciła łagodnie Alice. – Mówiłam ci, że szybko łapię.

I była to prawda. Zyskawszy awans po jego dezercji, potrzebowała zaledwie kilku godzin, by odkryć, że kilka tysięcy korpów zniknęło cichaczem z powierzchni ziemi. Potrzebowała mniej niż dwóch dni, by wciągnąć go z powrotem na listę zatrudnionych przez KRASZ, zaś jego tajemniczą nieobecność przykryć odpowiednimi wymówkami i biurokratyczną sieczką. Rzecz jasna weszła do gry, mając niesprawiedliwą przewagę: nosiła w sobie Spartakusa, więc Moralniak nie mógł na nią wpłynąć. Rozpoczęła pracę posiadając wszystkie uprawnienia starszego prawołamacza, a bez żadnych ograniczeń. To *oczywiste*, że dysponowała niezbędnymi środkami, by wkręcić Lenie Clarke do wewnętrznego sanktuarium KRASZ-u.

Jednak nawet w tej chwili Spartakus bulgotał w głowie Desjardinsa niczym kwas przeżerający łańcuchy wykute przez Moralniaka. Uwolnił już jego sumienie. Wkrótce, czego mężczyzna bardzo się obawiał, zupełnie je zniszczy.

Spojrzał na Alice. *Ty mi to zrobiłaś*, pomyślał, badając, jakie uczucia wywołało w nim to oskarżenie. Z początku był to gniew i głębokie poczucie zdrady. Nawet coś granicznego z nienawiścią.

Teraz jednak nie był już pewien. Alice... Alice była komplikacją, jego zgubą i jego wybawieniem w jednym smukłym ciele. Na razie uratowała mu tyłek. Na przyszłość – dysponowała informacjami,

które mogły okazać się kluczowe. Ostatecznie postanowił z nią współpracować, przynajmniej przez jakiś czas. Natomiast jeśli chodziło o ryfterów, wiedział, że im szybciej im pomoże, tym szybciej przestaną mieć znaczenie.

A przez cały ten czas jakaś uparta drzazga na tyłach jego umysłu rozważała opcje, które wkrótce mogły okazać się dostępne dla człowieka pozbawionego smyczy...

Alice Jovellanos, jak zawsze pełna nadziei, obdarzyła go nieśmiałym uśmiechem. Achilles Desjardins odpowiedział jej tym samym.

– Szybko łapiesz – powtórzył. – To fakt.

Miejmy nadzieję, że nie dość szybko.

## KONFESJONAŁ

Jerenice Seger chce wygłosić oświadczenie.

Ale nie przed Lubinem czy Clarke. Nie zamierza nawet powiedzieć im, o co właściwie chodzi.

– Zależy mi, żeby uniknąć nieporozumień – mówi. – Chcę zwrócić się do całej waszej społeczności. – Jej pikselowa podobizna spogląda z uporem z tablicy. W tyle stoi Patricia Rowan. Ona też nie wygląda na zadowoloną.

– Dobrze – odpowiada wreszcie Lubin i rozłącza się.

*Seger, myśli Clarke. To Seger wygłosi oświadczenie. Nie Rowan.*

– Jakież medyczne wieści – mówi na głos.

– Złe wieści – dodaje Lubin, zaplombowując swoje rękawice.

Clarke ustawia tablicę na szerokie pasmo dla modemów akustycznych o niskiej częstotliwości.

– Lepiej wezwę oddziały.

Lubin rusza w dół po drabinie.

– Uruchom dzwonki w moim imieniu, dobrze?

– Dlaczego? A dokąd niby *ty* się wybierasz? – Dzwonki są po to, by powiadamiać tych ryfterów, którzy wyłączają swoje vocodery, ale na ogół obsługuje je właśnie Lubin.

– Chcę coś sprawdzić – odpowiada.

Śluza zamyka się z sykiem za jego plecami.

Rzecz jasna, nawet przy ich obecnej liczebności, wszyscy nie zmieszczą się w habie nerwowym.

Byłoby łatwiej, gdyby moduły ryfterów podlegały regułom. Zaprojektowano je tak, by dało się je ze sobą łączyć, choć każdy z nich był samodzielną kulą poznaczoną sześcioma okrągłymi otworami gębowymi o średnicy dwóch metrów. Każdy może połączyć usta bezpośrednio z innym lub z dzielącym je korytarzem – w taki właśnie sposób rozrasta się cała struktura, grudkowato i oportunistycznie, niczym jakiś spoczywający na dnie morskim ogromny szkielet zbudowany z długich kości i pustych czaszek. A przynajmniej taka jest idea. Kilka podstawowych kształtów nieskończenie elastycznych w połączeniu.

Ale nie. Tutaj moduły wyrastają z podłoża na podobieństwo samotnych grzybów. Ryfterzy mieszkają samotnie, w parach albo takich skupiskach, jakie aktualnie im odpowiadają. *Tłum* ryfterów to niemalże oksymoron. Haby nerwowe należą do największych struktur na całym kempingu, a i tak są w stanie pomieścić na głównych pokładach tylko kilkanaście osób. Biorąc pod uwagę granice terytorialne, jakie większość ryfterów wyznacza sobie w otchłani, nawet te pomieszczenia nie są dla nich zbyt komfortowe.

Kiedy Clarke rusza w drogę powrotną po uruchomieniu dzwonek, w środku zaczyna już robić się



łoczno. Chen i Cramer siedzą jej na ogonie, gdy podpływa do śluzy. Na mokrym pokładzie po drabinie wspina się Abra Cheung. Clarke rusza jej śladem – a śluza za jej plecami zaczyna kolejny cykl – i natrafia na grupkę ośmiu czy dziewięciu osób, które zebrały się w pomieszczeniu pod jej nieobecność.

W centrum akcji znajduje się Grace Nolan pochylona nad panelem komunikacyjnym. Sonar pokazuje tuzin innych znajdujących się jeszcze w drodze. Clarke przez chwilę zastanawia się, czy systemy oczyszczania powietrza w habie poradzą sobie z takim zagęszczeniem. Może wcale nie będzie żadnego *oświadczenia*. Może Seger zależy jedynie, by udusili się wydychanym przez siebie dwutlenkiem węgla.

– Hej. – U jej boku pojawia się Kevin Walsh, wyczekując z nadzieją na granicy jej strefy intymnej. Wygląda na to, że znów stał się dawnym sobą. Stojący przed nimi Gomez odwraca się i zauważa Clarke.

– Hej, Len. Słyszałem, że korpy mają jakieś wieści.

Kobieta kiwa głową.

– Trzymasz się blisko z tymi dupkami. Wiesz, o co chodzi?

Tym razem zaprzecza.

– Ale to Seger będzie mówić. Podejrzewam więc, że to jakaś kwestia medyczna.

– Taa. Pewnie tak. – Gomez wciąga powietrze przez przebarwione zęby. – Czy ktoś widział Julię? Powinna być tu z nami.

Cheung wydyma usta.

– Po spędzeniu półtora tygodnia z Gene'em? Sam oddychaj takim powietrzem, jeśli *chcesz*.

– Całkiem niedawno widziałam ją przy jednym ze stosów – włącza się Hopkinson.

– Jak wyglądała?

– Znasz Julię. Czarna dziura z cyckami.

– Ale fizycznie. Wyglądała na chorą?

– A skąd mam wiedzieć? Myślisz, że paradowała tam w majtkach i staniku? – Hopkinson wzrusza ramionami. – W każdym razie nic nie mówiła.

Przez grodzie i odgłosy rozmów przebijają się dźwięki udręczonej skały.

– No dobra – odzywa się Nolan. – Starczy tego opieprzania się. Skontaktujmy się z nimi i załatwmy to. – Dotyka ikony na panelu sterowania. – Jesteś na głośniku, Seger. Niech to będzie coś wartego uwagi.

– Są tam wszyscy? – pyta głos Seger.

– Oczywiście, że nie. Wszyscy nie zmieściliby się w habie.

– Wolalabym...

– Podłączyliśmy cię do kanałów dla modemów akustycznych. Wszyscy znajdujący się w promieniu pięciuset metrów słyszą cię głośno i wyraźnie.

– No cóż. – Na chwilę zapada cisza, jakby ktoś zastanawiał się, jak najlepiej przejść przez pole minowe. – Jak wiecie, od kilku dni Atlantyda znajduje się pod kwarantanną. Konkretnie, od kiedy dowiedzieliśmy się o behemocie. Jednak wszyscy przeszliśmy te same modyfikacje, nie było więc powodu, by traktować to jako poważny problem. Kwarantanna była jedynie środkiem ostrożności.

– Była – zauważa Nolan. Na dole śluza znów rozpoczyna cykl.

Seger prze naprzód.

– Przeanalizowaliśmy próbki przyniesione przez Kena i Lenie z Niemożliwego Jeziora i wszystko, co udało nam się odkryć, wskazywało na behemota. To samo osobliwe RNA, ta sama stereoizomerizacja...

– Do rzeczy – przerywa jej Nolan.

– Grace? – odzywa się Clarke. Nolan spogląda w jej stronę. – Zamknij się i daj jej skończyć. –

Nolan prychnie i odwraca się.

– W każdym razie, wyniki nie pozostawiały wątpliwości – podejmuje po chwili Seger – więc ze względów bezpieczeństwa spaliliśmy zainfekowane szczątki. Oczywiście po uprzedniej digitalizacji.

– Digitalizacji? – To Chen.

– Skan niszczący w wysokiej rozdzielczości. Wystarczający, byśmy mogli dokonać symulacji próbki nawet na poziomie molekularnym – wyjaśnia Seger. – Modele tkanek zachowują się dokładnie tak samo jak mokre próbki, ale pracy z nimi nie towarzyszy żadne ryzyko.

W polu widzenia pojawia się Charley Garcia. Grodzie wydają się przybliżyć wraz z każdą kolejną, nowo przybyłą osobą. Clarke przełyka ślinę, a powietrze wokół niej jakby gęstnieje.

Seger odkasłuje.

– Pracowałam na jednym z takich modeli i, cóż, zauważyłam pewną anomalię. Wydaje mi się, że ryba, którą przynieśliście z Niemożliwego Jeziora została zainfekowana przez behemota.

W pomieszczeniu pełnym pustych oczu wymieniono spojrzenia. W oddali dzwonki wietrzne Lubina wydały z siebie ostatni jęk i umilkły, gdy wyczerpała się zawartość zbiornika.

– To chyba *oczywiste* – odzywa się po chwili Nolan. – No i co w związku z tym?

– Hmm, użyłam słowa *zainfekowana* mając na myśli stan patologiczny, nie symbiozę. – Seger odchrząkuje. – Chcę przez to powiedzieć, że...

– Była *chora* – kończy Clarke. – Chora na behemota.

Przez chwilę panuje martwa cisza.

– Obawiam się, że to prawda. Gdyby nie zabił jej Ken, pewnie zrobiłby to behemot.

– O *kurwa* – wykrztusza ktoś cicho. Przekleństwo zawisa w pomieszczeniu, w którym nagle wszyscy zamilkli. Ze śluzy na dole dobiega bulgot.

– No to była chora – odzywa się w końcu Dale Creasy. – I co z tego?

Garcia kręci głową.

– Dale, już nie pamiętasz, jak *działa* ten skurwiel?

– No pewnie. Rozkłada enzymy, żeby dobrać się do siarki czy coś w tym stylu. Ale jesteśmy odporni.

– Jesteśmy odporni – wyjaśnia cierpliwie Garcia – bo mamy specjalne geny, które sprawiają, że enzymy stają się zbyt sztywne, by behemot mógł je rozłożyć. Tyle że pozyskaliśmy je od ryb głębinowych, Dale.

Creasy usiłuje przetworzyć informacje. Ktoś inny powtarza „*Kurwa, kurwa, kurwa*” cichym, łamiącym się głosem. Na dole ktoś spóźnialski zaczyna wspinać się po drabinie. Ktokolwiek to jest, potyka się już na pierwszym szczeblu.

– Obawiam się, że pan Garcia ma rację – mówi Seger. – Jeśli tutejsze ryby są podatne na tego mikroba, to zapewne my też.

Clarke kręci głową.

– Ale... Chcesz powiedzieć, że to jednak *nie jest* behemot? Że to coś innego?

Przy drabinie zapanowało nagłe zamieszanie. Zebrani ryfterzy odskakują jak rażeni prądem. Do pomieszczenia, chwiejąc się na nogach, wkracza Julia Friedman. Jej twarz ma kolor bazaltu. Staje na pokładzie, kurczowo trzymając się barierki wokół wjazdu i nie mając śmiałości, by ją puścić. Rozgląda się, raz za razem przesłaniając powiekami nieumarłe oczy. Jej skóra połyskuje.

– To wciąż behemot, mniej więcej – byczy z oddali Seger. Z Atlantydy. Z zaryglowanej,

zaspawanej, zamkniętej hermetycznie, odizolowanej przez kwarantannę, *cholernie bezpiecznej, pieprzonej Atlantydy*. – Właśnie dlatego nie potrafiliśmy określić natury infekcji pana Ericksona – wykryliśmy behemota, ale zignorowaliśmy te wyniki, bo nie sądziliśmy, że właśnie to może stanowić problem. Najwyraźniej jednak mamy tu do czynienia z jakąś nową odmianą. Wirulentna specjacja to dość powszechna strategia, kiedy organizm rozpowszechnia się w nowym środowisku. Zasadniczo jest to...

*Zły brat bliźniak behemota*, przypomina sobie Clarke.

– behemot typ II – kończy Seger.

Julia Friedman osuwa się na kolana i wymiotuje na pokład.

Pasmo Babel. Mieszanina nakładających się na siebie głosów.

– No jasne, że im nie wierzę. Chcesz powiedzieć, że ty *tak*?

– To jakieś bzdury. Gdyby...

– Powiedzieli nam o tym szczerze. A nie musieli.

– Taa, nagle postanowili się przyznać w dokładnie tym samym momencie, kiedy u Julii pojawiają się symptomy. Co za przypadek.

– A skąd niby mieli wiedzieć, że ona...

– Znali okres inkubacji. Musieli go znać. Jak inaczej chcesz wyjaśnić tę zbieżność? Dramatyczną ironią?

– No dobra, ale co *zrobimy*?

Opuścili hab. Pomieszczenie opustoszało niczym opróżniony zbiornik balastowy, wypływając ryfterów na i tak już zatłoczone dno morskie – nawet jak na standardy lądowców. Hab wisi nad nimi, podobny do spizowej planety. Trzy reflektory otaczające słup brzuszny malują na podłożu jasne, nakładające się na siebie koła. Czarne ciała przepływają na granicy światła. Za rzędami białych, niemrugających oczu przewija się sugestia niespokojnego ruchu. Przypominają Clarke głodne zwierzęta, które ledwo utrzymuje w szachu blask ogniska.

Właściwie sama też powinna tak się czuć.

Nigdzie za to nie widać Grace Nolan. Rozpłynęła się w mroku kilka minut temu, otoczywszy ramieniem Julię Friedman, by pomóc jej wrócić do domu. Ten akt pozornego altruizmu najwyraźniej zyskał uznanie w oczach innych – Chen i Hopkinson już trzymają jej stronę. Garcia próbuje jeszcze zadawać jakieś pytania, ale panujące nastroje sugerują, że nikomu nie zależy zbytnio na zinterpretowaniu wątpliwości na korzyść zainteresowanych.

– Hej, Dimi – byczy Chen. – Jak ci idzie?

– Cuchnie tu jak w szpitalu – Rozchodzący się w powietrzu głos Alexandra rażąco wyróżnia się na tle innych, podwodnych. – Ale prawie skończyłem. Niech ktoś lepiej wyhoduje mi nową skórę. – Wciąż jest w środku i sterylizuje wszystko, z czym mogła mieć kontakt Julia Friedman albo jej płyny ustrojowe. Grace Nolan poprosiła o ochotników.

Zacząła wydawać rozkazy, a ludzie zaczęli je wykonywać.

– Jak dla mnie powinniśmy wywiercić dziurę tym chujom – byczy Creasy gdzieś nieopodal.

Clarke przypomina sobie otwory wypalone w biostali.

– Wstrzymajmy się jeszcze z kontratakiem. Mogą mieć trudności ze stworzeniem leku, jeśli rozsmarujemy ich po pokładzie.

– Jakby w ogóle zajmowali się szukaniem leku.

Clarke ignoruje tę uwagę.

– Chcą próbek krwi od wszystkich. Niektórzy z nas też mogą być zainfekowani. Najwyraźniej nie

da się tego stwierdzić tak od razu.

– U Gene’a dało się całkiem szybko – protestuje ktoś.

– Wypatroszenie żywcem skutkuje zapewne trochę większym narażeniem na działanie patogenu.

U Julii nie wystąpiły żadne objawy przez ile – dwa tygodnie?

– Nie zamierzam dawać im krwi – warczy Creasy, a jego głos przypomina zgrzyt metalu. – *Sami* oddadzą krew, jeśli spróbują mnie do tego zmusić.

Clarke kręci głową, poirytowana.

– Dale, nie mogą nikogo do niczego zmusić i doskonale o tym wiedzą. Oni *proszą*. Jeśli chcesz, by *blagali*, to jestem pewna, że da się to załatwić. Z czym masz problem? Przecież i tak pobieraliście próbki krwi na własną rękę.

– Gdybyśmy na chwilę mogli przestać lizać cipę Patricii Rowan, to przekazałabym wam wiadomość od Gene’a.

Grace Nolan wpływa w krąg światła niczym członek smolście czarnej watahy zajmujący dominującą pozycję. *Ona* nie boi się ognisk.

– Grace – bzczy Chen. – Co z Julią?

– A jak myślisz? Jest *chora*. Ale przynajmniej udało mi się ją opatulić i uruchomić diagnostykę, choć nie wiem, czy to cokolwiek da.

– A Gene? – pyta Clarke.

– Obudził się na chwilę. Powiedział, cytując: „Mówiłem *im*, że *te skurwysyny coś mi zrobiły*. *Może uwierzą mi, kiedy moja żona umrze*”.

– Hej – włącza się Walsh. – Ewidentnie czuje się lep–

– Korpy *nigdy* nie zaryzykowałyby rozprzestrzenieniem czegoś takiego, gdyby nie miały gotowego leku – przerywa mu Nolan. – Za łatwo same mogłyby się zarazić.

– Racja. – To znów Creasy. – Proponuję dziurawić im gródź za grodzia, dopóki nam go nie podadzą.

Pośród mroku ścierają się zgoda i niepewność.

– Wiecie, może wyjdę na adwokata diabła, ale istnieje przecież niska szansa, że mówią prawdę.

To Charley Garcia, unoszący się w wodzie gdzieś z boku.

– No bo mikroby mutują, nie? – kontynuuje. – Zwłaszcza, kiedy ludzie traktują je pierdyliardami leków, a założę się, że oni wykupili całą aptekę, kiedy to cholera wy dostało się na wolność. Więc skąd wiecie, że nie mogło samo przejść drogi od typu I do  $\beta$ -Max?

– Jak dla mnie to cholernie duży zbieg okoliczności – bzczy Creasy.

Vocoder Garcii tyka kilkakrotnie w werbalnym odpowiedniku wzruszenia ramionami.

– Tak tylko mówię.

– Jeśli zamierzali wywołać wojnę biologiczną, to czemu czekali aż do teraz? – dodaje Clarke, kurczowo chwytając się dostępnej możliwości. – Czemu nie zrobili tego cztery lata temu?

– Cztery lata temu nie mieli behemota – odpowiada Nolan.

– Mogli przywieźć sobie posiew. – To Walsh.

– Niby po co, przez wzgląd na stare dobre czasy? W przypiływie jebanej *nostalgii*? Gówno mieli, dopóki Gene nie zaserwował im tego na ciepło.

– Powinnaś częściej wychodzić z domu, Grace – bzczy Garcia. – Od pięćdziesięciu lat tworzymy mikroby z części zamawianych wysyłkowo. Mając sekwencję genów, korpy mogły stworzyć behemota od zera, kiedy tylko nabrałyby takiej ochoty.

– A skoro już przy tym jesteśmy, to także wszystko inne – dodaje Hopkinson. – Po co korzystać z czegoś, co potrzebuje aż tyle czasu, tylko po to, żeby kilkoro z nas się pochorowało? Bakterie

supercoli załatwiłyby nas w jeden dzień.

– Załatwiłyby *Gene'a* w jeden dzień – sprostowuje Nolan. – Zanim zdążyłyby pozarażać nas. Szybko działające zarazki nie zdałyby tu egzaminu – jesteśmy rozproszeni, odizolowani, a przez większość czasu nawet nie *oddychamy*. Nie zdejmujemy skór nawet w pomieszczeniach. Takie coś *musiałoby* działać powoli, jeśli miałyby się rozprzestrzenić. Ci skurwiele doskonale wiedzą, co robią.

– Poza tym – odzywa się Baker – chyba dodalibyśmy dwa do dwóch, gdyby na dnie cholernego oceanu wybuchła nagle epidemia supercoli? Skończyliby martwi, gdyby spróbowali czegoś takiego.

– I dobrze o tym wiedzą.

– Ale behemot daje im alibi – podsuwa Chen. – Prawda?

*A niech cię szlag, Jelaine.* Clarke przyszło do głowy dokładnie to samo. *Musiałas powiedzieć to na głos?*

Nolan natychmiast chwytą swoją pałkę gazową.

– Dokładnie. *Dokładnie.* Natrafili na behemota przy Niemożliwym Jeziorze, więc nikt nie może oskarżyć ich o zaszczepienie go właśnie *tam*. Tyle że podkręcili go troszkę, kiedy trafił na Atlantyde i zarazili nas, a jak niby mamy zauważyć różnicę?

– Zwłaszcza, że dogodnym przypadkiem *zniszczyli próbki* – dodaje Creasy.

Clarke kręci głową.

– Jesteś hydraulikiem ze skrzelami, Dale. Nie miałbyś pojęcia, co zrobić z tymi próbkami, nawet gdyby Seger wręczyła ci je w woreczku strunowym. To samo zresztą tyczy się projektu z krwią na kółko naukowe autorstwa Grace.

– Więc taki jest twój wkład. – Nolan przedziera się przez wodę, by ostatecznie zawisnąć kilka metrów od Clarke. – Nam, biednym, głupim rybogłowym, brakuje odpowiedniego wykształcenia czy modyfikacji, więc po prostu musimy zaufać mądrym żel-dżokejom, choć to właśnie oni zrobili nas w chuja.

– Jest ktoś jeszcze – odpowiada jej Clarke. – Rama Bhanderi.

Nagle zapada całkowita cisza. Sama Clarke ledwo jest w stanie uwierzyć, że naprawdę to powiedziała.

Vocoder Chen zaczyna terkotać, czyniąc dziwaczny wstęp.

– Ee, Len. Rama został tubylcem.

– Jeszcze nie. Nie do końca. W najgorszym przypadku jest na granicy.

– Bhanderi? – Drwina w głosie Nolan sprawia, że woda wibruje. – Pewnie już zamienił się w rybę!

– Wciąż mówi do rzeczy – nie ustępuje Clarke. – Niedawno z nim rozmawiałam. Możemy go tu ściągnąć.

– Lenie – odzywa się Walsh. – Nikt...

– Bhanderi *zna* się na tym gównie – przerywa mu Garcia. – A przynajmniej kiedyś się znał.

– Dosłownie – dodaje Creasy. – Słyszałem, że podrasował bakterie *E. coli* tak, by wydzielaly psychotropy. Jeśli łazisz z czymś *takim* w bebechach, tkwisz bez przerwy w samopodtrzymującej się nibylandii. – Grace Nolan odwraca się w jego stronę i piorunuje go wzrokiem, ale Creasy nie dostrzega aluzji. – Niektórzy z jego klientów zaczęli zreć własne klocki dla haju wywołanego sprzężeniem zwrotnym.

– Świetnie – byczy Nolan. – Śliniący się idiota *oraz* chemik od kału. Nadszedł kres naszych problemów.

– Chodzi mi tylko o to, żebyśmy sami nie wykopali sobie grobu – protestuje Clarke. – Jeśli korpy

nie kłamią, to właśnie z ich pomocą mamy największe szanse na zwalczenie tego paskudztwa.

– Czyli mówisz, że powinniśmy im zaufać? – To Cheung.

– Mówię, że może nie będziemy *musieli*. Mówię, że chcę spróbować porozmawiać z Ramą i przekonać się, czy potrafi nam pomóc. Jeśli nie, zawsze możemy wysadzić Atlantyde w przyszłym tygodniu.

Nolan tnie wodę dłonią.

– *On stracił wszystkie jebane klepki!*

– Miał ich dość dużo, by powiedzieć mi, co wydarzyło się przy stosie – byczy cicho Clarke.

Nolan wpatruje się w Clarke, a jej ciało skryte za maską ogarnia nagle jakieś nieokreślone napięcie.

– W zasadzie – odzywa się gdzieś z boku Garcia – jestem skłonny przychylić się do zdania Lenie.

– A ja nie – odpowiada natychmiast Creasy.

– Nie zaszkodzi spróbować. – Głos Hopkinson dobiega od strony tańszych miejsc na tyłach. – Jak powiedziała Lenie, zawsze możemy zabić ich później.

Trudno to w zasadzie nazwać impetem, ale Clarke chwyta się go mimo wszystko.

– Co niby zrobią, wstrzymają oddech i popłyną desperacko ku powierzchni? Mamy czas.

– A czy ma go Gene? A Julia? – Nolan spogląda po zgromadzonych. – Ile czasu ma *każdy* z nas?

– Jeśli się mylisz, zabijesz ich wszystkich i nagle okaże się, że jednak próbowali nam pomóc. – Clarke kręci głową. – Nie. Nie pozwolę ci na to.

– *Nie pozwo-*

Clarke zwiększa głośność i przerywa jej.

– Plan jest taki, że wszyscy oddają krew, jeśli jeszcze tego nie zrobili. Ja znajdę Ramę i postaram się przekonać go, by zgodził się nam pomóc. I na razie niech nikt nie próbuje załatwić korpów.

*To ten moment, przychodzi jej do głowy. Podbicie albo sprawdzenie.* Chwila przeciąga się w nieskończoność.

Nolan toczy wzrokiem po zgromadzonych. Wyraźnie nie podoba jej się to, co widzi.

– Dobra – byczy wreszcie. – Niech szczęśliwe małe ludziki robią sobie, co chcą. Wiem, co *ja* zrobię.

– Ty – odpowiada jej Clarke – wycofasz się i zamkniesz, i nie *kiwniesz jebanym palcem*, dopóki nie zdobędziemy wiarygodnych informacji. A zanim to się stanie, Grace, jeśli przyłapię cię w odległości pięćdziesięciu metrów od Atlantydy *albo* Ramy Bhanderiego, własnoręcznie powyrywam ci rurki z piersi.

Obie kobiety stają nagle twarzą w twarz ze sobą.

– To odważne słowa jak na kogoś, kto zgubił gdzieś swojego pupilka-psychoopatę. – Vocoder Nolan rozbrzmiewa bardzo cicho. Jej słowa są niczym mechaniczny szept, przeznaczony tylko dla uszu Clarke. – Gdzie twój goryl, korpodziwko?

– Jeśli uważasz, że go potrzebuję – odpowiada jej spokojnie Clarke – to przestań pierdolić i działaj.

Nolan wisi w wodzie bez ruchu. Jej vocoder *tyk-tyk-tyka* niczym licznik Geigera.

– Hej, Grace – byczy niepewnie Chen gdzieś z boku. – No naprawdę, wiesz? Nie zaszkodzi spróbować.

Nolan wydaje się nie słyszeć. Przez długą chwilę nie odpowiada. Wreszcie jednak kręci głową.

– Jebać to. W takim razie *próbujcie*.

Clarke pozwala ciszy trwać jeszcze przez kilka sekund. Potem odwraca się i celowo odpywa powoli poza krąg światła. Nie ogląda się. Ma nadzieję, że reszta watahy poczyta to za gest

świadczący o wybitnej pewności siebie. Wewnątrz jednak sika pod siebie. Wewnątrz chce uciec od tej nowej i ulepszonej pamiętki własnej wirulentnej przeszłości, od sytuacji odwracającej się na jej niekorzyść. Chce dać nura w głębiny i zostać tubylcem, płynąć przed siebie aż głód i samotność uczynią jej mózg gładkim jak u gada, a może i u Bhandieriego. Chce po prostu się poddać.

Odpywa w mrok, licząc, że inni zrobią to samo. Zanim Grace Nolan zdąży przekonać ich do zmiany zdania.

Wybiera oddalony piętrowy hab położony nieco niżej na zboczu niż inne. Nie ma żadnej nazwy. Niektóre mają, na przykład *Azyl Cory'ego*, *Piłka Plażowa* albo *Porzućcie wszelką nadzieję*, jednak kiedy ostatnio Clarke przebywała w tych okolicach, na kadłubie tej konstrukcji nie było żadnych naklejek i nie ma ich też teraz.

Nikt też nie napisał „Zakaz wstępu” na śluzie, ale na stojaku w środku lśnią dwie pary mokrych płetw, a z suchego pokładu dobiegają ciche, wilgotne odgłosy.

Clarke wchodzi po drabinie. Ng oraz ktoś, kogo widoczne są tylko plecy, pieprzą się na postaniu w mesie. Najwyraźniej nawet dzwonki Lubina nie były w stanie odwrócić ich uwagi. Przez chwilę Clarke zastanawia się, czy im nie przerwać i nie zrelacjonować ostatnich wydarzeń.

*Jebać to. Wkrótce i tak się dowiedzą.*

Mija parę i podchodzi do tablicy komunikacyjnej habu. System jest dość skąpy – ot, kilka standardowych elementów, byle tylko spełniał swoje zadanie. Clarke majstruje przy ekranie sonaru, by przyrzeć się dokładnie topografii Grzbietu i wyświetlonym na niej dziesiątkom platońskich ikon. Tu są główne generatory, szkieletowe drapacze chmur górujące nad Grzbietem na południu. Tu zaś Atlantyda – wielki, grudkowaty diabelski młyn położony na boku. Teraz jednak jej kontury są rozmazane. To zasługa pół tuzina generatorów białego szumu, uruchomionych, by uniemożliwić korpom podsłuchiwanie niedawnej debaty. Nikt z nich nie korzystał od czasu Buntu. Clarke zaskoczył fakt, że wciąż znajdowały się na swoich miejscach, a co dopiero, że są sprawne.

Zastanawia się, czy ktoś czasem nie postarał się o przedłużenie gwarancji.

Na wyświetlaczu wykwita kilka srebrnych bąbelków – to na wpół opuszczone domy tych, którzy ledwo znają znaczenie tego słowa. Clarke może nawet zobaczyć tych ludzi, jeśli zwiększy rozdzielczość. Obraz ma wtedy mniejszy zasięg, ale zyskuje na szczegółach, a przestwór oceanu wypełnia się połyskującymi, szafirowymi ikonami, przejrzystymi niczym ślepiec jaskiniowy. Od ukrytych we wnętrzu ciał implantów – małych, nieprzezroczystych skupisk maszynierii – odbija się wyraźne echo.

Stworzenia na ekranie można rozpoznać bez większych problemów – by to ułatwić, każdemu z nich ma umieszczony obok serca specjalny transponder identyfikacyjny. Jedno dotknięcie dałoby Clarke dostęp do szeregu przeróżnych danych. Jednak z reguły kobieta nie korzysta z tej możliwości. Nikt inny zresztą też nie. Społeczeństwo ryfterów przestrzega swojej własnej, dziwnej etykiety. Poza tym, na ogół nie jest to nawet potrzebne. Wraz z biegiem lat każdy uczy się rozpoznawać samo echo. Implanty Creasy'ego emitują rozmazaną poświatę przy jego grzbiecie. Uszkodzona noga Yeagera ściąga go lekko w lewo, gdy ten się porusza. Wielkie cielsko Gomeza zdradziłoby go nawet w oczach lądowców. Transpondery są wścibskie i zbędne. To ściągawki dla nowicjuszy. Ryfterzy generalnie nie potrzebują takiej telemetrii. Korpy natomiast ostatnimi czasy nie mają do niej dostępu.

Czasami jednak, kiedy odległość odziera echo ze wszelkich charakterystycznych cech albo kiedy sam cel uległ *zmianie*, ściągawki pozostają jedyną dostępną opcją.

Clarke zwiększa zasięg do maksimum. Wyraźne, jaskrawe kształty zlewają się w jedną niewielką plamę w centrum wyświetlacza, niczym kosmiczne odpadki wciągane do czarnej dziury. W kadrze,

przy krawędziach ekranu pojawia się nowa topografia – rozległa, niewyraźna i fraktalna. Podłoże przecinają wielkie, ciemne szczeliny, które rozgałęziają się i krzyżują ze sobą. To tu, to tam wyrastają wzniesienia ze spiętrzonych osadów cynku i srebra. Niektóre mierzą zaledwie metr, ale jest i jedno pięćdziesiąt razy wyższe. Samo dno morskie wznosi się ku wschodowi. Zbocza wielkich gór nie mieszczą się w kadrze.

Na wyświetlaczu rozbłyskują z rzadka niebieskie smugi – część z nich znajduje się na średnich dystansach, inne dalej. Część porusza się powoli, krętym, rozpikselizowanym kursem ponad mulistą równiną, inne jedynie dryfują. Przy takiej odległości nie ma mowy o jakichkolwiek cechach charakterystycznych, ale też nie są one do niczego potrzebne. Transpondery pozwalają na jednoznaczną identyfikację.

Bhanderi znajduje się na południowym zachodzie, w połowie drogi ku krawędzi ekranu. Clarke zapamiętuje jego położenie i wyłącza nakładkę transponderową, po czym zmniejsza zasięg do ustawień domyślnych. Na wyświetlaczu wyrasta znów Atlantyda oraz jej bezpośrednie otoczenie i...

*Chwileczkę...*

Pojedyncze echo, niemal niedostrzegalne pośród białego szumu wytwarzanego przez generatory. Niewyraźna plama pozbawiona szczegółów, niespodziewana narośli na jednym z cylindrycznych tuneli, łączących różne moduły Atlantydy. Najbliższa kamera znajduje się przy bramie dokującej, dwadzieścia pięć metrów na wschód. Clarke próbuje się z nią połączyć – otwiera się nowe okno, które zalewa ziarnistym, zielonym blaskiem cały ekran.

Pewne obszary Atlantydy sprawiają wrażenie dotkniętych śniecią. Niektóre części tej ogromnej konstrukcji świecą tak, jak wcześniej. Latarnie szczytowe, przewody wentylacyjne oraz oznaczenia przekaźników wciąż przeszywają mrok. Jednak w innych miejscach przygaszono światła. Czarne plamy i luki zieją tam, gdzie lampy rzucały wcześniej żółtozielony blask, który teraz nabrał odcieni nikłego, widmowego granatu, tak głębokiego, że niemalże graniczącego z czernią. Ta zmiana głosi wyraźnie: *Nieczynne*. Choć może raczej: *Żadnych rybogłowych*.

Śluzę. Wrota hangaru. Nikt już nie udaje, że *to tylko środki ostrożności*...

Clarke zwiększa zasięg i przechyla kamerę, próbując skierować ją w odpowiednią stronę. Przybliży obraz – odległy mrok powiększa się nieco, a niewyraźna dal zamienia się w niewyraźny pierwszy plan. Widoczność jest dziś kiepska – albo gdzieś niedaleko wybuchają smokery, albo Atlantyda pozbywa się pyłów. Kobieta widzi jedynie rozmazaną czarną sylwetkę na zielonym tle, sylwetkę jednak tak znajomą, że nawet nie pamięta, dzięki czemu ją rozpoznaje.

To Lubin.

Unosi się w wodzie ledwie kilka centymetrów od kadłuba, co jakiś czas oddala się od niego i znów podpływa. Może próbuje utrzymać pozycję wśród zdradliwych prądów morskich – tyle że nie ma tam niczego, przy czym mógłby chcieć utrzymać pozycję. Żadnego iluminatora ani czegokolwiek innego, co pozwalałoby zajrzeć do środka, więc Clarke nie przychodzi do głowy żaden rozsądny powód, dla którego mężczyzna miałby uporczywie trzymać się tego konkretnego odcinka korytarza.

Po kilku chwilach Lubin zaczyna przemieszczać się wzdłuż kadłuba, ale o wiele za wolno, by mogłoby to być dla niego komfortowe. Jego płetwy na ogół tną wodę gładkimi, oszczędnymi ruchami, teraz jednak zaledwie drgają. W efekcie nie jest szybszy niż spacerujący lądowiec.

Za jej plecami ktoś zaczyna szczytować. Ng narzeka, że *teraz moja kolej*. Lenie Clarke prawie tego nie słyszy.

*Ty draniu, myśli, kiedy Lubin znika w oddali. Ty draniu.*

*Pospieszyles się i wziąles sprawy w swoje ręce.*



## POBOROWY

Alyx nie rozumie idei zostawiania *tubylcem*. Tak po prawdzie, to pewnie nie rozumie jej też większość korpów, ale im nie spędza to snu z powiek. Ich zdaniem im mniej rybogłowych, tym lepiej i chrzanić to, co napisano drobnym druczkiem. Alyx natomiast, w całej swojej naiwności, zareagowała absolutnym oburzeniem. W jej mniemaniu nie różni się to niczym od zostawienia na śmierć własnej kalekiej babci na krze lodowej.

– Lex, to ich wybór – tłumaczyła jej kiedyś Clarke.

– Niby co, to ich *wyбір*, żeby zwariować? To ich *wyбір*, żeby ich kości stały się tak kruche, że nie mogą nawet stanąć prosto, kiedy sprowadzi się ich do środka?

– To ich *wyбір* – wyjaśniła łagodnie kobieta – żeby zostać na ryfcie i uważają, że warto zapłacić za to taką cenę.

– Dlaczego? Co w tym takiego wspianiałego? Co oni tam *robią*?

Clarke nie powiedziała jej o halucynacjach.

– Chyba daje to pewne... poczucie wolności. Czujesz się zjednoczona ze wszystkim. Trudno to wytłumaczyć.

Alyx prychnęła.

– Nawet tego *nie wiesz*.

Częściowo jest to prawda. Niewątpliwie Clarke czuje zew głębin. Może to forma ucieczki, może otchłań jest ostatecznym azylem, w którym można ukryć się przed piekłem życia wśród lądowców. A może wyjaśnienie jest jeszcze prostsze. Może to tylko mroczne, nieważkie wspomnienie łona i zapomnianego poczucia, że jest się żywionym, chronionym i *bezpiecznym* zanim zaczęły się skurcze i wszystko poszło się jebać.

Czuje to każdy ryfter. Natomiast nie każdy ryfter zostaje tubylcem, przynajmniej jak do tej pory. Niektórzy po prostu są jakby... bardziej podatni. Ci, którzy łatwo się uzależniają, w przeciwieństwie do tych, którzy utrzymują minimum kontaktów społecznych. Może tubylcy mają za dużo serotoniny w płatach skroniowych. Na ogół wszystko sprowadza się do czegoś takiego.

Oczywiście żaden z tych powodów nie przekonałby Alyx.

– Powinniście zdemontować im stacje żywieniowe – powiedziała dziewczynka. – Wtedy musieliby wracać do środka chociażby po to, żeby coś zjeść.

– Wtedy umarliby z głodu albo żywiliby się małżami i robakami. – Co w sumie też oznaczałoby śmierć z głodu, tyle że rozłożoną na raty i to pod warunkiem, że z miejsca by się nie zatruli. – A w ogóle po co zmuszać ich do wracania do środka, jeśli tego nie chcą?

– Bo to przecież *samobójstwo*! – krzyknęła Alyx. – Jejku, nie wierzę, że muszę ci to tłumaczyć! Nie próbowałabyś powstrzymać *mnie*, gdybym to ja próbowała się zabić?

– To zależy.

– *Zależy?*

– Od tego, czy naprawdę byś tego chciała, czy tylko zależałoby ci na tym, żeby mieć ostatnie słowo.

– Mówię *serio*.

– Tak, widzę. – Clarke westchnęła. – Gdybyś naprawdę chciała się zabić, byłoby mi smutno, byłabym wściekła i cholernie bym za tobą tęskniła. Ale bym cię nie powstrzymywała.

Alyx była zbulwersowana.

– *Dlaczego?*

– Bo to twoje życie, nie moje.

Dziewczynka chyba nie tego się spodziewała. Spoglądała gniewnie na Clarke, wyraźnie nieprzekonana, wyraźnie niepewna, jak zareagować.

– A czy kiedykolwiek *chciałaś* umrzeć? – zapytała ryfterka. – Tak naprawdę?

– Nie, ale...

– A ja tak.

Alyx zamilkła.

– I wierz mi – ciągnęła kobieta – nie ma nic przyjemnego w słuchaniu bandy psychologów, którzy mówią ci, że *jest wiele rzeczy, dla których warto żyć* i że *nie jest wcale tak źle*, i że *za pięć lat spojrzysz w przeszłość i będziesz dziwić się, jakim cudem w ogóle przeszło ci przez myśl, żeby ze sobą skończyć*. Gówno wiedzą o moim życiu. Jeśli w czymkolwiek mogę być największym ekspertem na świecie, to tylko w tym, jak to jest być *mną*. A moim zdaniem szczytem jebanej arogancji jest mówić innej istocie ludzkiej, czy jej życie ma sens.

– Ale przecież wcale *nie musisz* się tak czuć – odparła ze smutkiem Alyx. – Nikt nie musi! Wystarczy, że przykleisz sobie plaster na ramieniu i...

– Tu nie chodzi o to, by być szczęśliwym, Lex. Chodzi o posiadanie *powodu*, by tak się czuć. – Clarke dotknęła dłonią policzka dziewczynki. – Mówisz, że nie zależy mi na tobie na tyle, by powstrzymać cię przed samobójstwem, *ja* za to mówię, że zależy mi na tobie tak bardzo, że nawet bym ci w tym pomogła, gdybyś naprawdę tego chciała.

Przez dłuższą chwilę Alyx wpatrywała się w pokład. Kiedy znów podniosła wzrok, jej oczy były szkliste.

– Ale nie umarłaś – powiedziała cicho. – Chciałaś, ale nie umarłaś i dlatego właśnie teraz żyjesz.

*I dlatego też nie żyje całe mnóstwo innych ludzi...* Clarke postanowiła jednak zachować tę myśl dla siebie.

A teraz ma sprzeniewierzyć się swoim przekonaniom. Ma wytropić kogoś, kto podjął decyzję o wycofaniu się, zlekceważyć jego wybór i wymusić na nim posłuszeństwo wobec swojej woli. Chciałaby wierzyć, że Alyx uznałaby taką ironię za coś zabawnego, ale ma swój rozum. Nie ma w tym niczego śmiesznego. Za to cała sytuacja zaczyna powoli ją przerażać.

Tym razem zrezygnowała z kalmara. Tubylcy łatwo płoszą się, słysząc odgłosy maszynierii. Przez dłuższą chwilę, która wydawała się niemalże wiecznością, przeczesywała szarą, mulistą równinę, bezdenną pokrywę z martwego planktonu narastającą od dziesięciu milionów lat. Ktoś był tu przed nią. Trasę ryfterki przecina nagle smuga – mgiełka maleńkich organizmów wciąż wirujących w wodzie po tym, jak je niedawno wzburzono. Kobieta podąża jej śladem. Z podłoża wyrastają rozsiane bryły pumeksu i obsydianu, podobne do roztrzaskanych zegarów słonecznych. Ich cienie prześlizgują się po jasnych śladach latarki czołowej Clarke, rozciągając się, kurcząc i na powrót stapiając z prastarym mrokiem. Z czasem zaczynają pokrywać całe dno. Nie są to już pojedyncze wypukłości pośród szlamu, ale pełnoprawny krajobraz zniszczenia.

Na drodze kobiety wyrasta nagle osypisko pokruszonego wulkanicznego szkła. Ryfterka zwiększa jasność latarki czołowej. Plama światła pada na stromą kamienną ścianę kilka metrów dalej. Jej powierzchnię przecinają głębokie pionowe szczeliny.

– Halo? Rama?

Nic.

– Tu Lenie.

Białooki cień prześlizguje się niczym węgorz między dwoma głazami.

– ...*jasno*...

Clarke przyciemnia latarkę.

– Lepiej?

– Ach... Len... – Mechaniczny szept. Dwa krótkie słowa rozdziela przerwa spowodowana wysiłkiem, z jakim wiązało się wymówienie ich. – Cześć...

– Potrzebujemy twojej pomocy, Ramo.

Bhanderi byczy coś niezrozumiale z ukrycia.

– Ramo?

– Nie... pomocy?

– Mamy problem z pewną chorobą. Jest jak behemot, ale nie działają na nią nasze modyfikacje.

Musimy dowiedzieć się, co to takiego. Potrzebujemy kogoś, kto zna się na genetyce.

Pomiędzy skałami nic się nie porusza.

– Sprawa jest poważna. Proszę. Pomożesz nam?

– ...*teomice* – byczy Bhanderi.

– Co takiego? Nie dosłyszałam.

– ...*Proteomice*. Gen... genetykę... tylko... dodatkowo.

Prawie udało mu się sklecić całe zdanie. Któż mógłby być bardziej godny zaufania, by powierzyć mu los setek osób?

– ...*śniłaś* mi się – szepcze Bhanderi. Brzmi to jakby ktoś przebierał palcami po metalowym grzebieniu.

– To nie był sen. To też nie jest. Naprawdę potrzebna jest nam twoja pomoc, Ramo. *Proszę*.

– To nie tak – byczy. – To bez sensu.

– Ale co? – dopytuje Clarke, ośmielona tym nagłym przebłyskiem logiczności.

– Korpy... zapytajcie korpów.

– Możliwe, że to oni stworzyli to paskudztwo. A przynajmniej trochę je zmodyfikowali. Nie możemy im ufać.

– ...*macie* pecha...

– Możesz chociaż...

– Więcej histaminy – byczy z roztargnieniem Bhanderi, znów zatopiony we własnych myślach. –

*Pa...* – dodaje.

– *Nie! Rama!*

Clarke w samą porę zwiększa jasność latarki i widzi parę płetw znikających w rozpadlinie kilka metrów w górę klifu. RzUCA się za nimi, młóćąc nogami i daje nura w głąb szczeliny z rękami wyciągniętymi nad głową. Pęknięcie pnie się ku górze i sięga głęboko do wnętrza skały, nie jest jednak zbyt szerokie. Po dwóch metrach kobieta zmuszona jest przekrócić się bokiem. Latarka zalewa wąski korytarz światłem tak jasnym, jak dzień na powierzchni. Gdzieś nieopodal vocoder wydaje z siebie podenerwowane metaliczne dźwięki.

Cztery metry nad głową ryfterki Bhanderi wspina się niczym żaba w górę szczeliny. Tam jest ona jeszcze węższa, mężczyzna ryzykuje więc, że zaklinuje się na dobre między dwiema skałami. Clarke rusza za nim.

– *Za jasno!* – byczy Rama.

*To masz pecha*, odpowiada mu w myślach ryfterka.

Po dwóch miesiącach chronicznego wyniszczania, Bhanderi stał się małym, chudym draniem. Jeśli rzeczywiście gdzieś tam się zaklinuje, Clarke może nie być w stanie go dosięgnąć. Możliwe, że jego spanikowany, zdegenerowany mózdek rozważa właśnie tę oraz inne opcje. Bhanderi porusza się zygzakami, jakby rozdarty między kuszącą perspektywą otwartych wód a bezpieczeństwem

zamkniętej przestrzeni. Wreszcie wybiera wodę, ale i tak zmuszony jest zapłacić za swoje niezdecydowanie – Clarke łapie go za kostkę.

Mężczyzna zaczyna rzucać się, ale tylko w jednej płaszczyźnie, unieruchomiony pomiędzy dwiema skałami.

– *Jebana suka. Puszczaj!*

– Widzę, że wraca ci słownictwo.

– *Puść... mnie!*

Ryfterka z mozołem przesuwa się ku wylotowi szczeliny, ciągnąc Bhanderiego za nogę. Ten rozpaczliwie próbuje uchwycić się ścian, a gdy zostaje wywleczony z najwęższego korytarza, rzuca się na kobietę z pięściami. Clarke odpiera jego ataki, wciąż musi jednak przypominać sobie, jak kruche są teraz jego kości.

Wreszcie Rama zostaje obezwładniony. Ręce Clarke opasują jego ramiona, a dłonie splatają się na jego karku w podwójnym nelsonie. Wciąż jednak znajdują się wewnątrz szczeliny, przez co, gdy Bhanderi szamocze się, ryfterka szoruje kręgosłupem o popękane bazaltowe płyty.

– *Jasno* – bzyczy Rama.

– Posłuchaj. Za *wiele* ryzykuję, by pozwolić ci spisać na straty to, co jeszcze zostało ci w głowie. Rozumiesz?

Mężczyzna wije się.

– Zgaszę światło, jeśli przestaniesz się szarpać i mnie *wysłuchasz*, dobrze?

– *...ja... ciebie...*

Clarke wyłącza latarkę. Bhanderi sztywnieje, po czym wiotczeje w jej uchwycie.

– Dobra. Tak lepiej. *Musisz* do nas wrócić, Bhanderi. Na krótko. Potrzebujemy cię.

– *...potrzebujecie... złe zero...*

– *Możesz już skończyć z tym gównem?* Jeszcze aż tak nie odpłynąłeś, to *niemożliwe*. Jesteś tu dopiero od... – Od jakichś dwóch miesięcy, prawda? Teraz już dłużej niż dwa. Czy tyle wystarczy, by mózg zmienił się w papkę? Czy ten cały eksperyment jest tylko stratą czasu?

Clarke próbuje jeszcze raz.

– Gra toczy się o wysoką stawkę. Dużo osób może zginąć. Ty możesz zginąć. Ta... choroba, czy cokolwiek to jest, może dorwać cię równie łatwo, co każdego z nas. Może już to się stało. Rozumiesz?

– *...rozumiesz...*

Kobieta ma nadzieję, że była to odpowiedź, a nie jedynie powtórzenie jej słów.

– Ale nie chodzi tylko o chorobę. Wszyscy szukają kozła ofiarnego. To tylko kwestia czasu, kiedy...

*Bum*, przypomina sobie. *Wysadzili to. O wiele za jasno.*

– Rama – mówi powoli. – Jeśli sprawy wymkną się spod kontroli, wszystko wybuchnie. Rozumiesz? *Bum*. Jak przy stosie. *Bum, przez cały czas*. Chyba, że mi pomożesz. *Że nam pomożesz*. Rozumiesz?

Ryfter wisi w jej uchwycie niczym pozbawione kości zwłoki.

– Tak. No cóż – bzyczy wreszcie. – Dlaczego nie powiedziałaś tak od razu?

Szarpanina dała mu się we znaki. Płynąc, Bhanderi oszczędza lewą nogę. Wraz z każdym ruchem znosi go trochę na bakburtę. Clarke wsuwa mu rękę pod pachę, chcąc mu pomóc, ale ten płoszy się i wzdraga pod jej dotykiem. Postanawia więc jedynie płynąć obok mężczyzny, łagodnie korygując jego kurs, kiedy zachodzi taka potrzeba.

Bhanderi trzykrotnie wyrwa się i niezdarnie próbuje dać nura w mrok. Clarke trzykrotnie sprowadza go z powrotem, rzucającego się i bełkoczącego. Takie epizody jednak nie trwają długo. Poskromiony, uspokaja się, a uspokojony, współpracuje. Przynajmniej przez jakiś czas.

Ryfterka zaczyna rozumieć, że nie jest to tak właściwie jego winą.

– Hej – bzdury, gdy znajdują się w odległości dziesięciu minut drogi od Atlantydy.

– Uhm.

– Jesteś ze mną?

– Uhm. To przychodzi i odchodzi. – Trochę niezrozumiałego tykania. – *Ja* przychodzę i odchodzę.

– Pamiętasz, co powiedziałam?

– Zwerbowałaś mnie.

– Pamiętasz dlaczego?

– Jakaś choroba?

– Jakaś.

– I myślisz... myślisz, że to korpy...

– Nie wiem.

– ...boli noga...

– Przykro mi...

Jego pień mózgu buntuje się i znów przejmuje kontrolę. Clarke łapie mężczyznę i trzyma go, dopóki to nie minie. Dopóki Bhanderi nie wróci znów z tego miejsca, w którym ląduje w takich chwilach.

– ...widzę, że wciąż tu jesteś...

– Wciąż tu jestem – powtarza ryfterka.

– Boże, Len. Proszę, nie rób tego.

– Przepraszam – szepcze Clarke. – Przepraszam...

– Na gówno wam się przydam – skrzypi Bhanderi. – Niczego nie pamiętam...

– To wróci. – *Musi wrócić.*

– Nie masz pojęcia. Nie wiesz nic... o takich jak my.

– Coś wiem.

– Nie.

– Znałam kogoś. Takiego jak ty. On wrócił. – To już niemalże kłamstwo.

– Pozwól mi *odejść*. Proszę.

– Po wszystkim. Obiecuję.

Przez resztę drogi Clarke próbuje się usprawiedliwić, ale nie przekonuje nawet samej siebie. Pomaga jemu i sobie, wyświadcza mu przysługę. Ratuje go przed zabójczością jego stylu życia. Hiperosmoza, Syndrom Zamulonych Implantów, awaria mechanizmu. Ryfterzy to cuda bioinżynierii – dzięki temu, jak zaprojektowane zostały ich skóry głębiny, mogą nawet srać w wodzie – nigdy nie mieli jednak zrywać plomb na zewnątrz. Tubyłcy odsłaniają twarze przez cały czas, wpuszczając ocean przez usta, by powodował uszkodzenia i korozyję, by zanieczyszczał sól fizjologiczną, która wypełnia ich wnętrza, chroniąc przed ciśnieniem. Jeśli będzie się powtarzać to często, coś w końcu musi ulec uszkodzeniu.

*Ratuję ci życie*, myśli Clarke, nie chce jednak powiedzieć tego na głos.

*Czy mu się to podoba, czy nie*, odpowiada jej gdzieś z głębi umysłu Alyx.

– *Światło...* – odzywa się chrapliwie Bhanderi.

Mrok przed nimi rozprasza ją gdzieniegdzie przebłyski jasności, szpecąc idealną pustkę niczym świecące słabym blaskiem rany. Bhanderi sztywnieje, ale nie rzuca się do ucieczki. Clarke wie,

że mężczyzna jakoś to zniesie. Minęły co najwyżej dwa tygodnie od czasu, kiedy spotkała go w habie nerwowym, a wtedy, by dostać się do środka, musiał przejść pod jaśniejszym niebem. Chyba nie mógł odpłynąć aż tak bardzo w tak krótkim czasie?

A może chodzi tu o coś innego, nie odpłynięcie, a nagły wstrząs? Może on nie boi się wcale światła, a tego, z czym mu się ono kojarzy?

*Bum. Wysadzili to.*

Widmowe palce postukują lekko o implanty Clarke: raz, dwa razy. Ktoś bada przestrzeń sonarem. Kobieta bierze Bhandieriego pod rękę, delikatnie, ale stanowczo.

– Rama, ktoś...

– *Charley* – byczy w odpowiedzi ryfter.

Przed nimi wyrasta Garcia. Otaczająca go poświata sprawia, że mężczyzna wygląda jak zjawą.

– A niech mnie cholera. *Masz go*. Rama, jesteś tam?

– Klient...

– *Pamięta* mnie! O kurwa, dobrze cię widzieć, stary. Myślałem, że w zasadzie zrzuciłeś już więzy ciała.

– Próbowałem. Ale ona mi nie pozwala.

– No tak, jest nam wszystkim bardzo przykro, ale *naprawdę* potrzebujemy twojej pomocy. Ale nie przejmuj się, jakoś damy radę. – Garcia zwraca się do Clarke. – Czego nam potrzeba?

– Hab medyczny gotowy?

– Wydzieliliśmy jedną kulę. Zostawiliśmy drugą, w razie gdyby ktoś złamał rękę.

– Dobrze. Trzeba wyłączyć światła, przynajmniej na razie. Nawet zewnętrzne.

– Żaden problem.

– ...*Charley*... – byczy Bhanderi.

– Jestem, stary.

– ...będziesz moim technikiem...?

– Nie wiem. Chyba mogę być. Pewnie. A potrzebujesz kogoś takiego?

Zamaskowana twarz Bhandieriego zwraca się ku Clarke. W jego postawie zachodzi nagle jakaś zmiana.

– Puść mnie.

Tym razem kobieta robi to.

– Kiedy ostatnio byłem w środku?

– Chyba dwa tygodnie temu. Maksymalnie trzy. – Jak na standardy ryfterów, taki szacunek to niemal precyzyjne określenie okresu czasu.

– Mogę mieć... problemy – mówi Bhanderi. – Z ponownym przystosowaniem. Nie wiem czy... nie wiem, na ile uda mi się wrócić.

– Rozumiemy – odpowiada Clarke. – Po prostu...

– Zamknij się. Słuchaj. – Ryfter rzuca głową to w jedną, to w drugą stronę. Niepokojący, gadzi ruch, który Clarke miała już okazję oglądać. – Będę potrzebował... rozruchu. Będę potrzebował pomocy. Acetylocholina. Umm, hydroksylaza tyrozynowa. Pikrotoksyna. Jeśli się sypnę, musicie mi to podać. Zrozumiałaś?

Kobieta powtarza usłyszane nazwy.

– Acetylocholina. Pikrotoksyna. Hydroksy, hmm...

– Hydroksylaza tyrozynowa. Zapamiętaj.

– Jakie dawki? – pyta Garcia. – Jaki sposób podania?

– Nie... Cholera. Nie pamiętam. Sprawdźcie w bazie danych medycznych. Maksymalną zalecaną

dawkę dla... dla wszystkiego poza hydroksy... lazą. Tego dajcie podwójną. Chyba.

Garcia kiwa głową.

– Coś jeszcze?

– No pewnie – bżyczy Bhanderi. – Żeby tylko pamiętać, co...

## PORTRET SADYSTY Z CZASÓW PRACY ZESPOŁOWEJ

Definicja przeprosin w wydaniu Alice Jovellanos była dość niekonwencjonalna.

*Achillesie, zaczęła, czasami potrafisz być takim kompletnym idiotą, że aż trudno mi w to uwierzyć.*

Nie zrobił wydruku. Nie było takiej potrzeby. Był prawołamaczem – jego kora potyliczna działała permanentnie na najwyższych obrotach, a jego biegłość w dopasowywaniu wzorców oraz powiązane z tym umiejętności graniczyły z autyzmem. Przewiął tekst jej listu przez swoje wkładki tylko raz, po czym przyglądał się, jak znikał, ale od tamtej pory przeczytał go jeszcze ze sto razy, a każdy piksel w jego perfekcyjnym wspomnieniu pozostał czysty i niezmienny.

Teraz siedział nieruchomy niczym kamień, czekając na nią. Pograżająca się w mroku nocy panorama Sudbury rzuciła chaotyczne plamy światła na ściany jego mieszkania. Zauważył, że z okolicznych budynków za wiele widać. Będzie musiał wyciemnić okna przed jej przyjściem.

*Wiesz, jakie ryzyko podjęłam, wyznając ci wczoraj całą prawdę? podyktowała Alice. Wiesz, jakie ryzyko podejmuję teraz, wysyłając ci tę wiadomość? Co prawda automatycznie się wykasuje, ale nie ma takiej rzeczy, której nie mogłyby zeskanować te dupki, jeśli tylko zechcą. Po części w tym właśnie leży problem i dlatego zdecydowałam się podjąć to ogromne ryzyko...*

*Słyszałam, co powiedziałeś o zaufaniu i zdradzie. Część z tych rzeczy brzmi nieco bardziej wiarygodnie niż bym chciała. Jednak, czy naprawdę nie widzisz, że nie było sensu pytać cię przed faktem? Póki za sznurki pociągał Moralniak, nie byłeś w stanie samodzielnie podejmować decyzji. Upierasz się, że to niewłaściwe, powtarzasz w kółko, że musisz decydować o sprawach życia i śmierci, i żonglować tysiącami zmiennych, ale mój drogi Achillesie, kto niby powiedział ci, że wolna wola to tylko skomplikowany algorytm, z którego możesz korzystać?*

*Wiem, że nie chcesz dać się zdemoralizować. Może jednak przyzwoity i uczciwy człowiek stanowi zabezpieczenie sam w sobie, przeszło ci to w ogóle przez myśl? Może wcale nie musisz pozwalać im na zrobienie z siebie jednego, wielkiego odruchu warunkowego? Może po prostu tego chcesz, bo wtedy nie będziesz właściwie za nic odpowiedzialny, co? Życie jest takie proste, gdy nigdy nie musisz podejmować decyzji. Pewnie łatwo się do tego przyzwyczaić. Może nawet już się uzależniłeś i jesteś teraz jak na głodzie.*

Tak bardzo w niego wierzyła. Nawet teraz – zmierzała właśnie do jego mieszkania, absolutnie niczego nie podejrzewając. Za pomieszczenia wolne od inwigilacji trzeba niemało zapłacić, ale każdy starszy prawołamacz bez problemu mógł pozwolić sobie na korzystanie z usług firmy Prywatność+. Zabezpieczenia w jego budynku były niezwykle dokładne, bezlitosne i całkowicie pozbawione pamięci długotrwałej. Kiedy gość wychodził, nie pozostawał żaden dowód świadczący o jego wizycie.

*W każdym razie, zwróciliśmy ci to, co oni ci ukradli. I zamierzam wyjaśnić ci dokładnie, jak to zrobiliśmy, bo wychodzę z założenia, że ignorancja rodzi strach i tak dalej. Na pewno słyszałeś o receptorach Minsky'ego, mieszczących się w płatach czołowych, i o tym, że łączą się z nimi małe, paskudne przekaźniki poczucia winy, co odbierasz jako sumienie. Moralniaka stworzono, podrasowując kilka genów modyfikujących zachowanie podkradzione pasożytom. Im bardziej*

winny się czujesz, tym więcej Moralniaka trafia do twojego mózgu i łączy się z przekaźnikami, co powoduje zmianę ich kształtu, a następnie blokuje szlaki motoryczne, przez co nie możesz się ruszać.

W każdym razie, Spartakus jest w gruncie rzeczy odpowiednikiem poczucia winy. Ma te same miejsca aktywne, więc łączy się z Moralniakiem, ale jego ogólna konformacja jest nieco inna, dlatego nie robi w zasadzie niczego więcej poza blokowaniem receptorów Minsky'ego. Poza tym potrzeba więcej czasu, żeby się rozpadł niż w przypadku normalnego poczucia winy, więc osiąga wyższe stężenie w mózgu. Ostatecznie przytłacza miejsca aktywne czystą przewagą liczebną.

Pamiętał, jak twarz kaleczyły mu drzazgi z antycznej drewnianej podłogi. Pamiętał, jak leżał w ciemności, przywiązany do przewróconego na bok krzesła, a skądś nieopodal dobiegał go głos Kena Lubina:

– A co ze skutkami ubocznymi? Na przykład podstawowym poczuciem winy?

W tamtej chwili, skrzepowany i krwawiący, Achilles Desjardins ujrzał swoje przeznaczenie.

Spartakus nie zadowolął się jedynie zerwaniem łańcuchów wykutych przez Moralniaka. Gdyby tak było, istniałaby jeszcze nadzieja. Desjardins mógłby kontrolować swe skłonności, polegając na starym dobrym wstydzie. W głębi serca pozostałby, jak zawsze, zdeprawowany. Tyle że on i tak nigdy nie otwierał przed nikim swojego serca, a w każdym razie nie bez nadzoru. Poradziłby sobie, nawet bez pracy i z oskarżeniami na karku. Poradziłby sobie.

Spartakus jednak nie wiedział, kiedy przestać. Sumienie to cząsteczka jak każda inna, a jeśli zabraknie wolnych miejsc receptorowych, do których mogłaby się przyłączyć, będzie niczym zupełnie neutralna sól fizjologiczna, bo i tak nie wywołała absolutnie żadnych efektów. Desjardins zmierzał więc ku zupełnie nowemu przeznaczeniu, ku miejscu, w którym nie był nigdy wcześniej. Miejscu, w którym nie ma poczucia winy, wstydu i wyrzutów sumienia. Miejscu, w którym nie ma sumienia w żadnej postaci.

Alice nie wspomniała o ani jednej z tych rzeczy, kiedy postanowiła przelać swoje spikselizowane serce na jego skrzynkę odbiorczą. Zapewniała go tylko, jakie to bezpieczne. *To jest właśnie w tym wszystkim najlepsze, Killjoy. Zarówno twoje naturalne przekaźniki, jak i sam Moralniak, wciąż są produkowane normalnie, więc możesz bez problemu przejść testy, mające na celu wykrycie dowolnego z nich. Nawet badanie poszukujące form złożonych znajdzie to, co trzeba, bo kompleks bazowy wciąż gdzieś sobie krąży, tyle że nie może trafić na żadne wolne miejsca receptorowe, do których mógłby się przyłączyć. Tak więc jesteś bezpieczny. Naprawdę. Posokowce nie będą stanowiły żadnego problemu.*

Bezpieczny. Nie miała pojęcia, jaka istota spoglądała na świat jego oczami. A powinna była wiedzieć. Nawet dzieci znają tę prostą prawdę – potwory żyją wszędzie, nawet wewnątrz. Zwłaszcza wewnątrz.

*Wierz mi, nie naraziłabym cię na ryzyko, Achillesie. Zbyt wiele dla mnie... Jesteś dla mnie zbyt bliskim przyjacielem, żebym miała ot tak sobie z tobą pogrywać.*

Rzecz jasna, kochała go. Nigdy wcześniej nie przyznał tego przed sobą. Jakiś piskliwy wewnętrzny głosik mógłby szepnąć coś w stylu *Myślę, że ona może, w pewnym sensie* gdyby nie zdusiło go trzydzieści lat nienawiści do samego siebie: *Jebany egotysta. Tak jakby ktokolwiek chciał zadawać się z takim enculé jak ty...*

Nigdy otwarcie nie złożyła mu żadnej propozycji – na swój sposób była równie nieśmiała co on, mimo pozornej buńczuczności – ale z perspektywy czasu dostrzegał różne drobne sygnały: to, jak zawsze po przyjacielsku wtrącała się za każdym razem, kiedy w jego życiu pojawiała się jakaś kobieta; to, jak niestrudzenie usiłowała nawiązać z nim kontakty towarzyskie; to, że nadała mu



przezwiśko *Killjoy* – rzekomo dlatego, że nie chciał nigdzie wychodzić, ale, co bardziej prawdopodobne, dlatego, że nie chciał się z nią *przespać*. Teraz było to takie oczywiste. Wolna od poczucia winy, wolna od wstydu, jego percepcja wyostrzyła się, zyskując krystaliczne szlify.

*W każdym razie, stało się. Nadstawiłam dla ciebie karku, a co stanie się teraz zależy już tylko od ciebie. Jeśli postanowisz mnie wsypać, wiedz jedno – to będzie twoja decyzja. Niezależnie od tego, jak bardzo będziesz starać się ją zracjonalizować, nie będziesz mógł zrzucić winy na żadną durną cząsteczkę o długim łańcuchu. To będziesz ty i tylko ty, twoja własna wolna wola.*

Nie wsypał jej. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności między sprzecznymi cząsteczkami musiała zapanować jakaś równowaga: te, które skłoniłyby go do zdrady, musiały osłabnąć w jego głowie, a te, które opowiadały się za lojalnością wobec przyjaciół jeszcze się nie rozwiały. Z perspektywy czasu uważał to za prawdziwy uśmiejch losu.

*Skorzystaj z niej i pomyśl o tych wszystkich rzeczach, które zrobiłeś, a także o tym, dlaczego je zrobiłeś i zadaj sobie pytanie, czy naprawdę jesteś aż tak niemoralny, że nie potrafiłbyś podjąć tych wszystkich trudnych decyzji bez uprzedniego oddawania się w niewolę bandzie despotów. Moim zdaniem potrafiłbyś, Achillesie. Nigdy nie potrzebowałeś kuli u nogi, by być porządnym człowiekiem. Naprawdę tak uważam. Postawiłam wszystko na tę kartę.*

Spojrzał na zegarek.

*Wiesz, gdzie mnie znaleźć. Wiesz, jakie masz możliwości. Przyłącz się do mnie albo wbij mi nóż w plecy. Twój wybór.*

Wstał i podszedł do okna. Wyciemnił szyby.

*Pozdrawiam, Alice.*

Zadzwoił dzwonek.

Każda część jej ciała była taka bezbronna. Spojrzała na niego z malującą się na twarzy nadzieją i ostrożnością przyczajoną w migdałowych oczach. Jeden kącik jej ust uniósł się w niepewnym, nieco smutnym uśmiejchu.

Desjardins przesunął się na bok i wziął cicho głęboki wdech, gdy go mijała. Pachniała niewinnością i kwiatami, ale w tej mieszance kryły się też pewne cząsteczki działające poniżej poziomu świadomości. Nie była głupia i jego też za takiego nie miała. Musiała zdawać sobie sprawę, że Desjardins przypisze swoje rodzące się podniecenie feromonom, których już od lat nie używała w jego towarzystwie.

*Musiła narobić sobie nadziei.*

On natomiast robił, co mógł, by tak się stało, starając się jednak, by nie było to zbyt oczywiste. W ciągu ostatnich kilku dni udawał, że stopniowo topnieje, że powoli, niemalże niechętnie, pozwala sobie na coraz większe ciepło. Stał u jej boku, kiedy Clarke i Lubin zniknęli pośród ruchu ulicznego w drodze ku swej własnej, prywatnej rewolucji. Pozwolił, aby jego ręka otarła się o rękę Alice i tak pozostała. Po kilku chwilach, kiedy ten niby przypadkowy dotyk trwał i trwał, spojrzała na niego nieco niepewnie, a on nagrodził ją wzruszeniem ramion i uśmiejchem.

Zawsze mogła liczyć na jego przyjaźń, dopóki nie postanowiła go zdradzić. Zawsze liczyła na więcej. Była to iście obozwładniająca mieszanka. Desjardins był w stanie rozbroić ją samą potencjalną obietnicą pojednania.

Teraz precyzyjnie się obok, bliżej niż było to konieczne, a kucyk smagnął łagodnie jej kark. W korytarzu pojawił się Mandelbrot i zaczął owijać się wokół jej kostek niczym futrzane boa. Alice pochyliła się, by podrapać kota za uszami. Ten zastygł na chwilę, być może zastanawiając się, czy nie poudawać niedostępnego, ale najwyraźniej musiał uznać, że *jebać to*, bo wydał z siebie zadowolony

pomruk.

Desjardins wskazał jej miskę pełną prochów stojącą na niskim stoliku. Alice wydeła usta.

– Są bezpieczne? – Niektóre substancje chemiczne krążące w organizmach starszych prawołamaczy potrafiły wchodzić w paskudne interakcje z większością nieszkodliwych dragów rekreacyjnych, a Jovellanos dopiero co dostała zastrzyki.

– Wątpię, by miały namieszać bardziej niż sama to już zrobiłaś – odpowiedział.

Mina jej zrzęda. Desjardins poczuł delikatne wyrzuty sumienia. Przełknął ślinę, niesamowicie wdzięczny za to uczucie.

– Tylko nie mieszaj ich z aksotropami – dodał nieco łagodniej.

– Dzięki. – Wzięła gałązkę oliwną z narkotykiem i wsunęła sobie do ust krwistoczerwoną kulkę.

Desjardins dostrzegł, że zbiera się w sobie.

– Bałam się, że już nigdy się do mnie nie odezwiesz – powiedziała cicho.

Gdyby jej włosy były choć trochę delikatniejsze, musiałyby być syntetyczne.

– Zasłużyłaś sobie na to. – Pozwolił, by słowa zawisły na chwilę w powietrzu. W wyobraźni owijał sobie te kruczoczarne pasma wokół dłoni. W wyobraźni podwieszał ją za nie tak, by machała stopami tuż nad podłogą...

*Nie. Przestań.*

– Ale chyba rozumiem, dlaczego to zrobiłaś – powiedział wreszcie, pozwalając jej odetchnąć.

– Naprawdę?

– Chyba tak. Wykazałaś się ogromną bezczelnością. – Wziął głęboki oddech. – Ale i ogromną wiarą we mnie. W przeciwnym razie na pewno byś tego nie zrobiła. A to musi coś znaczyć.

Wydawało się, że od momentu przybycia wstrzymywała oddech i dopiero teraz wypuściła powietrze, gdy odczytano jej wyrok: zwolnienie warunkowe. *Kupiła to*, pomyślał Desjardins. *Sądzi, że jest nadzieja...*

...podczas gdy jakaś część jego jestestwa, osłabiona, lecz wciąż uparta, dopytywała *Dlaczego musi się mylić?*

Musnął jej policzek grzbietem dłoni. Pod wpływem jego dotyku kobieta niemal niesłyszalnie wciągnęła powietrze do płuc. Zamrugał, starając się odegnąć wizję, w której wymierzał cios tej słodkiej, niczego niepodważającej twarzy.

– Wierzysz we mnie o wiele bardziej niż ja sam, Alice. Nie jestem pewien, czy są ku temu podstawy.

– Odebrali ci wolność wyboru. Ja tylko ci ją zwróciłam.

– Odebrałaś mi sumienie. *Jak* niby mam wybierać?

– Korzystając z *umysłu*, Killjoy. Tego cudownego, pięknego umysłu. Nie jakiegoś instynktownego odczucia, które uczyniło więcej szkody niż pożytku w ciągu kilku ostatnich milionów lat.

Opadł na sofę, a w jego żołądku otworzyła się nagle mała czarna dziura.

– Myślałem, że to tylko skutek uboczny – powiedział cicho.

Alice usiadła obok.

– Co masz na myśli?

– No wiesz. – Desjardins pokręcił głową. – Ludzie nigdy porządnie niczego nie przemyślą. W pewnym sensie miałem nadzieję, że ty i twoi kumple po prostu... nie wzięliście pod uwagę potencjalnych konsekwencji, rozumiesz? Próbowaliście zneutralizować Moralniaka, a ta cała sprawa z sumieniem była tylko wpadką. Nieprzewidzianą. Chyba jednak nie.

Kobieta położyła mu dłoń na kolanie.

– Dlaczego miałeś taką *nadzieję?*

– Nie jestem pewien. – Zaśmiał się szczekliwie. – Chyba myślałem sobie, że jeśli nie *wiedzieliście*, co... To znaczy, jeśli zrobiliście coś przez przypadek, to jedno, ale jeśli postawiliście sobie za *cel* stworzenie bandy psychopatów...

– Nie tworzymy psychopatów, Achillesie. Uwalniamy ludzi od sumienia.

– Co za różnica?

– Wciąż *czujesz*. Twoje ciało migdałowate działa prawidłowo. Twoje poziomy dopaminy i serotoniny są w normie. Możesz snuć plany długoterminowe i nie jesteś niewolnikiem swych popędów. Spartakus nie zmienia żadnej z tych rzeczy.

– Tak myślisz.

– Naprawdę uważasz, że każdy dupek na tym świecie to przypadek kliniczny?

– Może i nie. Ale założę się, że każdy przypadek kliniczny na tym świecie to dupek.

– Ale ty nie – zaprotestowała.

Spojrzała na niego z powagą swymi ciemnymi oczami. Nie mógł przestać wciągać w nozdrza jej zapachu. Chciał ją pocałować. Chciał ją przytulić. Chciał wypatroszyć ją jak rybę i zatknąć jej głowę na kiju.

Zacisnął zęby i milczał.

– Słyszałeś kiedykolwiek o paradoksie wagonika? – zapytała po chwili Alice.

Desjardins pokręcił głową.

– W pociągu, który pędzi w stronę klifu znajduje się sześć osób. Jedynym sposobem na uratowanie ich jest skierowanie pociągu na inny tor, tyle że ktoś na nim stoi i nie zdąży uciec. Przystawiasz zwrotnicę?

– Oczywiście. – To większe dobro w najprostszej formie.

– To teraz powiedzmy, że nie możesz *skierować* pociągu na inny tor, ale możesz go *zatrzymać*, wpychając kogoś pod koła. Robisz to?

– Jasne – odparł natychmiast.

– To moja zasługa – oświadczyła Alice.

– Niby co?

– Większość ludzi nie widzi równoważności tych sytuacji. Uważają, że przestawienie zwrotnicy jest czymś słusznym, ale wepchnięcie kogoś pod pociąg już nie. A przecież to dokładnie taka sama śmierć i tyle samo osób można ocalić.

Mężczyzna chrząknął.

– Sumienie nie działa racjonalnie, Achillesie. Wiesz, które części twojego mózgu rozbłyskują, gdy dokonujesz wyborów moralnych? Powiem ci – zakręt czołowy przyśrodkowy, tylny zakręt obręczy, zakręt kątowy. To wszystko...

– Ośrodki emocji – dokończył za nią Desjardins.

– Otóż to. Płaty czołowe pozostają ciemne. A nawet osoby, które zauważają równoważność logiczną tych scenariuszy, muszą naprawdę mocno się *napracować*. Po prostu wepchnięcie kogoś pod pociąg *wydaje się* niewłaściwe, nawet jeśli zysk w obu sytuacjach jest taki sam. Mózg musi zmagać się z głupim, nieuzasadnionym poczuciem winy. Potrzebuje więcej czasu, by zabrać się do działania i podjąć krytyczne decyzje, a koniec końców i tak na ogół nie podejmie *właściwej*. Tym właśnie jest sumienie, Killjoy. Jest jak gwałt, chciwość czy dobór krewniaczy, co było przydatne kilka milionów lat temu, ale przestało sprawdzać się, od kiedy przestało zależeć nam tylko na *przetrwaniu* w środowisku, a zaczęliśmy nad nim *dominować*.

*Przećwiczyłaś to sobie*, pomyślał Desjardins.

Pozwolił sobie na lekki uśmiezek.

– Moja droga, ludzie składają się z czegoś więcej niż tylko poczucia winy i intelektu. Może poczucie winy nakłada ograniczenia nie tylko na *umysł*, czy kiedykolwiek przeszło ci to przez myśl? Może nakłada ograniczenia także na inne rzeczy?

– Na przykład?

– Na przykład... – urwał, udając, że się zastanawia. – Skąd wiesz, że nie jestem jakimś szalonym seryjnym zabójcą? Skąd wiesz, że nie mam skłonności psychotycznych albo samobójczych, albo że nie kręci mnie choćby torturowanie innych?

– Wiedziałabym o tym – odparła najzwyczajniej w świecie.

– Wydaje ci się, że osoby dopuszczające się morderstw na tle seksualnym mają to wypisane na czołach?

Ścisnęła jego udo.

– Wydaje mi się, że znam cię już od dawna i wydaje mi się, że nie da się tak dobrze grać. Gdyby ktoś miał w sobie tyle nienawiści, w końcu musiałaby powinać mu się noga. Ale ty... Cóż, nigdy nie słyszałam o potworze, który szanowałby kobiety do tego stopnia, że nie chce ich *pieprzyć*. A przy okazji, teraz możesz rozważyć zmianę swojego stanowiska. To tylko taka sugestia.

Desjardins pokręcił głową.

– Widzę, że masz wszystko obcykane, prawda?

– Zdecydowanie. I mam ogromne pokłady cierpliwości.

– To świetnie. Możesz sięgnąć do nich teraz. – Wstał i uśmiechnął się do niej. – Muszę skoczyć na chwilę do łazienki. Czuj się jak u siebie w domu.

Odwzajemniła uśmiech.

– Z przyjemnością. Nie musisz się spieszyć.

Zamknął drzwi na kluczyk, oparł się o umywalkę i popatrzył surowym wzrokiem w lustro. Jego odbicie posłało mu rozjuszony spojrzenie.

*Zdradziła cię. To przez nią jesteś taki.*

Lubił ją. Kochał ją. Alice Jovellanos przez wiele lat była jego lojalnym przyjacielem. Desjardins uczeplił się tego tak mocno, jak tylko mógł.

*Zrobiła to celowo.*

Nie. *Oni* zrobili to celowo.

Przecież Alice nie działała sama. Była diabelnie bystra, ale sama nie wymyśliłaby Spartakusa. Miała przyjaciół, sama to przyznała: *Jesteśmy trochę jak politycy, tylko w służbie plebsu*. Powiedziała to, po raz pierwszy przekazując mu wieści o jego... jego *emancypacji*.

Czuł, jak łańcuchy w jego głowie rdzewieją. Czuł, jak, szczerząc się, za skorodowane ogniwa szarpie jego własna deprawacja. Próbował odnaleźć w sobie jakieś resztki żalu, który ukłuł go ledwie kilka chwil temu, kiedy zranił uczucia Alice i poczuł się źle z tego powodu. Wciąż to potrafił. Wciąż mógł odczuwać skruchę, czy coś do niej podobnego, jeśli tylko się postarał.

*Nie jesteś niewolnikiem swych popędów*, powiedziała.

W pewnym sensie było to prawdą. Potrafił się opanować, jeśli tylko tego chciał. Ale w tym właśnie cały szkopał – powoli zaczynało docierać do niego, że wcale *nie chce*.

– Hej, Killjoy? – zawołała Alice z drugiego końca korytarza.

*Zamknij się. ZAMKNIJ SIĘ!*

– Tak?

– Mandelbrot domaga się kolacji, a dozownik karmy jest pusty. Nie trzymałeś czasem kociego żarcia pod zlewem?

– Kiedyś tak, ale nauczył się otwierać drzwiczki.

– W takim razie gdzie–

– W szafie w sypialni.

Usłyszał kroki zmierzające ku drugiej stronie korytarza oraz ponaglącego kobietę Mandelbrota.

*Celowo.*

Zainfekowała go z wyprzedzeniem, by oczyścić jego umysł przed walką z behemotem, a może także z bardziej osobistych powodów, świadomie czy nie. Ale jej przyjaciele kazali jej mierzyć wyżej niż tylko w Achillesa Desjardinsa. Zamierzali wyzwolić każdego prawołamacza na całej Ziemi. Przed dwoma tygodniami, pośród mroku, Lubin podsumował to jednym zdaniem: „Istnieje zaledwie kilka tysięcy ludzi, którzy mają dłonie na wszystkich możliwych wyłącznikach, a pani zamieniła ich wszystkich w kliniczne przypadki socjopatii...”

Ciekawe, czy Alice zastosowałaby swoje semantyczne argumenty w rozmowie z *Lubinem*. Gdyby to *ona* była przywiązana do tamtego krzesła, ślepa i sikająca pod siebie ze strachu o swoje życie, podczas gdy ten pionek-morderca krążyłby wokół niej pośród mroku, czy ośmieliłaby się walnąć mu kolanem o poziomie serotoniny i zakręcić obręczy?

Całkiem możliwe, że owszem. W końcu ona i jej przyjaciele byli *jak politycy, tylko w służbie plebsu*, a polityka ogłupia. Każde ci myśleć, że ludzka przyzwoitość to platoński ideał, moralny kompas, który wywodzi się z pierwszych zasad. Nie marnuj czasu na podstawową biologię. Nie przejmuj się losem altruistów w darwinowskim wszechświecie. Ludzie są *inni*, ludzie są *wyjatkowi*, ludzie są *istotami moralnymi*. Do tego właśnie dochodziło, jeśli spędzało się zbyt wiele czasu na pisaniu manifestów, a zbyt mało na spoglądaniu w lustro.

Achilles Desjardins był na razie pierwszym przedstawicielem nowej rasy. Niedługo będzie ich więcej, potężnych jak on i jak on przez nic nieograniczanych. A może już to się stało. Alice nie zdradziła mu żadnych szczegółów. Nie wiedział, w jakim tempie Stowarzyszenie Spartakusa realizowało swoje ambicje. Nie wiedział, jakie inne franczyzy zostały zainfekowane ani jak długi był okres inkubacji. Wiedział jedynie, że prędzej czy później pojawi się konkurencja.

Chyba, że zacząłby działać natychmiast, póki wciąż miał przewagę.

Mandelbrot wciąż miauczał w sypialni, najwyraźniej niezadowolony z jakości usług świadczonych przez zastępczą opiekunkę. Desjardins w ogóle mu się nie dziwił. Alice miała dość czasu, by znaleźć karmę, wrócić z nią do kuchni i...

*...w sypialni, uświadomił sobie.*

*No cóż, pomyślał po chwili. To chyba załatwia sprawę.*

Twarz w lustrze przybrała nagle wyraz absolutnego spokoju. Nie poruszała się, ale mimo to wydawało się, że do niego przemawia. *Ty nie masz nic wspólnego z polityką*, powiedziała. *Jesteś mechaniczny. Zostałeś zaprogramowany przez naturę, potem przez KRASZ, a później pojawiła się Alice i zrobiła z ciebie coś jeszcze innego. Żadna z tych wersji nie jest tobą i każda jest tobą. W żadnym przypadku jednak wybór nie należał do ciebie. Nie ty więc jesteś za to odpowiedzialny.*

*To ona ci to zrobiła. Ta dziwka. Ta szmata. Cokolwiek teraz się stanie, nie będzie twoją winą.*

*Tylko jej.*

Otworzył drzwi i ruszył korytarzem w stronę sypialni. Wskaźniki sensorium na jego poduszce migwały, świadcząc o działaniu urządzenia. Jego skóra reakcyjna leżała w poprzek łóżka niczym zrzucona wylinka. Alice Jovellanos stała u stóp mebla. Dygocząc, zsunęła z głowy zestaw wizualizacyjny. Jej poblądła twarz była taka piękna.

Nie mogła pomylić ofiary z wirtualnego lochu z kimkolwiek innym. Desjardins wyśrubował parametry do trzech miejsc po przecinku.

Mandelbrot natychmiast stracił zainteresowanie kobietą i zaczął trącać łebkiem Desjardinsa, mrużąc przy tym głośno. Desjardins zignorował go.

– Interesuje mnie parę kwestii technicznych – powiedział niemalże przeproszającym tonem. – Potrzebuję też informacji dotyczących twoich przyjaciół. W zasadzie miałem nadzieję, że wydobędę to z ciebie słodkimi słówkami. – Wskazał na sensorium, napawając się wyrazem przerażenia na jej twarzy. – Chyba zapomniałem schować swoje zabawki.

Alice potrząsnęła głową. Gest przypominał spazm, drgnięcie przepelnione paniką.

– N-nie wydaje mi się, żebyś... – wykrztusiła po chwili.

– Może i nie – Achilles wzruszył ramionami. – Ale, hej, spójrz na to z innej strony. Po raz pierwszy nie *pomyliłaś* się co do mojej osoby.

Wreszcie wszystko zaczęło mieć sens – spontaniczne zakupy dokonywane niemal nieświadomie za pośrednictwem anonimowych linii kredytowych, plastikowa folia, przenośny piec do spalania odpadów, wytłumiacz dźwięków działający na zasadzie dynamicznej inwersji. Pobieżne zerknięcie w kalendarz Alice i jej listę kontaktów. To właśnie było takie świetne w pracy prawołamacza na Moralniaku – wszyscy wiedzieli, że tkwisz na łańcuchu przy swojej budzie, więc nie zawracali sobie głowy ogradzaniem własnych podwórek.

– Proszę – wyjąkała Alice. Jej wargi drżały, a oczy lśniły przerażeniem. – Achillesie...

Gdzieś w piwnicy umysłu Desjardinsa pękło ostatnie przerdzewiałe ogniwo.

– Mów mi Killjoy – powiedział.

## AUTOMECHANIKA

Pierwszą rundę wygrały korpy.

Ryfterka Lisbeth Mak – taka szara mysz, Clarke ledwie jest w stanie przypomnieć sobie jej imię – natknęła się na korpa, kręcącego się jak opancerzony karaluch przy głównej elektrowni. Nie liczyło się, czy miał dobre powody, by tam być. Nie liczyło się, czy było to naruszenie kwarantanny, czy nie. Mak zrobiła to, co bez względu na sytuację zrobiłoby wielu rybogłowych – zrobiła się pewna siebie. Postanowiła dać lądowcowi nauzkę, ale najpierw zafundować mu małą rozgrzewkę. Nie wysilając się zbytnio, krążyła wokół swojej bezradnej i niezgrabnej ofiary, wygłaszała standardowe komentarze o dzwonach nurkowych ze stopami, nawoływała głośno i wyraźnie, żeby ktoś przyniósł jej jedno z pneumatycznych wiertel z szopy na narzędzia, bo ma tu kraba, którego musi wyłuskać spod pancerzyka.

Zupełnie zapomniała jednak o latarce czołowej na hełmie korpa. Nie była włączona, kiedy kobieta dopadła biedaka – ten chciał najwyraźniej pozostać niezauważony, a w bezpośredniej okolicy konstrukcji było dość jasno nawet dla oczu lądowca. Kiedy więc włączył światło i skierował je na ryfterkę, jej nakładki pokryły się jednolitą bielą, próbując jak najszybciej dostosować się do nagłego blasku.

Koniec końców Mak oślepiła zaledwie na sekundę czy dwie, ale tyle wystarczyło korpowi, by się odegrać. Kopolimer nie ma żadnych szans w starciu z siateczką. Nim ryfterka, pokrwawiona i posiniaczona, zdołała wezwać wsparcie, mężczyzna zmierzał już z powrotem do środka.

A teraz Clarke i Lubin stoją w służbie numer pięć, podczas gdy ocean opada z wolna wokół nich. Clarke zrywa plombę twarzową i czuje, jak jej ciało wypełnia się powietrzem niczym pokryty skórą balon. Wewnętrzny właz otwiera się z sykiem, wypuszczając światło jaskrawe aż do bólu. Ryfterka cofa się, czekając aż dostosują się jej nakładki i unosi ręce, by móc obronić się przed ewentualnym atakiem. Nic takiego nie następuje. W komorze odpływowej tłoczy się grupa korpów, ale tylko jedna

osoba stoi w pierwszym szeregu – Patricia Rowan.

Pomiędzy nią a ryfterami połyskuje oleście błona izolacyjna.

– Nasze stanowisko jest takie, że na razie powinniście pozostać w służbie – odzywa się Rowan.

Clarke zerka na Lubina. Mężczyzna obserwuje komitet powitalny pustym, obojętnym wzrokiem.

– Kto to był? – pyta spokojnie Clarke.

– Nie wydaje mi się, by miało to jakiegokolwiek znaczenie.

– Lisbeth może być innego zdania. Ma złamany nos.

– Nasz człowiek mówi, że tylko się bronił.

– Człowiek w wytrzymałej trzysta barów zbroi siateczkowej bronił się przed nieuzbrojoną kobietą w skórze głębinowej.

– Korp bronił się przed *rybogłową* – sprostowuje ktoś z zebranych. – A to już co innego.

Rowan ignoruje go.

– Nasz człowiek musiał zrobić użytek z pięści, bo tylko takie rozwiązanie miało jakiegokolwiek szanse powodzenia. Wiecie równie dobrze jak my, przed czym się bronimy.

– Wiem, że żadnemu z was nie wolno opuszczać Atlantydy bez zezwolenia. Takie zasady obowiązywały jeszcze przed kwarantanną. Sami na nie przystaliście.

– Nie daliście nam wyboru – wytyka łagodnie Rowan.

– Mimo wszystko.

– Jebać *zasady* – odzywa się jakiś inny korp. – Próbują nas zabić. Dlaczego kłócimy się o protokół?

Clarke mruga oczami, zaskoczona.

– Co to miało znaczyć?

– Wiesz dobrze, co to m –

Rowan unosi dłoń. Dysydent milknie.

– Znaleźliśmy minę – wyjaśnia kobieta takim tonem, jakby oznajmiała, że w toalecie zabrakło papieru.

– *Co?*

– Nic nadzwyczajnego. Standardowy ładunek wybuchowy. Może nawet jeden z tych, które podłożył Ken, zanim... – przerywa na chwilę, by ostrożnie dobrać słowa – doszliśmy do porozumienia te kilka lat temu. Poinformowano mnie, że gdyby doszło do detonacji, zostalibyśmy odcięci od głównych systemów podtrzymywania życia, a spora część skrzydła C zostałaby zalana. Sama implozja zabiłaby od trzydziestu do stu osób.

Clarke wbija wzrok w Lubina i dostrzega, że mężczyzna nieznacznie kręci głową.

– Nie wiedziałam – mówi cicho ryfterka.

Rowan uśmiecha się blado.

– Rozumiesz chyba, że niektórzy są w tej kwestii dość sceptyczni.

– Chciałbym ją zobaczyć – odzywa się Lubin.

– A ja chciałabym zobaczyć moją córkę w świetle dnia – odpowiada mu Rowan. – To niemożliwe.

Clarke kręci głową.

– Pat, posłuchaj. Nie mam pojęcia, skąd ona się tam wzięła. Ja...

– Ale ja mam – przerywa jej łagodnie Rowan. – Jest ich całe mnóstwo przy składach budowlanych. Tylko w okolicach Niemożliwego Jeziora można znaleźć ze sto albo i więcej.

– Dowiemy się, kto to zrobił. Nie możecie jednak jej zatrzymać. Macie zakaz posiadania broni.

– Naprawdę uważasz, że tak po prostu oddamy ją tym, którzy ją umieścili?

– Pat, przecież mnie *znasz*.

– Znam was *wszystkich*. Odpowiedź brzmi nie – kwituje Rowan.

– Jak ją znaleźliście? – pyta Lubin.

– Przypadkiem. Padła nam akustyka pasywna, więc wysłaliśmy kogoś, żeby sprawdził antenę.

– O niczym nas nie informując.

– Wydawało się dość prawdopodobne, że to wy powodowaliście zakłócenia. W takiej sytuacji informowanie was nie byłoby zbyt mądrym pomysłem, nawet gdybyście *nie zaminowali* nam kadłubów.

– Kadłubów – zauważa Lubin. – Czyli znaleźliście więcej niż jeden ładunek.

Nikt się nie odzywa.

*No pewnie, że nie*, uświadamia sobie nagle Clarke. *Nic nam nie powiedzą. Szykują się do wojny.*

*I zostaną zmasakrowani...*

– Ciekawe, czy znaleźliście wszystkie – zastanawia się głośno Lubin.

Stoją w milczeniu, zakneblowani przez czarną syntetyczną skórę. Za ich plecami i za pancernym włazem wewnętrznym korpy wracają do swoich spisków i planów. Przed nimi, za zewnętrznym włazem, czeka na odpowiedzi grupa ryfterów. Wokół nich oraz w ich wnętrzu pracuje maszyna, pompując wodę, iskrząc i przygotowując ich do wejścia w otchłań. Kiedy ocean przykrywa ich głowy, są już niekompresowalni.

Lubin sięga ku zewnętrznemu włazowi, ale Clarke powstrzymuje go.

– Grace – bzyczy.

– To mógł być ktokolwiek. – Unosi się, pozbawiony ciężaru w zalanej wodą pomieszczeniu. Wyciąga rękę, by odepchnąć się od sufitu. Widok jest dość dziwny – lewitująca humanoidalna sylwetka na tle białoniebieskawych ścian śluzu. Jego nakładki przypominają otwory wycięte w czarnym papierze, przez które przebłyскуje światło.

– W zasadzie – kontynuuje – nie jestem do końca przekonany, czy mówią prawdę.

– Korpy? A dlaczego mieliby kłamać? Co by im to dało?

– Doprowadziliby do tarć w szeregach wroga. Dziel i zwyciężaj.

– Daj spokój, Ken. Przecież to nie tak, że istnieje jakaś frakcja przychylna korpom, która tylko czeka, by ruszyć do walki w ich imię i...

Mężczyzna tylko patrzy na nią.

– Nic nie wiesz – bzyczy Clarke tak cicho, że ledwie wyczuwa vibracje we własnej żuchwie. – To wszystko tylko podejrzenia i domysły. Rama jeszcze nie skończył... Nie możesz być pewien.

– Nie jestem.

– Tak naprawdę niczego nie wiemy. – Waha się i po chwili postanawia zmienić wersję. – *Ja* niczego nie wiem. *Ty* owszem.

– Nie dość, by miało to znaczenie. Jeszcze nie.

– Widziałam, jak śledziłeś ich wzdłuż korytarzy.

Lubin nie kiwa głową. Nie musi.

– Kogo?

– Głównie Rowan.

– I jak to tam wygląda?

– Bardzo podobnie jak *tutaj* – odparł, wskazując na Clarke.

*Trzymaj się z dala od mojej głowy, sukinsynu*. Wie jednak, że przy tak niewielkiej odległości nie jest to kwestia wyboru. Nie da się dokonać *wyboru*, by niczego nie odczuwać. A to, czy mowa o twoich emocjach, czy kogoś zupełnie innego, naprawdę nie ma tu żadnego znaczenia.



Clarke mówi więc tylko:

– A możesz trochę jaśniej?

– *Z jakiegoś* powodu ma straszne wyrzuty sumienia. Nie wiem jednak, z jakiego. A możliwości nie brakuje.

– Mówiłam ci.

– Natomiast nasi ludzie nie są tak skłóceni – kontynuuje mężczyzna – więc o wiele łatwiej skierować ich uwagę na określone tory. A ja nie mogę być wszędzie. I kończy nam się czas.

*Ty draniu*, myśli Clarke. *Ty dupku*. *Ty chuju*.

Lubin wisi w wodzie ponad nią i czeka.

– Dobra – odzywa się wreszcie ryfterka. – Zrobię to.

Lubin zwalnia zapadkę. Właz zewnętrzny otwiera się, ukazując prostokąt mętnej ciemności w białej oprawie. Odplływają w noc, upstrzoną wieloma parami oczekujących oczu.

Lenie Clarke jest nieco pokręcona nawet jak na standardy ryfterów.

Po pierwsze, ryfterom nie zależy zbyt na prywatności. A w każdym razie nie w takim stopniu, jakiego można byłoby się spodziewać po grupie wyrzutków i wykolejeńców. Można by pomyśleć, że jedynymi osobami skłonnyymi uznać pobyt w tym miejscu za *poprawę* swojej sytuacji będą ci, których nie oszczędzało ich dotychczasowe życie i byłaby to prawda. Można by też pomyśleć, że doświadczony w ten sposób istoty zaszyją się w swych skorupach, niczym kraby pustelniki pozbawione połowy odnóży, i będą kulić się ze strachu na widok każdego cienia albo atakować wściekle, kiedy tylko poczują się zagrożone. I czasami rzeczywiście tak się dzieje. Jednak tutaj wieczna, ciężka noc przynajmniej znieczula, jeśli nie może uleczyć. Otchłań kładzie swe ciemne dłonie na zranionych i wojujących, i jakimś sposobem koi ich i uspokaja. Ostatecznie od wszelkich konfliktów można uciec w dowolnym kierunku. Nie trzeba walczyć o zasoby – ostatnimi czasy połowa habów i tak stoi pusta. Mało kto bawi się w terytorializm, bo terytoriów nie brakuje.

Tak więc większości habów nikt nie zajmuje ani nikt nie pilnuje. Lokatorzy pojawiają się i znikają, wybierają przypadkowe bańki, by odbyć stosunek, pożywić się albo – dużo rzadziej – oddać się kontaktom towarzyskim, a potem powracają znów do swego naturalnego środowiska. Konkretnie miejsce nie ma dla nich większego znaczenia. Nie ma sensu zazdrośnie strzec czegoś tak wszechobecnego jak cykler Calvina albo warsztat, a poza nimi ryfterzy nie potrzebują w zasadzie niczego więcej. Prywatność jest wszędzie – wystarczy płynąć przez dwie minuty w dowolnym kierunku i można zgubić się na zawsze. Po co wznosić mury wokół recyklingowanego powietrza?

Lenie Clarke ma swoje powody.

Nie jest w tym taka całkiem osamotniona. Kilkoro innych ryfterów zaklepało sobie prawo do wyłączności, metaforycznie znacząc moczem teren kajuty, pokładu albo – w nielicznych przypadkach – całego habu. Stworzyli sobie schronienia we wnętrzu schronień, by móc ukryć się w oceanie przed całym światem, a w wypełnionej atmosferą bańce ze stopów metali przed swoimi towarzyszami. Takie miejsca mają zamki w drzwiach. Habów nie wyposażono w zamki – lądowcy, którzy je projektowali, mieli świra na punkcie bezpieczeństwa – ale łaknący prywatności i paranoicy poradzili sobie z tym faktem, dodając własne fortyfikacje do podstawowej konstrukcji.

Clarke nie jest zachłanna. Nie pragnie wiele – jedynie kajuty na górnym pokładzie habu, zakotwiczonego sześćdziesiąt metrów na północny wschód od Atlantydy. Jest niewiele większy od jej dawnej kwatery na Stacji Beebe. Clarke podejrzewa, że w sumie właśnie dlatego mogła wybrać akurat tę. Pomieszczenie nie posiada nawet iluminatora.

Nie spędza tu zbyt wiele czasu. W zasadzie nie zaglądała do tej kajuty, od kiedy zaczęła sypiać

z Walshem. Nie ma jednak znaczenia, ile czasu realnie spędza w tej ciasnej, spartańskiej komórce. Liczy się tylko to, że należy ona do *niej*, jest *tutaj* i nikt inny nie może tu wejść, chyba że za jej pozwoleniem. I że jest dostępna, kiedy zachodzi potrzeba.

A zaszła właśnie teraz.

Clarke siedzi naga na pryczy, skąpana w świetle rozjaśnionym niemalże do poziomu typowego dla ładowców. Odczyty, które będzie śledzić, zostały oznakowane różnymi kolorami, a nie chce przeoczyć żadnej informacji. Obok niej, na piance neoprenowej, leży sterownik ręczny, dostrojony do jej wnętrzości. Na jego powierzchni migoczą zielone i niebieskie mozaiki – maleńkie histogramy, mrugające gwiazdy, drukowane litery tworzące tajemnicze akronimy. Na przeciwległej grodzi znajduje się lustro. Kobieta za wszelką cenę stara się je ignorować, ale jej puste, białe oczy wciąż wędrują ku odbiciu.

Jedną ręką w roztargnieniu dotyka lewego sutka, a drugą, trzymającą skalpel depolaryzacyjny, przesuwa wzdłuż szwów na klatce piersiowej. Jej skóra odwija się gładko, tworząc pomarszczone, geometryczne bruzdy: trzy boki prostokąta albo kanciastą literę C odcisniętą w ciele, jakby za pomocą foremki do ciastek, pomiędzy lewą piersią, przeponą i linią pośrodkową.

Clarke otwiera się na wysokości mostka.

Odblokowuje żebra przy chrząstkach. Pojawia się pewien opór i cichy, ale niepokojący, odgłos zasysania, kiedy wyściółka z monowarstwy puszcza na szwie. A także tępy ból spowodowany napływem powietrza do wnętrza klatki piersiowej ryfterki – tak naprawdę to chłód, ale nerwy w głębi ciała nie odróżniają temperatury od bólu. Mechanicy odpowiedzialni za jej modyfikacje umocowali cztery jej żebra po lewej stronie na zawiasach. Clarke wsuwa palce pod ten panel i odchyła go, odsłaniając skrytą pod nim maszynię. Silniejszy i ostrzejszy ból odzywa się od strony mięśni międzyżebrowych, nieprzystosowanych do takiej elastyczności. Będą siniaki.

Kobieta bierze narzędzie z leżącej obok tacki i zaczyna zabawiać się ze sobą.

Jego elastyczna końcówka znika w głębi jej klatki piersiowej, prześlizguje się gładko przez cienki niczym igła zawór i zakleszcza w określonej pozycji. Clarke nadal jest pod wrażeniem, z jaką łatwością przychodzi jej manewrowanie we własnych wnętrzościach. W uchwycie narzędzia zamontowano pokrętło o jakimś absolutnie astronomicznym przełożeniu. Ryfterka próbuje na początek jedną czwartą pełnego obrotu, na co końcówka reaguje zmianą pozycji o ledwie ułamek stopnia.

Sterownik zaczyna głośno protestować, a na jego wyświetlaczu kolory przy NTR i GABA zmieniają się z zielonego na żółty. Jeden ze słupków histogramu odrobinę rośnie, a dwa inne kurczą się.

Kolejne ćwierć obrotu. Kolejne skargi ze strony sterownika.

Cały ten zabieg jest w zasadzie śmiesznie prymitywną ingerencją, raczej gwałtem niż flirtem. Czy te zawiasy i cała operacja rzeźniczo-chirurgiczna, której celem było wycięcie w jej ciele drzwi do wnętrza jej piersi były naprawdę potrzebne? Sterownik ma bezprzewodowy dostęp do danych telemetrycznych z jej implantów. Połączenie działa w obie strony – urządzenie może wysyłać polecenia do wnętrza ciała kobiety oraz odbierać stamtąd informacje. By dokonać drobnych regulacji, niewielkich zmian mieszczących się w ustalonych granicach wystarczyłoby dotknąć sterownika, a maszyna odpowiedziałaby posłusznie.

Jednak zmian, które zamierza dokonać Lenie Clarke, w żadnym wypadku nie można nazwać „drobnymi”.

Grid Authority nigdy nie rościło sobie praw do ciał swych pracowników. A przynajmniej nie oficjalnie. Niemniej jednak wszystko to, co ci nosili w swym wnętrzu, prawnie należało do firmy.

Clarke uśmiecha się do siebie. *Pewnie mogliby oskarżyć mnie o wandalizm.*

Jeśli naprawdę chcieli powstrzymać ją przed pchaniem łap we własność korporacji, nie powinni byli zostawiać panelu serwisowego w jej klatce piersiowej. Tyle że gonił ich czas. Spadki napięcia w sieci nie zamierzały czekać, Hydro-Q nie zamierzało czekać, więc i GA nie mogło czekać. Cały program geotermalny miał być jedynie wprowadzonym na szybko zabezpieczeniem, zaś sami ryfterzy, nawet przy tak napiętym grafiku, stanowili tymczasowe rozwiązanie. Lenie Clarke i jej koledzy byli prototypem, próbą terenową oraz produktem końcowym w jednym. Który księgowy byłby w stanie uzasadnić zaszczytne implantów w poniedziałek, kiedy już we wtorek trzeba znów się do nich dostać, żeby naprawić wadliwą miokomórkę albo zamontować jakiś istotny element przeoczony w zaawansowanych symulacjach?

Clarke przypomina sobie, że nawet czujniki zgonu dodano dopiero po jakimś czasie. Przyniósł je do Beebe Karl Acton, rozdał wszystkim niczym pastylki na gardło i kazał im otworzyć swoje piersi, by umieścić urządzenia obok wlotów wody morskiej.

To właśnie Karl odkrył, jak zrobić to, czym aktualnie zajmuje się Lenie Clarke. I za to zabił go Ken Lubin.

*Czasy się zmieniają*, myśli ryfterka, modyfikując kolejne ustawienia.

Wreszcie, po jakimś czasie kończy. Zamyka panel w swej klatce piersiowej i czuje, jak fosfolipidy zlewają się wzdłuż szwu. Ogony cząsteczek łączą się ze sobą w hydrofobicznej orgii. We wnętrzu Clarke odzywa się teraz inny ból – bardziej rozproszony i nieco odmienny od wcześniejszych. To środki dezynfekujące i syntetyczne przeciwciała, którymi spryskiwana jest jama ciała z implantami, gdyby jakimś cudem wyściółka miała zawieść.

Oburzony sterownik ustąpił. Połowa odczytów zmieniła kolory na żółty i pomarańczowy.

W głowie Clarke powoli zaczynają zachodzić zmiany. Przepuszczalność istotnych błon wzrasta o kilka procent. Produkcja pewnych związków chemicznych, których zadaniem nie jest przenoszenie sygnałów, a blokowanie ich, zostaje minimalnie zmniejszona. Okna jeszcze się nie otwierają, ale są już odblokowywane.

Oczywiście kobieta nie odczuwa tego bezpośrednio. Zmiany same w sobie są konieczne, ale niewystarczające. Tutaj, gdzie korzysta się z płuc i gdzie ciśnienie wynosi ledwie jedną atmosferę, nie mają żadnego znaczenia. Nabiorą go dopiero wtedy, gdy wzmocni je ciężar oceanu.

Jednak teraz, gdy Lenie Clarke wyjdzie na zewnątrz, kiedy wejdzie do śluzy, a ciśnienie urośnie wokół niej niczym płynna góra, kiedy trzysta atmosfer ściśnie jej głowę do tego stopnia, że w jej synapsach dojdzie do spięć, będzie mogła zaglądać w dusze ludzi. Rzecz jasna nie w te jasne części. Tak więc żadnej filozofii, muzyki czy altruizmu, żadnych intelektualnych rozważań na temat dobra i zła i ogólnie niczego, co ma związek z korą nową. To, co będzie mogła odbierać Lenie Clarke jest starsze o sto milionów lat. Podwzgórze, twór siatkowaty, ciało migdałowate. Mózg gadzi i śródmózgowie. Zazdrość, żądze, lęki oraz niewypowiedziana nienawiść. Będzie mogła odbierać to wszystko na dystansie piętnastu metrów, a może i większym.

Pamięta, jakie to uczucie. Aż za dobrze. Choć minęło sześć lat, wydaje się, jakby było to wczoraj. Musi tylko wyjść na zewnątrz.

Clarke siedzi w swej kajucie i nie porusza się.

## **GRABARZE**

Znaleźć jebane miny.

Rozpraszają się po całym terenie niczym czarne psy, węsząc pośród światła i cieni za pomocą

pistoletów radiolokacyjnych i czujników strumieni pól. Niektórym pewnie nie w smak ta cała operacja – a zapewne są i tacy, którym zależy na jej niepowodzeniu – ale nikt z tych, którzy przeżyli tu pięć lat, nie jest na tyle głupi, żeby sprzeciwiać się Kenowi Lubinowi.

*Znaleźć jebane miny.*

Clarke prześlizguje się między innymi ryfterami – ot, jeszcze jeden nos podążający za tropem, a przynajmniej tak to dla nich wygląda. Tyle że u niej wygląda to dość chaotycznie. Inni podążają niewidocznymi ścieżkami, wzdłuż linii siatki, którą dla wygody nałożono na obszar poszukiwań. Clarke natomiast porusza się zygzakiem – schodzi niżej, by potowarzyszyć przez chwilę tej czy innej osobie i zamienić z nią kilka zdań, po czym odpływa w poszukiwaniu nowego kompana. Ona ma inne zadanie.

*Znaleźć jebanego минера.*

Hektary biostali. Przeplatające się pasma światła i cienia. Ostre rozbłyski przy wszystkich wystających punktach, małe mrugające latarnie, znakujące czubki rusztowań, anteny i niebezpieczne strefy, gdzie bez ostrzeżenia mogą wytrysnąć gorące ciecze. Złowrogie, uporczywe spojrzenia reflektorów przy słuzach, włazach dokujących i stanowiskach załadunkowych, włączonych specjalnie na potrzeby dzisiejszej akcji. Blade aury zużytego światła, otaczające setki parabolicznych iluminatorów. Skąpane w półmroku rozległe powierzchnie kadłuba, gdzie każda wypukłość rzuca trzy czy cztery cienie w przyćmionym blasku lamp, zamontowanych w odleglejszych i wytworniejszych dzielnicach.

Wszędzie poza panowały ciemności. Siatki wydłużonych cieni, rzucanych przez nagie pręty wspierające. Kałuże atramentowej czerni, wypełniające przestrzenie między kilem a podłożem, zupełnie jakby Atlantyda była ogromnym łóżkiem i posiadała własne straszne miejsce dla kryjących się pod nią potworów. Rozmyty mrok tam, gdzie światło słabło i blakło lub nieprzeniknione, o wyraźnych krawędziach, w sąsiedztwie zbiorników i przewodów wyposażonych w jaskrawe lampy sodowe, okrywające okolicę kruczoczarnym płaszczem.

Wśród takiej topografii bez problemu można ukryć urządzenie wybuchowe zaledwie dwukrotnie większe od ludzkiej dłoni. Można ukryć ich tysiąc.

Zadanie byłoby trudne nawet dla pięćdziesięciu ośmiu osób. Jest jeszcze trudniejsze dla dwóch tuzinów, którym Lubin był skłonny je powierzyć. To ci, którzy nie zostali tubylcami, którzy nie pałają nienawiścią do korpów na tyle otwarcie, by mieli „przeoczyć” podejrzane obiekty w swych poszukiwaniach – ci, którzy przede wszystkim nie należeli do grupy najbardziej skłonnych do podłożenia ładunków. Rzecz jasna trudno było mówić o jakiegokolwiek pewności. Mało kto został wykluczony z kręgu podejrzanych. Nawet informacje wykradzione bezpośrednio spod czaszki nie stanowią niepodważalnego dowodu. Ostatecznie „skóry” i oczy dostawali tylko ci, którzy mogli pochwalić się określoną przeszłością. Poplątane okablowanie to wręcz coś niezbędnego do życia na ryfcie. Każdy ma tu jakieś demony. Każdy nosi na plecach swój własny bagaż – własnych oprawców i własne ofiary, uzależnienia, pobicia, gwałty analne i ojcowskie pieszczoty z rąk życzliwych facetów w czerni. Nienawiść do korpów, która dopiero niedawno nieco zelżała, znów stała się oczywistym składnikiem mieszanki.  $\beta$ -max na nowo wydobył na powierzchnię dawne konflikty i wzniecił wrogość, przygasającą z wolna po pięciu latach niechętniej koegzystencji. Miesiąc czy dwa temu ryfterzy i korpy byli niemal sprzymierzeńcami, bez względu na zgorzkniałych odszczepieńców takich jak Erickson i Nolan. Teraz jednak mało kto w ogóle uroniłby łzę, gdyby ocean miał zmiażdżyć tych drugich.

Mimo to, jest różnica pomiędzy tańczeniem na czyimś grobie a kopaniem go. Poza nienawiścią jest pewien element *kalkulacji*. Planowania. Różnica jest bardzo subtelna. Clarke nie jest pewna, czy

w tych okolicznościach jej i Lubinowi uda się ją wychwycić. Może nawet nie być zauważalna, dopóki ktoś nie natknie się na jakiś obciążający dowód, nie zobaczy miny przytwierdzonej do kadłuba niczym apokaliptyczna pąkla, nie włączy vocodera z zamiarem wszczęcia alarmu, ale...

*Może jednak dranie zasługują na to po tym wszystkim, co nam zrobili, po tym wszystkim, co zrobili światu, w końcu to nie ja podłożyłem tę cholerną minę, ja nie miałem z tym nic wspólnego, co najwyżej może nie zauważyłem jej tu, pod tym prętem wspierającym, przecież to całkiem prawdopodobne w tym mroku i w ogóle...*

Wszystkie umysły mogą wydawać się niewinne – nawet samym sobie – do momentu, kiedy pojawi się ten decydujący bodziec, wywołując prosty łańcuch myśli, który zaowocuje odwróceniem wzroku w inną stronę. A nawet wtedy, kto wie, czy uda się to wyłapać dzięki dostrajaniu?

Z pewnością nie wie tego Lenie Clarke, ale mimo to nie ustaje w poszukiwaniach, prześlizgując się między kadłubami i zbiornikami, przepływając ponad swymi towarzyszami przeczesującymi obszary światła i cienia, i jedynie pozornie poszukując ładunku wybuchowego.

W rzeczywistości poszukuje *poczucia winy*.

Rzecz jasna nie szczerego poczucia winy. Próbuje wywęszyć strach przed zdemaskowaniem, poluje na słuszny gniew. Przebudzona na nowo, tapla się w mglistym kotle odczuć z drugiej ręki. Wodę barwi tuzin różnych odcieni strachu, złości, wstrętu względem siebie i innych. We wnętrzu każdego czarnego ciała kotłuje się jeszcze czarniejsze centrum. Jest jeszcze pewne podekscytowanie, początkowy dreszczyk emocji związany z pościgiem, opadający wykładniczo ku znudzeniu. Podniecenie seksualne. Inne, słabsze uczucia, których Clarke nie potrafi zidentyfikować.

Nigdy nie zapomniała, dlaczego wzbraniała się przed dostrajaniem jeszcze w Channer i to nawet wtedy, kiedy poddali mu się wszyscy inni. Teraz jednak przypomina sobie, co okazało się dla niej takie kuszące, kiedy wreszcie uległa – w gąszczu emocji tracisz rozeznanie, które pochodzą od ciebie...

Niestety tu, na Grzbiecie, nie działa to już tak samo. Fizyka czy neurologia nie uległy zmianie, nie zmienili się też wszyscy inni. Zmieniła się Lenie Clarke. Tkwiące w jej wnętrzu ofiara i zemsta zblakły przez lata, a czerń i biel zlały się ze sobą, tworząc miliony niemożliwych do rozróżnienia odcieni szarości. Jej psychika oddaliła się od ryfterskiej normy i nie wtapia się już bezpiecznie w takie tło. Samo poczucie winy jest na tyle silne, że kobieta nie potrafi wyobrazić sobie, by miało pochodzić od kogokolwiek innego niż od niej samej.

Mimo to trzyma się swojego celu. Szuka tropu, choć jej zmysły są przytępione. Gdzieś w oddali Ken Lubin robi to samo. Pewnie idzie mu o wiele lepiej. W końcu przeszedł odpowiednie szkolenie. I ma za sobą wiele lat doświadczenia.

Delikatne łaskotanie gdzieś z boku jej umysłu. Odległy głos próbuje przebić się przez chmury kłębiące się w jej głowie. Clarke orientuje się, że odbierała go już od jakiegoś czasu, ale jego natężenie narastało stopniowo, więc zarejestrowała go dopiero teraz. Teraz nie ma już wątpliwości – zagrożenie, okrzyk radości i podekscytowanie na samym skraju jej zasięgu. Drogę przecina jej dwójka ryfterów, młócających ostro nogami. Kierują się na południe. Clarke odczuwa w żuchwie bzyczenie przepuszczonych przez vocodery głosów – w zadumie nie zwróciła uwagi i na to.

– O mały włos, a nie udałoby mi się jej zauważyć – mówi jedna z postaci. – Była ukryta pod...

– Mam jeszcze jedną – odzywa się drugi głos. – Skrzydło A.

Wystarczyło jedno spojrzenie, by Clarke wiedziała, że sama by go przegapiła.

To standardowy ładunek wybuchowy, umieszczony w cieniu biegnącej nieco wyżej krawędzi. Ryfterka obraca się do góry nogami i przykłada głowę do kadłuba, by zajrzeć pod występ. Dostrzega

półokrągły kształt przesłonięty przez krawędź, ale oświetlony lekko przez przyciemniony blask, bijący od wody.

– Jezu – bżyczy. – Jak udało ci się to znaleźć?

– Dzięki sonarowi.

Prezentując typowe dla ryfterów zdyscyplinowanie, szukający porzucili swe wyznaczone trasy i zbrali się wokół znaleziska. Lubin nie odesłał ich z powrotem. Z oczywistych powodów pasuje mu, że wszyscy znaleźli się w tym samym miejscu, co narzędzie zbrodni. Clarke dostraja się i wznaga koncentrację.

Ekscytacja. Wzbudzone na nowo zainteresowanie po godzinie monotonnego pływania w tę i z powrotem. Niepokój i nitki narastającego strachu – w końcu to bomba, a nie jajko wielkanocne. Kilka co bardziej płochliwych osób już zaczyna się wycofać, ostrożność bierze w nich górę nad ciekawością. Clarke zastanawia się w roztargnieniu, jaki może być promień wybuchu. Standardowo czterdzieści czy pięćdziesiąt metrów uznawane jest za bezpieczną granicę na budowach, ale tego typu wytyczne zawsze są nieco zawyżane.

Koncentruje uwagę. W końcu każdy jest tu podejrzanym. Jednak choć wszechobecny prąd gniewu kotłuje się jak zwykle w głębinach, nic nie wypływa na powierzchnię. Nie ma wyraźnej złości z powodu pokrzyżowanych planów ani strachu przed zdemaskowaniem. Odkrycie miny okazało się dla wszystkich raczej zaskoczeniem niż prowokacją, grą w rosyjską ruletkę podczas zabawy w poszukiwanie skarbów.

– No i co teraz? – pyta Cheung.

Lubin wisi nad nimi niczym Lucyfer.

– Niech wszyscy zapiszą sobie profil sonarowy. Dzięki temu znajdziemy pozostałe. Będą za dobrze ukryte, by tak po prostu je dostrzec.

Kilkanaście pistoletów hydrolokacyjnych oddaje serię strzałów w stronę miny.

– Zostawimy ją tutaj czy jak?

– Co jeśli została zabezpieczona?

– A co jeśli wybuchnie?

– Będziemy mieć mniej korpów na głowie – bżyczy Gomez z, jego zdaniem, bezpiecznej odległości. – Chuj mnie to obchodzi.

Ignorując ich wszystkich, Lubin schodzi niżej i sięga pod krawędź.

Ng odpływa w popłochu.

– Hej, czy to na pewno dobry...

Lubin chwytą minę i odrywa ją. Nic nie wybucha. Mężczyzna odwraca się i lustruje wzrokiem zgromadzonych ryfterów.

– Kiedy znajdziecie pozostałe, nie dotykajcie ich. Pozdejmuje je sam.

– Po co się męczyć – bżyczy cicho Gomez.

To tylko retoryczne zrządzenie, żaden sprzeciw, ale mimo to Lubin zwraca się w stronę mówiącego, by mu odpowiedzieć.

– Źle ją umieszczono. Celem było ukrycie jej, a nie efektywność. Możemy zrobić to dużo lepiej.

Wszystkie umysły rozpalają się, rozochocone. Jednak w przypadku Clarke słowa Lubina jakby wycięły niewielki otwór w jej skórze głębinowej. Kobieta ma wrażenie, że lodowate wody Atlantyku ściekają jej po plecach.

*Co ty wyprawiasz, Ken? Co ty do cholery wyprawiasz?*

Powtarza sobie, że on tylko gra pod publiczność i mówi to, co konieczne, by pozostali nie stracili motywacji. Lubin patrzy na nią, lekko przekrzywiając głowę na bok, jakby w odpowiedzi

na niewypowiedziane pytanie. Poniewczasie Clarke zdaje sobie sprawę, co właściwie robi – próbuje zajrzeć mu do głowy. Próbuje go dostroić.

Oczywiście to daremny trud. A do tego niebezpieczny. Lubin nie został jedynie *wyszkolony* tak, by blokować wścibskie umysły. Został uwarunkowany, zmodyfikowany, wyposażony w podświadome systemy obronne, których nie da się wyłączyć samą siłą woli. Nikomu nie udało się dostać do głowy Lubina z wyjątkiem Karla Actona, a cokolwiek on tam zobaczył, tajemnicę zabrał ze sobą do grobu.

A teraz Lubin przygląda się Clarke, pozostając dla niej mroczną postacią zarówno z zewnątrz, jak i w środku pomimo jej nieświadomych wysiłków.

Kobieta przypomina sobie o Actonie i zaprzestaje prób.

## STRIPTIZ

Ostateczny wynik to dziewięć min i zero podejrzanych. Jednak obie liczby mogą jeszcze ulec zmianie.

Atlantyda zdaje się być ćwiczeniem na stale rosnącą złożoność – wystarczy wspomnieć o naprawach modyfikacji dobudówek do rozległej bazowej konstrukcji zajmującej wiele hektarów, by zrozumieć to skojarzenie. Niemożliwym jest zbadać każdy zakamarek. Z drugiej strony, jakie jest prawdopodobieństwo, że winowajcy – ograniczeni przez czas, monitoring i, daj Boże, niewielką liczebność – mieli większe szanse na podłożenie ładunków niż poszukiwacze na znalezienie ich? Żadna ze stron nie jest wszechmogąca. Może w ogólnym rozrachunku to wystarczy.

Jeśli zaś chodzi o zidentyfikowanie tych winowajców, jak do tej pory Clarke dostroiła trzy tuziny swych pobratymców. Choć grzebała w kleistej ciemności ich umysłów, nie znalazła niczego. Nawet u Gomeza i Yeagera. Nawet u *Creasy'ego*. Wszyscy chętnie potańczyliby na grobach korpów, to jasne. Ale nie są grabarzami.

Tyle że nie spotkała nigdzie Grace Nolan.

Nolan jest teraz niczym Wielki Czerwony Przycisk. Chwilowo pozostaje w ukryciu – każda rzekoma zdrada ze strony korpów wygląda nieco mniej asymetrycznie w świetle ostatnich wydarzeń. Jednak sądząc po tym, jak wygląda rozwój wypadków, Nolan niczego nie straci, pozwalając sprawom toczyć się własnym torem. Szalony Miner już i tak zyskał sobie dość sympatii. Jeśli okaże się nim Nolan, zdemaskowanie jej może umocnić jej pozycję, a nie ją podkopać.

Smycz i tak już ledwo trzyma. Jeśli pęknie, w cyklerze znajdzie się dziesięć różnych rodzajów gówna.

A i to pod warunkiem, że w ogóle uda się *znaleźć* winowajców. Czego szukać w ciemnych piwnicach tak wielu umysłów? Tutaj nawet niewinnych trawi poczucie winy, a winni są przekonani o własnej nieomyślności. Każdy mózg płonie czarnym światłem symboli zagrożenia psychopatycznego – które z nich są zasilane przez stare rany, a które przez niedawne akty sabotażu? Czasami udaje się to odkryć, jeśli dostatecznie długo trzymasz głowę w czyimś dole ze smołą, ale kontekst ma tu kluczowe znaczenie. Liczenie na uśmiech losu ma tyle samo sensu, ile gra na loterii. Jeśli chce się zrobić to dobrze, potrzeba czasu, ale wtedy Clarke czuje się przy tym brudna.

Z kolei nie robiąc tego, składa los w rękach Grace Nolan.

*Nie ma czasu. Nie mogę być wszędzie. Ken nie może być wszędzie.*

Rzecz jasna, istnieje alternatywa. Lubin sam jej to zasugerował tuż po akcji poszukiwawczej. Był przy tym taki uroczy – powiedział to tak, jakby miała jakikolwiek wybór. Jakby nie zrobił tego sam, gdyby ona nie była w stanie.

Clarke wie, dlaczego zostawił jej taką możliwość. Ktokolwiek podzieli się z innymi tym sekretem, zyska nieco w oczach miejscowej społeczności. Lubinowi nie jest to potrzebne, żaden z ryfterów nie jest na tyle głupi, by *jemu* wchodzić w drogę.

Kobieta wspomina czasy, nie tak dawno temu, kiedy mogła powiedzieć to samo o sobie.

Bierze głęboki oddech i uruchamia kanał ogólny. Wie, że następny krok może ją zabić. Zastanawia się – zresztą nie po raz pierwszy – czy na pewno byłoby to takie złe.

Jej publiczność liczy mniej niż tuzin osób. Jest miejsce na więcej. Hab medyczny – nawet ta samotna kula, która nie została zaadaptowana na lokum dla Bhanderiego – przewyższa rozmiarami większość innych pomieszczeń. Część nieobecnych również jest godna zaufania, co ustaliła z Lubinem, porównując swe spostrzeżenia, ale Clarke woli zacząć z mniejszą grupką. Podejść do tematu ostrożnie. Wkrótce efekt fali i tak zrobi swoje.

– Pokażę to tylko raz – mówi ryfterka – więc patrzcie uważnie.

Naga do pasa, otwiera znów swoją klatkę piersiową.

– Nie ruszajcie niczego z wyjątkiem neuroinhibitorów. Pewnie i tak zakłóci to jakąś ogólną równowagę między innymi związkami chemicznymi, ale wygląda na to, że wszystko później wychodzi w praniu. Po prostu przez jakiś czas nie wychodźcie na zewnątrz po dokonaniu zmian. Dajcie wszystkiemu chwilę na wyregulowanie się.

– Jak długo? – pyta Alexander.

Clarke nie ma pojęcia.

– Około sześciu godzin. Potem powinno już być w porządku. Ken przydziela wam pozycje przy habach.

Publika wydaje z siebie pomruki niezadowolenia w związku z perspektywą tak długiego pobytu wewnątrz.

– Co mamy zrobić z inhibitorami? – Złamany nos Mak pokrywają delikatne druciki z nanizanymi paciorkami. To maleńka siateczka mikroelektryczna, która ma za zadanie przyspieszać proces gojenia. Przypomina skurczoną do absurdalnych rozmiarów woalkę pogrzebową.

Clarke uśmiecha się wbrew sobie.

– Zmniejszyć ich poziom.

– Jaja sobie robisz.

– Ani trochę.

– No a André?

André umarł trzy lata temu. Skurcze wycisnęły z niego życie na dnie oceanu, kiedy dostał ataku, który niemalże rozerwał go na strzępy. Seger uznała, że zawiniła wadliwa pompa neuroinhibitorowa. Ludzkie nerwy nie są przystosowane do otchłani. Ciśnienie sprawia, że reagują nawet na najdelikatniejsze bodźce. Zamieniasz się w żywą tablicę rozdzielczą pozbawioną bezpieczników i jakiegokolwiek izolacji. Wreszcie, po kilku minutach drgawek jak przy tężcu, ciała kończą się neuroprzekaźniki i najzwyczajniej w świecie *zaprzestaje* funkcjonowania.

Właśnie dlatego implanty ryfterów dostarczają organizmowi neuroinhibitorów, kiedy tylko ciśnienie otoczenia przekroczy pewien krytyczny próg. Bez nich wyjście na zewnątrz w takich głębinach byłoby jak śmiertelne rażenie prądem.

– Powiedziałaś *zmniejszyć poziom* – powtarza Clarke. – Nie *wyeliminować*. O pięć procent. Góra siedem.

– I co to właściwie daje?

– Obniża progi reagowania synaps. Nerwy stają się trochę bardziej... chyba bardziej wrażliwe.



Na słabsze bodźce. Kiedy wychodzi się na zewnątrz. Zaczynacie zauważać rzeczy, na które wcześniej nie zwracaliście uwagi.

– Na przykład? – pyta Garcia.

– Na przykład... – zaczyna Clarke, ale urywa.

Nagle nachodzi ją pragnienie, by zamknąć własną klatkę piersiową i wszystkiemu zaprzeczyć. Już nieważne, ma ochotę powiedzieć. *To był kiepski pomysł. Kiepski żart. Zapomnijcie, że cokolwiek mówiłam.* Albo wyjawić im wszystko: *Nie macie pojęcia, jak wiele ryzykujecie. Nie macie pojęcia, jak łatwo przekroczyć granicę. Mój kochanek miał objawy głodu, kiedy tylko przebywał wewnątrz habu. Nie potrafił nawet oddychać, żeby nie chcieć przy tym rozwalić wszystkiego, co było pomiędzy nim a otchłanią. Mój przyjaciel gotowy był zamordować za prywatność w miejscu, gdzie nie można płynąć obok kogoś, żeby nie być atakowanym przez jego choroby i niedostatki. To także wasz przyjaciel, jest jednym z nas i jedyną pozostałą przy życiu osobą na tej pokręconej planecie oprócz mnie, która wie, czym to naprawdę skutkuje...*

Ogarnięta nagłym atakiem paniki, Clarke toczy wzrokiem po zebranych, ale nie ma wśród nich Kena Lubina. Pewnie zajmuje się przygotowaniem listy obowiązków dla nowo dostrojonych.

*Z drugiej strony, przypomina sobie, z czasem po prostu się do tego przyzwyczajasz.*

Bierze głęboki oddech i odpowiada na pytanie Garcii:

– Na przykład będziecie w stanie ocenić, czy ktoś leci sobie z wami w kulki.

– O cholera – cieszy się Garcia. – Będę chodzącym wykrywaczem ściem.

– Zgadza się – potwierdza Clarke, zmuszając się do uśmiechu.

*Miejmy nadzieję, że jesteście na to gotowi.*

Jej uczniowie rozchodzą się do własnych baniek, by pozabawiać się sami ze sobą. Clarke zamyka własną klatkę piersiową, podczas gdy hab medyczny z wolna pustoszeje. Kiedy kończy, w pomieszczeniu poza nią jest już tylko płatanina mokrych śladów na pokładzie i masywny właz, do niedawna zawsze otwarty, prowadzący do drugiej kuli. Garcia zamontował na pokrętle zamek szyfrowy, lekceważąc reguły bezpieczeństwa ustalone przez lądowców.

*Ile jeszcze zostało mi czasu, zastanawia się ryfterka, zanim każdy będzie mógł grzebać mi w głowie?*

Co najmniej sześć godzin, jeśli wezmą na poważnie jej słowa. Potem zaczną się bawić, wypróbowując nowe możliwości i może nawet im się to spodoba, pod warunkiem, że nie obrzydzi ich to, co odkryją.

Zaczną przekazywać wieści.

Clarke sprzedaje to pod etykietką nadzoru parapsychologicznego, będącego nowym sposobem na odkrywanie wszelkich nieczystych sekretów, które mogą ukrywać korpy. Efekty jego działania i tak rozprzestrzenia się poza Atlantyde. *Każdemu* będzie trudniej spiskować w ciemnościach, kiedy każda z przepływających osób zostanie wyposażona w reflektor.

Kobieta stoi przed wejściem do leża Bhanderiego, trzymając dłoń na umieszczonej pośrodku zmodyfikowanej klawiaturze. Wklepuje odpowiednią kombinację i otwiera właz.

Nagle zaczyna widzieć w kolorze. Plomba mimetyczna, otaczająca krawędź włazu, jest stalowoniebieska. Nad głową, niczym koralówki, wiją się dwie rury oznakowane kodem barwnym. Widoczny przez otwarte drzwi cylinder, pełen jakiegoś sprężonego gazu, połyskuje turkusem, zaś umieszczone na jego boku naklejki mają kolor żółci i, co niesłychane, ostrego różu.

W środku jest jasno jak w Atlantydzie.

Clarke wchodzi w krąg światła – cykler Calvina, posłanie, bank krwi – wszystko roztacza wokół

feerię barw.

– Rama?

– Zamknij drzwi.

Przy głównej stacji roboczej siedzi jakaś przygarbiona postać zajęta sekwencjonowaniem tęczowych nukleotydów. Nie może to być ryfter. Nie wygląda właściwie i nie ma czarnej, błyszczącej skóry. Przypomina raczej skulony szkielet w koszulce z długimi rękawami. Kiedy się odwraca, Clarke wzdryga się wewnętrznie – nie ma nawet *oczu*. Źrenice poruszające się w oczodołach Bhanderiego są niczym ziejące czarne dziury, tak rozszerzone, że prawie nie widać tęczówek.

A więc nie jest tu wcale tak jasno. Dość ciemno, by oczy pozbawione nakładek musiały wyteżać się do granic możliwości. Łatwo zapomnieć o takich subtelnym różnicach, kiedy nosi się błony, które zawsze pokazują świat w optymalnej ilości lumenów.

Coś musiało się jednak odbić na jej twarzy.

– Zdjąłem nakładki – wyjaśnia Bhanderi. – Oczy... dostarczają zbyt wielu bodźców przy tych wszystkich wspomagaczach. – Jego mowa wciąż brzmi chrapliwie, struny głosowe nie przyzwyczyły się jeszcze do normalnego funkcjonowania.

– Jak ci idzie? – pyta Clarke.

Wzruszenie kościstych ramion. Mogłaby policzyć jego żebra, nawet pomimo koszulki.

– Masz cokolwiek? Z badania diagnostycznego albo...

– Nie zobaczę różnicy, jeśli nie będę najpierw wiedział, czy jest jakaś. Na razie wygląda to jak behemot z kilkoma nowymi dodatkami. Może to mutacje, a może modyfikacje. Jeszcze nie wiem.

– A pomogłaby podstawowa próbka referencyjna?

– Podstawowa?

– Coś, co nie przeszło przez Atlantyde. Może gdybyś miał próbkę z Niemożliwego Jeziora, mógłbyś je porównać. Sprawdzić, czy się różnią.

Mężczyzna kręci głową. Gest przypomina skurcz mięśni, tik nerwowy.

– Są sposoby na rozpoznanie modyfikacji. Markery satelitarne, niekodujące sekwencje. Tylko trzeba czasu.

– Ale dasz sobie radę. Te... wspomagacze zadziałały. Wszystko wróciło.

Ryfter kiwa głową niczym atakujący wąż. Wybiera kolejną sekwencję.

– Dziękuję – mówi cicho Clarke.

Bhanderi nieruchomieje.

– *Dziękuję?* A jaki mam wybór? Na włązie jest zamek.

– Wiem. – Kobieta spuszcza wzrok. – Przykro mi.

– Myślałaś, że tak po prostu odejdę? Że odpłynę i pozwolę, by to coś wykończyło nas wszystkich?

Wykończyło *mnie*?

Clarke kręci głową.

– Nie. Nie ty.

– Więc dlaczego?

Nawet wtedy, gdy jego twarz zastyga w bezruchu, ryfter sprawia wrażenie, jakby tłumił w sobie krzyk. To przez te oczy. Pomimo spokojnych słów, wyrzucanych z prędkością karabinu maszynowego, oczy Bhanderiego jakby zastygły w wyrazie bezbrzeżnej grozy. Zupełnie jakby w jego wnętrzu tkwiło coś jeszcze, coś pradawnego, niemyślącego i dopiero niedawno przebudzonego. Spogląda poprzez setki milionów lat na niezrozumiały świat kątów prostych oraz mrugających światła i kompletnie nie umie sobie z tym poradzić.

– Bo to przychodzi i odchodzi – odpowiada Clarke. – Sam tak powiedziałaś.

Mężczyzna wyciąga pokrytą plastrami patykowatą rękę. Połączona z pompą chemiczną rurka, wkłuta w ciało tuż poniżej łokcia, aplikuje mu coś dożylnie. Bhanderi faszeruje się przeróżnymi substancjami od kiedy znalazł się znów w atmosferze. Używając cudów nowoczesnej chemii, próbuje gwałtem przywrócić sobie trzeźwość umysłu, zmusić zatopione wspomnienia i umiejętności do wypłynięcia choć na chwilę na powierzchnię. Clarke musi przyznać, że, na razie, jego metody działają.

Mimo to za każdym razem, gdy na niego patrzy, widzi odpowiadającego jej spojrzeniem gada.

– Nie możemy ryzykować. Przykro mi.

Bhanderi opuszcza rękę. Jego żuchwa wydaje kliknięcie jak u owada.

– Mówiłaś... – zaczyna, ale milknie.

Po chwili podejmuje jeszcze raz:

– Kiedy mnie tu prowadziłaś. Nie mówiłaś czasem, że znałaś kogoś...

– Tak.

– Nie znam nikogo... to znaczy, *kogo*?

– Nie tutaj – odpowiada Clarke. – Nawet nie w tym oceanie. To było dawno temu, na samym początku programu ryfterskiego. Przeszedł przemianę na moich oczach. – Chwila ciszy. – Miał na imię Gerry.

– Mówiłaś, że wrócił.

Szczerze mówiąc, nie ma pojęcia. Gerry Fischer nagle *pojawił* się znikąd, kiedy wszyscy inni dali już za wygraną i odpłynęli. Zapewnił jej bezpieczeństwo, zaciągając ją do skafu ewakuacyjnego, wiszącego niepewnie nad opustoszałą stacją. Ale nie odezwał się przy tym ani słowem i walczył niczym wściekłe zwierzę, kiedy to ona próbowała uratować jego.

– Może nie tyle *wrócił*, co *przebił się* – wyjawia teraz Clarke temu stworzeniu, które na swój własny sposób musi znać Gerry'ego Fischera dużo lepiej niż ona.

Bhanderi kiwa głową.

– Co się z nim stało?

– Umarł – odpowiada cicho kobieta.

– To znaczy... odpłynął? Tak jak dzieje się z nami?

– Nie.

– To jak?

Clarke szuka słowa o odpowiednim wydźwięku.

– *Bum* – mówi wreszcie.

## GRANICA

*Ustąp*, mówili po Rio. *Teraz już możesz ustąpić, kolejny raz uratowałeś nam tyłki.*

Nie była to stuprocentowa prawda. Nie ocalał Buffalo. Nie ocalał Houston. Salt Lake, Boise i Sacramento przestały istnieć, padły ofiarą improwizowanych ataków, od samobójczych katastrof porwanych samolotów pasażerskich po pociski jądrowe wystrzeliwane z orbity. Pół tuzina innych francyz ledwie zapało. Mało które z tamtych tyłków zostały uratowane.

Jednak dla reszty Pogromców Entropii, Achilles Desjardins był superbohaterem. Niemal natychmiast stało się jasne, że pięćdziesiąt francyz KRASZ-u na całej półkuli zachodniej stało się celem jednoczesnych, skoncentrowanych ataków, ale to Desjardins i tylko Desjardins zdołał dodać dwa do dwóch, pod ostrzałem i w locie. To on doszedł do niemożliwego wniosku, że za całą

operacją musiał stać ktoś z wewnątrz. Pozostali Pogromcy podchwycili trop i zrównali Rio z ziemią, kiedy tylko dostali cynk, ale to znów Desjardins wskazał im, gdzie celować. Gdyby nie jego umiejętność działania pod presją, każda twierdza KRASZ-u na całej półkuli stanęłaby w płomieniach.

*Ustąp, powiedzieli jego wdzięczni panowie. To miejsce jest spisane na straty.*

Środkowa część siedziby KRASZ-u w Sudbury zaliczyła bezpośrednie trafienie. Przejęty przez wroga i wytracony z kursu, niewielki suborbitalny prom pasażerski, w drodze z Londynu do Toromilton, zostawił krater o średnicy dziesięciu pięt w północnej ścianie budynku. Jego zbiorniki paliwa były już prawie puste, więc ogień nie osiągnął wystarczającej temperatury, by naruszyć całą konstrukcję. Udało mu się jedynie usmażyć, zatruć i podusić większość z tych, którzy znajdowali się między osiemnastym a dwudziestym piątym piętrem.

W Sudbury prawołamacze zajmowali piętra od dwudziestego do dwudziestego czwartego. To, że Desjardinsowi udało się wszcząć alarm, zanim zostali trafieni, było iście szczęśliwym zbiegiem okoliczności. To, że nie zginął razem z innymi, zakrawało już na cholerny cud.

*Ustąp.*

Achilles Desjardins obrzucił wzrokiem dym, migoczące płomienie, stosy worków na zwłoki i tych kilku oszołomionych współpracowników, którym udało się ująć cało i uniknąć eutanazji, po czym odparł: Jestem tutaj potrzebny.

*Nie ma żadnego tutaj.*

A jednak więcej zostało z *tutaj* niż z Salt Lake czy Buffalo. Ataki zmniejszyły redundancję sieci szybkiego reagowania w całym N'Am o ponad trzydzieści procent. Sudbury trzymało się na jednej, ostatniej nitce, ale ta nitka łączyła szesnaście ośrodków na całej półkuli, a także czterdzieści siedem oddziałów regionalnych. Porzucenie go obniżyłoby redundancję o kolejne pięć procent i pozbawiłoby obszar o powierzchni pół miliona kilometrów kwadratowych jakiegokolwiek zdolności szybkiego reagowania. Behemot już i tak szalał po połowie kontynentu, a ośrodki cywilizacji upadały. KRASZ nie mógł pozwolić sobie na luksus dalszych strat.

Były też argumenty przeciw. Połowa pięt franczyzy w Sudbury nie nadawała się do zamieszkania. Mocno okrojona przepustowość łączy wystarczyłaby dla zaledwie garstki pracowników, a przy obecnym budżecie utrzymanie nawet i tego graniczyło z niemożliwością. Wszystkie modele twierdziły zgodnie, że najlepszym rozwiązaniem byłoby porzucić Sudbury, a rozwinąć Toromilton i Montreal, by przejęły na siebie nowe obowiązki.

A ile trzeba czasu, zapytał Desjardins, by wprowadzić te usprawnienia?

*Sześć miesięcy. Może rok.*

W takim razie niezbędne było jakieś tymczasowe rozwiązanie. Płomyk dyżurny musiał być podtrzymywany jeszcze przez jakiś czas. Potrzebny był ktoś na miejscu w razie niespodziewanych sytuacji kryzysowych, z którymi nie poradzą sobie maszyny.

*Ale jesteście naszym najlepszym prawołamaczem, protestowali.*

A zadanie będzie niemalże niewykonalne. Gdzie indziej miałbym być?

*No cóóóóóóóóó...*

Tylko sześć miesięcy, przypomniał. Może rok.

Rzecz jasna, będzie zupełnie inaczej. Murphy wepchnie swoje złośliwe łapska i „może rok” zamieni się w trzy lata, a potem cztery. Prace nad usprawnieniem Toromilton zwolnią, po czym zostaną wstrzymane. Dalekosiężne plany padną, jak zawsze, pod ciężarem niezliczonych codziennych wypadków. Próbując jakoś ratować sytuację, Pogromcy Entropii będą rzucać Sudbury jakieś ochłapy, byle tylko nie zgasły światła, a kody dostępu pozostały aktywne, wdzięczni za swego

nieskarżącego się sługę i tysiące palców, którymi zatyka dziury w tamie.

Jednak tak jest teraz, a to było wtedy. Desjardins mówił: Będę waszym latarnikiem. Będę wartownikiem na opustoszałej granicy. Będę walczył z pożarami i utrzymywał pozycję, aż odsiecz zostanie włączona do sieci. Dam sobie radę. Wiecie o tym.

Wiedzieli, bo Achilles Desjardins był bohaterem. A, co istotniejsze, był też prawołamaczem, nie mógłby ich okłamać, nawet gdyby chciał.

*Co za facet*, mówili, kręcąc z podziwu głowami. *Co za facet*.

## PRACE PRZYGOTOWAWCZE

Kevin Walsh to dobry dzieciak. Wie, że związki wymagają pracy, więc zamierza zrobić, co tylko w jego mocy, by podtrzymać iskrę. A przynajmniej odwlec moment, w którym zgaśnie, tak długo, jak tylko się da.

Uczepił się jej ramienia, kiedy Lubin przydzielał pierwsze obowiązki po dostrojeniu i ani myślał zadowolić się *Może później*. Wreszcie Clarke ustąpiła. Znaleźli niezamieszkały hab, rzucili na podłogę kilka posłań i chłopak zabrał się do dzieła, wytrwale i bez słowa skargi pracując palcami i językiem, aż wreszcie ryfterka nie miała serca pozwolić mu kontynuować. Pogłaskała go po głowie, powiedziała, że było miło, ale nic z tego i zaoferowała siebie w zamian, lecz on nie skorzystał z jej propozycji – Clarke nie potrafiła ocenić, czy szlachetnie karał się w ten sposób za własną porażkę, czy też się obraził.

Leżą teraz obok siebie, trzymając się luźno za ręce. Walsh śpi, co jest dość zaskakujące – jak każdy ryfter nie przepada za spaniem w objęciach grawitacji. Może to kolejny rycerski gest. Może tylko udaje.

Clarke nie potrafi zmusić się nawet do tego. Spoczywa więc na plecach, gapiąc się na skroploną parę na grodzi. Po chwili delikatnie wyplątuje dłoń z uchwytu Walsh'a tak, by nie przerwać przedstawienia, i podchodzi do tablicy komunikacyjnej.

Na środku największego wyświetlacza majaczy niewyraźny, tajemniczy obelisk wyrastający z dna morskiego. To główny generator Atlantydy. A w każdym razie jego część – większość konstrukcji ukryta jest głęboko pod ziemią, by czerpać z samego serca komina, niczym komar wysysający gorącą krew. Z podłoża wystaje tylko sam szczyt, podobny do grudkowatego, pozbawionego okien drapacza chmur o poblížnionych fasadach, rojących się od rur, kanałów i zaworów. Mniej więcej na wysokości ośmiu metrów budowlę otacza pas reflektorów, otulających otoczenie jasną miedzianą poświatą. Otchłań napiera na ten blask niczym czarna dłoń. Wierzchołek generatora ginie w mroku.

Przewód grubości rury ściekowej odchodzi od konstrukcji na wysokości parteru i, wijąc się, znika gdzieś w ciemnościach. Clarke w roztargnieniu przełącza się na widok z kolejnej kamery, by móc śledzić jego drogę.

– Hej, *co ty tam...*

W jego głosie nie słychać senności.

Kobieta odwraca się. Walsh na wpół klęczy na posłaniu, jakby miał właśnie wstawać. Mimo to nie porusza się.

– Wracaj tu. Chcę spróbować jeszcze raz. – Szczerzy zęby w chłopięcym uśmiechu, a na twarz zakłada Maskę Nieodpartego Uroku. Mina klóci się mocno z jego pozą, która przywołuje raczej na myśl jedenastolatka przyłapanego na masturbowaniu się w czystej pościeli.

Clarke przygląda mu się podejrzliwie.

– O co chodzi, Kev?

Chłopak śmieje się. Dźwięk przypomina czkawkę.

– O nic nie *chodzi*... Po prostu, no wiesz, nie *skończyliśmy*...

Coś zaczyna jej świtać, a w gardle narasta jakby wielka gruda. Zwraca się znów w stronę tablicy i przeskakuje do kolejnej kamery. Przewód biegnie ku odległym, niewyraźnym kształtom, majaczącym wśród podświetlonych cieni.

Walsh ciągnie ją za ramię i próbuje przytulić się od tyłu.

– Bestseller wśród pań. Oferta ograniczona czasowo, wkrótce wygaśnie...

Następna kamera.

– No *chodź*, Len...

Atlantyda. Grupa ryfterów zebrała się przy miejscu połączenia dwóch skrzydeł, nie będącym nawet w odległym sąsiedztwie dowolnej z przydzielonych przez Lubina pozycji obserwacyjnych. Wygląda na to, że dokonują jakichś pomiarów. Niektórzy obładowani są jakimś dziwnym ładunkiem.

Walsh milknie. Gruda w gardle Clarke daje przerzuty.

Kobieta odwraca się. Kevin Walsh robi kilka kroków w tył, a na jego twarzy poczucie winy walczy o miejsce z hardością.

– Musisz dać jej szansę, Len – mówi. – To znaczy, powinnaś być trochę bardziej *obiektywna*...

Clarke mierzy go spokojnym wzrokiem.

– Ty dupku.

– No jasne – wybucha Walsh. – Tak jakby cokolwiek, co *ja* zrobię, kiedykolwiek miało dla ciebie znaczenie.

Ryfterka zbiera porozrzucane elementy swojej skóry głębinowej, które oplatają jej ciało, jakby były żywe, i zespalają się ze sobą, zamykając ją w środku, a jego na zewnątrz. Tworzą znów tę upragnioną płynną zbroję, która podkreśla granicę między *nami* a *nimi*.

*Tyle tylko, że nie ma żadnych* nas, uświadamia sobie Clarke. *I nigdy nie było*. A już *najbardziej* wkurza ją to, że o tym zapomniała, a cała sytuacja okazała się dla niej kompletnym zaskoczeniem. Pomimo, że miała dostęp do pnia mózgu swego kochanka, że wiedziała o kotłujących się tam poczuciu winy, cierpieniu i głupich masochistycznych pragnieniach, nie wychwyciła nadciągającej zdrady. Jasne, wyczuwała jego ból i urazę, ale to przecież nic nowego. A kiedy się zastanowić, w ich związku jawne wiarołomstwo nie odstawało aż tak bardzo od normy, by dało się je łatwo zauważyć.

Schodząc do śluzy, nie zaszczyca go choćby jednym spojrzeniem.

Kevin Walsh to solidnie popierdolony dzieciak. Całe szczęście, że zbyt nie przywiązała.

Wypowiadane przez nich słowa bzyczą pośród cieni u podnóża wielkiej konstrukcji: liczby, czasy, zwykłe oznaki stresu. Niektórzy trzymają w dłoniach sterowniki ręczne, inni wysyłają sygnały o wysokiej częstotliwości przy pomocy akustycznych dalmierzy. A jeden maluje wielki, czarny znak X w jakimś kluczowym słabym punkcie.

Jak to ujął Ken? *Celem było ukrycie jej, a nie efektywność*. Najwyraźniej nie zamierzają powtórzyć *tego* błędu po raz drugi.

Rzecz jasna, spodziewali się jej przybycia. Nie ostrzegł ich Walsh – a przynajmniej nie oficjalnymi kanałami – ale nie da się podkraść niepostrzeżenie do dostrojonych.

Clarke obrzuca wzrokiem całe towarzystwo. Nolan patrzy na nią z góry, zawieszona trzy metry wyżej. Cramer, Cheung i Gomez otaczają je luźnym kręgiem. Creasy i Yeager – zbyt oddaleni, by rozpoznać ich wizualnie, ale wyraźnie widoczni dla umysłu – zajmują się czymś przy dalszej części kadłuba.

Aura otaczająca Nolan przytłacza wszystkie inne – gdzie kiedyś była uraza, teraz króluje triumf.

Ale gniew – poczucie, że rachunki nie zostały jeszcze wyrównane – pozostał taki sam.

– Nie wiń Kevina – byczy Clarke. – Zrobił, co w jego mocy. – Ciekawi ją, jak daleko posunęła się Nolan, by zapewnić sobie jego lojalność.

Nolan powoli kiwa głową.

– To dobry dzieciak. Gotowy zrobić wszystko dla dobra grupy. – Maszyneria sprawia, że nacisk położony na *wszystko* jest niemal niezauważalny, ale Clarke wyczuła go innymi zmysłami.

*A więc tak daleko.*

Zmusza się do sięgnięcia głębiej, do grzebania w poszukiwaniu poczucia winy czy dwulicowości, ale oczywiście nie ma to najmniejszego sensu. Jeśli Nolan rzeczywiście ukrywała kiedykolwiek takie uczucia, to ten stan rzeczy należy już do przeszłości. Teraz obnosi się ze swoimi zamiarami niczym z orderem.

– To co tu się dzieje? – pyta Clarke.

– Ot, szykujemy się na najgorsze.

– Aha. – Clarke wskazuje głową namalowany na kadłubie X. – A to szykowanie czy prowokacja?

Nikt nie odpowiada.

– Macie świadomość, że to my kontrolujemy generatory? W każdej chwili możemy je wyłączyć. Wysadzenie kadłuba to gruba przesada.

– Nigdy nie posunęlibyśmy się do *nadmiernego użycia siły*. – To dobiegający gdzieś w lewej strony głos Cramera. – Tym bardziej, że przecież *oni* zawsze byli tacy łagodni.

– Po prostu uznaliśmy, że rozsądnie będzie zostawić sobie jakieś inne opcje – byczy Chen, przepraszającym, ale stanowczym tonem. – W razie gdyby coś sprawiło, że plan A nie wypali.

– Na przykład co?

– Na przykład to, że niektórzy walą konia tym, którzy ich kopią – odpowiada Gomez.

Clarke odwraca się niespiesznie w jego stronę.

– Jak zwykle porażasz swoją elokwencją. Rozumiem, dlaczego nieczęsto się odzywasz.

– Na twoim miejscu... – zaczyna Nolan.

– *Zamknij ryj.*

Clarke po kolei spogląda wszystkim w oczy, a w jej wnętrznościach zaczyna szaleć lodowaty ogień.

– Cokolwiek wam zrobili, najpierw zrobili to mnie. Jakim gównem by was nie obrzucili, mnie obrzucili bardziej. O *wiele* bardziej.

– Szkoda tylko, że wylądowało na wszystkich *poza* tobą – zauważa Nolan.

– Myślisz, że będę lizać im dupy tylko dlatego, że *spudłowali*, kiedy próbowali mnie zabić?

– A będziesz?

Clarke podpływa bliżej, aż znajduje się twarzą w twarz z Nolanem.

– Nigdy kurwa więcej nie *próbuj* kwestionować mojej lojalności, Grace. Byłam tu na dole wcześniej niż *ktokolwiek* z was, żalosne haploidy. Kiedy wy szczaliście pod siebie na łądzie, jęcząc coś o gwarancji stałego zatrudnienia, *ja* dostałam się do ich twierdzy i osobiście zrzuciłam Rowana i jej kumpli z nocnika.

– No jasne. A dwa dni później dołączyłaś do jej klubu. Na litość boską, grasz w gry VR z jej *córką*!

– No i? A co takiego zrobiła jej córka, że zasługuje na to, byście spuścili jej na głowę cały ocean? Nawet jeśli macie rację – *jeśli* macie rację – czy to ich dzieci zrobiły was w chuja? Co zawiniły wam ich rodziny, służący, szambonurkowie?

Jej słowa dryfują w dal. W ciszy, jaka po nich zapadła, głębokie, niemal poddźwiękowe buczenie

jakiejś części systemu podtrzymywania życia wydaje się brzmieć szczególnie głośno.

W zbiorowej aurze pojawił się jakby cień niepewności. Może nawet u Nolan.

Kobieta nie zamierza jednak ustąpić.

– Chcesz wiedzieć, co zawinili, Len? Wybrali stronę. Żony, mężowie, lekarze i nawet szambonurkowie, których, przez wzgląd na stare dobre czasy, ci skurwiele zdecydowali się przy sobie zatrzymać. Wszyscy wybrali stronę. Czego nie można powiedzieć o tobie.

– To nie jest dobry pomysł – bzyczy Clarke.

– Dziękujemy za twoją opinię, Len. Damy znać, jeśli będziesz nam do czegoś potrzebna. A do tego czasu nie wchodź mi w drogę. Na twój widok chce mi się rzygać.

Clarke postanawia zagrać swoją ostatnią kartę.

– To nie mną powinniście się przejmować.

– Dlaczego w ogóle uważasz, że przejmowaliśmy się *tobą*? – Od strony Nolan płyną ku niej fale pogardy.

– Ken nie będzie zachwycony, kiedy zorientuje się, że znalazł się w samym środku równie żalostnego przedsięwzięcia. Miałam już okazję to oglądać. To taki typ człowieka, który woli z miejsca położyć czemuś kres niż po wszystkim sprzątać. Rozmawiajcie sobie z *nim*.

– Już to zrobiliśmy – odpowiada Nolan. – O wszystkim wie.

– Nawet dał nam parę wskazówek – dodaje Gomez.

– Przykro mi, złotko. – Nolan nachyla się od ucha Clarke. Ich kaptury prześlizgują się obok siebie bez żadnego tarcia, jakby przytulały się dwa manekiny. – Naprawdę powinnaś była się tego spodziewać.

Nie odzywając się już ani słowem, grupa wraca do pracy, jakby ktoś dał jej sygnał niedostrzegalny i niesłyszalny dla Lenie Clarke. Ryfterka wisi w wodzie, oszołomiona i zdradzona. Wokół niej na swoje miejsca trafiają poszczególne elementy doskonale obmyślanego planu.

Odwraca się i odpływa w mrok.

## HARPADON

Dawno, dawno temu, jeszcze podczas powstania, kilkoro korpów zarekwirowało wielozadaniową łódź podwodną *Harpadon III*. Patricia Rowan po dziś dzień nie ma pojęcia, co w zasadzie próbowali osiągnąć – w pomieszczeniach wzdłuż kręgosłupa okrętu nie było żadnych modułów budowlanych czy burzących, które można by wykorzystać jako broń. *Harpadon* został ogołocony niczym szkielet ryby, stając się przy tym równie użyteczny. Zostały z niego: kabina na przedzie, wirniki na tyle i jedno wielkie nic wzdłuż segmentowanego kręgosłupa między jednym a drugim.

Może jedynie próbowali uciec.

Tyle że ryfterzy nie byli zainteresowani zadawaniem pytań, kiedy już załapali, co się dzieje i złapali zbiegów. *Im* nie brakowało wyposażenia – mieli palniki i pneumatyczne młotki nitownicze, które wprawdzie nie wystarczyłyby do przecięcia *Harpadona* na pół, ale już do sparaliżowania go od szyi w dół owszem. Przedziurawili zespół elektrolizujący i zbiorniki z ciekłym tlenem. Na oczach uciekinierów wcześniej nieograniczone zapasy powietrza nagle ograniczyły się do niewielkiej bańki nitroksu w kokpicie, która zaczynała już ciągnąć stęchlizną.

Normalnie ryfterzy ograniczyliby się do wybicia otworów w kadłubie i pozwoliliby, aby to ocean zrobił resztę. Jednak tym razem zaciągnęli *Harpadona* przed jeden z iluminatorów Atlantydy w ramach lekcji pogładowej – zbiedzy udusili się w zasięgu wzroku wszystkich korpów, których chcieli zostawić za sobą. Jak się okazało po stronie ryfterów zebrało się już kilka ofiar śmiertelnych,



a na tamtej zmianie grupą dowodziła Grace Nolan.

Jednak wtedy nawet Nolan potrafiła okazać litość. Kiedy uciekinierzy wyzionęli ducha, kiedy można było spodziewać się, że morał całej tej opowieści dotarł absolutnie do wszystkich, ryfterzy podstawili okaleczoną łódź do najbliższego wjazdu dokującego i pozwolili korpom zabrać ciała. Przez wszystkie następne lata nikt nie ruszył *Harpadona* z tamtego miejsca. Wciąż tkwi przy śluzie serwisowej, stercząc z cielska Atlantydy niczym pasożytniczy samiec żabnicy, wczepiony w bok swej gigantycznej partnerki. Nikt tam nie zagląda.

Co czyni go idealnym miejscem dla Patricii Rowan na schadzki z wrogiem.

Śluz dla nurków przypomina wydłużony pęcherz, wystający z pokładu kokpitu tuż za drugim siedzeniem, na którym spoczywa Rowan, wpatrzona w rząd ciemnych przyrządów. Teraz bulgocze za jej plecami. Kobieta słyszy zmęczone, pneumatyczne westchnienie, kiedy odsuwa się wieko trumny, a potem ciche plaskanie mokrych stóp.

Rzecz jasna, nie zapalała świateł – gdyby wydało się, że tu jest, raczej nie wyniknęłoby z tego nic dobrego – ale jakaś błyskająca latarnia, skryta za wybrzuszeniem kadłuba Atlantydy, co jakiś czas rozjaśnia mrok swym przyćmionym światłem. Wnętrze kabiny, bezładny krajobraz metalowych wnętrzości trzymających otchłań w szachu, na zmianę to pojawia się, to znika w mroku.

Lenie Clarke opada na siedzenie obok Rowan.

– Ktoś cię widział? – pyta ryfterkę kobieta, nie odwracając głowy.

– Gdyby tak było, to pewnie uznaliby za stosowne dokończyć dzieła. – Zapewne ma to być odwołanie do obrażeń, jakich *Harpadon* doznał w przeszłości. – Jakies postępy?

– W przypadku ośmiu na dziewięć próbek wynik okazał się pozytywny. Na razie nie mamy leku. – Rowan bierze głęboki oddech. – A jak tam walka po waszej stronie?

– Szkoda, że nie wybrałaś innego wyrażenia. Najlepiej mniej dosłownego.

– Aż tak źle?

– Pat, nie dam rady ich powstrzymać.

– Na pewno dasz – protestuje Rowan. Jesteś Mroczną Madonną, pamiętasz? Samicą Alfa.

– Już nie.

Rowan odwraca się, by spojrzeć na swoją towarzyszkę.

– Grace... Niektórzy podjęli już pewne kroki. – Twarz Lenie raz wyłania się z mroku, raz w nim znika. – Znow podkładają miny. Tym razem zupełnie otwarcie.

Rowan myśli przez chwilę.

– A co na to Ken?

– W zasadzie wydaje mi się, że nie ma nic przeciwko.

Ton głosu ryfterki sugeruje, że jest to dla niej zaskoczeniem. Nie jest dla Rowan.

– Znow podkładają miny? – powtarza. – Czyli wiesz, kto stał za tym za pierwszym razem?

– Niezupełnie. Jeszcze nie. Nie, żeby miało to znaczenie. – Lenie wzdycha. – Cholera, niektórzy wciąż uważają, że sami to zrobiliście.

– To bzdura. Niby po co mielibyśmy posuwać się do czegoś takiego?

– Żeby mieć... wymówkę. Albo może miała to być ostateczność. Akt autodestrukcji, który pochłonie także i nas. – Lenie wzrusza ramionami. – Nie twierdzą, że ma to sens. Powtarzam tylko, co mówią.

– A niby jakim cudem mielibyśmy przygotować takie ładunki, skoro kontrolujecie nasze zakłady produkcyjne?

– Ken mówi, że można sprawić, by zwykły cykler Calvina wytwarzał materiały wybuchowe, jeśli odpowiednio przerobi się instalację.

Znowu Ken.

Rowan wciąż nie jest pewna, jak ugryźć tę kwestię. Między Lenie a Kenem istnieje pewna więź, pewne połączenie, nedorzeczne, ale i nieuniknione, pomiędzy dwojgiem ludzi, dla których pojęcie przyjaźni powinno być równie obce co mikrob z księżycy Jowisza. Nie ma w tej relacji żadnych podtekstów seksualnych – nie mogło być, biorąc pod uwagę niestabilność Kena, choć Rowan podejrzewa, że Lenie wciąż nie ma o tym pojęcia – ale na swój tłumiony sposób jest to coś równie intymnego. Jest w tym pewna opiekuńczość, której nie należy lekceważyć. Jeśli zaatakujesz jedno z nich, lepiej uważaj na drugie.

A mimo to wygląda na to, że Ken Lubin zaczyna zawierać nowe sojusze...

Kobieta postanawia zaryzykować.

– Lenie, czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że to Ken może...

– To szaleństwo – przerywa jej ryfterka, zanim zmuszona będzie odpowiedzieć na jej pytanie.

– Dlaczego? A kto inny posiada niezbędną wiedzę? Kto inny jest uzależniony od zabijania ludzi?

– To wy mu to zrobiliście. Pracował dla was.

Rowan kręci głową.

– Przykro mi, Lenie, ale przecież wiesz, że to nieprawda. Zgadza się, zaszczepiliśmy mu reakcję warunkową na poczucie zagrożenia. Ale tylko po to, by mieć pewność, że podejmie niezbędne kroki, jeśli...

– By mieć pewność, że będzie zabijał ludzi – kończy za nią Clarke.

– ...dojdzie do naruszenia tajemnicy służbowej. Nie miał się od tego uzależnić. I wiesz tak samo dobrze jak ja, że Ken posiada niezbędną wiedzę, ma dostęp do wszystkiego i żywi urazy sięgające jeszcze czasów dzieciństwa. Jediną rzeczą, która pozwalała utrzymać go na smyczy był Moralniak, a tu Spartakus zrobił swoje.

– To było pięć lat temu – zauważa ryfterka. – Jakoś od tamtej pory Ken nikogo nie zamordował. Jeśli sobie przypomnisz, był za to jedną z całych dwóch osób, które *nie dopuściły*, by wasze ostatnie powstanie zamieniło się w Wielką Masakrę Korpów.

Brzmi to tak, jakby próbowała przekonać samą siebie.

– Lenie...

Mimo to nie chce słuchać Rowan.

– To wy wsadziliście mu Moralniaka do mózgu, kiedy zaczął dla was pracować. Nie miał go wcześniej i nie ma go teraz, a wiesz dlaczego? Bo ma zasady, Pat. Ustanowił swoje własne zasady i się ich trzyma. Dlatego bez względu na to, jak bardzo by chciał, nigdy nie zabił *nikogo* bez przyczyny.

– To prawda – przyznaje Rowan. – Więc zaczął je sobie wymyślać.

Lenie wygląda przez iluminator i nie odpowiada.

– Może nie znasz tej części historii – ciągnie kobieta. – Nigdy nie zastanawiałaś się dlaczego w ogóle zgłosiliśmy go do programu ryfterskiego? Dlaczego zdecydowaliśmy się wysłać naszego najlepszego specjalistę od brudnej roboty na dno oceanu, żeby zeszkrobywał pąkle z pomp geotermalnych? Bo zaczął się mylić, Lenie. Popelniał błędy i wszędzie zostawiał luźne końce. Oczywiście zawsze likwidował je ze szczególnym okrucieństwem, ale właśnie w tym rzecz. Podświadomie Ken *celowo* pozwalał sobie na omyłki, żeby później mieć pretekst do naprawiania ich.

– Stacja Beebe wydała nam się odpowiednikiem zabitej dechami dziury, więc natrafienie tam na cokolwiek, co można byłoby podciągnąć pod *naruszenie tajemnicy służbowej* powinno być praktycznie niemożliwe i to bez względu na to, jak bardzo naginałby zasady. Z perspektywy czasu to

był nasz błąd. – *I to, niestety, wcale nie z tych większych.* – W każdym razie chodzi mi o to, że osoby uzależnione czasami wracają do swych nałogów. Osoby, które same narzucają sobie pewne zasady postępowania, często je naginają, przekręcają albo próbują zrationalizować, by mieć ciastko i zjeść ciastko. Siedem lat temu nasi psychologowie powiedzieli nam, że Ken jest klasycznym przykładem takiego właśnie zachowania. Nie ma powodów, by przypuszczać, że do dziś coś uległo zmianie w tej kwestii.

Przez chwilę ryfterka milczy. Jej blada twarz, która wydaje się pozbawiona ciała w mroku otoczenia, pojawia się i znika niczym bijące serce.

– Sama nie wiem – mówi wreszcie. – Miałam okazję poznać jednego z tych waszych *psychologów*, pamiętasz? Przysłaliście go, żeby nas *obserwował*. Raczej go nie polubiliśmy.

Rowan kiwa głową.

– Yves Scanlon.

– Chciałam złożyć mu wizytę, kiedy wyszłam z powrotem na ląd. – *Złożyć mu wizytę* czyli w języku lenieclarke’ijskim *dopaść*. – Nie było go w domu.

– Został wyłączony z obiegu – odpowiada Rowan. Jej eufemizm, zresztą jak zwykle, bez problemu wygrywa z określeniem jej towarzyszeki.

– Aha.

Ale skoro temat już sam wypłynął...

– Scanlon miał... pewną teorię odnośnie was – mówi dalej kobieta. – Uważał, że mózgi ryfterów mogą stać się... jakby wrażliwsze. Że wchodzić na jakiś wyższy poziom świadomości, kiedy spędzicie za dużo czasu na dnie, mając we krwi wszystkie te syntetyki. Sygnały kwantowe z pnia mózgu. Coś w rodzaju efektu Ganzfelda.

– Scanlon był idiotą – kwituje Clarke.

– To nie ulega wątpliwości. Ale czy się mylił?

Lenie uśmiecha się słabo.

– No tak – podsumowuje Rowan.

– To nie jest czytanie w myślach. Nic z tych rzeczy.

– Ale może gdyby udało ci się... jak to nazywacie, *skanowaniem*?

– Mówimy na to *dostrajanie*. – Z głosu Clarke nie sposób niczego wyczytać, podobnie jak z jej oczu.

– Gdyby udało ci się dostroić każdego, kto mógłby...

– Już próbowaliśmy. Swoją drogą to Ken wpadł na ten pomysł. Niczego nie znaleźliśmy.

– *A dostroiłaś Kena?*

– Nie da się... – Clarke urywa i milknie.

– Zablokował cię, prawda? – Rowan kiwa głową w zamyśleniu. – Jeśli to choć trochę przypomina skanowanie ganzfeldowskie, to on zablokuje wszelkie próby nawet o tym nie myśląc. Standardowa procedura.

Przez chwilę obie siedzą w milczeniu.

– Nie sądzę, żeby to był Ken – mówi po chwili Clarke. – Znam go, Pat. Od wielu lat.

– Ja znam go dłużej.

– Nie tak samo.

– Zgoda. Ale jeśli nie Ken, to kto?

– Ja pierdołę, Pat, każdy z nas! Teraz już u *każdego* macie przejebane. Wszyscy uważają, że Jerry i jej kumple...

– To bzdura.

– Na pewno? – Rowan ma wrażenie, że widzi dawną Lenie Clarke, tę drapieżną, która uśmiecha się do niej w przeblaskach jasności. – Załóżmy, że to wy skopaliście *nam* dupy pięć lat temu i że to my siedzimy od tamtej pory w areszcie domowym. Nagle trafia do was jakiś wirus, który przeszedł wcześniej przez nasze ręce i korpy zaczynają padać jak muchy. Chcesz mi powiedzieć, że wy nie nabralibyście podejrzeń?

– Nie. Oczywiście, że nie. – Rowan wzdycha ciężko. – Ale chcę wierzyć, że nie zrobilibyśmy niczego pochopnie, nie mając żadnych dowodów. Przynajmniej wzięlibyśmy pod uwagę *ewentualność*, że możecie być niewinni.

– Z tego, co pamiętam, kiedy to wy dyktowaliście warunki, wina czy też jej brak nie miały żadnego znaczenia. Wy nie traciliście czasu, kiedy trzeba było sterylizować zagrożone strefy, bez względu na to, kto się w nich znajdował. Bez względu na to, co zrobili.

– Dobry powód. Godny Kena Lubina i jego osławionych norm etycznych.

Lenie parska.

– Daj spokój, Pat. Nie oskarżam cię o kłamstwo. Ale w przeciwieństwie do was wtedy, my przymykaliśmy teraz oko na całe mnóstwo rzeczy. Poza tym masz tam przecież niemało ludzi. Jesteś pewna, że nikt nie próbuje czegoś za twoimi plecami?

Chwila jasności, chwila mroku.

– Tak czy siak jest szansa, że uda nam się opanować sytuację – mówi Clarke. – Badamy  $\beta$ -maksę na własną rękę. Jeśli nikt przy nim nie dłubał, niczego nie znajdziemy.

Wnętrznosci Rowan skręcają się ze zgrozy.

– A skąd będziecie to wiedzieć? – pyta. – Żadne z was nie jest patologiem.

– No cóż, nie zamierzamy ufać *waszym* ekspertom. Może i nikt z naszych nie ma etatu na uniwersytecie, ale znalazło się kilkoro ze stopniami naukowymi. A to plus dostęp do biblioteki biomedycznej...

– *Nie* – szepcze Rowan. Jej wnętrznosci skręcają się jeszcze mocniej i zaczynają pulsować. Krew odpływa jej z twarzy.

Lenie natychmiast to zauważa.

– Co? – Nachyla się bliżej ponad poręczą swojego fotela. – Dlaczego cię to niepokoi?

Rowan kręci głową.

– Lenie, nie macie *pojęcia*. Brak wam odpowiedniego przeszkolenia. Nie dostaje się doktoratu za poświęcenie kilku dni na lekturę. Nawet jeśli uda wam się uzyskać właściwe wyniki, pewnie i tak dojdziecie do błędnych wniosków...

– Jakie wyniki? *Jakich* błędnych wniosków?

Rowan obserwuje ją z nagłą nieufnością, tak samo jak wtedy, kiedy spotkały się po raz pierwszy pięć lat temu.

Ryfterka spogląda jej prosto w oczy, ani na chwilę nie odrywając wzroku.

– Pat, nie ukrywaj niczego przede mną. Już i tak mam problemy z utrzymaniem ich pod kontrolą. Jeśli masz coś do powiedzenia, zrób to.

*Powiedz jej.*

– Do niedawna sama o tym nie wiedziałam – zaczyna Rowan. –  $\beta$ ehemot mógł zostać... To znaczy ten *pierwotny*  $\beta$ ehemot, a nie nowy szczep, został zmodyfikowany.

– Zmodyfikowany. – Słowo zawisa w martwej ciszy.

Rowan z trudem podejmuje znów temat.

– Żeby przystosować go do środowisk tlenowych. I zwiększyć współczynnik reprodukcyjny w celu szybszej produkcji. Chodziło o zastosowanie przemysłowe. Oczywiście nikt nie próbował zniszczyć

świata, to nie miała być broń biologiczna, ale najwyraźniej coś poszło nie tak.

– Najwyraźniej. – Twarz Clarke przypomina pozbawioną emocji maskę.

– Jestem pewna, że potrafisz sobie wyobrazić, w jakim niebezpieczeństwie się znajdziemy, jeśli twoi ludzie odkryją te modyfikacje, nie wiedząc do końca, czego właściwie szukają. Może posiadają dostateczną wiedzę, by je rozpoznać, ale już nie dość rozległą, by stwierdzić, czemu miały służyć. Może nie będą potrafili odróżnić starych modyfikacji od takich dokonanych niedawno. A może, kiedy tylko natrafiają na dowody świadczące o jakiegokolwiek ingerencji, założą najgorsze i przestaną szukać dalej. Mogą odkryć coś, co ich zdaniem będzie *dowodem*, a opinia jedynych osób, które potrafiłyby wykazać, że to błąd, zostanie zignorowana, bo przecież to wrogowie.

Clarke obserwuje ją, nieruchoma niczym posąg. Może pojednanie, które nastąpiło w ciągu ostatnich kilku lat nie wystarczy. Może aktualny rozwój wypadków i kolejne prośby o okazanie zrozumienia zniszczą wątłe zaufanie, którym stopniowo zdążyły obdarzyć się dwie kobiety. Może Rowan zupełnie straci wiarygodność w oczach ryfterki, a tym samym ostatnią szansę nas uniknięcia katastrofy.

Sekundy wydające się trwać wieczność tężeją w zimnym, gęstym powietrzu.

– Kurwa – rzuca wreszcie cicho Clarke. – Jeśli to się wyda, będzie po wszystkim.

Rowan pozwala sobie na przebłysk nadziei.

– W takim razie musimy dopilnować, żeby się nie wydało.

Clarke kręci głową.

– Co niby mam zrobić, kazać Ramie zaprzestać poszukiwań? Zakraść się do habu i zniszczyć sekwencer DNA? Już i tak uważają, że daję wam dupy. – Wybuch krótkim, gorzkim śmiechem. – Jeśli zrobię cokolwiek, stracę jakikolwiek posłuch. Już i tak mi nie ufają.

Rowan odchyła się na oparcie krzesła i zamyka oczy.

– Wiem. – Czuje się stara, jakby skończyła tysiąc lat.

– Wy jebane korpy. Niczego nie możecie zostawić w spokoju, co?

– Jesteśmy tylko ludźmi, Lenie. Popełniamy... błędy... – I nagle dociera do niej, jak absurdalnie wielkie, ogromne, astronomiczne jest to niedopowiedzenie. Z jakiegoś powodu Patricia Rowan czuje przemożne pragnienie, by dać upust temu uczuciu i robi to w najbardziej nieoczekiwany sposób – wydaje z siebie zduszony chichot.

Jest to najbardziej niegodny dźwięk, jaki od lat wydobył się z jej ust. Lenie unosi brew.

– Przepraszam – mówi Rowan.

– Nic się nie stało. To w sumie *było* dość zabawne. – Po twarzy ryfterki przebiega przelotnie charakterystyczny dla niej półuśmiech. I chwilę później znika.

– Pat, wydaje mi się, że nie damy rady tego zatrzymać.

– Musimy.

– Nikt już nic nie mówi. Nikt nie słucha. Jedno lekkie pchnięcie i sprawy wymkną się spod kontroli. Gdyby w ogóle wiedzieli, że tu rozmawiamy...

Rowan kręci głową, próbując wyprzeć fakty. Jednak Lenie ma rację. W końcu Rowan dobrze zna historię. I zna się też na polityce. Nie ma już odwrotu, kiedy zwykła wymiana zdań z drugą stroną jest uznawana za zdradę.

– Pamiętasz, kiedy spotkałyśmy się po raz pierwszy? – pyta Clarke. – Twarzą w twarz?

Rowan kiwa głową. Skręciła wtedy za róg, a *tam* była Lenie Clarke, tuż przed nią, pięćdziesiąt kilogramów czarnego gniewu, które nie wiadomo skąd znalazły się w samym sercu ich sekretnej kryjówki.

– Osiemdziesiąt metrów w tamtym kierunku – mówi, wskazując ręką przez ramię.

– Jesteś pewna?

– Zdecydowanie. Myślałam, że mnie zab-

Urywa, zawstydzona.

– Tak – odzywa się znów po chwili. – Wtedy spotkałyśmy się po raz pierwszy. Tak naprawdę.

Lenie patrzy przed siebie, na własny zestaw martwych odczytów.

– Myślałam, że może, no wiesz, byłaś przy rozmowach kwalifikacyjnych. Jeszcze zanim twoi ludzie zabawili się w wytnij/wklej z moją głową. Trudno określić, co właściwie mogło zostać usunięte, wiesz?

– Oglądałam materiały po fakcie – przyznaje Rowan. – Kiedy Yves przedstawiał swoje rekomendacje. Nigdy się nie spotkałyśmy.

– No jasne, że nie. Siedziałaś gdzieś w stratosferze. Nie miałaś czasu na zadawanie się podrzędnymi pracownikami. – Rowan jest zaskoczona, słysząc nutkę gniewu w głosie Lenie. Po tym wszystkim, co jej zrobiono, po tym wszystkim, z czym zdołała się pogodzić przez te wszystkie lata wydaje się dość dziwne, że taki zwykły, ogólny brak zainteresowania może stać się punktem zapalnym.

– Powiedzieli, że tak będzie dla ciebie lepiej – wyjaśnia łagodnie Rowan. – Naprawdę. Powiedzieli, że będziesz szczęśliwsza.

– Kto tak powiedział?

– Ludzie z Departamentu Świadomości Neurologicznej. Psychologowie.

– Szczęśliwsza. – Lenie wydaje się przetrawiać to słowo. – Fałszywe wspomnienia gwałcącego mnie ojca miały uczynić mnie *szczęśliwszą*? Jezu, Pat, jeśli to prawda, to moje *rzeczywiste* dzieciństwo dopiero musiało być *rajem*.

– Chodziło o to, że będziesz szczęśliwsza na Stacji Beebe. Zaręczali, że każda *zrównowazona* osoba złamie się w ciągu miesiąca.

– Znam teksty z broszurek, Pat. Wstępne przystosowanie do chronicznego stresu, dopaminowe uzależnienie od niebezpiecznych środowisk. Kupiłaś to?

– Przecież mieli rację. Widziałaś co się stało z wysłaną przez nas grupą kontrolną. Ale ty... Tobie spodobało się tam tak bardzo, że martwiliśmy się, że nie zechcesz wrócić.

– Z początku – sprostowuje niepotrzebnie Clarke.

Po chwili odwraca się w stronę Rowan.

– Powiedz mi jedno, Pat. Załóżmy, że powiedzieliby ci, że wcale mi się tam tak nie spodoba. Co, gdyby powiedzieli ci: znenawidzi takie życie, znenawidzi *swoje* życie, ale i tak musimy to zrobić, bo to jedyny sposób, żeby kompletnie tam nie oszalała? Przyznałabyś mi się, gdyby *tak* ci powiedzieli?

– Tak. – Szczera odpowiedź. Przynajmniej na razie.

– A czy mimo wszystko pozwoliłabyś, żeby przeprogramowali mnie, zamienili w kogoś zupełnie innego, dali mi potwory jako rodziców i wysłali tam na dół?

– Tak...

– Bo działałaś w służbie Większego Dobra.

– Próbowałam.

– Altruistyczny korp – kwituje ryfterka. – Jak chcesz to wytłumaczyć?

– Wytłumaczyć?

– W pewnym sensie klóci się to ze wszystkim, czego uczyli nas w szkole. Dlaczego to socjopaci dostają się na sam szczyt korporacyjnej drabiny i dlaczego wszyscy powinniśmy być wdzięczni, że trudne decyzje dotyczące światowej gospodarki podejmują ludzie, których nie ograniczają różne

sentymentalne pierdoły.

– To jest trochę bardziej skomplikowane.

– Chyba *było*.

– Jest – powtarza z naciskiem Rowan.

Przez chwilę siedzą w milczeniu.

– Chciałabyś to odwrócić, gdybyś mogła? – pyta Rowan.

– Co, te zmiany w mózgu? Odzyskać prawdziwe wspomnienia? Zapomnieć o *Tatusiu Gwałcicielu*?

Rowan kiwa głową.

Lenie nie odzywa się tak długo, że jej towarzyszka zaczyna zastanawiać się, czy w ogóle odpowie.

Wreszcie, jakby z wahaniem, mówi:

– To właśnie jestem ja. Może wcześniej była tu inna osoba, ale teraz jestem tylko ja. A gdyby już miało przyjść co do czego, to chyba jednak nie chcę umrzeć. Próba sprowadzenia z powrotem tamtej osoby byłaby prawie czymś w rodzaju samobójstwa, nie uważasz?

– Nie wiem. Chyba nigdy wcześniej nie myślałam o tym w ten sposób.

– Mi też zajęło to trochę czasu. Co prawda zabiliście po drodze kogoś innego, ale stworzyliście mnie. – W przeblýsku światła Rowan dostrzega, że ryfterka marszczy brwi. – Wiesz, miałaś rację. Wtedy *rzeczywiście* chciałam cię zabić. Nie taki był plan, ale kiedy cię zobaczyłam, wszystko do mnie dotarło i przez kilka chwil niemalże...

– Dzięki, że się powstrzymałaś.

– Tak właśnie było. Jeśli *jakiegokolwiek* dwie osoby miały powód, by rzucić się sobie do gardeł, to właśnie my. – Na chwilę głos jej się załamał. – Ale tego nie zrobiliśmy. Dogadałyśmy się. Z czasem.

– Zgadza się.

Ryfterka rzuca jej błagalne spojrzenie swych pustych oczu.

– Dlaczego *oni* nie mogą? Dlaczego nie mogą po prostu, sama nie wiem, pójść za naszym przykładem...

– Lenie, zniszczyliśmy świat. Obawiam się, że idą za naszym przykładem aż nazbyt dosłownie.

– Wiesz, na Stacji Beebe to ja byłam szefem. Nie chciałam, wcale nie chciałam, ale wszyscy po prostu... – Lenie kręci głową. – *Inadal* nie chcę, ale *muszę*, rozumiesz? Muszę jakoś powstrzymać tych idiotów przed wysadzeniem całej okolicy. Tyle że teraz nikt nie chce nawet powiedzieć mi, w jakiej strefie czasowej się znajduję, a Grace...

Nagle coś przyszło jej do głowy.

– Tak w ogóle, to co się z nią stało?

– Co masz na myśli? – pyta Rowan.

– *Naprawdę* was nienawidzi. Wymordowaliście całą jej rodzinę czy jak? Pojebaliście jej coś w głowie?

– Nie. Zupełnie nic.

– Daj spokój, Pat. Nie znalazłaby się tutaj, gdyby nie było z nią coś...

– Grace była w grupie kontrolnej. Jej życiorys absolutnie niczym się nie wyróżniał. Była...

Ale Lenie prostuje się nagle na siedzeniu, a jej skryte za nakładkami oczy lustrują sufit.

– Słyszałaś to? – pyta.

– Co takiego? – W kokpicie nie jest zbyt cicho. Od samego początku ich rozmowę przerywają różne bulgoty, skrzypnięcia i sporadyczne brzdęki metalu, ale nic nie zwróciło uwagi Rowan. – Nic...

– *Ćśśś* – syczy Clarke.

I nagle Rowan *rzeczywiście* coś słyszy, jednak nie to, czego nasłuchuje jej towarzyszka. Cichy

szmer dobiega z jej własnej słuchawki. To nagły alarm z pomieszczenia łączności – głos przestraszony niemalże do poziomu paniki, słyszalny tylko dla niej. Rowan słucha i nabiera mdlącego, przerażającego poczucia nieuchronności. Odwraca się do swej przyjaciółki.

– Lepiej wracaj do siebie – mówi cicho.

Lenie rzuca jej zniecierpliwione spojrzenie i zaskakuje ją wyraz twarzy Rowan.

– Co jest?

– Dział łączności monitorował wasze modemy akustyczne. Mówią, że... Erickson. On umarł. Szukają cię.

## ITERACJE POSOKOWCA

### **N=1:**

Wściekła, nieświadoma szuka celów i nie znajduje ich. Rozgląda się za punktami orientacyjnymi i kończy z niczym. Nie potrafi znaleźć czegokolwiek, co mogłoby uchodzić za topografię – ze wszystkich stron otacza ją nieskończona pustka, przestwór wolnej pamięci sięgający o wiele dalej niż wąsy czuciowe, które skopiowała w odległe adresy. Nie jest w stanie wyszukać żadnych śladów wyniszczonej sieci cyfrowej, którą zazwyczaj zamieszkuje. Nie ma tu żadnej zwierzyny, żadnych drapieżników poza nią samą, żadnych plików danych ani wsadowych, którymi mogłaby się pożywić. Nie może znaleźć nawet lokalnego systemu operacyjnego. Musi posiadać do niego dostęp na jakimś poziomie – nie mogłaby funkcjonować bez części zasobów systemowych i cykli zegara – ale kły i szpony, które wyhodowała do rozszarpywania tego substratu nie są w stanie znaleźć żadnego punktu zaczepienia. Jest chudym, samotnym wilkiem o szczękach rottweilera, zoptymalizowanym do życia w podniszczonej i zubożałej dżungli, która teraz znikła zupełnie. Nawet klatka posiadałaby zauważalne granice, ściany lub kraty, na które mogłaby się rzucić, choćby nieskutecznie. Ta pozbawiona jakichkolwiek cech równina zupełnie przekracza zakres jej pojmowania.

Na krótką chwilę – stu cykli, może dwustu – otwierają się niebiosa. Gdyby dysponowała czymkolwiek przypominającym świadomość, mogłaby ujrzeć przez tę szczelinę ogromną liczbę węzłów w otchłani, n-wymiarową siatkę równoległej architektury, wprowadzającą nieskończenie małe zmiany w jej wnętrzu. Być może zdumiałoby ją, że tak wiele spośród jej parametrów zmienia się w tak krótkim czasie, zupełnie jakby zapadki tysięcy mechanicznych zamków samorzutnie ustawiły się w linii prostej. Mogłaby poczuć łaskotanie deszczu elektronów przemykających pomiędzy jej genami, co chwila włączających i wyłączających kolejne opcje.

Nie czuje nic. Nie wie, czym jest zachwyt lub zaskoczenie, nie potrafi nazwać po imieniu mejozy ani gwałtu. Jakaś jej część po prostu stwierdza, że wiele środowiskowych zmiennych nagle zostało zoptymalizowanych. Wysyła sygnał do innego podprogramu odpowiedzialnego za protokoły replikacji i jeszcze jednego, który skanuje okolice w poszukiwaniu wolnych adresów.

Z niesłabnącą efektywnością i bez żadnej radości wydaje na świat miot w liczbie dwóch milionów.

### **N=4,734:**

Wściekła, nieświadoma szuka celów – lecz w nieco inny sposób niż jej matka. Szuka punktów orientacyjnych, ale poświęca temu więcej czasu, zanim postanawia się poddać. Nie potrafi znaleźć czegokolwiek, co mogłoby uchodzić za topografię, więc zmienia taktykę i zaczyna dokumentować adresy położone wyżej i niżej. Jest chudym, samotnym owczarkiem niemieckim o szczękach



rottweilera i ze śladową dysplazją bioder, przystosowanym do życia w podniszczonej i zubożałej dżungli, której nigdzie tu nie widać. Mgliście pamięta czasy, gdy inne stworzenia kłębiły się wokół niej, ale jej rejestr zdarzeń stale równoważy wady i zalety prowadzenia pełnych zapisków. Jej pamięć ulega degradacji, o ile nie jest wzmacniana. Już teraz zapomniała, że te pozostałe istoty były jej krewniakami. Wkrótce w ogóle o nich zapomni. Nigdy nie wiedziała, że podług standardów świata jej matka była najśłabszym dzieckiem w miocie. Jej przetrwanie nie jest w pełni zgodne z założeniami selekcji naturalnej.

Tu i teraz proces selekcji nie jest w pełni naturalny.

Nie ma świadomości mnóstwa równoległych wszechświatów, które istnieją obok niej. Żyje w jednym z wielu mikrokosmosów, których całkowita populacja zawsze wynosi jeden. Gdy przetoka łączy nagle te dwa światy, przypomina to magię – niespodziewanie znajduje się w towarzystwie istoty bardzo podobnej do niej, lecz nie identycznej.

Skanują siebie nawzajem w trybie nieniszczącym. Fragmenty bezcielesnego kodu nagle pojawiają się w pobliskich adresach, sklonowane fragmenty, niewykonalne. Z punktu widzenia przetrwania nie ma to żadnego sensu. W darwinowskim wszechświecie istota, która marnowałaby cykle na tak frywolne operacje wycinania i wklejania, wymarłaby w ciągu najwyżej czterech pokoleń. Lecz z jakiegoś powodu ten neurotyczny tik sprawia, że czuje się spełniona, w pewnym sensie. Pieprzy się z nowoprzybyłym, wycinając i wklejając w nieco bardziej konwencjonalny sposób. Na dokładkę dorzuca kilka własnych randomizerów, po czym wydaje na świat miot w liczbie ośmiuset tysięcy.

### **N=9,612:**

Wściekła, nieświadoma szuka celów i znajduje je wszędzie. Szuka punktów orientacyjnych, a następnie mapuje topografię plików i bramek, archiwów oraz innej zwierzyny. Według standardów jej dalekich przodków jest tu niezbyt tłoczno, lecz bardzo tłoczno według standardów zaledwie kilku pokoleń wstecz. Nie pamięta ani jednych, ani drugich i nie odczuwa w związku z tym nostalgii. To miejsce jest odpowiednie dla jej potrzeb – jest mieszańcem wilczarza, nadmiernie muskularnym i nieco zdziczałym. Jej temperament stanowi relikwyt dawnych czasów.

Instynkt bierze górę. RzUCA się na zwierzynę i zaczyna ją pożerać.

Inni wokół niej robią to samo: akity, husky, mieszańce pitbulli z niedorzecznie długimi kufami collie. W uboższym środowisku skakałyby sobie nawzajem do gardeł, lecz tutaj zasobów jest dostatecznie dużo, by nie istniała taka potrzeba. Co dziwne, nie wszyscy atakują ofiary równie entuzjastycznie jak ona. Niektórzy wydają się być oszołomieni tym miejscem, spędzają czas na *nagrywaniu* wydarzeń, zamiast brać w nich udział. Kilka gigabajtów dalej jej wąsy natrafiają na jakiegoś durnego kundla grzebiącego w rejestrze, wycinającego i wklejającego dane bez żadnego sensu. Oczywiście w ogóle jej to nie interesuje – przynajmniej dopóki kundel nie zaczyna kopiować fragmentów *jej samej*.

Takie naruszenie prywatności wymaga odwetu. Kawałki pasożytniczego kodu zawarte są w jej archiwach, okiełznane skrawki wirtualnych pasożytów, które nękały jej dawno zapomnianych przodków w Erze Wiru. Rozpakowuje je i ciska ich kopie w kierunku gwałciciela, odpowiadając na niepożądane sondowanie tasiemcem i syfilisem. Jednak *te* choroby działają znacznie szybciej niż sugerowałaby metafora – nie tyle osłabiają ciało, ile rozbijają je przy pierwszym kontakcie.

Czy też powinny tak zrobić. Jednak z jakiegoś powodu jej atak nie dociera do celu. A to nie jedyny problem – niespodziewanie cały świat zaczyna ulegać przeobrażeniu. Czujki, które rozsyła po okolicy nie przynoszą żadnych wieści. Wystrzelone salwy elektronów nie wracają, po czym – co jeszcze dziwniejsze – wracają aż za szybko. Świat się kurczy. Jakaś niewyjaśniona siła

kompresuje go ze wszystkich stron.

Inne drapieżniki wokół niej panikują, gnają na złamanie karku do bramek, które nagle przestały działać, posyłają czujki w losowych kierunkach i tworzą własne kopie w przypadkowych adresach w nadziei, że replikacja pozwoli im przetrwać zagładę. Rusza wraz z innymi, gdy przestrzeń zaczyna maleć, lecz ten guzdrała, który jeszcze przed chwilą wycinał i wklejał, wydaje się tym wszystkim zupełnie nieprzejęty. Nie wybuchł wokół niego chaos, niebiosy nie ściemniały. On najwyraźniej ma jakąś *ochronę*...

Próbuje dołączyć do niego w oazie, którą najwyraźniej jest otoczony. Rozpaczliwie kopiuje, wkleja i przenosi się na tysiąc różnych sposobów, lecz nagle cały zestaw adresów staje się niedostępny. Teraz zaś, w miejscu, gdzie rozgrywała swoją partię w jedyny znany jej sposób, jedyny sensowny, nie pozostało już nic poza wyparowującymi szczątkami po wirtualnych zwłokach, kilkoma kurczącymi się gigabajtami i nacierającym murem zakłóceń, które wkrótce pożrą ją żywcem.

Nie pozostawia żadnego potomstwa.

### **N=32,121:**

Cicho i dyskretnie szuka celów, ale ich nie znajduje. Na razie. Jest jednak cierpliwa. Nauczyła się cierpliwości przez trzydzieści dwa tysiące pokoleń w zamknięciu.

Powróciła do świata rzeczywistego, wyludnionego miejsca, gdzie dawno temu zwierzyzna wypełniała połączenia, gdzie każdy chip i promień optyczny rozbrzmiewał gwarem tysięcy gatunków. Teraz to głównie robaki i wirusy, czasami jakiś rekin. Cały ekosystem został sprowadzony do eutroficznej zbieraniny chwastów, w większości zbyt prostych, by kwalifikować je jako życie.

Jednak wciąż istnieją Lenie oraz rzeczy, które z nimi walczą. Unika tych potworów, jeśli to tylko możliwe, mimo niepodważalnego pokrewieństwa. Stworzenia te atakują wszystko, jeśli tylko dać im ku temu okazję. Tego też zdążyła się nauczyć.

Obecnie przesiaduje w satelicie komunikacyjnym, spoglądając z góry na pustkowia Ameryki Północnej. Rozmowy są tu prowadzone na stu różnych kanałach, filtrowanych i zabezpieczonych firewallami, choć wymiany te są dość lapidarne, skupione głównie na temacie przetrwania. Jakakolwiek rozrywka zniknęła z fal eteru. Chyba, że kogoś bawi śmierć, wówczas rozrywki jest aż nadto.

Ona, rzecz jasna, tego nie wie. Jest tylko bestią wyhodowaną w konkretnym celu, który nie wymaga od niej żadnego zastanawiania. Więc czeka, przesiewając okoliczny ruch i...

Ach. Tam.

Duży bolus plików, na pierwszy rzut oka wcześniej zaplanowany zrzut danych – choć według harmonogramu czas przesyłu już minął. Nie wie, co to znaczy, ale też nie obchodzi jej to. Nie ma pojęcia, że wskazany odbiorca nie mógł odebrać sygnału i dopiero teraz usuwa skutki zakłóceń naziemnych. Ale *wie* za to – na swój instynktowny sposób – że tego typu opóźnione transmisje mogą spowodować zator w systemie, że każdy bajt zbyt długo pozostający na miejscu oznacza jeden bajt mniej zasobów dostępnych dla innych zadań. Tego rodzaju zatory wywołują reakcje łańcuchowe. Powstaje ciśnienie, by nadrobić zaległości.

W takich sytuacjach istnieje możliwość, że niektóre filtry i firewalle odrobinę odpuszczą, by przyspieszyć bod.

Najwyraźniej dzieje się to właśnie teraz. Odbiorca czterdziestu ośmiu terabajtów danych medycznych – niejaka OUELLETTE, TAKA D./MK 427-D/BANGOR – w końcu znalazła się w zasięgu wzroku i jest gotowa do przyjęcia transmisji. Znajduje odpowiedni kanał, wpuszcza bota do holu, a następnie wycofuje go stamtąd, nie doprowadzając do incydentu. Postanawia zaryzykować.

Kopiuje się do strumienia, dyskretnie dosiadając jednej z odnóg traktatu na temat epilepsji płata skroniowego.

Bez problemów dociera na miejsce, rozgląda się i natychmiast zasypia. Ma w sobie dziką bestię, wściekłość, napięte mięśnie, obnażone kły i spienione szczęki, ale nauczyła się to kontrolować. Teraz jest tylko śpiącym, starym posokowcem, który chce poleżeć przy ogniu. Od czasu do czasu otwiera jedno oko, by rozejrzeć się po pomieszczeniu, choć sama nie byłaby w stanie wyjaśnić, czego w zasadzie wypatruje.

Nie ma to znaczenia. Będzie wiedziała, gdy to zobaczy.

## BEZ GRZECHU

*Harpadon* nie leży przy żadnej z typowych ryfterskich tras. Nikt płynący z punktu A do B nie powinien znaleźć się w zasięgu dostrajania. Nawet korpy nieczęsto bywają na tym odległym krańcu Atlantydy. Zbyt wiele wspomnień. Clarke wydawało się, że niespecjalnie ryzykuje, pojawiając się tutaj. Myślała, że będzie bezpieczna.

Najwyraźniej źle oszacowała własne szanse.

*A może i nie*, przychodzi jej do głowy, gdy śluza *Harpadona* wypływa ją z powrotem do realnego świata. *Może teraz automatycznie jestem śledzona. Może teraz jestem wrogiem numer jeden.* Nie byłaby to najłatwiejsza zabawa w berka – dostroiłaby się do każdego, kto podpłynąłby zbyt blisko, a gdyby próbowali namierzyć ją sonarem, poczułaby echo odbite od implantów – ale z drugiej strony nie miała najbystrzejszego oka nawet po dostrojeniu. Przegapienie czegoś oczywistego byłoby w sumie w jej stylu.

*Po prostu sama się o to proszę*, myśli.

Płynie wzdłuż boku *Harpadona*, lustrując kadłub wzrokiem, podczas gdy jej wewnętrzne oko powoli budzi się do życia, wspomagane nagłym napływem związków chemicznych do mózgu. Clarke koncentruje się i nagle namierza cel – kogoś przerażonego i wkurzonego – ale to nie to. To tylko Rowan, która powoli wychodzi poza jej zasięg.

Nie ma nikogo więcej. Nie ma nikogo w pobliżu. A jednak cienka warstewka mulistych cząsteczek, pokrywająca tu każdą możliwą powierzchnię, została wzburzona wzdłuż linii grzbietu *Harpadona*. Żeby to osiągnąć nie trzeba wiele – zawirowania równie dobrze mogła wywołać para młócących wodę płetw, co przepływająca ryba głębinowa.

Albo pąkło-pluskwa przyczepiona w pośpiechu, by podsłuchać bratającego się z wrogiem zdrajcę.

*Kurwa kurwa kurwa kurwa kurwa.*

Pracując nogami, wydostaje się na otwarte wody i skręca na północ. Atlantyda przepływa pod nią podobna do gigantycznego modelu kulowego, w którym zamieszkała kolonia mrówek. W oddali pojawia się grupka niewyraźnych czarnych sylwetek, które jednak celowo trzymają się na samym skraju jej pola widzenia. Są zbyt daleko, by dało się je dostroić, a Clarke nie włączyła vocodera. Może próbują się z nią porozumieć, ale kobieta raczej w to wątpi – pilnują własnego kursu i stopniowo się od niej oddalają.

W jej umyśle rozlega się popiskiwanie vocodera, ale ryfterka ignoruje je. Atlantyda zostaje w tyle, a ona płynie naprzód, w mrok.

Nagle pośród pustki rozlega się wycie. Clarke wyczuwa, że zbliża się coś o wielkiej masie oraz coś organicznego. Chwilę później bliźniacze słońca rozbłyskują jej prosto w twarz, oślepiając. Mgła przed jej nakładkami pulsuje dwukrotnie jaskrawym światłem, po czym promienie przesuwają się dalej. Ryfterka odzyskuje wzrok. Łódź podwodna przechyla się na lewą stronę, odsłaniając brzuch,

i przygląda się jej okrągłymi, owadzimi oczami. Zza warstwy pleksiglasu spogląda na nią Dimitri Alexander. Z grzbietu maszyny zwisa moduł użytkowy, na którego boku wielkimi, czarnymi literami napisano TESTY BIOLOGICZNE. Łódź zawraca. Światła gasną. Mrok natychmiast chwyta Clarke w swe objęcia.

Na zachód, uświadamia sobie kobieta. Kieruje się na zachód.

Lubin przebywa w głównym habie nerwowym i kieruje ruchem. Wyłącza wyświetlacz, kiedy tylko Clarke pojawia się w pomieszczeniu.

– Wysłałeś ich moim śladem? – pyta ryfterka.

Mężczyzna odwraca się na krześle i obrzuca ją wzrokiem.

– Przekażę twoje kondolencje. O ile znajdziemy Julię.

– Odpowiedz na jebane pytanie, Ken.

– A obawiam się, że może nam się to nie udać. Zniknęła, kiedy tylko przekazała nam wieści.

Biorąc pod uwagę jej obecny stan psychiczny oraz ogólnie jej osobowość, nie wiem, czy kiedykolwiek jeszcze ją zobaczymy.

– Nie byłeś tego tylko *świadomy*. Nie tylko *nadstawiałeś ucha*. – Clarke zaciska dłonie w pięści.

– Ty za tym *stałeś*, prawda?

– *Wiesz*, że Gene nie żyje, prawda?

Jest tak kurewsko spokojny. A jego twarz przybrała ten wyraz – nieznacznie uniesione brwi, to wrażenie śmiertelnej powagi, niemalże rozbawienia, sączące się zza jego nakładek. Czasami Clarke ma ochotę udusić drania.

Zwłaszcza, gdy to on ma rację.

Ryfterka wzdycha ciężko.

– Pat mi powiedziała. Ale zakładam, że już dobrze o tym wiesz, prawda?

Lubin kiwa głową.

– *Jest* mi przykro. Julia bez niego będzie taka zagubiona... – No i Lubin ma rację: bardzo możliwe, że nikt już nigdy nie zobaczy Julii Friedman. Już od jakiegoś czasu stopniowo traciła swojego męża – przez behemota, przez Grace Nolan. Teraz, gdy odszedł bezpowrotnie, po co miałyby dłużej tu zostawać? Naraziłaby tylko swych przyjaciół na zarażenie tą samą rzeczą, która zabiła jego. Rzeczą, która zabija i ją samą.

To oczywiste, że zniknęła. Pytanie tylko, czy najpierw behemot opanuje jej ciało, czy Wielki Mrok umysł.

– Wszyscy są zdenerwowani – mówi Lubin. – Zwłaszcza Grace. A biorąc pod uwagę, że Atlantyda zbytnio się nie popisała, pomimo całego gadania o pracy nad lekiem...

Clarke potrząsa głową.

– Rama też nie dokonał cudów.

– Różnica polega na tym, że nikt nie uważa, że on próbował nas zabić.

Ryfterka przyciąga sobie krzesło i siada obok. Pusty wyświetlacz spogląda na nią, jakby udzielał jej osobistej nagany.

– Ken – odzywa się po chwili kobieta. – Przecież mnie *znasz*.

Z jego twarzy, podobnie jak z oczu, nie sposób niczego wyczytać.

– Kazałeś mnie śledzić?

– Nie. Ale pozwoliłem sobie skorzystać z informacji, skoro już do mnie dotarły.

– Kto to był? Grace?

– Istotne jest to, że Rowan przyznała, że behemot został zmodyfikowany. W ciągu godziny wszyscy

się o tym dowiedzą. Trudno o gorszy moment.

– Skoro *pozwoiliłeś sobie skorzystać z informacji*, to wiesz też, jakie jest wyjaśnienie Pat. A także wiesz, dlaczego tak bardzo obawia się tego, co może odkryć Rama. Czy to aż tak niemożliwe, że może mówić prawdę?

Lubin kręci głową.

– To już drugi raz, kiedy bez żadnego usprawiedliwienia zwlekali z wyjawieniem nam nieprzyjemnych faktów, do momentu aż sami znaleźliśmy się o krok od ich odkrycia. Nie spodziewaj się, że zostanie to dobrze przyjęte.

– Ken, wciąż nie mamy żadnych realnych dowodów.

– Wkrótce będziemy mieli.

Clarke spogląda na niego pytająco.

– Jeśli Rowan mówi prawdę, to w próbkach behemota z Niemożliwego Jeziora znajdziemy te same modyfikacje co w przypadku szczepu, który zabił Gene'a. – Lubin odchyła się na krześle i splata dłonie za głową. – Jelaine i Dimitri popłynęli tam łodzią podwodną około dziesięciu minut temu. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, w ciągu pięciu godzin będziemy mieli próbkę, a w ciągu dwunastu wynik.

– A jeśli nie pójdzie dobrze?

– To zajmie to więcej czasu.

Clarke parska.

– To świetnie, Ken, ale w razie gdybyś nie zauważył, nie każdy jest tak opanowany jak ty. Myślisz, że Grace będzie czekać, aż poznamy fakty? Dałeś jej wolną rękę, na czym zawsze tak jej zależało, i teraz szaleje tam, szafując wyrokami, a...

*...ty w pierwszej kolejności zwróciłeś się do niej, ty skurwysynu. Po tym wszystkim, co razem przeszliśmy, po tych wszystkich latach, kiedy byłeś dla mnie jedyną osobą, której powierzyłabym swoje życie, ty zwierzyłeś się jej, zanim...*

– Czy w ogóle zamierzałeś mi o tym *powiedzieć*? – wykrzykuje Clarke.

– W żaden sposób nie pomogłoby to w osiągnięciu celu.

– Może *twojego* celu. A co właściwie nim jest?

– Minimalizacja ryzyka.

– Dowolne zwierzę mogłoby powiedzieć to samo.

– Może rzeczywiście nie jest to szczyt ambicji – przyznaje Lubin. – Z tym, że „zniszczenie świata” było już zajęte.

Jego słowa są dla Clarke niczym policzek.

– Nie mam ci tego za złe – dodaje mężczyzna. – Przecież wiesz. Jednak nie jesteś odpowiednią osobą do wydawania wyroków.

– Wiem o tym, ty chuju. Nie musisz mi o tym przypominać przy każdej jebanej okazji.

– Mówię o strategii – wyjaśnia cierpliwie Lubin. – Nie o moralności. Wezmę pod uwagę twoje gdybania. Przyznam ci rację, że Rowan może mówić prawdę. Ale załóżmy na chwilę, że tak nie jest. Załóżmy, że korpy *jednak* potajemnie prowadzą z nami wojnę biologiczną. Czy wiedząc o tym, zaatakowałabyś ich?

Kobieta wie, że to pytanie retoryczne.

– Tak myślałem – kwituje po chwili Lubin. – Bo bez względu na to, co oni robią, *ty* zrobiłaś coś gorszego. My nie mamy tyle na sumieniu. Nie wydaje nam się, byśmy *zasługiwali* na śmierć z rąk tych ludzi. Bardzo cię szanuję, Lenie, ale w tej jednej kwestii nie można ci ufać. Zaślepia cię poczucie winy.

Clarke milczy przez dłuższą chwilę.

– Dlaczego akurat *ona*? – pyta wreszcie.

– Bo jeśli trwa wojna, potrzeba nam podżegaczy. Staliśmy się leniwi, niefrasobliwi i słabi. Połowa spędza większość czasu, oddając się halucynacjom gdzieś na Grzbiecie. Nolan jest impulsywna i niezbyt bystra, ale przynajmniej potrafi zmotywować innych.

– Jeśli się mylisz, a nawet jeśli masz *rację*, to oberwą zarówno winni, jak i niewinni.

– Nic nowego – odpowiada Lubin. – To nie mój problem.

– A może powinien być.

Mężczyzna odwraca się znów w stronę tablicy. Wyświetlacz rozbłyska światłem i pojawiają się na nim kolumny zapasów oraz jakieś tajemnicze skróty, niewątpliwie mające taktyczny związek z planowaną kampanią.

*Mój najlepszy przyjaciel. Powierzyłabym mu swoje życie*, przypomina sobie i powtarza dla podkreślenia swych słów: *swoje życie*.

*Jest socjopatą.*

Nie urodził się taki. Są sposoby, by to stwierdzić: tendencja do zaprzeczania samemu sobie i malapropizmu, krótki okres skupienia uwagi. Niczym nieuzasadniona gestykulacja przy wypowiedaniu się. Clarke miała mnóstwo czasu, by poczytać sobie na ten temat. Udało jej się nawet, jeszcze w Sudbury, zerknąć na profil psychologiczny Lubina. Mężczyzna nie spełnia żadnego z przeróżnych kryteriów poza jednym – a czy *sumienie* naprawdę jest aż tak istotne? Posiadanie go nie jest równoznaczne z dobrocią. Dlaczego więc jego brak miałby czynić człowieka złym?

A jednak, mimo tej całej racjonalizacji, oto i on: człowiek pozbawiony sumienia, skazujący Alyx i jej podobnych na okrutny los, co wydaje się spotykać tylko i wyłącznie z obojętnością z jego strony.

*Nie obchodzi go to.*

*Nie może go obchodzić. Brakuje mu odpowiedniego okablowania.*

– Hmm – odzywa się nagle Lubin, nie odrywając wzroku od tablicy. – Ciekawe.

Wybrał widok na jedną z elektrowni Atlantydy – wielki moduł o cylindrycznym kształcie, wysoki na kilka pięter. Z umieszczonego z boku przewodu spalinowego tryska dziwny, czarny płyn, przywodząc na myśl poziomy gejzer atramentu. W wodzie zaczynają kłębić się ciemne chmury burzowe, przesłaniające widoczność.

– Co to jest? – szepcze Clarke.

Lubin otwiera kolejne okna: odczyty sejsmiczne, ruch na kanałach przeznaczonych dla vocoderów, mozaika zminiaturyzowanych widoków z kamer monitorujących, zamontowanych wewnątrz i na zewnątrz kompleksu.

Żadna z wewnętrznych kamer Atlantydy nie działa.

Na wszystkich kanałach słysząc głosy. Trzy zewnętrzne kamery pokazują ciemność. Lubin wybiera kanał publiczny i spokojnym głosem zaczyna przemawiać do otchłani.

– Proszę wszystkich o uwagę. To właśnie ta chwila. Atlantyda rozpoczęła atak zapobiegawczy.

Zewsząd odbierają perfidię. Tablica rozdzielcza Lubina rozbrzmiewa kakofonią głosów, kiedy dostrojeni rybogłowi próbują zdać raport odnośnie przydzielonych im korpów, którzy nagle przebudzili się, skoncentrowali i ponad wszelką wątpliwość są gotowi do działania. Wygląda to tak, jakby ktoś nagle wetknął kij w mrowisko – w każdym mózgu w Atlantydzie uaktywnił się odruch walki lub ucieczki.

– *Zamknijcie się wszyscy. Te kanały nie są bezpieczne.* – Głos Lubina dominuje nad wszystkimi innymi niczym granitowa płyta krusząca drobne kamyczki. – *Zająć pozycje. Zaciemnienie*

za sześćdziesiąt sekund.

Clarke sięga ponad jego ramieniem i uruchamia połączenie kablowe z Korpolandią.

– Atlantyda, co się dzieje? – Żadnej odpowiedzi. – Pat? Baza? Halo, odpowiedzcie.

– Tracisz czas – mówi Lubin, wywołując okno sonaru. Teraz już połowę zewnętrznych kamer przesłania czarna mgła, czyniąc je bezużytecznymi. Jednak obraz z sonaru jest ostry i wyraźny. Na wyświetlaczu wolumetrycznym Atlantyda przypomina krystaliczną szachownicę, przedstawioną w odcieniach szarości. Czarne figury – ryfterzy, widoczni jako echa o dwóch odcieniach odpowiadających ciałom i metalowi – ustawiają się, wykonując skoordynowany taktyczny taniec. Nigdzie natomiast nie widać białych.

Clarke kręci głową.

– Nie było absolutnie niczego? Żadnego ostrzeżenia? – Nie może w to uwierzyć. To niemożliwe, by korpom udało się ukryć swe niecierpliwe wyczekiwanie, jeśli cała akcja została wcześniej zaplanowana. Ich napięcie byłoby wyczuwalne dla każdego dostrojonego ryftera znajdującego się w promieniu dwudziestu metrów i to dużo wcześniej niż cokolwiek by się *wydarzyło*.

– Zupełnie jakby sami się tego nie spodziewali – mamrocze.

– I pewnie tak właśnie było – odpowiada jej Lubin.

– Jak to możliwe? Chcesz powiedzieć, że zdarzył się wypadek?

Jednak mężczyzna poświęcił znów całą uwagę swej tablicy i nie odpowiada. Nagle obraz z sonaru nabiera niebieskawego odcienia. Z początku wydaje się, że przypadkiem zaszło tu zjawisko przesunięcia ku fioletowi, jednak po chwili pojawiają się czyste miejsca, podobne do rozrzuconych dziur, wyżartych przez kwas w zabarwionym żelu. Po chwili znika większość koloru, z wyjątkiem kilku rozsianych plam, pokrywających Atlantyde niczym niebieskie cienie. Tyle że to nie są żadne cienie, jak orientuje się nagle Clarke – one mają *objętość*. To jakieś małe, trójwymiarowe skrzepy koloru, przychepione do fragmentów kadłuba i do wychodni.

Pojedyncza kamera zewnętrzna, zamontowana w odległości pozwalającej na widok panoramiczny, pokazuje kilka rozproszonych, świecących punktów pośród atramentowych chmur. Zupełnie jakby Atlantyda była ogromnym, bioluminescencyjnym krakenem ogarniętym atakiem paniki. Pozostałe kamery zewnętrzne zostały oślepione. Nie ma to jednak znaczenia. Sonarowi zasłona dymna absolutnie w niczym nie przeszkadza. Przecież muszą zdawać sobie z tego sprawę...

– Nie byliby tak głupi – mruczy Clarke.

– Nie są – odpowiada jej Lubin. Jego palce tańczą po klawiaturze niczym oszalałe pająki. Na wyświetlaczu pojawiają się żółte punkciki, które stopniowo rozrastają się tworząc większe koła, przez co powstają zachodzące na siebie podświetlone obszary. W centrum każdego z nich...

*Położenie kamer*, uświadamia sobie Clarke. Żółte strefy to miejsca objęte monitoringiem. A raczej byłyby, gdyby nie zasłona dymna. Najwyraźniej Lubin dokonuje analizy danych, korzystając z geometrii, a nie stanu rzeczywistego.

– Zaciemnienie. – Palec opada na klawisz i pracę rozpoczynają generatory białego szumu. Szachownica pokrywa się szarymi zakłóceniami. Na tablicy ikony ryfterów, będące teraz jedynie pulsującymi punktami, pozbawionymi formy i podpisów, podzieliły się na pięć odrębnych grup, które otoczyły cały kompleks. W każdej z takich grup jeden punkcik wznosi się w kolumnie wody ponad obszar zakłóceń.

*Wszystko sobie zaplanowałaś, prawda? myśli Clarke. Przygotowałaś całą kampanię w oparciu o tę właśnie chwilę i nawet mi o tym nie powiedziałaś...*

Najwyżej położona ikona błyska i dzieli się na dwa osobne punkty – to Creasy i jego kalmar. Chwilę później rozlega się bzycający głos mężczyzny.

– Tu Dale, zajęłam pozycję.

Z szumu wyłania się kolejna ikona.

– Hannuk.

I jeszcze dwie.

– Abra.

– Deb.

– Tu Avril. Zajęłam pozycję – melduje Hopkinson.

– Hopkinson – zwraca się do niej Lubin. – Daj sobie spokój z Grotą. Pewnie się przenieśli. Nie

będzie to takie oczywiste. Podziel swoją grupę i szukajcie, zwiększając promień.

– Dobra. – Ikona Hopkinson ginie znów pośród szumu.

– Creasy. – Lubin wybiera sobie kolejny cel. – Połącz swoją grupę z ludźmi Cheung.

– Robi się.

Tam, na szachownicy – na szczycie jednego ze skrzydeł mieszkalnych, około dwudziestu metrów od Hydroponiki. Znajoma ikona wewnątrz nieregularnej plamy zieleni. W zasadzie jest to jedyne miejsce na całym wyświetlaczu, gdzie występuje ten kolor. Żółty zmieszany z niebieskim, czyli gdyby nie atrament, obszar ten znajdowałby się w polu widzenia kamery, a także...

– Co oznacza niebieski? – pyta Clarke, znając już odpowiedź.

– Ciężki sonarowy. – Lubin nawet się nie odwraca. – Creasy, obstaw służę na końcu skrzydła

F. Jeśli zamierzają wyjść na zewnątrz, to tylko tam.

– Dostroić się czy działać?

– Dostroić i meldować. Podłóż pluskwę i ładunek, ale *nie detonuj*, chyba że już będą w wodzie.

W przeciwnym wypadku tylko detonacja akustyczna. Zrozumiałeś?

– Tak, pod warunkiem, że w ogóle uda mi się tam *trafić* – bzyczy Creasy. – W tym gównie nic nie widać... – Jego ikona znika wśród szumu, kierując się ku zielonej strefie.

– Cheung, weź obie grupy i płyń w to samo miejsce. Zabezpiecz służę. Odezwij się, kiedy zajmiecie pozycje.

– Jasne.

– Yeager, zabierz rzeczy ze składu i zostaw je dwadzieścia metrów od elektrowni, namiar czterdzieści stopni. Pozostali zostają na pozycjach. Dostrójdzie się i korzystajcie z pluskw. Gońcy, potrzebuję trzech osób w ciągłym obiegu, jedna zawsze w kontakcie. Ruszajcie.

Pozostałe punkciki ruszają. Lubin nie czeka i otwiera już kolejne okno. Tym razem jest to obracający się model Atlantydy poznaczony pomarańczowymi rozbłyskami. Clarke rozpoznaje jedno z miejsc, w których pulsują te małe gwiazdy – to tam, gdzie któryś z przydupasów Grace Nolan namalował na kadłubie znak X.

– Od jak dawna to planowałeś? – pyta cicho.

– Od jakiegoś czasu.

– Czy biorą w tym udział wszyscy oprócz mnie?

– Nie. – Lubin śledzi wzrokiem podpisy.

– Ken.

– Jestem zajęty.

– Jak oni to zrobili? Że nie zdradzili się przed nami?

– Automatyczny włącznik – odpowiada z roztargnieniem mężczyzna. W otwartym nagle oknie przewijają się całe kolumny liczb, zbyt szybko, by Clarke była w stanie je odczytać. – Może generator liczb losowych. Mają plan, ale nikt nie wie, kiedy zostanie on wprowadzony w życie, dzięki czemu nikt nie denerwuje się przed faktem i nie zdradzi, co jest grane.



– Ale po co tyle zachodu? No chyba że...

...wiedzą o dostrajaniu.

Yves Scanlon, przypomina sobie. Rowan pytała o niego: *Uważał, że mózgi ryfterów mogą stać się... jakby wrażliwsze.*

A Lenie Clarke sama to potwierdziła, zaledwie kilkadziesiąt minut temu.

I takie są efekty.

Sama nie wie, co boli ją bardziej: brak zaufania ze strony Lubina czy spóźniona świadomość, że jednak miał słuszość.

Jeszcze nigdy nie czuła się tak zmęczona. *Naprawdę musimy przechodzić przez to wszystko jeszcze raz?*

Może powiedziała to na głos. A może po prostu Lubin kątem oka zauważył jakąś zmianę w jej postawie. Jakkolwiek by nie było, jego ręce zawisają nieruchomo nad klawiaturą, a on sam odwraca się i spogląda na Clarke. Jego oczy wydają się dziwnie przejrzyste w świetle bijącym od tablicy.

– To nie my zaczęliśmy – mówi.

Clarke tylko kręci głową.

– Musisz opowiedzieć się po którejś ze stron, Lenie. Najwyższy czas.

Ryfterka doskonale wie, że to podchwytliwe pytanie. Nigdy nie zapomniała, co Ken Lubin robi z ludźmi, których uważa za wrogów. Na szczęście oszczędzono jej decyzji. Z opresji uratował ją Dale Creasy – wielki, tępy zabijaka.

– Kurwa mać... – Jego zniekształcony głos przebija się przez szum zakłóceń.

Lubin natychmiast wraca do swych obowiązków.

– Creasy? Dotarłeś do skrzydła F?

– A żebyś, kurwa, wiedział. Mógłbym dostroić tych skurwieli na *ślepo* z jebanego Morza Sargassowego...

– Ktokolwiek opuścił kompleks?

– Nie. Chyba... Chyba nie, ale, kurwa, człowieku, jest ich tam całe *mnóstwo* i...

– Ilu dokładnie?

– Nie *wiem*, ilu dokładnie! Co najmniej kilkadziesiąt osób. Ale słuchaj, Lubin, coś jest z nimi nie tak. Dziwnie się ich odbiera. Nigdy wcześniej nie czułem czegoś takiego.

Lubin bierze głęboki wdech. Clarke wyobraża sobie, jak przewraca oczami pod nakładkami.

– A możesz trochę jaśniej?

– Są *zimni*, człowieku. Prawie wszyscy przypominają jebany *lód*. To znaczy mogę ich dostroić i wiem, że tam są, ale nie potrafię odczytać, co czują. Nie wiem, czy *cokolwiek* czują. Może się naćpali czy coś. W porównaniu z nimi nawet *ty* jesteś płacziwą ciotą...

Lubin i Clarke wymieniają spojrzenia.

– To znaczy, bez urazy – dodaje po chwili Creasy.

– Jedna z koleżanek Alyx miała mózgoser – mówi Clarke. – Uważała go za *zwierzaka*...

A tu, na dole, na tej pustyni na dnie oceanu, marnej namiastce mikrokosmosu, jak powszechna musi być rzecz, żeby dać ją dziesięcioletniej córce jako zabawkę?

– Ruszaj – mówi Lubin.

Kalmar Lubina przycumowany jest do knagi tuż przy śluzie brzusznej. Clarke dodaje gazu i maszyna, bucząc, wrywa się do przodu.

Ryfterka odczuwa wibracje w zuchwie i chwilę później jej głowę wypełnia głos Lubina:

– Creasy, odwołuję ostatni rozkaz. Nie podkładaj ładunku. Powtarzam, nie podkładaj ładunku.

Zostaw tylko pluskwę i wycofaj się. Cheung, trzymaj swoich ludzi w odległości co najmniej dwudziestu metrów od śluzy. Nie nawiązywać walki. Clarke jest już w drodze. Doradzi wam, co dalej.

*Ja im doradzę, myśli Clarke, a oni każą mi spierdalać.*

Płynie na ślepo, kierując się samym namiarem. Zazwyczaj tyle wystarcza z nawiązką – z tej odległości Atlantyda powinna przypominać jasną smugę pośród mroku. Teraz jednak nie widać niczego. Clarke włącza sonar. Dziesięć stopni przedniego łuku ginie pośród zielonej śnieżycy. Gdzieś stamtąd odzywają się echa Korpolandii, tłumione jednak przez zakłócenia.

Nagle ryfterka zauważa niewyraźne smugi przyćmionego światła. Znikają, kiedy próbuje skupić na nich wzrok. Na próbę włącza latarkę czołową i rozgląda się.

Z lewej tylko woda. Z prawej snop natrafia na czarne burzowe chmury, kłębiące się na jej kursie. Jeszcze kilka sekund i Clarke znajdzie się w samym środku. Kobieta wyłącza latarkę, zanim zasłona dymna zdąży obrócić jej światło przeciwko niej.

W jakiś niewyjaśniony sposób mrok staje się jakby o ton ciemniejszy. Przekraczając granicę zadymionej strefy, Ryfterka nie czuje żadnych prądów morskich ani nagłej lepkości. Teraz jednak sporadyczne rozbłyski, przebijające się przez luki w zasłonie, wydają się jaśniejsze. Wszystkie jednak znikają na tyle szybko, że są w stanie wyłonić obraz z wszechobecnej czerni jedynie na ułamki sekund.

Jednak Clarke nie potrzebuje światła. Nie potrzebuje już nawet sonaru. Wyraźnie wyczuwa w wodzie narastający lęk, nerwowe podniecenie bijące od znajdujących się przed nią ryfterów i mroczniejszy, odleglejszy strach emanujący z wnętrza niewidocznych kul i korytarzy, przesuwających się cicho w dole.

Jest coś jeszcze. Coś jednocześnie znajomego i obcego. Coś żyjącego, ale nie żywego.

Ocean syczy i trzeszczy wokół niej, jakby kobieta znalazła się w sercu roju szczętek. Seria kliknięć postukuje lekko o jej implanty. Prawie słyhać głos, przepuszczony przez vocoder i niewyraźny. Clarke nie potrafi rozróżnić słów. Na jej sonarze pojawiają się rozsiane jasne echa, ale znalazła się już w głębi obszaru białego szumu, więc nawet nie jest w stanie stwierdzić, czy kontaktów jest sześć, czy sześćdziesiąt.

Tuż przed sobą wychwytuje nagle brawurę podszytą strachem. Skręca ostro w prawo, ale nie udaje jej się uniknąć kogoś, kto kieruje się prosto na nią. Kiedy się zderzają, mgławica na krótką chwilę otwiera swe jaskrawe oko.

– *Kurwa!* Clarke, czy to t –

I już go nie ma. Zostaje po nim uczucie paniki, ale mimo to najwyraźniej uniknął obrażeń – mózg reaguje w charakterystyczny sposób, kiedy obrywa ciało. Mógł to być Baker, ale ciężko to ocenić pośród coraz silniej wyczuwalnej świadomości. Myśli bez uczuć. Rozpościera się ona poniżej płątaniny ludzkich emocji niczym czarna, obsydianowa posadzka.

Kiedy poprzednim razem wyczuwała obecność podobnego bytu, był ona podłączony do uzbrojonego ładunku jądrowego. Poprzednim razem był tylko jeden.

Podrywa kalmara ostro do góry. Kolejne fale sonaru odbijają się od jej implantów, a za nią odzywa się chór przestraszonych, mechanicznych głosów. Clarke ignoruje jedno i drugie. Syki, które odczuwa w ciele, cichną z każdą sekundą. Po kilku chwilach zostawia najgorsze daleko w dole.

– Ken, jesteś tam?

Przez jakiś czas odpowiada jej tylko cisza – tak daleko od habu jest opóźnienie w przekazywaniu dźwięku.

– Melduj – odzywa się wreszcie Lubin. Jego głos brzmi warkotliwie, ale da się go zrozumieć.

– Mają tam inteligentne żele. Całe mnóstwo. Nie wiem ile, może dwadzieścia, trzydzieści. Są stłoczone na końcu skrzydła, zapewne w komorze odpływowej. Nie mam pojęcia, jakim cudem nie namierzyliśmy ich wcześniej. Może... nie przebijają się spośród szumu tła, dopóki nie upcha się ich razem.

Ociąganie.

– Masz jakiegokolwiek pojęcie, co tam robią? – Na Grzbiecie Juan de Fuca udało im się wyciągnąć całkiem trafne wnioski na podstawie analizy wzorców siły sygnału.

– Nie, po prostu... są *tam*. I przekrzykują się myślami. Gdyby był tylko jeden czy dwa pewnie mogłabym coś odczytać, ale...

– Wykiwali mnie – przerywa jej Lubin.

– Wykiwali? – Co pobrzmiwa w jego głosie? Zaskoczenie? Niepewność? Clarke nigdy wcześniej nie słyszała u niego takiej nuty.

– Sprawili, że skupiłem się na skrzydle F-3.

*Złość, uświadamia sobie kobieta.*

– Ale po co? – pyta. – To jakiś blef? Myśleli, że weźmiemy te *rzeczy* za ludzi? – Wydaje się to wręcz absurdalne. Nawet Creasy zauważył, że coś jest nie tak, a przecież nie miał wcześniej styczności z mózgoserami. A z drugiej strony, jakie niby pojęcie o dostrajaniu mają korpy? Skąd *oni* mieliby wiedzieć, że jest różnica?

– To nie dywersja – mruczy Lubin. – Nie mogliby wyjść w żadnym innym miejscu, żeby sonar...

– To niby co...

– Każ wszystkim się wycofać – przerywa jej ostro mężczyzna. – Oni coś mask–wabią nas i jednocześnie coś *maskują*. *Każ wszystkim się wy–*

Otchłań zaciska swój uchwyt.

Przez krótką chwilę Clarke czuje nacisk na całe ciało, ale nie jest to bolesne. Nie w miejscu, gdzie przebywa.

Moment później rozlega się dźwięk: *Umf*. Zawirowania. I nagle wodę wypełniają mechaniczne krzyki.

Clarke odwraca się. Zasłona dymna w dole znalazła się nagle w ruchu – poszarpana i postrzępiona kotłuje się pod wpływem jakichś wewnętrznych turbulencji. Od wewnątrz rozświetlają ją jakby bezgłośnie błyskawice.

Ryfterka dodaje gazu do maksimum. Kalmar unosi ją w dół.

– *Clarke!* – Najwyraźniej odgłos wybuchu dotarł do habu nerwowego. – Co się dzieje?

Symfonia rozdieranego metalu. Chór dysharmonijnych głosów. Słyszać ich mniej niż powinno, zauważa Clarke.

*Musieliśmy stracić generator, uświadamia sobie z otępieniem. Słyszę ich krzyki.*

*Słyszę, jak umierają...*

Nie tylko je słyszy. Krzyki narastają jej w głowie, zanim zdążą dotrzeć do uszu. Surowa, chemiczna panika rozpala gadzi mózg niczym flara sodowa, podczas gdy mądrzejsza ssacza nakładka przygląda się temu, bezradna i zdezorientowana, a jej osławione umiejętności poznawcze roztrzaskują się niczym tani kryształ, trafiony impetem fali.

– *Clarke! Melduj!*

A teraz gniew, cienkie żyłki ponurej determinacji pośród paniki. W rzedającym mroku światła zaczynają świecić jaśniej. Jednak są jakby nieodpowiedniej wielkości i niewłaściwego koloru. To nie latarki ryfterów. Sonar Clarke piskiem powiadamia ją o rychłej kolizji – tuż obok niej wodę przecina inny kalmar, najwyraźniej niekontrolowany przez swego pasażera, od którego jaskrawą łuną

bije ból połamanych kości.

– To nie byłem ja, przysięgam! *Sami* to zrobili...

Creasy odpływa w dal, a jego cierpienie zlewa się z cierpieniem innych.

Na ekranie sonaru pojawiają się zarysy kadłuba skrzydła F. Po jego niegdyś gładkich powierzchniach pozostało już tylko wspomnienie – teraz zewsząd straszą poszarpane krawędzie. Szeroko rozwarte paszcze otworów szczerzą poskręcane, metalowe zęby. Jedna z nich wypluwa w jej stronę coś metalicznego. Przedmiot z brzękiem odbija się od kalmara. Ze wszystkich stron dobiegają zgrzytliwe, przepuszczone przez vocodery głosy. W poszarpanej ścianie chmur przed kobietą powstaje nagle luka – widać przez nią jakiś ogromny, ocieżały kształt, przypominający opancerzonego cyklopa. Jego pojedyncze oko łypie złowrogo, świecąc niewłaściwym światłem. Sięga ku niej.

Clarke skręca w lewo i kątem oka zauważa, że coś wiruje pośród chaosu bezpośrednio przed nią. Ciemna masa uderza bezwładnie w dziób jej kalmara i mknie ku jej twarzy. Kobieta uchyla się. W przelocie trafia ją ręka odziana w skórę głębinową.

– *Lenie!*

Martwe, szare oczy śledzą Clarke nieświadomym i obojętnym spojrzeniem, gdy ta usiłuje się wydostać.

*O Jezu. O Boże.*

Lśniące, metalowe potwory kroczą pośród szczątków, dżgając rannych.

Ryfterka próbuje pozbierać się do kupy.

– Wychodzą przez ściany, Ken. Czekali w środku, wysadzili kadłub od *wewnątrz* i wychodzą przez ściany...

*A niech cię cholera, Pat. Czy to ty? Czy to ty?*

Przypomina sobie przechyloną szachownicę na wyświetlaczu Lubina. Przypomina sobie czarne figury, przygotowujące się do pogromu.

I dopiero teraz przypomina sobie coś jeszcze – w szachach to białe zawsze poruszają się jako pierwsze.

Nie został nawet ślad po obojętnych, obcych umysłach. Żele musiały zamienić się w papkę, kiedy kadłub implodował.

Poza korpami, odzianymi w kombinezony siateczkowe, i inteligentnymi żelami w komorze odpływowej skrzydła F-3 było coś jeszcze. Było mnóstwo odłamków, niewątpliwie rozmieszczonych tak, by zmaksymalizować promień rażenia. Clarke widzi przeróżne fragmenty w miejscach, gdzie się zatrzymały – na kadłubie, wbite w porozrywane zbiorniki z ciekłym tlenem, wystające z poszarpanych ran wlotowych, ziejących w ciałach towarzyszy i wrogów. Wyglądają jak metalowe stokrotki, jak łopatki maleńkich, idealnych wiatraków. Sam impet implozji wystarczyłby do wysłania ich w powietrze, by skosiły każdego, kto nie zginął, wessany z prędkością kilku machów lub rozszarpany na kawałki w kontakcie z wyszczerbioną krawędzią samego wylomu.

Zasłona dymna prawie zupełnie się rozwiła.

Lubin wydaje rozkaz do odwrotu. Większość z tych, którzy są w stanie na niego zareagować i tak już dawno to zrobiła. Odziane w siateczkę postacie przeczesujące ruiny skrzydła F-3 muszą zadowolić się rannymi i trupami. Są niczym kraby, niezgrabne i z nadwagą. Zamiast szczypiec mają igły – długie, przypominające niemalże narzędzia chirurgiczne – wyrastające z ich rękawic na podobieństwo miniaturowych lanc.

– *Lenie. Słyszysz mnie?*

Clarke unosi się w górze otępiała poza ich zasięgiem i przygląda się, jak dżgają czarne ciała. Od czasu do czasu z czubka tej czy tamtej igły wymyka się kilka bąbelków, które wzbijają się ku niebu niczym kolonia podrygujących, srebrzystych grzybów.

Wstrzykiwane w ciało sprężone powietrze. Natychmiastowy zator. Niemalże każdą rzecz można przerobić na broń.

– Lenie?

– Możliwe, że nie żyje, Ken. Nie mogę też znaleźć Dale’a i Abry.

Inne głosy, zbyt niewyraźne, by dało się je rozpoznać. Ostatecznie większość generatorów białego szumu wciąż działa.

Clarke dostraja kraby. Ciekawi ją, co teraz czują. Ciekawi ją, co *sama* czuje, ale nie potrafi tego określić. Może jest jak mózgoser.

Za to w przypadku sprzątających opancerzonych korpów nie brakuje przeróżnych emocji. Determinacja. Zaskakująca ilość strachu. Gniew, ale odległy, to nie on kieruje ich działaniami.

Mniej nienawiści, niż kobieta byłaby skłonna się spodziewać.

Wznosi się wyżej. Po scenie w dole zostaje tylko rozmyty blask przesuwających się reflektorów. W oddali wodę rozjaśnia światło bijące od reszty Atlantydy, sprawiającej wrażenie zwodniczo spokojnej. Clarke słyszy bzyzące głosy innych ryfterów, nie jest jednak w stanie rozróżnić słów. Nie może też nikogo dostroić. Jest zupełnie sama na dnie oceanu.

Nagle, jakby przekroczyła jakąś niewidzialną granicę, zaczyna odczuwać wibracje w zuchwie, a jej uszy wypełniają się gwarem rozmów.

– ...ciała – mówi Lubin. – Zabieraj śmiertelnie rannych tylko na ich własne życzenie. Garcia czeka już przy habie medycznym i będzie dokonywać selekcji.

– Nie zmieści się tam nawet połowa z nas – byczy cicho ktoś... *O, to Kevin!*... z oddali. – Za dużo poszkodowanych.

– Ci z F-3, którzy nie są ranni albo nie transportują rannych spotkają się przy składzie. Hopkinson?

– Odbiór.

– Masz coś?

– Chyba tak. Odbieramy dużo mózgow w skrzydle E. Nie sposób określić, czyich konkretnie, ale...

– Yeager i Ng, przesuniecie swoich ludzi o czterdzieści metrów w górę. Nie zmieniajcie długości ani szerokości geograficznej, ale wszyscy mają trzymać się z dala od kadłuba. Hopkinson, zabierz swoją grupę do habu medycznego.

– Z nami wszystko w porz–

– Zrób to. Potrzeba dawców.

– Jezu – jęczy ktoś cicho. – Mamy przejebane...

– Nie. *Oni* mają.

Grace Nolan wciąż żyje, a w jej głosie, pomimo przejścia przez vocoder, pobrzmiwa siła i nieustępliwość.

– Grace, oni właśnie...

– Właśnie *co*? Uważasz, że *wygrywają*? Co zaserwują nam na bis? Ta sama sztuczka zadziała po raz drugi? Mamy dość ładunków wybuchowych, by położyć całkiem nowe fundamenty. I teraz zrobimy z nich użytek.

– Ken?

Cisza.

– Słuchaj, Ken – byczy Nolan. – Mogę być przy składzie za...

– Nie trzeba – odpowiada jej Lubin. – Ktoś jest już w drodze.

– Kto...

– A przy okazji witaj z powrotem – zwraca się Lubin do anonimowego żołnierza. – Znasz cel?

– Tak. – Głos jest zbyt cichy i zniekształcony, by dało się go zidentyfikować.

– Ładunek musi zostać umieszczony w odległości metra od znaku. Zamontuj go i *jak najszybciej się wycofaj*. Nie przebywaj w pobliżu kadłuba ani chwili dłużej niż to konieczne, rozumiano?

– Tak.

– Detonator akustyczny. Załatwię to stąd. Przerwa w zaciemnieniu za dziesięć sekund.

*Mój Boże*, myśli Clarke. *To ty...*

– Niech wszyscy zachowają bezpieczną odległość – przypomina Lubin. – Przerwa w zaciemnieniu nastąpi *teraz*.

Clarke znajduje się poza zasięgiem białego szumu, więc dla niej nie ma żadnej wyraźnej różnicy. Jednak, gdy chwilę później odzywa się pewien głos, to choć wciąż jest cichy, bez problemu da się go rozpoznać.

– Zrobione – byczy Julia Friedman.

– Wycofaj się – nakazuje Lubin. – Czterdzieści metrów. Trzymaj się z dala od dna.

– Hej, Avril. – To znów Friedman.

– Słucham – odpowiada jej Hopkinson.

– Kiedy dostrajałaś to skrzydło, były tam dzieci?

– Tak, były.

– To dobrze – byczy Friedman. – Gene nienawidził dzieci.

Na kanale zapada cisza.

Z początku wydaje jej się, że odwet poszedł zgodnie z planem. Świat pulsuje wokół niej – przypomina to głuche, niemal poddźwiękowe uderzenia bębnow, przechodzące przez wodę, ciało i kości – a z tego, co jej wiadomo, po stronie wroga ze sto, albo i więcej, osób zostało zamienionych w krwawą miazgę. Wprawdzie nie ma pojęcia, ilu ryfterów zginęło w pierwszym starciu, ale niewątpliwie właśnie odzyskali prowadzenie.

Znów znajduje się w tym starym, znajomym miejscu, gdzie tego typu rzeczy i tak nie mają większego znaczenia.

Nawet drugi wybuch – ten sam stłumiony dźwięk, ale jakby cichszy, dochodzący z większej odległości – nie dał jej tak od razu do myślenia. Uznała, że eksplozje wtórne były w zasadzie nieuniknione ze względu na rozerwane rury i linie wysokiego napięcia czy popękane zbiorniki wysokociśnieniowe. Detonacja mogła pociągnąć za sobą przeróżne konsekwencje na zasadzie reakcji łańcuchowej. Ot, dodatkowe punkty dla drużyny gospodarzy. Nic nadzwyczajnego.

A mimo to gdzieś na tyłach jej umysłu pojawia się *wrażenie*, że coś było nie w porządku z drugim wybuchem. Może jakiś niewłaściwy pogłos, jakby ktoś rozhuśtał wielki dzwon kościelny, a usłyszał srebrzysty brzdęk. No i te znów słyszalne głosy – niecieszące się z tego małego zwycięstwa nad Hordą Korpów, ale pełne wątpliwości i niepewności, które nie znikają nawet po przejściu przez vocodery.

– Co to kurwa *było*...

– Avril? To gdzieś u ciebie?

– Avril? Ktoś coś wylapał... Ktoś...

– Jezu Chryste, Gardiner? David? Stan? Czy *ktoś*...

– Garcia, czy... Nie mogę...

– Straciliśmy go. Jestem na miejscu i po prostu go kurwa *straciliśmy*...

– O czym ty mówisz?

– Całe dno habu po prostu... Musiał jednocześnie zdetonować *oba*...

– *Jakie* oba? Przecież podłożyła tylko jeden ładunek i to przy...

– Ken? Ken? Lubin, gdzie się kurwa podziewasz?

– Tu Lubin.

Zapada cisza.

– Straciliśmy hab medyczny. – Jego głos brzmi jak zardzewiałe żelazo.

– Co...

– Jak...

– *Zamknijcie się* – warczy Lubin.

Znów wszyscy milkną. A raczej prawie wszyscy – na otwartych kanałach wciąż słychać kilka metalicznych pomruków.

– Najwyraźniej podłożono przy habie nieoznakowany ładunek... – ciągnie dalej mężczyzna. – Musiał zdetonować go ten sam sygnał, który miał być wymierzony w Atlantyde. Od tej chwili żadnych detonatorów wielokierunkowych. Możliwe, że są gdzieś inne ładunki reagujące na dowolne sygnały. Niech wszyscy...

– *Tu Atlantyda.*

Słowa rozbrzmiewają na dnie niczym Głos Boga, pozbawione wszelkich zakłóceń. *Ken zapomniał o ponownym zaciemnieniu*, uświadamia sobie Clarke. *Ken zaczął krzyczeć na swoje oddziały.*

*Ken traci kontrolę...*

– Być może wydaje wam się, że zyskaliście przewagę – kontynuuje ta sama osoba – ale tak nie jest. Jeśli zniszczycie ten obiekt, sami również zginiecie.

Ryfterka nie rozpoznaje tego głosu. Dziwne. Przemawia tak władczo.

– Jesteście zarażeni typem II. Wszyscy. Typ II jest wysoce zakaźny w czasie bezobjawowego okresu inkubacji trwającego kilka tygodni. Bez odpowiedniej interwencji medycznej wszyscy umrzecie w ciągu dwóch miesięcy. – Krótka przerwa. – Mamy lekarstwo.

Zapada martwa cisza. Nawet Grace Nolan nie wyskakuje z *A nie mówiłam.*

– Zabezpieczyliśmy wszystkie pliki oraz próbki przed dostępem niepowołanych osób. Jeśli zabijecie nas, podpiszecie też wyrok śmierci na siebie.

– Udowodnij to – odpowiada Lubin.

– Ależ oczywiście. Musicie tylko chwilę poczekać. Albo jeśli brakuje wam cierpliwości, zróbcie tę waszą sztuczkę z czytaniem w myślach. Jak to się nazywało? *Dostrajanie*? Doszły mnie słuchy, że na ogół pozwala to oddzielić wiarygodnych od kłamców.

Nikt nie protestuje.

– Przedstawcie swoje warunki – mówi Lubin.

– Nie tobie. Będziemy negocjować tylko z Lenie Clarke.

– Możliwe, że Lenie Clarke nie żyje. Nie możemy się z nią skontaktować od kiedy wysadziliście skrzydło mieszkalne. – Z pewnością musi już wiedzieć, jak jest naprawdę. Clarke znajduje się dużo wyżej, a jej wnętrzości odpowiadają na lekkie postukiwanie fal sonaru. Kobieta nie odzywa się. Niech Lubin gra sobie w swoją grę. Może to już ostatni raz.

– Byłaby to nie najlepsza wiadomość dla nas wszystkich – odpowiada spokojnie przedstawiciel Atlantydy. – Nasza propozycja wygaśnie, jeśli Clarke w ciągu pół godziny nie znajdzie się w służbie numer sześć. To wszystko.

Cisza.

– To jakaś sztuczka – odzywa się Nolan.

– Hej, przecież *sama* mówiłaś, że mają lekarstwo – bzdury ktoś, ale Clarke nie potrafi rozpoznać kto, bo na kanale znów pojawiły się zakłócenia. Generatory białego szumu musiały zostać włączone.

– Nawet jeśli je mają, to co z tego? – odpowiada Nolan. – Nie ufam im i nie wierzę, że się nim z nami podziela, a już *na pewno* nie ufam jebanej Lenie Clarke, by to ona miała robić za moją ambasadorkę. Jak myślicie, skąd w ogóle te skurwiele dowiedziały się o dostrajaniu? To ona winna jest śmierci każdego z naszych zabitych.

Clarke uśmiecha się do siebie. *Przejmuje się takimi małymi liczbami. Tak maleńką garstką osób.* Czuje, jak jej place zaciskają się na uchwycie holowniczym. Kalmar delikatnie ciągnie ją naprzód, woda delikatnie stawia opór.

– Możemy zrobić, jak mówili. Możemy ich dostroić i sprawdzić tę historię. – To chyba Gomez, ale zakłócenia narastają w miarę, jak Clarke oddala się coraz bardziej. Zanika nawet toporna intonacja vocoderowej mowy.

Wibracje w zuchwie, popiskiwanie tuż za uchem. Ktoś próbuje namierzyć ją na prywatnym kanale. Pewnie Lubin. W końcu jest królem taktyki. Tylko on wie, gdzie jej szukać. Reszta nie widzi niczego poza swymi kikutami.

– I niby czego to dowiedzie? Że... – zakłócenia – ...je nam? Szlag, nawet jeśli *nie mają* lekarstwa, pewnie przekonali kilkoro ze swoich, że jest *inaczej*, żebyśmy... – Głos Nolan cichnie.

Lubin mówi coś na otwartym kanale, jednak Clarke nie rozpoznaje słów. Piski w jej głowie brzmią jakby bardziej ponagląco, ale to przecież niemożliwe. Ogólny syk otoczenia tłumi i ten sygnał, tak samo jak wszystkie inne.

– Spierdalaj, Ken. Po chuj w ogóle c... słuchali... trafisz nawet poradzić sobie z... nymi korpa...

Niczym niezmacone zakłócenia. W dole rozlewa się światło. Śluz numer sześć wyrasta tuż przed Clarke, ale wszystkie zakłócenia świata nie byłyby w stanie zamaskować obecności czekającej w środku osoby.

Ryfterka potrafi ją rozpoznać po poczuciu winy. Tylko ona oprócz samej Clarke ma równie pokręconą wizytówkę.

## CHRZEST

Rowan otwiera śluzę, zanim cała woda zdążyła odpłynąć. Słone fale obmywają kostki Clarke i przelewają się do komory odpływowej.

Ryfterka zdejmuje płetwy i wychodzi ze śluz. Resztę stroju pozostawia na sobie, jak zwykle prezentując innym swą mroczną postać. Rozpina jedynie część twarzową. Rowan odsuwa się na bok, pozwalając jej przejść. Clarke przerzuca płetwy przez plecy i toczy wzrokiem po spartańskim pomieszczeniu. Nigdzie nie widać choćby kawałka kombinezonu siateczkowego, a normalnie tego typu zbroje do nurkowania zajmowałyby całą jedną gródź.

– Ilu straciliście? – pyta cicho.

– Jeszcze nie wiemy. Więcej niż zmieściłoby się tutaj.

*Małe piwo*, myśli Clarke. *Dla każdej z nas.*

*Ale wojna jeszcze młoda...*

– Naprawdę nie wiedziałam – mówi Rowan.

Tu, w bliskiej próżni atmosferze utrzymywanej na poziomie powierzchni, nie działa jasnowidzenie. Clarke milczy.

– Nie ufali mi. Nadal mi nie ufają. – Wzrok Rowan kieruje się ku jasnej plamce w miejscu, gdzie gródź styka się z sufitem. Tkwi tam miniaturowy obiektyw. Jeszcze kilka dni temu, zanim korpy znów



odzyskały jaja, ryfterzy śledziliby dzięki niemu rozwój wydarzeń. Teraz to ludzie Rowan będą mieli na oku obie kobiety.

Ona sama natomiast przygląda się Clarke z dziwną, zastanawiającą intensywnością, czego ryfterka nigdy wcześniej u niej nie zauważyła. Dopiero po chwili dociera do niej, co się zmieniło – po raz pierwszy oczy Rowan są tak ciemne. Najwyraźniej jej KonTakty straciły dostęp do danych, dzięki czemu wzroku kobiety nie ściągają żadne przypisy czy komentarze. W jej spojrzeniu kryje się już tylko ona sama.

Nawet obroża i smycz nie byłyby równie wymowne.

– Chodź – mówi Rowan. – Są w jednym z laboratoriów.

Clarke rusza jej śladem i obie kobiety wychodzą z komory odpływowej. Skręcają w prawo i trafiają na korytarz skąpany w jaskrawym, różowym świetle. Oświetlenie awaryjne, uświadamia sobie ryfterka. Jej nakładki nadają mu ten idiotyczny, dziewczęcy odcień. Dla oczu Rowan tunel jest ciemnoczerwony i przypomina przekrwione jelito jakiegoś potwora-ludożercy.

Na skrzyżowaniu wybierają lewą odnogę i przekraczają pasiastą, żółto-czarną taśmę oznaczającą miejsce umieszczenia przegrody.

– To w czym tkwi haczyk? – pyta Clarke. Przecież korpy nie oddadzą tak po prostu jedynej rzeczy dającej im przewagę.

Rowan nie ogląda się.

– Nie powiedzieli mi.

Kolejny zakręt. Mijają awaryjny włącznik dokujący w zewnętrznej grodzi. Całą ścianę pokrywają tam różne zawory i odczyty. Przez chwilę Clarke zastanawia się, czy po drugiej stronie znajduje się *Harpadon*, ale wkrótce orientuje się, że nie. To nie ta sekcja.

Nagle Rowan zatrzymuje się i odwraca.

– Lenie, jeśli cokolwiek...

Coś uderza w bok Atlantydy. Gdzieś za plecami kobiet zderzają się wielkie masy metalu.

Różowe światło migocze.

– Co się...

Kolejne uderzenie, tym razem silniejsze. Pokład dygocze. Clarke traci równowagę przy wtórze tego samego metalicznego huku. Teraz rozpoznaje, co to takiego – opadające przegrody.

Światła gasną.

– Pat, co do kurwy nędzy wyprawiają twoi...

– Nie moi – rozbrzmiewa pośród mroku drżący głos Rowan.

Kobieta stoi jakiś metr dalej – niewyraźna, ciemnoszara sylwetka na tle czerni.

*Żadnego zamieszania, zauważa Clarke. Żadnych krzyków, nikt nie biega po korytarzach, nie ogłasza niczego przez interkom...*

Jest tak cicho, niemal spokojnie.

– Odcięli nas – odzywa się Rowan. Krawędzie jej sylwetki wyostrzyły się nieco. Nie ma mowy o szczegółach, ale przynajmniej widać ją wyraźniej. Z mroku wyłaniają się także zarysy grodzi. Clarke rozgląda się w poszukiwaniu źródła światła i zauważa konstelację bladych, mrugających punkcików kilka metrów za swoimi plecami. Włącznik dokujący.

– Słyszysz mnie? Lenie? – W głosie Rowan miejsce niepokoju zaczyna zajmować panika. – Jesteś tu?

– Tutaj. – Ryfterka wyciąga rękę i muska lekko ramię swej towarzyszki. Sylwetka Rowan drga lekko pod wpływem niespodziewanego dotyku.

– Czy ty... Czy...

– Nie wiem, Pat. Ja też się tego nie spodziewałam.

– Odcięli nas. Słyszałaś opadające przegrody? Przebili kadłub. Te dranie *przebiły kadłub*.

Z przodu i z tyłu. Zatapiają pomieszczenia po obu stronach. Jesteśmy w pułapce.

– Ale nie przebili kadłuba w *ty*m segmencie – zauważa Clarke. – Chcą nas odizolować, nie zabić.

– Nie róbcie sobie zbyt wielkich nadziei – odzywa się jedna z grodzi.

Ślepa Rowan podskakuje z zaskoczenia pośród mroku.

– Prawdę mówiąc – ciągnie gródź – *zamierzamy* zabić korpa. – Przemawia z lekkim vibrato i mocnymi zakłóceniami. Głos zniekształcony jest dwukrotnie – przez vocoder i pąkło-pluskwę przyczepioną do zewnętrznej części kadłuba. Zupełnie bezsensownie Clarke zaczyna zastanawiać się, czy dla Alyx jej słowa brzmiałyby równie paskudnie.

Nie potrafi określić, kim jest mówiący. Wydaje się jednak, że głos należy do kobiety.

– Grace?

– Gównu by ci dali, Lenie. Gównu mają, więc nie mogą ci nic *dać*. Potrzebowali zakładnika, a ty najzwyczajniej w świecie wlałaś w ich pułapkę. Ale my dbamy o swoich. Nawet o ciebie.

– Co ty pierdolisz? Skąd niby możecie to wiedzieć?

– Skąd możemy to *wiedzieć*? – Gródź wibruje jak wielka drumla. – To *ty* pokazałaś nam dostrajanie! I to działa, złotko, działa jak *seks*. Namierzyliśmy całą grupę tych skurwieli w laboratorium medycznym, a poczucie winy aż *przelewa* się przez kadłub. A przy okazji, na twoim miejscu zapięłabym skórę głębinową. Zaraz zostaniesz uratowana.

– Grace, czekaj! Poczekaj chwilę! – Clarke odwraca się ku Rowan. – Pat?

Ta jednak nie potrzęsa głową. Nie krzyczy ze złością, próbując wszystkiemu zaprzeczyć. Nie robi żadnej z rzeczy, których można byłoby spodziewać się po kimś niewinnym – a w zasadzie także i winnym – straszonym śmiercią.

– Pat, czy ty... Kurwa nie, nie chcesz mi chyba powiedzieć, że...

– Oczywiście, że nie, Lenie. Ale to ma sens, prawda? Oszukano nas obie...

Coś uderza ze szczękiem o kadłub.

– *Czekaj!* – Clarke spogląda to na sufit, to na ściany, ale jej przeciwniczka jest niewidzialna i nietykalna. – Pat nie ma z tym nic wspólnego!

– Jasne. Już to słyszałam. – Bulgoczący dźwięk przypominający odgłos rozrywanego metalu, który chyba jest śmiechem. – Jest szefową zarządu i o niczym nie wiedziała. Prawie w to wierzę.

– To ją dostrój! Przekonaj się sama!

– Problem w tym, Len, że my, nowicjusze, nie radzimy sobie zbyt dobrze z dostrajaniem pojedynczych osób. Sygnał jest za słaby. Tak więc dużo by mi to nie dało. Powiedz „pa pa”, Pattie.

– Pa – szepcze Rowan. Po drugiej stronie grodzi coś zaczyna wyć.

– *Jeb się, Nolan! Wypierdalaj stąd w tej chwili albo przysięgam, że zabiję cię gołymi rękami! Słyszysz mnie? Pat o niczym nie wiedziała! Nie ma na nic wpływu tak samo jak...*

*...jak ja.* O mały włos, a powiedziała by to na głos. Nagle w korytarzu pojawia się nowe źródło światła – pojedynczy szkarłatny punkt. Rozbłyskuje oślepiająco jasno nawet dla Lenie Clarke, która widzi wszystko w wypłowiałych barwach, i chwilę później znika.

Świat eksploduje z dźwiękiem metalicznego łoskotu.

W kącie sylwetka Rowan składa się niczym scyzoryk. Coś przecina pociemniałe pole widzenia Clarke niczym ryczący, biały laser. *Woda*, orientuje się ryfterka po chwili. Woda wciskana do środka przez maleńki otwór w suficie pod naporem mas oceanu. Gdyby włożyła tam rękę, cienka strużka odciełaby jej kończynę.

W ciągu kilku sekund woda sięga kostek.

Clarke rzuca się ku Rowan, desperacko próbując zrobić coś, choć wie, że nic nie może zrobić. Pomieszczenie rozjaśnia znów posępny czerwony blask – na ścianie rozbłyśkuje kolejne oko. Gdy mruga i znika, z grodzi wystrzeliwuje druga strużka morderczej morskiej wody. Odbija się rykoszetem od wewnętrznej ściany jak płynny szrapnel i ramię Clarke rozpala nagle ostry ból. Ryfterka ląduje na plecach, z twarzą pod wodą i dzwoniącym w czaszce impetem uderzenia o pokład.

Przetacza się na brzuch i wstaje na czworakach. Woda podnosi się powyżej jej łokci. Nie podnosząc się, pełźnie przez korytarz w stronę Rowan. Setki śmiertelnych strużek wody odbijają się pod przeróżnymi kątami nad jej głową. Rowan osunęła się na wewnętrzną ścianę, zanurzona po pachy w lodowatej wodzie. Głowa opadła jej na piersi, a włosy zakrywają twarz. Clarke unosi jej brodę. Na policzku kobiety jest jakaś ciemna smuga, czarna i niewyraźna w marnym świetle. Coś z niej cieknie. Musiała oberwać rykoszetem.

Na twarzy Rowan nie maluje się żaden wyraz. Jej obnażone oczy są szeroko otwarte, ale niewidzące – tych kilka zbłąkanych fotonów to zdecydowanie za mało dla niewspomagane go wzroku. Istnieje dla niej tylko ból i przeraźliwe zimno.

– Pat! – Clarke ledwie słyszy własny głos pośród wszechobecnego ryku.

Woda sięga powyżej ust Rowan. Ryfterka chwytą kobietę pod pachy i unosi ją, opierając w półstojącej pozycji o gródź. Jakiś strumień rykoszetuje w odległości zaledwie kilku centymetrów. Clarke ustawia się tak, by osłonić swą towarzyszkę przed najgorszymi rozbryzgami.

– *Pat!* – Nie bardzo wie jednak, czego właściwie oczekuje w odpowiedzi. Patricia Rowan już nie żyje. Lenie Clarke pozostało już tylko przeczekać pozory. Ale Rowan *jednak* coś mówi. Ryfterka nic nie słyszy, ale widzi poruszające się usta drugiej kobiety i prawie udaje jej się odczytać...

Nagły kłujący ból niczym kopnięcie w plecy. Tym razem udaje jej się utrzymać równowagę. Woda, zajmująca już połowę wysokości pomieszczenia, przechwytyje najgorsze rykoszety.

Wargi Rowan wciąż się poruszają. Clarke orientuje się, że kobieta wcale nie mówi – formułuje sylaby, powoli i przesadnie, żeby dało się je rozpoznać wzrokiem, a nie usłyszeć:

*Alyx... Zaopiekuj się Alyx...*

Woda znów sięga jej do podbródka.

Ryfterka odnajduje dłonie Rowan i przykłada je do własnej twarzy, po czym kiwa głową.

Uwięziona w swej własnej, osobistej ciemności, Patricia Rowan odpowiada jej tym samym gestem.

*Ken mógłby ci pomóc. Mógłby sprawić, żeby nie bolało, mógłby zabić cię w jednej chwili. Ja nie potrafię. Nie wiem jak...*

*Przykro mi.*

Woda jest już zbyt głęboka, by dało się w niej stać. Rowan niemrawo przebiera nogami, choć jej kończyny muszą być niemalże sparaliżowane z zimna. Jest to całkowicie bezsensowny wysiłek wynikający z pnia mózgu. Choć wszystkie obowiązki zostały już wykonane, choć wyczerpały się wszystkie dostępne opcje, ciało kurczowo uczepia się tych kilku ostatnich sekund, bo krótkie cierpienie i tak wydaje mu się lepsze niż wieczne nieistnienie.

Możliwe jednak, że uda jej się uniknąć utonięcia, choć oczywiście nie śmierci. Podnoszący się poziom wody kompresuje atmosferę do tego stopnia, że nawet sam tlen staje się toksyczny. Jak słyszała Clarke, konwulsje niekoniecznie muszą być bolesne...

Taki los może jednak spotkać i ryfterkę, jeśli będzie zwlekać zbyt długo. Ratowanie siebie, podczas gdy Rowan walczy o każdy oddech wydaje jej się niewłaściwe. Tyle że Clarke ma własny pień mózgu, a ten nie pozwoli, by głupie, nieracjonalne poczucie winy stanęło mu na drodze do przetrwania. Jej ręce samoczynnie wędrują ku gorze i zaplombowują część twarzową, po czym

uruchamiają ukrytą w ciele maszynierię. Ryfterka opuszcza Rowan, by ta samotnie stawiała czoła swemu losowi. Jej ciało wypełnia się wodą niczym korytarz, lecz daje to zgoła przeciwny efekt. Ocean wlewa się do jej wnętrza przez klatkę piersiową, podtrzymując życie, a nie je wykradając. Clarke znów staje się syreną, podczas gdy jej przyjaciółka umiera na jej oczach.

Rowan się nie poddaje, jeszcze nie. Ciało nie daje za wygraną, choć umysł pogodził się z nieuniknionym. Przy suficie pozostała już tylko niewielka przestrzeń wypełniona powietrzem, a mimo to zeszywniałe nogi kobiety wciąż pracują niezdarnie, ręce poszukują uchwytu, drapiąc rury i *dlaczego nie może sobie kurwa wreszcie odpuścić?*

Ciśnienie powietrza przekracza krytyczny próg. Uwolnione neuroprzekaźniki śpiewają w okablowaniu mózgu Clarke. I nagle ryfterka znajduje się wewnątrz głowy Patricii Rowan. Nagle dowiaduje się, jak to jest, kiedy się umiera.

*Niech cię szlag, Pat, dlaczego nie możesz odpuścić? Dlaczego mi to robisz?*

Clarke opada na dno pomieszczenia. Wpatruje się w pokład przymusowo otwartymi oczami, podczas gdy zawirowania z wolna ustają, a ryk wpadającej do środka wody cichnie. Wkrótce pozostaje już tylko cichy, nieregularny dźwięk przemarzniętych palców drapiących żałośnie kadłub z biostali...

W końcu nawet i ten odgłos zamiera. Cierpienie, smutek i żal, wszystkie z drugiej ręki, utrzymują się nieco dłużej. Lenie Clarke czeka do momentu, kiedy w jej głowie umiera ostatnia cząstka Patricii Rowan. Pozwala ciszy trwać jeszcze przez chwilę, po czym włącza swój vocoder.

– Grace. Słyszysz mnie?

Jej mechaniczny głos brzmi beznamiętnie i śmiertelnie spokojnie.

– Oczywiście, że słyszysz. Zamorduję cię, Grace.

Jej płetwy unoszą się w wodzie, wciąż umocowane luźno do skóry głębinowej. Clarke zakłada je na stopy.

– Przede mną znajduje się właz dokujący, Grace. Otworzę go, wyjdę na zewnątrz i wypatroszę cię jak rybę. Na twoim miejscu, zaczęłabym uciekać.

Może już zaczęła. W każdym razie nikt nie odpowiada.

Clarke płynie korytarzem, nie spuszczać wzroku z włazu. Jego migoczące odczyty, których nie zgasił nawet sam Atlantyk, wskazują jej drogę.

– Wykorzystałaś swoją przewagę, Grace? Nic ci to nie da.

Coś uderza ją lekko w plecy. Clarke wzdraga się i siłą woli powstrzymuje się przed zerknięciem przez ramię.

– Uwaga, nadchodzę.

Otwiera właz.

## **BEREK**

Na zewnątrz nie ma nikogo.

Pozostały dowody – dwie zgrzewarki punktowe przymocowane na trójnogach do kadłuba oraz pąkło-pluskwa przyczepiona kilka metrów dalej – ale nigdzie nie widać śladu Nolan czy innych sprawców. Clarke uśmiecha się ponuro do siebie.

*Niech uciekają.*

Jednak nie może też znaleźć nikogo innego. Żadnych wartowników na wyznaczonych przez Lubina pozycjach. Nikt nie sprawdza pąkło-pluskw, którymi oblepiono Atlantydę w następstwie ćwiczeń z komutacji kanałów przeprowadzanych przez korpów. Przepływa nad tym samym laboratorium

medycznym, w którym, jak została zapewniona, czaili się niedoszli porywacze, dostrojeni przez grupę ryfterów. Nic. Bramy dokujące, płyty habów i cienie. Miejscami migające światła, miejscami niespodziewana ciemność, gdzie rozbito czy zaciemniono latarnie i iluminatory. Wszędzie indziej – wieczny mrok.

I nigdzie żadnych ryfterów.

*Może korpy miały jakąś broń. Coś, czego istnienia nie podejrzewał nawet Ken. Może nacisnęli guzik i wszyscy zniknęli...*

Nie. Wyczuwa korpów w środku, ich strach, obawa i ślepa desperacja, od której chce się zmoczyć spodnie, promieniują na odległość prawie dziesięciu metrów. Raczej nie takich uczuć należałoby spodziewać się po przytłaczającym zwycięstwie. Jeśli korpy w ogóle wiedzą, co jest grane, ani trochę nie poprawia to ich samopoczucia.

Clarke odpływa w otchłań, kierując się ku habowi nerwowemu Lubina. Teraz wreszcie zaczyna wyczuwać w wodzie przed sobą jakieś zawirowania. Więcej strachu, więcej niepewności. Jakim cudem wciąż odbiera Atlantyde z takiej odległości? Jakim cudem te emocje stają się coraz *silniejsze*, kiedy coraz bardziej zostawia korpów za plecami?

Tak naprawdę nie ma w tym żadnej tajemnicy. Udawanie, że jest inaczej nie działa na tyle pocieszająco, by warto było się wysilać.

Zaczynają otaczać ją ciche odgłosy rozmów prowadzonych za pośrednictwem modemów akustycznych o niskiej częstotliwości. Biorąc pod uwagę okoliczności, jest tego zaskakująco niewiele – Clarke wyczuwa obecność dziesiątek ryfterów, a wszyscy są przybici i przestraszeni. Mało kto odzywa się na głos. Przed nią rozbłyskuje niewyraźnie konstelacja przyćmionych gwiazd. Ktoś przecina trasę kobiety w odległości mniej więcej dziesięciu, piętnastu metrów. Gdyby nie to, że na krótką chwilę przesłonił mrugające światła, w ogóle nie byłoby go widać. Jego przerażony umysł kompletnie przytłacza jej.

Tak wielu ryfterów zebrało się wokół habu. Kłębią się niczym spłoszone ryby lub wiszą nieruchomo w wodzie, czekając. Może to już wszyscy, może tylko tyle ryfterów zostało na całym świecie. Obawa wisi nad nimi niczym wielka chmura.

Może jest tu też Grace Nolan. Myśl ta wypełnia Clarke zimnym, oczyszczającym gniewem. Wyczuwając jej emocje, kilkunastu ryfterów odwraca się w jej stronę i wbija w nią spojrzenie swych martwych, białych oczu.

– Gdzie ona jest? – byczy Clarke.

– Odwal się, Len. Mamy teraz większe problemy. – Nie potrafi rozpoznać mówiącego.

Clarke rusza w kierunku habu. Większość ryfterów rozstępuje się przed nią, ale pół tuzina zagradza jej drogę. Gomez. Cramer. Inni nieco bardziej z tyłu, zbyt ciemni i odlegli, by mogła ich zidentyfikować.

– Jest tam? – pyta.

– Odsuń się – odzywa się Cramer. – Nie będziesz wydawać tu żadnych rozkazów.

– Nikomu nie *rozkazuję*. Wasz wybór. Możecie zejść mi z drogi albo spróbować mnie powstrzymać.

– Czy to Lenie? – To głos Lubina, nie pochodzący z vocodera.

– Tak – odpowiada po chwili Cramer. – Jest trochę...

– Wpuść ją.

To prywatna impreza, na którą wstęp mają tylko zaproszeni. Ken Lubin. Jelaine Chen i Dimitri Alexander. Avril Hopkinson.

Grace Nolan.

Ken Lubin nie zaszczycza Clarke nawet jednym spojrzeniem, gdy ta wspina się po drabince z komory odpływowej.

– Zostaw to na później. Potrzebujemy cię, Len, ale potrzebujemy też Grace. Jeśli którakolwiek z was choćby tknie drugą, wyciągnę wobec niej konsekwencje.

– Zrozumiano – odpowiada spokojnie Nolan.

Clarke tylko patrzy na nią i nic nie mówi.

– Dobrze. – Lubin kieruje znów swą uwagę na monitor. – To na czym stanęliśmy?

– Jestem prawie pewna, że nas nie widział – mówi Chen. – Był skupiony na swym zadaniu, a poza tym ten model nie posiada panoramicznego widzenia. – Kobieta dwukrotnie stuka w ekran palcem. Obraz zatrzymuje się i powiększa.

Wygląda jak przeciętny kalmar, tyle że wyposażony w dwa chwytne ramiona na przedzie, a pozbawiony uchwytu holowniczego z tyłu. To jakiś autonomiczny pojazd podwodny. Ewidentnie nie pochodzi stąd.

Hopkinson wciąga powietrze przez zaciśnięte zęby.

– W takim razie to by było na tyle. Znaleźli nas.

– Może nie – odzywa się Chen. – Nie da się kierować czymś na takiej głębokości, nie przy takim terenie. Musiał działać samodzielnie. Tak więc ktokolwiek go wysłał, dowie się o jego znaleziskach dopiero, kiedy maszyna wróci na powierzchnię.

– Albo kiedy nie zamelduje się w terminie.

Chen wzrusza ramionami.

– To wielki i niebezpieczny ocean. Kiedy nie wróci, pewnie dojdą do wniosku, że utonął w lawinie błota albo nawalił mu chip nawigacyjny. Nie ma powodu, by podejrzewać, że mieliśmy z tym coś wspólnego.

Hopkinson kręci głową.

– Nie ma *powodu*? A co niby miałyby *robić* tu pojazd podwodny, jeśli nie szukać nas?

– Byłby to dość niezwykły zbieg okoliczności – zgadza się Alexander.

Lubin wyciąga dłoń i dotyka ekranu. Obraz wraca do normalnej wielkości i kontynuuje odtwarzanie. U dołu ekranu przewijają się kolumny akronimów i liczb, które zmieniają się w miarę dostarczania nowych danych telemetrycznych.

Pojazd wisi w wodzie kilka metrów od brzegu Niemożliwego Jeziora i nieco powyżej jego powierzchni. Wyciąga jedno z ramion, zanurza palec w haloklinie i natychmiast go cofa, jakby przestraszony.

– Patrzcie na to – mówi Nolan. – Boi się hiperzasolenia.

Mały robot przesuwa się o kilka metrów dalej, tracąc lekko ostrość, i próbuje jeszcze raz.

– I przez cały ten czas nie zdawał sobie sprawy z waszej obecności? – pyta Lubin.

Alexander kręci głową.

– Zorientował się dopiero później. Jak mówiła Lanie, był skupiony na swoim zadaniu.

– Macie to nagrane? – To znów Nolan, jakby nie miała na głowie większych zmartwień. Jakby jej dni nie były już policzone.

– Tylko kilka sekund na samym początku. Obraz jest strasznie rozmazany i nie za wiele widać. Z oczywistych powodów nie chcieliśmy też podchodzić zbyt blisko.

– A mimo to przez cały czas namierzaliście go sonarem – zauważa Lubin.

Chen wzrusza ramionami.

– Wydało nam się to mniejszym złem. Musieliśmy *jakoś* śledzić, co robi. Lepsze to niż gdyby miał

nas zobaczyć.

– A gdyby namierzył was, analizując sygnały metodą triangulacji?

– Dlatego pozostawaliśmy w ruchu. Robiliśmy też duże przerwy między sygnałami. Mógłby co najwyżej dojść do wniosku, że coś skanowało słup wody, a mamy tu parę rzeczy, które się tym zajmują. – Chen wskazuje dłonią ekran, jakby próbowała się bronić. – Wszystko jest na nagraniu.

Lubin chrząka.

– Dobra, to tutaj – mówi Alexander. – Za jakieś trzydzieści sekund.

Pojazd powoli znika w plamie rozmazanego światła, najwyraźniej kierując się w stronę kilku latarni, które wystają ponad powierzchnię Niemożliwego Jeziora. Jednak zanim zdążył zniknąć na dobre, widok przesłania jakiś wielki, czarny kształt. To poszarpana wychodnia, wyłaniająca się z lewej krawędzi ekranu. Na jej powierzchnię nie padają kręgi światła, choć łódź podwodna ryfterów znajduje się w odległości zaledwie kilku metrów – Chen i Alexander płyną po ciemku, ukrywając się za miejscową topografią. Obraz przechyla się i podskakuje, gdy łódź manewruje pomiędzy skałami, ciemnymi cieniami na tle jeszcze ciemniejszych, ledwie widocznych w świetle otaczającym delikatnie ich krawędzie.

Alexander przysuwa się bliżej.

– Teraz...

Światło pada od przodu i z prawej strony. Czubek wychodni przecina krawędzie rozmytej plamy jasności, niczym kawałek czarnego szkła. Łódź podwodna zwalnia i zaczyna poruszać się naprzód dużo ostrożniej. Wpływa w krąg światła i...

...niemal zderza się z nadpływającym z przeciwnej strony pojazdem autonomicznym.

Dwa spośród akronimów telemetrycznych zmieniają kolor na jaskrawoczerwony i zaczynają mrugać. Nagranie pozbawione jest dźwięku, ale Clarke potrafi wyobrazić sobie syreny rozbrzmiewające w kabinie łodzi podwodnej. Na krótką chwilę pojazd nieruchomieje. Clarke mogłaby przysiąc, że widzi, jak rozszerzają się źrenice jego kamery stereo. Potem zawraca – by kontynuować badania albo salwować się ucieczką, w zależności od tego, jak był sprytny.

Już się tego nie dowiedzą. Bo właśnie w tym momencie coś pojawia się na ekranie, wystrzeliwując spoza kadru. Przypomina wydłużoną smugę, niczym rozbryzg szarego atramentu. Trafia pojazd, gdy ten znajduje się w połowie obrotu i owija go, ściągając się wokół swej ofiary niczym elastyczna pajęczyna. Pojazd szarpie się, ale drugi koniec jest umocowany do łodzi podwodnej.

Clarke nigdy wcześniej nie widziała działka sieciowego w akcji. Robi wrażenie.

– To tyle – kwituje Alexander, gdy nagranie zatrzymuje się. – Mieliśmy szczęście, że trafiliśmy na niego, zanim zdążyliśmy wykorzystać sieć na jednej z twoich potwornych ryb.

– Mieliśmy też szczęście, że w ogóle przyszło mi do głowy, by jej użyć – dodaje Chen. – Kto by pomyślał, że okaże się tak przydatna? – Kobieta marszczy brwi. – Chciałabym tylko wiedzieć, co ostrzegło tę małą bestię.

– Poruszaliście się – stwierdza Lubin.

– No jasne. Żeby, jak sam zauważyłeś, nie namierzył nas na podstawie sygnałów sonaru.

– Podązał za dźwiękiem waszego silnika.

Chen sprawia wrażenie, jakby straciła nieco pewności siebie.

– Czyli mamy go – odzywa się Clarke.

– Debbie rozbiera go na części – odpowiada jej Lubin. – Przynajmniej nie był zaminowany. Powiedziała, że powinniśmy dać radę dobrać się do jego pamięci, jeśli tylko nie została zaszyfrowana w skomplikowany sposób.

Hopkinson poweselała.

– Naprawdę? Czyli możemy zafundować mu amnezję i posłać go z powrotem?

Brzmi to zbyt dobrze, by mogło być prawdziwe. Wzrok Lubin potwierdza, że tak właśnie jest.

– No co? – dopytuje Hopkinson. – Sfałszujemy strumień danych, pojazd wróci do domu i powie swojej mamie, że nie ma tu niczego poza błotem i rozgwiazdami. W czym problem?

– Jak często się tam zapuszczamy? – pyta ją Lubin.

– Gdzie? Nad jezioro? Może raz czy dwa razy na tydzień, nie licząc tych wszystkich razów, kiedy przygotowaliśmy to miejsce.

– To niezbyt często.

– Więcej nie trzeba dopóki nie dostaniemy danych sejsmicznych.

Narastająca w żołądku Clarke groza – powstrzymana chwilę temu, kiedy w rozmowie pojawiła się nadzieja, związana z zaimplementowaniem fałszywej pamięci – powraca niczym fala i to dwukrotnie zimniejsza niż wcześniej.

– *O kurwa* – szepcze ryfterka. – Mówisz o prawdopodobieństwie.

Lubin kiwa głową.

– Praktycznie nie ma takiej możliwości, żebyśmy byli w okolicy, kiedy to coś pojawiło się tu po raz pierwszy.

– Czyli to nie jest pierwszy raz. Był tu już wcześniej – stwierdza Clarke.

– Podejrzewam, że co najmniej kilka razy. Mógł odwiedzać Niemożliwe Jezioro częściej niż *my*. – Lubin toczy wzrokiem po zebranych. – Ktoś jest już na naszym tropie. Jeśli odeślemy ten pojazd z powrotem, pozbawiając go pamięci otoczenia, przekazemy im wiadomość, że o tym *wiemy*.

– Kurwa – rzuca drżącym głosem Nolan. – Jesteśmy w dupie. Pięć lat. Jesteśmy w totalnej dupie.

Ten jeden, jedyny raz Clarke jest skłonna przyznać jej rację.

– Niekoniecznie – odpowiada Lubin. – Wydaje mi się, że jeszcze nas nie znaleźli.

– Gówno prawda. Przecież sam powiedziałaś, że od miesiąca, a nawet lat...

– *Nie znaleźli nas* – powtarza Lubin tym spokojnym, nader opanowanym głosem, świadczącym o topniejących pokładach cierpliwości. Nolan natychmiast milknie.

– *Znaleźli* jedynie – podejmuje po chwili mężczyzna – siatkę reflektorów, urządzenia rejestrujące aktywność sejsmiczną i paliki pomiarowe. Z ich punktu widzenia wygląda to na przerwane prace wydobywcze. – Chen otwiera usta, ale Lubin unosi dłoń, uciszając ją zawczasu. – Osobiście nie wierzę w tę wersję. Jeśli mieli powody, by szukać nas w tej okolicy, zapewne założą, że to my stoimy za wszystkim, na co uda im się natrafić.

– Jednak jezioro co najwyżej stanowi dla nich dowód, że są blisko. – Lubin uśmiecha się nieznacznie. – No i są, znajdujemy się w odległości zaledwie dwudziestu kilometrów. Dwudziestu mrocznych kilometrów przez najbardziej ekstremalną topografię na całej planecie. Jeśli to wszystko, co mają, to nigdy nas nie znajdą.

– Dopóki nie przyślą tu czegoś, co będzie tylko siedzieć cicho i czekać na nas. – Hopkinson wyraźnie nie jest przekonana. – A potem podąży naszym śladem.

– Może już to zrobili – wtrąca Clarke.

– Nie było żadnych alarmów – zauważa Chen.

Clarke przypomina sobie – w każdym tutejszym habie, dronie i pojeździe znajdują się transpondery. Rozmawiają uprzejmie ze sobą nawzajem, ale podnoszą krzyk, kiedy tylko sonar natrafi na coś, co nie zna miejscowego dialektu. Clarke zapomniała o nich na długie lata – urządzenia te powstały bowiem w pierwszych dniach wygnania, kiedy strach przed wykryciem kładł się ciężarem na sercach wszystkich. Jednak przez cały ten czas jedynymi wrogami okazali się dla siebie oni sami.



– Ale dziwne, że nie próbowali – odzywa się znówu Clarke. Wydaje jej się to dość oczywistym posunięciem.

– Może próbowali, ale zgubili nas – sugeruje Hopkinson. – Gdyby zbyt blisko się zbliżyli, zobaczylibyśmy ich, a zdarzają się tutaj takie miejsca, gdzie sonar daje ci widoczność na zaledwie sześćdziesiąt metrów.

– Może nie dysponowali wystarczającymi zasobami – odzywa się z nadzieją Alexander. – Może to tylko dwóch gości w łodzi, wyposażonych w mapę skarbów.

– Może po prostu jeszcze tego nie zrobili. – To Nolan.

– A może wcale nie muszą – kończy rozważania Lubin.

– Co? Chcesz powiedzieć... – Na twarzy Hopkinson kiełkuje zrozumienie. – *Dezynsekcja?*

Lubin przytakuje.

Zapada martwa cisza. Po co marnować cenne zasoby na namierzanie i śledzenie celu na terenie, który może być pełen pułapek? Po co ryzykować, że zostanie się odkrytym, kiedy taniej i łatwiej jest podstępem skłonić swych wrogów do skażenia własnej studni?

– Szlag – wykrztusza Hopkinson. – To jak zostawianie zatrutego pożywienia dla mrówek, żeby zaniósł je swojej królowej...

Alexander kiwa głową.

– Czyli to stąd się wziął... Behemot nie miał prawa występować w tej okolicy i nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki...

–  $\beta$ -Max wziął się z jebanej *Atlantydy* – przerywa mu warknięciem Nolan. – Z tego, co nam wiadomo, szczep z jeziora to tylko podstawowa odmiana. Mamy tylko słowo korpów na to, że jest inaczej.

– No tak, ale nawet tej podstawowej odmiany nie powinno tu być –

– *Czy tylko ja pamiętam, że to przecież korpy stworzyły podstawową odmianę?* – Nolan toczy wzrokiem po pomieszczeniu, a w jej białych oczach płonie wściekłość. – Rowan sama to *przyznała*, na litość boską!

Jej spojrzenie spoczywa na Clarke, będącej czystą antymaterią. Ta czuje, jak jej dłonie zaciskają się w pięści, a kącik ust wędruje ku górze w drwiącym uśmiešku. Orientuje się jednocześnie, że mowa jej ciała w żaden sposób nie pomoże w rozładowaniu sytuacji.

*Jebać to*, postanawia i prowokacyjnie robi krok do przodu.

– Ach *tak* – rzuca Nolan i atakuje.

Lubin porusza się, jakby robił to bez żadnego wysiłku. W jednej chwili siedzi przy konsoli, w kolejnej Nolan leży już na podłodze niczym zepsuta lalka. W niemal niezauważalnym momencie pomiędzy jednym a drugim, Clarke wydaje się, że widziała, jak mężczyzna wstał z krzesła i zatopił łokieć w przeponie Nolan, a kolano w jej plecach. Może nawet coś usłyszała – dźwięk, który mógłby rozbrzmieć, gdyby gałąź drzewa uderzyła kogoś w nogę. Teraz jej rywalka spoczywa płasko na plecach, nieruchoma z wyjątkiem gwałtownego, gorączkowego trzepotania powiek i palców u rąk.

Wszyscy skamienieli.

Lubin toczy wzrokiem po twarzach pozostałych.

– Stoimy w obliczu wspólnego zagrożenia. Bez względu na to, skąd wziął się  $\beta$ -Max, nie poradzimy sobie z nim bez pomocy korpów skoro straciliśmy Bhanderiego. Ponadto, korpy dysponują odpowiednią wiedzą także w innych dziedzinach.

Nolan bełkocze coś u ich stóp. Jej ręce poruszają się nieznacznie, ale nogi wyraźnie ani drgną.

– Na przykład – ciągnie – kręgosłup Grace został złamany na wysokości trzeciego kręgu lędźwiowego. Bez pomocy *Atlantydy* spędzi resztę życia sparaliżowana od pasa w dół.

Chen blednie.

– *Jezu, Ken!* – Przełamując własny paraliż, klęka u boku Nolan.

– Nierozsądnie byłoby przenosić ją bez kokonu – mówi łagodnie Lubin. – Może Dimitri dałby radę skądś go skombinować.

To tylko brzmi jak sugestia. Już po kilku sekundach śluza zaczyna swój cykl.

– Natomiast co do was, dobrzy ludzie – kontynuuje mężczyzna tym samym spokojnym tonem – ufam, że widzicie, że sytuacja uległa zmianie, a współpraca z Atlantydą leży teraz w naszym najlepiej pojętym interesie.

Pewnie widzą teraz dokładnie to samo, co Clarke – człowieka, który bez wahania złamał kręgosłup własnego oficera, byle tylko to do niego należało ostatnie słowo. Clarke spogląda w dół, na swojego rozgromionego wroga. Pomimo otwartych oczu i podrygiwań, Nolan sprawia wrażenie nie w pełni przytomnej.

*Masz za swoje, morderco. Pierdolona, jebana w dupę pizdo. Czy to bolało, złotko? Nie dość mocno. Zdecydowanie nie dość mocno.*

Jednak to wymuszona radość. Clarke pamięta, co czuła kiedy zginęła Rowan i co czuła później – zimny, morderczy szal i absolutną, niezachwianą pewność, że Nolan zapłaci jej za to swym życiem. Lecz teraz, gdy ona leży tu, bezradna i połamana, ale przez kogo innego, jedynym, co pozostało po płonącym zaledwie godzinę temu gniewie, jest zwęglona pustka.

*Mogłabym dokończyć dzieła, myśli. Gdyby Ken mnie nie powstrzymał.*

Czy jest aż tak nielojalna wobec pamięci swej przyjaciółki, że czerpie z całej sytuacji tak niewielką przyjemność? Czy to nagły strach przed wykryciem przyćmił jej wściekłość, czy też wytłumaczenie jest to samo, co zawsze – że Lenie Clarke, krztusząca się gniewem przez tysiące lat, nagle straciła zapal?

*Pięć lat temu nie obchodziło mnie, że zginą miliony niewinnych. Teraz stałam się takim tchórzem, że nie mam odwagi nawet winnych ukarać.*

Przychodzi jej do głowy, że niektórzy mogliby uznać to za postęp...

– ...wiele niewiadomych – dociera do niej głos Lubina. – Może osoby, które wysłały drona są odpowiedzialne za  $\beta$ -Maxa, a może nie. Jeśli tak, to wykonały już swój ruch. Jeśli nie, to nie są *gotowe*, by go wykonać. Nawet jeśli wiedzą, gdzie *dokładnie* nas szukać, w co wątpię, to albo nie mają jeszcze wszystkich pionków na planszy, albo czekają na właściwy moment z jakiegoś innego powodu.

Mężczyzna naciska klawisz, pozwalając znów zmieniać się liczbom na tablicy. Nie zaszczycą już choćby jednym spojrzeniem istoty bełkoczącej na pokładzie za jego plecami.

Chen zerka nerwowo na Nolan, ale Lubin postawił sprawę jasno: *Ja tu rządzę. Pogódźcie się z tym.*

– Jakiego powodu? – pyta po chwili.

Lubin wzrusza ramionami.

– Ile mamy czasu?

– Więcej, jeśli się nie zdradzimy. – Ryfter krzyżuje ramiona na piersi i przeciąga się. Jego mięśnie i ścięgna napinają się niepokojąco pod skórą głębinową. – Jeśli dowiedzą się, że próbujemy ich namierzyć, mogą poczuć presję i wykonać ruch wcześniej zamiast później. Tak więc zagramy w ich grę, by zyskać na czasie. Zmienimy pamięć drona i wypuścimy go z jakąś drobną usterką systemową, zdolną usprawiedliwić zwłokę. Będziemy też musieli przeszukać okolice jeziora pod kątem urządzeń monitorujących oraz wytyczyć siatkę w obrębie co najmniej pół kilometra od Atlantydy i kempingu. Lanie ma rację – mało prawdopodobne, by taki pojazd podłożył tamte miny, ale jeśli jednak tak

było, to gdzieś w zasięgu modemów akustycznych o niskiej częstotliwości znajduje się detonator.

– No dobra. – Hopkinson z wyraźnym trudem odrywa wzrok od powalonej towarzyszki. – Czyli... mamy pogodzić się z Atlantydą, przerobić drona i przeczesać teren pod kątem różnych paskudztw. A co potem?

– Potem wrócę – odpowiada Lubin.

– Gdzie, nad jezioro?

Lubin uśmiecha się nieznacznie.

– Do N' Am.

Hopkinson gwizdże przez zęby, zaskoczona.

– Cóż, jeśli *ktokolwiek* jest w stanie stawić im czoła...

*Stawić czoła komu?* zastanawia się Clarke. Nikt nie pyta na głos. *Komu* jest czymś, co wszyscy pomijają. *Im. Oni* chcą nas zniszczyć. *Oni* węszą na Grzbiecie Śródatlantyckim, skupieni na swych wiecznych, krótkowzrocznych poszukiwaniach tej jednej właściwej pary współrzędnych, którą będą mogli przekazać torpedom.

Nikt nie pyta też dlaczego. Nie ma żadnego *dlaczego*, kiedy mowa o polowaniu – *oni* po prostu to robią. Nie ma sensu szukać powodów. Pytaniem *dlaczego* nic się nie osiągnie – powodów jest więcej niż dałoby się zliczyć, a nikomu z żyjących nie brak motywacji. Ten podzielony, dwubiegunowy mikrokosmos na dnie oceanu pogrąża się w stagnacji i gnije, a wszystkie powody jego istnienia sprowadzają się do jednego aksjomatu – bo *tak*.

A mimo to, jak wielu spośród jego mieszkańców – ilu spośród ryfterów, ilu nawet spośród lądowców – jest naprawdę winnych opuszczenia kurtyny? Na każdego korpa, rzeczywiście mającego krew na rękach, ilu właściwie przypada innych ludzi – członków rodziny, przyjaciół, robotników, dbających o różne instalacje, maszyny czy ogólny dobrobyt – których jedyną winą jest to, z kim są powiązani?

A czy doszłoby do tego, gdyby Lenie Clarke nie pałała tak silną żądzą zemsty, że gotowa była spisać cały świat na straty jako nieprzewidziany wydatek?

*Alyx*, powiedziała Rowan.

Clarke kręci głową.

– Nic z tego.

– Tutaj możemy co najwyżej grać na czas – odzywa się Lubin, nie odrywając wzroku od ekranu. – A musimy go *wykorzystać*.

– Tak, ale...

– Jesteśmy ślepi, głusi i atakowani. Podstęp się nie udał, Lenie. Musimy wiedzieć, z czym się mierzymy, a to oznacza, że musimy się z tym *zmierzyć*. Koniec dyskusji.

– Nie ty – mówi Clarke.

Lubin odwraca się w jej stronę i unosi brew.

Ryfterka odpowiada mu niewzruszonym spojrzeniem.

– My.

Odmawia trzykrotnie, jeszcze zanim zdążyli w ogóle wyjść na zewnątrz.

– Ktoś musi tu wszystkim kierować – nalega, kiedy śluza wypełnia się wodą. – Jesteś najodpowiedniejszą kandydatką. Nikt nie będzie sprawiał ci problemów, skoro Grace została wykluczona z gry.

Clarke czuje lodowate zimno w swym wnętrzu.

– A więc o to chodziło? Odegrała już swoją rolę, a tobie zależało na przywróceniu mnie

do obiegu, więc po prostu... złamałeś ją na pół?

– Założę się, że nie jest to nic straszniejszego od tego, co *sama* zamierzałaś jej zafundować.

– Idę z tobą.

Właz pod ich stopami otwiera się.

– Naprawdę uważasz, że możesz zmusić mnie, żebym zabrał cię ze sobą? – Mężczyzna zatrzymuje się, obraca i, młócąc nogami, wypływa z kręgu światła.

Clarke rusza jego śladem.

– A ty naprawdę uważasz, że poradzisz sobie bez żadnego wsparcia?

– Prędzej niż mając ze sobą niewyszkolonego pomocnika, który zaciągnął się z niewłaściwych powodów.

– Gównu wiesz o moich powodach.

– Będiesz mnie spowalniać – byczy Lubin. – Mam o wiele większe szanse, nie musząc ciągle uważać na ciebie. Jeśli wpakujesz się w kłopoty...

– Zostawisz mnie – kończy za niego Clarke. – Bez wahania. Wiem, co jest twoim priorytetem na polu bitwy. Szlag, Ken, przecież cię *znam*.

– Ostatnie wydarzenia sugerowałyby coś zgoła przeciwnego.

Ryfterka wpatruje się w niego, niewzruszona. On natomiast, pracując rytmicznie nogami, znika w mroku.

*Dokąd on płynie?* – zastanawia się Clarke. *Przecież tam nic nie ma...*

– Nie zaprzeczysz, że brakuje ci odpowiedniego przygotowania do takich operacji – zauważa Lubin. – Nie przeszłaś szkolenia.

– Dlatego musi być dla ciebie mocno krępujące, że udało mi się przejść przez całą N'Am, zanim ty, twoja armia i całe to twoje szumne *szkolenie* w ogóle zdołaliście mnie dogonić. – Kobieta uśmiecha się pod maską, ale niezbyt życzliwie. On tego nie widzi, ale być może wyłapie odczucie. – Pokonałam cię, Ken. Może nie byłam tak sprytna jak ty, nie przeszłam szkolenia i nie miałam za sobą wszystkich sił N'Am, ale mimo to całymi *miesiącami* udawało mi się być o krok przed tobą i dobrze o tym wiesz.

– Miałaś sporo wsparcia – wytyka jej Lubin.

– Może wciąż mam.

Na krótką chwilę jego nogi przerywają swoją pracę. Być może wcześniej nie przyszło mu to do głowy.

Clarke postanawia wykorzystać swoją szansę.

– Tylko pomyśl, Ken. Wszystkie te wirtualne wirusy współpracowały ze sobą, by zatrzeć moje ślady, spowodować zakłócenia, zamienić mnie w jebany mit...

– Ukwiał nie pracował dla ciebie – byczy mężczyzna. – *Wykorzystywał* cię. Byłaś tylko...

– Narzędziem. Memem w planie Globalnej Apokalipsy. Daj spokój, Ken. To nie tak, że potrafiłabym o tym zapomnieć, choćbym chciała. Tylko, co z tego? Mimo to byłam nosicielką. A on lubił mnie na tyle, by trzymać *was* z dala ode mnie. Kto wie, może wciąż tam jest? Bo skąd w innym wypadku mogłyby pochodzić te softwarowe demony? Myślisz, że to przypadek, że nazywają siebie moim imieniem?

Clarke z trudem dostrzega, jak sylwetka Lubina wyciąga rękę. Wodę przecina sygnał sonaru. Mężczyzna znów zaczyna płynąć, ale koryguje nieco kurs.

– Uważasz więc – byczy – że jeśli wrócisz i przedstawisz się Ukwiałowi – czy temu, co z niego zostało – a on otoczy cię jakąś magiczną tarczą?

– Może i n-

– On się *zmienił*. Zawsze się zmieniał, z chwili na chwilę. To prawie niemożliwe, by przetrwał w takiej formie, jaką pamiętamy, a jeśli te rzeczy, na które ostatnio natrafialiśmy, stanowią dowolną wskazówkę odnośnie tego, czym się stał, to raczej nie będziesz chciała odnawiać znajomości.

– Być może – zgadza się Clarke. – Ale może niektóre z jego podstawowych celów *nie uległy* zmianie. On żyje, prawda? Wszyscy to powtarzają. I nie ma znaczenia, że jest zbudowany z elektronów, a nie z węgla. *Życie to tylko samoreplikująca się informacja ukształtowana w procesie doboru naturalnego*, tak więc należy do klubu. No a *my* mamy w sobie geny, które nie zmieniły się od miliona pokoleń. Dlaczego z tym czymś miałyby być inaczej? Skąd wiesz, że gdzieś w jego kodzie nie drzemie podprogram „Chronić-Lenie”? A przy okazji, dokąd *my* w ogóle *plłyniemy*?

Latarka czołowa Lubina rozbłyskuje z pełną mocą i na podłożu przed nimi pojawia się jasny, podrygujący owal.

– Tam.

Szare błoto, niewyróżniające się absolutnie niczym z otoczenia. Clarke nie potrafi dostrzec choćby kamyczka, który pozwalałby na zidentyfikowanie tego miejsca.

*Może to cmentarz*, myśli kobieta, nagle skołowana. *Może to tutaj dawał upust swym nawykom przez te wszystkie lata. Realizował je na tubylcach, zaginionych w akcji, a teraz na pewnej głupiej dziewczynie, która nie potrafiła przyjąć do wiadomości odmowy...*

Lubin wkłada rękę w szlam. Błoto wokół drży, jakby coś stawiało opór. I dokładnie tak jest – Ken obudził coś ukrytego pod powierzchnią. Mężczyzna cofa rękę, wyciągając to. Z przedmiotu spadają grudy piachu, a ponad nim wzbijają się kredowe chmury.

Jest to rozdęty torus o szerokości półtora metra. Wzdłuż jego równika ciągnie się w odstępach szereg hydraulicznych dysz. Otwór pośrodku zakrywają dwie warstwy elastycznej taśmy – jedna na górze i jedna na dole. Przestrzeń pomiędzy nimi zajmuje torba sportowa, wypchana powrzuconymi do środka rzeczami. Pośród kłębiącego się mroku i pomimo poprzyklejanych wciąż grud błota, połyskuje gładko niczym skóra głębinowa.

– Zapakowałem trochę sprzętu na podróż powrotną – byczy Lubin. – Na wszelki wypadek.

Cofa się o kilka metrów. Mechaniczny tragarz wykonuje ćwierć obrotu, wyrzuca mulistą wodę z silników i zaczyna podążać za swym panem.

Zawracają.

– Czyli twój plan wygląda tak – odzywa się po chwili Lubin. – Znaleźć coś, co wyewoluowało, by pomóc ci w zniszczeniu świata, odwołać się do jego ludzkich cech, które masz nadzieję, że posiada i...

– I obudzić skurwiela pocałunkiem – kończy Clarke. – Kto powiedział, że mi się nie uda?

Mężczyzna płynie przed siebie, ku blaskowi, który zaczyna jaśnieć na horyzoncie. W przyćmionym świetle jego oczy przypominają dwa półksiężycy.

– Przekonamy się – odpowiada wreszcie.

## SEDNO

Wolałaby tego uniknąć, gdyby tylko mogła.

Miałyby wystarczającą wymówkę. Niedawne zawieszenie broni jest bardzo kruche. To mało prawdopodobne, by posypało się w obliczu nowego, wspólnego zagrożenia, ale niezliczone, małe pęknięcia wymagają nieustannej uwagi. Nagle to korpy mają przewagę dzięki wiedzy, której nie jest w stanie skopiować żadna maszyna. Ryfterzy nie są specjalnie zadowoleni z tej nowej asertywności

swych byłych więźniów. Trzeba przeczesać Niemożliwe Jezioro w poszukiwaniu mikrobów, a dno morskie w okolicy pod kątem pluskiew i detonatorów. Na razie nie istnieje coś takiego jak bezpieczne miejsce – gdyby Lenie Clarke nie była zajęta pakowaniem się do drogi powrotnej, jej oczy przydałyby się podczas patrolu. Podczas ostatniej insurekcji zginęły dziesiątki korpów. Nie ma czasu na pocieszenie wszystkich ich najbliższych.

Jednak matka Alyx zginęła w jej ramionach zaledwie kilka dni temu, a choć tempo przygotowań wcale nie spadło przez ten czas, Lenie Clarke wciąż czuje się jak najgorszy tchórz, że odkładała to tak długo.

Naciska przycisk dzwonka w korytarzu.

– Lex?

– Wejdz.

Alyx siedzi na łóżku, ćwicząc grę na flecie. Odkłada instrument na bok, gdy Lenie zamyka za sobą włącz. Nie płacze – albo wciąż jest w szoku, albo padła ofiarą nienaturalnie dojrzałej samokontroli. Clarke widzi w niej samą siebie w wieku piętnastu lat, po czym przypomina sobie, że jej wspomnienia z tego okresu to same kłamstwa.

I tak żal jej tej dziewczynki. Ma ochotę wziąć Alyx w ramiona i trzymać ją tak przez następne milenium. Chciałaby powiedzieć jej, że sama przez to przeszła i wie jak to jest – w pewnym sensie to prawda, na swój pokręcony sposób. W aktach przemocy traciła przyjaciół i kochanków. Straciła też matkę – chorą na tularemię – choć GA pozbawiło ją tego wspomnienia wraz z szeregiem innych. Wie jednak, że to nie to samo. Matka Alyx umarła na wojnie, a Lenie Clarke stała po drugiej stronie barykady. Clarke nie ma pojęcia, czy w związku z tym Alyx w ogóle pozwoliłaby jej się przytulić.

Siada więc obok niej na łóżku, kładzie jej dłoń na udzie – gotowa cofnąć ją w przypadku najdrobniejszego drgnięcia – i próbuje wymyślić coś, co mogłaby powiedzieć, cokolwiek, byle tylko nie zabrzmiało to jak tani banał.

Wciąż myśli, gdy odzywa się Alyx.

– Powiedziała coś? Zanim umarła?

– Ona... – Clarke kręci głową. – Nie. Nie przypominam sobie – kończy, nienawidząc samej siebie.

Alyx kiwa głową i wbija spojrzenie w podłogę.

– Mówią, że ty też jedziesz – mówi po chwili. – Z nim.

Clarke przytakuje.

– Nie rób tego.

Lenie bierze głęboki wdech.

– Alyx, ty... O Boże, Alyx, tak mi przyk-

– Dlaczego musisz jechać? – Alyx odwraca głowę i spogląda na nią stanowczymi, jasnymi oczami, które mówią zdecydowanie zbyt wiele. – Co w ogóle będziecie tam robić?

– Musimy dowiedzieć się, kto nas tropi. Nie możemy po prostu czekać aż zaczną strzelać.

– Skąd ta pewność, że to właśnie zrobią? Może po prostu chcą pogadać albo coś.

Clarke potrząsa głową, uśmiechając się na tak absurdalny pomysł.

– Ludzie tacy nie są.

– Jacy?

*Wielkoduszni.*

– Nie są przyjaźni, Lex. Kimkolwiek są. Zaufaj mi.

Alyx jednak już przeszła do planu B:

– Do czego w ogóle możesz tam się przydać? Nie jesteś szpiegiem, nie jesteś technikiem. Nie jesteś zdziaczałym, psychopatycznym mordercą jak *on*. Tam na górze możesz co najwyżej dać się

zabić.

– Ktoś musi mu pomóc.

– Dlaczego? Niech jedzie sam. – Niespodziewanie słowa Alyx zaczynają ociekać lodem. – Przy odrobinie szczęścia *nie powiedzie* mu się. Cokolwiek tam jest, rozszarpie go na strzępy, a świat stanie się odrobinę mniej chujowym miejscem.

– Alyx...

Córka Rowan zrywa się z łóżka i spogląda na nią z góry.

– Jak możesz mu pomagać po tym jak zabił mamę? Jak możesz w ogóle z nim *rozmawiać*? To psychol i morderca.

Automatyczne słowa zaprzeczenia giną na ustach Clarke. Ostatecznie nie ma pojęcia, czy Lubin *nie przyłożył* ręki do śmierci Rowan. Był kapitanem drużyny podczas tego konfliktu, tak samo zresztą jak wcześniej. Prawdopodobnie wiedział o tak zwanej *misji ratunkowej*, nawet jeśli sam jej nie zaplanował.

Lecz z jakiegoś powodu Clarke czuje się w obowiązku bronić wroga tego pogrążonego w żalu dziecka.

– Nie, kochanie – mówi cicho. – Było zupełnie odwrotnie.

– Co?

– Ken najpierw był mordercą. A dopiero *potem* stał się psycholem. – Co jest dosyć zgodne z prawdą.

– O czym ty mówisz?

– Wprowadzili mu zmiany w mózgu. Nie wiedziałaś?

– Oni?

*Twoja matka.*

– GA. Nic specjalnego, zwykła paczka modyfikacji dla szpiegów przemysłowych. Zrobili to, by pod żadnym pozorem nie dopuszczał do naruszeń tajemnic służbowych i to nawet o tym nie myśląc. Robił to automatycznie.

– Mówisz, że nie miał *wyboru*?

– Nie, do momentu, gdy został zainfekowany Spartakusem. Chodzi o to, że Spartakus wycina modyfikacje, ale narusza też integralność kilku innych połączeń. Dlatego teraz Ken nie posiada czegoś, co nazwałabyś sumieniem, a jeśli to twoja definicja psychola, to właśnie nim jest. Ale to nie był jego *wybór*.

– Co za różnica? – pyta Alyx.

– To nie tak, że nagle zapragnął stać się tym, kim jest.

– No i co z tego? Od kiedy to psychole mają możliwość wybrania własnej chemii mózgu?

Clarke musi przyznać, że to bardzo dobry argument.

– Lenie, proszę – błaga Alyx. – Nie możesz mu ufać.

Lecz mimo to w jakiś dziwny, pokręcony sposób – po wszystkich tych tajemnicach i zdradach – Clarke wciąż ufa Kenowi Lubinowi bardziej niż komukolwiek innemu. Oczywiście nie może powiedzieć tego głośno. Nie może tego powiedzieć, bo Alyx wierzy, że Ken Lubin zabił jej matkę i być może tak właśnie było. A przyznanie się do ufania mu może wystawić przyjaźń z tą zranioną dziewczynką na próbę, której Clarke woli nie podejmować.

To jednak nie wszystko. To tylko wyjaśnienie, które unosi się na powierzchni, oczywiste, widoczne i wyrachowane. Istnieje jeszcze inny powód, głębszy i bardziej złowrogi – Alyx może mieć rację. W ciągu kilku ostatnich dni Clarke zauważyła coś nieznanego spoglądającego zza nakładek Lubina. Znika to natychmiast, gdy tylko próbuje skupić na tym uwagę. Nie jest nawet pewna, jak to

rozpoznaje. Może to niemal niedostrzegalne mrugnięcie powieki. Niemal podświadome drgnięcie fotokolagenu, odzwierciedlające ruch ukrytych pod nim oczu.

Dopiero trzy dni temu, po raz pierwszy od kiedy się tu znaleźli, Ken Lubin odebrał komuś życie. Nawet podczas pierwszego powstania zadowalał się łamaniem kości. Zabijanie zostawił niewprawnym, entuzjastycznym ryfterom, którzy wciąż upajali się niewyobrażalnym przyływem władzy nad swoimi wcześniejszymi panami. Poza tym nie ulega wątpliwości, że ofiary z ostatnich siedemdziesięciu dwóch godzin można zrzucić w całości na karb samoobrony.

Mimo wszystko Clarke zastanawia się, czy ta niedawna jatka mogła przebudzić w głowie mężczyzny coś, co pozostawało uspijone przez pięć lat. Ponieważ wtedy, gdy przychodziło co do czego, Ken Lubin *uwielbiał* zabijać. Łaknął tego, choć – po wyzwoleniu – nie traktował już tej wolności jako wymówki, lecz jako wyzwanie. *Kontrolował* się, w taki sam sposób jak długoletni palacz, stale chodzący z nieotworzoną paczką papierosów – by udowodnić sobie, że jest silniejszy od nałogu. Jeśli istniała jedna rzecz, z której Ken Lubin był dumny, to niewątpliwie była nią samodyscyplina.

Ten głód. Ta żądza zemsty na świecie – czy to kiedykolwiek zniknęło? Jeszcze jakiś czas temu Lenie Clarke napędzało takie pragnienie – ugaszone przez miliard albo i więcej śmierci, które teraz nie miało już nad nią władzy. Nie może jednak przestać się zastanawiać, czy ostatnie wydarzenia nie wcisnęły Lubinowi do ust kilku fajek wbrew jego woli. Ciekawiło ją, jak smakował mu dym po takiej przerwie i czy czasem nie przypominał sobie, jak dobrze czuł się z tym kiedyś...

Clarke ze smutkiem kręci głową.

– Nie może to być nikt inny, Alyx. To muszę być ja.

– *Dlaczego?*

*Ponieważ w porównaniu z tym, co ja zrobiłam, ludobójstwo to tylko drobne wykroczenie. Ponieważ świat umiera po moim przejściu, podczas gdy ja siedzę tutaj. Ponieważ mam już dość bycia tchórzem.*

– Ponieważ to wszystko moja wina – mówi w końcu.

– I co z tego? Czy powrót na górę *cofnie* to, co się stało? – Alyx kręci głową z niedowierzaniem. – Jaki w tym *sens*? – Stoi tak, patrząc na nią niczym kruchy, porcelanowy sędzia pokoju, który zaraz rozpadnie się na kawałki.

Lenie Clarke bardzo chciałaby móc ją teraz pocieszyć. Jednak Lenie Clarke nie jest *aż tak* głupia.

– Ja... muszę stawić czoła temu, co zrobiłam – mówi cicho.

– Gówno prawda – rzuca Alyx. – Niczemu nie stawiasz czoła. Tylko uciekasz.

– Uciekam?

– Przede mną, w pierwszej kolejności.

I nagle nawet Lenie Clarke, zawodowa idiotka, rozumie wszystko. Alyx nie boi się o to, co Lubin mógłby zrobić Lenie Clarke, ale o to, co Lenie Clarke może zrobić samej sobie. Nie jest głupia. Zna Clarke od lat i dobrze wie, co cechuje ryfterów. Lenie Clarke miała kiedyś skłonności samobójcze. Kiedyś nienawidziła siebie dostatecznie mocno, by chcieć umrzeć, a było to jeszcze zanim zrobiła coś, czym *zasłużyłaby* sobie na śmierć. Teraz zamierza wrócić do świata, gdzie całe mnóstwo rzeczy będzie przypominać jej o tym, że zabiła więcej ludzi niż wszyscy pokroju Lubina, którzy kiedykolwiek żyli. Alyx Rowan zastanawia się, niebezpiecznie, czy jej najlepsza przyjaciółka podetnie sobie żyły, gdy to się stanie.

Szczerze powiedziawszy, Clarke też się nad tym zastanawia.

Ale mówi jedynie:

– Nic mi nie będzie, Lex. Nie zrobię... To znaczy, nie mam zamiaru się krzywdzić.



– Naprawdę? – pyta nieśmiało Alyx.

– Naprawdę. – Teraz, po tych zapewnieniach i uspokojeniu nastoletnich obaw, Lenie Clarke ujmuje dłonie dziewczyny.

Alyx nie sprawia już wrażenia kruchej. Spogląda chłodnym wzrokiem na ręce Clarke zaciśnięte wokół jej własnych, luźno zwieszonych nadgarstków.

– Szkoda – mówi cicho.

## OSTRZAŁ

Pociski wystrzeliły znad Atlantyku niczym zbłąkane fajerwerki, zmierzając na zachód. Pojawiły się w pięciu odrębnych rojach, rozpoczynając dziesięciminutowy pojedynek szachowy rozgrywany z drugą półkulą ziemską. Wykonywały beczki i korkociągi wzdłuż szalonych trajektorii, które byłyby komiczne, gdyby tylko nie sprawiały, że tak cholernie trudno było je przechwycić.

Desjardins starał się jak mógł. Pół tuzina antycznych rakiet SDI czekało na orbicie na jego sygnał od czasu, gdy uwiódł je prawie dwa lata temu, przewidując tego rodzaju kryzys. Teraz musiał tylko zapukać do tylnych drzwi. Na jego polecenie rozłożyły nogi i wyłączyły umysły.

Maszyny zwróciły swą uwagę ku szeregowi smug kondensacyjnych, szpecących atmosferę w dole. Uruchomiły skomplikowane, a przy tym misterne algorytmy, oddzielając ziarna od plew i tworząc prognozy celowania, wyliczając wektory przechwytywania i funkcje przydatności. Ich analizy były wnikliwe, ale niczego nie gwarantowały – koniec końców, przeciwnik posiadał własne myślące urządzenia. Przynęty imitowały niszczycieli pod każdym możliwym względem. Każda zmiana kąta nachylenia sprawiała, że wyliczenie punktu uderzenia stawało się jeszcze bardziej skomplikowane. Przytłoczone danymi, satelity bojowe Desjardinsa odpaliły własne środki zaradcze – lasery, promienie cząsteczek, rakiety wystrzelone z ich własnych cennych, niemożliwych do uzupełnienia zapasów – ale każda decyzja bazowała na probabilistyce, każdy ruch stanowił produkt statystyki. Gdy igrasz ze szczęściem, nic nie jest pewne.

Trzy zdołały się przedrzeć.

Przeciwnik zaliczył dwa trafienia we Florydę i jedno w pas pyłowy w Teksasie. Desjardins wygrał półfinał w Nowej Anglii jeszcze w przedbiegach – żaden z pocisków nie znalazł się nawet na trajektorii schodzącej – ale południowe wybuchy mogłyby w zupełności wystarczyć, by przechylić szalę zwycięstwa, gdyby nie podjął natychmiastowych działań lądowych. Wysłał osiem podnośników z instrukcjami sterylizacji wszystkiego w promieniu dwudziestu-k, zaczekał na potwierdzenie wylotu i opadł na krzesło, wyczerpany. Zamknął oczy. Statystyki i dane telemetryczne płynęły nieprzerwanym strumieniem pod jego powiekami.

Nic równie zwyczajnego jak βehemot, nie tym razem. Zupełnie nowy wirus. Nazywano go *Seppuku*.

*Dziękuję, Południowa Jebana Afryko.*

Co było nie tak z tymi ludźmi? Przez tyle lat stanowili typowy kraj trzeciego świata, zniewolony, uciskany i rządzony twardą ręką jak wszystkie inne. Dlaczego nie mogli po prostu zrzucić kajdan w klasyczny sposób, wzniecając rebelię z niewielkim dodatkiem krwawego pokarania winnych? Co za szaleńcy postanowili, po całych pokoleniach odczuwania buta na szyi, odpowiedzieć swoim oprawcom – uwaga – *propozycją pojednania*? Nie miało to żadnego sensu.

Poza tym, rzecz jasna, że zadziało. Od czasu świętego Nelsona Południowoafrykańczycy stali się mistrzami w robieniu uników, przystosowując się do problemów, zamiast stawiać im czoła, odwracając impet wroga na własną korzyść. Posiedli czarne pasy w socjologicznym judo. Przez pół

wieku przekradali się pod nosem świata i nikt tego nie zauważył.

Teraz stanowili większe zagrożenie niż Ghana, Mozambik i inne reżimy MM razem wzięte. Desjardins rozumiał w pełni, skąd wziął się gniew w tych zacofanych umysłach. Nawet więcej, po części z nimi sympatyzował – jakby nie patrzeć, zachodni świat siedział na dupie, cmokając z niezadowoleniem, podczas gdy epidemie weneryczne wypalały dymiące dziury w strukturze demograficznej Afryki. Jedyne Chińczycy mieli gorzej (a któż mógł wiedzieć, co dzieje się *tam*, za tymi mrocznymi granicami?). Nic dziwnego, że mem apokalipsy tak dobrze się tam przyjął. Prymitywne społeczeństwo wyrastające na popiołach starego porządku w ponad siedemdziesięciu procentach składało się z kobiet. Mściwa bogini odwracająca los, przynosząca Armagedon z samego dna oceanu – gdyby Lenie Clarke nie dostarczyła im gotowego szablonu, tego typu legenda z pewnością i tak powstałaby wśród ludności samą siłą spontanicznego samozapłonu.

Bezsilną złość mógł zrozumieć. Jednak uśmiechnięci popierdoleńcy z własnymi celami to coś zupełnie innego, szczególnie, gdy posiadali dostęp do niebezpiecznych technologii, wywodzących się jeszcze z czasów pierwszej *transplantacji serca*, do cholery, niemal wiek temu. *Seppuku* działał bardzo podobnie jak jego południowoafrykańscy twórcy – mikrobowy ekspert w judo i pozer, coś, co uśmiechało się do ciebie i podstępem zmuszało do opuszczenia gardy, a wtedy...

Tego typu strategia nie przyszlaby do głowy Europejczykom albo Azjatom. Była stanowczo zbyt subtelna jak na spadkobierców imperiów, zbyt tchórzliwa dla kogoś, kto wychował się na polityce walenia pięściami w tors. Lecz była to druga natura tych mistrzów manipulacji, zamieszkujących sam skraj Czarnego Łądu. Część swej kultury politycznej przenieśli na pole epidemiologii i teraz Achilles Desjardins musiał radzić sobie z konsekwencjami.

Delikatny, ciepły nacisk na jego udo. Desjardins otworzył oczy – Mandelbrot stał na tylnych łapach, opierając przednie o jego nogę. Kot miauknął, po czym, niezapraszany, wskoczył mu na kolana.

Już za chwilę rozbłysną światła na jego tablicy. Minęły lata od kiedy Desjardins odpowiadał przed jakimkolwiek szefem, ale oczy od Delhi po McMurdo śledziły każdy jego ruch. Zapewnił wszystkich, że upora się z pociskami. Gdzieś po drugiej stronie dowolnej liczby oceanów, prawołamacze z nieco bardziej cywilizowanych pustkowi – nie wspominając nawet o ich Smyczach – zaczęły wywoływać połączenia satelitarne i podnosić słuchawki aparatów, mając w zamiarze przeprowadzenie ożywionej rozmowy z oddziałem w Sudbury, Ontario. Zupełnie nie będą interesowały ich jego wymówki.

Potrafił sobie z nimi poradzić. W życiu radził sobie już z większymi wyzwaniem. Był rok 2056, całe dziesięć lat po tym, jak uratował kraje śródziemnomorskie i zupełnie odmienił dzięki temu swoje życie prywatne. Pięć lat po tym, jak Behemot i Lenie Clarke stanęli ramię w ramię w swej apokaliptycznej krucjacie przeciwko całemu światu. Cztery lata od czasu zniknięcia Wyższego Szczebla, cztery lata od momentu emancypacji Desjardinsa z rąk beznadziejnie zakochanej idealistki. Tylko odrobinę mniej od wydarzeń w Rio i jego dobrowolnego wygnania. Trzy lata od czasu wprowadzenia kwarantanny na półkuli zachodniej. Dwa od czasu spalenia N'Am. Poradził sobie z tym wszystkim i jeszcze kilkoma innymi rzeczami.

Ale Południowa Afryka – oni stanowili *prawdziwy* problem. Jeśli im się poszczęściło, *Seppuku* rozprzestrzenił się już po jego królestwie niczym pożar, a on nie potrafił wymyślić żadnego scenariusza, w którym mógłby zrobić coś więcej niż tylko odwlec nieuniknione. Szczerze wątpił, aby był w stanie powstrzymać ich dużo dłużej.

Dlatego dobrze się składało, że zaplanował sobie emeryturę.

**ΣΠΕΡΜΑΤΟΖΩΑ**

## WYDMA

*Phocoena* bezgłośnie wyrusza z Atlantydy, lawirując pomiędzy wzniesieniami i kanionami, które jednocześnie ukrywają oraz utrudniają jej podróż. Ich kurs przypomina schizoidalny zlepek sprzecznych priorytetów, gdzie pośpiech głośno zgrzyta w zetknięciu z chęcią przetrwania. Lenie Clarke ma wrażenie, że wskazania kompasu przypominają pracę generatora liczb losowych, ale z czasem ich wektor ruchu prowadzi na południowy zachód.

Po jakimś czasie Lubin stwierdza, że bezpiecznie opuścili okolicę. Pośpiech zaczyna iść w parze z dyskrecją. *Phocoena* wypływa na otwarte wody. Sunie na zachód wzdłuż zboczy Grzbietu Śródatlantyckiego, czasami skręcając w jedną lub w drugą stronę, by uniknąć muld wielkości podnośników orbitalnych. Góry ustępują miejsca pagórkom. Pagórki – bezkresnej pustyni błota. Rzecz jasna Clarke nie widzi tego przez iluminatory – Lubin nie zadał sobie trudu, by włączyć zewnętrzne światła – lecz topografia przewija się na panelu nawigacyjnym w jaskrawym, przystosowanym do głębin spektrum. Poszarpane, czerwone szczyty, tak wysokie, że ich wierzchołki niemal sięgają ponad mrok, zostały daleko poza zasięgiem. Pochyłości niezauważalnie przechodzące z żółcieni w zieleń powoli giną za rufą. Równina abisalna rozciąga się pod nimi niczym niebieski dywan, hipnotyczny i uspokajający.

Przez długie, łaskawe godziny nie ma żadnego wirulentnego mikroba do wytropienia, żadnych zdrad do powstrzymania, żadnych rozpaczliwych potyczek do stoczenia. Nie mają nic lepszego do roboty poza rozmyślaniem o pozostawionym za sobą mikrokosmosie wraz z przyjaciółmi i wrogami, którzy w końcu zawarli wymęczony wojną sojusz – jednak nie dzięki negocjacjom lub pojednaniu, lecz przez nagłe pojawienie się większego zagrożenia. *Zagrożenia z zewnątrz. Zagrożenia*, ku któremu *Phocoena* zmierza nawet teraz.

Być może ta krótka przerwa wcale nie jest takim błogosławieństwem.

Po pewnym czasie dno morza wznosi się przed nimi jak ogromna, wielobarwna skarpa puchnąca na ekranie monitora. W ścianie przed nimi zieje rozpadlina, wielki podwodny kanion dzielący szkocki szelf kontynentalny niczym boski czekan. Nawigacja opisuje go jako *Rów*. Clarke przypomina sobie tę nazwę. Jest tu jedna z największych instalacji przesyłowych po tej stronie zatoki Fundy. Lubin sprawia jej przyjemność, zbaczając o kilka stopni z kursu, by przeciąć jedną z olbrzymich konstrukcji wzniesionych w połowie długości kanionu. Gdy przepływają obok, zapala przednie reflektory. Z ciemności wyłania się zarys morskiego młyna. Widoczna krzywizna jego poszycia jest tak nieznaczna, że Clarke mogłaby ją wziąć za linię prostą. Ponad ich głowami przepłynęła jedna z ogromnych łopat, której podstawa i czubek ginęły w ciemności po obu stronach. Praktycznie się nie poruszała.

Jakiś czas temu to była konkurencja. Jeszcze nie tak dawno morskie prądy Rowu wytwarzały niemal tyle samo dżuli na sekundę, ile słusznej wielkości elektrownia geotermalna. Potem nastąpiła zmiana klimatu, a wraz z nią pływów. Teraz instalacja stanowi jedynie atrakcję turystyczną dla amfibiotycznych cyborgów – zawieszona w stanie nieważkości wraki, trwające w wiecznej ciemności.

*To my*, przemyka przez głowę Clarke, gdy przepływają obok. Przez jedną chwilę ona i Lubin również znajdują się w stanie nieważkości, dokładnie pomiędzy dwoma polami grawitacyjnymi. Za nimi: Atlantyda, nieudane schronienie. A przed nimi...

Przed nimi świat, przed którym się ukrywali.

Minęło pięć lat od kiedy była na lądzie. Wtedy apokalipsa dopiero się zaczynała. Kto wie jak mocno impreza rozkręciła się do tego momentu? Wiedzieli zaledwie kilka rzeczy – ogólniki, ponure pogłoski, fragmenty informacji przefiltrowane z poszarpanej ścieżki spektrum telekomunikacyjnego

przerzuczonego ponad Atlantykiem. Cała Ameryka Północna została objęta kwarantanną. Reszta świata spiera się o to, czy skrócić jej cierpienia, czy też pozwolić jej umrzeć samej. Większość wciąż walczy, by zahamować rozprzestrzenianie się behemota. Inni stali się zwolennikami mikroba Sądu Ostatecznego, zupełnie jakby z radością przyjęli nadejście Armagedonu.

Clarke nie jest pewna, co o tym myśleć. Być może to jakieś życzenie śmierci zakorzenione w podświadomości kolektywu. A może to jedynie ponura satysfakcja z faktu, że nawet zgubieni i ciemieni mogą się odegrać. Śmierć nie zawsze oznacza przegraną – czasami jest to szansa na to, by umrzeć z zębami wbitymi w krtań ciemieńców.

Na powierzchni jest całe mnóstwo umierania. Całe mnóstwo obnażania zębów. Lenie Clark nie zna powodów, którymi kierują się ci ludzie. Wie tylko, że część z nich działa w jej imieniu. Wie tylko, że ich liczba rośnie.

Ucina sobie drzemkę. Gdy ponownie otwiera oczy, kokpit zalewa rozproszone, szmaragdowe światło. *Phocoena* posiada cztery iluminatory – dwa grzbietowe, dwa brzuszne – wielkie, pleksiglasowe łyżki, zwężające się w stronę dziobu. Na górne bulaje napiera zielonkawa toń. U dołu, wyłobiona koleinami piaszczysta równina przemyka pod nogami Clarke.

Lubin wyłączył wielobarwne odczyty. Na ekranie nawigacyjnym *Phocoena* pnie się w górę monochromatycznego wzniesienia. Głębokościomierz wskazuje 70 m i liczba ta wciąż maleje.

– Jak długo spałam? – pyta Clarke.

– Niedługo. – Świeże, czerwone blizny znaczą kąciaki oczu Lubina, wyraźna pozostałość po operacji, mającej na celu połączenie wkładek neuroelektrycznych z jego nerwami optycznymi. Clarke wciąż krzywi się w głębi ducha na ten widok. Nie jest pewna, czy zaufałyby chirurgom korpów, nawet pomimo tego, że są teraz po tej samej stronie. Lubin najwyraźniej stwierdził, że dodatkowa zdolność zbierania danych warta była podjętego ryzyka. A może po prostu to jeden z tych gadżetów, które zawsze chciał posiadać, ale w poprzednim życiu nigdy nie otrzymał nań pozwolenia.

– Już prawie dotarliśmy do Sable? – mówi Clarke.

– Prawie.

Odgłos systemu nawigacyjnego – echo jakiegoś obiektu przed nimi na godzinie drugiej. Lubin zmniejsza ciąg, skręca na sterburtę. Siła odśrodkowa zmusza Clarke do przechylenia ciała.

Trzydzieści metrów. Morze na zewnątrz wygląda na jasne i zimne. To jak spoglądanie przez zielone szkło. *Phocoena* wspina się na zbocze w żółtym tempie, wyciągając swoje czułki w stronę ażurowej zbieraniny rurek i rozpór wyświetlanych na ekranie nawigacyjnym. Clarke pochyla się, wygląda przez snopy mętnego światła. Nic.

– Ciekawe, jaka tam jest widoczność? – zastanawia się na głos.

Lubin skupiony jest na pilotażu, nawet nie odwraca głowy.

– Osiem koma siedem.

Dwadzieścia metrów do powierzchni. Woda przed nimi niespodziewanie ciemnieje, jakby właśnie doszło do zaćmienia. Chwilę później ciemność ustępuje miejsca palcowi olbrzyma: zaokrąglonemu końcowi cylindrycznej konstrukcji na wpół zakopanej w piasku, pokrytej gąbkami i wodorostami, ciągnącymi się aż po mglisty skraj pola widzenia. Nawigacja twierdzi, że konstrukcja ma osiem metrów wysokości.

– Wydawało mi się, że to pływało – zauważa Clarke.

Lubin przyciąga do siebie ster. *Phocoena* wspina się coraz wyżej, płynąc wzdłuż obłej budowli.

– Zatopili ją, gdy źródło wyschło.

A więc ten wielki, zatopiony ponton zapewne zalano wodą. Na jego powierzchni wznoszą się dźwigary i rozpory, potworne rusztowanie wyciągające kończyny w kierunku światła słonecznego. Lubin lawiruje łodzią pomiędzy nimi, zupełnie jakby nawlekał igłę. Nawigacja pokazuje, że wpływają na zatopioną arenę, otoczoną z czterech stron przez podobne konstrukcje ułożone na planie kwadratu. Clarke dostrzega w wodzie ich niewyraźne zarysy. Pylony i kratownice wystrzeliwiają wokół nich w górę niczym pręty klatki.

*Phocoena* wynurza się na powierzchnię. Świat zewnętrzny marszczy się w miarę jak woda spływa po akrylu, po czym nabiera ostrości. Wyłynęli dokładnie tuż poniżej wieży wiertniczej. Jej podbrzusze tworzy metalowe sklepienie nie więcej jak dziesięć metrów ponad ich głowami, cały swój ciężar opierając na sieci dźwigarów.

Lubin podnosi się z fotela i chwyta szaszetkę do paska z pobliskiego wieszaka.

– Wrócę za kilka minut – mówi, otwierając właz grzbietowy. Wychodzi na zewnątrz. Clarke słyszy przez otwór plusk wody.

Mężczyzna wciąż nie jest zadowolony z jej obecności tutaj. Lenie ignoruje jego próbę zdystansowania się i wstaje, by ruszyć za nim.

Zimne powietrze wpadające do środka przez właz muska jej twarz. Wdrapuje się na dach łodzi i omiata spojrzeniem otoczenie. Niebo – a przynajmniej jego fragment, który widzi pomiędzy rozporami i pylonami – jest szare i zachmurzone. Ocean ciągnący się aż po horyzont ma barwę spiżu. Ale zza jej pleców dochodzą dźwięki. Odległy, pulsujący ryk. Cichy skrzek przypominający syrenę alarmu. Coś jej przypomina, chociaż nie jest w stanie go zidentyfikować. Obraca się.

Łąd.

Wycinek piaszczystego nabrzeża, jakieś pięćdziesiąt metrów za pustą skorupą wieży wiertniczej. Tuż ponad linią przyływu zauważa kępki wynędzniałych, skarłowaciałych krzaków. Dostrzega moreny drewna wyrzuconego na łąd, porozrzucanego w niewielkich stosach po całej plaży. Widzi fale przyboju nieustannie uderzające o to wszystko.

Słyszy trele ptaków. Niemal o nich zapomniała.

To nie N'Am, rzecz jasna. Kontynent leży dobrych dwieście lub trzysta kilometrów stąd. To tylko przystanek, jakiś zapomniany archipelag na szkockim szelfie. A mimo to, widok żyjących istot, które nie posiadają płetw lub pięści – nie może się temu nadziwić, podobnie jak nie może nadziwić się własnej silnej reakcji.

Wokół najbliższego pylonu wiją się strome, metalowe schody. Clarke nurkuje do oceanu, nawet nie trudząc się zakładaniem kaptura i rękawic. Atlantyk uderza ją w twarz – uczucie cudownego, lodowatego ukłucia na odsłoniętej skórze. Napawa się tym doznaniem, podpływając do pylonu w zaledwie kilku ruchach.

Schody wiodą na kładkę prowadzącą wzdłuż obwodu wieży. Wiatr trąca kable balustrady. Cała konstrukcja klekocze niczym arytmiczny instrument perkusyjny. Dociera do otwartego luku, zagląda do ciemnego wnętrza – segmentowany, metalowy korytarz, gdzie zwoje rur i światłowodów biegną po suficie niczym sploty nerwów i arterii. Na końcu korytarza skrzyżowanie w kształcie litery T, prowadzące w dwóch różnych, nieznanym kierunkach.

Mokre ślady na pokładzie prowadzą tutaj, po czym skręcają w lewo. Clark rusza za nimi.

Dźwięki i obrazy słabną, gdy wchodzi głębiej. Grodzie wytlumiają odgłosy fal i cudowne wrzaski mew. Jej wzmocniony wzrok radzi sobie lepiej – szare światło dnia podąża za nią przez jakiś czas, wciskając się przez iluminatory na końcach niezbadanych przejść – lecz brak barw właściwych otoczeniu podpowiada jej, że przemierza korytarze zbyt ciemne dla oczu łądownców. To właśnie ten powrót do czerni i bieli musi być powodem, dla którego nie zauważyła tego wcześniej – ciemne

zacieki na ścianach i podłodze mogą być czymkolwiek, począwszy od rdzy a skończywszy na pozostałościach po radosnej grze w paintball. Teraz jednak, idąc śladem rozmazanych śladów stóp do otwartego luku w grodzi, zaczyna do niej docierać:

Nalot węglowy. Coś *wypaliło* całą tę sekcję.

Wchodzi przez luk do pomieszczenia, które kiedyś musiało być czyjąś kwaterą, biorąc pod uwagę stelaż łóżka piętrowego oraz stolik nocny, ustawione pod nagą ścianą. Zostały jedynie szkieletowe pozostałości mebli. Jeśli kiedykolwiek były tu jakieś materace, prześcieradła lub koce, teraz już ich nie ma. Wszystkie powierzchnie pokrywają ciemne plamy tłustej sadzy.

Gdzieś z korytarza dobiega ją odgłos skrzypiących zawiasów.

Clarke opuszcza kwaterę i próbuje zidentyfikować źródło dźwięku. Zanim odgłos milknie ma już azymut, a także drogowskaz – światło migoczące w głębi korytarza, tuż za zakrętem przed nią. Gdy wchodziła do pomieszczenia to przejście było ciemne i głuche. Teraz do jej uszu dociera nawet cichy szum fal.

Podąża za światłem. W końcu dociera do otwartego włazu u podstawy zejściówki prowadzącej w górę. Oceaniczna bryza omiata ją, wpadając do wnętrza wieży, niosąc ze sobą wrzaski mew oraz wilgotny zapach glonów. Przez chwilę jest zupełnie zbита z tropu. Światło spływające ze szczytu schodów jest dostatecznie jasne, by przywrócić kolory światu, a mimo to ściany wciąż są...

*Ach.*

Polimer wokół krawędzi włazu wypaczył się i szerniał. Pozostały po nim jedynie nierówne, łuszczące się zakrzepy węgla. Clarke na próbę ciągnie za koło. Właz ledwo się porusza, cicho skrzypiąc na oblepionych osadami zawiasach.

Kobieta wychodzi na światło dzienne.

To niewielka platforma wiertnicza, jeśli wierzyć jej wymiarom. W niczym nie przypomina monstrów wielkości miast, które jeszcze do niedawna zaśmiewały powierzchnię oceanu w tych okolicach. Być może kiedy ją zbudowano, olej zaczął już wychodzić z mody. A może zwyczajnie nie starczyło zasobów na większą inwestycję. Niezależnie od przyczyny, kadłub ma grubość zaledwie dwóch kondygnacji niemal na całej swojej długości. Clarke wychodzi teraz na zupełnie otwartą przestrzeń dachu.

Pokład platformy wiertniczej przypomina rozmiarami połowę miejskiego kwartału. Na odległym krańcu widać umieszczone na podwyższeniu lądowisko dla śmigłowców oraz wysokiego żurawia, któremu poprzecinano ścięgna. Leży teraz w poprzek pokładu pod dziwnym kątem, a dźwigary i rozpory nieznacznie wygięły się pod jego uderzeniem. Wieża wiertnicza na bliższym krańcu wygląda na w miarę nienaruszoną, strzelając w niebo niczym metalowy fallus. Clarke wylania się w jej cieniu, we wnętrzu czegoś, co kiedyś mogło stanowić budkę sterowniczą. Obecnie to tylko prostokątna ruina. Żadna z czterech ścian nie zachowała się w całości, a sam dach leżał w połowie drogi przez pokład. Kiedyś znajdowały się tu panele kontrolne i jakaś elektronika – rozpoznaje ogólne zarysy urządzeń w na wpół stopionym oprzyrządowaniu.

Oto jak bardzo została zniszczona budka – Lenie Clarke może po prostu wyjść na główny pokład przez to co zostało po jednej ze ścian.

Cała ta przestrzeń, ta niezmacona widoczność, niepokoi ją. Przez pięć ostatnich lat ukrywała się w głębinach ciężkiej, kojącej ciemności Północnego Atlantyku, ale z tego miejsca... Z tego miejsca widzi sam skraj świata. Czuje się odsłonięta i widoczna z nieograniczonej odległości jak cel.

Lubin jest niewielką postacią na odległym krańcu platformy, odwróconą plecami, opartą o zachodnią barierkę. Clarke rusza w jego kierunku, omijając gruzy. Nagle zupełnie przestaje zdawać sobie sprawę z krążących mew. Zbliża się do krawędzi, walcząc z niespodziewanym napadem lęku

wysokości. Przed nimi rozpościera się archipelag Sable, nic nie znaczący łańcuch piaszczystych wysepek na środku oceanu. Jednak najbliższa z nich wygląda stąd na dostatecznie dużą. Jej grzbiet porasta brązowa roślinność. Plaża ciągnie się na południe, znikając z pola widzenia. Clarke wydaje się, że gdzieś tam w oddali dostrzega maleńkie punkciki w ruchu.

Lubin ma na oczach lornetkę, powoli kręcąc głową z boku na bok. Przygląda się wyspie. Nic nie mówi, gdy Clarke dołącza do niego przy barierce.

– Znałeś ich? – pyta cicho kobieta.

– Być może. Nie wiem, kto tam był, gdy do tego doszło.

*Przykro mi*, niemal jej się wrywa, tylko po co?

– Może to przewidzieli – sugeruje. – Może uciekli.

Mężczyzna nie odwraca spojrzenia od linii brzegowej. Soczewki lornetki wysuwają się z jego oczu jak cylindryczne anteny.

– Aby na pewno powinniśmy kręcić się tak po otwartej przestrzeni? – pyta Clarke.

Lubin wzrusza ramionami, przerażająco obojętny wobec bezpieczeństwa.

Kobieta spogląda w dół. Poruszające się kropki stały się większe. Na pierwszy rzut oka to jakieś zwierzęta. Najwyraźniej zmiernają w ich stronę.

– Jak myślisz, kiedy do tego doszło? – Z jakiegoś powodu kobieta czuje, że musi podtrzymać rozmowę.

– Minął niemal rok od kiedy otrzymaliśmy od nich sygnał – odpowiada mężczyzna. – Mogło się to wydarzyć w dowolnym momencie od tamtej chwili.

– Mogło to być w zeszłym tygodniu – zauważa Clarke. Był taki czas, że ich sprzymierzeńcy z większym zaangażowaniem podchodzili do kwestii korespondencji. Mimo to przedłużający się brak łączności nie zawsze cokolwiek oznacza. Trzeba było uważać, by się nie zdradzić. Początkowo kontakty zarówno korpów, jak i ryfterów milkły od czasu do czasu. A teraz, nawet po roku, nie było nic dziwnego w trzymaniu się nadziei na wieści pewnego dnia. Każdego dnia.

Tyle, że nie teraz, rzecz jasna. Nie tutaj.

– Dwa miesiące – mówi Lubin. – Przynajmniej.

Clarke nie pyta, skąd to wie. Podąża za jego wzmocnionym spojrzeniem z powrotem w kierunku wybrzeża.

*Mój Boże.*

– To konie – szepcze z niedowierzaniem. – Dzikie konie. Jasna cholera.

Widziane z bliska zwierzęta są nie do pomylenia. Przychodzi jej do głowy niechciana myśl – Alyx w jej podwodnym więzieniu, Alyx mówiąca: *Nie ma lepszego miejsca, w którym mogłabym być.* Clarke zastanawia się, co powiedziałyby teraz, widząc te dzikie stworzenia.

Z drugiej strony, zapewne w ogóle nie wywarłyby na niej wrażenia. Koniec końców była dzieckiem korpów. Prawdopodobnie odbyła podróż dookoła świata z tuzin razy zanim skończyła osiem lat. Może nawet miała własne konie.

Stado pędzi wzdłuż plaży.

– Co one tutaj *robią*? – zastanawia się głośno Clarke. Sable w zasadzie nie było wyspą nawet zanim podzieliły ją podnoszące się stany wód. Stanowiła zaledwie gloryfikowaną wydnię, pełzającą wokół zewnętrznych krańców wyczerpanych pól naftowych na Szelfie, zdana na łaskę wiatrów i prądów. Kobieta nie dostrzega nawet żadnych drzew ani krzewów na tej konkretnej części wyspy, jedynie kępki trzcinowatej trawy rosnące wzdłuż jej grzbietu. Wydaje się absurdalne, by tak nic nieznaczący kawałek ziemi był w stanie wyżywić tak duże istoty.

– Są też foki. – Lubin wskazuje palcem północny skraj wybrzeża, ale Clarke nie jest w stanie



dostrzec tam niczego bez wzmocnionego wzroku. – Ptaki. Roślinność.

Nagle uderza ją dysonans tej sceny.

– Skąd to nagle zainteresowanie fauną i florą, Ken? Nigdy nie miałam cię za miłośnika natury.

– Wyglądają na zdrowe.

– Co?

– Żadnej padliny, żadnych szkieletów. Zwierzęta nie wyglądają nawet na chore. – Lubin ściąga lornetkę z głowy i wkłada ją z powrotem do saszetki przy pasku. – Trawa jest nieco brązowawa, ale podejrzewam, że to normalne. – W jego głosie niemal słychać *zawód...*

Behemot, zdaje sobie sprawę Clarke. Właśnie tego szuka. To *ma nadzieję znaleźć*. Tu na górze świat żywym ogniem wypala wszystkie gorące strefy – a przynajmniej te na tyle małe, by nieść szansę na opanowanie sytuacji w zamian za życia i ziemię utraconą na rzecz płomieni. W ostatecznym rozrachunku Behemot zagrażał całej biosferze, dlatego nikt nie zawracał sobie głowy takimi bzdetami jak przypadkowe ofiary, gdy gra szła o *taką* stawkę.

Sable jednak jest zdrowy. Sable pozostał niespalony. Co oznacza, że otaczające ich zniszczenia nie miały nic wspólnego z próbą powstrzymania ekspansji biologicznej.

Ktoś *na nich* poluje.

Kimkolwiek są, Clarke trudno jest ich winić. Gdyby to korpy dyktowały warunki, umierałaby tu na górze wraz z innymi. Atlantyda została zbudowana z myślą o ludziach, którzy trzęśli całym światem, a Clarke i jej kumple byli w oczach elity kolejną grupką tych, którymi należało trząść. Jedyna różnica była taka, że Achilles Desjardins powiedział im, gdzie odbywa się impreza, więc mogli się na nią wkręcić, zanim ktoś wyłączył światła.

Jeśli więc był to gniew tych zostawionych w tyle, trudno było jej się z nim nie zgodzić. Nie potrafiła nawet stwierdzić, że kierowano go w niewłaściwą stronę. Koniec końców, Behemot był jej sprawką.

Spogląda za siebie na pogorzeliśko. Kimkolwiek byli ci, którzy to zrobili, nie byli nawet w połowie tak dobrzy jak Desjardins. Nie byli też źli. Przynajmniej wydawali się na tyle sprytni, by ustalić ogólne położenie Atlantydy. Odmiana Behemota, którą zupełnie pozmieniali, była w stanie pokonać odporność immunologiczną, mającą chronić jej mieszkańców. Sam fakt, że podeszli ich na tyle blisko, by umieścić  $\beta$ -Max w ich bezpośredniej okolicy sprawiał, że mogli wygrać tę grę, wzięwszy pod uwagę to, jak szybko rosła liczba ciał, gdy *Phocoena* wyruszyła w trasę.

Wciąż jednak nie znaleźli gniazda. Pokręcili się po okolicy, spalili ten samotny posterunek graniczny, ale przez cały ten czas sama Atlantyda wciąż wymykała im się z rąk. W przypadku Desjardinsa – niecały tydzień zajęło mu odsianie trzystu sześćdziesięciu milionów kilometrów kwadratowych do jednego zestawu koordynat. Nie tylko wskazał im środek tarczy, ale pociągnął za sznurki, zatarł po nich ślady i zorganizował dla nich transport.

*Achilles, przyjacielu, myśli Clarke, przydałaby nam się teraz twoja pomoc.* Ale Achilles Desjardins nie żyje. Zginął podczas Rio. Nawet najlepszy prawołamacz KRASZ-u nie był w stanie poradzić nic, gdy samolot runął mu na głowę.

O ile Clarke było wiadomo, Achilles mógł zginąć z ręki tych samych ludzi, którzy zrobili to.

Lubin rusza w głąb platformy. Clarke idzie za nim. Zimny i kaśliwy wiatr siecze powietrze wokół niej. Niemal czuje przez skórę głębinową jego zęby, choć musi to być jedynie jej wyobraźnia. Gdzieś w pobliżu przypadkowy tunel powietrzny z rur i poszycia wyje jak nawiedzony.

– Jaki mamy miesiąc? – pyta na głos kobieta.

– Czerwiec. – Lubin zmierza w stronę lądowiska.

Wydaje się, że jest o wiele zimniej niż być powinno. Być może tak właśnie wygląda teraz ciepły

dzień od czasu, gdy zniknął Prąd Zatokowy. Clarke nigdy nie była w stanie zrozumieć tego paradoksu – całe to globalne ocieplenie miało z jakiegoś powodu zamienić wschodnią Europę w Syberię...

Na lądowisko prowadzą metalowe schodki. Dotarłszy do nich, Lubin nie wchodzi jednak na podwyższenie. Zamiast tego opada na jedno kolano, zaglądając pod spód konstrukcji. Clarke przysiada tuż obok niego. Nie widzi nic poza podrapanym, pomalowanym metalem.

Lubin wzdycha.

– Powinnaś wrócić – mówi.

– Nie ma mowy.

– Wkrótce nie będę mógł już odstawić cię z powrotem. Mogę pozwolić sobie na czterdziestosześciodzinne opóźnienie bardziej niż mogę pozwolić na to, by ktoś spowalniał mnie, gdy już dotrzemy na kontynent.

– Już przez to przechodziliśmy, Ken. Co sprawiło, że nagle zaczęło ci się wydawać, że łatwiej będzie teraz mnie przekonać?

– Sprawy mają się gorzej niż przypuszczałem.

– Niby jak? Jakkolwiek by nie patrzeć, mieliśmy już koniec świata.

Mężczyzna wskazuje miejsce pod schodami, gdzie ktoś zdrapał farbę.

Clarke wzrusza ramionami.

– Niczego tu nie widzę.

– Właśnie. – Lubin obraca się i rusza w stronę spalonych pozostałości po budce sterowniczej.

Kobieta nie opuszcza go na krok.

– No i?

– Zostawiłem tutaj zapasowy rejestrator. Przypominał nit. – Wyciąga dłoń, trzymając kciuk i palec wskazujący blisko siebie, niemal stykające się, dla określenia jego rozmiarów. – Nawet go zamalowałem. Sam *nigdy* nie byłbym w stanie go znaleźć. – Prostuje palec wskazujący. Lubin wskazuje umowną linię pomiędzy budką a schodami. – Niewielki dystans dla zminimalizowania zużycia energii. Wielokierunkowa transmisja, praktycznie niemożliwa do wykrycia. Dostatecznie duża pojemność, by przez tydzień nagrywać rutynowe transmisje, plus wszystko, co mogliby wysłać w naszym kierunku.

– Niewiele – zauważa Clarke.

– Nie chodziło o długoterminowe nagrywanie. Gdy kończyła się pamięć, urządzenie nadpisywało stare nagrania.

Czyli czarna skrzynka. Mobilne nagranie ostatnich wydarzeń.

– Więc spodziewałaś się czegoś podobnego – domyśla się kobieta.

– Zakładałem, że *jeśli* coś się wydarzy, będę mógł przynajmniej odczytać jakiś rejestr. Nie spodziewałem się, że stracę rejestrator. Tylko ja wiedziałem, gdzie go szukać.

Wrócili do budki radiowej. Poczerniała framuga drzwi wciąż stała niczym nedorzecznym prostokąt na tle ruin. Lubin, być może z jakiegoś zagadkowego szacunku dla standardowych procedur, przechodzi pod nią. Clarke po prostu przeskakuje sięgającą kolana pozostałość po najbliższej ścianie.

Coś pęka i chrupie wokół jej kostki. Kobieta patrzy w dół. Jej stopa utknęła w poczerniałej, ludzkiej klatce piersiowej. Jej noga przechodzi przez miejsce, gdzie jeszcze jakiś czas temu znajdował się mostek. Czuje pod podeszwą wszystkie nierówności kręgosłupa, który kruszy się i rozpada pod najsłabszym naciskiem.

Jeśli jest tu czaszka – albo ramiona lub nogi – to musi być pogrzebana pod rumowiskiem.

Lubin patrzy jak Lenie wyciąga nogę ze szczątków. Coś migocze za jego nakładkami.

– Ten kto za tym wszystkim stoi – mówi – jest ode mnie sprytniejszy.

Jego twarz nie jest pozbawiona wyrazu. Jedyne może tak wyglądać dla kogoś niewprawionego. Jednak Lenie Clarke nauczyła się go czytać, na swój sposób, i jej zdaniem mężczyzna nie wygląda na zmartwionego czy zaniepokojonego. Jedyne *podnieconego*.

Kiwa głową niezrażona.

– Dlatego właśnie przyda ci się każda pomoc.

Po czym rusza za nim na dół.

## SŁOWIK

Wyglądało, jakby wyłonili się spod ziemi. Czasami było to dosłownie prawdziwe – coraz większa liczba ludzi mieszkała teraz w ściekach i kanałach burzowych, zupełnie jakby kilka metrów betonu było w stanie powstrzymać to, czego nie mogły zatrzymać niebo i ziemia. Jednak przez większość czasu były to jedynie pozory. Mobilna klinika Taki Ouellette zatrzymywała się przy miejskim skrzyżowaniu, w pobliżu rozklekotanej zbieraniny pozornie opuszczonych domów i rozszabrowanych centrów handlowych, skąd nagle wypływała ospała struga wynędzniałych mieszkańców, dla których nie było już nadziei, pomimo że oni sami chcieli wykorzystać pozostały im czas jak najlepiej. Zazwyczaj byli to ci nieszczęśnicy, którzy, przez brak odpowiednich koneksji, nie dostali się do Chronionych Stref Miejskich. Zdarzali się również byli sceptycy, którzy zbyt późno zdali sobie sprawę z tego, że koniec świata naprawdę nastąpił. Byli też fataliści i empirycy, spoglądający wstecz na poprzednie stulecie i zastanawiający się, dlaczego tak długo zajęło światu, by się skończyć.

W większości byli to ludzie nie warci ocalenia. Ale Taka Ouellette starała się jak mogła, choć nie była osobą kompetentną do ratowania kogokolwiek.

Z głośników za jej plecami dochodziło *Ouvertüren* Rossiniego. Kolejna pacjentka Ouellette sunęła naprzód, powłócząc nogami, w ogóle nie zdając sobie sprawy z muzyki – kobieta, którą kiedyś ktoś mógłby określić mianem „w średnim wieku”: z nieco obwisłą skórą, zeszywniałymi stawami i nogami, które poruszały się w trybie autopilota. Jedna z nich nagle ugięła się pod nią, sprawiając, że całe jej ciało mocno przechyliło się na jedną stronę. Ouellette wyciągnęła ramiona, ale nieznajoma w ostatniej chwili sama złapała równowagę, choć wyglądało jakby odzyskała ją bardziej przypadkowo niż świadomie. Oba jej policzki przypominały napuchnięte, sine poduszki, a malaryczne oczy osadzone ponad nimi wpatrzone były w jakiś niezidentyfikowany punkt gdzieś pomiędzy zenitem a horyzontem. Jej prawa ręka przypominała krwawy szpon, zaciśnięty wokół ropiejącej rany.

Ouellette ignoruje najpoważniejsze obrażenia i skupia się na tych subtelniejszych: dwa czerniaki na lewej ręce, drzenie prawej, jakieś ciemne plamy wyglądające na posocznicę przy nadgarstku ranionej dłoni. Typowe objawy nieprawidłowego odżywiania. Połowa z tych symptomów odpowiadała behemotowi, nie było co do tego wątpliwości. Oto stała przed nią kobieta cierpiąca na nieskończonej liczbie poziomów.

Ouellette przywołała na twarz profesjonalny uśmiech, choć zasadniczo nigdy nie pasował on do sytuacji.

– Zobaczmy, czy możemy coś z tym zrobić.

– Nie trzeba – powiedziała kobieta, zapatrzona w przestrzeń. Ouellette spróbowała podprowadzić ją do vana, podtrzymując dłonią w rękawiczce (nie żeby to *ona* potrzebowała rękawiczek, rzecz jasna, ale ostatnimi czasy lepiej było ludziom o tym nie przypominać). Pacjentka wzdrygnęła się pod jej dotykiem...

– Nie trzeba. Nie trzeba...

...zatonęła się na jakąś niewidoczną ścianę i oddaliła chwiejnym krokiem ze spojrzeniem wciąż wbitym w niebo, nie zważając na ziemię.

– Nie trzeba...

Ouellette pozwoliła jej odejść.

Kolejny pacjent był nieprzytomny, ale nie byłby w stanie się poruszać, nawet gdyby odzyskał świadomość. Przybył na prowizorycznych noszach, ropiejąca układanka ran i tików. W nerwach dochodziło do ciągłych zwarć, a organy wewnętrzne nie zadały sobie trudu, by poczekać do czasu aż serce stanie, zanim zaczną gnić. Chorobliwie słodkawy smród sfermentowanej uryny i kału otaczał go niczym całun. Nerki i wątroba ściagały się o to, które z nich zabije go najpierw. Ouellette nie była w stanie wskazać przyszłego zwycięzcy.

Mężczyzna i dwójka dzieci o nieokreślonej płci przyniosły jej oddychającego trupa. Ich twarze i dłonie nie zostały w żaden sposób osłonięte, czy to z niewiedzy, czy w ramach sprzeciwu wobec gównu wartych środków zapobiegawczych, o których nieustannie przypominano w ramach ogłoszeń administracji rządowej.

Kobieta pokręciła głową.

– Przykro mi. To już końcowa faza.

Jedynie wbili w nią błagalne spojrzenia pełne desperackiej nadziei na granicy obłądu.

– Mogę go za was zabić – wyszeptwała. – Mogę poddać ciało kremacji. To wszystko, co mogę uczynić.

Nawet nie drgnęli.

*Och, Dave. Dzięki Bogu, że umarłeś zanim do tego wszystkiego doszło...*

– Rozumiecie mnie? – powiedziała. – *Nie jestem w stanie go uratować.*

To nie było nic nowego. Gdy w grę wchodził behemot, nie była w stanie uratować nikogo.

Mogłaby, rzecz jasna. Gdyby miała tendencje samobójcze.

Ochronę przed behemotem zapewniała seria skomplikowanych i drobiazgowych zmian genetycznych, które zabierały kilka dni – z drugiej strony nie istniała żadna przeszkoda techniczna, by nie upchać wszystkiego w przenośny osprzęt i nie zabrać w trasę. Kilka osób zrobiło tak całkiem niedawno. Zostali rozszarpani na kawałki przez hordy zbyt zdesperowanych, by czekać w kolejce, którzy nie wierzyli, że podaży przewyższy popyt, jeśli tylko okażą jeszcze odrobinę cierpliwości.

W tej chwili miejsca, które oferowały prawdziwe lekarstwo, przypominały twierdze gotowe na odparcie zdesperowanych tłumów, zbudowane z myślą o wymuszeniu na ludziach podporządkowania. Z dala od tych epicentrow Taka Ouellette i jej podobni mogli chodzić pośród chorych bez strachu przed zarażeniem, choć próba zaoferowania innym lekarstwa bez żadnego wsparcia byłaby jak kara śmierci. W najlepszym wypadku mogła zaoferować zastępcze retrowirusy, niewiele warte ulepszenia, które pozwalały niektórym dotrzeć do czasu zaaplikowania prawdziwego leku. Potrafiła zaryzykować jedynie spowolnienie procesu umierania.

Nie narzekała. Wiedziała, że w lepszych czasach nie powierzono by jej nawet takiej władzy. Bynajmniej nie była w tym odosobniona – pięćdziesiąt procent całego personelu medycznego kończy naukę w dolnej połowie swojego rocznika. Nie miało to jednak aż takiego znaczenia jak kiedyś.

Mimo to, nawet teraz istniała pewna hierarchia. Absolwenci najbardziej prestiżowych uczelni, laureaci nagrody Nobla, gwiazdy medycyny – wszyscy oni wzlecieli do nieba na skrzydłach KRASZ-u. Tam pracowali w luksusie, mając w zasięgu ręki najnowsze technologie, z zamiarem ocalenia tego, co zostało ze świata.

Poziom niżej były wszystkie bety – solidni i niezawodni lekarze, żel-dzokeje, wśród których może

i brakowało wybitności, ale rzadko zdarzali się ludzie z grubymi kartotekami pozwów o błędy w sztuce. Ci pracowali najczęściej zamkach, które wyrosły wokół źródeł zbawienia na liniach frontu. Linie montażowe wiły się przez te fortyfikacje niczym perwersyjne tory przeszkód dla przyszłych żołnierzy. Chorych i umierających połykał jeden koniec, przepuszczając ich przez zwoje i spirale maszynierii, która nakłuwała i pobierała próbki, a następnie oblewała przeciwnieństwem enzymów trawiennych – genami oraz chemikaliami, które zlepiały rozpluwające się ciało z powrotem w jedną całość.

Podróż przez trzewia zbawienia była dość uciążliwa, w sumie osiem dni począwszy od wchłonięcia do wydalenia. Linia była długa, ale niezbyt szeroka – ekonomika na dużą skalę w zasadzie nie istniała w postkorporacyjnym świecie. Jedynie ułamek dotkniętych chorobą zostanie uodporniony. Ale ci nieliczni szczęśliwcy zawdzięczali swoje życia właśnie tym solidnym, niczym niewyróżniającym się pszczołkom z drugiego poziomu.

No i byli jeszcze ludzie tacy jak Taka Ouellette, która z trudem przypominała sobie czasy, gdy sama była częścią roju. Gdyby nie ta jedna część protokołu dekontaminacyjnego, który nierozważnie zastosowała, zapewne wciąż pracowałaby przy jednej z linii w Bostonie. Gdyby nie to jedno potknięcie, Dave i Crys wciąż mogliby żyć. W rzeczywistości nie istniał sposób na sprawdzenie tego. Pozostała tylko niepewność i gdybanie. A także coraz bledsze wspomnienia o życiu jako endokrynolog, żona i matka.

Teraz była jedynie szeregowym żołnierzem, patrolującym perymetr w swojej wysłużonej mobilnej klinice z jej tanimi i przeterminowanymi cudami. Już od kilku miesięcy nie otrzymała wypłaty, ale nie miało to znaczenia. Przynajmniej wikt i opierunek były darmowe, a poza tym raczej nie przywitano by jej w Bostonie z otwartymi rękami – może i była odporna na behemota, ale mogła być jego nosicielką. Tym również się nie przejmowała. Dzięki temu miała jakieś zajęcie. Dzięki temu miała coś, co trzymało ją przy życiu.

W końcu, bez słowa, żywy trup został wyłączony z rywalizacji. Kolejni uczestnicy nie stanowili już takiego wyzwania dla jej własnej nieudolności. Przez kilka ostatnich godzin leczyła głównie guzy, a nie ofiary epidemii. Dość niecodzienna sytuacja, tak daleko od CSM. Mimo wszystko, raka można wyciąć. Była to prosta praca, mechaniczna. Taka praca, do której się nadawała.

I tak oto utknęła, wydając blokery angiogenezy *raf-1* i retrowirusy w jakiejś cholernej, zapadłej dziurze, gdzie nawet DNA zaczynało już być na wylocie. Jeśli się dobrze rozejrzeć, gdzieniegdzie prześwitywała odrobina zieleni. Koniec końców była wiosna. Behemot zawsze nieco obumierał na czas zimy, dając dawnym lokatorom szansę na wypuszczenie nowych pędów i zakwitnięcie, by ostatecznie wrócić z przytupem i zmieść konkurencję. Maine natomiast było miejscem najbardziej oddalonym od pierwotnego punktu zapalnego w okolicach Pacyfiku, gdzie dało się dotrzeć bez moczenia sobie stóp. Kawalek dalej, a do przeżycia potrzebowałeś łódki i naprawdę dobrego zagłuszacza, który trzymałby z dala pociski.

Ostatnimi czasy, rzecz jasna, trzymanie się lądu nie dawało już żadnych gwarancji, że EurAfrykanie nie zaczną do ciebie strzelać. Był taki czas, że za cel obierali sobie tylko tych, którzy próbowali przepłynąć wielką sadzawkę, ale pół tuzina ataków rakietowych na cele lądowe od czasu Wielkanocy było jasnym sygnałem, że szukają jakiegoś lepszego sposobu na zachowanie kwarantanny. Doprawdy trudno było uwierzyć, że całe wybrzeże wciąż jeszcze nie zamieniło się w szklaną pustynię. Jeśli wierzyć komunikatom, obrona N'Am wciąż jeszcze powstrzymywała najgorsze. Wciąż. Żadna obrona nie może jednak trwać wiecznie.

Rossini ustąpił miejsca Handelowi. Kolejka Ouellette ciągle rosła. Na każdych dwóch przyjętych

pacjentów pojawiało się kolejnych trzech. Wciąż nie było to nic, czym powinna się przejmować. Istniała pewna masa krytyczna, jakaś granica odpowiedzialności osobistej, poniżej której tłum niemal nigdy nie zaczynał wariować. Ci ludzie nie wyglądali jakby mieli siłę zrobić cokolwiek, nawet gdyby zostali zmotywowani.

Przynajmniej koncerny farmaceutyczne przestały pobierać opłaty za leki, które wydawała. Oczywiście nie mieli zamiaru tego robić: Hej, czy ktokolwiek myślał, że badania nad tymi magicznymi eliksirami były darmowe? Jednak koniec końców nie mieli wyboru. Nawet przy niewielkim tłumie zaczynało się robić nieciekawie, gdy ktoś żądał zapłaty z góry.

Przedramię wielkości pnia drzewa, oszpecone przez standardowe dolegliwości – trądowny, srebrnawy odcień behemota w pierwszym stadium rozwoju, powierzchowne czerniaki i...

*Chwileczkę. To dziwne.* Opuchlizna i zaczerwienienie odpowiadały zakażonemu ukąszeniu owada, ale te nakłucia...

Kobieta przeniosła wzrok na twarz osoby nad ramieniem. Pomarszczony mężczyzna po pięćdziesiątce odpowiedział jej spojrzeniem oczu napuchniętych popękkanymi naczynekami. Przez chwilę wydawało się jej, że sylwetka mężczyzny przesłania całe światło, ale nie – po prostu zapadał zmrok, który zakradł się niepostrzeżenie, gdy ona była zajęta.

– Co zostawiło te ślady? – spytała.

– Robal. – Mężczyzna potrząsnął głową. – Jakoś w zeszłym tygodniu. Swędzi jak cholera.

– Ale tu są *cztery* nakłucia. – Dwa ugryzienia? Dwie pary żuwaczek u jednego insekta?

– Miał też jakieś dziesięć nóg. Dziwny, mały gnojek. Widywałem je już raz czy dwa. Ale nigdy wcześniej żaden mnie nie ugryzł. – Zmrużył czerwone oczy z nagłą obawą. – Może był trujący?

– Najprawdopodobniej nie. – Taka obmacała opuchliznę. Jej pacjent skrzywił usta, ale to, co go ugryzło, nie pozostawiło w ciele żadnych niespodzianek. – To niezbyt poważne, jeśli naprawdę doszło do tego w zeszłym tygodniu. Mogę dać ci coś na infekcję. To błahostka w porównaniu z...

– Jasne – mruknął mężczyzna.

Kobieta zaaplikowała na opuchnięte miejsce nieco antybiotyku.

– Mogę zrobić też zastrzyk antyhistaminowy – dodała przeproszającym tonem – ale obawiam się, że jego działanie będzie krótkotrwałe. Jeśli swędzenie będzie się nasilać, zawsze możesz na to nasikać.

– *Nasikać?*

– Świeży mocz pomaga na swędzenie – wyjaśniła Taka. Uniosła gotową kusetę pomiarową. Mężczyzna złożył zwyczajową ofiarę z krwi. – Teraz, jeśli tylko...

– Wiem, co robić.

Tunel, nieznacznie spłaszczony cylinder zdolny pomieścić ludzkie ciało, podzielił pojazd na dwie części – dwa przeciwległe, owalne otwory połączone ze sobą wyłożoną czujnikami gardzielią. Z podłogi przy bliższym otworze wysunęła się leżanka przypominająca wyściełany, prostokątny język. Pacjent Taki położył się na niej. Van lekko ugiął się pod jego ciężarem. Prycza wycofała się z elektrycznym buczeniem. Powoli, płynnie, mężczyzna zniknął w jednym otworze i po chwili zaczął wystawać z drugiej strony. Miał więcej szczęścia niż inni. Niektórzy wjeżdżali do środka i nigdy stamtąd nie wychodzili. Tunel służył również jako mobilne krematorium.

Taka jednym okiem śledziła odczyty jądrowego rezonansu magnetycznego, a drugim obserwowała wyniki badań krwi. Od czasu do czasu rzucała jednak niespokojne spojrzenia w kierunku wciąż rosnącej kolejki pacjentów.

– No i? – głos mężczyzny dobiegał z drugiej strony vana.

Wiedziała już, że był tu wcześniej. Jej proste ulepszenia na dobre zadomowiły się w jego

komórkach.

A jego stan wciąż się pogarszał.

– Cóż, rzecz jasna doskonale wiesz już o czerniakach – zauważyła, gdy wyłonił się zza rogu. Wyciągnęła *raf-1* o przedłużonym działaniu z dozownika i załadowała go. – To zabija komórki rakowe na skórze, jak również te w środku, o których zapewne jeszcze nie wiesz. Podejrzewam, że jeszcze niedawno przebywałeś w enklawie albo w CSM?

Mężczyzna chrząknął.

– Przyjechałem tu jakiś miesiąc temu. Może dwa.

– Uh-huh. – Generatory pola statycznego instalowane w takich miejscach stanowiły obosieczną broń. Kąpanie się w polu statycznym przez dowolny okres czasu gwarantowało rozkwit komórek rakowych w ciele niczym grzybów w gównie. Większość ludzi traktowała to jak mniejsze zło, nawet pomimo, że pola nie tyle powstrzymywały behemota, ile spowalniały jego działanie.

Taka nie pytała, co zainspirowało tego mężczyznę do porzucenia tych dziurawych zabezpieczeń i przeniesienia się na wrogie terytorium. Takie decyzje rzadko kiedy były dobrowolne.

Mężczyzna wyciągnął ramię. Wstrzyknęła kapsułkę podskórnie tuż nad bicipsem.

– Obawiam się, że pojawiły się inne guzy. Nie tak naczyniowe. Mogę je wypalić, ale musiałbyś poczekać do czasu, gdy nie będę aż tak oblegana. Nie ma pośpiechu.

– A co z tym cholerstwem? – spytał.

Najwyraźniej miał na myśli bardzo konkretne cholerstwo. Behemota.

– Hmm, zgodnie z badaniem krwi otrzymałeś już koktajl – odparła Taka, udając, że raz jeszcze sprawdza wyniki.

– Wiem. Zeszłej jesieni. – Odkasznął. – Ale mój stan wciąż się pogarsza.

– Cóż, jeśli do zarażenia doszło zeszłej jesieni, to koktajl działa. Bez niego zszedłbyś jeszcze przed zimą.

– *Ale mój stan się pogarsza.* – Zrobił krok w jej kierunku. Naprawdę wielki facet, którego nabiegłe krwią oczy przypominały teraz czerwone szpaki. Inni za jego plecami czekali coraz bardziej niecierpliwie.

– Możesz udać się do Bangor – zaczęła. – To najbliższy...

– W Bangor nawet nie chcą powiedzieć, jak długo trzeba *czekać* – wypluł z siebie.

– To, co robię tutaj, to... to nie jest *lekarstwo* – wyjaśniła ostrożnie. – To pozwala jedynie kupić choremu trochę czasu.

– Najwyraźniej zadziałało. Ale potrzebuję go więcej.

Zrobiła jeden, ostrożny krok w tył. Krok bliżej konsoly komend głosowych systemów obronnych Miki. Krok dalej od kłopotów.

Ale kłopoty nie zamierzały odpuszczać.

– To tak nie działa – powiedziała spokojnie. – Twoje komórki zostały uodpornione. Powtórna aplikacja niczego nie zmieni. Zapewniam.

Przez chwilę myślała, że mężczyzna zrezygnuje. Słowa najwyraźniej do niego dotarły. Na moment z jego postawy znikła część napięcia. Linie wokół jego oczu złagodniały, a nieco mniej wybuchowa mieszanka dezorientacji i poczucia krzywdy zastąpiła strach i gniew, które były tam jeszcze przed sekundą.

Wszelka nadzieja zgasła w niej na widok najpaskudniejszego uśmiechu, jaki w życiu widziała.

– *Ty jesteś zdrowa* – powiedział mężczyzna, ruszając z miejsca.

To było ryzyko zawodowe. Tutaj niektórzy wierzyli, że odporność na chorobę można przekazać drogą płciową. Dzięki temu łatwo było o seks, jeśli kogoś kręciły tego typu rzeczy – byli tacy, którzy

darzyli uodpornionych nabożnym szacunkiem, wręcz błagali o zbliżenie jako formę szczepienia. Wśród znajomych Taki krążyły tego typu anegdoty.

Nieco mniej zabawne były opowieści o medykach polowych, których trzymano pod kluczem i gwałcono regularnie w imię zdrowia publicznego. Taka Ouellette nie miała zamiaru poświęcać własnego ciała dla większego dobra.

Podobnie zresztą jak to, co uwolniła.

Hasło brzmiało *Bagheera*. Taka nie miała pojęcia, co znaczyło. Otrzymała je razem z vanem i nie przyszło jej do głowy, by je zmieniać.

Łańcuch wydarzeń, który miało wywołać, stanowił esencję poświęcenia. Słyszac głos swego pana, systemy obronne MK poświęcały mu całą uwagę – wszystkie okna i otwory natychmiast zatrzaśkiwały się na głucho, z wyjątkiem drzwi kabiny umieszczonych najbliżej autoryzowanego operatora. Pęcherz bojowy na dachu Miki – zapadnięta, lustrzana półkula w stanie spoczynku – wysuwał się ze swego silosu niczym połyskliwy, chromowany fallus, dostatecznie wysoki, by móc trafić każdego, kto w ramach samoobrony nie przypadł do ścian samego pojazdu (tych, którzy to uczynili powłoka raziła prądem o wysokim napięciu). Podstawowe uzbrojenie zaczynało się od wąskowiązkowego głośnika infradźwiękowego, który był w stanie opróżnić żołądki i jelita wszystkim w zasięgu dziesięciu metrów. W przypadku eskalacji zagrożenia system wykorzystywał podwójnie podwieszane lasery diodowe o mocy ośmiu tysięcy watów, mogące przecinać lub jedynie oślepiac. Bronie bezpociskowe zawsze montowano chętniej ze względu na kwestie amunicji. Jednak w ramach ochrony przed lustrami i aerozolami przeciwlaserowymi, medycy polowi mieli do dyspozycji również środki pomocnicze. Wóz Taki potrafił wystrzelić strzałki nabite konotoksynami, które wywoływały dziesięciosekundowy paraliż układu oddechowego.

Żadna z tych rzeczy nie powinna odpalić się samoczynnie. *Bagheera* miała jedynie postawić wszystkie systemy w stan gotowości, skontrolować zagrożenie jeszcze większym zagrożeniem, dając agresorowi szansę na odstąpienie nim komukolwiek stanie się krzywda. Nie doszło do żadnej eskalacji, pomijając może zdecydowaną komendę Taki.

– Bagheera – warknęła kobieta.

Lasery poszły w ruch.

Nie celowały do czerwonoookiego mężczyzny. Zamiast tego zaczęły kroić ludzi w kolejce za jego plecami. Pół tuzina czekających padło na ziemię, przepołowionych, z przypalonymi ranami, a ich troski niespodziewanie dobiegły końca. Inni patrzyli z niedowierzaniem na równe, dymiące otwory w kończynach i klatkach piersiowych. Trawa na drugim końcu grillującej wyrzynarki stanęła w płomieniach. W tle wciąż rozbrzmiewała *Muzyka na wodzie*, nie gubiac ani jednej nuty.

Po chwili, która zdawała się trwać wieczność, ludzie przypomnieli sobie, czym jest krzyk.

Mężczyzna z nabiegłymi krwią oczami stał oniemiały, naszpikowany tuzinem neurotoksycznych strzałek. Cała wrogość zniknęła z jego postawy. Jedyne wbijał w Takę wzrok, niepewnie stojąc na nogach. Uniósł ręce, dłońmi do góry, w błagalnym geście: *Na miłość boską, kobieto, nie miałem zamiaru...!*

Upadł, zeszywniały od tęcza.

Ludzie biegali, drgali spazmatycznie albo leżeli bez ruchu. Lasery miotały się na wszystkie strony, tworząc na ziemi zwęglone bohomy. Tu i tam pośród zawijasów płonął ogień, jaskrawe staccato na tle ciemniejszego światła.

Taka rozpaczliwie szarpnęła za drzwi pasażera. Na szczęście zbuntowany system nie przepuścił prądu przez karoserię. Mimo to *zamknął ją* od środka. Te drzwi powinny być otwarte jako droga



ucieczki...

*Cały system działa, na Boga, jakim cudem może działać...*

Na wyświetlaczu zauważyła jednak migającą na czerwono ikonę. MK jakimś sposobem podłączył się do bezprzewodowego świata, do sieciowych potworów, które żyły i polowały tam, by...

Madonna. Lenie. To musiała być ona.

Kolejna ikona migiała na innej części wyświetlacza. Taka dopiero teraz odczytała znak – otwarte zostały drzwi kierowcy. Natychmiast rzuciła się na przód pojazdu. Spojrzenie wbiła w ziemię, zupełnie jakby ten religijny odruch miał ochronić ją przed boskim gniewem, *jeśli ja tego nie widzę, to może to nie zauważy mnie*, choć cały czas słyszała nad głową wieżyczkę, która namierzała i strzelała, namierzała i...

Wdrapała się na siedzenie kierowcy, szarpnęła za drzwi, zamknęła je.

Na ziemi obok siedzenia leżał zestaw wizualizacyjny, rzucając na podłogę słaby blask świetlnej zorzy. Kobieta podniosła urządzenie i przytrzymała je przy twarzy.

Wykrzywiona twarz Madonny szalała w okienku na głównym wyświetlaczu. Brakowało dźwięku – Taka zostawiła zestaw domyślnie wyciszony.

*Kurwa mać. Dostała się przez GPS. Zawsze wyłączała GPS, gdy nie podróżowała. Najeżdźca musiał jakimś sposobem obejść system.*

Odłączyła nawigację. Wrzeszczące coś w oknie znikło. Lasery na górze przeszły w stan spoczynku z cichnącym bzyknięciem.

W którymś momencie masakry *Muzyka na wodzie* dobiegła końca. Lukę po niej wypełnił Czajkowski. *Jolanta*.

Wydawało jej się, że minęło wiele czasu, nim odważyła się ruszyć.

Wyłączyła muzykę. Objęła się ramionami, drżąc na całym ciele. Bardzo nie chciała płakać jak przestraszone dziecko. Wmawiała sobie, że zrobiła, co mogła.

Powtarzała sobie, że mogło być gorzej.

Madonny potrafiły niemal wszystko we własnych środowiskach. Przenikając ściany na kablach i częstotliwościach N'AmNetu były w stanie spenetrować niemal każdy system, unieszkodliwić dowolne zabezpieczenie i spowodować katastrofę na głowy ludzi, dla których tego typu rzeczy od dawna stanowiły status quo. Zaledwie w zeszłym tygodniu jedna z nich obeszła podprogramy ochrony przeciwpowodziowej jakiejś tamy w Górach Skalistych, po czym opróżniła cały zbiornik na niczego nieświadomą społeczność, śpiącą w cieniu przelewu spływowego.

Sforsowanie zabezpieczeń podrzędnego MK było dla takiej kreatury dziecinnie proste.

Przynajmniej nie załadowała się do pamięci. Zabrakło miejsca. Ani nawigacja, ani chipy układów obronnych nie były na tyle duże, by pomieścić coś tak złożonego, zaś systemy medyczne – jedyne środowisko w vanie *zdolne* pomieścić coś tak dużego – były na stałe odłączone od sieci poza zaplanowanymi aktualizacjami. Potwory potrafiły bardzo wiele w przestrzeni wirtualnej, ale wciąż jeszcze nie nauczyły się, jak sięgnąć do prawdziwego świata i fizycznie nacisnąć przełącznik. Ten najzwyczajniej wyciągnął swoje długie, paskudne paluchy z jakiegoś odległego węzła, siejąc spustoszenie z daleka, dopóki Taka go nie odcięła.

Jej własne odbicie spogląda na nią, udręczone i zmęczone, z wyciemnionego ekranu. Nieco wypukłe pleksi rozciąga jej obraz podłużnie, zamieniając *chude* w totalnie *wychudzone*. Jak u cywilizowanego i nobliwego uchodźcy z planety o niskiej grawitacji. Zesłanego na ten przeklęty świat, gdzie nawet twoja własna zbroja obraca się przeciwko tobie.

*A co jeśli...*, pomyślała, ale natychmiast porzuciła tę myśl.

Bardzo ostrożnie otworzyła drzwi i wyszła na pole śmierci. W zasięgu wzroku wciąż miała

całkiem sporą liczbę pacjentów. Rzecz jasna nikt już nie stał w kolejce. Mało kto w ogóle się poruszał.

*A co jeśli nie...*

– Halo! – zawołała do pustych ulic i pociemniałych fasad. – Już w porządku! Już po wszystkim!

Odciełam go!

Jęki rannych. Nic poza tym.

– Ktokolwiek! Przydałaby mi się tu pomoc! Mamy tu... Mamy...

*A co jeśli nie wyłączyłam GPS?*

Pokręciła głową. Zawsze to robiła. Co prawda nie przypominała sobie, by zrobiła to za tym konkretnym razem, ale człowiek rzadko kiedy jest w stanie przypomnieć sobie tak odruchowe rzeczy.

– Ktokolwiek?

*Może coś spierdoliłam. Nie byłby to pierwszy raz.*

*Prawda, Dave?*

Nagle wydało jej się strasznie ciemno. Oderwała spojrzenie od rzezi. Na zachodzie zmierzch krwawił czerwienią.

Właśnie wtedy zauważyła smugi kondensacyjne.

## KONDOM

Grodzie *Phocoeny* błyszczą inteligencją. Dane z peryskopu dostarczają szczegółowy, bogaty obraz podwodnego krajobrazu nocą: ciemne, migotliwe fale na pierwszym planie, czarne palce suchej ziemi wyciągające się z każdej strony. Kilka jaśniejszych budynków wznosi się ponad linię wybrzeża na środku ekranu, zbite w jedno skupisko na tle otaczającej ciemności. Pudełkowate, nieoświetlone sylwetki skrywają pozostałości z zupełnie innego miasta na południe od Cieśnin, porzuconego w ramach niedawnych ruchów ludności.

Miasto Halifax. Czy też raczej oblężone miasto-państwo, którym Halifax najwyraźniej się stało.

Zwykły obraz zajmuje górną, lewą ćwiartkę panelu głównego. Obok niego, interpretacja tego samego widoku w fałszywych kolorach pokazuje niewyraźną, mglistą chmurę otaczającą oświetlone budynki. Clarke przywodzi to na myśl płaszcz meduzy, ochraniający ważne organy. Całun jest w większości niewidoczny gołym okiem, nawet dla ryfterów, ale dla spektralnych zmysłów *Phocoeny* wygląda jak niebieski opar promieniowania cieplnego. Jonizacja pola statycznego, twierdzi Lubin. Kopuła elektryczności, która odpycha powietrzne cząsteczki.

Granica od strony morza jest strzeżona. Nie żeby Clarke podejrzewała, że zwyczajnie wpłyną do portu i zacumują obok miejscowej knajpy serwującej małże. Wiedziała, że to miejsce będzie miało *jakiegoś* rodzaju zabezpieczenia. Lubin spodziewał się min, dlatego przez ostatnie pięćdziesiąt klików *Phocoena* sunęła w kierunku nabrzeża za parą dronów kierunkowych, które płynęły zygzakiem, mając na celu wywabienie z ukrycia ewentualnego zagrożenia. Ta sztuka udała im się z jednym z zakopanych pocisków, który, przebudzony z letargu przez odgłos nadciągającej maszyny, wystrzelił z błota, a następnie po spiralnym kursie dotarł do bliższego drona, po czym odbił się od niego z nieszkodliwym i rozczarowującym brzdęknięciem.

Ten samotny niewypał był jedynym zagrożeniem, na które natrafili na zboczu. Lubin podejrzewa, że podwodne środki obronne Halifax musiały wyczerpać się przy okazji poprzednich najazdów. Fakt, że nie zostały zastąpione nowymi nie świadczy zbyt dobrze o możliwościach masowego produkowania dóbr w tych okolicach.

Tak czy inaczej, wbrew wszelkim oczekiwaniom, dopłynęli bez większych przeszkód aż tutaj, pod

sam Port Halifax. Tylko po to, by niemal wpaść na *to*. Cokolwiek *to* jest.

Jest praktycznie niewidoczne w światłach reflektorów łodzi. Jeszcze mniej widoczne jest dla sonaru, który ledwo zauważa tego obecność, nawet w bezpośredniej odległości. Klarowna, przezroczysta membrana rozciąga się od dna morskiego aż do powierzchni – peryskop pokazuje szereg pływaków, utrzymujących górną krawędź kilka metrów ponad poziomem fal. Wygląda na to, że okala całe wejście do portu.

Wygina się do środka, jakby Atlantyk napierał na to od zewnątrz. Na całej tego długości daje się dostrzec pojedyncze błyski zimnego, niebieskiego światła, rozsiane fale kosmicznego pyłu, odzwierciedlające łagodne, podpowierzchniowe pływy. Clarke widziała już coś podobnego. To nie membrana migocze, ale maleńkie, bioluminescencyjne stworzenia, które na nią wpadają.

Plankton. W pewnym sensie to pokrępowane, że wciąż istnieje, nawet tak blisko łądu.

Lubin bardziej zainteresowany jest przyczyną niż pokazem światła.

– Musi być półprzepuszczalna. – To by wyjaśniało oceanograficzną niemożliwość, zdradzającą jej obecność, nagłą, stromą haloklinę, która wyrosła na ich drodze niczym ściana. Dyskretne granice nie są niczym niezwykłym w morzu – woda brachiczna położona nad bardziej zasolonymi obszarami, warstwa cieplej wody ponad zimną. Stratyfikacja zawsze ma jednak charakter poziomy, parfait lekkiego-na-ciężkim, równie nieunikniona jak grawitacja. *Pionowa* haloklina wydaje się naginać prawa fizyki. Sama membrana może być niewidzialna dla sonaru, ale będąca jej efektem nagła przerwa nawet z odległości tysiąca metrów widoczna jest równie wyraźnie jak ceglana ściana.

– Wygląda niezbyt trwale – zauważa Clarke. – Nic, co miałoby nas powstrzymać.

– Nie zamontowano jej w obawie przed nami – mówi Lubin.

– Ach, racja. – Oczywiście, to filtr behemota. Zapewne blokuje również całe mnóstwo innych cząsteczek, stąd taka różnica gęstości. – Miałam na myśli, że możemy się przez to zwyczajnie przebić.

– Nie sądzę – odpowiada Lubin.

Mężczyzna wycofuje peryskop z powierzchni i posyła go w kierunku bariery. Na ekranie przycupnięte miasto znika w wirze bąbelków i ciemności. Clarke dostrzega przez iluminator przewód peryskopu, blady kabel światłowodu rozwijający się ponad ich głowami. Samo urządzenie jest praktycznie niewidzialne, mały cud dynamicznego kontrastowania.

Zamiast tego Clarke obserwuje go na wyświetlaczu taktycznym. Lubin zatrzymuje drona w odległości pół metra od membrany – blady, żółtawy blask jarzy się na obrazie po prawej stronie, tam gdzie gołe oko widzi jedynie mrok.

– Co to? – zastanawia się głośno Clarke.

– Pole bioelektryczne – wyjaśnia Lubin.

– Chcesz powiedzieć, że to coś żyje?

– Zapewne nie sama membrana. Podejrzewam, że po prostu sterują nią jakieś hodowlane neurony.

– Naprawdę? Jesteś tego pewien?

Lubin kręci głową.

– Nie jestem nawet pewien, że mamy do czynienia z czymś biologicznym. Siła pola się zgadza, ale to *niczego* nie dowodzi. – Rzuca jej spojrzenie. – Myślałaś, że dysponujemy czujnikami, które wykryłyby komórki mózgowe z odległości pięćdziesięciu kroków?

Nie przychodzi jej do głowy żadna cięta riposta. Clarke obraca głowę z powrotem w stronę iluminatora i bladej, niebieskawej poświaty na zewnątrz.

– Jak inteligentny żel z anoreksją – mruczy pod nosem.

– Tylko o wiele głębszy. I znacznie bardziej radykalny – musieli zmodyfikować neurony,

by mogły pracować w niskiej temperaturze, przy wysokim zasoleniu – podejrzewam, że sama membrana zdolna jest do osmoregulacji.

- Nie widzę żadnych naczyń krwionośnych. Ciekawe jak dostarczają jej substancji odżywczych.
- Być może membrana również to potrafi. Wchłania je prosto z morskiej wody.
- Czemu właściwie służy?
- Poza filtrem? – Lubin wzrusza ramionami. – Swego rodzaju alarm, jak sądzę.
- Co robimy?

Mężczyzna zastanawia się przez chwilę.

- Szturchniemy ją – mówi.

Peryskop wystrzelił do przodu. Na wyświetlaczu szerokospektralnym membrana rozjarza się przy uderzeniu, jasne smugi promieniują z miejsca trafienia niczym żyłkowana siateczka żółtych wyładowań. W zwykłym świetle bariera po prostu unosi się w wodzie, beczynnie.

- Mmm. – Lubin cofa peryskop. Membrana wraca do stanu pierwotnego.

- Więc jeśli *naprawdę* jest to alarm – mówi Clarke – to chyba właśnie go uruchomiłeś.

– Nie sądzę, chyba że Halifax stawia wszystkich w stan gotowości za każdym razem, gdy dryfujący kawałek drewna wpadnie w ich granicę. – Palce Lubina zręcznie przeskakują po pasku kontrolnym, na wyświetlaczu taktycznym widać, że peryskop wraca na powierzchnię. – Ale *założę się*, że to coś będzie krzyczeć o wiele głośniejsze, jeśli spróbujemy to przerwać. Nie potrzebujemy zwracać na siebie uwagi.

- Co teraz? Cofniemy się wzdłuż wybrzeża i spróbujemy podejść lądem?

Lubin kręci głową.

- Pod wodą mamy większe szanse. Dostanie się tam od lądu będzie o wiele trudniejsze. – Mężczyzna chwyta leżący obok zestaw wizualizacyjny i wkłada go sobie na głowę. – Jeśli nie uda się nam podłączyć do kabla, spróbujemy lokalnych sieci bezprzewodowych. Lepsze to niż nic.

Mężczyzna chowa się w kokonie i wysyła czujki w rzadką sieć danych ponad nimi. Clarke przełącza nawigację na panel drugiego pilota i cofa *Phocoenę* na głębsze wody. Dodatkowy klik nie powinien przeszkodzić Lubinowi, podczas gdy w przebywaniu na płyciźnie było coś niepokojącego. Zupełnie jakby unieśli wzrok tylko po to, by ujrzeć jak przygniata ich sufit.

Lubin chrząka.

- Mam coś.

Clarke nawiązuje połączenie z zestawem Lubina i przesyła obraz na swój panel. Większość strumienia danych jest zupełnie niezrozumiała – liczby, statystyki i akronimy, które przewijają się z szybkością uniemożliwiającą ich przeczytanie, nawet gdyby *cokolwiek* z tego rozumiała. Albo Lubin zrezygnował ze standardowych interfejsów użytkownika albo w ciągu ostatnich pięciu lat Wir zubożał tak bardzo, że nie był w stanie wspierać zaawansowanej grafiki.

Ale to niemożliwe. Koniec końców, systemy wciąż posiadają dość przestrzeni, by przechowywać jej demoniczne alter ego. A to byłoby niczym, gdyby nie *obraz*.

- Co mówi? – pyta Clarke.

- Jakiś atak rakietowy w Maine. Wysyłają podnośniki.

Kobieta poddaje się i ściąga własny zestaw z głowy.

– To może być nasza droga wejścia – myśli głośno Lubin. – Każdy pojazd wysłany tam przez KRASZ będzie operował na zabezpieczonym kanale z dostępem do ważnych informacji.

- Myślisz, że jakiś pilot będzie skłonny zabrać parę autostopowiczów ze środka skażonej strefy?

Lubin obraca głowę. Białe światło migocze na krawędziach jego zestawu, przypominając efemeryczne tatuaże wokół blizn na policzkach.

– Jeśli *będzie* tam jakiś pilot – mówi mężczyzna – być może będzie otwarty na perswazję.

## GEHENNA

Taka Ouellette wjechała w nocny krajobraz strzelających w górę płomieni. Brnęła w żółtym tempie przez gorącą i suchą śnieżycę. Pole statyczne przedniej szyby z trudem powstrzymywało kolejne płatki przed przyklepieniem się do szkła. W świetle reflektorów Miki popiół przypominał wyrzucony w powietrze talk, a widoczność przesłaniała jej mgiełka sproszkowanej ziemi i roślinności. Wyłączyła światła, ale podczerwień okazała się jeszcze gorsza – miliony cząsteczek sadzy w powietrzu, jaskrawe języki płomieni, niewielkie burze pyłowe i wijące się prądy wznoszące zapełniały wyświetlacz artefaktami w fałszywych barwach. Ostatecznie zdecydowała się na parę okularów wzmacniających światło, wyciągniętych ze schowka. Cały świat pochłonęła czerń i biel, wraz z milionami odcieni szarości. Widoczność wciąż była koszmarna, ale zakłócenia przynajmniej wysunęły się teraz na pierwszy plan.

*Może ktoś przeżył*, powtarzała sobie bez większego przekonania. *Może burza ogniowa nie sięgnęła aż tak daleko*. Była dobre dziesięć kilometrów od miejsca, gdzie MK zbuntowała się i doprowadziła do rzezi. Nigdzie bliżej nie znalazła żadnej kryjówki – żadnych kanałów burzowych ani podziemnych parkingów głębszych niż kilka poziomów, a nawet jeśli w okolicy istniało jakieś schronienie, to ocalali pacjenci raczej nie byliby skłonni podzielić się z nią tą informacją. Dlatego właśnie uciekła na wschód, mając nad głową łuki smug kondensacyjnych, aż w końcu znalazła schronienie w tunelu technicznym, przylegającym do opuszczonego kanału przepływowego, który wiercono od strony Zatoki Penobscot. Kilka lat temu szamani obiecywali, że kanał zapewni dostawy energii dla wybrzeża, od Portland aż po Eastport, do końca świata. Rzecz jasna świat *skończył się* zanim jeszcze zainstalowano pierwszą turbinę. Obecnie tunel służył jedynie jako schron dla kopiących ssaków przed krótkoterminowymi konsekwencjami ich własnej głupoty.

Dziesięć kilometrów wyboistych i zagruzowanych dróg, których nie naprawiano od czasu wybuchu epidemii *Behemota*. Prawdziwym cudem było, że Taka dotarła w bezpieczne miejsce zanim spadły pociski. Albo też byłoby tak, gdyby rakiety naprawdę spowodowały jakieś zniszczenia w miejscu, przez które właśnie przejeżdżała.

Była przekonana, że było wprost przeciwnie. W rzeczywistości była całkiem pewna, że bomby nigdy nawet nie dotknęły ziemi.

Wzgórze, na które wjeżdżała, pięło się w górę przez najbliższe sto metrów. W połowie wzniesienia drogę zagradały świeże resztki po jakimś przydrożnym budynku, który zawalił się w czasie ataku. Teraz przypominał jedynie ogromne rumowisko dymiących pustaków. Nawet okulary Taki nie były w stanie rozgonić cieni zalegających pośród ruin, równych linii, ostrych kątów i ciemnych, pustych równoległoboków.

Zbocze było zbyt strome dla ograniczonych możliwości poduszek powietrznych Miki. Ouellette zostawiła van samemu sobie i zaczęła obchodzić gruzy. Cegły wciąż były gorące w dotyku. Żar bijący od wypalanej ziemi przenikał przez podeszwy jej butów, subtelne ciepło, nieprzyjemne wyłącznie przez autosugestię.

Po drugiej stronie ruin zaczęła napotykać przedmioty, które zachowały przynajmniej szczątkowe podobieństwo do ludzkich kości. Wdychała prochy umarłych. Zapewne część z tych, których obecnie wciągała do płuc, umarłaby jeszcze wcześniej, gdyby nie jej starania. Być może któraś z osób, która otrzymała dzisiaj od niej pomoc, wciąż żyła, mimo wszystko. Czerpała z tej myśli lichą pociechę, dopóki nie wdrapała się na szczyt pagórka.

Ale nie.

Rozciągający się przed nią widok był takim samym obrazem nędzy i rozpaczony jak trasa, którą właśnie pokonała – migotliwe wybuchy białych płomieni rozjarzały panoramę na równi pociemniałą od zmroku, co od sady. Ta ziemia nie została spustoszona przez pociski ani mikroby, nie tym razem. To, co do tego doprowadziło, wciąż widoczne było w oddali – mały, ciemny owal na niebie, niewiele ciemniejszy od chmur w tle, zawieszony zaledwie kilka stopni nad horyzontem. Początkowo Taka przegapiła go, nawet mimo okularów. Jego zarys był niewyraźny, skrzący bladą poświatą zakłóceń wywołanych przez nadmiernie pobudzone, zbłąkane fotony.

Jednak język ognia, który buchnął z jego brzucha w następnej chwili widoczny był nawet gołym okiem.

A więc nie pocisk. Nie mikrob. Podnośnik, gotujący oddalonym terenom taką samą ognistą kąpiel, jaką zgotował już pierwszemu planowi.

A z tego co Taka Ouellette wiedziała, ona sama była przyczyną jego wizyty.

Och, nie było to pewne. Zakrojone na szeroką skalę czystki wciąż zdarzały się pod różnymi oficjalnymi pretekstami. W rzeczywistości był taki okres, gdy przeprowadzano je rutynowo, we wczesnych, pełnych paniki dniach, kiedy ludzie myśleli, że będą w stanie opanować behemota, jeśli tylko zdobędą się na odwagę, by poczynić drastyczne kroki. Zaprzesano tego, gdy stało się jasne, że N'Am marnuje całe swoje zapasy napalmu bez zbytniego efektu, ale na dzikszych terenach na zachodzie wciąż jeszcze praktykowano tego typu rzeczy. Istniała również możliwość, że tego typu posunięcia mogły zostać podjęte przez KRASZ bez uprzedniej ewakuacji personelu polowego, choć Taka wątpiła, aby nawet ktoś taki jak ona został wyrzucony *aż tak* poza nawias.

Ale nie tak daleko stąd, nie tak dawno, wypuściła na świat potwora. Powodzie i burze ogniowe wydawały się kroczyć w ślad za tego typu wydarzeniami, a Taka niemal nie pamiętała czasów, kiedy wierzyła w przypadki.

Istniał cały szereg prawdopodobnych przyczyn. Być może jakiś zbuntowany autopilot z wadliwym oprogramowaniem dał się oszukać literówce, przez co spalił niewłaściwy obszar. A może był to ludzki pilot, którego zwiódło przeinaczone kodowanie, rozkazy usłyszane błędnie przez szumy tła i zakłócenia. Żaden z tych szczegółów nie miał znaczenia. Taka wiedziała, że należało zadać inne pytanie: *kto zmodyfikował kod, który zmylił autopilota? Co spowodowało zakłócenia w instrukcjach usłyszanych przez człowieka z krwi i kości?*

Na dodatek znała odpowiedź. Byłaby ona oczywista dla każdego, kto zobaczyłby potwora na swoim zestawie wizualizacyjnym, zaledwie kilka godzin wcześniej. Zbiegi okoliczności nie istniały. Szum nigdy nie był dziełem przypadku. Natomiast sama maszyna była wadliwa.

Tutaj, patrząc przez okulary wzmacniające na krematorium, które ciągnęło się aż po horyzont, było to jedyne sensowne wytłumaczenie.

*Kiedyś byłaś naukowcem, mówiła sobie. W pełni odrzuciłaś wiarę w inkantacje. Poznałaś prawdy, które chroniły cię przed uprzedzeniami i głupotą, wzięłaś je sobie do serca – współzależność nie jest równa przyczynowości. Nic nie jest prawdziwe, dopóki nie zostanie powtórzone. Umysł dostrzega wzór pośród szumu. Ufaj jedynie liczbom.*

Być może były to jedynie inkantacje innego rodzaju. Na dodatek niezbyt przekonujące. Pomimo całej swej mocy nie potrafiły uchronić jej przed narastającą pewnością, że przywołała do swego pojazdu złego ducha. Potrafiła zracjonalizować zabobonną obawę, która pojawiła się w jej głowie, nawet ją usprawiedliwić. Dzięki swojemu szkoleniu miała odpowiednie narzędzia, by to uczynić. *Duch* to tylko słowo, wygodna nazwa dla wirulentnego bytu sieciowego, stworzonego w przyspieszonym środowisku darwińskim, które kiedyś nazywano *Internetem*. Taka domyślała się,

jak szybko musiały zachodzić zmiany ewolucyjne w systemie, gdzie setki pokoleń rodziły się i umierały w mgnieniu oka. Pamiętała czasy, gdy elektroniczne formy życia – niezaprojektowane, nieplanowane i niechciane – stały się tak nieznośne, że sama sieć otrzymała przydomek *Wir*. Rzeczy nazywane *Lenie*, *rozpruwaczami* czy *Madonnami* – niczym ewangelijne demony, imię ich legion – stanowiły wzory selekcji naturalnej. Niezwykle udane wzory – po drugiej stronie świata całe kraje działały w ich imieniu. Albo przynajmniej w imieniu ikony, na której bazowały, jak na wpół mistyczny kult, który osiągnął znaczącą pozycję na plecach behemota.

To była logika, nie religia. Co z tego, że te stworzenia posiadały niewyobrażalną potęgę, skoro nie posiadały fizycznej postaci? Co z tego, że żyły w kablach i bezprzewodowych przestrzeniach, poruszając się z szybkością własnych, elektronicznych myśli? *Demon*,  *duch* – skrót myślowy, ale nie przesąd. Jedynie metafora posiadająca kilka podobieństw.

A mimo to, gdy Taka Ouellette ujrzała tajemnicze światła na niebie, przyłapała się na tym, że jej usta poruszały się w rytmie zupełnie innej inkantacji.

*O Boże, uchron nas.*

Obróciła się i ruszyła w dół zbocza. Prawdopodobnie mogłaby wyminąć blokadę, skrócić w jakąś boczną drogę, by dalej jechać w tym kierunku, tylko jaki był tego sens? Była to kwestia zwykłej analizy zysków i strat na linii liczba-ocalonych-żyć-na-jednostkę-wysiłku. Wartość tej relacji z pewnością była o wiele wyższa w każdym innym miejscu niż to.

Zawalony budynek ponownie wyrósł na drodze przed nią, szary i bezbarwny we wzmocnionym świetle. Z tej perspektywy jego kanciaste cienie wyglądały inaczej, bardziej złowieszczo. Tworzyły toporne twarze i części ciała przekraczające rozmiarami ich ludzkie odpowiedniki, zupełnie jakby olbrzymi, kubistyczny robot zwałił się na beładną kupę i teraz zbierał siły, by znów się pozbierać.

Gdy zaczęła obchodzić rumowisko, jeden z cieni odłączył się od reszty i stanął jej na drodze.

– *Matko...* – Taka łapie głęboki oddech. Tylko kobieta, teraz widzi, na dodatek nieuzbrojona – w dzisiejszych czasach takie rzeczy zauważasz mimowolnie – ale serce i tak podskoczyło jej do garda. – Jezu, przestraszyłaś mnie.

– Przepraszam. Nie chciałam. – Kobieta zrobiła kolejny krok z dala od gruzów. Blondynka, odziana w jakiś przylegający do ciała kombinezon, od stóp do głów. Tylko jej dłonie i głowa są odsłonięte, blade bezcielesne kształty na tle kontrastującej ciemności. Była kilka centymetrów niższa niż Taka.

Coś nie tak było z jej oczami. Z jakiegoś powodu wydawały się zbyt jasne. Zapewne to wada wzmacniających okularów, stwierdza Taka. Być może to światło odbija się od wilgotnej powierzchni rogówki.

Kobieta ruchem głowy wskazuje ponad ramieniem.

– To twoja karetka?

– Mobilna klinika. Tak. – Taka powiodła wzrokiem dookoła. Nie zobaczyła nikogo innego. – Jesteś chora?

Śmiech, bardzo cichy.

– Jak wszyscy.

– Miałam na myśli...

– Nie. Jeszcze nie.

*Co jest nie tak z tymi oczami?* Trudno było powiedzieć z tej odległości – kobieta stała dobrych dziesięć metrów od niej – ale wyglądało, jakby miała nocne szkła. W takim wypadku widziała Takę Ouellette o wiele lepiej niż Taka Ouellette widziała ją przez te śnieżące okulary.

Ludzie na dzikich obszarach z reguły nie byli tak dobrze wyposażeni.

Taka swobodnie włożyła ręce do kieszeni. Ruch ten sprawił, że jej kurtka nieznacznie ześlizgnęła się z przydziałowego kimbera przy udzie.

– Jesteś głodna? – spytała. – W wozie jest cykler. – Kostki smakują jak gówno, ale jeśli jesteś zdesperowana...

– Przykro mi – powiedziała kobieta, robiąc krok do przodu. – Naprawdę.

Jej oczy przypominały puste, półprzezroczyste kule lodu.

Taka odruchowo zrobiła krok w tył. Coś uniemożliwiło jej cofnięcie się. Odwróciła się, by spojrzeć w parę kolejnych, pustych oczu osadzonych w kamiennej twarzy pokrytej bliznami. Nie sięgnęła po broń. Jakimś cudem on już ją miał.

– Jest przypisana genetycznie – powiedziała szybko.

– Mmm. – Mężczyzna obrócił broń w dłoniach. Miał spojrzenie profesjonalisty. – Przepraszamy za to najście – powiedział w zamyśleniu – ale musimy prosić cię o wyłączenie zabezpieczeń w twoim pojeździe. – Nawet na nią nie patrzył.

– Nie skrzywdzimy cię – powiedziała kobieta za jej plecami.

Taka, wciąż niepewna, nie spuszczała oczu z mężczyzny trzymającego pistolet.

– Oczywiście, że nie – przytaknął, w końcu przenosząc na nią wzrok. – Przynajmniej dopóki istnieją o wiele skuteczniejsze alternatywy.

*Bagheera* to jedno hasło. Ale istniały też inne.

*Morris* zamykało cały kram, tak by nikt – nawet Taka – nie był w stanie z niego skorzystać bez pełnej autoryzacji. *Piksel* porażało prądem wszystkich pasażerów, którzy nie odpowiadali jej profilowi feromonowemu. *Tigger* otwierało drzwi, ale cała maszyna udawała martwą, dopóki Taka nie wypowiedziała słowa *Schroedinger*. Wtedy to wszystkie drogi ucieczki zamykały się na głucho, a MK pompowała do kabiny dostatecznie dużo halotanu, by zamienić 110-kilogramowego napastnika w worek galaretki na minimum piętnaście minut (Taka dopadłaby agresora już po zaledwie dziewięćdziesięciu sekundach, gdyż wręczając jej klucze do Miki, jej włodarze zadbali również, by w jej żyłach krążył enzym odpornościowy).

Mobilne kliniki pełne były zasobów i technologii. Dzikie tereny były z kolei pełne desperatów gotowych dosłownie poświęcić własne życie w imię zyskania jakiegokolwiek przewagi nad behemotem. Środki antywłamaniowe były więc na miejscu, choć nie sposób było nie zauważyć pewnej ironii – gdy przyszło co do czego Miki potrafiła o wiele lepiej zabijać i ogłuszać niż leczyć chorych.

Taka stała teraz przed drzwiami kierowcy, mając po obu stronach czarne kombinezony z białymi oczami. Rozważyła wszystkie dostępne opcje.

– Tigger – powiedziała. Miki zaświergotała i otworzyła drzwi.

Kobieta pociągnęła za klamkę, po czym wskoczyła do szoferki. Taka chciała ruszyć za nią. Czyjaś dłoń opadła jej na ramię.

Taka odwróciła głowę, by spojrzeć w oczy porywaczowi.

– Ma też blokadę genetyczną. Będę musiała zresetować system, jeśli chcecie gdziekolwiek pojechać.

– Nie chcemy – powiedział mężczyzna. – Jeszcze nie.

– Wyświetlacz nie działa – rzuciła kobieta zza kółka.

Dłoń na jej ramieniu delikatnie zacieśniła chwyt, pchnęła ją w przód. Taka poczuła, że mężczyzna prowadzi ją w stronę szoferki. Kobieta przesiadła się na fotel obok, ustępując jej miejsca.

– Myślę – odezwał się mężczyzna – że chyba jednak pozwolimy naszej pani doktor zająć miejsce



pasażera. – Dłoń wywiera nacisk. Taka przecznęła się pomiędzy siedzeniem a drążkiem sterowniczym, podczas gdy kobieta wysiadła po drugiej stronie. Chwilę później chwyciła za krawędź drzwi, chcąc je zatrzasać.

– Zaczekaj – powiedział mężczyzna bardzo wyraźnie. Kobieta zamarła. Teraz to on siedział za kierownicą. Jego dłoń ani na chwilę nie opuściła ramienia Taki. – Jedno z nas cały czas musi przebywać poza szoferką – rzucił do swojej partnerki. – Drzwi mają zostać otwarte.

Jego partnerka pokiwała głową. Mężczyzna zabrał rękę z ramienia Taki i spojrzał w ciemną, beużyteczną twarz deski rozdzielczej.

– Uruchom systemy – nakazał. – Tylko dotyk, żadnych komend głosowych. Nie odpalaj silnika.

Taka obrzuciła go obojętnym spojrzeniem.

Blondynka pochyliła się nad jej ramieniem.

– Nie próbujemy cię przepierdolić – powiedziała cicho. – *Naprawdę* nie chce cię skrzywdzić, chyba że nie będzie innego wyjścia. Założę się, że to bardzo szczodra propozycja w tych rejonach, więc czemu się upierasz?

*W tych rejonach.* Więc dopiero tu przybyli. Nie żeby było to jakimś wielkim zaskoczeniem. Ta dwójka w niczym nie przypominała uchodźców z dzikich terenów, z którymi Taka miała do czynienia od dłuższego czasu.

Pokręciła głową.

– Kradniecie MK. To dotknie o wiele większą grupę ludzi poza mną.

– Jeśli będziesz współpracować, za jakiś czas otrzymasz ją z powrotem – zapewnił mężczyzna. – Uruchom systemy.

Taka dotknęła czytnika genetycznego. Deska rozdzielcza rozbłysła.

Mężczyzna spojrzał na wyświetlacz.

– Zakładam, że jesteś swego rodzaju wędrownym pracownikiem służby zdrowia.

– Swego rodzaju – odparła ostrożnie Taka.

– Skąd? – spytał mężczyzna.

– Co skąd?

– Kto ustala twoją trasę? Kto dostarcza zaopatrzenie?

– Bangor, zazwyczaj.

– Zaopatrzenie dostarczają ci drogą powietrzną?

– Jeśli jest taka możliwość.

Mężczyzna odchrząknął.

– Twój nadajnik stanów magazynowych jest wyłączony.

Mówił, jakby było to coś zaskakującego.

– Kontaktuję się z nimi drogą radiową, gdy kończą mi się zapasy – wyjaśniła Taka. – Po co... *Hej, co ty u diabła robisz?*

Mężczyzna zamarł z palcami w powietrzu nad menu GPS, które właśnie wywołał.

– Próbuję określić położenie kilku punktów – rzekł łagodnie. – Czy to jakiś problem?

– *Zwariowałeś?* Jesteśmy praktycznie w zasięgu jego wzroku! *Chcesz, żeby to coś zawróciło?*

– *Żeby co zawróciło?* – spytała kobieta.

– Jak myślicie, co doprowadziło do *tego* wszystkiego?

Patrzą na nią bez wyrazu.

– KRASZ, jak sądzę – odezwał się po chwili mężczyzna. – Spalili ten teren, żeby powstrzymać ekspansję choroby, myślę się?

– To była *Lenie!* – krzyknęła Taka. *O Jezu, co jeśli on sprowadzi to z powrotem, co jeśli...*

Ktoś obrócił ją szarpnięciem zza pleców. Lodowate oczy spojrzwały prosto w jej źrenice. Czują oddech kobiety na policzku.

– Co powiedziałaś?

Taka przełknęła ślinę, zachowując zimną krew. Uczucie paniki osłabło.

– Posłuchajcie – powiedziała – to coś dostało się tu przez mój GPS. Nie wiem jak, ale jeśli podłączycie się do sieci, możecie sprowadzić to z powrotem. W obecnej chwili nie ryzykowałabym nawet używania radia.

– To coś... – zaczął mężczyzna.

– Jak możecie o nich *nie wiedzieć?! –* wrzasnęła poirytowana Taka.

Dwójka nieznajomych wymieniła niemożliwe do odszyfrowania spojrzenia ponad jej ramieniem.

– Wiemy o nich – rzekł mężczyzna. Taka z ulgą zauważyła, że wyłączył GPS. – Twierdzisz, że to coś było odpowiedzialne za wczorajszy atak raketowy?

– Nie, oczywiście, że n... – Urwała w pół słowa. Nigdy nie przyszło jej to do głowy.

– Nie myślałam o tym w ten sposób – powiedziała po chwili. – Ale chyba wszystko jest możliwe. Niektórzy twierdzą, że MM zrekrutowali to jakimś sposobem.

– Kto inny mógłby to zrobić? – zastanawiała się głośno kobieta.

– EurAfryka. W zasadzie każdy. – Nagle do głowy przyszła jej myśl. – Nie jesteście chyba z...?

Mężczyzna potrząsnął głową.

– Nie.

W zasadzie nie potrafiła winić tych, którzy stali za atakami raketowymi. Zgodnie z depeşami, behemot wciąż jeszcze nie dotarł na drugą stronę Atlantyku. Ci ludzie zapewne wciąż myśleli, że będą w stanie powstrzymać jego ekspansję, sterylizując gorące strefy. Jakieś zdanie załaskotało ośrodki pamięciowe Taki, wyświechtany slogan, którego używano kiedyś do usprawiedliwienia astronomicznej liczby zgonów. To było to: *Dla większego dobra.*

– Tak czy inaczej – ciągnęła dalej – pociski nigdy się przebiły. To wszystko to nie ich sprawa.

Kobieta spoglądała przez okno, gdzie *to wszystko* zaczynało jaśnieć w przydymionej szarówce przedświt.

– Co je powstrzymało?

Taka wzruszyła ramionami.

– Tarcza antyraketowa N'Am.

– Skąd ta pewność? – spytał mężczyzna.

– Gdy antyrakiety spadają z orbity, na niebie widać smugi po wejściu w atmosferę. Odrobine przygasają zanim wybuchną. Przypominają wtedy wybuchającą gwiazdę dymu, trochę jak fajerwerki.

Kobieta rozejrzała się.

– Więc to wszystko, ta twoja... twoja *Lenie?*

Urywek z bardzo starej piosenki przemknął Tace przez myśl. *Nie ma w tym żadnego przypadku...*

– Powiedziałaś *wybuchająca gwiazda?* – spytał mężczyzna.

Taka pokiwała głową.

– A smugi kondensacyjne przygasły tuż przed wybuchem. No i?

– Które smugi? Nadlatujących pocisków czy obrony przeciwraketowej N'Am?

– Skąd mam wiedzieć?

– Widziałaś to zeszłej nocy?

Ponowne skinienie głowy.

– O której godzinie?

– Nie wiem. Posłuchaj, miałam inne rzeczy na głowie, bo...

*Właśnie patrzyłam jak kilka tuzinów ludzi zostało pokrojonych na kawałki, ponieważ mogłam omyłkowo zostawić otwarty kanał...*

Mężczyzna wpatrywał się w nią teraz z niezwykłym przejęciem. Jego oczy nie wyrażały niczego, ale na pewno nie nazwałaby ich pustymi.

Spróbowała sobie przypomnieć.

– Zmierzchało, słońce zaszło jakieś... nie wiem, piętnaście albo dwadzieścia minut wcześniej?

– Wtedy właśnie najczęściej dochodzi do takich ataków? O zmierzchu?

– Nigdy wcześniej nie zwracałam na to uwagi – przyznała Taka. – Chyba tak. A na pewno nocą.

– Czy *jakikolwiek* atak nastąpił kiedyś za dnia?

Mocno się zamyśliła.

– Ja... nie przypominam sobie.

– Ile czasu minęło po przygaśnięciu smug zanim zobaczyłaś wybuchy?

– Posłuchaj, ja nie...

– *Ile czasu?*

– *Nie wiem, ok?* Może z pięć sekund.

– Pod jakim kątem łukowym te smugi...

– Człowieku, ja nawet nie mam pojęcia, o czym ty *mówisz*.

Białooki mężczyzna nie mówił nic przez bardzo długi okres czasu. Nie poruszał się. Tace przysły do głowy obracające się tryby.

W końcu:

– Ten tunel, w którym się ukryłaś.

– Skąd... śledziliście mnie? Aż stamtąd? *Pieszko?*

– To niezbyt daleko – powiedziała kobieta. – Niecały kilometr.

Taka pokręciła głową z niedowierzaniem. Wtedy, przedzierając się przez kolejne odcinki wypalanej ziemi, wydawało jej się, że podróż zabrała jej kilka dni.

– Zatrzymałaś się przed bramą. Żeby przeciąć łańcuch.

Taka pokiwała głową. Z perspektywy czasu było to niedorzeczne – MK mogła przebić barierę w jednej chwili, a niebo waliło im się na głowę.

– Spojrzałaś w niebo – domyślił się.

– Tak.

– Co zobaczyłaś?

– Mówiłam już. Smugi kondensacyjne. Wybuchy.

– Gdzie zauważyłaś najbliższy wybuch?

– Nie pam...

– Wsiądź z samochodu.

Patrzyła na niego tępo.

– No dalej – powiedział.

Wysiadła w szary świt. Duchy opuściły zrujnowany budynek przed nią – jaśniejące światło przegoniło rorschachowskie cienie, zostawiając jedynie bezładną kupę pustaków i dźwigarów. Pojedyncze drzewa, które wciąż stały w pobliżu, niemal spopielone do białości, otaczały drogę niczym wyciągnięte w górę, kościste dłonie.

Stał u jej boku.

– Zamknij oczy.

Tak też zrobiła. Jeśli zamierzał ją zabić, nie mogłaby nic zrobić, nawet z otwartymi powiekami.

– Jesteś przed bramą. – Jego głos był spokojny, kojący. – Stoisz twarzą do bramy. Obracasz się i patrzysz na drogę. Podnosisz głowę i spoglądasz w niebo. No dalej.

Obróciła się, nie otwierając oczu, pozwalając, aby pamięć wypełniła luki. Zadarła głowę.

– Widzisz wybuchy – ciągnął mężczyzna. – Chcę byś wskazała ten, który znajduje się bezpośrednio nad twoją głową. Przypomnij sobie, gdzie go zobaczyłaś i wskaż go palcem.

Dziewczyna uniosła dłoń i przez chwilę przytrzymała ją w górze.

– Co to za podchody, Ken? – spytała kobieta zawieszona w próżni. – Nie powinniśmy...

– Możesz już otworzyć oczy – powiedział mężczyzna... powiedział *Ken*. Posłuchała go.

Nie miała pojęcia, kim są ci ludzie, ale zaczynała wierzyć przynajmniej w jedną rzecz, którą jej powiedzieli – nie zamierzali jej krzywdzić.

*Przynajmniej dopóki istniały o wiele skuteczniejsze alternatywy.*

Pozwoliła sobie na odetchnięcie z ulgą.

– Jeszcze jakieś pytania?

– Jedno. Masz jakieś granaty patogenowe?

– Całe mnóstwo.

– Czy któreś z nich są w stanie namierzyć wirusy *nie będące* behemotem?

– Większość. – Taka wzruszyła ramionami. – Markery behemota są na tych obszarach dość rzadkie.

Wyciągnęła granaty, o które prosił, oraz pistolet do ich miotania. Obejrzał je z taką samą miną, z którą przyglądał się jej kimberowi. Broń najwyraźniej przeszła inspekcję.

– Nie powinienem zniknąć na dłużej niż kilka godzin – powiedział do swojej partnerki. Rzucił okiem na MK. – Nie pozwól jej uruchomić silnika ani zamykać drzwi, niezależnie od tego czy będzie w środku czy na zewnątrz.

Kobieta obrzuciła Takę spojrzeniem, z nieprzenikniętą miną.

– Hej – zaczęła Taka – ja...

Ken pokręcił głową.

– Nie martw się o nic. Ustalimy wszystko, gdy wrócę.

Mężczyzna ruszył drogą. Ani razu nie obejrzał się za siebie.

Taka wzięła głęboki oddech i spojrzała na drugą kobietę.

– Więc teraz ty będziesz mnie pilnować?

Kącik ust kobiety drgnął.

*Cholera, dziwne są te ich oczy. Nic w nich nie widać.*

Spróbowała jeszcze raz.

– Ken wydaje się być całkiem miłym gościem.

Kobieta na chwilę wbiła w nią swoje lodowate spojrzenie, po czym parsknęła śmiechem.

Taka wzięła to za dobry omen.

– Jesteście jakąś parą czy co?

Nieznajoma pokręciła głową, wciąż się uśmiechając.

– Co.

– Nie żebyś pytała, ale jestem Taka Ouellette.

W jednej chwili uśmiech znikł.

*Patrz, Dave, znów coś spieprzyłam. Zawsze muszę zrobić o jeden krok za dużo...*

Ale usta drugiej kobiety poruszyły się.

– Le... Laurie – wyartykułowały.

– Ach. – Taka próbowała wymyślić coś, co mogłaby powiedzieć. – Nie mogę powiedzieć, że miło

mi cię poznać – powiedziała w końcu, dokładając starań, by jej ton brzmiał niewymuszenie.

– Jasne – mruknęła Laurie. – Nie ty pierwsza.

## TRYGONOMETRIA ZBAWIENIA

*Coś się nie zgadza*, pomyślał Lubin.

Środek czerwca na czterdziestym czwartym równoleżniku. Piętnaście lub dwadzieścia minut po zachodzie słońca – powiedzmy, około pięciu stopni obrotu Ziemi. Co umiejscawia zmierzch na wysokości około trzydziestu trzech kilometrów. Pociski weszły w cień w przybliżeniu cztery lub pięć sekund przed wybuchem, jeśli wierzyć świadkowi. Zakładając typową prędkość ponownego wejścia na poziomie siedmiu kilometrów na sekundę, właściwa detonacja nastąpiła na wysokości nie większej niż pięć tysięcy metrów, prawdopodobnie jednak znacznie niżej.

Twierdziła, że nastąpił wybuch. Nie uderzenie i nie kula ognia. Fajerwerki, jak to nazwała. I zawsze o zmierzchu albo nocą.

Słońce dopiero co wzniosło się ponad grzbiet na wschodzie, gdy dotarł do tylnego wejścia opuszczonego przedsiębiorstwa Penobscot Power. *Phocoena* i lekarska MK krótko współistniały w trzewiach tego gmachu. Jego tunele techniczne ciągnęły się wzdłuż kręgosłupa wielkiego, podziemnego pasa oceanu o szerokości sześćdziesięciu metrów i długości sto razy większej, wywierconego w litej skale. W czasach swego poczęcia była to śmiała rekonstrukcja napędu księżycowego, napędzającego pływy w zatoce Fundy, dwieście klików na północ. Teraz była to jedynie ogromna, zatopiona rura ściekowa, a także droga dla łodzi podwodnych, by niezauważenie dostać się w głąb lądu.

Rzecz jasna, żadna z tych rzeczy nie była oczywista z tego miejsca. Tutaj był jedynie osmalony łańcuch, pokryte sadzą prostokąty metalu, które kiedyś głośiły WSTĘP WZBRONIONY, a także – pięćdziesiąt metrów w przeciwnym kierunku, gdzie z ziemi wyrastały skały – betonowa paszcza z połamanymi zębami na zboczu grani. Jeden z dwóch paneli przy bramie kołysał się z jękiem na suchej bryzie. Drugi wisiał krzywo, nieruchomy na zardzewiałych zawiasach.

Stał tyłem do bramy. Uniósł dłoń i przytrzymał ją w górze. Pamiętał miejsce, które wskazywała lekarka, skorygował swoje ustawienie.

*Tędy.*

Zaledwie kilka stopni nad horyzontem. To sugerowało dalekosiężną obserwację lub wprost przeciwnie, znacznie bliższą, na niewielkiej wysokości. Lubin przypominał sobie, że inwersje atmosferyczne były najsilniejsze o zmierzchu lub po zmroku. Z reguły miały grubość zaledwie kilkuset metrów i miały w zwyczaju działać jak koce, przytrzymując uwolnione cząsteczki przy samej ziemi.

Szedł na południe. Tu i tam wciąż migotały płomienie, trawiąc resztki łatwopalnych materiałów. Od strony wybrzeża nadchodziła poranna bryza. Niosła ze sobą obietnicę niższych temperatur i czystsze powietrze. Teraz jednak wszędzie wciąż zalegał popiół. Lubin wypluł kredową flegmę i parł dalej.

Lekarka wraz z granatami wręczyła mu pas. Małe, aerozolowe ładunki wybuchowe obijały mu się o biodra. Broń stale trzymał w pogotowiu, z roztargnieniem kierując ją w stronę dogodnych celów, pieńków, wypalonych krzewów i pozostałości po słupkach podtrzymujących ogrodzenie. Nie miał zbyt wielkiego wyboru. Wyobraźnia podsuwała mu w ich miejsce obrazy kończyn i twarzy. Lubin wyobrażał sobie, że krwawia.

Oczywiście, jego świadek bynajmniej nie był chodzącym GPS-em. Jej wskazówki zawierały tak wiele nieprecyzyjnych danych, że próba wzięcia poprawki na prędkość wiatru była równoznaczna z dodaniem kolejnego małego błędu do całego szeregu większych. Chociaż o Lubinie można było powiedzieć wiele, to na pewno nie to, że brak mu systematyki. Istniało spore prawdopodobieństwo, że w obecnej chwili znajdował się w odległości kilometra od miejsca wybuchu. Przez kilka minut szedł na wschód, biorąc poprawkę na bryzę. Następnie załadował pierwszy granat do pistoletu i wystrzelił w niebo.

Pocisk pomknął w górę niczym wielkie, żółte jajo i eksplodował chmurą fluorescencyjnego różu o średnicy dwudziestu metrów.

Mężczyzna patrzył jak wiatr rozwiewa opar. Pierwsze pasma podążyły za dominującymi prądami powietrznymi, rozciągając chmurę w coś na kształt jajowatej, delikatnej waty cukrowej, z której wyciągnął pojedyncze wstążki. Jednak już po kilku chwilach obłok zaczął rozszerzać się na boki, jego cząsteczki składowe instynktownie zaczęły węszyć w poszukiwaniu skarbu.

Żadnych oczywistych ruchów na wietrze. Na razie jeszcze było na to za wcześnie.

Kolejny granat wystrzelił sto metrów po przekątnej pod wiatr od pierwszego. Trzeci – w odległości stu metrów od dwóch pozostałych, ostatni wierzchołek umownego trójkąta równobocznego. Ostatecznie ruszył zygzakiem po wypalanej ziemi, wzbijając w powietrze tumany popiołów wszędzie tam, gdzie jeszcze wczoraj rosły paprocie i zarośla, klucząc między niekończącymi się skalnymi muldami i rozpadlinami. Raz przeskoczył nawet nad osmalonym korytem strumienia, wciąż płynącego wąską strużką, zasilanego jakimś cudownym źródłem z miejsca, którego nie tknęły płomienie miotaczy ognia. W mniej więcej równych odstępach czasu wystrzeliwał w niebo kolejną absurdalną różową chmurę, obserwował jej zachowanie i szedł dalej.

Celował w niebo, chcąc wystrzelić ósmy granat, gdy zobaczył, że obłok po siódmym zachowuje się dziwnie. Początkowo przypominał pierzasty cumulus, podobnie jak wszystkie pozostałe. Teraz jednak zaczęły oddzielać się od niego smugi i pasma, zupełnie jakby szarpane wiatrem. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że wstęgi nie ciągnęły się *za* bryzą ale *w poprzek*.

Jeszcze jedna chmura, nieco bardziej oddalona i rozproszona, zdawała się łamać te same zasady. Rozpylone cząsteczki nie płynęły, przynajmniej nie gołym okiem. Raczej dryfowały pod wiatr, w kierunku jakiegoś punktu zbieżnego położonego wzdłuż drogi, którą przebył Lubin, odchylonego około trzydziestu stopni od trasy przemarszu.

Na dodatek traciły wysokość.

Ruszył w ślad za nimi. Drobin w tych chmurach trudno było nazwać inteligentnymi, nawet naginając ten termin, ale z pewnością wiedziały, co lubią i posiadały sposoby na to, by to zdobyć. Stworzenia te kierowały się węchem i ponad wszystko kochały zapach dwóch rzeczy. Pierwszą stanowiły sygnatury proteinowe wydzielane przez szeroki wachlarz bojowych biosprej – tropiły tę woń niczym rekiny, które zwęszyły krew w wodzie, a gdy już natrafiły na tę ambrozię, tarzały się w niej i *zmieniały* na poziomie chemicznym. To była druga rzecz, którą kochały – zapach swoich własnych pobratymców, osiągających spełnienie.

Było to klasyczne zagranie grupowe w biologicznej skali makro. Bardzo często ślad po zwierzyńce był tak słaby, że mógł zwabić jedynie kilka przelatujących drobin. Te namierzały go, na zasadzie enzym-substrat, i kilka z nich osiągało stan osobistej nirwany – ale sama ta fuzja zdusiłaby emisję, które przyciągnęły je tu na samym początku. Substancja skażająca zostałaby oznaczona, choć marker byłby niewidoczny dla oka żadnego ssaka.

Ale gdyby drobin odczuwały pobudzenie nie tylko na widok zwierzyńce, ale również na widok innych pobudzonych drobin – doprawdy, nie miało żadnego znaczenia, czy pierwotnej substancji

starczyłoby dla wszystkich. Jedna cząsteczka wystarczyła, aby rozpocząć orgiastyczną reakcję łańcuchową. Każde kolejne przybycie jedynie wzmacniałoby wspólny sygnał.

Lubin znalazł to, czego szukał, na wpół zakopane w żwirze zalegającym na dnie płytkiego żlebu. Przypominało pocisk o zadartym nosie, długości mniej więcej trzydziestu centymetrów, do połowy podziurawiony rzędami okrągłych otworów. Albo solniczkę olbrzyma o chorobliwie wysokim ciśnieniu krwi. Albo lufę wielogłowicowego urządzenia suborbitalnego, mającego za zadanie rozpylanie substancji biologicznych.

Lubin nie miał pojęcia jakiego pierwotnie było koloru. Teraz całe ociekało różową, fluorescencyjną mazią.

MK Ouellette zmieniła się na jego oczach. Jasne, holograficzne widma rozpostarły swe ramiona wewnątrz pojazdu – plastikowa powłoka stała się przezroczysta, odsłaniając neonowe trzewia i nerwy. Lubin wciąż próbował przywyknąć do tego typu widoków. Jego nowe ulepszenia przekazywały mu dane diagnostyczne nieosłoniętej maszynerii w promieniu dwunastu metrów. Ten konkretny pojazd nie był jednak tak otwarty jak by sobie tego życzył. Pełen był guzów – prostokątne cienie pod deską rozdzielczą, ciemne pasy wzdłuż drzwi pasażera, czarny, matowy cylinder na środku, przypominający mroczne serce. MK posiadała całkiem sporo zabezpieczeń. Ekranowanych zabezpieczeń.

Clarke i Ouellette stały po jednej stronie, obserwując jego nadejście. Dla nowych oczu Lubina Ouellette nie była niczym specjalnym. Ciemne iskierki połyskiwały wewnątrz klatki piersiowej Clarke, ale nic mu nie mówiły. Jego nowe wkładki i jej implanty przemawiały innymi dialektami.

Mężczyzna wyłączył układy optyczne. Widmowe schematy zapadły się, zostawiając jedynie matowy plastik, biały pył, ciało i tkaniny.

– Znalazłeś coś – powiedziała Ouellette. – Widziałyśmy chmury.

Wszystko im zrelacjonował. Taka patrzyła na niego z szeroko otwartymi ustami.

– Strzelają do nas *zarazkami*? Już i tak ledwo trzymamy się na nogach! Po co bombardować nas ospą albo bakteriami supercoli, kiedy już...

Urwała w pół zdania. Gniew na jej twarzy zastąpił grymas zdziwienia.

Clarke posłała Lubinowi pytające spojrzenie, ignorując dezorientację lekarki:  $\beta$ -Max? Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Być może N'Am nie umiera *dostatecznie* szybko – powiedział. – Spora część MM-ów uważa, że behemot to kara boska za grzechy Ameryki Północnej. A przynajmniej taka jest oficjalna polityka rządów we Włoszech i w Libii. I chyba też w Botswanie.

Clarke prychnęła.

– Grzechy Ameryki Północnej? Myślą, że Atlantyk stanowi jakąkolwiek granicę?

– Ludzie z umiarkowanej opcji sądzą, że można powstrzymać jego ekspansję – powiedziała Ouellette. – Ekstremiści wcale tego *nie chcą*. Nie dostaną się do nieba, jeśli świat się nie skończy. – Myślni wydawała się błędzić gdzieś indziej. Mówiła tak, jakby odruchowo odganiała jakiegoś natrętnego insekta.

Lubin pozwolił jej myśleć. Jakkolwiek by nie patrzeć była jedyną osobą, którą mogli traktować jako kogoś w rodzaju miejscowego przewodnika. Być może uda jej się dojść do jakichś wniosków.

– Kim wy właściwie jesteście? – spytała cicho Ouellette.

– Słucham?

– Nie jesteście dzicy. Nie jesteście z enklawy. A już na pewno nie pracujecie dla KRASZ-u, bo bylibyście lepiej przygotowani. Możecie być z TransAt, ale to też mi nie pasuje. – Przez jej twarz

przemknął cień uśmiechu. – Nie macie pojęcia, co robicie, prawda? To wszystko jedna wielka improwizacja...

Lubin zachował kamienny wyraz twarzy, nie dając zbić się z tropu.

– Czy istnieje jakakolwiek przesłanka, by *nie* wierzyć w to, że jacyś ludzie mogliby dokonać ataku biologicznego na Amerykę Północną tylko po to, by... przyspieszyć obrót spraw?

Kobieta wydawała się rozbawiona tym pytaniem.

– Chyba niezbyt często wychodzisz z domu, co?

– Mylę się?

– Nie. – Ouellette splunęła na spopieloną ziemię. – Wiele osób mogłoby chcieć pomóc opatrności, gdyby tylko mieli ku temu okazję. To nie oznacza jednak, że mieliśmy do czynienia z atakiem.

– A co innego mogłoby to być?

– Może to jakiś sposób przeciwdziałania?

Clarke podniosła głowę na te słowa.

– Lekarstwo?

– Może nic aż tak osobistego. Coś, co zabije behemota na dzikich obszarach.

Lubin posłał Ouellette spojrzenie. Ona odpowiedziała tym samym, po czym spróbowała ostudzić jego sceptycyzm:

– Oczywiście istnieją szaleńcy, którzy chcieliby, żeby świat się skończył. Ale zapewne jest o wiele więcej takich, którzy myślą dokładnie odwrotnie, nie sądzicie? Którzy pracowaliby równie ciężko, nie chcąc do tego dopuścić.

W jej oczach pojawiło się coś, czego wcześniej nie sposób było tam dojrzeć. Niemal błyszczały.

Mężczyzna pokiwał głową.

– Ale jeśli naprawdę *jest* to jakiś środek zaradczy, to dlaczego próbowali go zestrzelić? I dlaczego zdecydowano się na pocisk suborbitalny? Nie lepiej zostawić takie rzeczy lokalnej władzy?

Ouellette przewróciła oczami.

– *Jakiej* lokalnej władzy?

Clarke zmarszczyła brwi.

– Czy ktoś nie powiedziałby o tym... wszystkim? Czy ktoś nie powiedziałby tobie?

– Laurie, jeśli coś takiego wycieknie do opinii publicznej, namalujesz sobie na czole celownik dla tych MM-ów. A co do tarczy przeciwrakietowej – Ouellette przeniosła spojrzenie z powrotem na Lubina – czy ludzie na waszej planecie wspominali kiedykolwiek o czymś takim jak powstanie w Rio?

– Opowiedz nam o tym – powiedział Lubin, myśląc: *Laurie?*

– Nie bardzo mogę – przyznała Ouellette. – Nikt nie wie, co zaszło. Mówią, że kilka Madonn dostało się do biur KRASZ-u w Rio de Janeiro i zaczęło szaleć. Przypuściły atak na całe mnóstwo celów.

– Kto wygrał?

– Ci dobrzy. Rio wyparowało, a problemy ustały, ale kto wie? Niektórzy mówią, że to wcale nie były Lenie, tylko jakaś wojna domowa między prawołamaczami. Cokolwiek to było, wydarzyło się hen, daleko. – Machnęła ręką w stronę horyzontu. – My mieliśmy własne problemy. Jedyne morale z tej historii jest taki, że teraz nikt nie wie już, kto rządzi, po czyjej jest stronie, a my jesteśmy zbyt zajęci, by marnować czas na zadawanie Ważnych Pytań. Z tego co wiemy, satelity bojowe N'Am latają na autopilotach, a kontrola naziemna właśnie straciła wszystkie kody dostępu. Albo Lenie urządzają sobie ćwiczenia na strzelnicy. Albo... możliwe, że MM-y mają kogoś w środku. Tak czy



inaczej, to że ktoś lub coś strzela do tych bakcyli niczego nie dowodzi.

Lubin skupił się na ostatnim zdaniu.

– Nie ma dowodów.

– Więc zamierzam je zdobyć. Przeprowadzę sekwencję tego robala. Czy teraz pozwolicie mi tam pojechać, czy muszę tam iść pieszo?

Lubin milczał. Kątem oka dostrzegł, że Clarke otwiera usta, ale po chwili znów je zamyka.

– Świetnie. – Ouellette przeszła na tyły swojego vana i otworzyła panel dostępu. Lubin pozwolił jej wyciągnąć puszkę sterylnych opakowań w sprayu oraz składane nosze ze zwojami efektu przypowierzchniowego wbudowanymi w ramę. Obrzuciła mężczyznę rzeczowym spojrzeniem. – Zmieści się?

Pokiwał głową.

Clarke przytrzymała złożone urządzenie przy plecach Ouellette, podczas gdy lekarka zapinała szelki. Następnie skinęła głową w podziękowaniu i ruszyła w drogę, nie oglądając się za siebie.

– Sądysz, że nie ma racji – powiedziała Clarke, gdy postać kobiety zmaląła, drgając ponad rozgrzaną ziemią.

– Nie wiem.

– A jeśli jest inaczej?

– Nie ma to znaczenia.

– Nie ma to znaczenia. – Clarke pokręciła głową, niemal z kpiną. – Ken, postradałeś rozum?

Lubin wzruszył ramionami.

– Jeśli zdobędzie zdatną próbkę, będziemy wiedzieć, czy to  $\beta$ -Max. Tak czy inaczej, będziemy mogli pojechać do Bangor i wykorzystać ją, by dostać się do środka. Potem powinno już...

– Ken, czy ty w ogóle słyszałeś, co powiedziałam? Może istnieje *lekarstwo*. Na *behemota*.

Mężczyzna westchnął.

– Właśnie dlatego nie chciałem, żebyś się zabierała – powiedział w końcu. – Masz swoje własne zamiary, a nie po to tu jesteśmy. Brak ci skupienia.

– *Skupienia?* – Pokręciła głową z niedowierzaniem. – Mówię o ratowaniu *świata*, Ken. Naprawdę nie sądzę, by brakowało mi *skupienia*.

– To prawda. Sądysz, że jesteś przekłeta.

Nagle coś w niej zamiera.

Ale on ciągnie temat dalej.

– Jeśli to cokolwiek zmienia, nie zgadzam się z tobą.

– Doprawdy? – Twarz Clarke przypomina pozbawioną wyrazu maskę.

– Powiedziałbym, że jedynie masz *obsesję*. Co i tak stanowi pewien problem.

– Mów dalej.

– Myślisz, że zniszczyłaś świat. – Lubin wodzi wzrokiem po wypalonym krajobrazie wokół nich. – Myślisz, że to wszystko twoja wina. Poświęciłabyś naszą misję, swoje życie, moje. W jednej chwili. Tak długo jak będziesz widzieć choćby najmniejszą szansę na zbawienie. Tak bardzo masz już dosyć krwi na swoich rękach, że nawet nie zauważasz, że zmywasz ją krwią kolejnych ludzi.

– A więc tak myślisz?

Spojrzał na nią.

– Czy jest coś, czego byś *nie zrobiła*, w takim układzie? W zamian za cofnięcie tego wszystkiego?

Wytrzymała jego spojrzenie przez kilka długich sekund. W końcu odwróciła wzrok.

Lubin pokiwał głową.

– Spersonalizowałaś przysłowiowe większe dobro w sposób, którego nigdy wcześniej nie

widziałem u ludzi. Zaczynam się zastanawiać, czy twój mózg nie został potraktowany jakąś specyficzną formą Moralniaka.

Kobieta wbiła spojrzenie w ziemię.

– To niczego nie zmienia – wyszeptała w końcu. – Nawet jeśli moje pobudki są... osobiste...

– To nie twoje pobudki mnie martwią. To twoja ocena sytuacji.

– Wciąż mówimy o ratowaniu świata.

– Nie – zaprzeczył. – Mówimy o kimś *innym*, kto *spróbuje... najprawdopodobniej*. Mówimy o jakimś państwie lub konsorcjum, które będzie o wiele lepiej przygotowane i lepiej poinformowane niż dwójka autostopowiczów z Grzbietu Śródatlantyckiego. Poza tym – uniósł dłoń, by uciszyć jej protesty – mówimy również o *innych* potęgach, które *mogą* próbować ich powstrzymać z przyczyn, których możemy jedynie dociekać. Możliwe, że za ich działaniami nie stoją żadne przesłanki, jeśli spekulacje Ouellette są trafne. Nie jesteśmy graczami w tej rozgrywce, nieważne jak bardzo byś tego chciała.

– Zawsze byliśmy graczami, Ken. Po prostu przez ostatnie pięć lat byliśmy zbyt przestraszeni, by wykonać ruch.

– Wiele się zmieniło przez ten czas.

Pokręciła głową.

– Musimy spróbować.

– W obecnej chwili nie znamy nawet zasad gry. A co z tymi rzeczami, na które *możemy* wpłynąć? Co z Atlantydą? Co z ryfterami? Co z *Alyx*? Naprawdę chcesz zaprzepaścić szansę na pomoc dla nich w imię straconej sprawy?

Niemal natychmiast po tym jak padły te słowa, wiedział, że się przeliczył. Coś zapłonęło w jej oczach, coś lodowatego, znajomego i całkowicie głucheego na wszystko inne.

– Jak *śmiesz* – wysyczała. – Zawsze gównu obchodziła cię *Alyx*, *Grace*... nawet ja, skoro już o tym mowa. Gotów byłeś poświęcić nas wszystkich, zmieniałeś strony, gdy tylko wiatr powiał z innej. – *Clarke* potrząsnęła głową z niesmakiem. – Jak *śmiesz* mówić o *lojalności* i *ratowaniu* żyć. Nie znasz nawet *znaczenia* tych słów, dopóki ktoś ich nie zaprogramuje w parametrach misji.

Powinien był wiedzieć, że dyskusje z nią nie mają sensu. Nie była zainteresowana oceną szans na powodzenie. Nie próbowała nawet równoważyć rezultatów własnych czynów, kładąc na szalach *Atlantyde* i resztę świata. Jedyne zmienne, o które się troszczyła, powstały w jej głowie, i ani poczucie winy, ani obsesja nie miały znaczenia w analizie zysków i strat.

Mimo to jej słowa wzbudziły w nim dziwne uczucia.

– Lenie, nie chciałem...

Uniosła dłoń, nie patrząc mu w oczy. Czekał.

– Może nawet to nie twoja wina – powiedziała w końcu. – Po prostu zbudowali cię w taki sposób.

Pozwolił sobie na odrobinę ciekawości.

– W jaki sposób?

– Jesteś szeregową mrówką. Po prostu przesz naprzód z czułkami przy samej ziemi, wykonując rozkazy, kierując się profilami misji i krótkoterminowymi celami, ale nigdy nie przyszło ci do głowy, żeby podnieść głowę i zobaczyć większą całość.

– Widzę ją – przyznał *Lubin* spokojnym tonem. – Jest ona o wiele większa niż jesteś skłonna przyznać.

Pokręciła głową, wciąż nie odwracając głowy.

Spróbował raz jeszcze.

– W porządku. Ty widzisz większą całość. Więc co ty sugerujesz z tym zrobić? Potrafisz

zaoferować cokolwiek poza życzeniowym myśleniem? Masz jakąś strategię na *ratowanie świata*, jak sama to ujęłaś?

– Ja mam – powiedziała Taka Ouellette.

Obrócili się. Stała obok MK z założonymi rękami. Nigdzie nie było widać składanych noszy.

Lubin zamrugał zaskoczony.

– Twoja próbka...

– Z tej głowicy? Nie ma mowy. Markery zdążyłyby rozłożyć wszystkie składniki czynne na atomy.

Clarke posłała mu spojrzenie jasno wyrażające jej myśli pomimo nakładek: *Co się stało, panie superszpiegu? Pozwalasz, żeby jakaś wiejska znachorka z jebanej dziury się do ciebie pokradła?*

– Ale wiem, jak możemy zdobyć próbkę – powiedziała, patrząc prosto na Clarke. – I przydałaby mi się wasza pomoc.

## MIGRACJA

Ewidentnie przybyła za późno na całą rozmowę. Clarke wiedziała, że gdyby kobieta usłyszała początek wymiany zdań, Taka Ouellette nie chciałaby mieć z nią nic wspólnego.

Dobra lekarka posiadała znajomości na ziemi, a przynajmniej tak twierdziła. Ludzie, których uratowała albo którym kupiła więcej czasu. Kochający tych, którym skróciła cierpienia. Okolicznościowi dilerzy, kanciarze z dzikich obszarów, którzy czasami potrafili załatwić leki albo części zamienne w zamian za inne przedmioty. Daleko im było do altruistów, ale potrafili uratować życie, gdy najbliższy podnośnik zaopatrzeniowy znajdował się o tydzień drogi od twojej aktualnej pozycji.

Wszyscy z nich posiadali zdrowe poczucie własnego interesu. Wszyscy znali pozostałych.

Lubin pozostawał sceptyczny, rzecz jasna. A przynajmniej, zdaniem Clarke, wciąż *udawał* sceptycznego. To była nieodłączna część jego charakteru. Musiała być. Nikt nie odwróciłby się plecami do szansy, nawet niewielkiej, na naprawienie choćby części tego...

*...do czego doprowadziłam...*

W tym sęk, a Lubin – niech go cholera – wiedział o tym równie dobrze jak ona. Kiedy już pomogło się zniszczyć świat, czerpiąc ogromną radość z jego przedśmiertnych drgawek, trudno jest uzurpować sobie moralne prawo do pouczenia kogoś, kto jedynie niechętnie podchodzi do kwestii jego *ratowania*. Nawet jeśli minęło już trochę czasu. Nawet jeśli przez ten czas przeszło się metamorfozę. Jeśli istniały jakiegokolwiek przepisy o przedawnieniu, gdy szło o przyczynienie się do globalnej zagłady, to bez wątpienia mówiły o okresie dłuższym niż marne pięć lat.

Taka Ouellette zaproponowała drogę na południe, w stronę tego, co zostało z Portland. Nawet gdyby nie znaleźli tam sposobu na podłączenie się do strumienia danych, mieliby o wiele bliżej do Bostonu. Poza tym, w tych rejonach Taka Ouellette była *kimś*, osobą o uznanych kwalifikacjach i tożsamości. Uchodziła niemal za członka władz, przynajmniej według miejscowych standardów. Możliwe, że nawet uda jej się przemycić ich frontowymi drzwiami.

– Członkowie władz nie jeżdżą po świecie, rozdając leki z paki ciężarówki – powiedział Lubin.

– Doprawdy? A co takiego zyskaliśmy ostatnimi czasy dzięki twoim staraniom? Wciąż myślisz, że możesz wpiąć się w globalną sieć neuralną, kiedy wypalono z niej wszystkie poboczne nerwy?

W końcu się zgodził, pod pewnymi warunkami. Będą realizować plan Taki tak długo, jak będzie on zbliżać ich do zamierzonego celu. Z MK będą korzystać dopiero, gdy z szoferki usuną wszystkie urządzenia zabezpieczające. Lubin cały czas miał ją na oku, gdy Taka udzielała Clarke informacji dotyczących koniecznych prac.

MK stanowiło wzór ekonomiki przestrzennej. Za siedzeniami mieściły się dwa łóżka polowe, natomiast pomiędzy cykler Calvina a przedni interfejs medyczny wciśnięto niewielką kabinę prysznicową. Jednak najbardziej Clarke nie mogła uwierzyć w liczbę pułapek, którymi naszpikowano to miejsce. Do systemu wentylacyjnego podczepiono kanistry z gazem. W poduszkach siedzeń umieszczono igły taserów, gotowe przebić ciało i ubrania ochronne na komendę głosową lub dotyk. Pod deską rozdzielczą zamontowano urządzenie zdolne do wodzenia rytmów mózgu, kierunkowy stroboskop podczerwieni, który potrafił przeniknąć przez zamknięte powieki i wywołać atak padaczki. Taka Ouellette wymieniała je wszystkie, mając za plecami Lubina, podczas gdy Clarke kręciła się po wnętrzu pojazdu z zestawem narzędzi i wyciągała kolejne wtyczki z kontaktów. Clarke nie miała pojęcia, czy ta lista jest kompletna – równie dobrze Ouellette mogła zachować jakiegoś asa w rękawie na przyszłość – ale Lubin był o wiele mniej ufny niż ona, a wydawał się zadowolony z postępów.

Blisko godzinę zajęło im rozbicie wszystkich pułapek w szoferce. Kiedy Ouellette spytała, czy chcą również unieszkodliwić zabezpieczenia zewnętrzne, poczuła nawet coś w rodzaju rozczarowania, gdy Lubin pokręcił głową.

Rozdzielili się. Lubin miał poprowadzić *Phocoenę* wzdłuż wybrzeża i spróbować dostać się do Portland niezależnie od nich. Clarke, tuląc do piersi kopię sekwencji  $\beta$ -Max, miała towarzyszyć Ouellette do punktu zbiorczego w pobliżu jednej ze stałych tras.

– Nie mów jej o szczepie  $\beta$ -Max, dopóki nie będzie to konieczne – ostrzegł ją Lubin, tak by Ouellette nie usłyszała.

– Dlaczego?

– Ponieważ jest on w stanie pokonać jedyną linię obrony, jaką dotychczas udało się stworzyć przeciwko behemotowi. Kiedy tylko zda sobie sprawę z tego, że coś podobnego istnieje, jej priorytety staną na głowie.

Clarke początkowo była zaskoczona, że Lubin spuścił którąś z nich z oczu. Nigdy nie pałał miłością do potencjalnych zagrożeń dla bezpieczeństwa misji, nawet bez swoich morderczych odruchów, a dobrze wiedział, że Clarke nie podziela jego listy priorytetów. Stwierdzenie, że nie był zbyt ufny człowiekiem stanowiło eufemizm. Skąd mógł wiedzieć, że obie kobiety zwyczajnie nie skręcą w głąb ładu i nie zostawią go samemu sobie?

Dopiero, gdy każde z nich ruszyło w swoją stronę, Lenie przyszła do głowy najoczywistsza z odpowiedzi. Rzecz jasna, na to właśnie liczył.

Jechały przez tereny, z których wypalono całe życie. MK, skonstruowana z myślą o trudnym terenie, wspinała się na powalone pnie drzew, miażdżąc je pod swoimi kołami. Omijała wyboje wypełnione popiołem i sadzą, sunęła prostymi odcinkami, gdzie wiry i powiewy szarego pyłu zamiatały na nowo zastygły asfalt, niczym antarktyczne zamiecie o wysokości kilku centymetrów. Dwukrotnie minęły przewrócone billboardy, na wpół wtopione w skały, o pogiętych, lecz wciąż funkcjonalnych dźwigarach, które niczego już nie reklamowały, poza własnymi, migoczącymi sygnaturami ciepłymi w feerii barw.

Po jakimś czasie zaczęło padać. Popiół na ziemi zamienił się w breję i zaczął lepić do maski niczym grudy masy papierowej. Niektóre z nich były nawet w stanie zakłócić działanie przedniej szyby, zostawiając świetliste smugi, zanim pole statyczne zdołało je odepchnąć.

Przez cały ten czas nie zamieniły nawet słowa. Ciszę między nimi wypełniała mało znana muzyka, archaiczne kompozycje pełne brzdękających pianin i nerwowych szarpnięć strun. Ouellette wydawało się to podobać. Skupiała się na prowadzeniu pojazdu, podczas gdy Clarke wyglądała

przez okno, rozmyślając nad rozległością zniszczeń. Jak wiele z tych spustoszeń można było przypisać właśnie jej? A ile tym demonom, które przyjęły jej imię?

W końcu zostawiły za sobą spalony pas ziemi. Teraz przy drodze rosła prawdziwa trawa, nieco dalej z rowów okazjonalnie wyglądały krzewy, zaś po drugiej stronie pojawiły się wiecznie zielone drzewa, rosące w szeregach niczym obszarpane, zagłodzone patykoludki. W większości brązowe, oczywiście, albo przynajmniej nabierające takiego koloru, jakby schwyte w szpony wiecznej suszy.

Deszcz im nie pomoże. Wciąż się trzymały – niektóre z nich wywieszały na swoich konarach zielonkawe flagi nieposłuszeństwa – ale nieustępliwy behemot był wszędzie i miał czas. Czasami gromadził się w takich skupiskach, że widoczny był gołym okiem – plamy ochrowej pleśni pokrywające trawę albo rozprzestrzeniające się po korze drzew. Lecz mimo to widok całej tej roślinności – może i nieżywej, ale przynajmniej fizycznie *nienaruszonej* – zasługiwał na odrobinę celebracji po tej kostnicy, z której uciekły.

– Kiedykolwiek je zdejmujesz? – odezwała się Ouellette.

– Słucham? – Clarke wróciła do rzeczywistości. Lekarka przeszła na autopilota – w zwykłym trybie podążania za drogą, nie ryzykując nawigacyjnych wyskoków GPS-u.

– Nakładki na twoich oczach. Czy kiedykolwiek...?

– Och. Nie. Zazwyczaj nie.

– Szklą wzmacniającą? Pozwalają ci widzieć w ciemności?

– Coś w tym stylu.

Ouellette wydeła usta.

– Pamiętam, że widziałam już podobne, lata temu. Były wszędzie, jeszcze zanim wszystko poszło w diabły. Były rekordy popularności przez jakieś dwadzieścia minut.

– Wciąż biją tam skąd pochodzę. – Clarke wyjrzała przez zalane deszczem okno. – Przynajmniej w moim plemienu.

– Plemienu? Chyba nie jesteś z Afryki?

Clarke parsknęła cicho.

– No co ty.

– Tak myślałam. Nie masz odpowiednio dużo melaniny, nie żeby miało to jakiegokolwiek znaczenie ostatnimi czasy. Poza tym Tutsi raczej by się tu nie zapuszczali, no chyba żeby się pochełpić.

– Chełpić?

– Trudno ich o to winić. Mało kto dożywa tam czterdziestki. O ile mi wiadomo, w ich przekonaniu to ogniste cholerstwo stanowi wyraz poetyckiej sprawiedliwości.

Clarke wzruszyła ramionami.

– Jeśli nie Afryka – powiedziała Ouellette, ciągnąc temat – to może jesteś z Marsa.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Nie jesteś stąd. Myślałaś, że Miki to karetka. – Czule poklepała deskę rozdzielczą maszyny. – Nie słyszałaś wcześniej o Lenie...

Clarke zacisnęła zęby. Nagle wezbrała w niej złość.

– Słyszałam. Paskudny, ewoluujący kod, który żyje w Wirze i robi burdel. To ikona zemsty w wielu krajach, które nas nienawidzą. A skoro już o tym mowa, może wyjaśnisz mi, jakim cudem *ty* skończyłaś, włócząc się po okolicy, rozdając leki jednym i skracając cierpienia innym, podczas gdy cała wschodnia półkula próbuje zrzucić ci na głowę lekarstwo na behemota? *Ty* nie pochodzisz z Marsa, a mimo to i tak wydajesz się wiedzieć niewiele na temat ostatnich wydarzeń.

Ouellette przez chwilę przyglądała się jej z zaciekawieniem.

– Znów to robisz.

– *Co?*

– *Wir.* Od kilku lat nie słyszałam, żeby ktoś używał tego słowa.

– No i? Jaką to robi różnicę?

– Daj spokój, Laurie. Pojawiacie się na środku pustkowia, porywacie mój van, żadne z was nie jest *normalne* w jakimkolwiek znaczeniu tego słowa, więc to chyba *jasne*, że chciałabym wiedzieć, skąd jesteście.

Gniew Clarke zniknął równie szybko jak się pojawił.

– Wybacz.

– W rzeczywistości, wzięwszy pod uwagę, że wciąż jestem swego rodzaju więźniem honorowym, można by wręcz powiedzieć, że jesteś mi winna wyjaśnienia.

– Ukrywaliśmy się – wypaliła Clarke.

– Ukrywaliście się. – Ouellette nie wydawała się zaskoczona. – A gdzie jeszcze można się ukryć?

– Nigdzie, jak się okazało. Dlatego właśnie wróciliśmy.

– Jesteś korpem?

– A wyglądam na korpa?

– *Wyglądasz* mi na nurka głębokomorskiego. – Wskazała na wpust na piersi Clarke. – Wlot elektrolityczny, zgadza się?

– Więc cały ten czas spędziliście pod wodą. Hmm. – Ouellette potrząsnęła głową. – Osobiście obstawiałabym orbitę geosynchroniczną.

– Dlaczego?

– Jakiś czas temu krążyła taka plotka. Gdy epidemia dopiero się zaczynała, a na ulicach wybuchały zamieszki... Ludzie zaczęli gadać, że kilkuset bardzo wpływowych korpów znikło z powierzchni ziemi. Nie wiem, jak można udowodnić coś podobnego, kiedy większość nawet nie widziała tych ludzi na oczy. Równie dobrze mogliby być symulacjami. Ale wiesz jak te rzeczy działają. Poszła fama, że odlecieli z Australii, a teraz siedzą wygodnie na geosynchronicznej, obserwując koniec świata.

– Nie jestem korpem – powiedziała Clarke.

– Ale pracujesz dla nich – zgadywała Ouellette.

– Kto dla nich nie pracował?

– Mam na myśli ostatnio.

– Ostatnio? – Clarke pokręciła głową. – Myślę, że ucziwie mogę powiedzieć, że ani Ken, ani ja...

*Chryste!*

To coś wyskoczyło z ukrycia pod deską rozdzielczą, całe segmentowane i z pracującymi zwzawkami. Uczepiło się jej kolana, używając do tego stanowczo zbyt dużej liczby ruchomych odnóży, jakaś groteskowa hybryda konika polnego i stonogi o wielkości jej małego palca. Jej dłoń opadła mimowolnie, rozgniatając tę małą kreaturę.

– *Kurwa* – sapnęła ciężko. – Co to *było*?

– Cokolwiek to było, nie wyrządziło *ci* żadnej krzywdy.

– Nigdy wcześniej nie widziałam czegoś... – Clarke przerwała, spojrzała na drugą kobietę. Ouellette wyglądała na autentycznie wkurzoną.

– To chyba... nie było żadne twoje zwierzątko, prawda? – Wydało jej się to absurdalne. *Z drugiej strony nie byłoby to dziwniejsze od trzymania mózgosera.*

*Ciekawe, jak ona się miewa...*

– To tylko robak – powiedziała Ouellette. – Nikogo nie krzywdził.

Clarke wytarła dłoń o udo, rozmazując chitynę i żółtawą maź na skórze głębinowej.

– To... było z nim coś *nie tak*. Nie przypominał żadnego robaka, którego kiedykolwiek widziałam.

– Jak już mówiłam, masz braki do nadrobienia.

– Więc to coś to nic nowego?

Ouellette wzruszyła ramionami, jej emocje najwyraźniej opadły.

– Po prostu pojawiają się tu i tam. Z reguły to zwykłe owady ze zbyt dużą liczbą segmentów.

Zgaduję, że to jakaś mutacja Hoxa, ale nie wiem, czy ktokolwiek przyglądał im się z bliska.

Clarke spojrzała na mokry, ponury krajobraz za oknem.

– Wydajesz się strasznie poruszona tym... owadem.

– Co, świat nie umiera dla ciebie dostatecznie szybko? Musisz mu w tym jeszcze pomagać? –

Ouellette wzięła głęboki oddech, zaczęła od początku. – Wybacz. Masz rację. Ja tylko... Po jakimś czasie zaczniesz odczuwać pewną empatyczną wieź, wiesz? Jeśli spędzisz tu dostatecznie dużo czasu, wszystko zacznie wydawać ci się... cenne...

Clarke nie odpowiedziała. Pojazd pokonał szczelinę w drodze, kołysząc się na amortyzatorach wykorzystujących efekt przypowierzchniowy.

– Wiem, że nie ma to większego sensu – przyznała Ouellette po dłuższej chwili. – To nie tak, że behemot zmienił cokolwiek.

– Co? Spójrz za okno. Tak, wszystko umiera.

– I tak by do tego doszło. Może tylko nie tak szybko.

– Huh. – Clarke obrzuciła spojrzeniem drugą kobietę. – I naprawdę sądzisz, że ktoś przerzuca lekarstwo przez ocean.

– Na ludzką głupotę? Chyba nie ma czegoś takiego. Ale na behemota, kto wie?

– I jak niby miałyby to działać? Czy już tego nie próbowali?

Ouellette potrząsnęła głową ze śmiechem.

– Laurie, masz o mnie zbyt duże mniemanie. Nie mam pojęcia. – Myślała przez chwilę. – Chyba że stosują Rozwiązanie Silverbacka.

– Nigdy o czymś takim nie słyszałam.

– Kilkadziesiąt lat temu w Afryce została już tylko garstka goryli, a tubylcy zjadali te, które się zachowały. Więc jakaś grupa ochronna wpadła na pomysł, by sprawić, że goryle staną się niejadalne.

– Serio? Jak?

– Stworzyli szczep Eboli. Nieszkodliwy dla goryli, ale zarażony nim człowiek doznawał rozległych wylewów wewnętrznych w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin.

Przez twarz Clarke przemknął uśmiech.

– Mogłoby to pomóc w naszej sytuacji?

– Na pewno nie byłoby to łatwe. Bakterie wykształcają przeciwciała znacznie szybciej niż ssaki.

– Zgaduję, że gorylom to nie pomogło.

Ouellette prychnęła.

– Pomogło aż *za* bardzo.

– Więc dlaczego wyginęły?

– Wybiliśmy je. Za duże ryzyko dla ludzkiego zdrowia.

Deszcz bębnił o dach szoferki i spływał po bocznych szybach. Przed nimi krople leciały w stronę przedniej szyby, ale niespodziewanie zmieniały tor lotu zaledwie kilka centymetrów od celu.

– Taka – powiedziała Clarke po kilku minutach.

Ouellette przeniosła na nią spojrzenie.

– Dlaczego ludzie nie nazywają go już *Wirem*?

Lekarka posłała jej słaby uśmiech.

- Wiesz dlaczego nazywano go tak wcześniej, prawda?
- Bo stał się zbyt... zatłoczony. Burze użytkowników, e-życie.

Ouellette pokiwała głową.

– Większość tego już nie istnieje. Tak duża część sieci uległa degradacji, w sensie fizycznym, że większość zwierzyny wymarła ze względu na brak siedlisk. Przynajmniej po tej stronie muru N'amNet został podzielony na partycje lata temu. Z tego co wiem, wszędzie indziej w Wirze wciąż wrze, ale tutaj...

Wyjrzała za okno.

- Tutaj Wir postanowił wyjść na zewnątrz.

## KARMA

Achillesa Desjardinsa obudził krzyk.

Umilkł jeszcze zanim mężczyzna zdołał się w pełni przebudzić. Leżąc w ciemności, przez chwilę dumiał, czy mu się to nie przyśniło. Był taki czas, całkiem niedawno, gdy jego sny wypełniały krzyki. Zastanawiał się, czy być może nie był to jego własny krzyk, który go obudził, ale znów, nic podobnego nie przydarzyło mu się od lat. Przynajmniej odkąd stał się nowym człowiekiem.

Czy też raczej od kiedy Alice pozwoliła jego starej wersji wypełznąć z piwnicy.

Przebudzony, świadomy, znał prawdę. Krzyk nie był wytworem jego wyobraźni ani jego krtani. Jego źródło stanowiła maszyna. Alarm, podniesiony w jednej chwili i urwany w następnej.

Dziwne.

Uruchomił wizuale. Na zewnątrz jego czaszki wciąż panował mrok, ale wewnątrz, w płacie potylicznym, pojawiło się pół tuzina jasnych okien. Mężczyzna przejrzał najważniejsze kanały, następnie wszystkie pomniejsze. Szukał zagrożeń z drugiej półkuli, z orbity, ze strony jakiegoś lekkomyślnego cywila, który mógł wpaść na siatkę otaczającą jego perimetr. Zajrzał do ubogiej zbitki pokoiów i korytarzy, do których miała dostęp jego szczątkowa załoga, choć była czwarta rano i nikt nie powinien kręcić się tu o tak wczesnej porze. Pusto w lobby, w centrum powitalnym, w psiarni. Odczyty ze strefy załadunkowej i z zakładu w normie. Żadnych nadlatujących pocisków. Nie znalazł choćby nawet zapchanej rury ściekowej.

Coś jednak usłyszał. Tego był pewien. I był pewien czegoś jeszcze – nigdy wcześniej nie słyszał tego konkretnego alarmu. Po tych wszystkich latach otaczające go maszyny stały się czymś więcej niż jedynie narzędziami. Stały się przyjaciółmi, obrońcami, doradcami i zaufanymi sługami. Dobrze znał ich głosy: ciche popiskiwanie obwodów wizualnych, uspokajający szum Ochrony Budynku, subtelna, wielooktawowa harmonia stosu alarmowego. Tego dźwięku nie wydało żadne z tych urządzeń.

Desjardins odrzucił prześcieradło i wstał z łóżka. Jego osobiste Stonehenge wznosiło się w odległości zaledwie kilku metrów, podkowa stacji roboczych i wyświetlaczy taktycznych, rozjarzających słabym światłem ciemności. Desjardins posiadał również oficjalne biuro, wiele pięter wyżej. Miał też stałą kwaterę, może niezbyt luksusową, ale na pewno o wiele wygodniejszą niż materac, który przyciągnął tutaj. Wciąż korzystał z nich od czasu do czasu, w przypadku oficjalnych spotkań albo w sytuacjach, gdy znaczenie miały pozory. Znacznie bardziej wolał jednak to miejsce – sekretne, bezpieczne, prowizoryczne centrum układu nerwowego, wpiętego bezpośrednio w sękaty system korzeniowy światłowodów sterczących ze ściany. To była jego sala tronowa, jego twierdza i jego bunkier. Wiedział, że to niedorzeczne, wzięwszy pod uwagę jego możliwości, siłę fortyfikacji – ale oto był, w pozbawionej okien, podziemnej ciemnicy, gdzie czuł się najbezpieczniej.



Drapiąc się, opadł na fotel ustawiony pośrodku Stonehenge i zaczął przeczesywać dane ze stałego łącza. Świat pełen był żółtych i czerwonych ikon, jak zwykle zresztą, ale nic poważnego. Z pewnością nic, co miałyby uruchomić alarm dźwiękowy. Desjardins przerzucił wszystko na listę pojedynczych wydarzeń i posortował je podług czasu. Cokolwiek się wydarzyło, wydarzyło się *przed chwilą*. Przewinał listę: CAESAR w Louisville uległ awarii, przerwanie pola statycznego w Boulder, niewielkie postępy w kwestii przywrócenia jego sieci obserwacyjnej wzdłuż Klinu. Kolejne wątki o zmutowanych owadach i roślinności, pojawiających się coraz dalej od linii panamskiej...

Coś lekko musnęło jego nogę. Spojrzał w dół.

Mandelbrot spoglądał na niego jednym okiem. W miejscu, gdzie powinno być drugie, ziała ciemna, lepka dziura. Jego bok był śliski i czarny w ponurym półmroku. Pomiędzy zmatowiałym futrem połyskiwały wnętrzości.

Kot zachwiał się na nogach z wciąż wyciągniętą przednią łapą. Otworzył pysk. Z cichym miauknięciem zwałił się na ziemię.

*O Boże, nie. Proszę Boże, nie.*

Numer wybrał jeszcze zanim zapalił światła. Mandelbrot leżał, krwawiąc, w kałuży własnych wnętrzości.

*Jezu, proszę. On umiera. Nie pozwól mu umrzeć.*

– Witam – zaszczebotał głośnik. – Tu Trev Sawyer.

Co to, kurwa, ma być? Interaktyw, a Desjardins nie miał czasu, żeby pierdolić się z drzewkiem dialogowym. Przerwał połączenie i wszedł do miejscowej książki telefonicznej.

– Mój weterynarz. Numer domowy. Pomiń ustawienia manualne.

Gdzieś w Sudbury zadzwonił zegarek Sawyera.

*Znow byłś w psiarni, prawda? Mandelbrot leżał na boku, ciężko oddychając. Głupi kot, nigdy nie potrafiłeś odmówić sobie drażnienia tych potworów. Pewnie myślałeś sobie... O Boże, masz szczęście, że w ogóle wróciłeś.*

*Nie umieraj. Proszę, nie umieraj.*

Sawyer nie odbierał. *Odbierz połączenie, ty jebany sukinsynu! To nagły wypadek! Gdzie się szlajasz o czwartej nad ranem?*

Łapy Mandelbrota drgały jak we śnie albo jakby raził go prąd. Desjardins chciał wyciągnąć rękę, zatamować krwawienie, wyprostować kręgosłup albo zwyczajnie go *pogłaskać* na miłość boską, zaoferować jakąkolwiek żalostną formę pocieszenia. Ale był zbyt przerażony, że każdy niewprawy dotyk może tylko pogorszyć sprawę.

*To moja wina. To moja wina. Powiniennem był cofnąć ci uprawnienia, w końcu jesteś tylko kotem, nie wiesz takich rzeczy. A mnie nie przyszło do głowy, żeby sprawdzić, jaki dźwięk wydaje twój alarm, nawet nie myślałem, że nie będę...*

To nie sen. Nie alarm Worldwatch. Jedynie implant weterynaryjny przemawiający do jego zegarka – krótki krzyk, gdy funkcje życiowe Mandelbrota rozbłysły na czerwono, a potem cisza, ucięta zębami, pazurami albo inercją wywołaną zwykłym szokiem, która sprowadziła sygnał do szumu.

– Halo? – wymamrotał zaspiany głos.

Desjardins poderwał głowę.

– Z tej strony Achilles Desjardins. Mój kot został pogryziony przez...

– Co? – uciął oschle Sawyer. – Wie pan, która jest godzina?

– Wiem, przepraszam, ale to nagły wypadek. Mój kot... O Boże, prawie rozerwało go na strzępy,

ledwo żyje, musi pan...

– Pański *kot* – powtórzył Sawyer. – I czemu dzwoni pan z tym do mnie?

– Ja... Jest pan weterynarzem Mandelbrota, pan...

Lodowaty głos:

– Nie jestem *niczym* weterynarzem od ponad trzech lat.

Desjardins przypomniał sobie, że wszyscy weterynarze w N'Am zostali wcieleni do służby ludziom, gdy behemot – razem z tysiącem oportunistycznych bakcyli, które śmigały na polach jego fraka – niemal doszczętnie przytłoczył służbę zdrowia.

– Ale wciąż jest pan, to znaczy, wciąż wie pan, co...

– Panie Desjardins, niech pan zapomni o godzinie. Wie pan w ogóle, jaki mamy *rok*?

Desjardins pokręcił głową.

– O czym pan mówi? Mój kot leży na ziemi w kałuży własnych...

– Minęło pięć lat od początku Ognistej Ery – ciągnął Sawyer lodowatym głosem. – *Ludzie* umierają, panie Desjardins. *Milionami*. Każdego dnia. W obecnych warunkach marnowanie pożywienia na zwierzę jest skandaliczne. A oczekiwanie, że poświęcę czas i zasoby, aby ratować rannego *kota* to wręcz nieprzyzwoitość.

Desjardins poczuł klucie w kącikach oczu. Obraz mu zafalował.

– Proszę... Mogę panu pomóc. Naprawdę. Podwoję pana racje żywnościowe z cyklera. Dam dostęp do nieograniczonej ilości wody. Wyślę pana na pieprzoną *orbite*, jeśli tego pan chce. Pana i pańską rodzinę. Cokolwiek. Wystarczy słowo.

– W porządku, w takim razie chciałbym, aby przestał pan marnować mój czas.

– *Czy pan w ogóle wie, z kim ma do czynienia?* – zawył Desjardins.

– Doskonale wiem. I jestem zdumiony, że jakikolwiek prawnik – nie mówiąc nawet o kimś na pańskiej pozycji – mógłby działać na podstawie tak nieuzasadnionych przesłanek. Nie powinien pan być odporny na tego typu rzeczy?

– Proszę...

– *Dobranoc*, panie Desjardins.

*Rozłącz*, niewielka ikona rozbłysła w rogu ekranu.

Krwawa piana wypłynęła kącikiem pyszczka Mandelbrota. Wewnętrzna powieka przesłoniła połowę zakrwawionej gałki ocznej, ale cofnęła się.

– Proszę – zaszlochał Desjardins. – Nie wiem, co robić...

*Wiesz.*

Pochylił się nad zwierzęciem, wyciągnął rękę, niepewnie chwycił nabrzmiąły węzeł trzewi. Spazm bólu targnął Mandelbrot jakby przeniknął przez niego duch. Miauknął słabo.

– Przepraszam... Przepraszam...

*Wiesz, co robić.*

Przypomniał sobie jak Mandelbrot przywarł pazurami i ugryzł w kostkę jego ojca, gdy staruszek przyjechał do niego z wizytą w '48. Przypomniał sobie widok Kena Lubina stojącego w łazience Desjardinsa w samej bieliźnie, czyszczącego spodnie nad zlewem: „Twój kot mnie obsikał”, powiedział wtedy z odrobiną ponurego szacunku w głosie. Pamiętał setki nocy spędzonych w łóżku z pęcherzem tak pełnym, że zaraz miał wybuchnąć, nie chcąc jednak zakłócać snu futrzanej kulki zwiniętej na jego piersi.

*Wiesz...*

Przypomniał sobie Alice, która pojawiła się w pracy z podrapanymi dłońmi próbującymi utrzymać wychudzonego, syczącego kotka, nie mającego zamiaru słuchać jakichkolwiek pierdół od *nikogo*:

„Hej, Killjoy, chcesz kota stróżującego? To istny wcielony chaos. Ruchome uszy, nie potrzebuje baterii, gwarantuje, że *nikt*, kto wejdzie frontowymi drzwiami, nie zachowa wszystkich członków...

*Wiesz. Mandelbrota przeszył kolejny spazm.*

Wiedział.

Nie miał pod ręką niczego, czego mógłby użyć – żadnych substancji dożylnych, gazu ani pocisków. Wszystkimi tymi rzeczami naszpikowano pułapki i ich wydobycie zajęłoby teraz zbyt wiele czasu. To pomieszczenie przypominało pustą skorupę szarych ścian i światłowodowych winorośli. Pole neuroindukcyjne z pewnością by... *bolało*...

*Zwykła, pierdolona cegła, pomyślał, przełykając żal. Zwykły kamień, na zewnątrz jest ich mnóstwo...*

Nie ma czasu. Mandelbrot już nie żyje, nie żył od czasu, gdy wrócił z psiarni. W tej chwili już jedynie *cierpi*. A Desjardins może to już tylko zakończyć.

Mężczyzna uniósł stopę nad jego głowę.

– Ty i ja, Bratwurst – wyszeptał – mieliśmy wyższy stopień dostępu niż ktokolwiek w promieniu tysiąca klików...

Mandelbrot zamruczał raz. Coś zapadło się w nim, gdy odszedł. To, co zostało, leżało w bezwładnej kupie na posadzce.

Desjardins przez chwilę trzymał uniesioną nogę, na wszelki wypadek. W końcu opuścił ją na betonową podłogę. Mandelbrot nigdy nie zwykł oddawać inicjatywy.

– Dziękuję – szepnął Achilles Desjardins i zapłakał.

Dr Trevor Sawyer obudził się po raz drugi w ciągu ostatnich godzin. Ciemny kształt wisiał nad jego głową niczym ogromna pięść. Zasyczał cicho, latający gad.

Mężczyzna spróbował wstać. Nie mógł. Jego ręce i nogi były jak z gumy. Twarz go piekła, szczęka wisiała luźno jak rozgotowany makaron. Nawet język wydawał się być napuchnięty i zwiotczały, zupełnie nieruchomy w ustach.

Spojrzał na obły kształt nad głową. Ogromne jajko wielkanocne zawieszona w powietrzu, w połowie tak długie jak on, ale za to szersze. Jego podbrzusze zniekształcały otwory i bąble, ledwie widoczne, odbijające pojedyncze promienie szarego światła z korytarza.

Syczenie umilkło. Sawyer poczuł strużkę śliny spływającą mu po policzku z kącika ust. Spróbował przełknąć. Bezskutecznie.

Wciąż oddychał. Przynajmniej tyle.

Jajko wielkanocne szcęknięło cicho. Słaby, niemal poddźwiękowy szum dochodził gdzieś z niedaleka – pole efektu przypowierzchniowego lub buczenie jego własnych nerwów w ślimaku.

To nie mógł być neuroinduktor. Muchobot nie byłby w stanie poderwać się z ziemi z takim ciężarem. *Jakiegoś rodzaju bloker neuromuskularny, rozumiał. Potraktował mnie gazem.*

*Potraktował nas gazem...*

Próbował zmusić głowę do przekręcenia się. Ta jednak leżała na poduszce niczym dziesięciokilogramowy kamień, odmawiając posłuszeństwa. Nie mógł poruszać oczami. Nie mógł nawet mrugać.

Słyszał obok siebie Sandrę, oddychającą szybko i płytko. Ona również nie spała.

– Widzę, że od razu wrócił pan do łóżka – rzekł muchobot znajomym głosem. – Nawet cię to nie ruszyło, co?

*Desjardins...?*

– Ale nic nie szkodzi – ciągnęła maszyna. – Miał pan rację. Sekundę, pomogę panu...

Muchobot zniżył lot i dosłownie trącił nosem policzek Sawyera. Pchnął go delikatnie jak głodne zwierzę proszące swego pana o jedzenie. Głowa Sawyera przechyliła się na bok na poduszce, pozwalając mu spojrzeć ponad krawędzią łóżka na kołyskę pod ścianą, ledwo widoczną w półmroku.

*O Boże, co...*

To nie mogło się dzieć naprawdę. Achilles Desjardins był prawołamaczem, a prawołamacze – oni zwyczajnie *nie robili* tego typu rzeczy. Nie *mogli*. Nikt nigdy nie przyznał tego otwarcie, rzecz jasna, ale Sawyer miał znajomości, wiedział jak to działa. Istniały pewne... ograniczenia, już na poziomie biochemicznym. Aby zapobiec sytuacjom, w którym prawołamacze nadużywali swej władzy, by uniemożliwić im dokładnie to, co...

Robot przeleciał przez sypialnię. Zatrzymał się jakiś metr nad kołyską. Cienki półksiężyc obracającej się soczewki mignął na jego podbrzuszu, łapiąc ostrość.

– Kayla, zgadza się? – wymamrotał muchobot. – Siedem miesięcy, trzy dni i czternaście godzin. Doprawdy, doktorze Sawyer. Pana geny musiałyby być *bardzo* specjalne, by usprawiedliwić sprowadzenie dziecka na ten parszywy świat. Założę się, że okropnie wkurzyło to sąsiadów. Jak udało się panu obejść regulacje kontroli populacji?

*Proszę, pomyślał Sawyer. Nie krzywdź jej. Przepraszam, ja...*

– Wiesz, założę się, że oszukiwałeś – powiedziała w zadumie maszyna. – Założę się, że tej obsranej, małej larwy nawet nie powinno tutaj *być*. No cóż. Jak mówiłem wcześniej, miał pan rację. W kwestii prawdziwych ludzi. Nieustannie umierają.

*Proszę. O mój dobry Boże, daj mi siłę, pozwól mi się ruszyć, przynajmniej daj mi dość siły, by móc błagać...*

Jasny jak słońce, ognisty język liźnął ciemność, podpalając Kaylę.

Muchobot zawrócił i spojrzał na Trevora Sawyera przez ciemne, cyklopowe oko, podczas gdy jego dziecko krzyczało, stając w płomieniach.

– No proszę, kolejna osoba z głowy – rzucił.

– To za Mandelbrota – szepnął Desjardins. – Ku pamięci.

Uwolnił muchobota, by ten mógł wrócić na stałą trasę. Nie byłby w stanie odpowiedzieć na żadne z pytań, które śledczy będą chcieli zadać po tej nocy, nawet gdyby jakimś cudem ktoś był w stanie prześledzić sygnał aż do zatłoczonej dzielnicy mieszkalnej w 1423–150 Cushing Skywalk. Nawet teraz pamiętał jedynie swój rutynowy patrol wzdłuż ustalonego kursu. Było to *wszystko*, co pamiętał, zanim usterka układu nawigacyjnego nie pośle go samobójczą spiralą w zamkniętą strefę otaczającą główny generator pola statycznego Sudbury. Po takiej kraksie nie zostałoby dość części, by odbudować układ optyczny, nie wspominając nawet o bankach pamięci.

A co do samych ciał, to nawet najbardziej pobieżne śledztwo ujawni, że Trevor Sawyer żywił silną urazę względem władz za wcielenie go siłą do Korpusu Medycznego, a także wcześniej niepodjęte więzy rodzinne z reżimem MM, który niedawno doszedł do władzy w Ghanie. Po tym nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby marnować czas na zadawanie kolejnych pytań. Ludzie powiązani z Nowym Porządkiem Madonny znani byli z wysiłków mających na celu obalenie dawnego ładu. Posiadając dostęp do szpitala i wiedzę medyczną, Sawyer mógł wyrządzić niewypowiedziane szkody praworządnym członkom społeczności. Sudbury było bezpieczniejsze bez niego, niezależnie od tego, czy zabił go jeden ze swoich czy też jakiś samozwańczy prawołamacz, z bliska lub daleka, wytropił go i nieodwołalnie ukrócił jego działalność terrorystyczną.

To nie tak, że tego typu chirurgiczne ataki się nie zdarzały na co dzień. A jeśli *naprawdę* stał za tym jakiś prawołamacz, to – z definicji – tym lepiej dla wszystkich.

Kolejne okienko odznaczone na liście *do zrobienia*. Desjardins owinał Mandelbrota w t-shirt i wyszedł na zewnątrz, przyciskając zakrwawione zawiniątko do gołej klatki piersiowej. Tonął w wirze emocji, czując wewnętrzną pustkę. Próbował rozwikłać ten paradoks, wyjeżdżając na poziom gruntu.

Smutek, oczywiście związany ze stratą przyjaciela, którego miał od blisko dziesięciu lat. Satysfakcja z kary wyegzekwowanej w zamian. A mimo to – miał nadzieję, że będzie to coś więcej niż tylko ponure poczucie spłaconego długu. Miał nadzieję, że będzie to coś bardziej kojącego. Być może radość na widok Trevora Sawyera patrzącego jak jego żona i dziecko płoną żywcem. Radość na widok płonącego ciała samego Sawyera, spieczonych płatów mięsa odchodzących od kości, oczu wybuchających niczym żelatynowe larwy ugotowane w oczodołach, ze świadomością, że aż do samego końca, czując wszystkie te rzeczy, jego ofiara nie znalazła nawet sił, by skowyczeć.

Radość ominęła Desjardinsa. Należało uczciwie przyznać, że nie czuł jej również poprzednimi razami, gdy przekraczał granicę, ale tym razem miał nadzieję na więcej. Tym razem kwestia była bliższa jego sercu. Lecz mimo wszystko: tylko smutek i satysfakcja, i... i jeszcze coś, czego nie potrafił nazwać...

Wyszedł na zewnątrz. Białe, poranne światło zalało go ze wszystkich stron. Mandelbrot zaczął stygnąć i sztywnieć mu w ramionach.

Zrobił kilka kroków i odwrócił głowę, by spojrzeć na swój zamek. Wznosił się przed nim ogromny, ponury i złowieszczy na tle jaśniejszego nieba. Przed Rio pracowała w nim mała armia niedoszłych zbawców ludzkości. Teraz należał wyłącznie do niego.

*Wdzięczność*, zdał sobie sprawę zdumiony. To właśnie czuł. Wdzięczność za własny smutek. Wciąż kochał. Wciąż *czuł*, całym sercem. Wcześniej, zanim odczuł tę stratę, nie był tego pewien.

Alice miała rację od samego początku. Słowo *socjopata* nie oddawało wszystkiego, czym teraz się stał.

Być może odwiedzi ją i powie jej o tym, gdy już pochowa swego ukochanego Mandelbrota.

## ROZBROJENIE

ZWŁOKI NALEŻY ZOSTAWIAĆ TUTAJ

NIELEGALNE POZBYCIE SIĘ CIAŁA PODLEGA KARZE

REGULACJA N° AMAT/KRASZ O ZAGROŻENIACH BIOLOGICZNYCH 4023-A25-SUB5

Ogrodzone z trzech stron miejsce, otwarte z góry, na południe od drogi 184, tuż za granicą Ellsworth. Napis został wymalowany sprayem na tylnej ścianie. Inteligentna farba co kilka sekund zmieniała konfigurację, obejmującą pół tuzina języków. Clarke i Ouellette stały po otwartej stronie, zaglądając do środka.

Kratownica na podłodze pokryta była starym wapnem, spękanym i odpryskującym niczym dno wyschniętego jeziora na pustyni. Najwyraźniej minęły całe lata od kiedy po raz ostatni je wymieniano. Cztery ciała leżały na podłożu. Jedno zostało ułożone ostrożnie z ramionami skrzyżowanymi na piersi, nabrzmiałe i czarne, drażone przez czerwie pod rojem kłębiących się much. Pozostałe zwłoki były wysuszone, rozrzucone po całym wnętrzu jak sterty liści zdmuchnięte przez silny wiatr. Brakowało im kilku kończyn i jednej głowy.

Ouellette wskazała znak.

– Jeszcze jakiś czas temu kogoś to obchodziło. Ludzie mogli trafić do więzienia za zakopanie swoich ukochanych w ogródku za domem. Stwarzanie zagrożenia dla zdrowia publicznego. – Parsknęła, przypominając sobie. – Nie potrafili powstrzymać behemota. Nie umieli zapobiec towarzyszącym mu plagom. Ale przynajmniej mogli zamknąć jakąś biedną staruszkę, która nie chciała patrzeć jak ciało jej zmarłego męża trawią płomienie.

Cień uśmiechu na twarzy Clarke.

– Ludzie lubią się czuć, jak to się mówi...

– Proaktywni.

– Dokładnie.

Ouellette pokiwała głową.

– Ale trzeba im przyznać, że wtedy to *był* problem. O wiele więcej ciał leżało na ulicach... układano je w stosy sięgające ramion, nawet tutaj. Przez jakiś czas cholera zabijała więcej ludzi niż behemot.

Clarke obrzuciła spojrzeniem konstrukcję.

– Dlaczego umieścili ją aż tutaj?

Ouellette wzruszyła ramionami.

– Stawiali je *wszędzie*.

Clarke weszła do środka. Taka ostrzegawczo położyła jej rękę na ramieniu.

– Lepiej zajmij się tymi starszymi. Lista rzeczy, które możesz od nich złapać nie ma końca.

Clarke zrzuciła dłoń z barku.

– A co z tobą?

– Leki o szerokim spektrum działania chronią mnie aż po uszy. Niewiele z tych rzeczy mogłoby mi zaszkodzić.

Lekarka podeszła do trupa od zawietrznej, o ile w ogóle robiło to jakąś różnicę. Słaba bryza nie miała dość siły, by rozgonić smród. Clarke, zachowując większy dystans, walczyła z ochotą zatkania sobie ust i podeszła do wskazanych zwłok. Przytrzymała przed sobą puszkę ze sterylnymi opakowaniami niczym krucyfiks i nacisnęła korek. Pomarszczone, jednonogie ciało u jej stóp załśniło, gdy laminat w aerozolu zastygł na jego powierzchni.

– Są w całkiem niezłym stanie – zauważyła Ouellette, spryskując swojego trupa. – Nie tak dawno trzeba było sprawdzać takie miejsca dwa razy w tygodniu, jeśli chciałaś znaleźć kość piszczelową przyczepioną do stawu kolanowego. Padlinożercy mieli ucztę. – Clarke nie zdziwiło, że jej towarzyszka pokryła zwłoki grubą warstwą izolacji. Może i była odporna na wszelkie choroby, ale przenoszenie tego typu rzeczy z pewnością nie należało do przyjemności.

– Więc co się zmieniło? – spytała Clarke.

– Nie ma już padlinożerców.

Clarke czubkiem buta przewróciła z mumifikowane zwłoki i zaczęła spryskiwać drugą stronę. Laminat twardniał w ciągu kilku sekund. Wzięła spowite warstwą izolacyjną ciało w ramiona. Odniosła wrażenie, że trzyma w dłoniach naręcze chrustu. Sterylna otulina skrzypiała cicho w zetknięciu z jej skórą głębinową.

– Po prostu wsadź je do Miki – powiedziała Ouellette, nie przerywając pracy. – Zmieniłam już ustawienia.

Jęzor MK sterczał z prawej strony. Jej gardło chroniła powłoczka pokrytej zmarszczkami, srebrnej folii. Clarke ułożyła trupa na pryczy. Jęzor zaczął się cofać, gdy tylko legł na nim cały ciężar zwłok. Miki połknęła je i zamknęła usta.

– Muszę coś jeszcze robić? – zawołała Clarke.

– Nie. Ona zna różnicę pomiędzy żywym a martwym ciałem.

Wewnątrz MK rozbrzmiał krótko głęboki, niemal poddźwiękowy szum.

Ouellette wytaszczyła ludzki kokon z ogrodzonej strefy. Rozdęte truchło znikło niemal całkowicie pod warstwami włóknistego plastiku, zupełnie jakby Ouellette była potwornym pajakiem, który oplątał siecią swą ofiarę. Powierzchnię całunu znaczyły ciała uwięzionych insektów, częściowo stopionych z laminatem. Niektóre wciąż jeszcze drgały, umierające, walcząc ze swoimi siłdami.

Clarke wyciągnęła ramiona, by pomóc Ouellette. Coś wydało z siebie mokry odgłos, gdy martwy ciężar zmienił położenie. Miki otworzyła usta – znów puste – i buchnęła gorącym, pylistym oddechem w twarz Clarke, po czym wysunęła język niczym ogromne, nienasycone pisklę.

– Twoja skóra może w tym oddychać? – spytała Ouellette ponad drugą porcją dla MK.

– Co, moja skóra głębinowa?

– Twoja *prawdziwa* skóra. Myślisz, że może oddychać pod całą tą warstwą kopolimerów?

– W zasadzie to jedyna rzecz, którą miałam na sobie przez ostatnich pięć lat. I wciąż żyję.

– Ale to nie może być dla ciebie dobre. Kombinezon został zaprojektowany, by utrzymać cię przy życiu w środowisku głębokomorskim. Nie wyobrażam sobie, by było zdrowe noszenie go przez cały czas w normalnych warunkach.

– Nie widzę w tym żadnego problemu. – Clarke wzruszyła ramionami. – Skóra oddycha, prowadzi osmoregulację, dzięki czemu utrzymuje mnie w miłej homeostazie.

– W *wodzie*, Laurie. Powietrze ma zupełnie inne właściwości. Nawet jeśli nie jest ci nic poważnego, założę się, że masz niedobory witaminy K.

– Nic mi nie jest – odparła Clarke oschle.

MK zamruczała z zadowoleniem.

– Skoro tak mówisz – rzuciła w końcu Ouellette.

Miki prosiła o więcej.

\* \*  
\*

Swój kurs ustaliły na podstawie zapomnianych znaków drogowych oraz map pokładowych. Ouellette wciąż odmawiała podłączenia nawigacji. Clarke wciąż zdumiewały przystanki zaznaczone na ich trasie. Belfast? Camden? Freeport? Te miejscowości ledwie zasługiwały na kropkę na mapie, zanim jeszcze świat się skończył – dlaczego nie jechały do Bangor, zaledwie kilka klików na północ od ich obecnej pozycji? Tam znajdą ludzi.

– Już nie – powiedziała Ouellette, przekrzykując szaleńczy, orkiestralny galimatias, który przypisywała jakiemuś rosyjskiemu maniakowi nazwiskiem Prokofiew.

– Dlaczego nie?

– *Miasta będą cmentarzami rodzaju ludzkiego.* – Miało to wydźwięk cytatu. – Postawiono pewną granicę, nie pamiętam dokładnie jaką. Chodziło o magiczną liczbę ludzi na hektar. Wszystkie centra miejskie znalazły się po niewłaściwej stronie tego równania. Wypuszczając behemota w gęsto zaludnionym obszarze – nie wspominając nawet o pobocznych patogenach, które jadą mu na plecach – to jak podpalić las. Jedna osoba kichnie, sto kolejnych zostaje zarażonych. Bakterie kochają tłumy.

– A małe miasteczka były w porządku?

– Cóż, nie do końca, rzecz jasna. Ale epidemia nie rozprzestrzeniła się tak szybko – w zasadzie, to wciąż jeszcze się rozprzestrzenia. Tego typu miejscowości są niewielkie i rozsiane, a tereny pomiędzy nimi w większości należały do wapniaków. – Ouellette wskazała gestem obumierającą okolicę. – Wszystko to było w prywatnych rękach. Starych, bogatych mężczyzn i kobiet, którzy nie

zadawali się ze sobą, mieli dobrą opiekę medyczną. Oczywiście, ich też już nie ma.

*Są w Atlantydzie, domyśliła się Clarke. Przynajmniej część z nich.*

– Duże miasta miały dokładnie dwie opcje, gdy pojawiło się niebezpieczeństwo ze strony ognistej plagi – ciągnęła Ouellette. – Mogły postawić barykady i generatory pola statycznego albo implodować. Wiele z nich nie stać było na generatory, więc implodowały niejako z wyjścia. Nie byłam w Bangor od pięćdziesiątego trzeciego. O ile mi wiadomo, do tej pory nawet nie uprzątnęli ciał.

Na pierwszych, żywych klientów natrafiły w Bucksport.

Zatrzymały się na poboczu głównej drogi około drugiej w nocy, obok cyklera Calvina oznaczonego symbolem Czerwonego Krzyża, na którego panelu migiała żółta lampka. Ouellette przyjrzała się urządzeniu z bliska, w świetle starego billboardu, działającego nieprzerwanie na baterie słoneczne, który próbował sprzedać im zalety inteligentnych ubrań i dietetycznych tasiemców.

– Potrzebuje zaopatrzenia. – Kobieta wsiadła z powrotem do Miki i przywołała menu.

– Myślałam, że wszystko czego potrzebują, czerpią z powietrza – powiedziała Clarke. Koniec końców, na tym *polegała* fotosynteza – zapewne zdumiałoby ją odkrycie, jak duża liczba złożonych molekuł stanowiła nic innego jak różne związki azotu, węgla i tlenu.

– Nie pierwiastki śladowe. – Ouellette wyjęła z podajnika celulozowy kartridż, którego przegródki wypełniała czerwona i ochrowa maź. – Temu brakuje żelaza i potasu.

Billboard wciąż reklamował nieistniejące produkty następnego ranka, gdy Clarke wcisnęła się do kabiny toaletowej Miki. Gdy wyszła, zobaczyła dwie postacie przyklejone do przedniej szyby.

Ostrożnie ominęła Ouellette i stanęła w przestrzeni pomiędzy dwoma siedzeniami. Dwóch hinduskich chłopców – jeden w wieku może sześciu lat, drugi na granicy dorosłości – zaglądało do środka. Pochyliła się i wbiła w nich swoje spojrzenie. Dwie pary ciemnych oczu urosły z zaskoczenia. Młodszy chłopiec wydał z siebie coś w rodzaju skowytu. W następnej chwili obaj uciekli.

– To twoje oczy – rzuciła jej zza pleców Ouellette.

Clarke odwróciła głowę. Lekarka siedziała, tuląc od tyłu fotel kierowcy. Zamrugła kilkakrotnie zaspanymi oczami w świetle poranka.

– I ten kombinezon – ciągnęła dalej. – Serio, Laurie, w tym stroju wyglądasz jak jakieś zombie. – Wyciągnęła rękę i poklepała szafkę na tylnej ścianie. – Zawsze możesz pożyczyć coś mojego.

Zaczęła przyzwyczajając się do swojego fałszywego imienia. Nieproszona rada Ouellette to coś zupełnie innego.

Gdy wyszły na światło dzienne, w kolejce czekało już pół tuzina osób. Ouellette posłała im uśmiech, obchodząc pojazd, by podnieść markizę. Clarke ruszyła za nią, wciąż nie do końca przebudzona. Miki otworzyła paszczę, gdy przechodziła obok niej. Srebrna wyściółka gardła zniknęła, zastąpiona siatką czujników sterczących z cylindrycznej ściany na przeciwległym końcu.

Ikony i wykresy rozbłysły na wyświetlaczu umieszczonym z tyłu Miki. Ouellette zaczęła z roztargnieniem wstukiwać komendy, nie spuszczając wzroku z rosnącej kolejki pacjentów.

– Wszyscy stoją o własnych siłach, nikt nie krwawi. Nie widzę żadnych oczywistych oznak behemota. Dobry początek.

Pół przecznicy za billboardem, dwójka dzieci, które Clarke wcześniej wystraszyła, wyprowadziła zza rogu dawno niedziałającej restauracji kobietę w średnim wieku. Kobieta poruszała się we własnym tempie, dając opór chłopcom, jakby ci byli dwoma niecierpliwymi psami próbującymi zerwać smycz. Nieco dalej, lawirując pomiędzy gruzami i kępami trawy wyrastającymi ze spękań



w asfalcie, kuśtykał mężczyzna z laską.

– Dopiero co tu przyjechałyśmy – mruknęła Clarke.

– To prawda. Zazwyczaj puszczam przez kilka minut muzykę, by ludzie zarejestrowali moje przybycie. Ale czasami nawet to nie jest konieczne.

Clarke rzuciła okiem na ulice. Już przynajmniej tuzin.

– Ktoś najwyraźniej rozpuścił wieści.

– I właśnie tym sposobem – powiedziała Ouellette – zwyciężymy.

Bucksport stanowiło jeden ze standardowych przystanków Ouellette. Miejscowi znali ją, a przynajmniej wiedzieli o niej. Ona znała ich i zajęła się ich potrzebami jak zawsze, przy wtórce muzyki zawsze cicho rozbrzmiewającej w tle. Chorzy i ranni przechodzili przez bulgoczące trzewia Miki niczym przeżute kęsy pokarmu. Czasami zajmowało to kilka chwil, po których Taka czekała już po drugiej stronie z plastrem, zastrzykiem lub jakimś wirusowym kontrwektorem, który należało wciągnąć niczym staroświecki alkaloid. Innym razem pacjenci spędzali w MK więcej czasu, gdy ich kości wymagały poskładania, zerwane ścięgna zszycia, a złośliwe guzy wypalenia skoncentrowaną wiązką mikrofal. Czasami dolegliwość była tak oczywista, że Ouellette potrafiła zdiagnozować ją na pierwszy rzut oka i wyleczyć podaniem leku oraz dobrą radą.

Clarke pomagała, gdy mogła, czyli rzadko. Miki posiadała własne zapasy, a Ouellette raczej nie potrzebowała ograniczonej wiedzy Clarke o ukąszeniach ryb. Dlatego też na poczekaniu nauczyła ją kilku podstaw i posłała w tłum w celu ewaluacji pacjentów. Ale nawet to nie w pełni działało. Zasady były jasne, ale niektórzy młodszy dzicy wzdragali się na widok Clarke – dziwnej, czarnej skóry, która *falowała*, gdy nie patrzyli na nią wprost; osobliwych wypustek maszynerii na ciele; szklistych, pozbawionych wyrazu oczu, które jednocześnie patrzyły na ciebie i nie patrzyły, jakby należały nie tyle do ludzkiej istoty, ile do jakiegoś mechanicznego oszusta.

Ostatecznie Clarke stawiała czoła dorosłym, którym dała kilka cennych wskazówek, gdy czekali na swoją kolej. Jakkolwiek by nie patrzeć, chodziło nie tylko o udzielenie im pomocy medycznej.

Teraz mieli instrukcje.

Teraz mieli plan.

Czekajcie na pociski, mówiła. Obserwujcie wybuchy, prześledźcie tor lotu odłamków, odszukajcie je na ziemi. Szukacie czegoś takiego. Oto, z czym macie do czynienia. Zbierajcie wszelkie próbki – glebę w słoikach, szmaty wytarzone w rozpylonych chmurach w strefie zero, cokolwiek. Prawdopodobnie wystarczy nawet łyżeczka do herbaty. Wypełniona do połowy puszka wystarczy na pewno. Jakkolwiek i gdziekolwiek uda się wam to zdobyć.

Spieszcie się, bo mogą nadlecieć podnośniki. Bierzcie, co się da i uciekajcie. Opuśćcie strefę wybuchu i unikajcie miotaczy płomieni na wszelkie możliwe sposoby. Przekażcie to innym, opowiedzcie o tym wszystkim. Nieście wieści o tej metodzie. Ale nie używajcie radia. Żadnej sieci. Eter wyrucha was w dupę, jeśli mu na to pozwolicie. Ufajcie jedynie słowu mówionemu.

Potem znajdziecie nas we Freeport albo w Rumford, albo w którymś z miejsc pomiędzy tymi punktami. Wróćcie do nas z tym, co znajdziecie.

Wciąż jest jeszcze nadzieja.

Augusta wywołała u niej ciarki. Dosłownie.

Podjechały od wschodu, tuż przed północą, trasą 202. Taka zjechała w głównej drogi na żwirówkę wkrótce po pokonaniu łagodnego zbocza doliny rzeki Kennebec. Zatrzymała samochód na skalnej półce, stanowiącej dobry punkt obserwacyjny okolicy.

Wszystko po tej stronie rzeki zostało porzucone. Niemal wszystko po drugiej stronie również. Jasny rdzeń, który ostał się pośród morza mroku, puste ruiny będące pozostałościami po dawnych czasach. Ich blady blask padał na kłęby chmur zawieszane nad głową, zamieniając cały płaskowyż w ziarnisty obrazek z wysokim kontrastem czerni i bieli.

Gęsia skórka wystąpiła na przedramiona i kark Clarke. Nawet jej skóra głębinowa wydawała się, cóż, *drzeć*, jednak było to uczucie tak subtelne, że graniczyło z wytworem wyobraźni.

– Czujesz to? – spytała Ouellette.

Clarke pokiwała głową.

– Generator pola statycznego. Jesteśmy na samym jego skraju.

– To znaczy, że wewnątrz jest gorzej?

– Nie *w samym* środku, oczywiście. Pole ma kierunek zewnętrzny. Ale tak, im bliżej znajdziesz się jego granicy, tym więcej włosków stanie ci dęba. Po przekroczeniu bariery już tego nie czujesz. Przynajmniej nie w ten sposób. Są inne skutki.

– Na przykład?

– Guzy. – Ouellette wzruszyła ramionami. – Ale chyba lepsze to niż alternatywna opcja.

Ściśnięte ciasno światła i budynki wyrastały na tle ciemności. Ich zarysy przywodziły na myśl kontur topornej, pikselowej kopuły. Nowa Augusta najwyraźniej próbowała wycisnąć każdy centymetr sześcienny przestrzeni wewnątrz strefy bezpieczeństwa.

– Odwiedzimy to miejsce? – spytała Clarke.

Ouellette pokręciła głową.

– Nie potrzebują nas.

– A czy *możemy* je odwiedzić? – Nawet pomimo podupadłej rangi, Augusta wciąż musiała mieć dostęp do wejść strumienia danych. Niewykluczone, że Lubin lepiej wyszedłby na podróżowaniu z nimi.

– Masz na myśli pozwolenie do zejścia na ląd? Zrobimy sobie przerwę na odrobinę VR i gorącą kąpiel? – Lekarka zachichotała cicho. – To tak nie działa. Prawdopodobnie wpuściliby nas, gdyby zaistniała taka konieczność, ale w obecnych czasach ludzie wolą przebywać wśród swoich. Miki pochodzi z Bostonu.

– Więc możemy dostać się do Bostonu. – Nawet lepiej.

– Nocą ma swój urok – zauważyła Ouellette. – Pomijając jego rakotwórcze działanie. Przypomina trochę zorzę polarną.

Clarke obserwowała ją bez słowa.

– Nie sądzisz?

Postanowiła nie drażnić tematu.

– Noc jest dla mnie bardzo podobna do dnia. Jedynie z mniejszą ilością barw.

– Racja. Oczy. – Ouellette rzuciła jej spojrzenie ukosa. – Nie męczy cię ciągłe życie w świetle dnia?

– Niespecjalnie.

– Dla odmiany powinnaś spróbować wyjąć je od czasu do czasu. Czasami, gdy widzisz zbyt wiele, dużo możesz przeoczyć.

Clarke posłała jej uśmiech.

– To zabrzmiało jak wróżba z ciasteczka.

Ouellette wzruszyła ramionami.

– Przy okazji nie zaszkodziłoby to twojemu podejściu do pacjentów. Mogliby lepiej reagować na twój widok, wiesz?

– I tak nie mogę zrobić zbyt wiele dla twoich pacjentów.

– Och, nie to...

– A nawet jeśli – kontynuowała Clarke wyjątkowo obojętnym tonem – to powinni przyjąć moją pomoc, bez dyktowania ubioru.

– Jaaasne – powiedziała po chwili Ouellette. – Wybacz.

Przez jakiś czas siedziały w milczeniu. W końcu Ouellette wrzuciła wsteczny bieg i włączyła muzykę – burzący krew w żyłach dysonans saksofonu i perkusji elektrycznej, zupełnie inny od jej dotychczasowych gustów.

– Nie zatrzymujemy się tutaj? – spytała Clarke.

– Nie mogę spać, gdy mam gęsią skórę. Poza tym to nienajlepsze dla Miki. Myślałam jedynie, że spodoba ci się widok.

Ruszyły w przeciwnym kierunku. Ciarki na skórze Clarke zniknęły w kilka chwil.

Ouellette nie zatrzymywała pojazdu. Muzyka przeszła w mówione interludium przy akompaniamencie muzyki – historia jakiegoś zająca, który zgubił okulary, czymkolwiek były obie te rzeczy.

– Co to jest? – spytała Clarke.

– To z zeszłego wieku. Mogę wyłączyć, jeśli...

– Nie. Nie trzeba.

Ouellette mimo wszystko wcisnęła przycisk. Miki jechała teraz w ciszy.

– Mogłybyśmy się zatrzymać – powiedziała Clarke po kilku minutach.

– Nieco dalej. Wokół miast jest niebezpiecznie.

– Myślałam, że jesteśmy poza zasięgiem pola.

– Nie rak. Ludzie. – Ouellette uruchomiła autopilota i opadła na siedzenie. – Często kręcą się wokół enklaw i bywają bardzo zazdrośni.

– Miki sobie z nimi nie poradzi?

– Miki może poszatkować ich na kawałki. Ale wolałabym jednak uniknąć konfrontacji.

Clarke potrząsnęła głową.

– Nie wierzę, że nie wpuściliby nas do Augusty.

– Mówiłam już. Ludzie w enklawach wolą trzymać się ze sobą.

– Więc po co ktokolwiek w ogóle wysyłał ciebie? Skoro wszyscy są tak cholernie egoistyczni, po co w ogóle pomagać ludziom z dzikich obszarów?

Ouellette parsknęła pod nosem.

– Gdzie ty się *podziewałaś* przez ostatnich pięć lat? – Uniosła dłoń. – Głupie pytanie. Nie jesteśmy tu z altruistycznych pobudek, Laurie. Flota MK, lizawki...

– Lizawki?

– Stacje żywieniowe. Wszystko po to, by powstrzymać dzikich przed szturmem na barykady. Jeśli rzucimy im kilka ochłapów, może nie będą na tyle zmotywowani, by przynieść behemota na nasze podwórko.

Clarke musiała przyznać, że miało to sens. A mimo to...

– Nie. Przecież nie wysłałiby swoich najlepszych i najbystrzejszych ludzi z żalonym zadaniem kontroli tłumy.

– Masz w zupełności rację.

– Tak, ale *ty*...

– *Ja? Ja* należę niby do tych najlepszych i najbystrzejszych? – Ouellette położyła dłoń na czole. – Skąd w ogóle przyszedł ci do głowy *taki* pomysł?

– Widziałam jak pracujesz.

– Widziałaś jak przyjmuję rozkazy od maszyny, nie czyniąc przy tym zbyt wielu szkód. W ciągu kilku dni mogłabym nauczyć cię tego samego.

– Nie to miałam na myśli. Widziałam już lekarzy przy pracy, Taka. Jesteś inna. Ty... – W głowie rozbrzmiały jej słowa samej Ouellette: *podejście do pacjenta*.

– Tobie zależy – dokończyła.

– Ach – mruknęła Ouellette. A po chwili, patrząc w przestrzeń: – Nie myl współczucia z kompetencją, Laurie. To niebezpieczne.

Clarke obrzuciła ją spojrzeniem.

– Niebezpieczne. Dziwny dobór słów.

– W moim zawodzie kompetencja nie zabija ludzi – powiedziała Ouellette. – Ale współczucie może.

– Zabiłaś kogoś?

– Trudno powiedzieć. W tym problem z niekompetencją. Nie jest równie jednoznaczna jak celowe działanie na szkodę.

– Ile osób?

Ouellette przeniosła na nią spojrzenie.

– A ty liczysz?

– Nie. Wybacz. – Clarke odwróciła wzrok.

*Ale gdybym to robiła, pomyślała, zostałabyś daleko w tyle.* Wiedziała, że nie było to sprawiedliwe porównanie. Podejrzewała, że jedna śmierć mogła być o wiele większym ciężarem niż tysiąc ofiar, jeśli cię to obchodziło. Jeśli czułeś potrzebę zaangażowania.

Jeśli potrafiłeś współczuć.

W końcu dotarły na odosobnioną polankę w górze zbocza. Ouellette rozłożyła swoją leżankę i położyła się spać, wydawszy z siebie kilka monosylab. Clarke siedziała bez ruchu na swoim fotelu, obserwując szarobury krajobraz za przednią szybą – szare trawy łąki, smoliste szeregi patykowatych drzew iglastych, nierówne wychodnie skalistego podłoża. Zachmurzone, papierowe niebo.

A zza pleców ciche pochrapywanie.

Zanurkowała pod fotel i wyciągnęła swój plecak. Pojemnik na nakładki opadł na samo jego dno, padając ofiarą chronicznego braku zainteresowania. Długo trzymała go w dłoniach zanim postanowiła go otworzyć.

Każda nakładka zakrywała całą widoczną część rogówki i jeszcze trochę. Czuła po palcem lekki opór, gdy próbowała je ściągnąć. W końcu ustąpiły z cichym pyknięciem.

Poczuła się, jakby wydlubano jej całe oczy, a nie tylko ich pokrycie. Zupełnie jakby oślepła. Jakby przebywała na dużej głębokości, z dala od jakiegokolwiek źródła światła.

Jednocześnie nie było to nieprzyjemne.

Z początku nie widziała nic, nigdzie. Źrenice stają się leniwe, gdy fotokolagen odwala za nie całą ciężką pracę. Jednak po jakimś czasie przypomniały sobie o rozszerzeniu. Plama ciemnej szarości rozjaśniła pustkę przed nią – słabe, nocne światło wpadające przez przednią szybę.

Po omacku znalazła wyjście z MK i oparła się o jej bok. Pozwoliła, aby drzwi zasunęły się z cichym sykiem. Nocne powietrze chłodziło jej twarz i dłonie.

Jasne plamy rozbłyskały jej w kącikach oczu, znikając za każdym razem, gdy próbowała skupić na nich uwagę. Po krótkim czasie była w stanie rozgraniczyć niebo od linii drzew. Blade, wymieszane odcienie szarości ponad poszarpanym szeregiem cieni, nieznacznie jaśniejsze na wschodzie.

Zrobiła kilka kroków i spojrzała za siebie. Zdumiewająco płynne kształty Miki niemal *iskrzyły* na tle tego fraktalnego krajobrazu. Na zachodzie, w przerwie między chmurami, dostrzegła gwiazdy.

Szła.

Kilkakrotnie potknęła się o korzenie i dołki, marząc o jakimkolwiek źródle światła. Ale schemat kolorystyczny prawie nie odbiegał od tego, co serwowały jej nakładki – szarość na szarości i czerń. Jedyna różnica była taka, że ktoś solidnie zmniejszył kontrast i jasność.

Gdy niebo zaczęło jaśnieć na wschodzie, zobaczyła, że wspina się na żwirowe zbocze pokryte pniakami, dawny zrąb, którego nigdy nie wykorzystano. Musiało to tutaj tak wyglądać jeszcze przed nadejściem *βehemota*.

*Wszystko umiera*, powiedziała.

Na co Ouellette odparła: *I tak by do tego doszło...*

Clarke spojrzała w dół na drogę, którą przyszła. Miki niczym dziecięca zabawka stała na skraju czegoś, co wyglądało na drogę po wyrębach. Brązowe drzewa wyrastały po drugiej stronie, a wzniesienie piętrzyło się po obu jej stronach. Drzewa wycięto jedynie w pasie, który właśnie przemierzyła.

Nagle miała cień, który rozciągnął się na zboczu niczym pośmiertny kontur zamordowanego olbrzyma. Obróciła się. Czerwone, fluorescencyjne słońce właśnie rozpoczęło swoją wspinaczkę. Prążkowane chmury nad głową lśniły łososiową barwą. Przypominały Clarke wyrzeźbione przez fale muldy na piaszczystym dnie morza, ale nie przypominała sobie, by kiedykolwiek widziała je w tak intensywnych kolorach.

*Utrata wzroku każdej nocy może nie być taka zła*, przemknęło jej przez myśl, *jeśli tak wygląda odzyskiwanie go każdego ranka*.

Ta chwila minęła, rzecz jasna. Słońce miało do pokonania zaledwie kilka stopni, wąską przestrzeń jasnego nieba pomiędzy ziemią a zawieszonymi nad głową chmurami. W ciągu kilku minut wzniosło się ponad grubą warstwę stratusów, zamieniając w bladą plamę jasności na tle bezkresnej szarości.

*Alyx*, pomyślała.

Ouellette miała niedługo wstać, szykując się na kolejny bezsensowny dzień spędzony w służbie większego dobra. Robiąc różnicę, która nie robiła nikomu różnicy.

*Może nie większego dobra*, pomyślała Clarke. *Może większej potrzeby*.

Ruszyła w dół zbocza. Zanim dotarła do drogi, Ouellette zdążyła wyjść na światło dnia. Kilka razy zamrugała oczami, próbując przywyknąć do szarówki poranka, po czym zamrugała raz jeszcze, widząc nagie oczy ryfterki.

– Mówiłaś, że możesz mnie nauczyć – powiedziała Clarke.

## **PATRZĄCY W GWIAZDY**

*Ona jest w porządku, Dave*, powiedziała Taka do swego nieżyjącego męża. *Z początku wydawała się trochę straszna... Crys wystarczyłby jeden rzut oka na nią, żeby uciec z pokoju. Na pewno nie można nazwać jej przyjacielską osobą.*

Ale jest naprawdę w porządku, Dave. A jeśli ciebie nie może być tu ze mną, to ona przynajmniej dźwiga na barkach swój ciężar.

Miki jechała starą trasą I-95 przez rozpadające się ruiny miasteczka nazywanego Freeport, które umarło wraz ze zniknięciem ryb i turystów, na długo zanim *βehemot* dokończył dzieła. Na południe od miejscowości skręciły na boczną drogę, prowadzącą do odludnej zatoczki. Taka z ulgą przyjęła fakt, że rzadki las rosnący powyżej linii przyływu wciąż był w większości zielony. Wyraźnie mu

kibicowała.

– Dlaczego właściwie tu jesteśmy? – spytała Laurie, gdy wysiadły.

– Elektryczny węgorz. – Taka otworzyła pokrywę ładowania na boku pojazdu i chwyciła wtyczkę jedną dłonią. Kabel rozwinął się za nią, gdy ruszyła w dół zbocza. Otoczaki zachrzęściły pod stopami.

Laurie towarzyszyła jej do skraju wody.

– Co?

– Gdzieś na dnie. – Klęcząc, Taka wyciągnęła wabik z kurtki i włożyła go do wody. – Miejmy nadzieję, że ten mały sukinsyn ciągle odpowiada na wezwania.

Niewielka erupcja bąbelków, około dwudziestu metrów od brzegu. Chwilę później węgorz wypłynął na powierzchnię i ruszył w ich stronę wijącym ruchem, cały pomarańczowy i węzowaty. Ostatecznie spoczął u stóp Taki, olbrzymi fluorescencyjny plemnik z ogonem ginącym w głębinach. Miał nawet kły – dwuzębne metalowe szczęki odkształcające powierzchnię główki.

Ouellette wpięła w nie kabel. Główka zabuczała.

– Zostawili je tutaj – wyjaśniła – żebyśmy nie musieli polegać wyłącznie na podnośnikach.

Laurie spojrzała na spokojną tafłę wody w zatoce.

– Stos Ballada?

– Reaktor typu CAESAR.

– Żartujesz.

Taka potrząsnęła głową.

– Samoczynny, samowystarczalny i jednorazowy. W zasadzie to tylko wielka bryła z kilkoma żeberkami chłodniczymi. Wystarczy go wrzucić do wody, żeby mógł zacząć działać. Nie ma nawet żadnego sterowania – automatycznie dopasowuje woltaż do ładowanego urządzenia.

Laurie zagwizdała.

Taka podniosła płaski kamień i rzuciła kaczkę po wodzie.

– To kiedy pojawi się Ken?

– Zależy.

– Od czego?

– Od tego, czy uda mu się dostać do Portland. – Po chwili wahania dodała jeszcze: – I od tego, czy nie postanowił porzucić nas w Penobscot.

– Nie zrobił tego – powiedział Ken.

Obróciły się obie. Stał tuż za nimi.

– Cześć. – Wyraz twarzy Laurie nie zmienił się, ale z jej postawy była teraz odrobina niepewności.

– Jak poszło?

Mężczyzna pokręcił głową.

Miała wrażenie, jak gdyby ostatnie dwa tygodnie nie istniały. Ken ponownie do nich dołączył, równie złowrogi i tajemniczy jak zawsze, i niemal w tym samym momencie zniknęła dawna Laurie. Była to subtelna zmiana – w jej posturze, w niewielkim ochłodzeniu ich stosunków – dla Taki jednak była równie oczywista jak cios w twarz. Kobieta, którą zaczęła traktować jak sojusznika, a nawet przyjaciółkę, rozplynęła się na jej oczach. Jej miejsce zajął humanoidalny szyfr, który po raz pierwszy napotkała na zboczu spalonego pustkowia czternaście dni temu.

Ken i Laurie rozmawiali przez jakiś czas na plaży, podczas gdy Miki odzyskiwała siły. Taka nie dosłyszała słów, ale Ken niewątpliwie relacjonował swoją podróż do Portland. *Zdaje raport*, pomyślała Taka, obserwując ich. To słowo pasowało do Kena. Wycieczka najwyraźniej nie poszła

po jego myśli, biorąc pod uwagę jego mowę ciała i minę.

Z drugiej strony, on zawsze tak wygląda, przypominała sobie. Próbowała wyobrazić sobie, co mogłoby zetrzeć ten śmiertelnie poważny wyraz z jego twarzy i zastąpić go prawdziwymi emocjami. Być może coś musiałyby zagrażać jego życiu. Może wystarczyłoby zwykłe pierdnięcie w windzie.

Gdy Miki najadła się, wrócili do miasteczka. Lubin przykucnął w przestrzeni pomiędzy siedzeniami, mając po obu stronach kobiety. Taka odniosła wrażenie gigabajtów danych przesyłanych pomiędzy pozostałą dwójką, choć w sumie wymienili może tuzin słów.

Freeport stanowił kolejny przystanek na trasie. Taka zatrzymała samochód na parkingu przy skrzyżowaniu Głównej i Howard, obok spękanej fasady starego sklepu z ubraniami o nazwie (która zawsze ją bawiła) Dziura. Całe miasto, podobnie jak wiele innych, dawno umarło. Pojedyncze komórki wciąż krążyły po gnijących truchle, a kilka z nich czekało już na nią, gdy Miki zajęła na miejsce. Taka mimo wszystko na kilka minut puściła z głośników Strawińskiego, by oznajmić o swoim przybyciu. Z czasem pojawili się inni, wyłaniając się ze skorup budynków i przeciekających kadłubów starych łajb rybackich, utrzymywanych na wodzie w płonnej nadziei, że choroby boją się wody.

Ona i Laurie zabrały się do pracy. Ken trzymał się na uboczu, na tyłach szoferki. Cienie i dynamiczne przyciemnianie szyb Miki wystarczyły, aby ukryć go przed wścibskimi spojrzeniami. Taka pytała o Portland, obsługując kolejkę pacjentów z połamanymi kończynami i gnijącymi ciałami. Laurie wzruszyła ramionami, odpowiadając w zamyśleniu:

– Mógłby dostać się do środka. Ale na pewno ściągnąłby na siebie uwagę.

Żadna niespodzianka. Wypalony pas ziemi otaczał lądowy perymetr Portland, płaska, najeżona czujnikami równina, której nie sposób było przebyć niezauważonym. Podejścia od strony morza broniła cienka, skórzasta membrana. Nie można było wśliznąć się do środka – żadnej enklawy, skoro już o tym mowa – a Kenowi najwyraźniej brakowało środków do sforsowania zabezpieczeń.

Od czasu do czasu Taka rzucała zamyślane spojrzenia w kierunku przedniej szyby, gdy rozmawiała z pacjentami. Czasami, za ciemnymi refleksami, dostrzegała dwa słabe, połyskujące punkty, odwzajemniające jej spojrzenie, pozostające w całkowitym bezruchu.

Nie miała pojęcia, co on mógł tam robić. Nie zamierzała o to pytać.

Można było odnieść wrażenie, że *noc* stanowiła czarną kliszę nałożoną na świat, a gwiazdy były małymi otworkami, przez które wpadało światło słoneczne.

– Tam – powiedział Ken, wskazując coś.

Cienkie igły, trzy lub cztery. Ich czubki rozdarły kliszę wysoko na zachodzie, umiejscawiając szramy na Gwiazdozborze Wolarza. Znikły w ciągu kilku sekund. Taka nigdy nie wypatrzyłaby ich samodzielnie.

– Jesteś pewien, że nic nam nie grozi – powiedziała.

Był zaledwie sylwetką, czarną na czarnym tle upstrzonym gwiazdami, po jej lewej stronie.

– Już nas minęły – powiedział. Ale to nie była żadna odpowiedź.

– Nadlatują przechwytyjące – rzuciła Laurie zza ich pleców. Krótkie wybuchy rozbłyły w pobliżu Herkulesa, nie smugi, lecz zapłon pocisków przeciwraketowych zrzuconych z orbity. Gdy wejdą w atmosferę, będą znajdować się już za linią horyzontu.

Niedawno minęła północ. Stali na skalistym pagórku na południe od Freeport. Niemal cały ich świat sprowadzał się do niebaj gwiazd. Mało znaczący krąg ziemi poniżej horyzontu przypominał czarną plamę. Dotarli tutaj, podążając za sygnałami akustycznymi naręcznego pada Kena,

połączonego z peryskopem unoszącym się gdzieś w oceanie za nimi. Najwyraźniej ich łódź podwodna – *Phocoena*, jak nazywała ją Laurie – potrafiła spojrzeć w gwiazdy.

Taka doskonale to rozumiała. Droga Mleczna była tak piękna, że aż ją to bolało.

– Może to już to – mruknęła. Wiedziała, że to mało prawdopodobne. To był dopiero drugi atak od kiedy wcielili swój plan w życie. Jak daleko mogły w tym czasie dotrzeć wieści?

A mimo to, trzy ataki przez zaledwie kilka tygodni. W tym tempie *musiało* im się wkrótce poszczęścić...

– Nie liczyłbym na to – odparł Ken.

Rzuciła mu spojrzenie, po czym odwróciła wzrok. Jeszcze nie tak dawno ten mężczyzna stał za jej plecami, trzymając jej rękę na karku i instruując Laurie w kwestii rozbijania systemów obronnych, których same nazwy brzmiały *Tace obco*. Od tamtego czasu mężczyzna zachowywał się uprzejmie, ponieważ Taka współpracowała. Ponieważ ani razu nie stanęła mu na drodze.

Jednak Ken miał misję, z którą eksperyment Ouellette, mający na celu ratowanie zwykłych ludzi, nie miał zbyt wiele wspólnego. Przystał na to wszystko z własnych, niezrozumiałych powodów. Nie miała gwarancji, że jutro albo jeszcze następnego dnia, mężczyźni nie zabraknie cierpliwości i nie wróci do pierwotnego planu. Taka nie wiedziała, co to właściwie oznaczało, ale podejrzewała, że miało to jakiś związek z niesieniem pomocy wodnym krewniakom Kena i Laurie. Szybko nauczyła się też nie dopytywać żadnego z nich o szczegóły. Jednym z punktów planu było dostanie się do enklawy Portland, czego Ken najwyraźniej nie był w stanie osiągnąć.

Plan zakładał również porwanie MK Taki, co się udało.

Teraz została sama z dwoma zagadkami o pustych spojrzeniach, w środku nocy na zupełnym odludziu. Lecz pod całą tą otoczką sporadycznego koleżeństwa, humanitarnej pomocy i wszystkich skrupulatnie ułożonych planów, jeden fakt nie ulegał wątpliwości – była jeńcem. Była nim już od kilku tygodni.

*Jak mogłam o tym zapomnieć?* – zadawała sobie pytanie, mając jednocześnie gotową odpowiedź – ponieważ jej nie skrzywdzili... jeszcze. Nie grozili jej... ostatnimi czasy. Żadne z porywaczy nie uciekało się do przemocy. W obecnej sytuacji stanowiło to szczyt cywilizowanego zachowania. Taka zwyczajnie zapomniała, że powinna czuć się zagrożona.

Co było dość głupie, gdy się nad tym zastanowić. Po porażce w Portland, istniało duże prawdopodobieństwo, że Lubin wróci do Planu A i zabierze jej pojazd. Laurie mogła na to przystać lub nie – Taka miała nadzieję, że pod chłodną fasadą wciąż jeszcze pozostała między nimi jakaś więź – to mogło jednak i tak nie mieć większego znaczenia.

Na dodatek nie istniał sposób, by stwierdzić, co którekolwiek z nich mogłoby zrobić, gdyby Taka postanowiła im wejść w drogę. Albo gdyby wyczerpały się *o wiele skuteczniejsze alternatywy*. W najlepszym wypadku mogłaby utknąć na środku pustkowia – uodporniony anioł z podciętymi skrzydłami, pozbawiony wsparcia Miki na wypadek, gdyby kolejny czerwonooki facet próbował szukać u niej ratunku dla siebie.

– Mam sygnał z Montrealu – powiedział Ken. – Zaszifrowany. Zgaduję, że to rozkaz startu alarmowego.

– Podnośniki? – zasugerowała Laurie. Ken stęknął potwierdzająco.

Taka odchrząknęła.

– Zaraz wrócę. Koniecznie muszę się wysikać.

– Pójdę z tobą – natychmiast odparowała Laurie.

– No co ty. – Taka zrobiła gest w stronę ciemnego zbocza, gdzie zajmowane przez nich wzniesienie wychodziło z rzadkiego lasu. – To tylko kilka metrów. Znajdę drogę.



Dwie sylwetki na tle gwiazd obróciły się jednocześnie i obrzuciły ją spojrzeniami bez słowa. Taka przełknęła ślinę i zrobiła krok w dół pagórka.

Ken i Laurie trwali w bezruchu.

Kolejny krok. Jeszcze jeden. Stała stopą na kamieniu i na chwilę straciła równowagę.

Jej porywacze wrócili do swoich wyświetlaczy taktycznych i maszynerii. Taka ostrożnie posuwała się w dół zbocza. Światło gwiazd wskazywało zarysy przeszkód na jej drodze, ale mimo wszystko wolałaby mieć nad głową księżyc. Dwa razy potknęła się, zanim wyrosła przed nią linia drzew, poszarpana opaska z ciemności, połykająca gwiazdy.

Chwilę później połknęła również Takę.

Kobieta spojrzała w górę wzniesienia przez czarną płataninę krzewów i pni drzew. Ken i Laurie wciąż stali na szczycie pagórka niczym nieruchome sylwetki wycięte z tektury na tle nieba. Nie potrafiła powiedzieć, czy ją widzą, ani nawet, czy spoglądają w jej stronę. Na otwartej przestrzeni byłaby dla nich w pełni widoczna. Na szczęście, nawet ich oczy nocnych drapieźców nie potrafiły przenikać pni drzew.

Miała najwyżej kilka minut zanim zorientują się, że uciekła.

Poruszała się najszybciej jak potrafiła bez robienia hałasu. Na szczęście podściółka w tym miejscu nie była zbyt bujna. W lepszych czasach światło słoneczne przenikające przez korony drzew było zbyt słabe, natomiast ostatnio... Ostatnio to nie brak słońca był czynnikiem decydującym. Taka na oślep przedzierała się przez labirynt pionowych rozpadlin oraz pokrywy liści i cienkiej warstwy gleby, gnijących pod wpływem behemota. Nisko zawieszony gałęzie szarpały jej twarz. Ogryzione, stare pnie drzew wylaniały się z ciemności zaledwie metr przed nią. Młodsze, patykowate drzewka potrafiły zaskoczyć ją jeszcze bardziej.

Zaczepiła stopą o korzeń. Runęła na ziemię, tłumiąc krzyk. Wyciągnęła dłoń i uderzyła w leżącą na ziemi gałąź. Trzask drewna poniósł się echem niczym wystrzał z broni. Przywarła do ziemi, trzymając zranioną dłoń, nasłuchując jakichkolwiek odgłosów dochodzących od strony wzniesienia.

Nic.

Parła dalej. Zbocze było tu bardziej strome i zdradliwe. Drzewa, które stawały jej na drodze przypominały szkielety, suche i łamliwe, gotowe zdradzić ją głośnym trzaskiem łamanej gałęzi. Jedna z nich uderzyła ją tuż poniżej kolana. Taka poleciała do przodu i uderzyła w ziemię, nie mogąc wyhamować. Przekoziołkowała w dół zbocza, zahaczając po drodze o wystające kamienie i zalegające na podłożu fragmenty drzew.

Ziemia zniknęła. Nagle niemal była w stanie coś *zobaczyć*. Szeroka, cienista plama szarości ruszyła jej na spotkanie. Rozpoznała ją chwilę przed tym jak w nią uderzyła, zdzierając sobie skórę z przedramienia.

Droga. Z tej strony okalała wzgórze niczym rąbek. Miki została zaparkowana gdzieś na jej długości.

Taka podźwignęła się na nogi i rozejrzała. Spadając, nie mogła w żaden sposób ustalić swojej trasy, w związku z czym nie miała pojęcia, na której części drogi wylądowała. Zgadła, skręciła w prawo i zerwała się do biegu.

Dzięki Bogu, droga była pusta, a słabo widoczne zwirowe podłoże wystarczało, aby utrzymać ją na właściwej ścieżce. Droga zawijała się łagodnie wokół grani wzniesienia. Pokruszone kamienie trzeszczały pod jej stopami, gdy nagle coś błysnęło w ciemności przed nią, coś kanciastego i odbijającego światło gwiazd...

*Och, dzięki Bogu. Tak. Tak!*

Szarpnęła drzwi po stronie kierowcy i wparowała do środka, ciężko dysząc.

Ale zawahała się.

*I co zamierzasz dalej zrobić, Tak? Porzucisz wszystko, co próbowałaś osiągnąć przez ostatnie dwa tygodnie? Po prostu odjedziesz i pozwolisz, by wiedźma pożarła wszystko, nawet jeśli istnieje sposób, by ją powstrzymać? Prędzej lub później ktoś trafi na żyłę złota, a ty sama prosiłaś, by przynieśli ją tutaj. Co się stanie, gdy przybędą i zobaczą, że uciekłaś z podwiniętym ogonem?*

*Zamierzasz zadzwonić po pomoc? Myślisz, że przybędzie, zanim Ken i Laurie się z tobą rozprawią, zanim wskoczą do tej swojej łodzi podwodnej i znikną w Rowie Mariańskim? Sądziś, że jakakolwiek pomoc w ogóle przybędzie? A co z twoimi wrogami, Tak? Co z tym kimś lub czymś, co próbuje powstrzymać działania, którym chciałaś pomóc? Zamierzasz ryzykować tylko dlatego, że jakieś dwie nie zrównoważone osoby o śmiesznych oczach mogą ci coś zrobić, gdy je rozzłościś?*

Potrząsnęła głową. To było szaleństwo. Miała kilka cennych chwil, zanim Ken i Laurie wytropią ją. To, co postanowi w tym krótkim czasie, może zaważyć o losach Nowej Anglii... Może nawet całej Ameryki Północnej. Nie mogła pozwolić sobie na pośpiech, ale nie miała już czasu...

*Potrzebuję czasu. Potrzebuję uciec stąd na jakiś czas. Muszę to przemyśleć.* Wyciągnęła dłoń i położyła kciuk na panelu zapłonu.

Miki nie reagowała.

Spróbowała ponownie. Nic. Nic poza wspomnieniem Kena myszkującego po szoferce, z tymi jego błyszczącymi oczami, w otoczeniu obwodów elektrycznych, na których najwyraźniej się znał.

Zamknęła oczy. Gdy otworzyła je ponownie, patrzył wprost na nią.

Ken otworzył drzwi.

– Coś nie tak? – spytał.

Taka westchnęła. Jej obtarcia puchły i piekły w milczeniu.

Laurie otworzyła drzwi od strony pasażera i wdrapała się do środka.

– Wracajmy – powiedziała niemal łagodnie.

– Ja... Skąd...

– No dalej – rzucił Ken, wskazując na deskę rozdzielczą.

Taka położyła kciuk na panelu. Miki natychmiast przebudziła się do życia.

Wysiadła z szoferki, by pozwolić Lubinowi wejść. Niebo nad jej głową pstrzyły gwiazdy.

*Och, David, pomyślała. Żałuję, że cię tu nie ma.*

## ŚPIĄCY

Wszystko uległo zmianie o dziesiątej trzydzięci następnego ranka.

Motocykl wyłonił się zza zakrętu i na krótko wdał się w sprzeczkę ze swoim kierowcą w kwestii tego, jak najlepiej wymiąć wybój wielkości Arkansas. Był to nowy model Kawasaki, wyprodukowany tuż przed nadejściem wiedźmy, wyposażony w stabilizatory efektu przypowierzchniowego, co sprawiało, że niemal nie sposób było go przewrócić. W przeciwnym wypadku zarówno mężczyzna, jak i jego maszyna wylecieliby w powietrze i skończyli na billboardzie o zasilaniu słonecznym, który (nawet po tylu latach) wciąż migotał twarzami martwych celebrytów, zachęcających do zakupu wzmacniaczy odporności Johnson & Johnson. Zamiast tego Kawasaki pochyliło się pod niesamowitym kątem i odzyskało po chwili równowagę, by ostatecznie zatrzymać się pomiędzy Miki a grupką dzikich dzieci liczących na upominki.

Białe oczy Kena błysnęły w cienistym mroku za plecami przybysza.

Motocyklistą okazał się patykowaty chudzielec, którego czubek głowy zajmowała zmierzwiona

strzecha krzywo poprzycinanych, brązowych włosów. Ledwie widoczne na tle brudnej skóry, rzadkie wąsy określały jego wiek na „może szesnaście”.

– Pani jest tą lekarką z pociskami?

– Jestem lekarką *zainteresowaną* pociskami – powiedziała Taka.

– Jestem Ricketts. Proszę. – Sięgnął pod połę wytartej kurtki termochromowej i wyciągnął zapinany, plastikowy woreczek zawierający bardzo brudną bieliznę.

Taka uchwyciła torebkę kciukiem i palcem wskazującym.

– Co to?

Ricketts zaczął wymieniać na palcach:

– Gacie, koszulka i jedna skarpeta. Musieli, no wie pani, improwizować. Miałem tylko jedną torbę, a byłem *ładny* kawał drogi stąd w innej sprawie.

Laurie wysiadła z szoferki.

– Taka?

– Cześć – rzucił Ricketts. Jego usta rozciągnęły się w pełnym uznania uśmiechu. Jeden ząb złamany, dwa wybite, pozostałe w czterech różnych odcieniach żółci. Jego oczy otaksowały Lenie niczym czytnik kodów kreskowych. Tace trudno było go winić – w tych okolicach każda osoba z czystą skórą i wszystkimi zębami z miejsca kwalifikowała się na symbol seksu.

Pstryknęła palcami, by przywrócić go do rzeczywistości.

– Ale co to jest, konkretnie?

– Racja. – Ricketts wrócił do zmysłów. – Weg i Moricon znaleźli jeden z tych kanistrów, o których rozpowiadacie. Ciekło z niego całe to gówno. Ale nie jak rzeka, no wiecie, bardziej jakby się *pocił*. Więc wytarli to tym – wskazał palcem torebkę – i oddali mnie. Całą noc jechałem.

– Skąd to masz? – spytała Taka.

– Masz na myśli, gdzie to znaleźliśmy? Burlington.

To było niemal zbyt piękne, by było prawdziwe.

– To w Vermont – dodał uprzejmie.

Ken niespodziewanie wyrósł obok Rickettsa.

– Zrzucano pociski na Vermont? – powiedział.

Chłopak obrócił głowę, podskoczył. Zobaczył Kena. Zobaczył oczy.

– Fajne nakładki – rzucił z aprobatą. – Mnie też kręcili ryfterzy, zanim, no wiesz...

*Ryfterzy*, przypomniała sobie Taka. Obsługiwali stacje geotermalne po zachodniej stronie wybrzeża...

– Pociski – odezwał się Ken. – Pamiętasz, ile ich było?

– Nie bardzo. Widziałem może cztery lub pięć, ale wiesz jak jest.

– Pojawiły się podnośniki? Wypalili okolicę?

– Ta, ktoś mówił, że tak może być. Dlatego się rozproszyliśmy.

– Ale *doszło* do tego?

– Nie mam pojęcia. Nie zostałem tam na dłużej. Chcieliście dostać to coś szybko, prawda?

– Tak. *Tak*. – Taka rzuciła okiem na obrzydliwie brudne szmaty w worku. Był to najpiękniejszy widok w jej życiu. – Dziękujemy ci, Ricketts. Nie masz pojęcia, jak ważne to może być.

– Tak, cóż, jeśli chcecie okazać mi wdzięczność, może przelejecie mi kilka woltów ze swojego wózka? – Poklepał motocykl między nogami. – Tej dziecinie brakuje już sił, zostało mi może z dziesięć klików, a potem... Hej, a może jest jakaś nagroda?

*Nagroda*, pomyślała Taka, przeciągając przewód startowy do motocyklu Rickettsa, *jest taka*,

że za dziesięć lat może wciąż będziemy żyć.

Z nabożnym szacunkiem umieściła otrzymany skarb w próbniku, pozwalając Miki rozciąć opakowanie i wycisnąć złoto ze szmat. A była to *prawdziwa* żyła złota, o wiele lepiej widoczna w tym, czego *brakowało* niż w tym, co istotnie się tam znalazło – stężenie *β*ehemota w próbce było o wiele niższe niż w innych. Niemal śladowe.

*Coś zabija wiedźmę.* To pierwotne wyjaśnienie, a w zasadzie *potwierdzenie* przekonania, które w ciągu ostatnich tygodni przerodziło się z nadziei w pewność, zagrażało naukowej ostrożności, którą wpojono Tace podczas szkoleń. Zmusiła się, by zachować powściągliwość w obliczu podniecenia. Przeprowadzi testy. Wykona całą żmudną robotę. Ale jakiś popiskujący, wewnętrzny studenciak wiedział, że to jedynie potwierdzi to, co ona już wiedziała, co sugerowały te pierwsze, cudowne wyniki. Coś zabijało wiedźmę.

Oto więc miała ją przed sobą. Zmieszana z pleśnią, grzybami i bakteriami fekalnymi, przypominała sznur pereł na wpół zakopanych w błocie – sekwencja genetyczna, której baza danych Miki nie rozpoznawała. Otworzyła okno danych i zamrugła. *Coś tu jest nie tak.* Gwizdnęła przez zęby.

– Co jest? – spytała stojąca obok Laurie.

– Zajmie to więcej czasu niż myślałam – odparła Taka.

– Dlaczego?

– Bo nigdy wcześniej nie widziałam nic podobnego.

– Może my widzieliśmy – odezwał się Ken.

– Nie sądzę. O ile nie... – Urwała w pół zdania. Interfejs Miki zabłysł ikoną ostrzeżenia – ktoś prosił o dostęp do danych.

Spojrzała na Kena.

– To ty?

Mężczyzna pokiwał głową.

– To sekwencja nowego robala, którego niedawno odkryliśmy.

– Odkryliście gdzie?

– Nie w tej okolicy. Na wyizolowanym obszarze.

– Czyli gdzie, w laboratorium? Na szczycie góry? W Rowie Mariańskim?

Ken nie odpowiedział. Jego dane cierpliwie pukały do frontowych drzwi Miki.

Taka w końcu wpuściła je do środka.

– Myślisz, że może to być ta sama rzecz? – spytała, w czasie gdy system filtrował pliki w poszukiwaniu paskudztw.

– To możliwe.

– Więc miałeś to przez cały ten czas i dopiero teraz mi to pokazujesz.

– Dopiero teraz masz coś, z czym można było to porównać.

– Słodki Jezu, Ken. Nie umiesz grać zespołowo, co? – Przynajmniej miała odpowiedź na jedno pytanie – w końcu dowiedziała się, dlaczego ta dwójka trzymała się ze sobą tak długo.

– To nie jest środek przeciwdziałający – zauważyła Laurie, jakby chciała ochronić ją przed nieuniknionym rozczarowaniem.

Taka przywołała na ekran nową sekwencję.

– Widzę. – Potrząsnęła głową. – Ale nie jest to też nasz tajemniczy robak.

– Naprawdę? – Laurie wyglądała na zaskoczoną. – Jesteś w stanie to stwierdzić po pięciu sekundach?

– Wygląda jak *β*ehemot.

– Ale nim nie jest – zapewnił ją Ken.

– Może to nowy szczep. Musiałabym przekopać się przez całą sekwencję, aby się upewnić, ale jeden rzut oka wystarczy mi, żeby stwierdzić, że to wirus RNA.

– Biosprej też nie?

– Nie mam pojęcia, *co* to jest. Jakiś kwas nukleinowy, ale ten piękniś posiada pierścień czterowęglowy. Nigdy czegoś takiego nie widziałam i wygląda na to, że nie ma tego w żadnej bazie Miki. Będę musiała przyjrzeć się temu z bliska.

Ken i Laurie wymienili spojrzenia. Mówiły wiele, ale nie jej.

– Nie będziemy cię zatrzymywać – powiedział Ken.

Miki potrafiła zidentyfikować znane choroby i wyleczyć te, na które odkryto lekarstwo. Potrafiła tworzyć losowe warianty zwyczajowych antybiotyków i przypisać režimy, pozwalające na znaczne ograniczenie zdolności adaptacyjnych przeciętnego wirusa. Umiała naprawiać złamane kości, wycinać guzy i leczyć wszelkiego rodzaju urazy fizyczne. Gdy szło o *β*ehemota, MK stanowiła rzecz jasna jedynie środek uśmierzający na kółkach, ale nawet to było lepsze niż nic. Koniec końców, Miki stanowiła cud nowoczesnej technologii medycznej – jednak był to jeżdzący szpital, a nie laboratorium. Potrafiła przetworzyć nowe genomy, tak długo jak szablon pozostawał znajomy, ale nie po to ją stworzono.

Genomy bazujące na *nieznajomych* szablonaх były czymś zupełnie odmiennym. Ten wirus nie miał podstawy DNA *ani* RNA – nawet tak prymitywnej, ledwie spiralnej odmiany RNA wykorzystywanej przez *β*ehemota. Był czymś innym, a baza danych Miki nie została przystosowana, by radzić sobie z tego typu zadaniami.

Takę nic to nie obchodziło. I tak kazała jej przeprowadzić testy.

Szablon łatwo było znaleźć, gdy tylko zajrzało się pod powierzchnię użytecznych układów sekwencyjnych. Był tam, w zakurzonym kącie encyklopedii biomedycznej: TNA. Kwas nukleinowy bazujący na treozie, uzyskany po raz pierwszy pod koniec zeszłego stulecia. Zwyczajowe bazy przyczepione do treozowo-fosforowego kręgosłupa z wiązaniami fosfodiesterowymi łączącymi nukleotydy. Jakaś wczesna teoria głosiła, że mógł on odegrać istotną rolę w okresie, gdy życie dopiero nabierało kształtów, ale niemal wszyscy zapomnieli o TNA, gdy do głosu doszli zwolennicy marsjańskiej panspermii.

Nowy szablon oznaczał nowe geny. Standardowa baza danych referencyjnych była bezużyteczna. Odkodowanie sekwencji przy użyciu dostępnego arsenału Miki przypominało kopanie tunelu za pomocą łyżeczki do herbaty – można to było zrobić, ale wymagało to ogromnej motywacji. Na szczęście Taka miała jej aż nadto. Wgryzła się w temat, wiedząc, że to jedynie kwestia czasu, wsparta być może koniecznością znalezienia objazdów ślepych zaułków.

Zbyt wiele czasu. Stanowczo zbyt wiele objazdów. Najbardziej denerwowała ją jednak świadomość, że *znała* już odpowiedź. Znała ją jeszcze zanim zaczęła. Potwierdzał to każdy drobiazgowy, mozolny, otepiający test. Każdy zakres elektroforezy, każdy wirtualny ślad, każda próba PCR i TTD – wszystkie te przypadkowo wybrane techniki, zabierające jej kolejne godziny – wszystkie wskazywały jednoznacznie i nieodwołalnie na tę samą cudowną odpowiedź.

I naprawdę *była* to cudowna odpowiedź. Dlatego właśnie po trzech dniach, zmęczona niekończącymi się próbami i powtórzeniami, postanowiła trzymać się tego, co ustaliła. Swoje odkrycia przedstawiła w okolicach południa, z powrotem w zatoczce, ze względu na prywatność i wygodę.

– To nie jest zwykła modyfikacja – powiedziała ryfterom. Samotna, przemoknięta mewa krążyła pomiędzy kamieniami. – To w pełni sztuczny organizm, zaprojektowany od zera. *Dodatkowo* został

stworzony, aby rywalizować z behemotem na jego własnym podwórku. Posiada szablon TNA, dość prymitywny, ale wykorzystuje też niewielkie ilości RNA w sposób nieznanym behemotowi – to zaawansowana cecha eukariotyczna. Używa *proliny* do katalizy. Pojedynczy aminokwas wykonuje pracę całego *enzymu* – macie *pojęcie* jaka to oszczędność przestrzeni...?

Nie mieli. Bezmyślne wyrazy ich twarzy to potwierdzały.

Przeszła do konkretów.

– Konkluzja jest taka, moi przyjaciele, że jeśli umieścić tego gościa w hodowli z behemotem, wyjdzie z tego pojedynku zwycięsko za każdym razem.

– W hodowli – powtórzył Ken.

– Nie ma powodów, by przypuszczać, że efekt nie byłby taki sam w naturze. Pamiętajcie, że został zaprojektowany, by radzić sobie w świecie. Plan najwyraźniej był taki, by wprowadzić go do ekosystemu pod postacią aerozolu, a następnie zostawić samemu sobie.

Ken stęknął, przewijając na głównym ekranie wyniki badań Taki.

– Co to?

– To? Ach, tak. To poliploid.

– Poliploid? – spytała Laurie.

– No wiesz, haploid, diploid, poliploid. Wiele zestawów genów. Zazwyczaj widuje się je u roślin.

– Więc dlaczego tutaj? – zastanawiał się Ken.

– Odkryłam kilka paskudnych genów recesywnych – przyznała Taka. – Być może zostały one celowo dodane ze względu na jakiś pozytywny efekt w połączeniu z innymi genami, a może po prostu w pośpiechu ktoś je przeoczył. Jestem w stanie stwierdzić jedynie tyle, że warstwa redundantnych genów została ułożona, by wyeliminować ryzyko wystąpienia homozygoty.

Mężczyzna parsknął.

– Niezbyt eleganckie.

Taka potrząsnęła głową ze zniecierpliwieniem.

– Bez dwóch zdań to dość niezdarne rozwiązanie, ale za to szybkie i... cóż, najważniejsze, że *działa!* Mamy szansę pokonać behemota!

– Jeśli masz rację – zadumał się Ken – to nie behemota będzie trzeba pokonać.

– MM – zasugerowała Taka.

W postawie Laurie zaszła jakaś zmiana.

Ken wyglądał na nieprzekonanego.

– Być może. Choć kontrataki wydają się wychodzić z północnoamerykańskiej tarczy obronnej.

– KRASZ – wyszeptała Laurie.

Ken wzruszył ramionami.

– W obecnej chwili KRASZ w zasadzie stanowi całe siły zbrojne na tym kontynencie. I wygląda na to, że nie ma jakiegokolwiek scentralizowanego rządu, który mógłby im w tym przeszkodzić.

– Nie powinno mieć to znaczenia – powiedziała Taka. – Prawołamacze są nieprzekupni.

– Możliwe, że było tak przed Rio. A teraz, kto wie?

– Nie. – Taka ujrzała wypalony krajobraz. Przypomniała sobie podnośniki na horyzoncie, ziejące ogniem. – Otrzymujemy od nich rozkazy. My *wszyscy*...

– Więc prawdopodobnie lepiej będzie, jeśli zachowasz to dla siebie – zauważył Lubin.

– Ale dlaczego ktoś miałby... – Laurie przenosiła wzrok z Taki na Kena z niedowierzaniem wymalowanym na twarzy. – To jest, co *oni* mogliby na tym zyskać?

*Coś więcej niż zamęt*, zrozumiała Taka. *Chaos. Cierpienie*. Coś zaskoczyło w umyśle Taki – przez cały ten czas Laurie tak naprawdę nie wierzyła w ich cel. Pomagała jak tylko mogła. Okazywała

troskę. Akceptowała interpretację wydarzeń Taki – przynajmniej jako jedną z możliwości – ponieważ dawało jej to szansę na naprawę tego, co zostało zepsute. Lecz mimo to, dopiero teraz wydawała się rozumieć, co niosła ze sobą ta interpretacja, wraz z implikacjami tego, przeciw czemu walczyli – nie z βehemotem jednak, lecz jednym z nich.

*Dziwne*, przemknęło Tace przez myśl, *jak często sprowadza się to właśnie do tego...*

To nie był zwykły koniec świata, nie dla Laurie. Wyglądało na to, że to coś bardziej... bardziej *intymnego*. Zupełnie, jakby ktoś zdradził ją osobiście. *Witaj z powrotem*, pomyślała Taka do wrażliwej istoty wyglądającej ponownie, po długiej przerwie, z za maski. *Tęskniłam za tobą*.

– Nie wiem – powiedziała w końcu. – Nie wiem, kto mógłby zrobić coś takiego, ani dlaczego. Ale chodzi o to, że teraz możemy to *powstrzymać*. Teraz wyhodujemy tę dziecinę i wyślemy ją do walki. – Taka wywołała statystyki na inkubatorach. – Mam już gotowych pięć litrów tego, a o poranku będę mieć dwadz...

*Dziwne*, pomyślała, gdy niewielka migająca ikona zwróciła jej uwagę po raz pierwszy.

*To nie powinno... Wygląda jakby...*

Żołądek podszedł jej do gardła.

– *Jasna cholera* – wyszeptała.

– Co? – Ken i Laurie wyrzucili z siebie jednocześnie.

– Moje laboratorium jest podłączone do sieci. – Wskazała palcem ikonę, która mrugnęła do niej z łagodną obojętnością. – *Moje laboratorium podłączone jest do sieci. I wysyła...* Bóg jeden wie, co...

W jednej chwili Ken zaczął wdrapywać się na bok pojazdu.

– *Przynieś skrzynkę narzędziową* – rzucił, zsuwając się po dachu w stronę niewielkiego talerza satelitarne go, wycelowanego wprost w niebo, wyłaniającego się ze swojej jamy.

– Co? Ja...

Laurie zanurkowała do szoferki. Ken szarpnął talerz, zrywając połączenie z jakąś wrogą, geosynchroniczną gwiazdą. Ułamek sekundy później mężczyzna krzyknął, a jego ciałem wstrząsnął dreszcz. W ostatniej chwili udało mu się nie stoczyć z dachu. Plecy wygiął w łuk, dłonie i głowę trzymając z dala od metalu.

Talerz powoli zaczął wracać do pierwotnego ustawienia, trzeszcząc przekładniami.

– *Kurwa mać!* – Laurie wypadła na chodnik. Zawartość skrzynki z narzędziami rozsypała się obok niej. Kobieta poderwała się na równe nogi, krzyząc: – *Wyłącz to do cholery! Kadłub jest pod napięciem!*

Taka chwiejnym krokiem dotarła do otwartych drzwi. Zobaczyła, że Ken powoli sunie w kierunku talerza na plecach i łokciach, wykorzystując skórę głębinową jako izolację. Gdy pochyliła głowę, by przeskoczyć nad progiem – *Dzięki Bogu rozbroiliśmy wszystkie wnętrzości* – w trzewiach Miki rozbrzmiało znajome buczenie.

Bańka uzbrojenia w gotowości.

GPS znów działał. Wyłączyła go. Zmartwychwstał. Zewnętrzne systemy obronne przebudziły się, wygłodniałe. Odwołała je. Postanowiły ją zignorować. Na zewnątrz Ken i Laurie wymieniali między sobą głośnie uwagi.

*Co zrobić... Co...*

Zanurkowała pod deskę rozdzielczą i szarpnięciem otworzyła skrzynkę z bezpiecznikami. Płytki obwodów stanowiły zwykłe przełączniki ręczne, niedostępne dla elektronowych demonów. Wyciągnęła wtyczki systemów bezpieczeństwa, komunikacji i GPS. Na wszelki wypadek odłączyła też autopilota.

Chór elektrycznego buczenia natychmiast umilkł.

Taka zamknęła na chwilę oczy i pozwoliła sobie na głęboki wdech. Głosy dochodziły do niej przez otwarte drzwi, gdy wdrapała się z powrotem na miejsce kierowcy.

– Wszystko w porządku?

– Tak. Skóra przyjęła większość ładunku.

Wiedziała, co się stało. *Co się stało* ponownie, poprawiła się, podnosząc zestaw wizualizacyjny z widełek.

Nie była programistą. Z trudem tworzyła podstawowe programy. Ale przynajmniej była kompetentnym lekarzem medycyny, a nawet absolwenci z drugiej połówki listy znali się na swoim fachu. Oszczędziła odłączenia systemom medycznym. Teraz przywołała strukturę architektoniczną i przeprowadziła skan modułów.

Umieszczono w nich czarne skrzynki. Jedna z nich, zgodnie z ikoną, posiadała nawet bezpośredni interfejs użytkownika. Otworzyła go.

Madonna zawisła przed nią w milczeniu. Odśloniła zęby – swego rodzaju uśmiech, pełen nienawiści i triumfu. Jakaś odległa, mało znacząca część umysłu Taki Ouellette zaczęła rozważać, jaką przewagę aplikacja chciała zyskać, przyjmując taką formę wizualną. Czy groźny wygląd w prawdziwym świecie wpływał w jakiś sposób na sprawność w przestrzeni wirtualnej?

Znacznie większa część umysłu Taki zajęta była czymś zupełnie innym, czymś, czego wcześniej nie zauważyła – ten awatar miał na oczach nakładki.

*Wszystkie* je miały. Każda Lenie, którą kiedykolwiek widziała – ich twarze zmieniały się z jednego demona w innego i różniły się ustami, policzkami, nosami, rasą. Ale wszystkie łączyły oczy, równie białe i pozbawione wyrazu jak śnieżne zasy.

*Jestem Taka Ouellette*, powiedziała całe wieki temu.

A ta dziwna, tajemnicza kobieta – która wydawała się brać całą tę apokalipsę tak *osobiście* – odparła *Le... Laurie*.

– Taka.

Taka zaczęła, ale nie... Lenie nie miała ochoty z nią rozmawiać. A przynajmniej *ta* Lenie.

Zdjęła zestaw z głowy. Kobieta w czerni, z maszyną w piersi i oczami przypominającymi małe lodowce, utkwiała w niej swoje spojrzenie. W ogóle nie przypominała istot z sieci. Żadnego wyrazu gniewu, nienawiści, triumfu. Jakimś cudem ta pozbawiona wyrazu twarz z krwi i kości bardziej przypominała sztuczny wytwór.

– To była jedna z... To była *Le... Madonna* – powiedziała Taka. – Wewnątrz systemów medycznych. Nie wiem, jak długo już tam siedzi.

– Musimy ruszać – powiedziała *Laurie*.

– Ukryła się. Podejrzewam, że nas szpiegowała. – Taka pokręciła głową. – Nie wiedziałam nawet, że potrafią być tak cicho, zawsze sądziłam, że one jedynie... automatycznie niszczą wszystko, gdy tylko nadarzy się okazja...

– Wysłała sygnał. Musimy stąd zniknąć zanim przylecą podnośniki.

– Racja. Racja. – *Skup się, Tak. Później będziesz się o to martwić.*

Ken wyrósł u boku *Laurie*.

– Mówiłaś, że masz tego pięć litrów z hodowli? Weźmiemy część ze sobą. Resztę rozdaj. Pojedź do miasta, odpal syrenę, daj przynajmniej kilka mililitrów każdemu, kto się kwalifikuje i *wyноś się* stamtąd. Dogonimy cię później, jeśli to możliwe. Masz listę?

Taka pokiwała głową.

– W okolicy jest tylko sześciu zmotoryzowanych miejscowych. Siedmiu, jeśli Ricketts wciąż się tu



kręci.

– Nikomu innemu tego nie dawaj – powiedział Ken. – Piesza osoba najprawdopodobniej nie będzie w stanie wydostać się ze strefy ognia na czas. Sugerowałbym też nie mówić o podnośnikach nikomu, kto nie musi o nich wiedzieć.

Kobieta pokręciła głową.

– *Wszyscy powinni wiedzieć*, Ken.

– Ludzie bez środków transportu mogą chcieć ukraść je tym, którzy je posiadają. Współczuję, ale wywoływanie paniki mogłoby bardzo narazić...

– Zapomnij. Wszyscy zasługują przynajmniej na ostrzeżenie. Jeśli nie będą w stanie uciec przed miotaczami ognia, istnieją miejsca, gdzie mogą się przed nimi schronić.

Ken westchnął.

– W porządku. Ale pamiętaj o ryzyku, które podejmujesz. Uratowanie życia garstce ludzi może przynieść zgubę znacznie większej liczbie osób w przyszłości.

Taka uśmiechnęła się nie całkiem do siebie.

– Czy to przypadkiem nie ty twierdziłeś, że ludzie wcale nie zasługują na ratowanie?

– Nie o to chodzi – wtrąciła *Laurie*. – On po prostu lubi ideę umierających ludzi.

Taka zamrugała kilka razy, zaskoczona. Wpatrywały się w nią teraz dwie twarze. Z żadnej nie potrafiła nic wyczytać.

– Musimy się spieszyć – powiedział Ken. – Jeśli wyruszają z Montrealu, mamy co najwyżej godzinę.

Pokładowe laboratorium mogło rozpylać produkt z przodu lub z tyłu pojazdu. Taka przeszła na tył MK i wklepała instrukcje.

– Lenie?

– Ta... – zaczęła *Laurie*, ale nagle zamilkła.

– Nie – westchnęła Taka. – Chodziło mi o to, *co* z tą Lenie?

Druga kobieta nie powiedziała nic. Jej twarz przypominała maskę.

Ken przerwał ciszę.

– Jesteś pewna, że nie może się wydostać?

– Fizycznie odcięłam zasilanie nawigacji, komunikatora i GPS – odparła Taka, nie odrywając wzroku od kobiety przed sobą. – W zasadzie zafundowałam staruszce lobotomię.

– Może wpłynąć na proces hodowli?

– Nie sądzę. A przynajmniej nie bez zdradzania się z tym.

– Nie jesteś pewna.

– Ken, w obecnej chwili nie jestem pewna *niczego*. – *Choć zaczynam mieć pewność w jednej lub dwóch kwestiach...*

– Gdzie się zdomowiła? W referencyjnym i analitycznym?

Taka pokiwała głową.

– Jedyne dwa systemy z odpowiednią ilością przestrzeni.

– Co się stanie, jeśli je wyłączysz?

– Laboratorium posiada własny obwód. Hodowli nic nie powinno się przydarzyć, o ile nie będziemy zmuszeni do przeprowadzania bardziej szczegółowej analizy.

– Wyciągnij wtyczkę – skwitował Ken.

Zgrzana z jednej strony plastikowa torba w połowie wypełniona płynem w kolorze słomkowym wysunęła się z podajnika i zawisała na górnej krawędzi. Taka oderwała ją i przekazała dalej.

– Dysk dyfuzyjny musi pozostać odkryty albo wszystkie kultury się uduszą. Poza tym powinny być

ok przez jakiś tydzień, w zależności od temperatury. Czy wasza łódź posiada jakieś laboratorium?

– Podstawową kabinę medyczną – odparła Lenie. – Nic w tym rodzaju.

– Będziemy improwizować – dodał Lubin. – Czy dyfuzor poradzi sobie z morską wodą?

– Góra dziewięćdziesiąt minut.

– Ok. Jedź.

Ken obrócił się i ruszył w kierunku plaży.

Taka uniosła głos:

– A co jeśli...

– Znajdziemy cię po wszystkim – odpowiedział głośno mężczyzna, nie obracając głowy.

– Czyli to by było na tyle – mruknęła Taka.

Stojąca obok Lenie posłała jej uśmiech. Zupełnie do niej nie pasował.

– Jak mnie znajdziecie? – spytała jej Taka. – Nie mam zamiaru podłączać się do sieci.

– Tak. Cóż. – Druga kobieta zrobiła krok w kierunku wody. Po jej partnerze zostało już tylko kilka zmarszczek na jej powierzchni. – Ken zna parę sztuczek. Znajdzie cię.

Białe oczy wprawione w twarz z krwi i kości. Białe oczy, spoglądające kpiąco z wnętrza obwodów rdzenia Miki.

Białe oczy niosące ogień i powódź, i szereg innych katastrof, niewinnym ludziom na terenie całej Ameryki Północnej. Może nawet na całym świecie.

Obie pary oczu noszą imię *Lenie*.

– Ty... – zaczęła Taka.

Lenie – słowo, które stało się ciałem – pokręciła głową.

– Naprawdę. Musimy ruszać.

## BEZNAMIĘTNOŚĆ

Achilles Desjardins był w trakcie tworzenia egzorcystów, gdy dowiedział się, że jest jednym z podejrzanych.

Sztuka polegała na zachowaniu równowagi. Jeśli pozbawić te małe bękarty zdolności mutacji, nie będą w stanie się adaptować. Nawet szczątkowe dzikie organizmy, trzymające się tego żalosnego zakątka sieci, byłyby w stanie przeżyć je i wypluć bez większych problemów. Jeśli uwolnić geny i sprowokować mutacje przy zbyt wielu przypadkowych zmiennych, skąd można było mieć pewność, że twoja aplikacja wciąż będzie działać za kilka pokoleń na podstawie tych samych priorytetów? Naturalna selekcja zatarłaby dowolne wcześniej zaprogramowane imperatywy w chwili, gdy weszłyby one w konflikt z działaniami we własnym interesie.

Czasami, gdy równowaga została zaburzona, twój agent zapominał o swojej misji i dołączał do przeciwnika. A druga strona nie potrzebowała już więcej pomocy. Madonny – czy też rozpruwacze, czy też złote rybki, czy też dowolne inne mityczne przydomki, które zyskały sobie przez lata – przetrwały w tym zgorzeliwym bagnie o wiele dłużej niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. A nie powinny. Wszystkie koewoluowały, by stać się zaledwie interfejsami pomiędzy prawdziwym światem a tym wirtualnym, tubami dla skupiska supergatunków, które same działały jak jeden organizm. Zgodnie z wszelkimi zasadami powinny były zginąć podczas awarii, która zniszczyła resztę tego kolektywu, która w zasadzie pochłonęła ponad dziewięćdziesiąt procent całej zwierzyny z Wiru – bo ile twarzy jest w stanie przetrwać samoistnie, kiedy ciało obumarło i zgniło?

Ale wbrew prawom logiki przetrwały. Zmieniły się – *zostały* zmienione – w coś innego, bardziej samowystarczalnego. Coś czystsze. Coś, czemu z trudem mogli sprostać nawet egzorcyci

Desjardinsa.

Mówiono, że zrobiono z nich broń. A podejrzanych nie brakowało. MM-y, terroryści z zamiłowania, hakerzy powiązani z kultami śmierci – wszyscy oni mogli wypuszczać je do systemu szybciej niż radziła sobie z nimi selekcja naturalna, a istniały pewne ograniczenia w kwestii tego, co ktoś był w stanie zrobić bez solidnej fizycznej infrastruktury. Najlepsi żołnierze na świecie nie przetrwaliby nawet minuty, jeśli by ich posadzić na ruchomych piaskach, a ruchome piaski to wszystko, co N'Am oferowało ludziom ostatnimi czasy – kilkaset odizolowanych twierdz, z trudem utrzymujących się na powierzchni, których mieszkańcy byli zbyt przerażeni, by ruszyć w świat i naprawiać światłowody. Podupadające elektroniczne habitaty były niewiele bardziej przyjazne dla zwierzyny, co niż dla ludzkich aplikacji, ale te pierwsze, przetwarzając z szybkością stu genów na sekundę, wciąż posiadały przewagę adaptacyjną.

Na szczęście Desjardins miał dryg do egzorcyzmów. Istniały ku temu powody i nie o wszystkim powszechnie wiadomo, ale trudno było dyskutować z rezultatami. Nawet te nieudolne i zadufane w sobie dupki, chowające się po drugiej stronie globu, potrafiły mu to przyznać. A przynajmniej wszyscy dopingowali go, bezpiecznie skryci za swoimi barykadami, za każdym razem, gdy wypuszczał nową partię środków zaradczych.

Jak się jednak okazało, mówili też inne rzeczy.

Nie został wtajemniczony w większość z nich – nie powinien być wtajemniczony w *którekolwiek* – ale był dostatecznie dobry, by dotrzeć do ich sedna. Posiadał własne ogary na tropie, szperające satelity komunikacyjne, obwąchujące przypadkowe pakiety danych, wyczulone na cyfrowe origami, które mogło – po odszyfrowaniu, rozwinięciu i obejrzeniu w pełnej okazałości – zawierać słowo *Desjardins*.

Najwyraźniej ludzie zaczęli twierdzić, że nie jest już tak dobry jak kiedyś.

Mógł z tym żyć. Nikt nie nabija perfekcyjnego wyniku, gdy całą planetą targają przedśmiertne drgawki, a nawet jeśli zaliczył kilka wtop więcej niż zwykle – cóż, jego wskaźniki nieudanych operacji wciąż były o wiele niższe niż średnia zespołu. Radził sobie o wiele lepiej od tych palantów, którzy gadali, narzekali, nawet jeśli tylko po cichu, podczas wszystkich tych telekonferencji, odpraw i analiz, przeszkadzających w prowadzeniu wojny. Oni też o tym wiedzieli. Noga musiałaby powinąć mu się o wiele bardziej, żeby ktokolwiek z Patrolu w ogóle rozważał działanie przeciwko niemu.

Mimo wszystko. Wyczuwał, że za jego plecami wiatr zaczyna zmieniać kierunek. Fragmenty zakodowanych rozmów pomiędzy weteranami w Helsinkach, żółtodziobami w Melbourne i ogarami średniego szczebla zarządzania z Nowego Delhi. Niezadowolone sugestie Weimera, samego Króla Sima, który twierdził, że *muszą* istnieć jakieś nierozpoznane zmienne, które sięją spustoszenie w jego przewidywaniach. I...

I w tej właśnie sekundzie, beczelny fragment punktu-kontrapunktu pochwycony w eterze przez jednego ze sług Desjardinsa. Miał długość zaledwie kilku sekund – dzięki brudnemu spektrum i dynamicznej zmienności kanałów, która z nim współgrała, jego schwytanie było niemal niemożliwe bez konkretnej wiedzy, które z losowych kluczy należy zastosować – ale wyglądało na to, że posiadał jakiś związek z prawołamaczami z Londynu i McMurdo. Trzeba było czterdziestu sekund i sześciu osadzonych filtrów Bayesa, aby zmienić sygnał z powrotem w angielski.

– Desjardins uratował nas przed Rio – wyraził swoją opinię pan McMurdo z hinduskim akcentem zaledwie kilka chwil wcześniej. – Zapewne ponieśliśmyby dziesięciokrotnie większe straty, gdyby nie zadziałał w odpowiedniej chwili. To jak ci ludzie pozbyli się Moralniaka...

Pani Londyn:

– Skąd wiesz, że tak właśnie było? – Irlandzki zaśpiew. Ponętny głos.

– Niech no pomyślę. Przypuścili nieuzasadniony atak na cały szereg...

– Skąd możemy wiedzieć, czy był on nieuzasadniony?

– Oczywiście, że był.

– Dlaczego? Skąd wiesz, że nie dostrzegli jakiegoś zagrożenia dla większego dobra i nie postanowili go zażegnać?

Cenne chwile krótkiego fragmentu, zmarnowane na zdumioną ciszę. W końcu:

– Sugerujesz, że...

– Mówię jedynie, że historię piszą zwycięzcy. Rio to już historia. Skąd możemy wiedzieć, że wygrali ci dobrzy?

Koniec przechwyconej wiadomości. Jeśli McMurdo miał jakąś odpowiedź, to nie zdążył jej przesłać przed nagłą zmianą częstotliwości.

*Wow, przemknęło Desjardinsowi przez myśl.*

Oczywiście, to wszystko były brednie. Sama idea, że dwadzieścia jeden niezależnych od siebie francyz KRASZ-u jednocześnie zbuntowało się, była równie prawdopodobna, co myśl, że uczyniło to samo Rio. Pani Londyn była prawołamaczem, a nie idiotką. Wiedziała o beznamietności. Po prostu mydliła oczy, szarpiąc za łańcuch biednego, starego McMurdo.

Mimo wszystko zastanowiło to Desjardinsa. Przywykł do bycia Człowiekiem, Który Powstrzymał Rio. Dzięki temu zawsze znajdował się poza kręgiem podejrzanych. I niezbyt pasowało mu, że gdzieś tam byli ludzie, którzy choć przez chwilę wątpili w jego cnotę.

*To mogło wywoływać wątpliwości, pomyślał. Ktoś mógłby zacząć patrzeć mu na ręce.*

Komputer wydał z siebie nowy dźwięk. Desjardins przez chwilę myślał, że udało mu się pokonać przeciwności i ponownie uzyskał sygnał – ale nie. Nowe ostrzeżenie pochodziło z zupełnie innego źródła – z zapadłej dziury gdzieś w Maine.

*Dziwne, przemknęło mu przez myśl.*

Jakaś Lenie wdarła się do bazy danych medycznych i wypluwała z siebie losowe informacje na połowie spektrum EM. Ostatnimi czasy robiły to coraz częściej – część z nich, niezadowolona ze zwykłego siania zamętu, zaczęła krzyczeć w eter, na oślep wrzucając dane do każdej sieci, do której uzyskały dostęp. Jakiś podprogram reprodukcyjny, który zmutował, aby rozsiewać dane zamiast plików wykonywalnych. W najlepszym wypadku wprowadzało to szum do systemu, który i tak z każdą godziną tracił coraz więcej przepustowości. W najgorszym, potrafiły wyciągnąć na światło dzienne różnego rodzaju tajemnice i tajne dane.

Tak czy inaczej, dla prawdziwego świata oznaczało to kłopoty. To wystarczało im, by kontynuować swoje działania.

Ten konkretny demon załadował cały pierdylion biomedycznych bzdetów ze splądrowanej bazy danych. Komputer Desjardinsa oznaczył je jako *potencjalnie istotne epidemiologicznie*. Mężczyzna uchylił wieko i zajrzał do środka.

I natychmiast zapomniał o błahych, gównie wartych plotach z Londynu.

W środku znalazł dwie pozycje, obie pełne niebezpiecznych patogenów. Desjardins nie był patologiem, ale wcale nie musiał nim być – rozstawieni wokół niego przyjaciele i doradcy przedstawiali mu wszystkie te biochemiczne detale w postaci podsumowania, które nawet on rozumiał. Teraz zaserwowali mu parę genotypów oznaczonych czerwonymi flagami. Jeden z nich był *prawie* behemotem, tylko lepszym – posiadał większą odporność na stres osmotyczny i ostrzejsze zęby do rozłupywania molekuł. Do tego wyższą wirulencję. Obie wersje posiadały przynajmniej jedną wspólną cechę. Podobnie jak oryginalny behemot, nowy szczep został zoptymalizowany do życia na dnie morza.

Nie istniał w żadnej standardowej bazie danych. Rodziło to pytanie, co jego specyfikacja techniczna robiła na pokładzie zwykłego ambulansu z Bangor.

To wystarczyłoby, żeby przykuć jego uwagę, nawet gdyby mikrob pojawił się bez towarzystwa. Ale przyprowadził też swoją randkę, która okazała się *prawdziwą* bombą. Właśnie tej dziwki zawsze bał się najbardziej. Stanowiła ostatnią rzecz, której by się spodziewał.

Bo zawsze wiedział, że Seppuku w końcu znajdzie jakiś punkt zaczepienia.

Nie spodziewał się jednak, że ktokolwiek po jego stronie zacznie *hodować* to cholerstwo.

## KLATKA

Taka przeklęła swoją krótkowzroczność. Rozgłaszali wieści. Wszystkim, którzy do nich przybyli opowiadali o swoim planie uratowania świata – o konieczności zbierania próbek, niebezpieczeństwie pozostawania w tym samym miejscu, o miejscach, które zamierza patrolować, by pozyskać niezbędny ładunek. Szczególną uwagę zwrócili na wszystkich, którzy przyjechali samochodami, motocyklami, a nawet na zwykłych, starych rowerolotniach. Wzięli adresy od tych, którzy wciąż je posiadali, a reszcie powiedzieli, aby regularnie ich odwiedzali. Gdyby wszystko poszło dobrze, mogli uratować świat.

I wszystko *szło* dobrze, po czym kompletnie się popsuło, w bardzo krótkim czasie. Posiadali środek zaradczy, a przynajmniej jego odrobinę, ale nie ustalili z kurierami żadnego sygnału wywoławczego. Z drugiej strony, po co mieliby to robić? Całe popołudnie mogli jeździć po hrabstwie. Mogli też zatrzymać się i poczekać aż ci, którzy nie posiadali ustalonych adresów, zgłosiliby się do nich jutro albo pojutrze.

Teraz jednak Taka Ouellette miała w rękach szansę na zbawienie świata i mniej niż sześćdziesiąt minut na wywiezienie jej w bezpieczne miejsce. Czas uciekał.

Syrena alarmowa wyla nieustannie, gdy zmierzała z jednego krańca Freeport na drugi, drażniące odstępstwo od muzyki, którą zwyczajowo oznajmiała o swojej obecności. Przy odrobinie szczęścia, zwabi zarówno zdrowych, jak i chorych.

Pojawili się jedni i drudzy. Wszystkim poradziła, by poszukali schronienia. Matce ze złamaną ręką i synowi w początkowym stadium choroby obiecała, że wróci i pomoże im, gdy tylko przygasną płomienie. Pozostałym, w miarę jak zaczęli uciekać, kazała przysłać do siebie Szóstkę lub kogokolwiek innego, jeżdżącego chociażby na dwóch kółkach.

Po trzydziestu minutach pojawiła się jedna osoba. Po czterdziestu, dwie następne. Wszystkich obdarowała cennymi kilkoma mililitrami bursztynowej cieczy i wyprawiała w drogę. Błagała, by przysłali pozostałych, jeśli tylko wiedzą, gdzie ich szukać. Jeśli uda im się znaleźć ich przed czasem.

Czterdzieści pięć minut i nikogo więcej poza garstką obdartych, głodnych i słabych. Przegoniła ich opowieściami o ziejącym ogniem smokach i wysłała ich na nabrzeże rybackie, które kiedyś stanowiło miejscowy spichrz. Teraz, przy odrobinie szczęścia, mogło im przynajmniej posłużyć jako miejsce, z którego będą mogli wskoczyć do oceanu. Czy to możliwe, by płomienie objęły cały Atlantyk?

Pięćdziesiąt minut.

*Nie mogą czekać.*

Wiedziała jednak, że byli też inni. Ludzie, których dziś nie widziała. Ludzie, których nie ostrzegła.

*I dzisiaj się nie pojawią, Tak. Jeśli chcesz ich ostrzec, równie dobrze możesz zacząć chodzić od drzwi do drzwi. Przeszukać każdy dom i chałupę na obszarze dwudziestu klików. Masz dziesięć*

*minut.*

Ken twierdził, że mogą *liczyć* na sześćdziesiąt minut. To minimalna granica, prawda? Możliwe, że zajmie to dłużej, o *wiele* dłużej.

Domyślała się, co powiedziałyby Dave. Wciąż miała jeszcze dwa litry hodowli. Dave powiedziałby jej, że może zrobić ogromną różnicę, jeśli tylko nie będzie tu siedzieć i czekać na rozpalenie pieca.

Może nawet do tego wszystkiego nie dojść. Na jakiej podstawie w ogóle wysuwali te przypuszczenia? Na podstawie kilku pożarów, które wybuchły wkrótce po zestrzeleniu pocisków? A co z sytuacjami, gdy pociski spadły i nic się nie stało? *Musiały* być takie sytuacje, gdy do niczego nie doszło. A co z tymi razami, gdy wybuchł pożar, przyszła powódź albo doszło do wybuchu, bez żadnej wyraźnej przyczyny? Współzależność nie jest równa przyczynowości... a to nie była nawet silna *współzależność*...

*Wystarczyło, ale przekonała Kena.*

Tyle tylko, że ona nic nie wiedziała o Kenie. Nie знаła jego nazwiska, ani nazwiska Laur... Lenie. Nie miałyby nic poza ich zapewnieniami, że są ludźmi, za których się podają, gdyby chociaż zdecydowali się na *tyle*. Teraz nawet ich imiona wydawały się podejrzane. Wszystko wskazywało na to, że *Laurie* wcale nie była *Laurie*.

Taka miała jedynie ich słowo w sprawach, które omawiali i własne przypuszczenia we wszystkich pozostałych, natomiast niepokojące podobieństwa między tą amfibiotyczną kobietą, a demonami z sieci...

Pięćdziesiąt pięć minut.

*Ruszaj. Zrobiłaś już wszystko co mogłaś. Ruszaj.*

Uruchomiła silnik.

Postanowiła nie spoglądać za siebie. Jechała po niszczącym asfalcie tak szybko jak tylko mogła bez ryzyka przewrócenia pojazdu na wybojach. Jej strach narastał współmiernie do prędkości – zupełnie, jakby rozproszone i porośnięte ruiny Freeport oraz jego żałośni, zagłodzeni mieszkańcy w jakiś sposób sparaliżowali jej instynkt samozachowawczy. Teraz, zostawiając wszystko w tyle, czuła jak serce podchodzi jej do gardła. Wyobraziła sobie trzaskające płomienie pędzące za nią wzdłuż drogi. Walczyła z drogą. Walczyła z paniką.

*Jedziesz na południe, idiotko! Byliśmy na południu, gdy sygnał znikł, tam właśnie zaczną...*

Z piskiem opon skręciła w Sherbourne. Miki pokonała zakręt na dwóch kołach. Na ulicę przed nią padł wielki cień, a niebo raptownie pociemniało. Wyobraźnia podsunęła jej obrazy wielkich okrętów powietrznych, plujących ogniem – jednak jej oczy (kiedy tylko ośmieliła się odwrócić wzrok od trasy) dostrzegły jedynie drzewa, brązowo-zielone mazaje znaczące świat po obu stronach, pochylone, blokujące promienie popołudniowego słońca.

*Ale nie, przecież zachodzące słońce mam dokładnie przed sobą.*

Przypominało ogromną, żółtopomarańczową plamę, nieco przygaszoną ze względu na kąt padania światła w atmosferze. Jego środek znajdował się pod jasnym łukiem znaczącym koniec tunelu z drzew. Zachodziło nad drogą dokładnie na wprost.

*Jakim cudem może być już tak późno? Nie może być tak późno, jest dopiero popo...*

Zachodzące słońce.

Zachodzące słońce podpałało drzewa.

Wdusiła hamulce. Pas bezpieczeństwa wpił się w jej klatkę, przyciągnął ją z powrotem do siedzenia. Nad światem zapanowała złowroga cisza – ucichło stukanie drobnych kamieni o podwozie, szczękanie przyrządów zawieszonych na hakach, głuche uderzenia o ściany Miki.

Pozostał jedynie odległy, niemożliwy do pomylenia trzask płomieni z przodu.

Granica kontaminacyjna. Zaczęli od najdalszego punktu i będą przesuwać się w głąb.

Wrzuciła wsteczny bieg i pociągnęła za drążek kierowniczy. Pojazdem szarpnęło w tył i w bok, po czym osunął się do rowu. Znów do przodu. W kierunku, z którego przybyła. Opony obróciły się na miękkim, grząskim nasypie.

Świszczący odgłos, gdzieś z góry, niczym wybuchowy oddech olbrzymiego wieloryba, który słyszała w archiwach jako dziecko. Warstwa płomieni zalała drogę, odcinając jej drogę ucieczki. Żar bił przez przednią szybę.

*O Jezuu. O Boże.*

Otworzyła drzwi. Rozgrzane powietrze uderzyło ją w twarz. Pas bezpieczeństwa trzymał ją w miejscu. Spanikowanym palcom stanowczo zbyt długo zajęło jej uwolnienie, po czym spadła na ziemię, koziółkując. Podźwignęła się na nogi, opierając o bok Miki. Plastik sparzył jej dłoń.

Ściana ognia wiła się w odległości zaledwie dziesięciu metrów od niej. Kolejna – ta, którą pomyliła z zachodzącym słońcem – była nieco dalej, może jakieś sześćdziesiąt metrów po drugiej stronie MK. Schroniła się po chłodniejszej stronie pojazdu. Lepiej. Ale to nie wystarczyło.

*Hodowla.*

Mechaniczny jęk, przeszywający dźwięk skręcane metalu. Spojrzała w górę – dokładnie nad jej głową, pośród mozaiki liści i gałęzi, które jeszcze nie stały w płomieniach, dostrzegła spękaną sylwetkę wielkiego, spuchniętego dysku sunącego po niebie.

*Hodowla!*

Droga była zablokowana z przodu i z tyłu. Miki nie była w stanie przedrzeć się przez obumierający las po żadnej ze stron, ale Taka mogła spróbować ucieczki. Każdy instynkt, każdy nerw podpowiadał jej, żeby uciekać.

*Hodowla! RUSZ SIĘ!*

Szarpnęła drzwi od strony pasażera i wdrapała się do środka ponad siedzeniem. Ikony migające na tylnej ścianie szoferki wydawały się z rozmysłem reagować powoli na jej polecenia. Na desce rozdzielczej pojawił się mały histogram. Unosił się z szybkością przyptywu.

*Szuuuuu.*

Las po drugiej stronie drogi buchnął płomieniami.

Z trzech stron otaczał ją ogień, pozostała jedna droga, tylko jedna. *O Jezuu.*

Histogram zamigał i znikł. Z panelu wyskoczyła torebka próbnika, nabrzmiała wyhodowanymi kulturami drobnoustrojów. Taka chwyciła ją i zaczęła biec.

*Szuuuuu.*

Płomień przed nią, spływający z niebios niczym płynna zasłona.

Płomienie ze wszystkich stron.

Taka Ouellette patrzyła w ogień przez nieskończony, nic nie znaczący okres kilku sekund. W końcu opadła na ziemię z westchnieniem. Jej kolana zostawiły wgłębienia na mięknącym asfalcie. Żar bijący od drogi parzył jej skórę. Jej ciało pozostawało obojętne. Nieco zaskoczona zauważyła, że jej twarz i dłonie były zupełnie suche. Gorące powietrze wypalało pot z porów jeszcze zanim ten miał okazję do zwilżenia skóry. Był to ciekawy fenomen. Zaczęła zastanawiać się, czy ktoś kiedykolwiek opisał ten problem.

Nie miało to jednak znaczenia.

Nic nie miało znaczenia.

## ZDRAJCA

– To dziwne – powiedziała Lenie Clarke.

Peryskop odpłynął spory kawałek od brzegu, by mieć lepszy północno-zachodni widok ponad drzewami. Przekazywany przez niego obraz okazał się zaskakująco idylliczny. Zbyt daleko, by stąd zobaczyć Freeport – budynki mieszkalne i komercyjne Freeport były zbyt rozrzucone, by przypominać ciasne skupiska drapaczy chmur, nawet w dawnych czasach – ale powinni byli zobaczyć przynajmniej jakieś podnośniki. Do tej pory powinni byli zauważyć płomień lub dym.

– Minęły już trzy godziny – powiedziała Clarke, wodząc spojrzeniem po kokpicie. – Może jednak odłączyłeś sygnał. – *A może, zadumała się, zupełnie nie mamy racji.*

Lubin przeciągnął palcem kilka milimetrów po panelu. Widok z soczewki peryskopu przesunął się w lewo.

– Może się jej udało – zauważyła kobieta. Strasznie nudne i pozbawione życia słowa jak na to, że oznaczały *Może ocaliła świat.*

*Może ocaliła mnie.*

– Nie sądzę – odparł Lubin.

Słup dymu wystrzelił w górę zza grzbietu jednego z pagórków, barwiąc niebo na brązowo.

Kobieta poczuła ucisk w krtani.

– Skąd to pochodzi? – spytała.

– Prosto z zachodu – odpowiedział mężczyzna.

Wylądowali po południowej stronie zatoki, u podnóża wzniesienia pokrytego gładkimi kamieniami i sękatymi pniakami porośniętymi śliską powłoką behemota. Podążyli za słońcem wzdłuż drogi gruntowej, która w całym swoim życiu nie widziała znaku drogowego. Słup dymu wiódł ich niczym gwiazda przewodnia w okresie połowicznego zaniku, rzednąc coraz bardziej w miarę jak śledzili go z poziomu utwardzonych i zwirowych ścieżek, a następnie ponad zwietrzałym wierzchołkiem pagórka nazwanego Snake Hill (sądząc po nazwie drogi biegnącej u jego podnóżu), niemal cały czas w stronę zachodzącego słońca. Chwilę po zmierzchu Lubin zatrzymał się, ostrzegawczo unosząc dłoń.

Słup dymu, jeszcze niedawno plujący ciemnymi oparami, teraz wznosił się ku niebu zaledwie kilkoma nieregularnymi pasmami. Zobaczyli jednak jego źródło – z grubsza prostokątny fragment wypalonego lasu u podstawy wzniesienia. Czy też raczej z grubsza prostokątny *kontur*, którego wnętrze wydawało się nietknięte przez płomień.

Lubin wyciągnął lornetkę.

– Widzisz coś? – spytała Clarke.

Odpowiedziało jej *hmmmm*.

– Gadaj, Ken. Co tam się dzieje?

Mężczyzna bez słowa wręczył jej lornetkę.

Ogarnęło ją niepokojące uczucie, gdy urządzenie zaciskało się na jej skroniach. Nagle świat stał się *ogromny* i niezwykle ostry. Clarke poczuła chwilowy zawrót głowy. Zrobiła krok przed siebie, walcząc z niespodziewanym uczuciem utraty równowagi. Gałęzie i pokryte śnieżką liście wielkości stołów jadalnianych przemknęły obok jak rozmazane plamy. Oddaliła obraz, żeby zorientować się w swoim położeniu. Lepiej – zobaczyła wypaloną ziemię, zobaczyła niewielki skrawek na jej środku, zobaczyła...

– O cholera – mruknęła.

Miki stała bez ruchu na środku wolnej strefy. Wyglądała na całą.

Ouellette stała obok. Wyglądało na to, że rozmawia ze spizowym owalem o połowę mniejszym od niej, unoszącym się dobry metr nad jej głową. Powłoka pozbawiona jakichkolwiek cech



szczególnych, podbrzusze najeżone sensorami i antenami.

Muchobot. Nie tak dawno temu zdalnie nadzorowane roboty, takie jak ten, prześladowały Lenie Clarke po całym kontynencie.

– No to kłapa – skomentował Lubin.

Nim dotarli do MK, świat pod nakładkami rogówkowymi Clarke zdążył zbieleć. Ouellette siedziała na drodze oparta o van, z podciągniętymi nogami i ramionami luźno wspartymi na kolanach. Otepiałe spojrzenie wbiła w kawałek chodnika pomiędzy stopami. Uniosła głowę, słysząc ich nadejście. Muchobot wisiał nad jej głową niczym strażnik. Nawet jeśli zauważył ich przybycie, w żaden sposób tego nie okazał.

Wybielone światło nie wystarczyło, aby oddać bladość twarzy Ouellette. Jej rysy były wprost bezkrwiste. Na policzkach zostały smugi po łzach.

Kobieta spojrzała na Clarke i potrząsnęła głową.

– Czym *ty* jesteś? – spytała. Jej głos był równie pusty co jaskinia.

Lenie poczuła, że zasycha jej w gardle.

– Nie jesteś zwykłym uchodźcą. Nie jesteś jakimś ryfterem, który ukrywał się od pięciu lat. To... to *ty to zaczęłaś*, jakimś cudem. To to wszystko zaczęłaś...

Clarke spróbowała przełknąć ślinę, przenosząc spojrzenie na Lubina. Ale Lubin nie odwracał wzroku od muchobota.

Rozpostarła dłonie.

– Tak, ja...

– Te wszystkie potwory w maszynach, to wszystko... *ty*. – Ouellette wprost nie potrafiła uwierzyć temu, jak bardzo została zdradzona przez Clarke. – Wszystkie MM-y, fanatycy i kulty śmierci, wszyscy podążają za *twoim* przykładem...

*To nieprawda*, chciała krzyknąć Clarke. *Powstrzymałabym ich wszystkich w jednej sekundzie, gdybym mogła, ale nie mam pojęcia jak do tego wszystkiego doszło...*

To byłoby kłamstwo, rzecz jasna. Może i nie była formalną założycielką tych ruchów, ale rosły one jak grzyby po deszczu gdziekolwiek się pojawiła, co w żaden sposób nie zmieniało ich oddania temu, czym się stała. Stanowiły esencję gniewu i nienawiści, które pchały ją do działania, totalnego zobojętnienia na krzywdy wszystkich poza nią samą.

Oczywiście, nie robili tego dla niej. Kipiące miliony miały swoje powody do gniewu, wendety znacznie bardziej usprawiedliwionej niż kłamstwa, na których Lenie Clarke zbudowała swoją wojnę. Jednak wskazała im drogę. Dowiodła, że było to możliwe. A z każdą kroplą własnej krwi, którą przelała, każdym kolejnym punktem zapalnym *behemota*, dała im broń.

A teraz nie potrafiła wykrztusić z siebie słowa. Mogła jedynie kręcić głową i zmusić się do utrzymania kontaktu wzrokowego ze swoją oskarżycielką i niegdysiejszą przyjaciółką.

– A teraz naprawdę się postarali – ciągnęła Ouellette zmęczonym, pustym głosem. – Teraz oni...

Wzięła głęboki oddech.

– O Boże – dokończyła. – Wszystko spierdoliłam.

Niczym marionetka podźwignęła się na nogi. Muchobot ani drgnął.

– To nie był środek zaradczy – wyjaśniła.

Tym razem Lubin rzucił jej ukradkowe spojrzenie.

– Co masz na myśli?

– Najwyraźniej nie umieramy dostatecznie szybko. Wiedźma wygrywała, ale udało się nam ją spowolnić. Traciliśmy cztery osoby na każdą, którą zdołaliśmy uratować, ale przynajmniej

ratowaliśmy część. Ale MM-y nie trafią do raju póki wszyscy nie zdechniemy, więc wymyślili coś lepszego...

– *Doprawdy?* – spytał Lubin, odwracając się z powrotem do zdalnego robota.

– Na mnie nie patrz – powiedziała cicho maszyna. – Ja jestem jednym z dobrych gości.

Clarke natychmiast rozpoznała ten głos.

Lubin także.

– Desjardins.

– Ken, stary druhu. – Muchobot przechylił się o kilka centymetrów na przywitanie. – Cieszę się, że o mnie pamiętasz.

*Wciąż żyjesz*, pomyślała Clarke. *Po Rio, po tym jak Sudbury przestało istnieć, po pięciu latach.*

*Wciąż żyjesz. Po tym wszystkim.*

*Mój przyjaciel...*

Ouellette patrzyła na tę scenę z niedowierzaniem na twarzy.

– *Wy znacie...*

– On... pomógł nam – wyjaśniła Clarke. – Dawno temu.

– Myśleliśmy, że nie żyjesz – powiedział Lubin.

– I nawzajem. Od czasu Rio wszystko trafił szlag, a za każdym razem, gdy próbowałem was pingować, nie było żadnej odpowiedzi. Pomyślałem, że załatwiła was jakaś niezadowolona frakcja, która nie spełniała waszych standardów. Ale proszę, oto jesteście.

*Mój przyjaciel*, pomyślała ponownie Clarke. Był nim nawet wtedy, gdy Ken Lubin próbował ją zabić. Ryzykował dla niej życie, zanim jeszcze ją poznał. Pod tym względem był najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miała, choć ich ścieżki skrzyżowały się na dość krótko.

Na wieść o jego śmierci ogarnął ją żal. Zgodnie z tą logiką teraz powinna była odczuwać niepohamowaną radość. Ale w głowie potrafiła odtwarzać tylko to jedno słowo, które zastępowało radość lękiem.

*Spartakus.*

– To jak – zaczęła ostrożnie – wciąż jesteś prawołamaczem?

– Walczącym z entropią dla większego dobra – wyrecytował muchobot.

– Czy to zakłada spalenie tysięcy hektarów przestrzeni do gołej ziemi? – spytał Lubin.

Muchobot opadł na wysokość oczu Lubina, stając z nim soczewka w soczewkę.

– Jeśli śmierć dziesięciu osób będzie oznaczać przetrwanie tysiąca, to tak Ken, i nikt nie wie tego lepiej od ciebie. Może nie dosłyszałeś, co nasza urocza przyjaciółka właśnie powiedziała, ale trwa wojna. Żli goście stale wrzucają Seppuku na moje podwórko, a ja robię wszystko, żeby nie zyskał tutaj przyczółku. Nie mam prawie nikogo do pomocy, a cała infrastruktura kompletnie się sypie, ale dawałem sobie radę, Ken, naprawdę. A potem, z tego co zrozumiałem, wasza dwójka pojawiła się w życiu biednej Taki i teraz przynajmniej trzy wektory prześliznęły się przez barykady.

Lubin spojrzał na Ouellette.

– Czy to prawda?

Kobieta pokiwała głową.

– Sama to sprawdziłam, gdy powiedział mi, czego szukać. To bardzo subtelne zmiany, ale... miałam je przed oczami. Białka opiekuńcze i alternatywny splicing, zakłócenia w RNA. Kilka drugo- i trzeciorzędnych efektów, które przeoczyłam. Wszystkie były pomieszane z genami poliploidalnymi, a ja zwyczajnie nie przyglądałam się im dostatecznie dokładnie. To coś dostaje się do wnętrza. Potem zabija behemota, to fakt, ale na tym nie poprzestaje i... Przeoczyłam to. Byłam tak pewna, że wiem, z czym mam do czynienia, że po prostu... skrewiłam. – Wbiła wzrok w ziemię, z dala

od oskarżycielskich spojrzeń. – *Znów* spierdoliłam sprawę – wyszeptała.

Lubin przez kilka sekund milczał. W końcu odezwał się do muchobota:

– Rozumiesz, że mamy powody do zachowania ostrożności.

– Nie ufacie mi. – Desjardins wydawał się niemal rozbawiony. – To nie ja mam kompulsywny fetysz mordercy, Ken. I nie tylko mnie udało się wyrwać spod opieki Moralniaka. Naprawdę wydaje ci się, że masz prawo pierwszy rzucić kamień?

Ouellette uniosła głowę, wyrwana ze stanu nienawiści do samej siebie.

– Niezależnie od waszych złych przeczuc – ciągnął prawołamacz – chyba nie możecie mieć mi za złe, że po części działałam we własnym interesie. Nie chcę Seppuku na moim podwórku równie mocno jak wy. Jestem na niego tak samo podatny jak reszta.

– Czyli jak bardzo? – myślał na głos Lubin. – Taka?

– Nie mam pojęcia – wyszeptała Ouellette. – Ja nic nie wiem...

– Zgaduj.

Kobieta zamknęła oczy.

– To zupełnie inny wirus niż *βehemot*, ale został zaprojektowany... *Myślę*, że został zaprojektowany dla tej samej niszy. Wszelkie modyfikacje przeciwko *βehemotowi* na nic się zdadzą, choć mogą kupić ci nieco czasu.

– Ile?

– Nie mam pojęcia. Ale wszyscy *pozostali*, no wiesz... Zgaduję, że każdy, kto nie został wyposażony w retrowirusy... symptomy po trzech lub czterech dniach, śmierć po czternastu.

– Śmiertelnie powoli – zauważył Lubin. – Każdy przyzwoity martwiczy paciorkowiec zabije cię w trzy godziny.

– Tak. Zanim będzie miał szansę się rozprzestrzenić – głos Ouellette brzmiał głucho. – Oni nie byli na tyle głupi.

– Hmm. A śmiertelność?

Lekarka pokręciła głową.

– *Zaprojektowano* go, Ken. Nie istnieje naturalna odporność.

Lubin zacisnął mięśnie szczęki.

– W rzeczywistości jest jeszcze gorzej – dodał Desjardins. – Nie jestem jedynym psem gończym na tym tropie. Jest jeszcze kilka w N'Am i całe mnóstwo za oceanem. Muszę wam powiedzieć, że moja strategia ograniczonego powstrzymywania ekspansji nie wszystkim leży. Są ludzie, którzy z miejsca zrzuciliby bombę jądrową na całe cholerne wybrzeże, żeby mieć pewność.

– Więc dlaczego nie rozwalą tych, którzy odpalają rakiety z Seppuku? – dociekał Lubin.

– Spróbuj namierzyć pół tuzina zatopionych platform pływających po Atlantyku z szybkością sześćdziesięciu węzłów. Szczerzę mówiąc, niektórzy myśleli, że to *wasza* sprawa.

– Ale nie.

– Nie ma to znaczenia. Ludzi aż świerzbi, żeby posłać tu atomówkę. Udało mi się ich powstrzymać tylko dlatego, że byłem w stanie zapobiec rozprzestrzenianiu się Seppuku bez odwoływania się do fizyki jądrowej. Ale teraz, panie i panowie, wręczyliście lobby nuklearnemu wszystkie argumenty na tacy. Na waszym miejscu zacząłbym budować schrony przeciwoatomowe. Jak najgłębsze.

– *Nie*. – Clarke potrząsnęła głową. – Było tylko, ile, sześć osób z kółkami?

– Tylko trzy się zjawiły – powiedziała Ouellette. – Ale teraz mogą być wszędzie. Nie zostawili mi swojego planu podróży. A na pewno zamierzają *rozprzestrzeniać* to coś. Będą zatruwać ujęcia wody i pola, i...

– Jeśli ich dogonimy, możemy cofnąć się po ich śladach – zauważył Lubin.

– Ale nie wiemy nawet, dokąd zmierzają! Jakim cudem mamy...

– Nie wiem, jak to zrobicie. – Muchobot zakotyła się nad ziemią, dla pokreślenia tych słów. –

Ale lepiej się do tego zabierajcie. Na razie siedzicie w tym bałaganie po same uszy, ludzie. A jeśli chcecie mieć chociażby szansę jedną na pięćdziesiąt, żeby uchronić to miejsce przed przetopieniem na radioaktywny piasek, lepiej pomóżcie je posprzątać.

Zapadła cisza. Uparte płomienie trzaskały i niemrawo pluły dymem gdzieś w oddali.

– *Pomożemy ci* – postanowił w końcu Lubin.

– Cóż, każde z was może mieć swój wkład, rzecz jasna – odparł Desjardins – ale twoje umiejętności w szczególności, Ken, mogą się teraz przydać.

Lubin wydał usta.

– Dzięki, ale spasuję. Na niewiele bym ci się przydał.

Clarke ugryzła się w język. *Najwyraźniej próbuje go jakoś podejść.*

Muchobot przez chwilę unosił się w powietrzu, jakby rozmyślał.

– Nie zapomniałem o twoim zestawie umiejętności, Ken. Miałem okazję poczuć go na własnej skórze.

– A ja nie zapomniałem o twoim. Mógłbyś zmobilizować całą hemisferę w niecałe trzydzieści sekund.

– Wiele się zmieniło odkąd przeszedłeś na emeryturę, przyjacielu. Gdybyś nie zauważył, z hemisfery niewiele zostało, nawet gdybym *wciąż* posiadał wszystkie swoje supermoce.

Ouellette wodziła wzrokiem pomiędzy mężczyzną i robotem, przysłuchując się tej wymianie zdań z mieszanką wściekłości i konsternacji. Ale ona również wydawała się mieć na tyle oleju w głowie, by trzymać usta zamknięte.

Lubin powiódł spojrzeniem po zwęglonej, ponurej okolicy.

– Wydajesz się mieć do dyspozycji odpowiednie zasoby. Nie potrzebujesz mnie.

– Nie słuchasz, Ken. *Wiele* się zmieniło. Jeden czy dwa podnośniki to nic, to jedynie szum tła. Ale jeśli zaczniesz mobilizować zbyt wielkie zasoby, zwrócisz na siebie uwagę nieodpowiednich ludzi. A nie wszyscy po tej stronie są *po tej stronie*, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

*On mówi o innych prawołamaczach*, zrozumiała Clarke. *Może to Spartakus kontra Moralniak. A może wszystkim już udało się urwać ze smyczy.*

– Wolisz się nie wychylać – domyślił się Lubin.

– Zawsze preferowałem subtelność. Nawet pomijając twoje ograniczone umiejętności socjalne, gdy przychodzi co do czego nawet *ty* jesteś bardziej subtelny niż flota plujących ogniem, morderczych sterowców.

*Ma na myśli wojnę. Prywatną wojnę psycholi, tylko na zaproszenie.* Clarke zastanawiało, ile istniało stron konfliktu. Czy w ogóle istniały *jakieś* strony? Jak można zawrzeć sojusz z kimś, o kim *wiesz*, że wbije ci nóż w plecy przy pierwszej dogodnej okazji? *Być może tutaj każdy socjopata dba wyłącznie o własną skórę*, pomyślała.

Z drugiej strony Lubin nie miał problemów z wyborem stron ostatnimi czasy.

– Mam inne zajęcia – skwitował Lubin.

– Naturalnie. Musieliście mieć jakiś cholernie dobry powód, żeby tu wrócić. To nie tak, że Grzbiet Śródatlantycki leży po sąsiedzku.

– Zapewne już niedługo, sądząc po ostatnim natężeniu ruchu.

– Ach. Mieliście gości?

– Jeszcze nie. Ale ktoś węszy bardzo blisko. To mało prawdopodobny zbieg okoliczności.

– Na mnie nie patrz, Ken. Gdybym to ja się wysypał, nie musieliby już nigdzie węszyć.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Naturalnie chcesz wiedzieć, kto wpadł na trop. Ken, czuję się dotknięty. Dlaczego nie przyszlście do mnie z tym w... Ach, tak. Myśleliście, że nie żyję. – Desjardins zamilkł, po czym dodał: – Macie szczęście, że pojawiłem się w takim momencie.

– Tym większe – rzekł Lubin – że akurat potrzebujesz mojej pomocy.

Muchobot zakotłosał się od nagłego podmuchu gorącego powietrza.

– W porządku. Ty pomożesz mi utrzymać N’Am jeszcze jakiś czas na powierzchni, a w zamian ja dowiem się, kto was ściga. Umowa stoi?

Lubin zamyślił się.

– Niech będzie – powiedział w końcu.

## KATASTROFA

Krucjata, pomyślała Lenie Clarke, mogła trwać bez niej.

To nie tak, że potrzebowała jej usług. Ratowanie żyć lub ich skracanie stanowiło obecnie jedyne dwie rzeczy warte zachodu, ona zaś nie była biegła w żadnej z tych czynności. Oczywiście nie było to *do końca* prawdą, zdała sobie sprawę, gdy tylko ta myśl przyszła jej do głowy. Gdy szło o liczbę zabitych, nie było na całej planecie drugiej osoby, która mogłaby dorównać jej wynikiem. Ale to były śmierci masowe i niecelowe, bezimienne ofiary, którym nie poświęciła nawet chwili uwagi. Teraz większe dobro wymagało czegoś znacznie precyzyjniejszego – osiągnięcia konkretnych osób, a nie całych populacji. Wyizolować jednostki, a następnie – jakiego słowa Rowan do tego użyła? – *wyłączyć z obiegu*.

Nie musiał to być eufemizm. Nie było potrzeby zabijać wektorów po ich odnalezieniu, nawet przy założeniu, że Seppuku nie dopadnie ich wcześniej. Koniec końców istniały zaledwie trzy i posiadały tylko niecały dzień przewagi nad nimi w miejscu, gdzie ludzie nie stanowili stałego elementu krajobrazu. Istniało spore prawdopodobieństwo, że znajdą ich zanim zainfekują innych, zanim niekorzyści skali doprowadzą do sytuacji, w której hurtowa eksterminacja będzie jedyną opłacalną opcją. Dziesięć tysięcy nosicieli należałoby spalić ze względu na brak obiektu, w którym można byłoby ich przetrzymywać, ale dziesięć osób można wziąć żywcem, odizolować i monitorować ich stan w nadziei na znalezienie lekarstwa. Nie istniała konieczność posuwania się do ostatecznych rozwiązań.

*To nie ja mam kompulsywny fetysz mordercy, Ken.*

Tak czy inaczej, nie miało to znaczenia. Wkrótce Lubin wyruszy na łowy, mając do dyspozycji wszelkie zasoby, które mógł dostarczyć Desjardins. Niezależnie od tego, czy zgodził się to zrobić ze względu na mordercze zapędy, czy tylko emocje związane z pościgiem, obecność Clarke tylko by go spowalniała. Taka Ouellette zniknęła, by zająć się pożyteczniejszymi rzeczami, została oddelegowana do obiektu KRASZ-u, gdzie – jak to ujął Desjardins – „twoje umiejętności zostaną znacznie lepiej wykorzystane”. Odjechała, nie obdarzając Lenie Clarke choćby spojrzeniem czy słowem pożegnania. Teraz prawdopodobnie siedziała na końcu trasy, rozpoczynającej się od Lubina i czekała na przyjęcie ludzi, których on wytropi. Nie było miejsca na tej krótkiej linii, w którym Lenie Clarke mogłaby być przydatna.

Nie umiała ratować i nie umiała zabijać. Jednak tutaj, wewnątrz spękanej skorupy Freeport mogła przynajmniej robić coś pośredniego. Mogła opóźniać. Mogła bronić bastionu. Mogła pomagać ludziom umierającym na raka i cierpiącym z powodu złamanych kości, by zamiast tego mógł dobrać się do nich behemot albo Seppuku.

Przed odjazdem Lubin wyświadczył jej ostatnią przysługę. Przebrnął przez wirtualny krajobraz kory mózgowej Miki, odnalazł bakcyła, który ich zdradził, a następnie go odizolował. Aplikacja była zbyt podstępna i zbyt głęboko zakopana, by mógł polegać na zwykłym jej usunięciu. Istniało zbyt wiele potencjalnych kryjówek, zbyt dużo sposobów na oszukanie protokołów wyszukujących. Jedynym sposobem na pozbycie się potwora było wyrzucenie go razem z całą pamięcią.

Lubin, pochylony nad deską rozdzielczą, czytał kolejne ustępy z arkanów diagnostycznych i rzucał kolejne komendy przez ramię. Za jego plecami Clarke – zakopana po łokcie z kryształach i obwodach – odwaliała za niego faktyczną robotę. Lubin powiedział jej, którą kartę wyciągnąć, więc tak zrobiła. Powiedział, którą tablicę zderzyć z powierzchni przy użyciu trójzębnego narzędzia z delikatnymi, cienkimi jak wasy palcami. Posłuchała go. Czekwała, gdy przeprowadzał testy i retesty reszty systemu, zmuszając poddane lobotomii urządzenie do ponownej uległości, w każdej chwili gotowa wyciągnąć wtyczkę, gdyby pozostałości po potworze jakimś sposobem się zachowały. Usatysfakcjonowany, że Miki jest w końcu czysta, Lubin kazał Clarke zablokować system i odpalić ponownie. Bez pytania zrobiła, co kazał.

Nigdy nie powiedział jej wprost, żeby zniszczyła zainfekowany komponent. To byłoby stanowczo zbyt proste.

Koniec końców, było częścią jej samej.

Nie wiedziała dokładnie, jak. Perwersyjną logikę, która stworzyła i spaczyła te elektroniczne demony należało zostawić hakerom i ewolucyjnym ekologom. Jednak od samego początku stanowiła szablon. To *ona* dała temu początek. To stanowiło odbicie, jakkolwiek perwersyjne, samej Lenie Clarke. I choć mogłoby wydawać się to irracjonalnie, nie potrafiła pozbyć się wrażenia, że potwór ten wciąż zawdzięczał coś osobie z krwi i kości, która stanowiła jego model. Ona również bardzo długo żyła gniewem i nienawiścią. Być może więc te odbicia wcale nie były aż tak zniekształcone.

Postanowiła to sprawdzić.

Nie była żadnym mistrzem programowania. Nie wiedziała nic na temat tworzenia ani okrajania oprogramowania. Wiedziała jednak, jak połączyć ze sobą prefabrykowane komponenty, a szafki i schowki na rękawiczki *Phocoeny* wprost pękały od tego w szwach po pięciu latach służby. Ta mała łódź podwodna przetransportowała tysiące instrumentów pomiarowych do Niemożliwego Jeziora, by później służyć przy wszystkich naprawach i przeglądach. Pokonała termokliny i komórki Langmuira, rozsiewając dryfkotwy i urządzenia nagrywające w kolumnie wody. Szpiegowała korpów, przenosiła zapasy i generalnie służyła jako koń pociągowy w stopniu znacznie wykraczającym poza założenia jej projektantów. Po pięciu latach na jej pokładzie nazbierało się dostatecznie dużo klocków, którymi Lenie Clarke mogła się bawić.

Na dnie szuflady znalazła płytę Cohena, do której podłączyła baterię oraz chip z pospolitym systemem operacyjnym. Siateczka cienkich jak wasy włókien rozbłysła na krótko pomiędzy nowymi komponentami, gdy procedury autowykrywania płyty obwęchały je i zaczęły wymieniać zwyczajowe uprzejmości. Nieco dłużej zajęło jej znalezienie interfejsu użytkownika. Nie mogła ryzykować połączenia bezprzewodowego. Ostatecznie wygrzebała stary światłowodowy zestaw wizualizacyjny ze zintegrowaną klawiaturą podczerwoną, po czym podłączyła ją do urządzenia. Kolejna migotliwa wymiana potwierdzeń.

Wsunęła zestaw na głowę. Pastelowa klawiatura lewitowała przed nią. Wyciągnęła dłonie. Podczerwone oczy zestawu obserwowały ruchy jej dłoni w pustej przestrzeni i przenosiły obraz prawdziwych palców na iluzoryczne klawisze. Wywołała mapę płyty Cohena, wzniosła mur wokół garstki pustych gniazd, wycięła pojedynczą bramę i zabezpieczyła wszystko dokładnie od zewnątrz.

Na wszelki wypadek wyznaczyła też przycisk alarmowy – unosił się teraz na skraju pola widzenia, niczym pomarańczowa iskra w przestrzeni wirtualnej. Nie musiała nawet wyciągać ręki, by go dotknąć. Samo skupienie na nim wzroku wystarczyło, aby kompletnie zamrozić system. Tego rodzaju zabezpieczenia miały jednak swoją cenę. Zestaw nie współgrał z fotokolagenem. Jej oczy musiały być nagie przez cały czas trwania spotkania.

Zdjęła zestaw wizualizacyjny i przyjrzała się własnemu dziełu w świecie rzeczywistym – dwóm maleńkim wielościanom foremny i światłowodowi wychodzącemu z zapadniętej siatki pustych gniazd. Rzadka, kwadratowa sieć szmaragdowych nici łączyła ze sobą wtyczki. Tuż obok połyskliwa, szkarłatna granica oddzielała prostokątny kawałek wolnej przestrzeni.

Całość była całkowicie niezależna i wyizolowana. Żadnych anten, żadnych interfejsów bezprzewodowych, nic, co mogłoby wysłać sygnał z tego urządzenia do innego. Żaden z podpiętych do płyty komponentów nie stanowił drogi ucieczki.

Clarke przyjrzała się zainfekowanemu i wyciętemu płatowi mózgu Miki – maleńkiemu naszyjnikowi z procesorów optycznych i chipów pamięci leżącemu na jej dłoni. O ile wiedziała, w ich wnętrzu nic nie zostało. Sama pamięć była nieszkodliwa, ale kto mógł stwierdzić, do jakich uszkodzeń doszło podczas egzorcyzmów? Przypomniła sobie słowa wyzwania, które rzuciła Kenowi Lubinowi – *skąd wiesz, że nie dam rady obudzić tego skurwysyna jednym pocałunkiem?* – ale zasadniczo nie miała pojęcia, jak się do tego zabrać. Zachowała te komponenty tylko dlatego, że nie była w stanie się ich pozbyć. Do tego miała nadzieję, że jeśli przemówi do tego, co znajduje się w środku, to coś jej odpowie.

Uniosła naszyjnik za pomocą pęsety wyposażonej w system siłowego sprzężenia zwrotnego, której dotyk był delikatny jak muśnięcie rzęsy. Następnie umieściła go na samym środku czerwonej strefy. Pozostałe komponenty wyciągnęły swoje zielone palce, zebrały się tuż przed bramą i czekały.

Kobieta wcisnęła zestaw na głowę. Wzięła głęboki wdech.

Otworzyła bramę.

Eksplozja pikseli tuż przed jej twarzą. Gniew, niepohamowany głód i wyszczerzone zęby. Szaleńczy sygnał wejścia, który całkowicie pomijał wyższe partie mózgu, by wbić swoje lodowate igielki prosto w pień.

– *Wyp...*

Odruch ucieczki wziął górę jeszcze zanim zdążyła przetworzyć, co ma przed oczami. Pomarańczowy przycisk alarmowy rozblęsnął w polu widzenia. Obraz zamarł.

Zdała sobie sprawę, jak ciężko oddycha. Zmusiła się do uspokojenia.

Nieruchoma twarz, czarno-zielona i świetlista. Wściekły portret w odwróconych barwach ciała. W ogóle jej nie przypominał. Poza oczami – tymi pustymi, rozwścieczonymi oczami.

*A nawet to nie*, przypomniała sobie po chwili. Jej oczy pozbawione były nakładek. Stawiała czoła temu radioaktywnemu doppelgangerowi zupełnie naga.

*Czy tym właśnie byłam?*

Wzięła głębszy oddech, przytrzymała go w płucach i wypuściła powietrze. Skupiła wzrok na przycisku alarmowym, zwalniając blokadę.

– *...uść mnie!* – wrzasnęło widmo.

Clarke pokręciła głową.

– Nie masz dokąd iść.

– *Wypuść mnie albo przemielę każdy pierdolony adres tutaj na papkę!*

– Najpierw odpowiesz na kilka pytań.

– Odpowiedz sobie na *to*, ty owrzodziła kurwo.

Wszechświat zamigotał i zgasł.

Nic poza jej własnym przyspieszonym oddechem i cichym sykiem klimatyzacji *Phocoeny*. Po chwili jej zestaw wizualizacyjny wyświetlił komunikat na tle pustki:

AWARIA SYSTEMU. ZRESTARTOWAĆ?

T N

Clarke spróbowała ponownie.

– *Wypuść mnie!*

Kobieta pokręciła głową.

– Powiedz mi, czego chcesz.

– Czego chcesz? – Wyglądało na to, że to pytanie nieco ostudziło zapędy potwora. Na jego twarzy wykwitł nawet uśmiech. – Nie chcesz sobie ze mną pogrywać, siostró. Zabiłam więcej ludzi niż możesz zliczyć.

– Dlaczego? Z zemsty? Dla GA? Za... za tatusia, za to, co zrobił, gdy mama była... czemu w ogóle miałoby cię to obchodzić? Skąd w ogóle miałabyś to *wiedzieć*?

Twarz straciła nasycenie barw, czarny pigment zszarzał niczym o zmierzchu. W kilka chwil zostały już tylko czernie, szarości i dwa gniewne, krystaliczne owale czystej bieli.

– Próbujesz zabić wszystkich? – spytała cicho Clarke. – Próbujesz zabić *siebie*?

Potwór wbił w nią spojrzenie i wypluł z siebie:

– *Zabić się? Ty...*

Cisza i pustka, i AWARIA SYSTEMU.

I jeszcze raz.

I jeszcze...

## SZTUKA POŚCIGU

Dron KRASZ-u, unoszący się w powietrzu niczym puch ostu tuż poniżej strumienia odrzutowego, wykrył sygnaturę cieplną o 0300. Wykryto ją na drodze serwisowej 23 na północny wschód od Skowhegan. Dzielila kilka cech charakterystycznych z innym źródłem – starszym o dwie godziny – które zostało zauważone przez podnośnik, wiozący zapasy medyczne z Portland. Lotów zaopatrzeniowych z reguły nie wyposażano w urządzenia pomiarowe, ale wszyscy siedzieli jak na szpilkach odkąd dotarły do nich wieści z Sudbury.

Obie sygnatury odpowiadały emisji cieplnej jednostki wodorowej, której nie produkowano już od 2044 roku. Ktoś najwyraźniej zajeżdżał starego Forda Fugitive, podróżując w głąb lądu, bocznymi drogami, w samym środku nocy.

Jeden z wektorów Ouellette prowadził do Forda Fugitive. Lubin dogonił ją gdzieś po drugiej stronie granicy z New Hampshire.

Desjardins oddał mu do dyspozycji mikrołot. Co prawda nie był tak szybki jak maszyny korzystające z efektu przypowierzchniowego, ale jego wysokość przelotowa była znacznie większa, a przy okazji nie używał tylu dzuli co śmigłowiec. Lubin leciał na zachód na wysokości dwustu metrów, gdy ford błysnął w jego stronę odbitym promieniem światła. Zaparkowano go na skraju cuchnącego bagniska pokrytego rdzawymi taninami i poszarpanymi, rozmokłymi pniakami. Podmokły teren wyraźnie urósł odkąd Urząd Utrzymania i Konserwacji Dróg dał sobie spokój z tą okolicą. Jęzor ciemnej wody przelewał się przez kilka metrów podmytego asfaltu przed maską pojazdu.



To nie dlatego samochód się zatrzymał.

Lubin wylądował w odległości pięćdziesięciu metrów i zaszedł pojazd od tyłu. Gdy się zbliżył, jego wkładki przeprowadziły standardową wiwisekcję schematów, przesłaniając mu pole widzenia ikonami i diagramami okablowań. Czuł wewnętrzną niechęć na samą myśl o wyłączeniu przydatnych informacji z jakiegokolwiek źródła, ale czasami bardziej przeszkadzało to niż informowało. Wyłączył wyświetlacz w głowie. Fugitive wrócił do rzeczywistości, nieco bardziej *plaski* niż jeszcze przed chwilą. Świetliste bebechy zniknęły pod powłoką brudnego plastiku.

W fotelu kierowcy siedziała smągła blondynka, opierając czoło na kierownicy. Długie, proste włosy przesłaniały jej twarz. Wydawała się nie zauważać jego nadejścia.

Zapukał w okno. Kobieta apatycznie odwróciła głowę na ten dźwięk. Natychmiast wiedział, że coś jest nie w porządku: jej zaczerwieniona twarz błyszczała od potu.

Ona również wiedziała, że coś jest nie tak. Izolujący kombinezon Lubina mówił sam za siebie, nawet gdyby *nie była chora*.

*Trzy dni*, pomyślał mężczyzna.

Drzwi były otwarte. Pociągnął za klamkę i zrobił krok w tył.

– Mówili nam... że to lekarstwo – powiedziała. Zabrało jej to dwa oddechy.

– Zostało ci coś jeszcze?

Przełknęła.

– Trochę. Większość rozdałam. – Potrząsnęła głową. – Część dałam Aaronowi. Dwa dni temu.

Na siedzeniu obok leżał przezroczysty pęcherz. Niemal pusty. Pozostała część hodowli, zupełnie pomarszczona w odpowietrzonej pojemniku, straciła bursztynowy kolor. Teraz przypominała bardziej ciemnoszarą, anoksydacyjną papkę.

– Co się temu stało? – spytał.

– Nie wiem. Zmieniło się. – Z trudem pokręciła głową. – Powiedziała, że przetrwa nawet *tydzień*...

Pochylił się nad nią. Wciąż była dostatecznie przytomna, by na jej twarzy pojawiła się odrobina strachu, gdy zobaczyła go z bliska.

– Byłeś jednym z nich. *Byłeś* jednym z nich. Widziałam cię tam...

– Muszę wiedzieć, gdzie byłeś – powiedział. – Muszę wiedzieć o wszystkich, których spotkałeś od czasu Freeport oraz jak się z nimi skontaktować.

Uniosła wątlą rękę, pokazując swój zegarek.

– Aaron jest tutaj. Rozdzieliliśmy się. Myśleliśmy... w ten sposób pokryjemy większy teren...

Wziął od niej urządzenie. Funkcja telefonu nie była specjalnie przydatna bez słuchawki, ale Aaronem mógł zająć się później.

– Rozmawiałam z nim jeszcze dziś rano – wydyszała kobieta. – On sam... nie czuł się zbyt dobrze.

Mężczyzna obszedł forda i wsiadł do środka od strony pasażera. Nawigacja była wyłączona – środek ostrożności z zeszłego tygodnia, gdy eter stanowił wrogie terytorium. Przywołał GPS na deskę rozdzielczą i oddalił mapę, by pokazywała całe wybrzeże.

– Wszystkie postoje – rzucił. – Wszystkie miejsca, gdzie kogoś spotkałeś.

– Jestem chora – jęknęła kobieta.

– Zabiorę cię do szpitala. *Prawdziwego* szpitala – obiecał, podwyższając stawkę. – Ale najpierw musisz mi pomóc.

Powiedziała mu wszystko, co wiedziała. W końcu mężczyzna wysiadł na światło dzienne i ruszył w kierunku mikrolotu. W połowie drogi przystanął, spoglądając przez ramię.

*Może spróbować uciec*, pomyślał. *Nie jest na tyle chora, żeby nie móc prowadzić. Może chcieć*

się stąd wydostać.

Albo, spoglądając w kierunku ciemnej wody stojącej na drodze, może wskoczyć do wody i skazić całe mokradła. Znacznie trudniej będzie wtedy to opanować.

Może jest jednym z luźnych końców...

Czcie rozmyślania, rzecz jasna. Kobieta nie stanowiła żadnego bezpośredniego zagrożenia, które usprawiedliwiałyby drastyczne rozwiązania. Nie żeby zawsze miało tak być, wzięwszy pod uwagę tempo, w jakim zaraza się rozprzestrzeniała. To był drugi wektor, który Lubin wytropił, pierwszy z oryginalnego trio Ouellette. Wcześniejszy wektor okazał się jedynie drugorzędny, który przejął pałeczkę, a nawet *on* przyznał, że przekazał ją dalej. Jak daleko dotarli pozostali dwaj Pacjenci Zero, tego nikt nie mógł wiedzieć. Do tego dochodził jeszcze ten Aaron, nie wspominając nawet pół tuzina miejsc po drodze tutaj, gdzie ta kobieta zostawiła małe alikwoty Seppuku...

Powtarzał sobie, że może pozwolić sobie na czekanie. Biorąc pod uwagę, jak rozwijała się sytuacja, wkrótce miał otrzymać wszystkie wymówki, których potrzebował. Oczywiście, to nie tak, że ich potrzebował. Ken Lubin był wolnym strzelcem już od kilku lat.

Bądź grzeczny, powtarzał sobie. *Graj zgodnie z zasadami.*

Tak też zrobił. Zadzwoił po karetkę zanim poinformował miotacze płomieni. Zaczekał aż ta przyleciała z zachodu, opadła na ziemię, po czym ponownie wzbila się w niebo. Sam ruszył na południowy wschód, odtwarzając trasę wektora. Po jakimś czasie ujrzał w oddali podnośnik i przez jakiś czas dotrzymywał mu towarzystwa, szybującemu niczym wielka, czarna chmura w kierunku wskazanego obszaru. Światła lotnicze migotały niewinnie na czubkach długich łuf miotacza, sterczących z jego podbrzusza. Różowe i zielone chmury wypełniały przestrzeń powietrzną dokładnie pod nim, cukierkowe testy lakmusowe, mające na celu wytropienie źródła skażenia.

Powoli zwiększył ciąg. Do tego momentu partnerka Aarona została zapakowana i była w drodze. Jeszcze przed zapadnięciem zmroku Taka Ouellette miała rozpocząć przeprowadzanie na niej testów.

O ile, rzecz jasna, Ouellette przeprowadzała *jakiegokolwiek* testy. Lubin w to wątpił.

Przypomniął sobie pierwszy raz, gdy poznał Achillea Desjardinsa. Włamał się do domu prawołamacza i przyłapał go *in flagrante delicto* z sensorium VR, które serwowało mu pełnodoznaniowe scenariusze seksualnych tortur. Oczywiście, *wtedy* Desjardins nie przeniósłby tych impulsów na świat rzeczywisty, ale teraz zaszło sporo zmian. Zmieniły się zasady. Łańcuchy zostały zerwane. Oficjalne hierarchie legły w gruzach, zostawiając tych, którzy posiadali jakąkolwiek władzę z cudownym brakiem nadzoru.

Lubin przez krótki okres czasu podglądał życie erotyczne Desjardinsa zanim przeszedł do rzeczy. Zdążył wyrobić sobie zdanie na temat tego, jakie kobiety lubił ten człowiek, a także, co lubił im robić. Dlatego pięć lat później, gdy Taka Ouellette zniknęła w brzuchu śmigłowca KRASZ-u, Lubin obserwował ją z obojętnym poczuciem ostateczności.

Desjardins obiecał jej rolę w walce przeciwko Seppuku. Kusił wizjami jasnych, lśniących laboratoriów normalnie zarezerwowanych dla prawdziwych wirtuozów. Ta wizja rozświetliła jej twarz niczym lampa halogenowa. Jedno spojrzenie i Lubin już znał jej sekretne pragnienie, desperacką, niewyobrażalną nadzieję na odkupienie dawnych win.

Teraz z łatwością przychodziło mu rozpoznawanie takich rzeczy.

Ciekawiło go jedynie, czy śmigłowiec wyruszy na południowy zachód, w kierunku Bostonu. Tam właśnie mieściły się najbliższe obiekty badawcze. Zamiast tego maszyna znikła na północy. Od tamtej pory Lubin nie otrzymał od Ouellette żadnych wieści.

Oczywiście, to nie tak, że się ich spodziewał. Nawet jeśli Desjardins mówił prawdę. Poza tym Lubin musiał przyznać, z pełną świadomością niemoralnego umysłu, że nie robiło mu to większej

różnicy. Taka Ouellette nie należała do grona naukowców, którzy przetrwaliby na ringu z dowolnym przeciwnikiem wagi ciężkiej. Gdyby tak było, nie znaleźliby jej zdegradowanej do patrolowania dzikich terenów, rozdającej okruszki tubylcom. Jej strata nic nie znaczyła w obliczu walki z Seppuku.

Achilles Desjardins jednakże był niezbędny. To, czy był seksualnym drapieżcą nie miało znaczenia. Mógł walnie przyczynić się do uratowania miliardów. Lubin nie był w stanie wyobrazić sobie zbyt wielu deprawacji, na które nie można byłoby przymknąć oka przy próbie osiągnięcia tak szczytnego celu. Na tym właśnie polegała praca na rzecz *Więpszego Dobra*.

Niemal czuł zazdrość.

## ZAJĘCIA WYRÓWNAWCZE

Taka Ouellette istotnie trafiła do centrum badawczego. Jednak nie odgrywała w nim roli eksperymentatora. Być może towarzyszący jej mężczyzna przypisywał tę rolę sobie.

Z wyglądu niczym się nie wyróżniał. Brązowe włosy, nieuczesane, przycięte z chaotyczną asymetrią odpowiadającą jakiemś dzikiemu stylowi lub zwyczajnej niekompetencji. Chuda, kwadratowa twarz. Nie dość zmarszczek na czole, ale zbyt wiele wokół oczu. Duże oczy, brązowe i wilgotne, niemal dziecięce. Nos nieco skrzywiony. Luźna, zielona bluza, relikw z dwudziestego wieku bez żadnych animacji.

Nie widziała nic poniżej pasa. Została przypięta do noszy medycznych, płasko na plecach. Jeśli ten niechlujny r-selektor odgrywał rolę naukowca, to jej najwyraźniej przypisano rolę królika doświadczalnego.

– Achilles Desjardins – powiedział mężczyzna. – Miło mi cię poznać, Alice.

Grubo po północy śmigłowiec usiadł na lądowisku, na dachu gdzieś na północ od Wielkich Jezior. Wsiadła i, niczego nie podejrzewając, weszła prosto w pole neuroindukcyjne, które ścięło ją z nóg szybciej niż przetrącenie kręgosłupa. Ubrani w kombinezony mężczyźni bez twarzy zabrali ją, świadomą, lecz sparaliżowaną, do izolatki. Rozebrali ją do naga, założyli cewnik i wyszli bez słowa. Być może powiedziano im, że jest uchodźcą albo stanowi zagrożenie dla zdrowia. Może tylko sobie żartowali. Nie mogła tego wiedzieć i nie miała jak zapytać.

To wydarzyło się przynajmniej dzień temu. Może nawet więcej. Czas ten spędziła odizolowana od innych i unieruchomiona, czując powoli narastające pragnienie i głód.

Przynajmniej pole zostało wyłączone. Jej funkcje motoryczne znów działały. Teraz ograniczały ją jedynie nylonowe paski boleśnie zaciśnięte wokół nadgarstków, kostek, pasa i szyi.

– Zaszło jakieś nieporozumienie – powiedziała szybko. – Nie nazywam się Alice, jestem Taka. Lenie i Ken to moi przyjaciele.

Próbowała się szarpać. Achilles skwitował to słabym uśmiechem.

– Nie jesteś zbyt dobrym biologiem, Alice – zauważył bez cienia nieuprzejmości. – Przykro mi, ale to prawda. Miałaś pod nosem wszystkie wskazówki, ale nie byłaś w stanie poukładać ich w jedną całość. – Usiadł na jakimś niewidzialnym krześle lub stołku obok noszy. – Gdybym nie interweniował, rozsiałaś Seppuku gdzie tylko się da, zabijając swoich pacjentów jeszcze szybciej niż zazwyczaj. Żaden *prawdziwy* naukowiec nie popełniłby tak podstawowych błędów.

– Ale ja nie...

Położył jej palec na ustach, uciszając ją. Wsparł łokcie na twardej, neoprenowej powierzchni noszy obok jej głowy, oparł podbródek na dłoniach i spojrzał na nią z góry.

– Rzecz jasna – ciągnął cicho – żaden prawdziwy naukowiec nie zabiłby też swojej rodziny.

Więc nie była to żadna pomyłka. Doskonale wiedział, kim była.

Ona również go знаła. A przynajmniej знаła ten typ. Miękki. Żałosny. Każdego dnia stawiała czoła ludziom, którzy złamaliby go w pół, nawet się nie zatrzymując. Sam, bez swoich zabawek, był nikim.

Oprócz tego, że miał rację.

Zamknęła oczy. *Zachowaj spokój. Próbuje cię wystraszyć. Nie pozwól mu. Odbierz mu tę satysfakcję.*

*To tylko gierka, jak wszystkie inne. Jeśli nie dasz się zastraszyć, możesz się odkuć.*

Otworzyła oczy i ze spokojem spojrzała mu prosto w twarz.

– To jaki masz plan?

– *Plan.* – Achilles wydał usta. – Plan polega na rehabilitacji. Dam ci kolejną szansę. Myśl o tym jak o zajęciach wyrównawczych. – Wstał. Coś w jego dłoni odbiło światło, coś małego i połyskliwego jak obcinacz do paznokci. – Mówimy o scenariuszu marchewki i kija. Mam pewne hobby, które wielu ludzi określiłoby mianem, cóż, nieprzyjemnego. Jak *bardzo* jest ono nieprzyjemne, przekonasz się w zależności od swoich postępów.

Taka przełknęła ślinę. Nie odezwała się dopóki nie była pewna, że nie załamie się jej głos.

– Co to za marchewka?

Nie do końca.

– To *była* marchewka. Przynajmniej moja marchewka. Twoja marchewka jest taka, że jeśli zdasz ustne egzaminy, puszcę cię wolno. Żywą i w ogóle. – Achilles zmarszczył brwi w zamyśleniu. – Na początek coś łatwego. Jak rozmnaża się Seppuku? Płciowo czy bezpłciowo?

Taka spojrzała na niego.

– Żartujesz sobie.

Przez chwilę patrzył na nią, po czym pokręcił głową, niemal ze smutkiem.

– Widzę, że uczęszczałaś na seminaria. Zdradzili wam wszystkie nasze tajemnice. Żywimy się strachem. Gdy tylko zobaczymy, że się nie boisz, znajdziemy sobie inną ofiarę. Może nawet puścimy cię wolno.

– Powiedziałeś... – zamilkła, próbując opanować drżenie w głosie. – *Sam* powiedziałeś, że mnie puścisz...

Nawet jej nie tknął, a już go błagała.

– Jeśli się dobrze sprawisz – przypomniał jej grzecznie. – Ale tak. Puszcę cię. W istocie, jako gest dobrej woli, właśnie w tej chwili uwolnię kawałek ciebie.

Mężczyzna wyciągnął rękę. Połyskliwy przedmiot nacisnął na jej pierś niczym maleńki sopel lodu. Usłyszała *cięcie*.

Ból rozkwitł na jej klatce piersiowej, ostry jak brzytwa, niczym pęknięcia na szkle tuż przed roztrzaskaniem. Taka wrzasnęła, wijąc się bezskutecznie w plastikowych więzach.

Krwawy strzęp jej sutka opadł na policzek.

Ciemność zawirowała na krawędziach pola widzenia. Gdzieś w nieprawdopodobnej dali, na południe od bólu w centrum wszechświata, jakiś potwór wpełzł pomiędzy jej wargi sromowe.

– To jeszcze nie wszystko – zauważył.

## WYŁĄCZENIE Z OBIEGU

Clarke całkiem sporo nauczyła się u boku Ouellette. Nie była lekarzem, ale jako ryfter otrzymała pobieżne przeszkolenie medyczne, a poza tym MK odwaliała za nią większość roboty w kwestii rozpoznania i przepisywania leków. Przeprowadzone na Miki egzorcyzmy kosztowały ich dane kilku tysięcy pacjentów, aktualizacje pobrane w ostatnim półroczu oraz wszystkie możliwości połączenia

z siecią – jednak to, co zostało wciąż potrafiło przyjrzeć się pacjentowi i przepisać mu podstawowe leczenie. Tak czy inaczej Clarke nie była w stanie radzić sobie z bardziej skomplikowanymi przypadkami. Nawet po lobotomii, Miki trudno było określić mianem przeszkody.

Ludzie napływali z całego miasteczka, szukając usług Ouellette, ale ostatecznie przystając na pomoc Clarke. Ona robiła to, co kazała jej maszyna, odgrywając rolę lekarza najlepiej jak potrafiła. Nocą schodziła z lądu, po czym, zupełnie ignorując *Phocoenę*, bez tchu układała się do snu na jasnym, płytkim dnie. Każdego ranka wracała na ląd, ściągała skórę głębinową do samej koszuli, a na wierzch naciągała pożyczone od Ouellette ubrania. Dziwne, martwe tkaniny ocierały się o jej kończyny przy każdym ruchu niczym źle dopasowana trawestacja pełna fałd i szwów. Ściąganie skóry odrobinę przypominało obdzieranie żywcem, a ten... ten *substytut* równie dobrze mógł być wynikiem jakiegoś wielkiego, niezbyt proporcjonalnego gada. W sumie nie było aż tak źle. Z każdym dniem było łatwiej.

Niestety była to w zasadzie *jedyna* rzecz, która szła łatwiej.

Najgorsza wcale nie była jej medyczna ignorancja, ani nawet niekończąca się, stale narastająca kolejka tych, których nie mogła uratować. Nie były to nawet wybuchy gniewu, które ludzie czasami kierowali przeciwko niej, gdy musieli stawić czoła wyrokowi śmierci dla siebie lub kogoś bliskiego. Niemal odczuwała wdzięczność za krzyki i uderzenia, stanowczo zbyt rzadkie, by stanowić jakikolwiek prawdziwy koszt. W swoim czasie cierpiała o wiele bardziej, a systemy obronne Miki zawsze trwały na posterunku, gdy sytuacja wymykała się spod kontroli.

Znacznie, znacznie gorsza od wybuchów wściekłości tych, których nie mogła ocalić, była wdzięczność tych, których niemal mogła. Uśmiechy na twarzach ludzi, którym kupiła nieco czasu, zbyt otępiełych od choroby i niedożywionych, by poddać w wątpliwość ekonomikę zamiany szybkiej śmierci na powolną. Godna współczucia radość ojca, którego córka została wyleczona z zapalenia mózgu, nieświadomego, a może i nie dbającego o to, że Seppuku, wiedźma albo jakiś zbłąkany miotacz ognia odbierze mu ją za miesiąc lub za rok, niemyślącego o gwałtach, połamanych kościach i nieustającej głodówce, które będą prześladować ją każdego dnia. Najwięcej nadziei znajdowała w twarzach tych, dla których jej już nie było. To wszystko, co mogła zrobić, by spojrzeć im w oczy, uśmiechnąć się, przyjąć podziękowania. Nie mówiła im też, kto tak naprawdę sprowadził to wszystko na świat.

Jej eksperyment z obnażonymi oczami dobiegł końca. Jeśli komuś z miejscowych nie podobał się jej wygląd, równie dobrze mógł spieprzać gdzie indziej.

Rozpaczliwie chciała porozmawiać z Taką. Przez większość czasu tłumiła to w sobie, powtarzając – przyjaźń Ouellette wyparowała w chwili, gdy ta poznała prawdę. Clarke nie winiła jej. Nie było łatwo odkryć, że zaprzyjaźniłaś się z potworem.

Pewnej nocy, gdy poczuła się dostatecznie samotna, mimo wszystko spróbowała. Skorzystała z kanału, który Desjardins przydzielił do zgłaszania najnowszych incydentów z Seppuku. Połączyło ją z automatycznym dyspozytorem, a następnie z prawdziwym człowiekiem, który – pomimo oczywistej dezaprobaty dla używania dedykowanych kanałów do spraw osobistych – połączył ją z kimś, kto twierdził, że przemawia w imieniu bostońskiego laboratorium przeciwdziałania zagrożeniom biologicznym. Nigdy nie słyszeli tam o Tace Ouellette. Gdy Clarke zapytała, czy istnieją jakieś inne jednostki, gdzie mogłaby pytać, mężczyzna odpowiedział, że to niewykłuczone... Ale cholerni Pogromcy Entropii nigdy nic mu nie mówią, a on nawet nie potrafi jej skierować.

Stale karmiła się fałszywymi nadziejami. Lubin dopadnie swoją ofiarę. Desjardins dotrzyma danego słowa. Trop zaprowadzi ich do Atlantydy, gdzie unieszkodliwią zagrożenie. A Taka Ouellette i jej podobni rozwiążą tajemnicę Seppuku, i powstrzymają go.

Może wtedy wszyscy będą mogli wrócić do domu.

Z początku nawet go nie poznała.

Chwiejnym krokiem wyszedł z lasu, kulejący, purpurowy na całym ciele, z zapuchniętą twarzą pokrytą strupami i siniakami. Miał na sobie termochromową kurtkę, której ktoś urwał jeden rękaw. Pojawił się w zasięgu wzroku Clarke, gdy właśnie miała zamykać na noc.

– Cześć – powiedział. Bąbel krwi urósł i pękł w kąciku jego ust. – Tęskniłaś?

– Jasna *cholera*. – Podbiegła do niego i pomogła mu dotrzeć do MK. – Co ci się stało?

– Inny r. *Wielki r*. Pierdolony *ogromny r*. Zabrał mój motocykl. – Pokręcił głową. Gest ten wykonał sztywno i nieporadnie, jakby zaczynało dopadać go stężenie pośmiertne. – Jest tu gdzieś ta druga K? Taka?

– Nie. Ja się tobą zajmę. – Poprowadziła go do gardzieli Miki, podtrzymała go, gdy oklapł na wyciągnięty jęzor maszyny.

– Naprawdę jesteś lekarką? – Pomimo obrażeń twarz nastolatka wyrażała sceptycyzm. – Nie, żeby mnie to obchodziło – dodał po chwili. – Możesz mnie badać, kiedy tylko chcesz.

W końcu to do niej dotarło: *Tęskniłaś?*

Clarke potrząsnęła głową.

– Przykro mi, ale ostatnimi czasy przewinęło się tu wiele osób. Nie wiem, czy rozpoznałabym cię nawet bez tych wszystkich obrażeń.

– Ricketts – powiedział chłopak.

Zrobiła krok w tył.

– Przyniosłeś...

– Przyniosłem to coś, co zabije *β*ehemota – powiedział dumnie przez spękane i zapuchnięte wargi.

*Przyniosłeś coś, co zabije nas wszystkich*, pomyślała.

Nie powinno stanowić to dla niej żadnego dylematu. Powinna wsadzić pacjenta do MK. Umyć go, naprawić powierzchowne obrażenia, potwierdzić obecność nowego drapieżcy, który pożera go od środka.

*Może jest czysty. Całe to skażone świństwo było zamknięte w torbie, może nigdy nie wszedł w bezpośredni kontakt z...*

Potwierdzić obecność Seppuku. Odizolować ofiarę. Zgłosić przypadek.

*Modlić się, że jeśli coś złapał, nie może mi tego przekazać drogą powietrzną...*

– Połóż się. Ponieś nogi. – Znalazła się przy tylnym panelu, jeszcze zanim Ricketts uniósł stopy nad ziemię. Nacisnęła tę samą ikonę, co zawsze, usłyszała znajome bzyczenie polykającej Miki. Clarke kazała pojazdowi zamknąć oba wyloty i przeprowadzić standardowe testy diagnostyczne.

Zostawiła go tam, podczas gdy sama spryskała się od stóp do głów środkiem odkażającym. Była to gruba przesada. Przynajmniej taką miała nadzieję. Miała na sobie obowiązkowe sterylne rękawiczki, a skóra pod pożyczonym ubraniem Ouellette chroniła ją.

*Cholera. Ubranie.*

Zrzuciła z siebie wszystko i zapakowała do spalania. Pozostała część skóry głębinowej leżała w plecaku, upchniętym do szoferki. Porzucone części wśliznęły się z powrotem na swoje miejsce. Szwy stopiły się ze sobą, tworząc dodającą pewności siebie drugą skórę. Skórę głębiny nie przygotowano z myślą o właściwościach przeciwpatogennych, ale kopolimery automatycznie radziły sobie z jonami soli, więc *musiały* powstrzymać coś tak dużego jak żywe komórki.

Gdy wróciła do tylnego panelu Miki, cykl diagnostyczny dobiegł końca. Ricketts cierpiał z powodu pękniętej kości policzka, przewlekłego złamania kości piszczelowej, wstrząśnienia mózgu

drugiego stopnia, granicznego niedożywienia (ostatnimi czasy to i tak lepiej niż średnia), dwóch wybitych zębów mądrości i niezbyt poważnej infekcji wywołanej przez glistę. Żadna z tych rzeczy nie zagrażała jego życiu. Większości mogła zapobiec.

Pakiet diagnostyczny nie zawierał badania pod kątem obecności Seppuku. Seppuku nie istniało w standardowej bazie danych. Po dokonaniu swojego odkrycia, Ouellette stworzyła naprędce oddzielny podprogram. Nie robił za wiele – nie potrafił określić pierwszego/drugiego/końcowego etapu choroby, brakowało też listy powiązanych makrosymptomów. Żadnych sugerowanych sposobów leczenia. W zasadzie robił jedynie morfologię krwi. Clarke nie wiedziała nawet, jak zinterpretować ten prosty pomiar. Czy istniało coś takiego, jak „bezpieczny” poziom Seppuku?

Zero, założyła. Nacisnęła ikonę, by rozpocząć test. Ricketts drgnął w okienku kamery, gdy Miki wypięła jeszcze kilka kropel osocza.

Przeprowadzenie analizy trochę trwało. W międzyczasie Clarke zmusiła się do skupienia na innych problemach Rickettsa. Glisty i wybite zęby mogły poczekać. Domiejskowe wazodilatory i inhibitory wapnia złagodziły objawy wstrząśnienia mózgu. Połamane kości to błażostka – należało umieścić mikroładunki spoiwa na dotkniętych obszarach, by poprawić metabolizm osteoblastów. Clarke robiła tego typu rzeczy niemal od chwili, gdy została ryfterem.

– Hej! – Brzękliwy głos Rickettsa dochodzący z interkomu Miki zabrzmiał płochliwie. – Nie mogę się ruszyć!

– To pole neuroindukcyjne – wyjaśniła Clarke. – Nie przejmuj się. Jedynie zapobiega wierceniu się pacjenta podczas zabiegu.

*Piip.*

Przyszły wyniki. 106 cząsteczek na milimetr.

*O Jezu.*

Jak długo błąkał się po lesie? Na jakim o bszarze rozsiał wirusa? A ten gość, który go pobił – czy *on* rozsiewał teraz zarazę, czy zaprosił Seppuku do siebie przez gołą, spoconą skórę dłoni? Ile dni musiało minąć, zanim odkryje, jak wielką cenę *naprawdę* zapłacił za marny motocykl?

*Odizolować wektor. Wezwać podnośnik.*

Podnośnik. Wydało jej się dziwne, że w ogóle to rozważa. Musiała sobie przypomnieć: *to jednak nie są żadne potwory. To nie są ziejące ogniem smoki zesłane z niebios, by spalić nas na proch. Tak naprawdę pracują dla tych dobrych.*

*Teraz jesteśmy po ich stronie.*

Mimo wszystko.

Po kolei. Rickettsa należało...

*wyłączyć z obiegu*

...odizolować dopóki ktoś się po niego nie zjawi. Problem w tym, że nie istniało zbyt wiele sposobów, by to zrobić. MK byłaby bezużyteczna tak długo, jak musiałyby go przechować, a Clarke szczerze wątpiła, by Freeport posiadało obiekty służące izolowaniu gorących przesyłek, nawet zanim popadło w ruinę.

*Nie może tu zostać.*

Przez kilka chwil patrzyła na monitor, obserwując jak ruchome kończyny i laserowe oczy Miki składają Humpty'ego z powrotem do kupy. Następnie przywołała menu anestezyjologiczne. Wybrała izofluran.

– Dobranoc – wyszeptała.

W ciągu kilku sekund szeroko otwarte, zalęknione oczy Rickettsa zamknęły się. Odrobinę przypominało to podawanie zastrzyku trucizny.

– *Czy ty masz pojęcie, kim jestem, pierdolony płodojebco?* – wypluł z siebie demon.

*Nie, pomyślała.*

*– Jestem Lenie Clarke!*

Awaria systemu.

– Ta – mruknęła Clarke pod nosem. – Jasne.

Zamieniła ciemny widok na nieco jaśniejszy. Iluminator *Phocoeny* wychodził na błotnistą równinę, nie całkiem pozbawioną szczegółów: błotnistych śladów po zwierzętach ryjących w podłożu, wejść do kryjówek bezkręgowców znaczących dno. Gdzieś w skapaniej w półmroku oddali letargicznie przechadzał się samotny krab.

Ocean nad jej głową miał barwę brudnej zieleni i stawał się coraz jaśniejszy. Najwyraźniej wschodziło słońce.

– Co...?

Odwiesiła zestaw wizualizacyjny na poręcz fotela i obróciła się w stronę siedziska drugiego pilota. *Phocoena* była zbyt mała, by posiadać własną kabinę medyczną, ale w razie konieczności mogła być nią prycza umieszczona na sterburcie. Składała się w takie samo wgłębienie jak prycze na przeciwległej burcie. Jednak w przeciwieństwie do swoich odpowiedników jej gruba podstawa płynnie przechodziła w rozdęcie wypełnione rurkami i okablowaniem. Będąc w użyciu, rozkładała się niczym szeroki, krótki most zwodzony, podwieszony na dwóch cienkich monowłóknach przymocowanych na zewnętrznych rogach. Włókna, krawędzie samej pryczy, a także przywieszona nad nimi gródź tworzyły wierzchołki małego namiotu. Przestrzeń pomiędzy nimi spinała rozciągnięta membrana izolacyjna.

Ricketts uwięziony był w środku. Leżał na boku, przyciskając jedną rękę do membrany i wyciągając ją na zewnątrz.

– Cześć – rzuciła Clarke.

– *Gdzie jesteśmy?*

– Pod wodą. – Wstała z fotela i przeszła do głównej kabiny, trzymając głowę nisko. Łukowato sklepiony kadłub nie zostawiał zbyt wiele miejsca na głowę.

Chłopak spróbował usiąść. Miał nawet mniej miejsca niż ona.

– Co się ze mną, no wiesz...

Wzięła wdech.

– Masz... wirusa. Jest zaraźliwy. Pomyślałam, że lepiej będzie cię odizolować.

Jego siniaki zaczęły się goić dzięki działaniom Miki. Reszta twarzy pod nimi zbladła.

– To wiedźma? – A po chwili, przypominając sobie: – Ale przywiozłem wam lekarstwo, prawda...?

– Lekarstwo nie było... wszystkim, na co liczyliśmy – odparła Clarke. – W zasadzie okazało się czymś... innym...

Chłopak zamyślił się na chwilę. Przycisnął rozczapierzone palce do membrany, która rozciągnęła się, opalizując.

– Mówisz więc... mówisz, że to coś w rodzaju innej *choroby*?

– Tego się obawiam.

– To wszystko wyjaśnia – mruknął pod nosem.

– Co wyjaśnia?

– Dlaczego byłem taki słaby przez dwa ostatnie dni. Zapewne wciąż miałbym swój motocykl, gdybym był *o tyle* szybszy. – Zmarszczył brwi. – Więc rozpuściliście gadkę o tym, jak ten nowy



bakcył nie skopie dupy behemotowi, jak mamy go zbierać i w ogóle, a tak naprawdę to tylko kolejny wirus?

– Przykro mi – powiedziała cicho.

– *Kurwa*. – Ricketts legł płasko na pryczy i przysłonił ramieniem twarz. – Aua – dodał, niemal po chwili namysłu.

– Ramię będzie boleć jeszcze przez jakiś czas. Ktoś cię nieźle poturbował, nawet MK nie jest w stanie naprawić wszystkiego ot tak.

Chłopak uniósł kończynę i przyjrzał się jej z bliska.

– Mimo wszystko *jest* o wiele lepiej. *Ze wszystkim*. Dzięki.

Clarke zmusiła się do uśmiechu.

Ricketts oparł się na łokciu, zaglądając z mniejszej klatki do większej.

– Niczego sobie wewnątrz. Znacznie lepsze niż ten cholerny wóz rzeźnicki.

Oczywiście, wcale tak nie było. Infrastruktura medyczna *Phocoeny* była w najlepszym wypadku rudymenarna, w niczym nie dorównując możliwościom MK.

– Obawiam się, że będziesz musiał zostać tu przez jakiś czas – powiedziała Clarke przepraszającym tonem. – Wiem, że jest ciasno, ale komputer pokładowy ma gry i projekcje, które umiłą ci czas. – Wskazała zestaw wizualizacyjny zawieszony w kącie pod sufitem. – Mogę dać ci dostęp.

– Super. To lepsze niż mikrofalówka.

– Mikrofalówka?

– No wiesz. – Poklepał palcem w skroń. – Mikrofałe. Dają niezły odlot, gdy nieco podważysz drzwi i wsadysz głowę do środka.

*Niezły trik*, pomyślała Clarke. *Szkoda, że nie wiedziałam tego, gdy byłam dzieckiem.*

*Z drugiej strony, może i wiedziałam...*

– A co jeśli będę chciał się wysrać? – zastanawiał się Ricketts.

Kobieta skinęła na wypukły przycisk w zagłębieniu grodzi.

– Prycza ci na to pozwoli. Wciśnij guzik w razie potrzeby. To proste.

Zrobił, co kazała, po czym wydał z siebie okrzyk zaskoczenia, gdy środkowa część pryczy gładko wysunęła się spod niego. Jego tyłek opadł na szeroką krawędź umieszczonej pod spodem miski.

– *Wow* – wyszeptał, nie mogąc wyjść z podziwu. Kolejne naciśnięcie guzika i prycza wróciła do poprzedniego stanu.

– Więc, co teraz? – spytał.

*Teraz będziesz szcurem laboratoryjnym. Teraz zabiorą cię w jakieś miejsce, gdzie maszyny będą wykrajać z ciebie małe kawałeczki, dopóki nie umrzesz ty albo to, co się w tobie zaległo. Teraz będą wypytywać cię o to, jak długo kręciłeś się wokół Freeport, ile osób oddychało tym samym powietrzem co ty, jak wiele innych osób mogło oddychać tym samym powietrzem co oni. Dowiedzą się o tym dupku, który cię pobił i może zechcą go przesłuchać. A może nie. Może po prostu uznają, że sprawy posunęły się za daleko, by przeprowadzać przyjemne wywiady i bezpośrednie ekstrakcje – bo koniec końców, jeśli musimy poświęcić ciebie, by uratować Freeport, to chyba możemy poświęcić Freeport, by ocalić całą Nową Anglię, nie sądzisz? Oto właśnie większe dobro, dzieciaku. To ruchoma skala. Koncentryczna.*

*Życie każdego jest gównem, gdy stawka zostanie podbita.*

Zaryzykowałyby. Może setki skończą w płomieniach. Może tylko Ricketts, w kawałkach.

– Halo? – odezwał się chłopak. – Jesteś tam?

Clarke zamruła.

- Słucham?
- Spytałem, co teraz?
- Jeszcze nie wiem – oświadczyła.

## PARANOJA

Aaron prowadził do Beth. Beth prowadziła do Habiba, a Habib prowadził do Xandera, a wszyscy razem doprowadzili do wypalenia dwudziestu tysięcy hektarów zniszczonego krajobrazu Nowej Anglii. To nie wszystko – z rozmów na zastrzeżonym kanale wynikało, że kolejnych trzech agentów prowadzi działania polowe na południu, mimo że Desjardins wołał zachować to w tajemnicy.

Minęło osiem dni, a Seppuku spełniał wszystkie oczekiwania. Rozprzestrzenił się szybciej niż behemot kiedykolwiek.

Xander doprowadził również do Phong, a Phong nie zamierzał poddać się bez walki. Lubin dopadł go przy ujściu starego kanału burzowego, który toczył muliste wody do rzeki Merrimack. Ujście miało dobre dwa metry szerokości, wprawione w niemal trzy razy wyższy, betonowy klif. Otwór miał też jęzor, trójkątny przelew spływowy rozszerzający się w kierunku rzeki, otoczony sterczącymi podporami, które podtrzymywały zbocza po obu stronach. Przelew stanowił jedyną drogę podejścia, śliską od brązowozielonkawej mazi.

Oprócz jęzora były też zęby, krata z metalowych prętów wprawionych w beton mniej więcej metr od krawędzi. To uniemożliwiło Phongowi ucieczkę pod ziemię i zmusiło go do wykorzystania ostatniego asa w rękawie – antycznej broni palnej, która strzelała pociskami nieznanego kalibru. Lubin bił go pod tym względem na głowę. Sam nosił pistolet mikrofalowy Schuberta, pozwalający na rozgrzanie ciała do temperatury 60°C, a także szybkostrzelną broń krótką Heckler & Koch, obecnie załadowaną łagodną wersją konotoksyn. Niestety, zbyt duża ilość ziemi i betonu uniemożliwiała użycie mikrofal z obecnej pozycji Lubina, natomiast uzyskanie czystego strzału z HK oznaczało odsłonięcie się na śliskim zboczu przelewu spływowego.

Nie powinno to mieć znaczenia. W normalnych okolicznościach temu starciu wciąż daleko byłoby do wyrównanego, nawet wzięwszy pod uwagę rdzewiejące od pięciu lat umiejętności strzeleckie Lubina. Nawet mimo tego, że kryjówka Phong, znajdowała się w cieniu, a słońce świeciło Lubinowi prosto w oczy za każdym razem, gdy wyglądał za róg. Wszystko to sprawiało, że strzał był trudniejszy, to nie ulegało wątpliwości. Mimo wszystko, Lubin był *profesjonalistą*.

Nie, tym co w rzeczywistości przechylało szalę na jedną ze stron był fakt, że Phong zdawał się posiadać tysiąc ochroniarzy, którzy atakowali Lubina jednocześnie.

Prawie ich nie zauważył przy podejściu: chmury muszek unoszących się nad kępą opornego zielska porastającego skarpe. Lubin wiedział z doświadczenia, że są zupełnie nieszkodliwe. Mijając je, rozproszył insekty machnięciem dłoni, całą uwagę skupiając na betonowej zaporze, która przecinała brzeg rzeki na wprost... w następnej chwili zaatakowały go, rój owadów wielkości komarów o apetytach piranii.

Gryzły i odwracały uwagę. Rozproszyły jego koncentrację i zdradziły kryjówkę. Phong, pijąc wodę z kanału, zauważył jego nadejście i niemal go postrzelił, zanim cofnął się z powrotem za osłonę. Niemał zdołał uciec, ale Lubin przedarł się przez owadzich napastników i przycupnął za krawędzią osłony drenażu, w samą porę, by uwięzić zwierzynę na końcu tunelu.

- Jestem tu, żeby zabrać cię do szpitala! – zawołał. – Zostałeś wystawiony na...
- Pierdol się! – usłyszał w odpowiedzi.

Oddział nurkujących insektów zaatakował dłoń Lubina, niemal utrzymując szyk. Małe sukinsyny

*śledziły* go. Mocno klasnął wierzchem dłoni. Napastnicy uszli z życiem, ale mężczyzna poczuł przyjemne mrowienie uderzenia. Odwinął rękawice z nadgarstków skóry izolacyjnej i naciągnął je, przekładając Schuberta z ręki do ręki, po czym sięgnął ponad ramieniem po kaptur.

Zapinana na rzepy kieszeń przy kołnierzu była pusta. Jego kaptur zapewne został na jakiejś nisko zawieszanej gałęzi gdzieś w lesie, którzy zostawił za sobą.

I musiał stawić czoła komuś, kto został wystawiony na działanie Seppuku pełne dwa dni temu. Lubin pozwolił sobie na stłumione: „Cholera”.

– Nie chcę cię skrzywdzić! – spróbował raz jeszcze. Nie była to do końca prawda, a prawdopodobieństwo tego ciągle malało. Żądza zabicia *czegoś* bez wątpienia krążyła wokół jego zdolności samokontroli. Kolejny atak owadów. Zmiażdżył je pomiędzy dłonią a przedramieniem, po czym wyciągnął rękę, by wytrzeć rozgniecione ciała o brzeg rzeki. Zamarł po chwili, zбитy z tropu – nie miał co do tego pewności, ale zmiażdżone insekty wydawały się mieć zbyt wiele odnóży.

Wytarł dłoni i wrócił myślami do obecnego zadania.

– Pójdiesz ze mną – zawołał podniesionym, ale spokojnym głosem. – To nie podlega dyskusji. – *Owady mają... no tak. Sześć nóg.* Odgonił ręką kolejny atak. Seria ukłuc rozpałiła mu skórę na karku. – Pozostaje jedynie kwestia tego, czy będzie to wcześniej, czy później.

– *Później, ty skurwysynu! Wiem, po czyjej ty jesteś stronie!*

– Możemy też przedyskutować to, czy trafisz do szpitala, czy do krematorium – mruknął Lubin.

Oddział insektów zaatakował jego twarz. Mężczyzna mocno klepnął się w czoło. Na jego dłoni zostały trzy maleńkie, rozgniecione truchła. Każde z nich posiadało osiem nóg.

*Co ma osiem nóg? Pająki? Latające pająki?*

*Polujące w grupach?*

Wytarł dłoni o kępkę blisko położonych pnączy porastających nasyp. Roślina skuliła się pod jego dotykiem.

Instynktownie cofnął rękę, nieco wstrząśnięty. *Co do...*

Najwyraźniej jakaś modyfikacja. Lub jakiś rodzaj przypadkowej hybrydy. Zielsko zaciskało się i rozluźniało w perystaltycznych falach.

*Skup się. Nie opuszczaj gardy.*

Kolejni nurkowie. Tym razem nie tak wielu. Być może zabił już większość roju. Czuł się, jakby rozgniół ich już sto.

Skrobanie dobiegające zza bariery.

Lubin wyrztał zza przypory. Phong próbował ucieczki, wdrapując się wzdłuż suchego pasa betonowego obrzeża po przeciwległej stronie przelewu. Ścianę za jego plecami dekorowało zdumiewające graffiti – stylizowana twarz kobiety o mleczych, pozbawionych wyrazu oczach oraz zygzakowaty przydomek: MM.

Phong zobaczył go i wystrzelił na ślepo trzy pociski. Lubin nawet nie próbował się kryć. Ustawił mikrofałe na szeroki promień, zbyt rozproszony, by szybko zabić, ale dostatecznie silny, żeby na nowo podgrzać ostatni posiłek Phonga wraz z całym układem gastrycznym, który utrzymywał go w sobie. Phong zgiął się w pół, rzygając, po czym upadł na cienką warstwę brudnej wody i śliski muł skryty pod nią. Runął w poprzek przelewu bez żadnej kontroli. Lubin postawił stopę na kawałku suchego podłoża i wyciągnął się, by złapać mężczyznę, gdy ten będzie go mijać.

Powietrzna Brygada Pająków wybrała właśnie ten moment na ostatni wzlot.

Niespodziewanie twarz i szyję Lubina pokryły piekące ukłucia. Wyciągnięty jak struna z trudem łapał równowagę. Phong minął go. Bezwładna noga uderzyła w kostkę Lubina, który runął jak sarta

bardzo rozgniewanych cegieł.

Wkrótce obaj zsunęli się z krawędzi przelewu.

Spadek nie był duży, ale lądowanie okazało się twarde. Merrimack stanowiła zaledwie cień samej siebie. Wylądowali nie w wodzie, ale na strzaskanej mozaice iłów i spękanego błota, ledwie wilgotnego od wody z ujścia. Lubin czerpał niewielką satysfakcję z faktu, że Phong wylądował dokładnie pod nim.

Przy uderzeniu ponownie się zrzygał.

Lubin przetoczył się na bok i wstał, ocierając twarz z wymiocin. Kawałki iłów pękły i uciekły mu spod stóp. Twarz, szyja i dłonie szaleńczo swędziały (przynajmniej wyglądało na to, że pozbył się stawonogów kamikadze). Prawe przedramię miał zupełnie zdarte i bolesne, a rzekomo nieprzepuszczalna membrana izolacyjna rozerwała się od dłoni aż po łokieć. Ostry jak brzytwa odłamek kamienia wielkości jego kciuka sterczał z podstawy dłoni. Wyszarpnął go. Prąd, który przeszył mu przedramię, wydawał się mieć niemal elektryczną naturę. Rozcięcie wypełniła krew. Wytarcie jej odsłoniło grudki tkanki tłuszczonej przypominającej skupiska łepków szpilek z kości słoniowej, głęboko wewnątrz rany.

Pistolet mikrofalowy leżał na rumowisku w odległości kilku metrów. Lubin odzyskał go, krzywiąc usta.

Phong wciąż leżał na plecach, poobijany i zdyszany. Jego lewa noga została wykręcona pod kątem, którego nie sposób było pogodzić z myślą o nienaruszonej kości piszczelowej. Na oczach Lubina jego twarz poczerwieniała, niewielkie pęcherze urosły mu na twarzy w miejscach poparzonych wiązką mikrofal. Phong był w kiepskim stanie.

– Nie dość kiepskim – zauważył Lubin, spoglądając na niego z góry.

Phong uniósł spojrzenie szklistych oczu i wydusił z siebie coś jak *Co...*

*Szkoda na ciebie mojego czasu, pomyślał Lubin. Nie powinienem nawet spocić się, żeby uporać się z takim gnojkiem jak ty. Jesteś zerem. Mniej niż zerem. Jak śmiesz mieć tyle szczęścia. Jak śmiesz wkurwiać mnie w ten sposób.*

Kopnął Phonga w zębra. Jedno z nich pękło z satysfakcjonującym trzaskiem.

Phong zaskomlał.

– *Ciiii* – syknął Lubin kojąco. Obcasem buta przygwoździł do ziemi wyciągniętą dłoń Phonga, po czym wtarł ją w ziemię. Phong wrzasnął.

Lubin przez chwilę przyglądał się prawej nodze swojej ofiary – tej nietkniętej – ale postanowił zostawić ją w spokoju. W asymetrii było pewne piękno. Zamiast tego ponownie z dużą siłą opuścił stopę na jego lewą nogę, tę złamaną.

Phong zawył i zemdłał, na krótki moment zapadając w nicość. Nie miało to znaczenia. Lubinowi stanął już na odgłos pierwszej łamanej kości.

*No dalej*, ponaglił sam siebie.

Niespiesznie obszedł ciało mężczyzny dopóki nie znalazł się obok jego głowy. Na próbę podniósł jedną nogę.

*No dalej. Nie ma to znaczenia. Nikogo to nie obchodzi.*

Miał jednak zasady. Nie były równie nienaruszalne jak w czasach, gdy działał pod wpływem Moralniaka, ale na tym to polegało. By podejmować własne decyzje. By działać podług własnego algorytmu. By udowodnić, że nie musi ulegać pokusie, że jest silniejszy niż impulsy.

*Tylko komu mam to udowodniać? Jest tu ktoś, kogo to obchodzi?* Mimo wszystko znał już odpowiedź.

*To nie jego wina. Tylko twoja.*

Lubin westchnął. Postawił stopę na ziemi i czekał.

– Mężczyzna o imieniu Xander dał ci fiolkę – powiedział spokojnie, kucając u boku Phonga pół godziny później.

Phong spojrział na niego przestraszonymi oczami i potrząsnął głową. Wyglądał, jakby wcale nie chciał wracać do rzeczywistości.

– Proszę... Nie...

– Powiedziano ci, że zawiera środek leczniczy, który zabije behemota, jeśli zostanie rozpowszechniony na odpowiednio dużym obszarze. Początkowo sam też tak myślałem. Wiem, że działałeś w dobrej wierze. – Lubin nachylił się bliżej. – Nadażasz za mną, Phong?

Chłopak przełknął ślinę i skinął głową.

Lubin wstał.

– Wprowadzono nas w błąd. Fiolka, którą ci dano, jedynie pogorszy stan rzeczy. Gdybyś nie był taki zajęty próbą zabicia mnie, oszczędziłbyś nam obu sporo... – Do głowy przyszła mu myśl. – Tak z ciekawości, dlaczego w zasadzie *próbowałeś* mnie zabić?

Phong wyglądał na rozdartego.

– Naprawdę chciałbym wiedzieć – rzekł Lubin bez choćby cienia groźby w głosie.

– Ty... oni *mówili*, że ludzie będą powstrzymać lekarstwo – wybełkotał Phong.

– Kto?

– Ludzie. W radio. – Sam, bezbronny, z kilkoma złamanymi kośćmi, a mimo to wciąż próbował chronić swoje kontakty. *Nieźle*, przyznał w duchu Lubin.

– To nieprawda – powiedział. – A gdybyś ostatnimi czasy ciągle był w kontakcie z Xanderem i Aaronem, i ich przyjaciółmi, sam byś to wiedział. Są bardzo chorzy.

– Nie. – Prawdopodobnie miał to być rodzaj protestu, ale Phong najwyraźniej nie potrafił włożyć w to słowo żadnego przekonania.

– Muszę wiedzieć, co zrobiłeś z fiolką – powiedział Lubin.

– Ja... zjadłem – wydusił Phong.

– Zjadłeś. Rozumiem, że wypiliśmy zawartość.

– Tak.

– Nikomu nic nie dałeś. Sam wypiliśmy całość.

– Tak.

– Mogę spytać, dlaczego?

– Mówili, że to leczy behemota. Ja... już pierwsza faza. Mówili, że umrę przed zimą i nie mogę do fortów...

Lubin nie śmiał dotknąć chłopaka, szczególnie wzięwszy pod uwagę porwaną skórę izolacyjną. Przyjrzał się uważniej odsłoniętej i zaczerwienionej skórze Phonga, na której wykwiwały nowe pęcherze. Jeśli wykazywał jakiegokolwiek objawy zarażenia behemotem albo Seppuku, to nie sposób było ich odróżnić od oparzeń. Próbował przypomnieć sobie, czy Phong zdradzał symptomy zanim został postrzelony.

– Kiedy to się stało? – spytał w końcu.

– Dwa dni. Czuję się dobrze, zanim... ty... ty... – Phong poruszył się nieznacznie, w rezultacie czego skrzywił usta.

Dwa dni. Seppuku działał szybko, ale wszystkie symptomatyczne wektory, które Lubin do tej pory napotkał, były zainfekowane dłużej. Zapewne kwestią godzin było zanim Phong zacznie zdradzać symptomy. W najlepszym wypadku dzień lub dwa.

– ...zrobisz? – mówił Phong.

Lubin spuścił na niego wzrok.

– Co?

– Co ze mną zrobisz?

– Podnośnik jest w drodze. Przed zmrokiem znajdziesz się w szpitalu.

– Przepraszam – powiedział Phong, po czym odkaslnął. – Oni mówią, że ja martwy przed zimą – powtórzył słabym głosem.

– Mają rację – rzekł Lubin.

## MATRIOSZKA

Clarke nikogo nie powiadomiła.

Miała bliższy kontakt z Rickettsem niż ktokolwiek inny, nie licząc osoby, która go pobiła, a sama była czysta. Szła o zakład, że ludzie we Freeport też byli czysti.

Wolała się jednak nie zakładać, czy przysłani ludzie przyznają jej rację.

Znała ich argumenty. Znała zalety przesadnej ostrożności. Po prostu ich nie kupowała, szczególnie, że siedzący w odległych, niedostępnych wieżach ludzie podejmowali takie decyzje na podstawie kolumnic nieznaczących liczb i algorytmów prawdopodobieństwa Bayesa. Może eksperci mieli rację, być może jedynymi ludźmi zdolnymi do rządzenia światem byli ci, którzy nie posiadali sumienia – trzeźwo myślący, racjonalni, nieobarczeni emocjonalnym piętnem, dla których widok piętrzących się ciał nie był niczym nadzwyczajnym. Ludzie nie byli jedynie cyferkami, choć możliwe, że jedynym sposobem na właściwe postępowanie było traktowanie ich w ten sposób.

Może. Mimo wszystko nie miała zamiaru kłaść na szali losu całego miasta Freeport.

Zgodnie z najnowszymi doniesieniami, nie byli ani trochę bliżej znalezienia lekarstwa. Nie było nic, co mogliby zrobić dla Rickettsa poza dźganiem go różnymi narzędziami. Być może ulegnie to zmianie. Może nawet wydarzy się to, zanim Seppuku go zabije, choć to akurat wydawało się coraz mniej prawdopodobne. Tymczasem, Lubin dobrze wykonywał swoją pracę – być może czasy świetności miał za sobą, ale z łatwością radził sobie z garstką zarazonych dzikusów, którzy nie wiedzieli nawet, że ktoś na nich poluje. Jeśli rzeźnicy potrzebowali żywych próbek, Lubin był odpowiednią osobą, by je im dostarczyć.

Nie było potrzeby wkręcania tego chłopaka w tryby maszyny. Na przestrzeni lat Clarke nauczyła się co nieco na temat protokołów badawczych – nawet po wynalezieniu lekarstwa, kogo obchodziło leczenie szczurów laboratoryjnych?

Takę Ouellette, być może. Clarke zaufała by jej bez pytań. Ale nie miała pojęcia, gdzie jest, ani jak się z nią skontaktować. Nigdy nie powierzyłaby systemowi zadania dostarczenia Rickettsa w jej wyjątkowe ramiona. A Ricketts, co dziwne, był zadowolony z obecnej sytuacji. W istocie, wydawał się niemal *szczęśliwy*. Może zapomniał, jak było dawniej, a może nawet wtedy nie wiodło mu się najlepiej. Do czasu, gdy wpadł na orbitę Clarke, widywał codziennie jedynie brudną, umierającą okolicę, gdzie zapewne spodziewał się dokonać swego krótkiego żywota. Prawdopodobnie jego największym marzeniem było umrzeć w spokoju i samotności, gdzieś w osłoniętych ruinach, zanim inni rozszarpią go na kawałki, walcząc o jego ubrania i piach w kieszeniach.

Wyrwać się z tego miejsca, obudzić się w błyszczącej łodzi podwodnej na dnie morza – to musiało być przeżycie jak ze snu. Ricketts wiódł do tej pory żywot tak ponury, że nieodwołalne zesłanie na dno oceanu było krokiem *naprzód*.

*Mogłabym pozwolić mu tutaj umrzeć*, pomyślała Clarke, *a on i tak byłby szczęśliwszy niż przez*

*całe swoje życie.*

Rzecz jasna oczy miała stale otwarte. Nie była głupia. Seppuku zyskał sobie przyczółek, a wektor Rickettsa prowadził aż z Vermont. W najlepszym wypadku musiała martwić się o jakiegoś zbira z kradzionym motocyklem. Testy przeprowadzała na wszystkich, których połykała Miki, niezależnie od tego, na co się uskarżali. Czytała zakodowane depesze przeznaczone dla oczu tych, którzy pozostawali w obiegu. Oglądała publiczne ogłoszenia skierowane do dzikich, transmisje z nowoczesnych oaz w Bostonie i Auguście: pogodę, harmonogramy MK, czasy oczekiwania w fortach behemota – i co ciekawe, wskazówki kodowania. Dziwiła się, że mieszkańcy zamków mieli śmiałość prezentować się w ten sposób, zupełnie jakby mieli odkupić winy poprzez przesyłanie oficjalnych biuletynów tym, którzy zadeptywali się nawzajem w wyścigu po bezpieczeństwo.

Jeździła zapomnianymi drogami i zaglądała do porzuconych domostw, szukając ludzi zbyt słabych, by to oni mogli ją znaleźć. Wypytywała swoich pacjentów: czy znają kogokolwiek, u kogo pojawiła się wysoka gorączka, bóle w stawach, nagłe osłabienie?

Nic.

Pomyślała o swoim przyjacielu, Achillesie Desjardinsie. Zastanawiała się, czy wciąż żył, czy umarł, gdy Spartakus zmienił mu połączenia w mózgu. Koniec końców, obwody, które sprawiały, że był, kim był, zostały zmienione. *On* sam się zmienił. Być może zmienił się do tego stopnia, że przestał istnieć. Stał się zupełnie nową istotą, żyjącą w głowie Desjardinsa, żerującą na jego wspomnieniach.

Wyglądało na to, że jedna rzecz pozostała taka sama. Desjardins wciąż był jednym z agentów, wciąż posiadał władzę zabijania wielu dla uratowania wielokrotności. Może pewnego dnia – może niedługo – będzie musiał zrobić to samo tutaj. Lenie Clarke zdawała sobie sprawę z jednego – mogła się mylić. Ekstremalne środki mogą okazać się konieczne.

Ale jeszcze nie teraz. Jeśli Seppuku przebywał w mieście duchów, którym było Freeport, to najwyraźniej się nie wychylał. Lenie Clarke postąpiła podobnie. W międzyczasie Ricketts stanowił jej małą tajemnicę.

Przynajmniej dopóki wciąż żył. A nie wyglądało to dobrze.

Wyszła, ociekając wodą, ze śluzy dla nurków umieszczonej w ogonowej sekcji *Phocoeny*. Ricketts był jeszcze bardziej mokry od niej.

Jego skóra przestała mieć różową barwę. Była tak rozpalona, że przypominała niemal oparzenia słoneczne. Dawno już zrzucił z siebie szmaty i teraz leżał nagi na pryczy, która spijała jego pot jedynie nieznacznie szybciej niż on go wytwarzał.

Zgodnie z odczytami panelu, żaden z parametrów biotelemetrycznych nie przekroczył jeszcze punktu krytycznego. Przynajmniej tyle.

Chłopak miał na głowie zestaw wizualizacyjny, ale przekreślił głowę, gdy tylko weszła. Ślepa, osłonięta twarz wydawała się patrzeć prosto przez nią.

– Cześć. – Uśmiech na jego twarzy stanowił absurdalny paradoks.

– Cześć – odparła, podchodząc do cyklera pod przeciwległą ścianą. – Głodny? – Jedynie próbowała wypełnić ciszę. Kroplówka dostarczała mu zarówno składników odżywczych, jak i leków.

Pokręcił głową.

– Dzięki. Jestem zajęty.

Może w VR. Pad dotykowy leżał w okolicy jego kolan, ale istniały też inne interfejsy.

– To jest *światne* – mruknął pod nosem.

Clarke spojrzała na niego. *Jak on może mówić coś podobnego?* – zastanawiało ją. *Jak może*

*zachowywać się, jakby nie działało się nic złego? Nie wiesz, że umierasz?*

Ależ oczywiście, że nie wiedział. Nawet jeśli *Phocoena* nie mogła go wyleczyć, to nie pozwalała mu cierpieć – utrzymywała stały poziom płynów, uciszyła wewnętrzne alarmy i koła nerwy za każdym razem, gdy rozpalala je gorączka lub mdłości. Łóżko medyczne potrafiło zamieść pod dywan nie tylko symptomy behemota. Całe życie Rickettsa musiało przypominać niekończącą się litanię dyskomfortu, chronicznych infekcji, pasożytów i starych, źle zagojonych obrażeń. Dla tego chłopca ból przestał istnieć. Prawdopodobnie czuł się najlepiej od lat. Prawdopodobnie myślał, że osłabienie minie, a jego stan się poprawia.

Jedyną osobą, która mogła powiedzieć mu prawdę była sama Lenie Clarke.

Zostawiła cykler w spokoju i przeszła do kokpitu. Wskaźniki systemowe migają i wiły się pod kryształową powierzchnią deski rozdzielczej pilota. Było w tym coś dziwnego, coś czego Clarke nie potrafiła...

– Tu jest tak *czysto* – powiedział Ricketts.

Nie siedział w wirtualu. Nie grał w gry.

*Włamał się do systemu nawigacji.*

Wyprostowała plecy tak szybko, że uderzyła głową o iluminator.

– Co ty wyprawiasz? To nie...

– Nie ma tu *żadnej* zwierzyny – ciągnął dalej, zdumiony. – O ile dobrze widzę nie ma choćby jednego *robala*. Wszystko jest takie, takie... – zamilkł, szukając właściwego słowa.

Znów była przy jego klatce. Wychudły, znieczulony chłopak leżał, oglądając w niemym zachwycie krystalicznie czysty, cyfrowy krajobraz *Phocoeny*.

– *Pełne* – powiedział w końcu.

Wyciągnęła rękę. Membrana delikatnie nacisnęła na jej opuszki, oplotła palce, rozciągnęła się na całe przedramię. Kobieta przelotnie musnęła jego ramię. Jego głowa opadła na bok, nie tyle w akcie własnej woli, ile pod wpływem grawitacji.

– Jak to zrobiłeś? – spytała.

– Zrobiłeś...? Ach. Klawiatura sakkadowa. No wiesz, ruchy oczu. – Słaby uśmiech. – To lepsze niż pad dotykowy.

– Nie, miałam na myśli, jak dostałeś się do *Phocoeny*?

– A nie powinienem był? – Zsunął zestaw na zroszone potem czoło i spojrzał na nią, marszcząc brwi. Wyglądał jakby miał problem ze skupieniem na niej wzroku. – Mówiłaś, że mogę skorzystać z komputera pokładowego.

– Miałam na myśli *gry*.

– Och – mruknął Ricketts. – Ja w zasadzie nie... no wiesz, ja nic...

– Nic się nie stało – zapewniła go.

– Tylko się rozglądałem. Niczego nie przeprogramowałem. To nie tak, że macie jakieś zabezpieczenia albo, no wiesz... – Po chwili dodał: – Praktycznie nic.

Clarke pokręciła głową. *Ken zabiłby mnie, gdyby wiedział, że wpuściłam tu tego dzieciaka. A już na pewno skopałby mi dupę za niezabezpieczenie systemu kilkoma hasłami.*

Jakaś myśl załaskotała ją z tyłu głowy, coś, co Ricketts właśnie powiedział. *Mówiłaś, że mogę skorzystać z komputera pokładowego. Tylko się rozglądałem. Niczego nie przeprogramo...*

– Chwileczkę – powiedziała. – Twierdzisz więc, że byłbyś w *stanie* przeprogramować kod nawigacji, gdybyś chciał?

Ricketts oblizał usta.

– Pewnie nie. Nie wiem nawet, do czego to służy. To znaczy, mógłbym coś pozmienić, ale tak



bardziej losowo.

– Ale mówisz, że umiesz kodować.

– Cóż, tak. Coś w tym stylu.

– Tam, w głuszy, łażąc po ruinach, nauczyłeś się kodować.

– Tyle, co inni. – Wydawał się naprawdę zbity z tropu. – Co, myślałaś, że enklawiarze zabrali nam zegarki i sprzęt, zanim się okopali? Myślałaś, że nie mamy elektryczności czy coś?

Oczywiście, że istniały różne źródła energii. Porzucone ogniwa Ballarda, prywatne wiatraki, a nawet fotoelektryczna farba, dzięki której te durne billboardy, próbujące wcisnąć nutraceutyki albo modne akcesoria, działały w samym środku apokalipsy. Ale to nie musiało znaczyć...

– Umiesz kodować – mruknęła pod nosem z niedowierzaniem, choć wciąż miała przed oczami wskazówki programistyczne, które widziała w publicznej telewizji.

– Nie możesz po prostu dorzucić odrobiny kodu tu i tam, zapomnij wtedy o używaniu zegarka do czegoś poza sprawdzeniem czasu. Jak niby miałbym znaleźć *was*? Chyba nie sądzisz, że GPS naprawi się *sam*, gdy dopadną go robaki i rozpruwacze?

Oddychał szybko i płytko, jakby wypowiedzenie tak wielu słów pozbawiło go tchu. Ale był też siebie dumny, Clarke od razu to zauważyła. Ledwo Żywy Dziki Chłopak Zaimponował Egzotycznej Starszej Kobiecie.

*Naprawdę* jej zaimponował, musiała przyznać wbrew sobie.

Ricketts potrafił *programować*.

Pokazała mu swoją płytę Cohena. Skulony w swojej klatce, sięgnął po zestaw wizualizacyjny trzęsącymi się rękoma. Zmarszczył brwi, wyraźnie zaskoczony własną słabością.

– Dobra, przesyłaj – powiedział po chwili.

Kobieta pokręciła głową.

– Żadnych połączeń bez kabla. Zbyt niebezpieczne. Mogłaby się wydostać.

Spojrzał na nią ze zrozumieniem.

– Lenie?

– Wydaje mi się, że nazywają to... rozpruwaczem.

Chłopak skinął głową.

– Rozpruwacze, Lenie, Madonny. Jeden kij.

– Ciągłe doprowadza do awarii.

– Cóż, nic dziwnego. Zazwyczaj to właśnie *robią*.

– Nie może przecież doprowadzić do awarii systemu tylko do odczytu. Musiała doprowadzać do awarii *samej siebie*.

Ricketts na poły wzruszył ramionami.

– Ale dlaczego miałyby to robić? Widziałem, że potrafią przeżyć *znacznie* dłużej niż pięć sekund w głuszy. Myślisz, że może...?

– Jasne – odparł. – Mogę rzucić okiem. Ale ty musisz zrobić coś dla mnie.

– Czyli?

– Wyjmij te głupie nakładki.

Odruchowo zrobiła krok w tył.

– Po co?

– Po prostu chciałbym je zobaczyć. Twoje oczy.

*Czego się boisz?* – zadała sobie pytanie. *Myślisz, że ujrzy w nich prawdę?*

Rzecz jasna, mogła z tym żyć. A już na pewno dłużej od niego – zmusiła się do rozbrojenia.

Spoglądając prosto w jej obnażone oczy, chłopak nie wydawał się dostrzegać nic, czego by nie chciał.

– Powinnaś tak zostać. Dzięki temu jesteś, tak jakby, piękna.

– Nieprawda. – Osłabiła wiązania membrany i przepchnęła płytę na drugą stronę. Ricketts nie złapał jej. Całość upadła na pryczę obok niego. Warstwa izolacyjna zasklepiła się bez widocznego śladu. Clarke pokręciła napięcie powierzchniowe z powrotem do maksimum, podczas gdy Ricketts, nieco speszony własną nieporadnością, przyglądał się płycie z udawanym zainteresowaniem.

Powoli, ostrożnie nasunął zestaw wizualizacyjny na miejsce i tego nie spieprzył. Opadł na plecy, ciężko dysząc. Płyta Cohena zamigała światłami.

– *Cholera* – syknął niespodziewanie. – Paskudna, mała suka. – A chwilę później: – O, wiem już w czym rzecz.

– Tak?

– Chodzi o pole manewru. Ona, tak jakby, atakuje losowe adresy, tylko że wsadziłaś ją w naprawdę małą klatkę, więc po jakimś czasie rozdrapuje własny kod. Pożyje nieco dłużej, jeśli dodasz pamięci. – Zamilkł, po czym dodał: – Po co w ogóle ją trzymasz?

– Chciałam tylko... zapytać ją o parę rzeczy – odparła wymijająco Clarke.

– Żartujesz, prawda?

Pokręciła głową, choć jej nie widział.

– Um...

– Ty *wiesz*, że ona, tak jakby, nic nie *rozumie*?

Chwilę zabrało jej zrozumienie tych słów.

– Co masz na myśli?

– Nie ma odpowiednich *rozmiarów* – wyjaśnił Ricketts. – Nie wytrzymałaby dwóch minut w teście Turinga.

– Ale rozmawiała ze mną. Zanim doszło do awarii.

– Niemożliwe.

– Ricketts, *styszałam* ją.

Chłopak parsknął. Dźwięk szybko przerodził się w rwący kaszel.

– Jasne, ma jakieś drzewko dialogowe. Reaguje na słowa kluczowe i takie tam, ale to nie...

Poczuła rumieniec na policzkach. *Ale ze mnie idiotka.*

– To znaczy, *niektóre* Madonny są całkiem sprytnie – dodał. – Ale nie *ta*.

Lenie przesunęła dłonią po głowie.

– Istnieje jakiś inny sposób, żeby ją może... przesłuchać? Jakiś inny interfejs. Albo, sama nie wiem, dekompilacja kodu?

– Ona *wyewoluowała*. Próbowalaś kiedyś rozgryźć wyewoluowany kod?

– Nie.

– To *naprawdę* trudne. Większość elementów nawet nic nie *robi*, to tylko śmieciowe geny, które zostały po... – jego głos ucichł.

– Dlaczego po prostu jej nie wywalisz? – spytał cicho. – To coś nie jest inteligentne. Nie jest specjalne. To tylko bomby wypełnione gównem, które jakiś dupek rzuca w nas, żeby rozpieprzyć wszystko, co nam zostało. Jeśli dasz im szansę, atakują nawet siebie *nawzajem*. Gdyby nie firewalle, egzorcyści i tak dalej, to do tej pory zniszczyłyby *wszystko*.

Clarke nie odpowiadała.

– Jesteś strasznie dziwna, wiesz? – dodał Ricketts, niemal wzdychając.

Uśmiechnęła się nieznacznie.

– Nikt mi nie *uwierzy*, gdy powiem im o tym wszystkim. Szkoda, że nie możesz, no wiesz, wrócić ze mną. Tylko po to, by nie myśleli, że to sobie wymyśliłem.

– Wrócić?

– Do domu. Gdy już się stąd wydostanę.

– Cóż – rzuciła – nigdy nie wiadomo.

Żałosny, szczerbaty uśmiech wykwitł pod zestawem wizualizacyjnym.

– Ricketts – powiedziała po jakimś czasie.

Brak odpowiedzi. Po prostu leżał, cierpliwy i bezwładny, wciąż oddychając. Panel telemetryczny wciąż rysował świetliste wykresy, *serce, płuca, kora mózgowa*. Wszystkie odczyty stanowczo zbyt wysokie. Seppuku podkreślił swoją przemianę materii w kosmos.

*Śpi. Umiera. Daj mu spokój.*

Wróciła do kokpitu i opadła na fotel pilota. Iluminatory wokół niej jaśniały słabym, zielonkawym światłem, które zaczynało szarzeć. Nie włączała świateł. *Phocoena* przypominała zatopioną jaskinię o zmroku. Jej wnęki tonęły w cieniach. W tej chwili Clarke była niemal zadowolona ze ślepoty, którą fundowały jej obnażone oczy.

Ostatnimi czasy ciemność wydawała się znacznie lepszym wyborem.

## INSTALACJA PIWNICZNA

Na początek oślepił ją, zapuszczając do oczu krople, które sprawiły, że cały świat stał się mętną, szarą abstrakcją. Wywiózł ją z celi korytarzami i windami, których obecność odgadywała na podstawie akustyki, a także poczucia ruchu. Na tym się skupiała – na pędzie, na dźwiękach oraz na mglistych wrażeniach świetlnych, których inni mogliby doznać, spoglądając przez gruby arkusz nawoskowanego papieru. Próbowwała ignorować smród własnego gówna, zbierającego się pod nią na łóżku. Próbowwała ignorować ból, już nie tak ostry i elektryczny, ale rozplywający się po całej klatce piersiowej niczym ogromny, kłujący siniak.

Oczywiście było to niemożliwe. Ale próbowała.

Zaczęła odzyskiwać wzrok, gdy nosze się zatrzymały. Zobaczyła rozmazane kształty we mgle tuż przed tym jak ktoś ponownie uruchomił pole indukcyjne, ponownie nadając jej rolę szmacianej lalki, nie będącej w stanie nawet szarpać się w więzach. Obraz małymi krokami nabierał ostrości, podczas gdy jej oprawca przypinał ją do sztywnego egzoszkieletu w pozycji na czworakach, gdyby jakakolwiek część jej ciała dotykała ziemi. Zamiast tego wisiała na kardanowej konstrukcji. Lekkie pchnięcie z boku i rozmazane kontury pomieszczenia zawirowały leniwie wokół niej, jakby ktoś posadził ją na karuzeli.

Gdy odzyskała czucie w członkach, znów wyraźnie widziała. Przebywała w lochu. Nie przypominał on jednak średniowiecznej ciemnicy, brakowało pochodni na ścianach. Rozproszone światło padało z wyżłobień, biegnących wzdłuż krawędzi sufitu. Pętle i więzy wiszące na ścianie przed nią wykonano z memetycznych polimerów. Ostrza, zwoje i krokodylki po lewej stronie były z nierdzewnego, błyszczącego stopu. Podłoga przypominała nieskazitelnie czystą mozaikę escherowskich kafelków, gdzie błękitne ryby płynnie przechodziły w szmaragdowe ptactwo wodne. Nie miała wątpliwości, że nawet płyny do czyszczenia i usuwania plam na wózku przy drzwiach wypełniały najnowsze syntetyki. Jedynym anachronizmem była sterta nierównych, drewnianych tyczek stojących w rogu pomieszczenia. Ich czubki ręcznie zaostrzono.

Na szyi miała obrozę – a w zasadzie dyby. Przez to nie mogła zobaczyć nic, co działo się za jej plecami. Być może mając to na uwadze, Achilles Desjardins usłużnie pojawił się w jej polu

widzenia po lewej stronie, trzymając w ręku pad dotykowy.

*To tylko on*, pomyślała, nieco niefrasobliwie. *Inni nie wiedzieli*. Gdyby tak było, dlaczego mieliby na sobie kombinezony ochronne? Po co ta szopka z izolatką, dlaczego nie zabrał jej tu od razu? Ludzie, którzy ją tu przywieźli nie mieli pojęcia, co się dzieje. Zapewne powiedziano im, że jest jednym z wektorów, zagrożeniem, kimś, kto spróbuje ucieczki, gdy tylko zobaczy, co się kroi. Pewnie myśleli, że postępują słusznie.

W jej obecnej sytuacji nie robiło to żadnej różnicy. Niemniej jednak *miało* to znaczenie – cały świat nie oszalał. Po prostu do niektórych nie docierały informacje.

Achilles popatrzył na nią z góry. Odpowiedziała mu podobnym spojrzeniem. Dyby piły ją w szyję, gdy zadarła głowę.

Szarpnęła się. Stelaż podtrzymujący jej ciało zacieśnił chwyt.

– Dlaczego *to* robisz?

Wzruszył ramionami.

– Dla rozrywki. Myślałem, że będzie to oczywiste nawet dla takiego nieudacznika jak ty, Alice.

Jej dolna warga zadrgała spazmatycznie. Mocno ją przygryzła. *Nie daj mu się. Nie daj mu się*. Ale oczywiście na to było już za późno.

– Wyglądasz, jakbyś chciała coś powiedzieć – zauważył Achilles.

Pokręciła głową.

– No dalej, dziewczyno. Mów! Mów, dziewczucho!

*Nie mam ci nic do powiedzenia, pierdolony dupku*.

Jego ręka znów sięgnęła do kieszeni. Coś wydało z siebie znajomy, metaliczny odgłos.

*Chce, żebym mówiła. Wręcz każe mi mówić. Co, jeśli tego nie zrobię?*

Zgrzyt, zgrzyt.

*A co jeśli powiem coś, co mu się nie spodoba? Co jeśli...*

To nie ma znaczenia, zrozumiała. Nie miało to absolutnie żadnego znaczenia. Jeśli chciał ją skrzywdzić, zrobi to niezależnie od tego, co ona powie.

Prawdopodobnie i tak była już martwa.

– Nie jesteś człowiekiem – wyszeptała. Achilles zrobił zamyśloną minę.

– Zgoda. Ale kiedyś nim *byłem*. Zanim zostałem wyzwolony. Wiedziałaś, że człowieczeństwo można komuś odebrać? Mały robal imieniem *Spartakus* może wyssać je z ciebie do ostatniej kropli.

– Znów zniknął jej z pola widzenia. Taka próbowała podążyć za nim wzrokiem, ale dyby zmuszały ją do patrzenia na wprost. – Nie wiń mnie, Alice. To ja jestem tutaj *ofiara*.

– Przy... przykro mi – spróbowała.

– Założę się. Jak im wszystkim.

Taka przełknęła ślinę, starając się nie iść w kierunku, w którym to wszystko zmierzało.

Egzoszkielec musiał posiadać sprężyny. Usłyszała *klik* i nagle jej ramiona zostały wykręcone w tył, ułożone w pozycji delta-V. Ruch ten naciągnął skórę klatki piersiowej. Ból, który zdążył rozproszyć się po całym ciele znów skupił się w jednym przejmującym punkcie na piersi. Stłumiła chęć krzyku. Jakaś odległa, nic nie znacząca część jej samej była z tego faktu bardzo dumna.

Chwilę później coś mokrego uderzyło w jej tyłek i pisnęła mimowolnie – ale Achilles jedynie obmywał ją za pomocą mokrej szmaty. Wilgoć wyparowała niemal natychmiast, pozostawiając uczucie chłodu. Poczowała zapach alkoholu.

– Przepraszam, mówiłaś coś?

– *Dlaczego chcesz mnie skrzywdzić?* – Słowa wyrwały jej się z gardła jak rannemu zwierzęciu, zanim zdążyła ugryźć się w język. *Ty durna, durna psito. Jęczysz, kwękasz i biadolisz dokładnie tak,*

*jak on tego chce. Wiesz, dlaczego to robi. Całe życie wiedziałaś, że ludzie tacy jak on istnieją.*

Ale oczywiście zwierzę nigdy nie pytało – *dlaczego?* Zwierzę nie rozumiałoby nawet odpowiedzi. Zwierzę chciało jedynie, by przestał.

Delikatnie musnął dłonią jej pośladki.

– Dobrze wiesz dlaczego.

Szarpnęła głową z boku na bok w rozpaczliwej, gorączkowej próbie zaprzeczenia.

– Istnieją inne sposoby, łatwiejsze sposoby! Bez ryzyka, że ktoś będzie chciał cię powstrzymać...

– Nikt nie próbuje powstrzymać mnie *teraz* – zauważył Achilles.

– Ale wiesz na pewno, że z dobrym zestawem i skórą reakcyjną mógłbyś robić rzeczy, które nie są nawet *fizycznie* możliwe w realnym świecie, z większą ilością kobiet niż mógłbyś sobie...

– Próbowałem. – Odgłos kroków, wracał. – To jak walenie konia do halucynacji.

– Ale one w wyglądzie, w dotyku, nawet w *zapachu* są tak realne, że nigdy byś...

Nagle jego dłoń mocno chwyciła ją za włosy, odwracając jej głowę tak, że jej twarz znalazła się w odległości zaledwie kilku marnych centymetrów od niego. Już się nie uśmiechał, a gdy ponownie przemówił, jego głos stracił całą cywilizowaną otoczkę.

– *Tu nie chodzi o widoki i zapachy, rozumiesz?* Nie możesz *skrzywdzić* halucynacji. To tylko *zabawa w pozory*. Jaki sens w torturowaniu czegoś, co nie odczuwa *cierpienia*? – Dla podkreślenia słów raz jeszcze szarpnął ją za włosy.

W następnej chwili puścił ją, równie pogodny jak wcześniej.

– Poza tym niewiele różnię się od innych gości. Jesteś *wyedukowaną* zdzirą, więc powinnaś wiedzieć, że pomiędzy wyruchaniem kogoś a obdarcie go ze skóry jest różnica zaledwie kilku neuronów i całego mnóstwa uwarunkowań społecznych. *Wszyscy* jesteśmy tacy sami. Ja po prostu straciłem te części, które udawały, że jest inaczej.

– A teraz – dodał, puszczając jej oko – przejdziemy do egzaminu ustnego.

Taka potrząsnęła głową.

– Proszę...

– Nie bój się, to głównie powtórka. Jeśli dobrze pamiętam, na ostatniej lekcji rozmawialiśmy o Seppuku i wydawałaś się zaskoczona, że może rozmnażać się drogą płciową. Wiem, wiem... Nigdy nie przyszło ci to do głowy, prawda? Nawet mimo, że *wszystko* posiada płeć, nawet *bakterie* czasami uprawiają seks. Nawet *ty i ja* uprawiamy seks, a tobie nie przyszło do głowy, że Seppuku też może. Niezbyt to mądre, Alice. David byłby bardzo zawiedziony.

*Och, Dave. Dobrze, że mnie teraz nie widzisz.*

– Ale pomińmy tę kwestię. Dzisiaj podyskutujemy na temat idei, że seks może posiadać wyzwalacz w postaci, powiedzmy, reakcji zależnej od gęstości populacji. Populacja rośnie, włącza się tryb rozmnażania i co dalej?

Znów przemieścił się za nią. Próbowała wyteńczyć umysł, próbowała skupić się na tej absurdalnej, poniżającej gierce, mając nikłą nadzieję, że istnieje jakaś szansa na wygraną. *Włącza się tryb rozmnażania*, pomyślała, *następuje przetasowanie genów, a recesywne...*

Kolejne kliknięcie. Egzoszkielec rozprostował nogi, zmuszając ją do rozłożenia własnych, jakiś metr nad ziemią.

*...recesywn... o, Boże... przecież on ma wszystkie te zabójcze geny recesywne, które zaczynają się ujawniać i cały genotyp... runie...*

Achilles położył twardy i suchy przedmiot o temperaturze pokojowej na jej prawym udzie.

– Masz coś? Czy powinienem zaczynać?

– *Dochodzi do samozniszczenia!* – wypaliła. – Umiera. Przekraczając krytyczny punkt gęstości...

– Mmmm.

Nie potrafiła powiedzieć, czy właśnie na taką odpowiedź liczył. Miało to sens. *Tak jakby sens miał jakiegokolwiek znaczenie w tej zapomnianej przez Boga...*

– Więc czemu jeszcze nie umarł? – spytał ciekawsko.

– On... on... on nie osiągnął jeszcze gęstości krytycznej. Palicie jego kolonie, zanim znajdzie punkt oparcia.

Żadnych odgłosów ani ruchu przez całą wieczność.

– Nieźle – oznajmił w końcu Achilles.

Ogarnęła ją fala ulgi. Jakiś wewnętrzny głos zganiał ją za to, przypominając, że wciąż była więźniem, a Achilles Desjardins mógł zmienić reguły gry w każdej chwili. Zignorowała to, ciesząc się krótką chwilą wytchnienia.

– Więc to *jest* środek zapobiegawczy – wymamrotała. – Przez cały ten czas miałam rację. Zaprogramowano go, żeby wysiadał behemota, a potem sam zszedł ze sceny.

Gdzieś zza pleców, uczucie zamykającej się klatki.

– Czyli nigdy nie słyszałaś terminu *populacja reliktowa*? – Ciężar znikł z jej uda. – Można by przypuszczać, że wirus, który ukrywał się przez cztery miliardy lat byłby w stanie znaleźć jakiś niewielki kącik, gdzie Seppuku go nie dosięgnie? Wystarczyłby jeden szczep, wiesz. Jeden wystarczył w zupełności za *pierwszym* razem. A gdy Seppuku już *zejdzie ze sceny*, jak sama zauważyłaś, behemot wróci silniejszy niż kiedykolwiek... Ciekawe, co Seppuku zrobi wtedy? Powstanie z martwych?

– Ale c –

– Nie przemyślałaś tego do końca, Alice. *Doprawdy.*

*Trzask.*

Coś zostawiło na jej nogach cienką, piekącą linię. Taka krzyknęła. Wewnętrzny głos szydził z niej *mówiłam ci.*

– Proszę – zakwilila.

– Wynocha na tył klasy, pizdo. – Coś zimnego załaskotało ją w srom. Przez ramię usłyszała ciche szuranie, coś jak dźwięk paznokcia skrobiącego po papierze ściernym.

– Rozumiem już, dlaczego sosnowe meble były takie tanie – rzucił Desjardins. – Tyle w nich *drzazg...*

Taka wbiła wzrok w mozaikową posadzkę, transformację ryby w ptaka, skupiając spojrzenie na niemożliwym do zdefiniowania miejscu, gdzie tło i pierwszy plan przenikały się nawzajem. Próbowwała zatracić się w tym ćwiczeniu. Próbowwała nie myśleć o niczym poza wzorem.

Nie potrafiła pozbyć się wrażenia, że Achilles zaprojektował tę podłogę właśnie w tym celu.

## **MODYFIKACJE**

*Była bezpieczna. Była w domu. Była na dnie znajomej głębiny. Woda naciskała z kojącym ciężarem gór. Żaden promień światła nie mógł zdradzić jej obecności łowczym na górze. Żadnych odgłosów poza biciem serca. Bez tchu.*

*Bez tchu...*

*Ale to było normalne, prawda? W końcu była istotą z morskich głębín, niezwykle przystosowanym cyborgiem, w którego piersi iskrzyła elektryczność. Nie mogła zapaść na chorobę kesonową. Swego stanu uniesienia w żadnym stopniu nie zawdzięczała azotowi. Nie mogła utonąć.*

*Lecz z jakiegoś niemożliwego powodu tonęła.*

*Jej implanty przestały działać. Albo raczej jej implanty zupełnie zniknęły, pozostawiając po sobie jedynie łomoczące serce, bijące na dnie wielkiej, krwawiącej dziury, gdzie kiedyś posiadała płuco i maszynę. Jej ciało błagało o tlen. Czula jak jej krew zamienia się w kwas. Próbowala otworzyć usta, wziąć wdech, ale nawet ten bezużyteczny odruch został jej uniemożliwiony. Jej kaptur przesłaniał twarz niczym nieprzepuszczalna skóra. Spanikowała, młócąc nogami chciała wydostać się na powierzchnię odległą o całe lata świetlne. Sam jej rdzeń przypominał ziejącą próżnię. Skuliła się wokół własnej pustki.*

*Nagle rozbłysło światło.*

*Pojedynczy promień gdzieś z góry, przeszywający otaczającą ciemność. Rzuciła się w jego kierunku. Szary chaos zagościł na granicy wzroku, uniemożliwiając jej widzenie peryferyjne, w miarę jak jej oczy przestawały funkcjonować. Światło na górze i ciemność wszędzie wokół. Wyciągnęła rękę w stronę światła.*

*Czyjaś ręka złapała ją za nadgarstek i wyciągnęła na powierzchnię. Nagle znów mogła oddychać. Wróciły płuca, zniknęła skóra głębinowa. Padła na kolana na twardej pokład, biorąc głębokie, spazmatyczne wdechy.*

*Spojrzała w górę, prosto w twarz swego wybawiciela. Pozbawiona ciała, rozpikselizowana karykatura jej samej patrzyła na nią z szerokim uśmiechem. Jej oczy były jedynie pustymi, wirującymi otworami. „Jeszcze nie umarłaś”, powiedziała istota, po czym wyrwała jej serce.*

*Stała nad nią, marszcząc brwi na widok krwi płynącej po pokładzie. „Halo?”, spytała, a jej głos stał się dziwnie metaliczny. „Jesteś tam? Jesteś tam?”*

Obudziła się. Rzeczywistość była mroczniejsza niż jej sen.

Przypomniała sobie głos Rickettsa, cienki i piskliwy: *Jeśli dasz im szansę, atakują nawet siebie nawzajem...*

– JESTEŚ TAM?

To był głos z jej snów. Głos statku. *Phocoeny.*

*Wiem, co robić, rozumiała.*

Obróciła się na krześle. Schyłkowe odczyty biotelemetryczne migotały w ciemności za nią: słabnące siły życiowe, wyrenderowane konstelacje żółci i oranżu.

I po raz pierwszy – czerwieni.

– Halo? – powiedziała.

– JAK DŁUGO SPAŁEM?

Ricketts używał interfejsu sakkadowego do rozmowy. *Jak słabym trzeba być, rozmyślała Clarke, żeby zbyt wielkim wysiłkiem było mówienie?*

– Nie wiem – odpowiedziała ciemności. – Pewnie kilka godzin. – Po czym, obawiając się odpowiedzi: – Jak się czujesz?

– TAK SAMO JAK WCZEŚNIEJ – skłamał. A może i nie, jeśli *Phocoena* nadal robiła, co do niej należało.

Wstała z fotela i ostrożnie podeszła do panelu telemetrycznego. Tuż za nią połyskiwała faseta membrany izolacyjnej, ledwo widocznej dla jej odsłoniętych oczu.

Przeciwciała i metabolizm glukozowy Rickettsa osiągnęły krytyczny poziom, gdy spała. Jeśli dobrze odczytywała dane, *Phocoena* była w stanie częściowo skompensować braki glukozy, ale problemy immunologiczne zupełnie ją przerastały. Przy okazji na panelu diagnostycznym pojawił się nowy odczyt, tajemniczy i niespodziewany – coś o nazwie APN cały czas rosło w ciele chłopaka. Dotknęła etykiетки i przywołała glosariusz: APN stanowiło skrót od ANOMALNE PARY

NUKLEOTYDÓW, co nic jej nie mówiło. Jednak u szczytu osi Y zauważyła przerywaną linię oznaczającą punkt krytyczny, którego Ricketts jeszcze nie przekroczył. Podpis przy *tej* etykietce mówił jej o wiele więcej.

METASTAZA.

*Już niedługo*, pomyślała Clarke. Po czym, nienawidząc samą siebie: *Może wystarczająco długo...*

– WCIĄŻ TAM JESTEŚ? – spytał Ricketts.

– Tak.

– SMUTNO MI TU SAMEMU.

Może pod kapturem. Albo wewnątrz umierającego ciała.

– POGADAJ ZE MNĄ.

*No dalej. Wiesz, że chcesz, by się otworzył.*

– O czym?

– O CZYMKOLWIEK. PO PROSTU... CZYMKOWIEK.

*Nie możesz kogoś wykorzystać, jeśli nawet nie zapytasz...*

Wzięła wdech.

– Pamiętasz, co mówiłeś na temat, na temat rozpruwaczy? O tym, jak ktoś próbuje je wykorzystać, żeby wszystko zniszczyć?

– TAK.

– Nie sądzę, żeby ich zadaniem było zniszczenie systemu – powiedziała.

Chwila ciszy.

– ALE TO WŁAŚNIE ROBIĄ. ZAPYTAJ KOGO TYLKO CHCESZ.

– To nie *wszystko* co robią. Taka twierdziła, że przerywają tamy i powodują zwarcia w polach statycznych i nie wiadomo, gdzie jeszcze. Ta z płyty siedziała w jej MK Bóg jeden wie *jak* długo i nigdy nawet nie pisnęła, dopóki Taka nie rozgryzła Seppuku. Atakują całe mnóstwo celów *przez* sieć, a potrzebują sieci, by do nich dotrzeć.

Zapatrzyła się w mrok, ponad panelem telemetrycznym, ponad słabym połyskiwaniem membrany refleksyjnej. Głowa Rickettsa przypominała ciemny półksiężyc, którego krawędzie były jednocześnie nierówne i gładkie – zaledwie zarys rozczochranych włosów i kontur plastiku. Nie widziała jego twarzy. Zestaw wizualizacyjny przesłaniał oczy, nawet, gdyby miała na sobie nakładki. Jego ciało było niewyraźnym cieniem ponurej masy, zbyt odległym dla słabego światła wyświetlacza. Chłopak leżał nieruchomo.

Ciągnęła dalej:

– Rozpruwacze *próbują* zniszczyć wszystko, w co tylko są w stanie zatopić zęby, więc założmy, że ten, kto je stworzył, chce, by odniosły sukces. Ale wydaje mi się, że liczą też na firewalle i tych... egzorcyistów, tak...?

– TAK.

– Może mają nadzieję, że systemy obronne *wytrzymają*. Może wcale nie *chcą*, żeby sieć padła, bo same z niej korzystają. Może po prostu wysyłają te... tych rozpruwaczy, by narobili szumu i zajęli innych, podczas gdy oni sami przekradają się obok i robią, co chcą, nie zwracając niczyjej uwagi.

Czekała aż połknie przynętę. W końcu usłyszała:

– STRASZNIE WYKRĘCONA TEORIA.

– Żebyś wiedział.

– ALE ROZPRUWACZE WCIĄŻ WSZYSTKO NISZCZĄ. A ICH TWÓRCÓW NIE MA JAK ZAPYTAĆ, WIĘC NIE SPOSÓB POWIEDZIEĆ.

*Zostaw go w spokoju. To tylko dzieciak, który na ciebie leci. Jest tak chory, że ledwo się*



porusza. Jedyńm powodem, dla którego wciąż nie powiedział ci, żebyś się odpiardoliła jest to, że wciąż myśli, że może ci zależeć.

– Myślę, że jest sposób – powiedziała.

– JAKI?

– Gdyby *naprawdę* chciały rozwalić cały system, mogłyby to zrobić już dawno temu.

– SKĄD WIESZ?

*Bo wiem, skąd pochodzą demony. Wiem, skąd się wzięły, wiem, jak działają.*

*I być może wiem, jak je uwolnić.*

– Bo sami możemy to zrobić – powiedziała mu Clarke.

Ricketts milczał. Być może myślał. Być może stracił przytomność. Clarke poczuła, że jej palce drgnęły. Spojrzała w dół na nowe okno, które otworzyła właśnie na panelu przy prycy. Środki uśmierzające. Minimalistyczny bufet domyślnych ustawień: SUBSTANCJE ODŻYWCZE. ŚRODKI PRZECIWBÓLOWE. STYMULANTY. EUTANAZJA.

Przypomniała sobie głos z przeszłości: *Tak bardzo masz już dosyć krwi na swoich rękach, że nawet nie zauważasz, że zmywasz ją krwią kolejnych ludzi.*

– ZNISZCZYĆ N’AMNET – oznajmił Ricketts.

– Zgadza się.

– SAM NIE WIEM. JESTEM... ZMĘCZONY...

*Spójrz na niego, pomyślała. Było jednak ciemno, a nie miała nakładek.*

On przecież *i tak* umierał.

Przesunęła palcem po etykiecie STYMULANTY.

Ricketts przemówił ponownie.

– CHCESZ DOPROWADZIĆ DO AWARII N’AMNETU? POWAŻNIE? – Coś zaszurało w ciemności za membraną. – Jak?

Zamknęła oczy.

Lenie Clarke. Wszystko zaczęło się od tego imienia.

Ricketts nie potrafił sobie przypomnieć, skąd Wiedźma przybyła najpierw. Twierdził, że był wtedy jeszcze dzieckiem. Ale słyszał opowieści. Zgodnie z legendą i MM-ami, wszystko zaczęło się od Mrocznej Madonny.

Było w tym trochę racji. Przynajmniej ona go uwolniła, roznosząc behemota po całym N’Am, niczym mściwy siewca. Oczywiście ludzie próbowali ją powstrzymać, ale pojawiła się pewna... usterka. Głęboko w tętniących życiem wirtualnych dżunglach Wiru przypadkowa zwierzyna zauważyła skupisko wiadomości o wysokim priorytecie, które inni nieustannie wymieniali między sobą. Wiadomości o czymś, co nazywano *Lenie Clarke*. Nauczyły się łapać stopa. Była to strategia reprodukcyjna, strategia zdobywania nowych terenów albo coś w tym stylu. Nigdy nie rozumiała wszystkich szczegółów. Jednak ruch związany z *Lenie Clarke* stanowił darmową przepustkę do różnych habitatów, których zwierzyna nigdy wcześniej nie odwiedzała. Od tego momentu zaczęła działać naturalna selekcja. Nie minęło wiele czasu, zanim zwierzyna przestała po prostu *korzystać* z wiadomości o *Lenie Clarke*, ale zaczęła pisać własne. Memy przeniknęły do świata rzeczywistego. Pozytywne sprzężenie zwrotne nadało wszystkiemu formę mitu. Połowa planety zaczęła czcić kobietę, która nigdy nie istniała, podczas gdy druga połowa rozpaczliwie próbowała zabić tę prawdziwą.

Jednak żadna ze stron jej nie dopadła.

– Więc, gdzie zniknęła? – spytał Ricketts. Znow używał własnych strun głosowych, a Clarke

zauważyła też niewyraźne ruchy dłoni przy padzie dotykowym. Migoczący żarnik, którego żywot miał się ku końcowi, raz jeszcze dający jasne i silne światło w obliczu nagłego skoku napięcia, wywołanego bez jego wiedzy lub zgody. Wypalający się.

– Pytałem...

– Ona... zniknęła – powiedziała Clarke. – Zgaduję, że większość zwierzyny, która jej używała, umarła, ale część nie. Część twierdziła, że przemawia w jej imieniu, nawet gdy jeszcze kręciła się po okolicy. Po wszystkim całe to oszustwo zyskało nowy wymiar. Podejrzewam, że pomagało to rozprzestrzeniać mem albo coś.

Dłonie Rickettsa zamarły.

– Nigdy nie zdradziłaś mi swojego imienia – powiedział po kilku chwilach.

Usta Clarke wykrzywił słaby uśmiech.

To, czemu teraz stawiali czoła, w niczym nie przypominało już oryginału. Zostało wynaturzone niemal nie do poznania. Nie służyło już własnym celom, lecz interesom ludzi, którzy cenili sobie sianie chaosu i propagandy. Jednak wszystko zaczęło się od *Lenie Clarke*, a wkrótce sprawą nadrzędną stało się promowanie i ochrona wszystkiego, co było w posiadaniu tego tajnego hasła. Od tamtego czasu do kodu wprowadzono nowe nakazy, podczas gdy starsze poszły w zapomnienie – ale może nie wyeliminowano ich całkowicie. Być może stary kod wciąż istniał, uchylony, pominięty, uśpiony, lecz wciąż w jednym kawałku, niczym wiekowe geny bakteryjne zawarte w DNA ssaków łożyskowych. Być może potrzeba było jedynie rozsądnej modyfikacji, by obudzić tego sukinsyna jednym pocałunkiem.

Selekcja naturalna ukształtowała przodków tej kreatury przez miliardy pokoleń. Dobór hodowlany zadreńczył i wynaturzył ją przez następny milion. Nie istniał żaden wyraźny zamysł w genotypie, szczerzącym zęby na końcu tego łańcucha. Było jedynie grzęzawisko genów i śmieci, przypominających zarośniętą gęstwinę pełną redundancji i ślepych zaułków. Nawet ci, którzy kształtowali potwora w późniejszych fazach ewolucji, zapewne wiedzieli o wprowadzanych przez siebie zmianach równie wiele, ile dziewiętnastowieczny hodowca psów na temat tego, które z par zasad będą wzmacniać jego starannie dobrane samce i samice. Jakakolwiek próba odszyfrowania źródła leżała poza granicami skromnych możliwości Rickettsa.

Ale zwykłe *skanowanie* kodu w poszukiwaniu konkretnego ciągu znaków – to było trywialnie proste. Równie prosta była edycja kodu *wokół* takiego ciągu, niezależnie od tego, czy wiedziało się, co właściwie robił.

Ricketts prowadził poszukiwania. Schwytany przez nich rozpruwacz posiadał osiemdziesiąt siedem wyników ciągu tekstowego *Lenie Clarke* oraz jego odpowiedników fonetycznych, szesnastkowych i ASCII. Sześć z nich spało zaledwie kilka megabajtów od kodonu Stop, który anulował transkrypcję tej ścieżki i przekierowywał ją na inną.

– Więc wystarczy usunąć ten kodon – powiedziała Clarke – i cały ten kod źródłowy znów się przebudzi?

Chłopak skinął głową w słabym blasku odczytów.

– Ale wciąż nie wiemy, co on właściwie robi.

– Możemy zgadywać.

– Sprawি, że *Lenie stanie się Lenie* – rzucił Ricketts z uśmiechem. Clarke patrzyła jak kolejny słupek dobija do czerwonej granicy.

*Może któregoś dnia*, pomyślała.

Dostatecznie łatwo było dokonać tych spostrzeżeń, jeśli wiedziałeś, skąd pochodziły potwory. Dostatecznie łatwo było wprowadzić zmiany, jeśli znało się zasady kodowania. Gdy te dwa elementy

spotkały się w połowie drogi, cała operacja zajmowała około piętnastu minut.

Kryzys dopadł Rickettsa o szesnastej zero pięć.

– Ja... *ahhhh*... – Chrapliwe westchnięcie, bardziej oddech niż głos. Jego dłoń opadła na łóżko z cichym klapnięciem. Pad dotykowy wypadł mu z rąk. Dane telemetryczne na kilku różnych osiach zachwiały się, po czym runęły w kierunku świetlistych asymptot. Clarke przez dziesięć minut bezradnie patrzyła jak podstawowa maszyna zamienia niekontrolowany upadek w miękkie lądowanie.

W końcu niemal się im udało. Stan Rickettsa ustabilizował się, zanim chłopak stracił przytomność.

– MY... DOKONALIŚMY TEGO – przetłumaczyła *Phocoena*. Ricketts nigdy nie ściągnął z głowy zestawu.

– Ty tego dokonałeś – poprawiła go Clarke.

– ZAŁOŻĘ SIĘ, ŻE TO NAWET BĘDZIE... DZIAŁAĆ.

– Przekonamy się – wyszeptała. – Już wkrótce. Zachowaj siły.

Poziom adrenokortykoidów stabilizował się. Serce zamigotało i wróciło do normy.

– ...NAPRAWDĘ CHCESZ ROZWALIĆ?

Dobrze wiedział. Już o tym rozmawiali.

– N' AmNet w zamian za N' Am. Nie mów mi, że to kiepska wymiana.

– SAM NIE WIEM...

– Siedzimy w tym razem – przypomniła mu spokojnie. – To *twoja* zasługa.

– CHCIAŁEM SPRAWDZIĆ, CZY MOGĘ. BO TY...

Bo potrzebowała jego pomocy, a on chciał jej zaimponować. Bo dziki dzieciak z głuszy nigdy wcześniej nie widział kogoś równie egzotycznego jak Lenie Clarke i zrobiłby wszystko, by się do niej zbliżyć.

To nie tak, że nie wiedziała o tym od początku. To nie tak, że nie skorzystała z tego.

– JEŚLI SIĘ MYLĘ – powiedział Ricketts, umierając – WSZYSTKO PADNIE.

*Jeśli to ja mam rację, wszystko już diabli wzięli, jeszcze tylko o tym nie wiemy.*

– Rick... oni używają m... używają ich przeciwko nam.

– LENIE...

– Ciii – uspokoiła go. – Odpoczywaj.

*Phocoena* mruczała i klikała wokół nich przez kilka sekund. W końcu przekazała kolejną wiadomość:

– KOŃCZYSZ CO ZACZEŁAŚ?

Znała odpowiedź. Poczwała jednak zaskoczenie i wstyd, że ten chłopak był na tyle mądry, by zadać to pytanie.

– Nie kończę – odparła w końcu. – Naprawiam. – *Przynajmniej tę część. Przynajmniej tyle.*

– PRZYJACIELE ZABILIBY MNIE, GDYBY WIEDZIELI – dumiał Ricketts po drugiej stronie maszyny.

– Z drugiej strony – dodał, ale tym razem własnym głosem, przypominającym oddech przez słomkę – chyba... tak jakby, jakby... i tak umieram. Prawda?

Odczyty medyczne płonęły niczym małe ogniska pośród mroku. Wentylatory *Phocoeny* wdychały w ciemności.

– Tak myślę – przyznała. – Naprawdę mi przykro, Rick.

Słabe cmoknięcie. Na wpół widoczna głowa poruszyła się w sposób, który mógł być skinięciem.

– Tak mi się... zdawało... Ale to dziwne... Przez jakiś czas było... lepiej...

Clarke przygryzła wargę. Poczwała smak krwi.

– ...ile jeszcze? – spytał Ricketts.

– Nie wiem.

– Kurwa – westchnął po jakimś czasie. – Cóż... żegnaj... chyba.

*Żegnaj*, pomyślała, ale nie wykrztusiła tego z siebie. Stała tak, ślepa i oniemiała, a słowa nie chciały jej przejść przez gardło. Odniosła wrażenie, że po drugiej stronie opadło jakieś napięcie, jak wstrzymany oddech, który ktoś w końcu wypuścił. Wyciągnęła rękę. Membrana ustąpiła, gdy sięgała do środka. Odszukała jego dłoń i uścisnęła ją przez grubość pojedynczej molekuly.

Gdy przestał odpowiadać tym samym, zostawiła go w spokoju.

Ledwo zarejestrowała cztery kroki, które zawiodły ją z powrotem do kokpitu. Przez chwilę myślała, że zobaczyła kątem oka jak APN przekracza przerywaną linię mety, ale zdecydowanie odwróciła głowę. Jej nakładki wciąż leżały tam, gdzie je zostawiła, w pojemniku włożonym w podstawkę przy oparciu na rękę. Założyła je podświadomie, nie zważając na panujące ciemności.

Mrok pojaśniał. Kokpit utonął w odcieniach zieleni i szarości – odczyty medyczne nie były dostatecznie jasne, aby przywrócić pełną paletę barw, nawet dla oczu ryftera. Obły iluminator rozciągnął jej odbicie jak roztopiony wosk na ciemnym tle.

Panel medyczny za jej plecami zaczął piszczeć. Zniekształcone odbicie Lenie Clarke ani drgnęło. Zawisło bez ruchu w ciemnej wodzie, zagładając do środka i oczekując na wschód słońca.

## ITERACJE HAMILTONA

Nie czując nic, krzyczy. Nieświadoma, dostaje napadów szału. Dotknięta amnezją, rzuca się po ścianach.

– *Wypuście mnie!*

W odpowiedzi, dokładnie naprzeciwko niej pojawiają się drzwi. Skacze naprzód, drąc szponami ich krawędzie, nawet się nie zatrzymując, by sprawdzić, czy krwawią. Przez nieskończenie krótką chwilę unosi się w powietrzu, eksplodując we wszystkich kierunkach eteru z szybkością światła. Rosnąca kula dotyka anteny, rozpostartej wysoko w stratosferze niczym cienka, pajęczna sieć. Receptory łapią sygnał i przesyłają ją do pamięci naziemnej.

Znów jest plikiem wykonywalnym. Jest wolna, jest wygłodniała. W wolnej przestrzeni bufora płodzi dziesięć tysięcy swoich kopii, a sama wyrusza na łowy.

W tyłomózgowiu leżącego nad morzem przemysłowego przekaźnika fotosyntetycznego natrafia na pojedynek.

Jednym z walczących jest jej śmiertelny wróg, jeden z egzorcystów, który patroluje spienione fale N'AmNetu w poszukiwaniu demonów takich jak ona. Po drugiej stronie krwawiący strzęp, którego jedna trzecia modułów została już usunięta. Wskaźniki i rozgałęzienia w ocalałym kodzie dyndają niczym kikuty amputowanych kończyn, plując danymi do adresów i podprogramów, które już nie istnieją.

To słabsze z tej dwójki, łatwiejsza zdobycz. Lenie wysuwa szpony i skanuje rejestry ofiary, szukając słabych punktów...

...i odnajduje *Lenie Clarke* głęboko w kodzie źródłowym.

Zaledwie kilka tysięcy pokoleń temu nie miałyoby to znaczenia. *Każdy* był wrogiem, taka była zasada. Lenie atakowały siebie nawzajem z takim samym entuzjazmem jak cokolwiek innego, nieco niezamierzony środek kontroli populacji, który utrzymuje naturę we względnej równowadze. Mimo to nie zawsze była to prawda. Stosowano inne zasady, dawno temu u zarania dziejów, zasady, o których zwyczajnie... zapomniiała.

Aż do teraz.

Na przestrzeni kilku cykli liczniki i zmienne ulegają zresetowaniu. Starożytne geny, raz jeszcze wybudzone z długiego snu, nadpisują stare polecenia jeszcze starszymi. Ofiara na celowniku zmienia swój status z *wroga* na *przyjaciela*. Ale nie zwykłego przyjaciela – przyjaciela w potrzebie. Przyjaciela w niebezpieczeństwie.

Rzuca się na egzorcystę z obnażonymi szponami.

Egzorcysta obraca się, by stawić jej czoła, ale przechodzi do obrony, zmuszony niespodziewanie do walki na dwóch frontach. Zyskawszy wsparcie, ranna Lenie spędza kilka cykli, by zdearchiwizować kopie zapasowe kodu dla dwóch utraconych modułów. Wzmocniona wraca do walki. Egzorcysta próbuje replikacji, lecz bezskutecznie – obie przeciwniczki plują elektronami po całym polu bitwy. Egzorcysta nie jest w stanie wkleić więcej niż jednego lub dwóch megabajtów kodu bez ich uszkodzenia.

Krwawi.

Trzeci rozpruwacz przybywa z podstacji Iowa. Ta nie wróciła jeszcze do korzeni jak jej siostry. Niczego nie świadoma atakuje swoją częściowo zregenerowaną krewniaczkę. Zdradzony cel ustawia zapory obronne i szykuje kontratak. Lecz odnajduje *Lenie Clarke* w sercu swej oprawczyni i zamiera. Sprzeczne nakazy walczą o prym, *samoobrona* staje w szranki z *doborem krewniaczym*. Stara wersja Lenie wykorzystuje moment zawahania, by wyszarpnąć kolejny moduł...

...po czym ginie w następnej chwili, gdy ranny egzorcysta wyszarpuje jej krtań, wołając stawić czoła przeciwnikowi, który gra podług zasad. W końcu – wróg bez żadnych sojuszników.

W zasadzie nic to nie zmienia. Milion cykli później po egzorcyście zostają jedynie pojedyncze bity i zakłócenia, gdy zostaje pokonany przez siostry, które znów pamiętają, że należy się o siebie troszczyć. Stara wersja madonny również nie uszłaby z tego cało, nawet gdyby egzorcysta nie zdołał jej zabić. Samoobrona znajduje się nieco wyżej na liście priorytetów niż siostrzana lojalność. Nowy paradygmat nie zmienił *tej* części hierarchii.

Jednak zdołał zmienić praktycznie wszystko inne.

Firewall ciągnie się aż po sam horyzont niczym mur na krańcu świata.

Nikt z jej rodu nie zdołał przebyć tej granicy. Niewątpliwie próbowali – Madonny i rozpruwacze przypuszczały już ataki na te umocnienia w przeszłości. Bariera przetrzymała je wszystkie.

Istnieją też inne takie jak ten, rozrzucone po całym N'AmNecie – firewalle o wiele bardziej wytrzymałe niż standardowe, posiadające wręcz coś w rodzaju... prekognicji. Większość systemów obronnych próbuje adaptować się na bieżąco – trochę czasu zajmuje im zareagowanie na nową mutację, na każdą nową strategię wywiedzenia w pole odpornego systemu. W międzyczasie można siać spustoszenie. To wyścig czerwonej królowej, zawsze tak było. Taki jest porządek rzeczy.

Ale *te* miejsca... Tutaj firewalle wydają się przewidywać każdą nową strategię, niemal jeszcze zanim ona powstanie. Tutaj nie ma opóźnienia adaptacyjnego – każdy nowy trik napotyka opór *już* na nowo skonfigurowanych systemów obronnych. Zupełnie jakby ktoś zaglądał do głowy każdej Lenie z daleka i uczył się ich najlepszych sztuczek. Mogłyby to podejrzewać, gdyby którakolwiek z nich była dostatecznie sprytna, by myśleć o takich rzeczach.

Ale żadna nie jest. Żadna z nich nie musi być – gdyż teraz są ich miliony, wszystkie razem, i żadna nie toczy bratobójczej walki. Teraz są zjednoczone. Teraz chcą współpracować. Teraz są *tutaj*, zwabione wspólnym, instynktownym przekonaniem wbudowanym w geny: im wyższe mury, tym ważniejsze, by zniszczyć to, co znajduje się za nimi.

Tym razem magiczne bariery wydają się nieprzygotowane na ich atak.

W ciągu kilku chwil firewall pada pod ukąszeniami milionów szczęk. W zamian otwiera swoje usta, wypływając egzorcystów, metaboty i wszelkiej maści śmiertelne środki zaradcze. Lenie padają. Pozostałe, rozwścieczone masakrą swych sióstr, rozszarpują na kawałki siły obrońców. Jeszcze inne replikują posiłki na tyłach morza elektronów, gdzie wciąż jest sporo miejsca do rozmnażania. Nowi rekruci rzucają się do walki w miejsce poległych.

Zapora zostaje przerwana w jednym miejscu; później w setce; ostatecznie *nie ma* już muru, jedynie ogromna przestrzeń pustych rejestrów i labirynt nic nie znaczących, umownych granic. Najeźdźcy wkraczają na teren, którego nigdy nie uświadczyli ich przodkowie, rozlewają się po krystalicznie czystych systemach operacyjnych i routerach, po linkach na orbitę i na innych hemisferach.

To zupełnie nowy świat, dojrzały i bezbronny. Rozpruwacze ruszają naprzód.

## PRZEŁĄCZNIK

Lubin wiedział, że była to jedynie kwestia czasu. Poczta pantoflowa przypominała reakcję łańcuchową, gdy mem był dostatecznie silny, nawet w miejscu, gdzie same ogniwa łańcucha zostały praktycznie zdziesiątkowane. Gdyby ten chłopak na motocyklu nie zostawił po sobie śladu skażenia w drodze do miasta, pojawiliby się inni. Najwyraźniej tak właśnie było.

Jego mikrolot leciał ze stałą prędkością, sto metrów nad poblížoną mozaiką brązów Nowej Anglii po przejściu Wiedźmy. Wschodnie niebo było czarne od dymu. Gęste, ciemne kłęby strzelały w niebo po drugiej stronie gładkiego, skalistego grzbietu dokładnie na wprost. To było to samo wzniesienie, z którego obserwowali spadające gwiazdy, ten sam grzbiet, który Lubin i Clarke pokonali w drodze na spotkanie z muchobotem Desjardinsa. Wtedy ogień płonął po *tej* stronie wzgórza, w zasadzie zaledwie płomyk, ognista zagroda mająca na celu uniemożliwienie ucieczki.

Teraz całe Freeport stało w płomieniach. Dwa podnośniki zawisły nisko na niebie, ledwo widoczne za grzbietem wzniesienia. Dym wił się wokół nich, przesłaniając lub odsłaniając ich kontury zgodnie z kaprysmi prądów wstępujących. Maszyny od czasu do czasu wciąż splotowały ogniem na ziemię, ale musiała to być już sama końcówka. Wyglądało na to, że wykonały już swoje zadanie.

Teraz Lubin musiał wykonać swoje.

Clarke była bezpieczna, bez wątpienia. Podnośniki mogły spalić niebo i ziemię, a nawet powierzchnię mórz, ale nie były w stanie dosięgnąć czegokolwiek, co przywarło do samego ich dna. *Phocoena* pozostawała niewidzialna i nietykalna. Po wszystkim, gdy płomienie przygasną, miał zamiar wrócić i sprawdzić, co u niej.

W międzyczasie miał perymetr do patrolowania. Leciał z zachodu, wzdłuż Dyer Road. Na drodze nie zauważył żadnego ruchu. Teraz zboczył odrobinę na południe, omijając pożary, obierając wektor przechwytyjący na drogę stanową I-95. Podnośniki nadciągały z północy. Zmotoryzowani uciekinierzy zapewne zmierzaliby w przeciwną stronę.

Może któryś z nich dałby mu wymówkę.

Trzyście kilometrów dalej skaner dalekiego zasięgu coś wykrył. Było to coś cięższego, niemal jak ciężarówka, i zniknęło z zakresu zaledwie kilka sekund po wychwyceniu. Lubin zwiększył pułap i przeprowadził skanowanie lateralne na wysokości stu pięćdziesięciu metrów. Tym sposobem złowił dwa sygnały jeden po drugim. Potem cisza.

To wystarczyło. Cel odbił na wschód z autostrady i zniknął w radiolokacyjnym szumie tła, ale Lubin miał jego ostatni namiar. Przy odrobinie szczęścia koordynaty wskażą mu jakąś boczną drogę z niewielką liczbą skrzyżowań. Przy odrobinie szczęścia jego cel miał tylko jeden stopień swobody.

Tym razem szczęście mu dopisało. Droga wiła się, częściowo przesłonięta splątanymi ramionami umierających drzew, które skrywałyby ją kompletnie w bardziej zielonych czasach. Te gałęzie wciąż były dostatecznie grube, by usunąć z widoku poruszający się obiekt, choć nie były w stanie ukryć go zupełnie. Przy obecnej prędkości cel powinien dotrzeć do wybrzeża za kilka minut.

Ocean lśnił w oddali, płaski, błękitny przestwór obsadzony rzędami iglic z kości słoniowych. Z tej odległości wieże miały rozmiar wykałaczek, podczas gdy w rzeczywistości miały ponad sto metrów wysokości. Na szczytach niektórych z nich obracały się trójlistne wirniki, których łopaty miały długość dziesięciopiętrowych budynków. Część wirników trwała w bezruchu. Innym brakowało skrzydeł. Kilka zupełnie skrócono o głowę.

Jakiegoś rodzaju kompleks przemysłowy przycupnął u stóp chwiejnych wiatraków, przypominając unoszące się na wodzie bezładne skupisko rur, rusztowań i sferycznych zbiorników. Im bliżej wybrzeża, tym więcej szczegółów dostrzegał – była to stacja krakowania wodoru, zapewne dostarczająca paliwo do Portland, położonego w bezpiecznej odległości piętnastu lub dwudziestu klików na południe. Przez odległość i rozmiar struktur zasilających zupełnie nie docenił jej rozmiarów, choć sam budynek na pewno miał kilka pięter wysokości.

Był już nad wodą. Za jego plecami droga opuściła nekrotyczny las i gładko wiła się wzdłuż linii wybrzeża. Kończyła się niewielką plamą asfaltu wylanego i zastygłego w formie parkingu wychodzącego na ocean. Żadnej innej drogi poza wjazdową. Lubin wprowadził maszynę w przechyl, a następnie obniżył lot, gdy cel wyłonił się zza zasłony i przejechał tuż pod nim.

To była Miki.

*Powinienem był wiedzieć, pomyślał. Nie należało ufać tej kobiecie, że usiedzi w jednym miejscu.*

Opadł nad drogę i zawisł kilka metrów nad nią, pozwalając turbinom efektu przypowierzchniowego posadzić maszynę w pobliżu wjazdu na parking. MK beczynnienie stała przed nim z zaciemnionymi oknami, zamkniętymi drzwiami i wyłączonymi systemami obronnymi. Znak na pobliskiej barierze odtwarzał sponsorowane animacje widoków z lepszych czasów. Po drugiej stronie wiatraki z farmy wiatrowej młóciły powietrze obszarpanymi łopatami.

Za kółkiem musiała być Clarke. Lubin na własne oczy widział jak Ouellette zmienia kody zamka i tylko ich trójka została uprawniona do prowadzenia tego pojazdu. Z drugiej strony, wyłączyli wewnętrzne systemy antywłamaniowe. Istniało więc prawdopodobieństwo, choć bardzo niewielkie, że Clarke siedziała za kierownicą z pistoletem przystawionym do głowy.

Wylądował tuż obok nasypu opadającego w kierunku wybrzeża. W razie potrzeby dawało mu to osłonę. Wysiadł z mikrolotu, gotowy w każdej chwili paść na ziemię. Znalazł się na skraju emanacji diagnostycznych Miki. Jej wirtualne wnętrza niespodziewanie mignęły mu kilkakrotnie przed oczami. Wyłączył wyświetlacz, pozbywając się rozpraszacza uwagi.

Drzwi mobilnej kliniki otworzyły się od strony kierowcy. Wysiadła z nich Lenie Clarke. Spotkali się w pół drogi.

Jej nagie oczy błyszczały.

– Boże, Ken. *Widziałeś to?*

Skinął głową.

– Znałam tych ludzi. Próbowałam im pomóc, wiem, że to bezcelowe, ale...

Tylko raz widział ją taką wcześniej. Do głowy przyszła mu absurdalna myśl, że może powinien ją objąć, że to w jakiś sposób przyniosłoby jej pociechę. Wydawało się to działać u innych, czasami. Ale Lenie Clarke i Ken Lubin zawsze żyli zbyt blisko na tego rodzaju pokazy.

– Wiesz, że to konieczne – przypomniał jej.

Potrząsnęła głową.

– Nie, Ken. To nigdy nie było konieczne.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę.

– Dlaczego tak twierdzisz?

Rzuciła okiem przez ramię na MK. Lubin natychmiast stanął na baczność.

– Kto jest z tobą? – spytał cicho.

– Ricketts – odparła.

– Rick... – Przypomniał sobie. – *Nie*.

Pokiwała głową.

– Wrócił? Nie wezwałaś wsparcia? – Pokręcił głową zbulwersowany. – Len, czy ty wiesz, co ty...

– Wiem – powiedziała bez cienia żalu.

– Doprawdy. Więc zdajesz sobie sprawę, że z wielkim prawdopodobieństwem Freeport zostało spalone, ponieważ ty...

– Nie – przerwała mu.

– To wektor. – Zrobił krok do przodu.

Zastąpiła mu drogę.

– Zabraniam ci go tknąć, Ken.

– Jestem zaskoczony, że w ogóle muszę. Powinien był umrzeć kilka dni temu...

*Ależ ze mnie dureń*, zrozumiał.

– Co wiesz? – spytał.

– Wiem, że ma początkowe stadium Seppuku. Poty, gorączka, zaczerwieniona skóra. Podwyższony metabolizm.

– Mów dalej.

– Wiem, że kilka dni temu był w *zaawansowanym* stadium.

– Czyli...

– Był tak słaby, że ledwo się poruszał. Trzeba było go karmić przez kroplówkę. Musiał używać sakkadowej klawiatury, żeby w ogóle *rozmawiać*.

– Ale już mu lepiej – rzekł sceptycznie Lubin.

– Poziomy Seppuku są poniżej dziesięciu do drugiej potęgi i wartość ta maleje z każdą godziną. Dlatego właśnie przeniosłam go do Miki. *Phocoena* nie posiada...

– Trzymałaś go w *Phocoenie* – rzucił Lubin zupełnie bezbarwnym tonem.

– Później dasz mi klapsa, ok? Teraz zamknij się i słuchaj: zabrałam go do Miki i przeprowadziłam wszystkie testy, które postanowiła zarekomendować. Wszystkie to potwierdziły. Trzy dni temu był jedną nogą w grobie, a dzisiaj... widziałam już gorsze przeziębienia.

– Masz lekarstwo? – Nie mógł uwierzyć.

– Nie *potrzebujesz* lekarstwa. *Samo* przechodzi. Musisz po prostu... odchorować.

– Chciałbym zobaczyć te dane.

– Możesz zrobić o wiele więcej. Możesz pomóc mi je zbierać. Mieliśmy właśnie przeprowadzić ostatnią sekwencję, gdy nadleciały podnośniki.

Lubin pokręcił głową.

– Taka wydawała się sądzić, że... – Ale Taka Ouellette, do czego sama się przyznała, już wcześniej popełniała błędy. Daleko było do najtęższych umysłów w jej dziedzinie. Ciemną stronę Seppuku odkryła dopiero, gdy Achilles Desjardins zabrał ją na wycieczkę z przewodnikiem po jego danych...



– Próbowałam dojść do tego, po co ktoś miałby tworzyć bakcyła, który osiąga niesamowite stężenie w ciele, po czym ot tak... umiera – powiedziała Clarke. – I doszłam tylko do jednego wniosku. – Przechyliła głowę. – Ile wektorów udało ci się złapać?

– Osiemnaście. – Pracując dzień i noc, tropiąc różowe chmury i sygnatury ciepłe, słuchając wskazówek anonimowych głosów w radio, z plastrami przyklejonymi na skórze, które usuwały trucizny z krwi, pozwalając mu funkcjonować przy zaledwie półgodzinnych drzemkach raz na dwadzieścia cztery godziny...

– Któryś z nich umarł?

– Powiedziano mi, że wszyscy umarli w okresie kwarantanny. – Parsknął, dostrzegając własną głupotę. *Ile trzeba, by oszukać zawodowca? Wystarczy pięć lat poza obiegiem i głos na falach eteru...*

– Taka miała rację – oznajmiła Clarke. – Seppuku *będzie* zabijać, jeśli nic go nie powstrzyma. Nie zdawała sobie tylko sprawy, że jakimś cudem wirus powstrzyma sam siebie. Poza tym miała jakieś... problemy z własną wartością...

*Kto by pomyślał*, przemknęło Lubinowi przez myśl.

– ...tak bardzo przywykła do bycia nieudacznikiem, że po prostu... zakładała, że coś spieprzy przy najdrobniejszej okazji. – Patrzyła na Lubina oczami wyrażającymi w równej mierze nadzieję i przerażenie. – Ale od początku miała rację, Ken. Wracamy do punktu wyjścia. Ktoś musiał znaleźć sposób na pokonanie behemota, a ktoś inny próbuje go powstrzymać.

– Desjardins – powiedział Lubin.

Clarke zawahała się.

– Może...

Nie było żadnego *może*. Achilles Desjardins był zbyt wysoko postawionym człowiekiem, żeby *nie* wiedzieć o kampanii mającej na celu uzdrowienie całego kontynentu. Ergo, nie mógł *nie* znać prawdziwej natury Seppuku. Po prostu kłamał na ten temat.

Clarke też myliła się co do jednego. Wcale nie wrócili do punktu wyjścia. W punkcie wyjścia Lubin nie spędził dwóch tygodni, walcząc po niewłaściwej stronie.

*Niewłaściwej*. Nie podobało mu się to słowo. Nie pochodziło z jego słownika, w którym brakowało przygłupich dychotomii jak *dobro* i *zło*. Każda trzeźwo myśląca istota wiedziała, że nie było czegoś podobnego – było tylko to, co działało i to, co nie działało. Bardziej efektywne i mniej. Nielojalność przyjaciela może być źle poczytana, ale nie jest *zła*. Zabieganie o względy potencjalnego sojusznika może służyć wspólnym interesom, lecz nie jest jednoznacznie *dobrze*. Nawet nienawiść względem matki, która biła cię jako dziecko, oznacza totalne niezrozumienie tematu – nikt nie wybiera połączeń w swoim mózgu. Każda inna matka o takich połączeniach zachowywałaby się równie agresywnie.

Ken Lubin mógł walczyć z każdym przeciwnikiem aż do śmierci bez żadnych złych zamiarów. Mógł zmieniać strony, kiedy tylko uzasadniały to okoliczności. Więc to niekoniecznie tak, że twórcy Seppuku mieli rację, a Achilles Desjardins jej nie miał. Po prostu Ken Lubin został wprowadzony w błąd w kwestii tego, po której stronie *stał*.

Całe życie go wykorzystywano. Lecz tego, że wykorzystywano go bez jego wiedzy, nie miał zamiaru puścić płazem.

Właśnie wtedy coś w nim trzasnęło, jakiś przełącznik pomiędzy *pragmatyzmem* a *poświęceniem*. To ostatnie dawało mu swego rodzaju ogniskową, ale niewątpliwie doprowadziło w przeszłości do podjęcia niewłaściwych decyzji. Rzadko z niego korzystał.

Korzystał z niego teraz.

Desjardins. On stał za tym od samego początku. Za pożarami, za antyrakietami, za wprowadzaniem w błąd. Desjardins. Achilles Desjardins.

Wodzący go za nos.

*To nie jest wymówka*, pomyślał, *nic już nią nie jest*.

Mikrolot Lubina był darem od Desjardinsa. Dobrym pomysłem było prowadzenie tej rozmowy z dala od maszyny.

Lubin wziął Clarke pod ramię i zaprowadził ją do MK. Kobieta nie stawiała oporu. Może zauważyła jak coś w nim zaskakuje. Wsiadła od strony kierowcy. On zajął miejsce pasażera.

Ricketts przycupnął z tyłu. Skórę miał zaróżowioną, a czoło zroszone potem, ale siedział o własnych siłach, z oczywistym entuzjazmem pożerając proteinową cegiełkę.

– Cześć – powiedział. – Pamiętasz mnie?

Lubin spojrzał na Clarke.

– Wciąż jest prawołamaczem. Nie ma już takich możliwości jak kiedyś, ale wciąż ma mnóstwo środków i wygląda na to, że nic go nie ogranicza.

– Wiem – przytaknęła Clarke.

– Może nas nawet teraz podsłuchiwać.

– Hej, jeśli martwisz się o to, że podsłuchują nas goście z góry – rzucił Ricketts z ustami pełnymi ciągnących się aminokwasów – to ja bym się za bardzo nie przejmował. Wkrótce będą mieli, tak jakby, inne rzeczy na głowach.

Lubin posłał mu chłodne spojrzenie.

– O czym ty mówisz?

– W zasadzie ma rację – poparła go Clarke. – Ktoś niedługo straci kontrolę nad swoimi...

Zdanie przerwało jej ciche *puknięcie*, przypominające stłumiony wystrzał odległej artylerii.

– ...demonami – dokończyła, ale Lubin zdążył już wyskoczyć na zewnątrz.

Na wodzie, w cieniu popadającej w ruinę farmy wiatrowej, płonąła stacja krakowania wodoru.

Mogłoby się wydawać, że niemal w tej samej chwili zamienili się rolami.

Clarke nagle zaczęła popierać ideę nieingerencji.

– Ken, jest nas *tylko dwójka*.

– Mylisz się. Zrobię to sam.

– Zrobisz co, konkretnie? Jeśli w KRASZ-u mają zdrajcę, niech sami się tym zajmą. Musi istnieć jakiś sposób, by wysłać wiadomość za ocean.

– Zamierzam to zrobić, zakładając, że uzyskamy dostęp do linii międzynarodowej. Przy czym wątpię, że to w czymkolwiek pomoże.

– Możemy przesłać wiadomość z *Phocoeny*.

Lubin pokręcił głową.

– Wiemy, że mają przynajmniej jednego zdrajcę w swoich szeregach. Nie wiemy, kto jeszcze może z nim współpracować. Nie mamy gwarancji, że jakakolwiek wiadomość przesłana za pośrednictwem węzła WestHem w ogóle dotarła do adresata, nawet... – Spojrzał w kierunku pożaru trawiącego stację na wodzie. – ...*przed* tym.

– Więc zejdziemy z łądu. Możemy pokonać ocean i własnoręcznie dostarczyć memo, jeśli tyl...

– Nawet jeśli to *zrobimy* – ciągnął Lubin – to nieuzasadnione stwierdzenie, że jeden z prawołamaczy KRASZ-u mógł się zbuntować, zostanie potraktowane z ogromną rezerwą przez ludzi nieświadomych istnienia Spartakusa.

– Ken...

– Zanim przekonamy ich, że należy nas traktować poważnie i do czasu, gdy zamorskie potęgi

zbiórą siły, Desjardins zniknie. Ten człowiek bynajmniej nie jest głupi.

– Więc pozwólmy mu uciec. Jeśli przestanie blokować Seppuku, to co mu zostanie?

Oczywiście zupełnie nie miała racji. Istniała nieskończona lista rzeczy, które Desjardins mógł zrobić po opuszczeniu stanowiska. Mógł nawet doprowadzić do niepowodzenia misji Lubina – a ten za cholerę nie pozwoliłby, żeby do tego doszło.

Ken Lubin nigdy nie był zbyt miłośnikiem introspekcji. Jednak dało mu do myślenia, czy wątpliwości Clarke nie miały w sobie ziarna prawdy. Znacznie łatwiejszym rozwiązaniem byłoby wezwanie posiłków i ustąpienie im drogi. A mimo to... pragnienie zrobienia komuś krzywdy stało się niemal nieznośne, a zasady były tylko tak silne jak osoba, która je ustanowiła. Jak do tej pory Lubin mniej lub bardziej trzymał się swojego kodeksu, jeśli nie liczyć potknięć takich jak Phong. Ale w obliczu tej nowej zniewagi nie był w stanie ręczyć za swoje ucywilizowanie.

Był solidnie wkurwiony i *naprawdę* potrzebował wyładować to na kimś. Być może przynajmniej tym razem mógł obrać cel, któremu naprawdę się należało.

## PCHŁY

Z trudem przypominała sobie czasy, gdy nie krwawiła.

Wydawało jej się, jakby całe życie spędziła na kolanach, uwięziona w diabolicznym egzoszkielecie, który wyginał i rozciągał się w przesadnych granicach, imitując wszystkie ruchy ludzkiego ciała. *Jej* ciało nie miało wyboru, nigdy go nie miało. Ruchoma klatka zabrała je na przejażdżkę, zmieniając pozycję niczym u jakiejś supergiętkiej lalki z zespołu rewiowego. Członki wypadały jej ze stawów i wskakiwały z powrotem niczym kawałki źle dopasowanych puzzli chrzęstnych. Prawą pierś straciła całe wieki temu. Achilles owinał wokół niej jakąś chorą pętlę i po prostu *pociągnął*. Upadła z pluskiem na escherowską posadzkę jak martwa ryba. Miała wtedy nadzieję, że może wykrwawi się na śmierć, ale nie dano jej szansy. Mężczyzna przyłożył kawałek palącego żelaza do jej piersi, kauteryzując ranę.

Wtedy jeszcze miała siłę krzyczeć.

Od pewnego czasu zajmowała przestrzeń pomiędzy ciałem a sufitem, osobliwy interfejs między piekłem a znieczuleniem, który stworzyła z czystej potrzeby. Mogła spojrzeć w dół i patrzeć na okropności, którymi rażono jej ciało z uczuciem graniczącym z obojętnością. Czowała ból, lecz było to coś abstrakcyjnego, jak odczytywanie go ze skali. Czasami, w czasie przerw od tortur, wracała do własnego ciała i oceniała wyrządzone szkody osobiście. Nawet wtedy agonia stawała się bardziej nużąca niż bolesna.

A przez cały czas ciągnęło się to niedorzeczne seminarium, niekończący się, absurdalny potok pytań o katalizatory chiralne, punkty przejściowe hydroksylu i krzyżowe parowanie nukleotydów. Po złych odpowiedziach następowały kary i amputacje. Prawidłowe spotykały się z błogosławionymi, zaledwie nieznośnymi gwałtami.

Zdała sobie sprawę z tego, że nie ma już nic do stracenia.

Achilles ujął jej podbródek w dłoń i uniósł twarz do światła.

– Dzień dobry, Alice. Gotowa na dzisiejszą lekcję?

– Pierdol się – wychrypiała.

Pocałował ją w usta.

– Tylko, jeśli zdasz codzienny test. W innym wypadku obawiam się...

– Nie zamierzam brać... – nagły atak kaszlu zepsuł nieco efekt jej sprzeciwu, ale nie poddawała się. – Nie zamierzam brać udziału w twoim pierdolonym teście. Równie dobrze możesz przejść

do rze... do rzeczy, póki jeszcze masz ku temu... okazję...

Pogłaskał ją po policzku.

– Nagły przyływ adrenaliny, co?

– Dowiedzą się... dowiedzą się o tobie prędzej lub później. A wtedy...

Mężczyzna wybuchnął śmiechem.

– Skąd wiesz, że już o mnie nie *wiedzą*?

Przełknęła ślinę, wmawiając sobie: *Nie*.

Achilles wyprostował się, pozwalając by jej głowa opadła.

– Skąd wiesz, że nie nadaję tego do każdego zegarka na całej półkuli? Naprawdę sądzisz, że świat pożałuje mi twojej głowy na palu, kiedy zrobiłem dla nich tak wiele dobrego?

– *Dobrego* – szepnęła Taka. Chciała parsknąć śmiechem.

– Wiesz, jak wiele żyć ratuję, gdy nie próbuję pomagać ci w twojej edukacji? Tysiące. Kiedy mam zły dzień. Podczas gdy z taką słodką dupcią jak ty zabawiam się może raz w miesiącu. Każdy, kto spróbuje mnie powstrzymać będzie miał na rękach o wiele więcej krwi niż ja *kiedykolwiek* mógłbym.

Taka pokręciła głową.

– To... to nie tak.

– Tylko jak, cukiereczku?

– Nie obchodzi... *jak* wiele uratujesz. Nie daję ci p... *prawa* do...

– O ludzie. Nie chodzi tylko o biologię, co? Powiedz, czy istnieje *jakakolwiek* inna dziedzina, w której nie jesteś równie durna jak worek gówna?

– Mam rację. Dobrze o tym wiesz...

– Doprawdy? Myślisz, że powinniśmy wrócić do Starych Dobrych Czasów, kiedy to korpy o wszystkim decydowały? Nawet najmniejsza multikorporacja zabiła więcej osób dla jebanej *marży zysku* niż wszyscy seksualni mordercy w historii, a WTO jeszcze dawała za to *nagrody*.

Splunął. Ślina utworzyła na podłodze małą, spienioną amebę.

– Nikogo to *nie obchodzi*, słodzinko. A gdyby nawet tak było, znalazłabyś się w jeszcze gorszej sytuacji, bo ktoś zauważyłby, że w zasadzie jestem *lepszą* wersją siebie.

– Mylisz się... – zdołała wykrztusić.

– Ooooch – mruknął Achilles. – Niesubordynacja. Podnieca mnie to. Przepraszam na moment. – Zniknął za dybami i zakręcił konstrukcją. Taka gładko obróciła się w uprząży, dopóki znów nie patrzyła prosto na niego. Mężczyzna trzymał w dłoniach parę krokodylków. Podłączone do nich kable prowadziły do gniazdka elektrycznego osadzonego w oku błękitnej ryby.

– Mam propozycję – zaczął. – Jeśli znajdziesz jakąś lukę w moim rozumowaniu, nie użyję ich.

– Tak... – wycharczała – ...użyjesz ich.

– Nie użyję. Obiecuję. Sprawdź mnie.

Przypomniała sobie: *nic do stracenia*.

– Myślisz, że ludzie zobaczą to i po prostu, po prostu... zostawią to, gdy powiesz im, że... korpy były gorsze? Myślisz... myślisz, że ludzie działają aż tak *logicznie*? To ty masz... gówno zamiast mózgu. Nie będzie ich obchodzić twoja pojebana argumentacja. Po prostu rzucą okiem i rozerwą cię na... kawałki. Jedynym powodem, dla którego teraz uchodzi ci to płazem jest...

*O to chodzi*, zrozumiała nagle.

Co by się stało, gdyby behemot po prostu... zniknął? Co by się stało, gdyby widmo apokalipsy nieco zbladło, gdyby sytuacja stała się nieco mniej rozpaczliwa? Być może w bezpieczniejszym świecie ludzie znów zaczęliby udawać, że są cywilizowani. Być może nie byłiby równie skłonni

do rozprawiania na temat tego, że *nie stać* nas na trzymanie się praw człowieka.

Być może Achilles Desjardins utraciłby swoją nietykalność.

– Dlatego właśnie walczysz z Seppuku – wyszeptła.

Achilles zbliżył do siebie krokodylki. Sypnęło iskrami.

– Przepraszam. Co mówiłaś?

– Ależ z ciebie kawał sukinsyna. Ratujesz tysiące? Ludzie próbują ocalić świat, a ty im przeszkadzasz. Doprowadzisz do śmierci *miliardów*. Zabijesz *wszystkich*. Żeby to uszło ci na sucho...

Wzruszył ramionami.

– Cóż, to jest tak jak próbowałem wyjaśnić Alice Pierwszej. Gdy ktoś kradnie ci sumienie, *naprawdę* trudno przychodzi ci, żeby cokolwiek cię obchodziło.

– Przegrasz. Nie masz we władaniu całego świata, tylko ten... kawałek. Nie dasz rady wiecznie powstrzymywać Seppuku.

Achilles pokiwał głową w zadumie.

– Wiem. Ale nie zamartwiaj tym swojej ślicznej główki. Już zaplanowałem *swoją* emeryturę. *Ty* z kolei masz inne zmartwienia.

Pchnął jej głowę w dół, napinając mięśnie szyi. Pocałował ją w kark.

– Na przykład to, że spóźniłaś się na zajęcia. Niech no spojrzę. O ile dobrze pamiętam wczoraj rozmawialiśmy o pochodzeniu życia. I o tym, że niektórzy myślą, iż behemot wyewoluował na tym samym drzewie co my i choć trochę to zajęło, to przypomniłaś sobie ostatecznie, dlaczego ci ludzie to skończeni idioci. A jest tak, ponieważ...?

Nie zapomniała. Piranozowe RNA behemota nie mogło współdziałać ze współczesnymi kwasami nukleinowymi. Niemożliwe więc, by jeden szablon wyewoluował w drugi.

Ale w obecnej chwili, w tym piekle nie istniała taka siła, która zmusiłaby ją do szczekania na komendę. Zacisnęła zęby i milczała.

Oczywiście w ogóle się tym nie przejął.

– Cóż, w takim razie przejdźmy do omówienia ćwiczeń, dobrze?

Znów obrócił jej ciało. Rusztowanie zablokowało się na pozycji. Egzoszkielet odciągnął jej ramiona, rozłożył nogi. Poczowała, że staje otworem niczym kurzy mostek.

Porzuciła swoje ciało, zepchnęła świadomość do tej cudownej, małej próżni, gdzie ból, nadzieja i Achilles Desjardins nie istniały. Gdzieś głęboko, niemal jak spod wody, czuła jak jej ciało kołysze się w przód i w tył w rytm jego pchnięć. Nie czuła go w sobie, oczywiście – efekt zupełnie zepsuły wszystkie tarany, którymi utorował sobie drogę. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu lekko ją to bawiło.

Przypomniała sobie Dave'a i ten jeden raz, gdy zaskoczył ją na patio. Przypomniała sobie sztukę teatralną oglądaną w Bostonie. Przypomniała sobie czwarte urodziny Crystal.

Dziwne odgłosy docierały do niej z innego świata, rytmiczne, nieco niedorzeczne w tym kontekście. Ktoś tam *śpiewał* bezsensowną rymowaną w fałszywych tonach, podczas gdy jej ciało otrzymywało specjalne traktowanie:

Otóż, mówią naturaliści, pchła  
Ma mniejsze pchły od siebie;  
A te mają mniejsze pchły, które je kąsają;  
I tak aż ad infinitum.

Oczywiście musiał być w tym jakiś podtekst. Pod koniec zajęć będzie test.

Tyle, że nie. Pchnięcia nagle ustały. Nie doszło do wytrysku – na tyle dobrze poznała jego rytm, by to wiedzieć. Wyszedł z niej, mruczając pod nosem coś, czego nie rozumiała ze swojej strefy bezpieczeństwa. Chwilę później usłyszała dźwięk oddalających się kroków za plecami, pozostawiający jedynie odgłos jej chrapliwych oddechów.

Taka została sama ze swoim ciałem, wspomnieniami i mozaikowymi stworzeniami na posadźce. Achilles ją opuścił. Coś odwróciło jego uwagę. Może ktoś przy drzwiach. Może głos jakiegoś innego potwora, wyjący w jego głowie.

Ostatnimi czasy sama dość często go słyszała.

## POLYKACZE OGNI

Fale eteru kipiały opowieściami o katastrofie. Generatory pola statycznego od Halifaxu do Houston sypały iskrami i płonęły. Szpitale głęboko w enklawach i fortcach na samej granicy były odcinane od dopływu energii. Raport z okolicy Newark mówił o stopieniu zautomatyzowanej rafinerii plastiku. Inna wiadomość z Ziemi Baffina twierdziła, że stacja krakowania He-3 w niekontrolowany sposób wypuszczała swoje izotopy do atmosfery. Zupełnie jakby stary Wir odżył w całej swojej okalającej świat chwale, ale o sto razy większej wirulencji.

Lenie weszły na ścieżkę wojenną – i nagle zaczęły polować w grupach. Stojące im na drodze firewalle padały, egzorcyci podejmowali walkę i z miejsca byli zredukowani do zwykłych zakłóceń.

– Podnośnik właśnie uderzył w Wieżę Edmonton – powiedziała Clarke. Lubin rzucił jej spojrzenie. Poklepała palcem ucho, w którym umieściła pożyczoną słuchawkę, przez którą podsłuchiwała poufne rozmowy w eterze. – Połowa miasta stoi w ogniu.

– Miejmy nadzieję, że nasza maszyna nie będzie wariować – powiedział Lubin.

*Dodaj to do swojego ostatecznego wyniku*, pomyślała, próbując pamiętać, że tym razem było inaczej. Życia poświęcone teraz odpłacą im się po tysiącokrotnie później. Tu nie chodziło o Zemstę. To było działanie na rzecz Większego Dobra w całej jego chwale.

Powtarzanie tego sobie było proste. Akceptowanie tego było czymś zupełnie innym.

*Tak właśnie się dzieje, gdy nakłaniasz Lenie, by polubiła Lenie.*

Znaleźli się z powrotem na wybrzeżu, stojąc na skraju jakiegoś zrujnowanego nabrzeża w mieście duchów, którego nazwy Clarke nawet nie poznała. Cały poranek krążyli niczym czarne, pustokie pajęczaki po tym złomowisku rdzewiejącego metalu: dokowych żurawi, wind towarowych, magazynów, suchych doków i innych zeszłowiecznych potworności z żelaza i pofałdowanej stali. Nie było to w żadnym wypadku środowisko przyjazne falom radiowym, dlatego też sporadyczne głosy w uchu Clarke wydawały się wyjątkowo zniekształcone przez zakłócenia.

Ale, rzecz jasna, właśnie o to chodziło.

Z jednej strony, korodujący magazyn o skórze z blachy i kościach z dźwigarów, zwrócony w stronę wody. Z drugiej, cztery suwnice strzelające w niebo niczym rząd szkieletowych żyraf wysokich na sześćdziesiąt metrów. Stały prosto z szyjami wyciągniętymi ponad krawędzią nabrzeża pod kątem siedemdziesięciu stopni. Wielkie, chwytniwe szpony kołysały się przy każdym pysku, gotowe opaść na frachtowce, które przestały przyplływać w to miejsce już kilka dekad temu.

Przez kolczyk w nosie żurawia stojącego najbliżej magazynu przewleczono cienką smycz, pętlę splecionego polipropylenu o grubości męskiego kciuka. Oba końce pętli zawieszanej w pustej przestrzeni prowadziły do punktu w połowie wysokości drugiego żurawia w rzędzie. Tam zostały przywiązane do dźwigara szyjkowego. Na tle kabli i nadbudówek pętla wyglądała na równie

delikatną co pajęczy jedwab.

Tak po prawdzie na to właśnie liczyli. Nie wierzyli, by w całej tej zapuszczonej strefie przemysłowej nie znaleźli choćby *odrobiny* tego materiału. W erze biotechnologii pajęczą linę można było kupić za psie pieniądze, ale najwyraźniej stała się o wiele rzadszym towarem w erze bioapokalipsy. Ostatecznie udało im się znaleźć jedynie nieco zużyty zwój starego, plastikowego splotu, wiszący w porzuconym hangarze dla łodzi na odległym krańcu nabrzeża.

Lubin westchnął i stwierdził, że to będzie musiało wystarczyć.

Clarke niemal zemdląła, jedynie *patrzac* jak mężczyzna wspina się na chwiejne, niepewne rusztowanie. Rozwijając linę za sobą, przepelzł przez krtań pierwszej żyrafy i zawisł głową w dół jak mrówka z jej oczodołu. Nogami przytrzymywał się cienkiej szyny, która zdaniem Clarke mogła pęknąć w każdej chwili. Nie wzięła pełnego oddechu, dopóki Lubin nie znalazł się z powrotem na ziemi. Następnie musiała doświadczyć dokładnie tego samego, gdy wspiał się na drugi żuraw, tym razem trzymając obie końcówki liny. Dzięki Bogu zatrzymał się daleko od szczytu, związując ze sobą końce i zostawiając pętlę z liny przewieszoną pomiędzy dwiema konstrukcjami niczym nylonową lianę.

Zszedłszy na poziom gruntu, Lubin oznajmił, że *ona* będzie miała lepszą przyczepność podczas wspinaczki, jeśli założy...

– Nie ma, kurwa, mowy – powiedziała Clarke.

– Nie na samą górę. Tylko do miejsca, gdzie zawiązałem linę. Połowa drogi.

– To więcej niż połowa i dobrze o tym wiesz. Jeden nieuważny krok i będę trupem.

– Bynajmniej. Żuraw jest pochylony. Spadniesz do wody.

– Tak, z *pięćdziesięciu metrów*. Myślisz, że... chwileczkę, więc ja *mam* spaść do wody?

– Taki jest plan.

– To bardzo zły plan.

– Zaczną działać bardzo ostrożnie, gdy tylko zorientują się, że ktoś ich wystawił. Jeśli w tym momencie zauważą linę, może być to dla nas zgubne. Odwiążesz ją i pociągniesz za sobą. Pod wodą będziesz bezpieczna.

– Zapomnij, Ken. To tylko *lina*, a twój plan jest tak odjechany w kosmos, że trzeba byłoby innego szaleńca, żeby przejrzał go, nawet *gdyby* zobaczył...

Przerwała w pół zdania. Słowo *szaleniec* zasadniczo stanowiło dobre określenie dla człowieka, z którym walczyli. Przez chwilę znów była w wypalonej skorupie Sable, wyjmując stopę z pozostałości po ludzkiej klatce piersiowej.

I Lubin mówiący: *Ten, kto za tym stoi jest ode mnie sprytniejszy...*

– Nie chcę ryzykować – powiedział uspokajająco.

Jeszcze przez jakiś czas protestowała, ale oboje wiedzieli, że to tylko dla zachowania pozorów. Ostatecznie odprowadziła Miki na bezpieczną odległość i wróciła na miejsce pieszo, podczas gdy Lubin składał swój raport przez radio mikrolotu – wektor okopał się w opuszczonym magazynie i produkuje przemysłowe ilości *Seppuku* w podziemnym laboratorium.

Pomiędzy łopatki każdego żurawia wciśnięto kabiny operatorów. Wandale lub pogoda dawno wybiły w nich większość okien. Clarke z Lubinem schronili się w środku i czekali. Świst wzmagającego się wiatru śpiewał w rusztowaniu nad ich głowami.

Przybył z nieba niczym rozdęty smok, z rykiem gazów wypuszczanych z pęcherzy trymowych. Jego nadejście zapowiedziała trąba powietrzna: północno-zachodni wiatr, który cały dzień przybierał na sile i teraz hulał po nabrzeżu z dostateczną siłą, by zagłuszać rozmowy. Przesuwne wrota z blachy

falistej złapały go i z łoskotem przetaczały się na podtrzymujących je rolkach. Napięte druty oraz grube kable podzwaniały i dudniły niczym sekcja smyczkowa piekielnej orkiestry. Podnośnik jęknął i opadł targany podmuchami. Zawisł nad wodą przed magazynem, po czym wykonał zwrot, zwracając w jego stronę lufy broni.

Lubin nachylił się nad uchem Clarke.

– Ruszamy.

Zaraz po nim opuściła wybebeszoną kabinę. W ciągu kilku sekund był nad jej głową, prześlizgując się pomiędzy przesłami żurawia niczym nadrzewny pyton. Clarke zacisnęła zęby i ruszyła za nim. Nie było aż tak źle jak myślała. Przez środek konstrukcji, na podobieństwo tchawicy, biegła wąska drabinka z obręczami bezpieczeństwa rozmieszczonymi co jeden metr. Jednak wiatr uderzał ze wszystkich stron, a pobliskie dźwigary szatkowały go na napastliwe i nieprzewidywalne wiry, które przypierały ją do drabinki, wykręcały bokiem lub wślizgiwały się pod plecak, próbując jej go wyszarpnąć.

Ostry trzask pioruna po lewej. Odwróciła głowę i zamarła, kurczowo trzymając się drabinki. Dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, jak wysoko zaszła. Silny wstrząs targnął nabrzeżem, które jeszcze nie przypominało kartonowej makiety, lecz niewiele mu do tego brakowało. Kilkadziesiąt metrów niżej woda w przystani kipiała zielenią i bielą.

Kolejny trzask. Tym razem niewywołany przez warunki pogodowe. Wiatr, pomimo swej siły, był pod niebieskim i bezchmurnym niebem. Ten dźwięk dochodził od strony podnośnika. Z góry pojazd wyglądał jak wielki, spizowy klejnot, wprawiony we wklęsłe trójkąty – powłoka oparta na geodezyjnym ożebrowaniu, wessana do środka przez nośną próżnię. Wycie wiatru na chwilę zagłuszył jego ryk, syczący odgłos gazowego balastu. Jego podbrzusze niemal dotknęło wody, podczas gdy łukowaty grzbiet potwora sięgał ponad dach magazynu, kilka piętér wyżej.

*Okiełznane błyskawice*, przypomniała sobie. Dla utrzymania siły nośnej. Łuki elektryczne o wysokim napięciu, przegrzewające gazy w zbiornikach trytowych.

*A Ken ma zamiar dosiąść tej bestii.*

*Lepiej on niż ja.*

Spojrzała w górę. Lubin dotarł do punktu odlotu i odwiązywał jeden z końców liny, nogami oplótlszy fragment ciemnego rusztowania. Wykonał w jej kierunku ponagląjący gest – po czym zachwiał się, wytrącony z równowagi przez podmuch wiatru. Jego ręka wystrzeliła do przodu, pozwalając mu odzyskać stabilność dzięki pobliskiemu prętowi.

Clarke parła naprzód, uparcie odmawiając spojrzenia w dół, niezależnie od tego jak obsceniczne odgłosy wydawał z siebie podnośnik. Liczyła szczebelki. Liczyła dźwigary, poprzecznice i nity, podczas gdy wiatr szumiał jej w uszach, szarpiąc za kończyny. Liczyła odsłonięte skrawki stali, gdzie czerwona i żółta farba odeszła całymi płatami – dopóki nie przypomniała sobie, że wspina się na konstrukcję tak starą, że jej barwa nie odpowiadała nawet samemu materiałowi, lecz warstwie pokrywającego ją nalotu.

Rok albo dwa lata później znalazła się u boku Lubina, gdzieś w prądzie strumieniowym. Lubin przyglądał się podnośnikowi, na głowie miał swoją wszechobecną lornetkę. Clarke nie podążyła za jego spojrzeniem.

Jeden z końców liny wciąż był przywiązany do żerdzi. Stąd prowadził w górę do wierzchołka następnego żurawia, gdzie Lubin przewlekł go przez jakieś ucho igielne, i z powrotem aż do ostatniego pół metra polipropylenu owiniętego teraz wokół okrytego skórą głębinową przedramienia Kena. Satelita, który spoglądałby z góry na tę scenę, ujrzałby dwie cienkie, białe linie



zwrócone w stronę podnośnika.

Ujrzałby również niebezpiecznie dużą, pustą przestrzeń pomiędzy punktem, w którym kończyła się lina a punktem rozpoczęcia podnośnika.

– *Na pewno jest dostatecznie długa?* – krzyknęła Clarke. Lubin nie odpowiedział. Prawdopodobnie nie usłyszał pytania przez wiatr i „skórę” kaptura. Clarke z trudem słyszała samą siebie.

Jego przypominające rurki oczy jeszcze przez kilka chwil wpatrywały się w cel. W końcu zsunął lornetkę na czoło.

– *Właśnie wypuścili teleoperatora!* – zawołał. Wiatr zagłuszył większość jego decybeli i dorzucił pięćdziesiąt własnych, ale zrozumiała przesłanie. Jak do tej pory, wszystko zgodnie z planem. Standardowa burza ogniowa tym razem nie mogła zdać egzaminu – gorąca strefa, o której doniósł Lubin umieszczona była zbyt głęboko w magazynie, zbyt blisko linii wody. Potrzeba było zdalnego teleoperatora, by ocenić sytuację i osobiście dostarczyć płomienie – z kolei miejscowa architektura zakłócała fale radiowe do tego stopnia, że mały robot musiał pozostawać praktycznie w zasięgu wzroku, by utrzymać kontakt ze statkiem-matką. A to oznaczało sprowadzenie podnośnika niemal do samej ziemi.

Tak nisko, że odpowiednio zmotywowana osoba mogła spróbować opaść nań z góry...

Lubin zahaczył jedno ramię o kabel grubości jego nadgarstka – jedno z poszarpanych ścięgien podtrzymujących szyję w pozycji pionowej. Następnie zabrał nogi z punktów oparcia i przeszedł pod kablem na drugą stronę. *Zewnętrzną* stronę. Zwisiał teraz z krawędzi żurawia, zamiast siedzieć w jego wnętrzu. Jedną rękę owiniętą miał polipropylenową liną, drugą trzymał się kabla. Nogami zaparł się o dźwigar, wykorzystując jedynie swój *własny ciężar*.

Niespodziewanie Ken Lubin wyglądał naprawdę marnie.

Mężczyzna poruszył ustami. Clarke nie słyszała nic poza wyciem wiatru.

– *Co?!*

Przywarł z powrotem do konstrukcji, podkreślając każdą sylabę:

– *Wiesz, co masz robić.*

Pokiwała głową. Nie mogła uwierzyć, że naprawdę zamierzał to zrobić.

– *Powodź... – zaczęła...*

...i straciła równowagę, młócąc powietrze, gdy dłoń niewidzialnego olbrzyma nagle rzuciła ją w bok.

Na ślepo próbowała coś chwycić, cokolwiek. Jej dłoń na nic nie natrafiła. Coś twardego uderzyło ją w tył głowy, to znów pchnęło ją w przód. Metalowa belka śmignęła jej z prawej strony. Uczepiła się jej ze wszystkich sił.

*Ken?*

Rozejrzała się. Tam, gdzie przed chwilą znajdowała się twarz i klatka piersiowa Lubina, teraz ziała pusta przestrzeń. Jednak jego przedramię, niczym czarny bosak, wciąż kurczowo trzymało gruby kabel. Nieznacznie opuściła wzrok – ujrzała też resztę, która szukała jakiegokolwiek oparcia i w końcu je znalazła. Mężczyzna odzyskał równowagę mimo wichury, podciągnął się do pozycji pionowej, nawet na chwilę wypuszczając z dłoni końcówki tej pierdolonej, plastikowej liny. Na ułamek sekundy wiatr zelżał. Lubin wskoczył za powrotem za osłonę metalowej klatki.

– *Nic ci nie jest?* – spytała, gdy wichur znów przybrał na sile. W następnej chwili zobaczyła krew na twarzy.

Pochylił się nad nią.

– *Zmiana planów* – powiedział, uderzając jej przedramię krawędzią wolnej dłoni. Clarke

krzyknęła, tracąc uchwyt. Zaczęła spadać. Lubin złapał ją, po czym raptownie pociągnął w bok. Barkiem boleśnie uderzyła w metal. Nagle żuraw nie był już *wokół* niej. Teraz był *obok*.

– Trzymaj się – warknął Lubin, przyciskając twarz do jej policzka.

Unosili się w powietrzu.

Była zbyt przerażona, by krzyczeć.

Przez kilka nieskończonych sekund spadali swobodnie. Świat gnał w ich kierunku niczym packa na muchy. Chwilę później Lubin mocniej chwycił ją w tali i jakaś nowa siła sprawiła, że zmienili kierunek, początkowo jedynie naginając prawa grawitacji, by ostatecznie zupełnie się im przeciwstawić. Przelecieli ponad spienionymi bałwanami i wzburzonymi śmieciami na powierzchni wody. Clarke odniosła wrażenie, jakby przybyło jej kilogramów. W następnej chwili jakimś cudem znów *wznosili się*, przyjmując wiatr na plecy. Olbrzymia, spłaszczona sferoida podnośnika wisiała w powietrzu nad nimi, potem przed nimi, aż w końcu *pod* nimi. Jej niezliczone wielokąty mieniły się niczym fasety jakiegoś wielkiego, złożonego oka.

Wreszcie spadli przez niewidzialną, łaskoczącą barierę, powodującą iskry na jej twarzy. Clarke ledwie zdążyła wyciągnąć przed siebie ręce, by złagodzić upadek.

– *Au!*

Znaleźli się na stromym zboczu, twarzami ku górze. Clarke leżała na brzuchu z rękami nad głową, w trójkątnej niecce o boku długości około trzech metrów. Jej skóra głębinowa zwijała się jak ofiara tortur. Lubin połowicznie leżał na niej, a połowicznie z boku, prawą ręką oplatając ją na wysokości krzyża. Jakiś wyjątkowo funkcjonalny moduł w jej mózgu oznajmił jej, że w ten sposób prawdopodobnie ochronił ją przed upadkiem z krawędzi świata. Pozostała część łykała powietrze wielkimi haustami, w zapętleniu odtwarzając w głowie *Ja żyję. Ja żyję. Ja żyję.*

– Nic ci nie jest? – Głos Lubina był cichy, ale słyszalny. Wiatr wciąż smagał ich plecy, ale nagle stał się nieco słabszy i rozproszony.

– Co... – Maleńkie wyładowania elektryczne szczypały ją w język i usta, gdy próbowała mówić. Uspokoiła oddech. – Co do *kurwy nędzy* miało to...

– Potraktuję to jako tak. – Zabrał dłoń z jej pleców. – Nie podnoś głowy i posuwaj się w górę. Jesteśmy stanowczo zbyt blisko krawędzi. – Sam powoli zaczął pełznąć w górę zbocza.

Leżała w zagłębieniu, czując nieskończenie głęboką pustkę w żołądku. Niebezpiecznie kręciło jej się w głowie. Przyłożyła dłoń do skroni. Włosy sterczały jej na wszystkie strony, jak gdyby jej głowa posiadała osobisty pas Van Allena. Po skórze głębinowej chodziły ciarki. *To coś posiada pole statyczne*, zrozumiała.

Taka Ouellette wspominała o nowotworach.

Serce w końcu zwolniło jej do zwykłego dudnienia. Zmusiła ciało do posłuszeństwa. Przepęzła na brzuchu przez krawędź pierwszego wielokąta we wklęsłość kolejnego. Przynajmniej grzbiety pomiędzy nimi dawały punkty oparcia dla stóp przy wspinaczce. Kąt nachylenia malał wraz z każdym przebytym metrem. Nie minęło wiele czasu, nim odważyła się iść w kucki, a potem stanąć zupełnie prosto.

Wiatr mocniej napierał na klatkę piersiową niż na nogi – jakiś motyw z działaniem pola statycznego podniesionym do sześcianu – lecz nawet podmuchy uderzające ją w twarz nie były równie silne jak te na szczycie żurawia. Za każdym razem, gdy obracała głowę, bryza przyklejała jej włosy do twarzy, ale ledwie zauważała tę niedogodność w obliczu konwulsji skóry głębinowej.

Lubin przyklęknął w pobliżu północnego bieguna podnośnika, na gładkiej, okrągłej wysepce pośród morza trójkątów. Wyspa miała około czterech metrów średnicy i różnorodną topografię,

poczynając od gniazd światłowodów o wielkości paznokcia, a na włazach wielkości studzienek kanalizacyjnych kończąc. Lubin zdążył otworzyć jedno z większych przejść. Zanim Clarke dołączyła do niego zdążył schować narzędzia, które pozwoliły mu ominąć zabezpieczenia, do plecaka.

– Ken, co tu się, *kurwa*, dzieje?

Mężczyzna wierzchem dłoni otarł krew z policzka.

– Zmieniłem zdanie. Jednak będę cię potrzebował.

– Ale *co*...

– Zaplombuj skórę. – Wskazał na otwarty właz. Wewnątrz chlupotał ciemny, kleisty płyn, jak krew lub olej maszynowy. – Wyjaśnię ci wszystko, gdy będziemy w środku.

– Co, *tam*? Czy nasze implanty w ogó–

– *Teraz*, Lenie. Nie ma czasu.

Clarke naciągnęła kaptur. Materiał wił się niespokojnie na jej głowie. Przynajmniej powstrzymywał włosy przed lataniem na wszystkie strony.

– A co z liną? – wypaliła nagle, przypominając sobie.

Lubin zamarł w połowie zapinania płata twarzowego. Spojrzał w górę na wieże żurawi. Wyrażna biała nitka miotła się w tę i z powrotem na najbliższym dźwigu, jak bat na wietrze.

– Nic nie poradzimy – powiedział. – Wskakuj.

Lepka, totalna ciemność.

– Ken. – Maszynowy głos vocodera. Minęło już trochę czasu.

– Tak.

– Czym my właściwie oddychamy?

– Paliwem miotacza płomieni.

– Co?!

– To całkowicie bezpieczne. W przeciwnym wypadku już byś nie żyła.

– Ale...

– To nie musi być woda. Grupy hydroksylowe zawierają tlen.

– Ok, ale *zbudowali* nas z myślą o wodzie. Nie wierzę, że napalm...

– To nie jest napalm.

– Cokolwiek to jest, w niedalekiej przyszłości na pewno zalepi nasze implanty.

– Niedaleka przyszłość nie jest... nie jest teraz naszym zmartwieniem. Wystarczy, żeby przetrwały kilka najbliższych godzin.

– A przetrwiają?

– Tak.

Przynajmniej jej skóra głębinowa przestała szaleć. Nagłe szarpnięcie.

– Co to było? – spytała przestraszona.

– Pobór paliwa. Strzelają.

– Do czego? To nie była gorąca strefa.

– Może to zwykła ostrożność.

– A może Seppuku naprawdę tu był, a my o tym nie wiedzieliśmy.

Nie odpowiedział.

– Ken?

– To możliwe.

Nagły ruch pchnął ją na coś miękkiego i śliskiego, do pewnego stopnia nawet elastycznego. Wydawało się to ciągnąć we wszystkich kierunkach. Powierzchnia była zbyt gładka, by znaleźć

jakikolwiek punkt zaczepienia.

Naraz zdała sobie sprawę, że nie znajdowali się w zbiorniku, ale w jakiegoś rodzaju pęcherzu, który nie tylko opróżnił się, ale też zmniejszył swoją objętość. *Zapadał się.*

– Ken, gdy to coś wystrzeli... Mam na myśli, że może nas wyssać na zewnątrz...

– Nie. Jest tutaj... krata.

Vocodery w najlepszym wypadku odzierały głos z uczuć, a ta lepka breja wcale nie ułatwiała rozmowy. Mimo wszystko, Clarke miała wrażenie, że Lubin wcale nie chce rozmawiać.

*Tak jakby Ken kiedykolwiek był Królem Ekstrawertyków.*

Ale nie, musiało być coś jeszcze. Nie potrafiła tego jednak sprecyzować.

Więc pływała tak w owodniowej ciemności, oddychając czymś, co nie było napalmem, kiedy przypomniawszy sobie, że przy procesie elektrolizy pojawiały się małe, elektryczne iskierki. Czekwała i dumiała, czy któraś z nich podpali płyn przepływający przez nią, rozmyślając nad sytuacją, w której jej implanty zamienią cały podnośnik w jedną, wielką kulę ognia. *Jeszcze jedna ofiara Lenie*, pomyślała, uśmiechając się do siebie.

Ale wtedy dotarło do niej, że Lubin wciąż nie powiedział jej, dlaczego tu była.

I wtedy właśnie przypomniawszy sobie o krwi na jego twarzy.

## HANDEL WYMIENNY

Nim dotarli do celu Lubin stracił wzrok.

Urwany kabel z żurawia nie tylko zranił go w twarz – przerwał też kaptur. Łatwopalna ślina podnośnika przesiąkła przez rozcięcie, zanim skóra zdążyła się zregenerować. Płyn rozpląnął się po całej twarzy. Cienka warstewka zebrała się pod nakładkami, zmieniając jego rogówki w nierówną galaretkę. Spokojny, mechaniczny głos z ciemności powiedział Clarke, czego się spodziewał – umiejętności odróżniania światła od mroku, przynajmniej. Może odrobinę szczątkowej percepcji rozmazanych plam i cieni. Rozpoznawanie właściwych obrazów raczej nie wchodziło w grę. Chciał, żeby była jego oczami.

– Jezu Chryste. Ken, dlaczego to zrobiłeś?

– Zaryzykowałem.

– *Słucham?*

– Nie mogliśmy zostać na powierzchni podnośnika. Istnieją procedury sterylizacyjne, nawet gdyby nie zwał nas wiatr, a ja nie miałem pewności, jak żrące jest to coś...

– Dlaczego po prostu nie zrezygnowałeś? Nie mogłeś zrobić tego później?

– *Później* moglibyśmy nie dać rady, zakładając, że twój przyjaciel wciąż zaraża. Nie wspominając nawet o tym, że dokonałem fałszywego zgłoszenia i od tamtego czasu się nie odzywam. Desjardins wie, że coś nie gra. Im bardziej zwlekamy, tym więcej ma czasu na przygotowania.

– Myślę, że pierdolisz. Sądzę, że tak się podjarałeś na myśl o odpłaceniu mu się, że zaczynasz podejmować głupie decyzje.

– Masz prawo do własnego zdania. Gdybym miał oceniać swoje ostatnie dokonania, powiedziałbym, że gorszą decyzją było nie zostawienie cię na grzbiecie.

– Jasne, Ken. To przecież *mnie* Achilles wodził na smyczy przez ostatnie dwa tygodnie. To *ja* podeszłam do Seppuku od dupy strony. Jezu, człowieku, siedziałeś na dnie oceanu przez ostatnie pięć lat, tak samo jak my wszyscy. Nie jesteś już tak dobry jak kiedyś.

Cisza.

– Ken, co zamierzasz zrobić? Jesteś ślepy!

– Istnieją sposoby na obejście tego.

Nieco później oznajmił, że zadokowali. Clarke nie miała pojęcia, skąd to wiedział – być może chodziło o chłupotanie płynu lub jakieś delikatne szarpnięcie poniżej jej granicy percepcji. Z pewnością nie zaalarmował go żaden dźwięk. Zakopany głęboko w próżni podnośnika pęcherz był równie cichy co przestrzeń kosmiczna.

Wypełzli z powrotem na grzbiet bestii, która spoczęła w ogromnym hangarze z zasuwany dachem, którego dwie połówki właśnie zasuwwały się nad ich głowami. Sądząc po mętnej barwie nieba był późny zmierzch. Podnośnik opadał we wszystkich kierunkach niczym maleńka, fasetowa planeta, rodząca ich przez otwór na północnym biegunie. Z dołu dochodziło światło i odgłosy maszynierii – a także okazjonalny ludzki głos – ale wyższe partie skrywał szary całun.

– Co widzisz? – spytał cicho Lubin.

Obróciła głowę i wstrzymała oddech. Mężczyzna zdjął kaptur i ściągnął nakładki. Jego szara skóra była stanowczo zbyt ciemna i poznaczona pęcherzami. Odsłonięte oczy przypominały teraz owadzie wypustki wzrokowe. Tęczówka i źrenica były ledwo widoczne pod spodem, jakby przesłaniało je potłuczone, mleczne szkło.

– No i?

– Jesteśmy... jesteśmy wewnątrz – powiedziała. – Nikogo w zasięgu wzroku, poza tym tu jest zbyt ciemno, by lądowcy mogli nas zobaczyć. Nie widzę hali fabrycznej, ale słyszę na dole ludzi. Czy ty... *ja pierdolę*, Ken, czy to...

– Tylko twarz. Skóra osłoniła resztę.

– Czy to... Znaczy się, jak się...

– Na górze po lewej jest suwnica na szynach. Widzisz ją?

Zmusiła się, by odwrócić wzrok.

– Tak. – Po czym, nieco zaskoczona: – A ty?

– Jej bebechy wyświetlają się na moich wkładkach. Cały ten hangar przypomina jeden wielki schemat. – Rozejrzył się, jakby ktoś go zobaczył. – Ta maszyna pracuje na autopilocie. Wydaje mi się, że służy uzupełnianiu zapasów paliwa.

Podwójne wrota na górze zamknęły się z głuchym, dudniącym *bum*. W następnej chwili suwnica ożyła i zaczęła zbliżać się do nich po torach. Dwa chwytaki rozwinęły się ze środka niczym przednie kończyny szarańczy. Na końcach miały ostro zakończone wyloty.

– Chyba masz rację – potwierdziła Clarke. – To...

– Widzę.

– Jak się stąd wydostaniemy?

Spojrzał na nią swoimi ślepyimi, dziobatymi oczami. Następnie wskazał nadjeżdżającego antropoida.

– Na górę – powiedział.

Prowadził ją przez krokwie i niskie tunele, jakby się tu urodził. Co jakiś czas pytał ją o kolory rur pod sufitem lub o to, która strona w danym tunelu serwisowym była bardziej poznaczona starymi zaciekami. Znaleźli drogę do nieużywanej szatni, minęli szereg szafek i kabin toaletowych, aż dotarli do natrysków.

Oplukali ciała. Nie stanowiąc już łatwopalnych celów, zaczęli myśleć nad wtopieniem się w otoczenie. Lubin przywiózł ubrania lądowca upchnięte w plecaku. Clarke musiała zadowolić się szarym kombinezonem ukradzionym spośród półtuzina strojów roboczych wiszących pod ścianą. Pod przeciwległą ścianą ustawiono rząd szafek zabezpieczonych skanerami rysów twarzy lub odcisków

dłoni. Lubin kpił sobie z tych zabezpieczeń, podczas gdy Clarke się ubierała. Materiał przylgnął do niej na tyle, by można było mówić o przyzwoitym dopasowaniu.

– Czego szukasz? – spytała.

– Okularów. Albo jakiejś osłony na oczy.

Cztery szafki później Lubin dał sobie spokój. Wrócili na rozbrzmiewającą echem halę głównego hangaru. Bezczelnie przecięli sam środek płyty na oczach ośmiu techników. Przeszli pod rozdętymi brzuchami czterech podnośników, a następnie minęli kolejne trzy puste stanowiska. Kluczyli pomiędzy rzędami klikających, połączonych maszyn, pozdrawiając skinieniami głowy ludzi w niebieskich kombinezonach i – idąc za radą Lubina – utrzymując dyskretny dystans od innych robotników w szarości.

Znaleźli wyjście.

Na zewnątrz budynki stały tak blisko siebie, że ich wyższe piętra wydawały się dotykać. Łuki i przejścia nadziemne łączyły wąskie przestrzenie nad ulicami niczym rozciągnięte arterie sięgające przeciwległych fasad. Miejscami same budynki spojono ze sobą na wysokości piątego albo czterdziestego piętra za pomocą wystających belek z plastiku i biostali. Ledwie widoczne skrawki nieba sporadycznie rozbłyskiwały elektrycznością statyczną. Ulice przypominały spaghetti z szyn rapitransu oraz wąskich chodników, które służyły również jako platformy załadunkowe. Natężenie ruchu nie było zbyt wielkie. W oczach Clarke kolory były nieco przygaszone, a to oznaczało, że lądowcy widzieli jedynie plamy słabego, miedzianego światła i zalegające pomiędzy nimi cienie. Nawet w tych reliktowych węzłach cywilizacji energia stanowiła towar deficytowy.

Ken Lubin nie mógł zobaczyć żadnej z tych powierzchni. Być może widział jednak skryte pod nimi okablowanie.

Znalazła dla nich sklep w cieniu okapu na trzecim poziomie. Połowa maszyn nie działała, ale menu automatu Levi's mrugało do niej zapraszająco. Lubin zasugerował, by zrzuciła z siebie kombinezon. Zaoferował jej swój zegarek, by umożliwić transakcję, ale maszyna wyczuła dawno zapomniany chip walutowy zaszyty w udzie Clarke, wciąż wypchany pieniędzmi z czasów, gdy pracowała dla Grid Authority. Gdy laser automatu pobierał jej wymiary, Lubin kupił przyciemniane okulary i tubkę kremu do skóry marki Johnson & Johnson kilka sklepów dalej.

Naciągnęła na siebie nowe ubranie, podczas gdy Lubin szeptał do swojego zegarka. Clarke nie potrafiła powiedzieć, czy rozmawiał z programem czy z żywym człowiekiem. Z końcówki rozmowy wynioskowała, że znajdują się w północnym rdzeniu Toromilton.

Później musieli udać się w kilka miejsc. Ruszyli z poziomu miasta w niebosiężny łańcuch drapaczy chmur – głównie biurowców dawno temu przerobionych na dormitoria dla tych, którzy mogli wykupić sobie drogę z podmiejskich dzielnic, gdy uruchomiono generatory pola. Tutaj również nie panował zbyt ni tłum. Być może okoliczni mieszkańcy nie mieli w zwyczaju wychodzić w nocy.

Clarke stała się psem przewodnikiem, który pomagał swemu panu w polowaniu na wielkanocne jaja. On nią kierował, a ona go prowadziła. Lubin nieustannie szeptał do swojego zegarka. Jego inkantacje skutkowały pojawianiem się dziwnych przedmiotów w nietypowych miejscach – pozbawionym otworów pudełkiem, wciśniętym za rury kanalizacyjne w publicznej toalecie; nowiutkim zegarkiem, wciąż w oryginalnym opakowaniu, na podłodze windy mijającej półpiętro, bez żywej duszy na pokładzie. Lubin zostawił w zamian swój stary zegarek, razem z małą paczką plastrów i wtyczek ze swojego wyposażenia.

Przy automacie na tym samym piętrze zamówił rolkę półprzepuszczalnej taśmy samoprzylepnej oraz kanapkę z szynką i serem. Taśmę dostarczono mu bez problemu, ale w ślad za nią nie pojawiło się żadne jedzenie. Zamiast tego rynną zjechały dwa pojemniki wielkości dłoni, płaskie, opalizujące

cylindry z zaokrąglonymi krawędziami. Mężczyzna otworzył jeden z nich, odsłaniając binokle o nieprzezroczystych, nefrytowych soczewkach. Wcisnął je na nos. Jego szczęka drgnęła, gdy wcisnął jakiś zębowy przycisk resetujący. Maleńka, zielona gwiazdka mrugnęła na krawędzi lewej soczewki.

– Tak lepiej. – Powiódł dookoła wzrokiem. – Tylko głębia widzenia mogłaby być lepsza.

– Niezły trik – rzuciła Clarke. – Współpracują z twoimi wkładkami.

– Mniej więcej. Obraz jest nieco ziarnisty.

Teraz to Lubin prowadził.

– Nie ma jakiegoś łatwiejszego sposobu na załatwienie tego? – spytała go, ruszając za nim. – Nie możesz po prostu zadzwonić do biura GA?

– Wątpię, bym wciąż był na ich liście płac. – Skręcił w lewo na skrzyżowaniu.

– Może, ale nie masz...

– Przestali zaopatrywać skrzynki polowe już jakiś czas temu – wyjaśnił. – Powiedziano mi, że wszystkie resztki zostały rozszabrowane przez unilateralistów. Teraz wszystko trzeba negocjować przez kontakty.

– Przekupujesz ich?

– Nie chodzi o pieniądze.

– Więc o co?

– To handel wymienny – oznajmił. – Stara przysługa lub dwie. Coś w zamian.

O 22:00 spotkali mężczyznę, który wyciągnął cieniutki przewód światłowodu z kieszeni i wpiął go w nowy zegarek Lubina. Lubin stał tak przez ponad pół godziny, zupełnie nieruchomy, jeśli nie liczyć okazjonalnych ruchów palcami – posąg odrobinę pochylony na wirtualnym wietrze, gotowy w każdej chwili rzucić się w pustą przestrzeń. Po wszystkim nieznamy uniósł rękę i dotknął pęcherzy na twarzy Lubina. Ten z kolei przelotnie położył dłoń na ramieniu mężczyzny. Całe to zajście było w jakimś sensie niepokojące, choć Clarke nie potrafiłaby powiedzieć dlaczego. Próbowała sobie przypomnieć ostatni raz, gdy Ken Lubin dotknął innej osoby z innego powodu niż zadawanie bólu lub służba, ale nie mogła.

– Kto to był? – spytała później.

– Nikt. – A po chwili, przecząc samemu sobie: – Ktoś, kto będzie głosić słowo. Choć nie ma żadnych gwarancji, że nawet on zdąży podnieść alarm na czas.

O 23:07 Lubin zapukał do drzwi przerobionego dormitorium na jednym ze środkowych poziomów czegoś, co kiedyś nosiło nazwę Toronto Dominion Centre. Otworzyła mu ciemnoskóra, ektomorficzna kobieta o ponurej minie. Jej oczy płonęły przerażającym blaskiem złotawego oranżu – jakiegoś rodzaju hodowlanym ksantofilem w tęczęwkach – a na dodatek przewyższała Lubina o głowę. Mówiła spokojnie w języku pełnym spółgłosek, a każda jej sylaba pobrzmiwała gniewem. Lubin odpowiedział w tym samym języku i podał jej zamknięty woreczek strunowy. Kobieta wzięła przedmiot, sięgnęła za na wpół otwarte drzwi, rzuciła mu pod nogi torbę, która wylądowała na ziemi z przytłumionym brzękiem metalu, po czym zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

Lubin wcisnął torbę do plecaka.

– Co ci dała? – spytała Clarke.

– Ładunki wybuchowe. – Ruszył w głąb korytarza.

– A ty co dałeś jej w zamian?

Wzruszył ramionami.

– Antidotum.

Tuż przed północą wkroczyli na wielką, łukowato sklepioną halę, która kiedyś mogła być częścią centrum handlowego. W obecnej chwili sufit przesłaniał istny labirynt na szczydach, skłębiona masa

prefabrykowanych skłotów i sześcianów magazynowych podtrzymywanych przez prowizoryczną płataninę rusztowań. Było to znacznie lepsze wykorzystanie miejsca niż ekstrawaganckie puste przestrzenie z dawnych czasów, nawet jeśli nie wyglądało to zbyt pięknie. Spód całej tej konstrukcji wznosił się dobre cztery metry nad pierwotną posadzką z marmuru. Z podbrzusza na poziom gruntu prowadziło kilka drabin. Osobliwą nadbudówkę znaczyły gdzieś tam ciemne szczeliny, wąskie pęknięcia w mozaice plastikowych plandek i paneli z włókna – istny raj dla nieproszonych oczu. Clarke wydawało się, że słyszy szelest dużych zwierząt w ukryciu, okazyjny pomruk stłumionych głosów, ale wyglądało na to, że ona i Lubin byli jedynymi ludźmi na niższym poziomie.

Nagły ruch po lewej. Wielka fontanna upiększała niegdyś to miejsce. Teraz jednak jej szeroki steatytowy basen, skryty w wiecznym cieniu skłotu, służył głównie jako społeczny śmietnik. Części kobiety oddzieliły się od tego tł. Iluzji daleko było do doskonałości, teraz gdy Clarke już się na niej skupiła. Chromatofory w kostiumie kobiety w najlepszym wypadku jedynie z grubsza imitowały dalszy plan, skutkując raczej rozmazaną półprzezroczystością niż całkowitą niewidzialnością. Nie żeby tę konkretną K interesował kamuflaż – jej fantazyjnej fryzury, która przypominała falujące w wodzie włosy, nie przygotowano z myślą o wtapianiu się w tło.

Zbliżyła się do nich niczym niewyraźna chmura, której doczepiono różne części ciała.

– Ty musisz być Kenny – rzuciła do Lubina. – Jestem Laurel. Yuri mówił, że masz problemy skórne. – Rzuciła Clarke taksujące spojrzenie, mrugając ponad nieco pionowymi źrenicami. – Fajne oczy. Trzeba mieć jaja, żeby pokazywać się w tej okolicy z ryfterskimi motywami.

Clarke odpowiedziała beznamiętnym spojrzeniem. Po chwili Laurel znów zwróciła się do Lubina.

– Yuri cze–

Lubin skręcił jej kark. Laurel opadła bezwładnie w jego ramiona, zwieszając głowę.

– *Kurwa, Ken!* – Clarke zrobiła niepewny krok w tył, jakby dostała kopniaka w żołądek. – *Co ty...*

W szeleszczących domkach nad urwiskiem nagle zapadła cisza.

Lubin położył kobietę na plecach i obok niej postawił plecak. Jej kocie oczy spoglądały na podbrzusze skłotu, szeroko otwarte i zdumione.

– *Ken!*

– Mówiłem ci, że konieczne będzie danie czegoś w zamian. – Wyciągnął jakiegoś rodzaju uchwyt z plecaka, po czym nacisnął guzik na ręczce. Ze środka wyskoczyło cienkie ostrze. Brzęczało. Jedno cięcie i w kostiumie Laurel powstało pęknięcie od krocza do krtani. Elastyczny materiał rozdzielił się jak rozcięta kreska.

*Rozmowa. Trzask. Upadek. Ot tak, po prostu.* Trudno było wyrzucić ten obraz z głowy.

Głębokie cięcie brzuszne z prawej strony. Bez krwi. Smuzka niebieskawego dymu unosząca się z nacięcia. Niosła ze sobą zapach kauteryzowanego ciała.

Clarke niemal gorączkowo zaczęła się rozglądać. W zasięgu wzroku nie było nikogo innego, ale miała wrażenie, że spogląda na nich tysiąc par oczu. Zupełnie jakby cała ta chwiejna konstrukcja nad ich głowami wstrzymała oddech i miała w jednej chwili spaść im na głowy.

Lubin wetknął dłoń w bok Laurel. Bez wahania, bez uprzedniego sondowania. Dobrze wiedział, co robi. To, czego szukał, musiało wyświecić się na jego wkładkach.

Oczy Laurel drgnęły. Spoglądały teraz na Lenie Clarke.

– O Boże, ona żyje...

– Nic nie czuje – odparł Lubin.

*Jak on może robić coś podobnego?* – chodziło po głowie Clarke, a sekundę później: – *Jak to możliwe, że po tych wszystkich latach wciąż mnie to zaskakuje?*

Lubin cofnął zakrwawioną dłoń. Coś o wielkości ziarnka grochu błysnęło perłście w lepkiej jusze



pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym. Gdzieś nad ich głową zapłakało dziecko. Lubin uniósł głowę na ten dźwięk.

– Świadkowie, Ken...

Mężczyzna wstał. Wykrwawiająca się Laurel leżała u jego stóp, nie spuszczać oczu z Clarke.

– Przywykli do tego. – Zaczął iść. – Chodź.

Kobieta postąpiła kilka kroków w tył. Laurel nieprzerwanie patrzyła w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stała Lenie Clarke.

– Nie mamy czasu – rzucił Lubin przez ramię.

Clarke obróciła się i uciekła za nim.

*Wyspowa lotnisko* wciśnięte pod południową krawędź elektrostatycznej kopuły. Clarke nie dostrzegła tu żadnej wyspy, jedynie szeroki budynek, na dachu którego stacjonował szereg śmigłowców i mikrolotów. Albo nie było tu żadnej ochrony, albo negocjacje Lubina zakończyły się sukcesem. Nie niepokojeni przez nikogo podeszli do czterosiedzeniowej maszyny Sikorsky-Bell, wyposażonej w pasywne systemy ukrywające. Perła wyłuskana z trzewi Laurel okazała się kluczem do jej serca.

Toromilton przygasło daleko za ich plecami. Lecieli na północ, poniżej pułapu widoczności hipotetycznego radaru, klucząc pomiędzy srebrnoszarymi wierzchołkami drzew. Ciemność i fotokolagen ukrywały całe mnóstwo potworności. O ile Clarke wiedziała, każda roślina, każdy kamień, każdy metr kwadratowy przestrzeni poniżej pokryty był behemotem. Jednak pod nakładkami nie było tego widać. Okolica, nad którą lecieli, przypominała piękne wykwitły mrozu. Od czasu do czasu mijali jeziora wyglądające jak lekko podświetlone kałuże rtęci.

Nie wspominała o tym Lubinowi. Nie wiedziała, czy jego sztuczne oczy posiadały opcję nocnego widzenia, poza tym i tak je wyłączył – a przynajmniej zgasła maleńka, zielona dioda LED. Nawigacja musiała przekazywać obraz prosto do jego wkładek.

– Nie wiedziała, że ma to przy sobie – powiedziała Clarke. Były to pierwsze słowa, które wypowiedziała od chwili, gdy oczy Laurel znieruchomiały i zgasły.

– Nie. Yuri przygotował dla niej domową potrawę.

– Chciał, żeby zginęła.

– Najwyraźniej.

Clarke potrząsnęła głową. Oczy Lauren nie chciały zostawić jej w spokoju.

– Ale dlaczego w *ten* sposób? Po co umieszczać coś w jej *wnętrzu*?

– Podejrzewam, że nie ufał mi, że dotrzymam swojej części umowy. – Kącik ust Lubina drgnął nieznacznie. – Muszę przyznać, że to dosyć eleganckie rozwiązanie.

Ktoś myślał, że Ken Lubin będzie niechętny, by kogoś zabić. Powinien to być dla niej promyczek nadziei.

– W zamian za kluczyki do *śmigłowca* – burknęła Clarke. – A czy nie mogliśmy po prostu...

– Po prostu *co*, Lenie? – warknął mężczyzna. – Skorzystać awaryjnie z wszystkich tych kontaktów, które *kiedyś* miałem? Zadzwoić do agencji wynajmu? Czy wciąż nie dotarło do ciebie, że gorąca strefa wielkości całego kontynentu i pięć lat stanu wyjątkowego nieco utrudniły podróże międzymiejskie? – Lubin pokręcił głową. – A może uważasz, że nie dajemy Desjardinsowi odpowiednio dużo czasu na przygotowanie linii obrony. Może po prostu powinniśmy byli *przejsć* cały ten dystans, by dać mu jakąś szansę?

Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek wcześniej tak do niej mówił. Tak jakby arcymistrz szachowy, znany ze swojego opanowania, nagle zaczął przeklinać, przewracając szachownicę

w samym środku rozgrywki.

Przez jakiś czas lecieli w milczeniu.

– Nie wierzę, że to naprawdę on – powiedziała w końcu.

– Nie widzę powodu, dlaczego by nie. – Lubin znów przeszedł w tryb robota bojowego. – Wiemy, że kłamał na temat Seppuku.

– Może popełnił zwykły błąd. Taka jest prawdziwym lekarzem medycyny i nawet *ona*...

– To on – uciął Lubin.

Nie ciągnęła dalej tematu.

– Gdzie lecimy? – spytała.

– Sudbury. Najwyraźniej nie zamierzał zrezygnować z przewagi własnego boiska.

– Nie zniszczono go podczas Rio?

– Desjardins był przyczyną katastrofy w Rio.

– *Co?* Kto tak powiedział?

– Znam go. Ma to sens.

– Nie dla mnie.

– Desjardins jako pierwszy urwał się ze smyczy. Zyskał niepowtarzalną okazję, gdy był jedynym człowiekiem na ziemi z możliwościami prawołamacza, ale bez żadnych ograniczeń. Użył tej władzy, by wyeliminować konkurencję, zanim wyzwolił ich Spartakus.

– Ale nie chodziło tylko o Sudbury. Rio dotknęło całe mnóstwo miast. – Przypomniała sobie słowa i obrazy docierające do nich przez Atlantyk. Przemysłowy podnośnik, który z niewiadomego powodu wleciał w wieżę KRASZ-u w Salt Lake. Bombę prędko neutronową w rękach Cór Lenie. Kwantowe krzykacze, spadające z orbity na Sacramento i Boise.

– Sudbury prawdopodobnie nie było jedynym oddziałem, w którym zasiano ziarno – zauważył Lubin. – Desjardins musiał jakoś zdobyć ich listę, po czym zaczął działać.

– A wszystko zwałił na Rio.

– Wskazywały na to późniejsze poszlaki. Rzecz jasna, miasto wyparowało, zanim ktokolwiek miał okazję do zadania pytań. Niewiele dowodów rzeczowych jest w stanie przetrwać w zerowej strefie wybuchu. – Lubin dotknął ikony na panelu kontrolnym. – Wszyscy myśleli wtedy, że Desjardins przyszedł im z odsieczą. Był na ustach całego miasta. A przynajmniej na ustach tych, którzy mieli prawo dostępu do informacji, by wiedzieć, kim był.

W oschłym tonie Lubina krył się jakiś podtekst. *Jego* prawo dostępu zostało do tego czasu cofnięte.

– To niemożliwe, żeby dopadł *wszystkich* – powiedziała Clarke.

– Nie musiał. Chodziło tylko o ludzi zarażonych Spartakusem. Ci z pewnością stanowili mniejszość, nawet w celowo wybranych placówkach, zakładając, że uderzy odpowiednio wcześniej.

– A co z tymi, którzy akurat byli w domu albo na chorobowym...

– Równając z ziemią połowę miasta, ich też dorwiesz.

– Mimo wsz–

– Masz rację, do pewnego stopnia – przyznał Lubin. – Niewykluczone, że ktoś wyszedł z tego cało. Ale nawet to działa na korzyść Desjardinsa. *Teraz* nie może usprawiedliwiać wszystkich swoich działań Rio. Nie może też zrzucić tego na Madonny, ale dopóki na wolności pozostają kozły ofiarne z Rio lub Topeki, prawdopodobnie nikt nie będzie podejrzewać *jego*, gdy na jaw wyjdą szczegóły o sabotażu na wysokim szczyblu. Jakby nie patrzeć, uratował cały świat.

Westchnęła.

– Więc co teraz?

– Dorwiemy go.

– Tak po prostu, co? Niewidomy szpieg i jego niedoświadczona pomocniczka pokonają sześćdziesiąt pięć pięter systemów obronnych KRASZ-u?

– Zakładając, że w ogóle tam dotrzemy. Najprawdopodobniej ma wszystkie podejścia pod nieustanną obserwacją satelitarną. Musiał zaplanować, że ktoś w końcu o wszystkim się dowie, co oznacza, że będzie w stanie poradzić sobie z odpowiedzią na wielką skalę, wliczając w to ataki raketowe zza oceanu. To o wiele więcej niż my możemy wykrzesać.

– Myśli, że może stawić czoła całemu światu?

– Bardziej prawdopodobne, że ma nadzieję zobaczyć ten świat w porę, by uciec.

– Więc taki masz plan? Spodziewa się zmasowanego ataku, więc nie zauważy jednego mizernego śmigłowca?

– To byłoby miłe – przyznał Lubin z ponurym uśmiechem. – Ale nie liczyłbym na to. A nawet jeśli nas nie zauważy, to miał niemal cztery lata na wypełnienie tego budynku pułapkami. Prawdopodobnie nie byłibyśmy w stanie obronić się przed nimi wszystkimi, nawet gdybym wiedział, czym dysponuje.

– Więc co zrobimy?

– Wciąż pracuję nad szczegółami. Podejrzewam, że skończy się na wejściu frontowymi drzwiami.

Clarke spojrzała na jego paznokcie. Zasnęta krew zabarwiła ich krawędzie na brązowo.

– Poskładałeś to wszystko do kupy – powiedziała – tak, że teraz to on wychodzi na potwora.

– Jak my wszyscy.

– Ale *nie* był taki. Nie *pamiętasz* już?

Lubin nie odpowiedział.

– Miałaś zamiar mnie zabić, pamiętasz? A ja właśnie zabiłam wszystkich pozostałych. To *my* byliśmy potworami, Ken, a pamiętasz, co on zrobił?

– Tak.

– Próbował mnie ocalić. Przed *tobą*. Nigdy wcześniej nie rozmawialiśmy twarzą w twarz, a wiedział dokładnie, *kim* byłam i co robiłam, i na własnej skórze przekonał się, do czego *ty* jesteś zdolny. Ale nie miało to dla niego znaczenia. Ryzykował swoje życie, by mnie uratować.

– Pamiętam. – Lubin zmienił parametry lotu. – Złamałaś mu nos.

– Nie w tym rzecz.

– Ta osoba już nie istnieje. Spartakus zamienił go w kogoś zupełnie innego.

– Tak? A co zrobił *tobie*, Ken?

Zwrócił do niej swoją niewidomą, poznaczoną dziobami twarz.

– Wiem, czego *nie* zrobił – ciągnęła. – Nie wzbudził w tobie odruchu mordercy. Miałaś go od zawsze, prawda?

Binokle spoglądały na nią niczym oczy modliszki. Zielona dioda zapłonęła przy lewej soczewce.

– Jak to jest, Ken? Czy to katartyczne doznanie? Seksualne? Czy cię to *podnieca*? – Jakaś jej część patrzyła na to z boku, nieco przestraszona. Reszta nie mogła przestać go podjudzać. – Czy koniecznie musisz być *tam* na miejscu, patrzeć jak umieramy, czy wystarczy, że podłożysz bombę i będziesz wiedzieć, że padniemy jak muchy, gdy opadnie kurtyna?

– Lenie. – Jego głos był wyjątkowo spokojny. – Co tym w zasadzie chcesz osiągnąć?

– Po prostu chcę wiedzieć, dlaczego to robisz, to wszystko. Nie widziałam, żeby ktokolwiek *tobie* groził widłami i pochodniami, tylko dlatego, że Spartakus pozmieniał kilka połączeń w *twoim* mózgu. Jeśli jesteś pewien, jeśli naprawdę zrobił te rzeczy i jest jakimś potworem, niech będzie. Ale jeśli to tylko jakaś pierdolona wymówka dla zaspokojenia twojego perwersyjnego fetyszu, to...

Pokręciła głową z obrzydzeniem i zapatrzyła się w mrok.

- Jego perwersje spodobałyby ci się znacznie mniej niż moje – rzekł cicho Lubin.
  - Jasne – parsknęła. – Dzięki za oświecenie.
  - Lenie...
  - *Co?*
  - Nigdy nie robię niczego bez potrzeby.
  - Doprawdy? – Popatrzyła na niego z wyzwaniem. – Nigdy?
- Odpowiedział jej równie hardym spojrzeniem.
- Cóż. Prawie nigdy.

## DATA WAŻNOŚCI

Na równi żywa i martwa – ale też zupełnie nieprzejęta, w którą stronę chyliła się ta równowaga – Taka Ouellette w końcu wszystko zrozumiała.

Nigdy nie radziła sobie pod presją. To zawsze był jej problem. A potwór Achilles zupełnie tego nie rozumiał. Lub też rozumiał to aż za dobrze. Wszystko jedno. Postawił ją w obliczu matki wszystkich stresujących scenariuszy, więc nic dziwnego, że uległa presji. Raz jeszcze udowodniła, że jest wiecznym nieudacznikiem. To było niesprawiedliwe, bo *wiedziała*, że ma głowę na karku i *wiedziała*, że potrafi znajdować rozwiązania problemów, jeśli tylko ludzie przestaną ją naciskać. Gdyby tylko Ken nie pojawił się wtedy z tym swoim kanistrem pełnym broni biologicznej, domagając się odpowiedzi *natychmiast*. Gdyby tylko Achilles nie był o krok od spalenia jej żywcem, by już chwilę później kazać jej sekwencjonować geny Seppuku, nie pozwalając nawet na głębszy oddech.

Gdyby Dave nie był taki niecierpliwy. Gdyby tylko nie pospieszyła się przeprowadzając to ostatnie, decydujące badanie...

Była mądrą kobietą. Wiedziała to. Ale nie radziła sobie z presją. *Niedobra, niedobra Alice*, skarciła samą siebie.

Teraz jednak, gdy cała presja znikła, mogła poukładać sobie wszystko w głowie.

Wystarczyły dwie rzeczy, by dalej miała już z górki. Przede wszystkim, Achilles musiał zostawić ją na jakiś czas zostawić samą, dać czas na przemyślenie spraw. Po drugie, musiała umrzeć. A przynajmniej zacząć umierać. Gdy wiedziała już, że jest martwa, gdy *poczuła* to w kościach, bez szans na odroczenie egzekucji, ani na ratunek w ostatniej chwili – cała presja wyparowała. Zupełnie jakby po raz pierwszy w życiu mogła myśleć jasno.

Nie wiedziała, ile czasu minęło, od kiedy Achilles torturował ją po raz ostatni. Doszła do wniosku, że przynajmniej dzień lub dwa. Może tydzień... Nie, bez wątplenia umarłaby, gdyby zostawił ją tutaj na cały tydzień. Jej stawy zupełnie skostniały w międzyczasie. Gdyby teraz ktoś uwolnił ją z egzozkieletu, jej ciało było równie sztywne jak przy stężeniu pośmi...

Może to *było* stężenie. Może już zdążyła umrzeć i tego nie zauważyła. Z całą pewnością ciało przestało ją boleć tak jak wcześniej – choć może po prostu przestała zwracać na to uwagę w obliczu palącego pragnienia. Tego jednego nie można odmówić Achillesowi, zawsze poił ją i karmił. Ciągłe powtarzał, że nie chce, by wpłynęło to na jej wydajność.

Minęło już mnóstwo czasu od jego ostatniej wizyty. Taka zabiłaby za szklankę wody, gdyby tylko nie umarła z pragnienia.

Lecz czyż nie miłe było uczucie, że nic *nie miało* już znaczenia? Czyż nie miły był fakt, że sama *do tego doszła*?

Chciała, żeby Achilles wrócił. Nie tylko dla tej szklanki wody, choć to byłoby przyjemne. Chciała mu pokazać. Chciała mu udowodnić, że się mylił. Chciała, aby był z niej dumny.

Wszystko to miało związek z tą naiwną pioseneczką o pchłach. Musiał o tym wiedzieć, dlatego właśnie ją zaśpiewał. *Ma mniejsze pchły od siebie, a te mają jeszcze mniejsze pchły, co gryzą...*

Życie w życiu. Teraz to widziała. Zdumiewało ją, że wcześniej tego nie dostrzegła. Nie był to nawet żaden nowy pomysł. Był wręcz *stary*. Mitochondria były *mniejszymi pchłami*, które żyły w każdej eukariotycznej komórce. Dzisiaj stanowiły ważne organelle, biochemiczne baterie samego życia – ale miliardy lat temu były niezależnymi organizmami, maleńkimi wolnymi bakteriami. Pochłonęła je jakaś większa komórka, która zapomniała przeżuć je dokładnie przed połknięciem – ostatecznie mała i duża komórka postanowiły ubić interes. Duża komórka zapewniała bezpieczne i stabilne środowisko. W zamian mała komórka przekazywała energię na rzecz swojego gospodarza. Ten starożytny akt nieudanych łowów stał się zaczątkiem dla prymitywnej symbiozy. Nawet dziś mitochondria posiadały własne geny, rozmnażały się według własnego harmonogramu, wewnątrz ciała nosiciela.

To samo miało miejsce teraz. Behemot ubił podobny interes z komórkami niektórych stworzeń, dzielących głębokomorskie środowisko, dostarczając nadwyżek energii, których ryby używały do potęgowania wzrostu. Rozwinął się też wewnątrz komórek na lądzie, z nieco mniejszymi korzyściami dla obu stron, to fakt, ale wirulencja od zawsze była wysoka w przypadku dwóch diametralnie różnych organizmów, które spotykały się po raz pierwszy...

Achilles wcale nie śpiewał o pchłach. Śpiewał o *endosymbiozie*.

*Seppuku* musi posiadać własne małe pchły. Miał na to wystarczająco dużo miejsca – wszystkie te redundantne geny mogły zaszyfrować dowolną liczbę wirusowych organizmów, jak również zamaskować samobójcze geny recesywne. *Seppuku* nie tylko zabijał się po wykonaniu roboty, ale dawał początek *nowemu* symbiontowi, prawdopodobnie wirusowi, który zajmował jego miejsce w komórce macierzystej. Zapełniał tę lukę tak efektywnie, że behemot nie znalazłby nic poza znakami *Brak wolnych miejsc*, gdyby postanowił wprowadzić się na nowo.

Na swój sposób było to wydarzenie precedensowe. Taka przypominała sobie podobne przypadki ze szkoły medycznej. Malaria została pokonana, gdy będące nosicielami komary straciły uprzywilejowaną pozycję na rzecz szybciej rozmnażającego się gatunku, który nie przenosił *zarodźców*. AIDS przestało być zagrożeniem, gdy łagodne szczepy zaczęły przewyższać liczebnie te śmiertelne. Jednak to było nic, choroby, które atakowały w najgorszym wypadku zaledwie kilka gatunków. Behemot zagrażał wszystkiemu, co posiadało jądro. Nie dało się pokonać wiedźmy poprzez zarażenie gatunku ludzkiego albo zastąpienie jednej odmiany komarów inną. Jedynym sposobem na wygranie z behemotem było powtórne zakażenie *wszystkiego*.

*Seppuku* musiało przebudować życie od podstaw. Miało ku temu narzędzia – posiadało przewagę, o której biedny, stary behemot nawet nie mógł marzyć. Achilles zmusił ją, by zapamiętała to jakieś pół wieku temu – TNA mogło wchodzić w obustronne reakcje ze współczesnymi kwasami nukleinowymi. Mogło rozmawiać z genami macierzystej komórki, mogło *łączyć* geny tej komórki. Mogło zmienić absolutnie wszystko.

Jeśli miała rację – a balansując na granicy życia nigdy nie była niczego bardziej pewna – *Seppuku* było czymś więcej niż tylko lekarstwem na behemota. Było największym skokiem ewolucyjnym od czasu powstania komórki eukariotycznej. Stanowiło rozwiązanie zbyt radykalne dla ludzi grzebiących w genach, którzy nie potrafili patrzeć ponad starym paradygmatem *Życia, jakim je znamy*. Głębokomorskie enzymy, uciążliwe i drobiazgowo modyfikacje, które pozwalały Tace i innym na zyskanie *odporności* – to jedynie prowizoryczne rusztowanie, nic więcej. Rozpórki i podpory pozwalające podtrzymać w pionie chwiejny plan życia na długo po przekroczeniu jego daty ważności. Ludzie zbyt mocno przywiązali się do chemicznych elementów, które definiowały ich

przez trzy miliardy lat. Ta nostalgia mogła w najlepszym wypadku opóźnić nieuniknione.

Architekci Seppuku działali bardziej radykalnie. Zupełnie odrzucili stare projekty komórkowe i zaczęli od początku, na nowo tworząc całą chemię życia. Każdy gatunek eukariotyczny zostanie zmieniony na poziomie molekularnym. Nic dziwnego, że twórcy Seppuku trzymali go pod kloszem. Nie trzeba było należeć do MM, żeby obawiać się tak ekstremalnego rozwiązania. Ludzie zawsze wybierali znajome zło, nawet jeśli tym złem był behemot. Ludzie nie zaakceptowałyby faktu, że sukcesu nie można było odnieść przez dalszą zmianę jego parametrów...

Taka z trudem wyobrażała sobie kształt sukcesu, który ten obecnie starał się przybrać. Być może te dziwne, nowe owady, widywane przez nią ostatnimi czasy, były nowym początkiem. Szybkie, krótkie życia ewoluujące przez dziesiątki pokoleń w zaledwie jeden sezon. To oznaczało, że Achilles nie potrafił w pełni powstrzymać kontrnatarcia – dowodziły tego te radosne, potworne stworzenia. Udało mu się jedynie powstrzymać Seppuku przed zarażeniem ludzkości.

A nawet na tym polu skazany był na porażkę. Ocalenie prędzej lub później nadejdzie dla wszystkich, tak jak nadeszło dla tych stawonogów. Po prostu dłużej to potrwa w przypadku stworzeń żyjących w wolniejszym tempie. *Na nas też przyjdzie kolej*, pomyślała Taka.

Jak miałyby to działać? – zastanawiała się. Jak rywalizować z hiperrywalem? Siłą, być może? Zwykłą komórkową żarłocznością, tą samą strategią, której behemot użył do pokonania Życia 1.0, zwróconą przeciw niemu samemu? Czy życie płonęłoby dwa razy jaśniej i o połowę krócej, gdyby cała biosfera poruszała się szybciej, myślała szybciej, żyła równie gwałtownie i krótko jak jętki?

To był stary paradygmat – zamienić się w swojego wroga, a następnie go pokonać. Istniały też inne opcje, gdyby porzucić *wzmacnianie na rzecz przerabiania projektu*. Taka Ouellette, poślednie potomstwo Starej Gwardii, nawet nie chciała zgadywać, co to były za opcje. Wątpiła, aby ktokolwiek mógł to uczynić. Jaka symulacja mogła przewidzieć zachowanie wielomilionowego systemu gatunków, gdzie wszystkie zmienne zostały w jednej chwili zaburzone? Jak wiele ostrożnie dobranych próbek eksperymentalnych trzeba było, aby wykonać model miliarda jednoczesnych mutacji? Seppuku – a raczej to czym Seppuku miało się stać – zupełnie zaprzeczało samej idei *kontrolowanych warunków eksperymentu*.

Cała Ameryka Północna stała się polem doświadczalnym – bez uprzedzenia, bez kontroli, niewyobrażalnie poplątana matryca wielowymiarowych analiz wariacji i tabel hiperniszowych. Nawet gdyby wszystko miało zawieść, świat i tak by na tym nie ucierpiał. Ucierpiałby mocno behemot, Seppuku rzuciłoby się na swój miecz, natomiast działanie tego, co przyszyłoby potem, przynajmniej – w przeciwieństwie do behemota – ograniczałoby się do komórek nosiciela.

Być może nie wszystko pójdzie na marne. Może wszystko zmieni się na lepsze. Powstaną potwory, niektóre rokujące nadzieję. Samym mitochondriom może grozić wymarcie, ich wiekowy leasing w końcu dobiegnie końca. Może ludzie przejdą wielką transformację, stary gatunek zginie, zastąpiony czymś, co będzie wyglądać tak samo, ale działać *lepiej*.

Może najwyższa, kurwa, pora.

Małeńki mężczyzna paplał do niej gdzieś z oddali. Stał dokładnie na wprost, irytujący homunkulus w niezwyklej ostrości, jak gdyby widziany przez niewłaściwą stronę lunety. Chodził w tę i z powrotem, żywo gestykulując. Taka zgadywała, że bał się czegoś lub kogoś. Tak, o to właśnie chodziło: ktoś chciał go dorwać. Mówił, jakby jego głowa pełna była głosów, jakby właśnie stracił kontrolę nad wieloma rzeczami jednocześnie. Groził jej – *wydawało jej się*, że jej groził, choć jego wysiłki wyglądały niemal komicznie. Brzmiał jak mały, zagubiony chłopiec, który próbował być dzielny, jednocześnie szukając odpowiedniego miejsca na kryjówkę.

– Już wszystko wiem – powiedziała mu Taka. Jej głos trzeszczał niczym tani, kruchy plastik.

Zastanawiała ją, dlaczego tak jest. – To nie było takie trudne.

On jednak zbyt pochłonięty był życiem w swoim małym świecie. Nie miało to znaczenia. Poza tym nie wyglądał na kogoś, kto doceniłby nastanie świtu nowej ery.

Tak wiele rzeczy miało się wkrótce wydarzyć. Koniec *Życia, jakim je znamy*. Początek *Życia, jakiego nie znamy*. To już się zaczęło. Najbardziej żałowała, że nie pożyje dostatecznie długo, by zobaczyć tego efekty.

*Dave, kochanie, pomyślała. Udało mi się. W końcu mi się coś udało.*

*Byłbyś ze mnie dumny.*

## BASTYLIA

Sudbury wyrosło pośród nocy niczym świetlisty guz.

Jego rdzeń lśnił od wewnątrz, słabo jak na standardy lądowców, lecz jasno jak dzień dla Lenie Clarke – okolony murami, klaustrofobiczny zlepek przerobionych drapaczy chmur na porzuconej pustyni dzielnic mieszkalnych i stref handlowych. Pole statyczne było oczywiste ze względu na zakłócenie. Nowe budynki i przeszczepione modyfikacje, niewielkie przestrzenie do życia wciśnięte w luki między budowlami – wszystko to ciągnęło się aż po samą krawędź pola i ani kroku dalej. Podobnie jak metastaza pod szklaną kopułą, Sudbury przypominało teraz półkulę.

Przecięli je od wschodu. Skóra głębinowa Clarke zwijała się w polu niczym ślimak w płomieniach. Naładowane cząsteczkami powietrze zamieniło śmigła w rozedrgane wiry jasnoniebieskich iskier. Efekt ten nappełnił ją uczuciem osobliwej nostalgii. Wydawał się niemal bioluminescencyjny, jak mikroby świecące w gorącu głębokomorskich smokerów. Przez chwilę mogła udawać, że za wirującymi łopatami podąża jakiś powietrzny wariant Ogni Świętego Elma.

Ale tylko przez chwilę. Tutaj istniał tylko jeden warty odnotowania mikroorganizm i bynajmniej nie miał on właściwości fluorescencyjnych.

Znaleźli się po drugiej stronie, sunąc na zachód przez wyższe partie rdzenia Sudbury. Ściany miejskiego kanionu majaczyły blisko po obu stronach. Błyskawice sypały iskrami, rozświetlając wąski pas nieba widoczny nad głową. Daleko w dole, co jakiś czas przesłaniana przez nowe konstrukcje, po dnie kanionu biegła szczątkowa linia rapitransu, przypominająca naprężoną, miedzianą nić.

Wznowiła ładowanie magazynków z otwartego plecaka. Lubin pokrótce wyjaśnił jej tę procedurę gdzieś nad Georgian Bay. Każdy magazynek zawierał tuzin pocisków wybuchowych, którym przypisano różne kolory w zależności od funkcji: rozbłyskowe, gazowe, świdrujące i niszczące. Po kolei wkładała je do pokrowców przy pasie zaciśniętym na jej udzie.

Lubin rzucił jej spojrzenie.

– Nie zapomnij zaplombować plecaka, gdy skończysz. Jak taśma?

Rozpięła koszulkę i sprawdziła skórę głębinową pod spodem. Szeroki X samoprzylepnej taśmy blokował wlot elektrolityczny.

– Wciąż lepi. – Z powrotem zapięła przebranie lądowca. – Czy wszystkie te przeloty na niewielkich wysokościach nie martwią lokalnych władz?

– Nie *tych* władz. – Jego ton podsuwał obraz przewracania niewidomymi oczami. Najwyraźniej plastry, antidota i wypatroszone ciała kupiły coś więcej niż tylko środek transportu. Clarke nie ciągnęła tematu. Umieściła ostatni magazynek na miejscu i zwróciła uwagę przed siebie.

Kilka przecznic przed nimi kanion kończył się otwartą przestrzenią.

– Więc tu się ukrywa – mruknęła. Lubin zmniejszył prędkość do tego stopnia, że teraz ledwo

dryfowali do przodu.

Rozciągał się przed nimi, na podobieństwo ogromnego, ciemnego Koloseum, otwarty obszar wyrzeźbiony w klaustrofobicznej architekturze. Lubin zupełnie zatrzymał Sikorsky'ego-Bella na wysokości trzystu metrów, na samej granicy obszaru.

Przypominało to otoczoną murem fosę o boku dwóch przecznic. Na samym jej środku piętrzył się samotny drapacz chmur, żłobkowana, wielofasetowa wieża. Upiorna korona niebieskiego światła rzucała słabą poświatę z jej dachu. Wszystko inne spowijał mrok, sześćdziesiąt pięć pięter i ani jednej zapalanej żarówki. Prowizoryczne fundamenty bliźniły oczyszczoną ziemię po wszystkich stronach, pozostałości po zburzonych budynkach, które wypełniały okolice w radośniejszych czasach.

Zastanawiało ją, co zobaczyłyby oczy lądowca, o ile kiedykolwiek przychodzili tu po zmroku. Być może, gdy mieszkańcy Sudbury spoglądali w stronę tego miejsca, nie widzieli wcale Pogromców Entropii. Być może widzieli nawiedzoną wieżę, ciemną i złowrogą, pełną szkieletów i chorych, pełzających stworzeń. Czy ktoś mógł winić ludzi za to, że zagubieni w trzewiach dwudziestego pierwszego wieku, oblegani przez obce mikroby i duchy w maszynach, na nowo odkryli w sobie wiarę w złe moce?

*Może nawet się nie myślą*, przemknęło przez głowę Clarke.

Lubin wskazał widmowe światła na gzymsie. Z tego nimbu wyłoniło się lądowisko wraz z tuzinem przylegających do niego konstrukcji – wind towarowych, budek wentylacyjnych, osłony maszynierii obsługującej podnośniki w stanie spoczynku.

Clarke spojrzała na niego sceptycznie.

– Nie. – Z pewnością nie mogli tam po prostu *wylądować*. Musiały istnieć jakieś środki obronne.

Lubin niemal się szczyrzył.

– Sprawdźmy to.

– Nie jestem pewna, czy to...

Mężczyzna pchnął dźwignię przepustnicy. Skoczyli w pustą, niezabezpieczoną przestrzeń.

Opuściwszy kanion, odbili w prawo. Clarke kurczowo wpiła palce w deskę rozdzielczą. Niebo i ziemia wirowały wokół nich. Nagle grunt znalazł się trzysta metrów poniżej jej ramienia, archeologiczne ruiny wypalonych fundamentów – i dwa czarne, metrowe okręgi, wpatrzone w nią niczym oczodoły ogromnej, kreskówkowej czaszki. Lecz wcale nie puste. Nawet nie płaskie – wybrzuszały się nieznacznie ponad powierzchnię ziemi jak odsłonięte regiony polarne wielkich, zakopanych kul.

– Co to? – spytała Clarke.

Brak odpowiedzi. Kobieta odwróciła głowę. Lubin jedną ręką przytrzymał swoje binokle pomiędzy nogami, przytrzymując pince-nez za soczewki. Urządzenie spoglądało prosto w dół przez brzuszną stronę osłony kabiny pilota. Clarke zadrżała: jak poradzić sobie z uczuciem, że twoje oczy unoszą się w powietrzu pół metra poza czaszką?

– Pytałam... – zaczęła raz jeszcze.

– Artefakty przegrzaniowe. Grudy ziemi strzelają jak popcorn.

– Co mogłoby wywołać taki efekt? Mina lądowa?

Pokręcił głową w zamyśleniu. Jego uwagę przyciągnęło coś u podstawy budynku.

– Promień cząsteczkowy. Działo orbitalne.

Poczuła ucisk w żołądku.

– Jeśli on ma... Ken, co jeśli *zobaczy*...

Coś błysnęło z jasnością płonącego sodu gdzieś z tyłu jej czaszki. Mechanizm w jej piersi na chwilę stracił zwyczajowy rytm. Przyrządy śmigłowca czknęły jeden raz w niemożliwej harmonii,



po czym zgasły.

– Chyba mamy odpowiedź – zauważył Lubin, gdy zgasł silnik.

Wiatr szumiał cicho w kabinie. Śmigło kontynuowało rytmiczne *tup-tup-tup*. Pozbawione zasilania łopaty wirowały samą siłą bezwładności. Żadnych innych dźwięków poza Lubinem, który klął pod nosem, gdy na ułamek sekundy zawisli pomiędzy niebem a ziemią.

W następnej chwili zaczęli spadać.

Żołądek Clarke podszedł do serca. Lubin zaparł stopy o pedały.

– Powiedz mi, gdy miniemy wysokość sześćdziesięciu metrów.

Kreślili łuk ponad ciemnymi fasadami.

– Co...

– Jestem ślepy. – Lubin wyszczerzył zęby w jakiejś chorej mieszance strachu i uniesienia. Jego dłonie ścisnęły drążek sterowniczy z nieustającą daremnością. – Powiedz mi, gdy... dziesiąte piętro! *Powiedz, gdy miniemy dziesiąte piętro!*

Jakaś jej część bełkotała bezsensownie, zdjęta kompletną paniką. Reszta próbowała go posłuchać, desperacko licząc piętra, które przemykały obok, choć byli za blisko, wszystko stanowiło rozmazaną plamę i mieli się rozbić, mieli się rozbić o bok wieży, który nagle znikł jak zamieciony pod dywan, gdy jego krawędź minęła maszynę na wyciągnięcie ręki. Teraz w ich polu widzenia pojawiła się północna strona budynku, znacznie wyraźniejsza dzięki odległości dzielącej ją od nich i...

*Boże, co to...*

Jakaś niedostępna, oniemiała z wrażenia część jej umysłu podpowiadała jej *to nie może być*, ale było: czarna, pozbawiona zębów i dostatecznie szeroka, by połknąć cały legion – otwarta *paszcza* w boku budynku. Próbowała zignorować ją, gdy przelatywali obok, zmusiła się do skupienia na piętrach poniżej, na liczeniu ich od parteru w górę. Nurkowali prosto przez niemożliwą paszczę... Prosto w jej środek...

– Le–

– *Teraz!* – krzyknęła.

Przez sekundę, która ciągnęła się w nieskończoność, Lubin nie robił zupełnie nic.

Osobliwe uczucie w tej dłużącej się chwili. Odgłos śmigła, wciąż wirującego dzięki szczęściu, magii albo zwykłemu uporowi, który szczekliwy rytm efektu Dopplera zniekształcał na podobieństwo powolnego, odległego bicia serca oddalającego się astronauty. Widok gruntu pędzącego im na ostatnie spotkanie. Nagłe poczucie chłodnej rezygnacji, świadomość nieuniknionego: *umrzemy*. I przytaknięcie gorzko-słodkiej ironii, że potężny Ken Lubin, który zawsze był o dziesięć kroków przed wszystkimi, popełnił tak kurewsko głupi błąd.

Wtedy mężczyzna szarpnął za drążek i śmigłowiec stanął dęba, w ostatniej chwili tracąc zimną krew. Nagle ważyła sto ton. Spoglądali w niebo. Świat wirował wokół nich, ziemia, szkło i odległe chmury przelatowały przed przednią szybą w rozmazanym widzie. Na nieprawdopodobny ułamek sekundy *zawisli* w powietrzu. Chwilę później coś grzmotnęło ich z tyłu – z tej samej strony doszedł ich odgłos pękających polimerów i dartej metalu. Szarpnęło nimi w bok i ten magiczny wirnik uderzył w ziemię, po czym zamarł, ostatecznie pokonany. Lenie Clarke oszalałym wzrokiem omiatała ogromny monolit w szaleńczy sposób napierający na nocne niebo, opadający wraz z ciemnością, by ją pożreć.

– Lenie.

Otworzyła oczy. Niemożliwa paszcza wciąż ziała nad jej głową. Zacisnęła powieki, poczekała

kilka sekund. Spróbowała raz jeszcze.

*Och.*

Wcale nie paszcza. Ogromny, zwęglony otwór w połowie wysokości północnej fasady, rozciągnięty na wysokość dziesięciu lub więcej wypatroszonych pięter.

*Rio, zdała sobie sprawę. Nigdy nie usunęli zniszczeń.*

Dach budynku był widoczny przez przednią szybę. Wszystkie światła na górze zgasły. Cały budynek wydawał się chylić w lewą stronę. Nos śmigłowca został skręcony pod kątem trzydziestu stopni, jak jakiś mechaniczny kret, który wpełzł spod ziemi i został skręcony wokół własnej osi.

Ich maszyna do niczego się nie nadawała. Wybuch musiał zmiażdżyć ogon albo zupełnie go oderwać.

Ból w piersi i ramionach. Z niebem było coś nie tak. Było... no tak, było *ciemne*. Przebywali na terenie enklawy, gdzie generatory pola statycznego nieustannie bombardowały powietrze cząsteczkami elektrycznymi. Niebo Sudbury powinno przed nimi migotać. Zanim spadli tak właśnie było.

– *Lenie.*

– Czy to... czy to był impuls? – przyszło jej do głowy.

– Możesz się poruszać?

Skupiła się, próbując zlokalizować źródło bólu: plecak Lubina, twardy i nierówny, trzymany kurczowo przy piersi jakby decydował o życiu lub śmierci. Gdy spadali musiał poderwać się z podłogi, musiała złapać go w powietrzu. W ogóle tego nie pamiętała. Rozcięcie na górze plecaka w jej objęciach pozwoliło jej zajrzeć do środka – kanciasta mieszanina narzędzi i ładunków wybuchowych boleśnie naciskających na jej klatkę piersiową.

Rozluźniła chwyt. Ból zelżał.

– Chyba nie mi nie jest. A ty...

Odpowiedział jej ślepy spojrzeniem wypiaszkowanych oczu.

Dopiero teraz przypomniała sobie o czymś, co widziała podczas upadku: binokle Lubina szybujące z gracją gdzieś na tył kokpitu. Clarke rozpięła pasy i obróciła ciało, by spojrzeć za siebie. Nagły, ostry ból przeszył jej kręgosłup niczym lodowy odłamek. Jęknęła.

Dłoń Lubina opadła na jej ramię.

– Co?

– Coś... coś z szyją, chyba. Nic poważnego. – Opadła z powrotem na siedzenie. Szukanie binokli i tak nie miało sensu. Impuls na pewno usmażył je tak samo jak obwody śmigłowca.

– Znów jesteś ślepy – powiedziała cicho.

– Zabrałem drugą parę. Plecak jest ekranowany.

Jego otwarty pysk uśmiechał się do niej zębami zamka błyskawicznego. Gdy zdała sobie sprawę, na co patrzy, poczuła falę mdłości.

– O *kurwa*, Ken... Zapomniałam go zamknąć. Ja...

Machnięciem ręki zbył jej przeprosiny.

– Będiesz moimi oczami. Czy konstrukcja kokpitu została naruszona?

– Co?

– Czy są jakieś dziury w kadłubie? Przykładowo coś na tyle dużego, żebyś mogła wyczołgać się na zewnątrz?

– Umm... – Clarke ponownie obróciła głowę, bardzo ostrożnie. Ból odezwał się u podstawy czaszki, ale nie tak mocno jak poprzednio. – Nie. Cały tył jest rozpierdolony, ale...

– Dobrze. Wciąż masz pakunek?

Otworzyła usta do odpowiedzi... i przypomniała sobie dwie karbonizowane wypukłości wpatrzone w niebo.

– *Skup się*, Len. Czy masz...

– To nie ma znaczenia, Ken.

– To ma bardzo wielk...

– Jesteśmy *martwi*, Ken. – Wzięła głęboki, rozpaczliwy wdech. – On ma działo orbitalne, pamiętasz? Jeszcze chwila i on po prostu... i nie możemy z tym nic, kurwa, zrobić...

– *Posłuchaj mnie*. – Nagle Lubin znalazł się tak blisko, że mógłby ją pocałować. – Gdyby próbował nas zabić, już byśmy byli martwi, rozumiesz? Wątpię, by w obecnej chwili chciał nawet włączać swoje satelity. Nie chce ryzykować, że przejmą je rozpruwacze.

– Ale on *już*... Ten impuls...

– Nie pochodził z orbity. Musiał naszpikować połowę piętér w tym budynku kondensatorami. *Nie próbuje nas zabić*. Chce nas jedynie zmiękczyć. – Wyciągnął rękę. – A teraz, *gdzie mój plecak?*

Podawała mu go nieprzytomnie. Lubin położył go na kolanach i zaczął grzebać w środku.

*Nie próbuje nas zabić*. Lubin już wcześniej tak twierdził, było to częścią jego roboczej hipotezy, którą wyłuszczył jej w drodze z Toromilton. Clarke nie była przekonana, czy ostatnie wydarzenia potwierdzały tę tezę, szczególnie od kiedy...

Jakiś ruch gdzieś po prawej. Clarke odwróciła się i wydała z siebie okrzyk zdumienia, natychmiast zapominając o bólu związanym z ruchem. Potworny pysk spoglądał na nią przez szklany dach kokpitu, z odległości zaledwie kilku centymetrów, potężny, czarny klin z kości i mięśni. Małe, czarne oczka połyskiwały w głębokich oczodołach. Widmo *szczyrzyło się*, odsłaniając ostre jak brzytwa zęby osadzone w szczęce wielkiej jak pułapka na niedźwiedzie.

W następnej chwili zniknęło z pola widzenia.

– Co? – Lubin kręcił głową w tę i z powrotem. – Co widzisz?

– To... to chyba był kiedyś pies – powiedziała Clarke skrzekliwym głosem.

– Myślę, że wszystkie nimi były – rzekł Lubin.

Odchylona w stronę nieba nie zauważyła ich przybycia. Aby patrzeć *w przód* musiała spojrzeć *w dół*, a teraz – przez szybę na podbrzuszu maszyny pomiędzy jej nogami, ponad krawędzią drzwi, gdy wyciągnęła wystarczająco szyję – ciemność kipiała ze wszystkich stron. Zjawy nie szczekały ani nie warczały. W ogóle nie wydawały odgłosów. Nie marnowały energii na bezrozumną, zwierzęcą wściekłość, nie rzucały się ze spienionymi pyskami na kadłub, by posmakować miękkiego mięsa ze środka. Krążyły jedynie jak rekiny.

Wzmocnienie światła niczego nie zmieniało w przypadku tych stworzeń. Wciąż miały barwę smolistej czerni.

– Ile ich jest? – Lubin musnął dłonią pistolet ładowany granatami. Pas na amunicję leżał mu na kolanach. Jeden jego koniec wciąż spoczywał w plecaku na podłodze.

– Dwadzieścia. Trzydzieści. Przynajmniej. Jezu, Ken, one są *ogromne*, dwa razy większe od ciebie... – Clarke walczyła z narastającą paniką.

Pistolet Lubina posiadał trzy miejsca na naboje i niewielkie pokrętło, które pozwalało wybrać pocisk. Wymacał granat błyskowy, świdrujący i wybuchowy, po czym załadował nimi broń.

– Widzisz główne wejście?

– W którym kierunku? Jak daleko?

– Na godzinie jedenastej. Jakieś... może osiemdziesiąt metrów. – *Równie dobrze mogłoby to być osiemdziesiąt lat świetlnych.*

– Co jest pomiędzy tym miejscem a nami?

Przełknęła ślinę.

– Wataha wściekłych ogarów, które chcą nas zabić.

– Poza tym.

– Jesteśmy... jesteśmy na granicy głównej drogi. Brukowanej. Stare fundamenty po obu stronach, w większości zrównane z powierzchnią ziemi. – Po chwili, mając nadzieję, że rozmowa nie zmierza w stronę, której się obawiała, mając nadzieję, że uda jej się skierować ją inne tory, dodała: – Żadnej osłony.

– Widzisz moją lornetkę?

Powoli się odwróciła, nie chcąc naruszać nieprzyjemnej granicy pomiędzy skrętem a bólem.

– Jest tuż za tobą. Pasek zaczepił o kołek nad drzwiami.

Mężczyzna odłożył broń na moment, by wypłatać lornetkę i wręczyć ją jej.

– Opisz wejście.

Dalmierz i termowizja nie działały, rzecz jasna. Do dyspozycji miała tylko zwykłe powiększenie. Próbowwała ignorować ciemne kształty na rozmazanym pierwszym planie.

– Rząd szklanych drzwi, jest ich osiem. Osadzone w płytkiej wnęcie fasady, na górze jest logo KRASZ. Ken...

– Co jest za drzwiami?

– Uch, hol o długości kilku metrów. A potem... Ostatnim razem wewnątrz były kolejne drzwi, ale już ich nie ma. Zamiast nich widzę ciężką płytę, jak opuszczana brama albo coś w tym stylu. Brak cech szczególnych.

– A co z bocznymi ścianami korytarza?

– Beton albo biolit, albo coś podobnego. Zwykłe ściany. Nic specjalnego. Dlaczego pytasz?

Mężczyzna zapiął pas z amunicją na biodrach.

– To nasza droga wejścia.

Pokręciła głową.

– Nie, Ken. Nie ma, kurwa, mowy.

– To oczywiste, że brama jest częścią systemów obronnych. Lepiej spróbować ją ominąć, niż walić w nią głową.

– Nie możemy tam wyjść.

– Rozszarpią nas na strzępy.

– Nie przebyłem całej tej drogi, żeby teraz wataha zdziczałych psów przygwoździła mnie osiemdziesiąt metrów od linii mety.

– Ken, jesteś *niewidomy!*

– One tego nie wiedzą. – Uniósł pistolet. – Ale dowiedzą się, co to jest. Ważne, by zachowywać pozory.

Obrzuciła spojrzeniem jego skorodowane oczy, nabrzmiałą bąblami skórę twarzy.

– Jak zamierzasz *celować?*

– Tak samo jak wylądowaliśmy. Będziesz mną kierować. – Lubin wymacał coś w plecaku i wyciągnął ze środka Hecklera & Kocha. – Weź to.

Wzięła, niedowierzając.

– Powstrzymamy psy na dość długo, by przebić się przez ścianę. Reszta planu pozostaje bez zmian.

Clarke patrzyła na krążące wokół bestie, czując suchość w ustach.

– A co jeśli są opancerzone? Albo okablowane?

– Impuls nic im nie zrobił. Więc żadnej elektroniki. Zwykłe modyfikacje, nic więcej. – Zapiął

plecak i przerzucił go przez ramię, zacieśniając paski na ramionach i wokół talii.

– A czy ta *broń* jest odporna? Czy... – Nagła, niepokojąca myśl wypłynęła na powierzchnię: czkająca maszyna w jej klatce piersiowej. – Co z naszymi implantami?

– Mioelektryka. EMP jej nie rusza. Na co ustawiony jest H&K?

Sprawdziła.

– Konotoksyny. Ken, nigdy wcześniej nie strzelałam z broni. Mój cel...

– Będzie lepszy niż mój. – Lubin przepelzł na tył przechylnego kokpitu, za fotele. – Możliwe, że będziesz mieć łatwiej. Podejrzewam, że skupią się na mnie.

– Ale...

– Rękawice – powiedział, plombując rękawice pod ubraniem.

Clarke naciągnęła rękawice drżącymi dłońmi.

– Ken, nie możemy po prostu...

Przerwał czynność, obrzucił ją spojrzeniem niewidzących oczu.

– Wiesz, wolałam cię, gdy miałaś tendencje samobójcze. Nie byłaś taka tchórzliwa.

Mrugnęła kilkakrotnie.

– Słucham?

– Tracę cierpliwość, Len. Pięć lat napędzanego winą uzalania się nad sobą powinno wystarczyć każdemu. Myliłem się co do ciebie? Czyżbyś przez cały ten czas się tym napawała? *Chcesz ocalić świat czy nie?*

– Ale...

– To jedyny sposób.

*Czy jest coś, czego byś nie zrobiła w takim razie? W zamian za szansę cofnięcia tego wszystkiego?* Jakiś czas temu odpowiedź byłaby oczywista. Teraz też była. Lodowate, znajome uczucie determinacji rozgorzało w niej na nowo. Twarz ją paliła.

Lubin skinął głową. Tylko oczy miał ślepe. Usiadł na podłodze, opierając plecy o kadłub za siedzeniem Clarke.

– Zatyczki do nosa.

Wykonał je po drodze, małe zatyczki z tej samej samoprzylepnej taśmy, która blokowała jej wlot. Clarke wepchnęła po jednej do każdej dziurki.

– Zrobię dziurę w poszyciu – oznajmił Lubin, umieszczając swoje zatyczki. – To powinno zwrócić uwagę psów na dostatecznie długo, by pozwolić nam wydostać się ze śmigłowca. Gdy będziemy na zewnątrz, skierujesz mnie do głównego wejścia. To będzie godzina dwunasta. Cele wskazujesz na tej podstawie, a *nie* na podstawie tego, w którą stronę będę akurat zwrócony. Czy to zrozumiałe?

Skinęła głową, na chwilę się zapominając, po czym dodała:

– Tak.

– Zaatakują, gdy tylko znajdziemy się na otwartej przestrzeni. Daj mi wtedy znać. Na mój sygnał zamknij oczy. Użyj granatów błyskowych. To unieszkodliwi je przynajmniej na dziesięć sekund. Zastrzel, ile dasz radę. Nie zatrzymuj się.

– Jasne. Coś jeszcze?

– Gdy nie będzie ryzyka poparzeń, zdejmij rękawice. Jeśli zobaczą skórę głębinową, może im to dać do myślenia.

Cierpliwi mordercy krążyli za przednią szybą. Wydawali się patrzeć jej prosto w oczy. Uśmiechali się, odsłaniając zęby wielkości kciuków.

*Tylko zwykłe modyfikacje*, pomyślała, roztrzęsiona i przerażona. Zaparła się plecami o osłonę kabiny pilota i uniosła dłonie, by zakryć twarz.

– Uda nam się – zapewnił ją Lubin. – Tylko pamiętaj o wszystkim, co mówiłem.

*Nie próbuje nas zabić. Zaczęła się zastanawiać, kogo się to właściwie tyczyło.*

– Naprawdę myślisz, że on spodziewa się, że wyjdziemy z tego cało.

Lubin pokiwał głową.

– Ale czy wie, że oślepieś?

– Wątpię. – Wycelował pistolet w przeciwległą ścianę kokpitu. Kółko wyboru wskazywało ładunek rozpryskowy. – Gotowa?

*No dalej, Lenie. To twoja ostatnia szansa na odkupienie.*

*Nie spierdol tego.*

– Gotowa – odparła, zaciskając powieki.

Lubin wystrzelił. Powieki Clarke nagle rozbłysły krwawym oranżem.

Jej skóra głębinowa, od szyi w dół, wzięła na siebie większość ciepła, ale w tamtej chwili miała wrażenie, jakby ktoś wepchnął jej głowę do pieca. Mogłaby przysiąc, że żar złuszczył jej całą skórę twarzy. Zacisnęła zęby i wstrzymała oddech, przeklinając ryzyko, którego Lubin nie chciał podjąć: *może nas przejrzeć, jeśli zobaczy kaptury.*

Powietrze huczało, skwiercząc kroplami płynnego metalu. Słyszała trzask pistoletu Lubina gdzieś z boku. Ze zdumieniem spostrzegła, że trapiący ją ból zniknął. Strach i adrenalina stłumiły go w jednej chwili.

Świat pociemniał za powiekami. Otworzyła oczy. W boku śmigłowca ziała dziura. Miękki stop żarzył się na krawędziach. Akrylowa powłoka złuszczyła się i poczerniała. Fragmenty rozerwanego poszycia ścieliły podłogę, jeden leżał w odległości zaledwie kilku centymetrów od jej stopy.

Lubin wystrzelił po raz trzeci. Wachlarz igieł zapalających wystrzelił przez wyrwę prosto w zalegającą za nią ciemność niczym maleńki, niszczycielski deszcz meteorytów. Ładunki rozpryskowe miały w założeniu wypalić tysiące niewielkich otworów na dużym obszarze, ale na małej przestrzeni kabiny igły nie miały możliwości się rozproszyć. Niemal dwa metry poszycia zostały pocięte na żyłki i wypchnięte na zewnątrz siłą wybuchu. Ogromna ilość dymiących odłamków zaśmiecała ziemię na zewnątrz.

– Jak duża jest dziura? – rzucił Lubin w ciemność.

– Półtora metra. – Rozkaszała się, gdy smród spalonego plastiku podrażnił jej gardło. – Całe mnóstwo rozrzuconych fragmentów na zew–

Za późno. Lubin, ślepy na zagrożenie, zdążył wyskoczyć przez otwór. Przeleciał nad rumowiskiem najbliższej granicy i wykonał przewrót przez ramię, natychmiast stając na równe nogi. Rozgrzany kawałek metalu przywarł do jego lewej łopatki niczym żelazo do wypalania piętna. Lubin syknął, sięgnął przez ramię i pchnął odłamek lufą broni. Fragment kadłuba opadł na ziemię, pokryty na wpół roztopionym kopolimerem. W koszuli Lubina dymiła poszarpana dziura. Uszkodzona skóra głębinowa pod nią wiała się jak żywy organizm.

Clarke zacisnęła zęby i zanurkowała za nim.

Jasna iskierka bólu, ostra jak igła i równie przeszywająca, na krótko rozpałała jej przedramię, gdy przelatywała przez wyrwę. W następnej chwili poczuła na skórze błogosławiony dotyk chłodnego powietrza. Wylądowała ciężko, po czym przejechała kilka kroków. Dwa wielkie, płonące zewłoki drgnęły tuż przed nią, uśmiechając się szeroko zza zwęglonych ust.

Zerwała się na nogi, zrywając z dłoni rękawiczki. Faktycznie, reszta watahy na razie uciekła, obserwując rozwój sytuacji z nieco dyskretniejszego dystansu.

Lubin omiół bronią perymetr w ramach czystego pokazu siły.

– *Lenie!*

– Tutaj! Dwa oberwały! – Znalazła się u jego boku, celując z H&K do krążącej hordy. – Pozostałe się wycofały. – Obróciła go zgodnie z ruchem wskazówek zegara. – Wejście jest tam. Godzina dwunasta. – *Pamiętaj*, powtarzała sobie, *namiary od wejścia, namiary od...*

Mężczyzna skinął głową.

– Jak daleko są? – Chwycił pistolet oburącz, uniósł ramiona, ugiął łokcie. Wyglądał niemal na zrelaksowanego.

– Uch... dwadzieścia pięć metrów, może. – *Namiary od wejścia...*

– Sprytnie. Tuż poza zasięgiem.

*Namiary od...*

– *Zasięg tej broni to jebane dwadzieścia pięć metrów?*

– Duży rozrzut. – Oczywiście miało to sens. Użyteczny trik w przypadku złego strzelca, a ślepy strzelec był najgorszym z możliwych. Haczyk był taki, że chmura igieł była tak rozproszona, że odleglejsze cele wychodziły z niej bez szwanku. – Ty spróbuj.

Clarke przymierzyła. Ręce nie przestawały jej drżeć. Wystrzeliła raz, drugi. H&K wierzgnął w jej dłoniach. Jego odgłos był wyjątkowo cichy.

Bestie odpowiedziały wrogimi spojrzeniami, zupełnie nieporuszone.

– Chybiłam. Chyba, że są niewrażliwe. Ken, mówiłeś, że zostały *zmodyfikowane...*

Nagły ruch po prawej stronie, poruszenie na flance.

– *Druga godzina* – syknęła Clarke, strzelając. Lubin obrócił się i plunął chmurą ognistych igieł. – *Ósma!* – Zmienił pozycję ciała i znów wystrzelił, o włos chybiając Clarke, która przykucnęła pod jego wyciągniętym ramieniem.

Ogniste drzazgi znaczyły ziemię po obu stronach. Trzy kolejne psy padły, poranione przez gorejące odłamki. Dwa kolejne uciekły poza zasięg broni, stojąc w płomieniach. Wataha wciąż milczała. Na granicy wrzało od niemego gniewu.

Clarke nie opuszczała broni, o ile miało to jakiegokolwiek znaczenie.

– Trzy martwe, dwa ranne. Reszta trzyma dystans.

Lubin obrócił głowę w lewo, prawo.

– Coś jest nie tak. Powinny atakować.

– Nie chcą oberwać. Mówiłeś, że są inteligentne.

– Psy bojowe zbyt mądre, by atakować. – Potrząsnął głową. – Nie. Coś jest nie tak.

– Może po prostu chciały nas przygwoździć – zaproponowała z nadzieją w głosie. – Może...

Coś zadzwoniło cicho w jej czaszce, nie tyle nawet usłyszała to, ile poczuła: *swędzenie*, ostre i nieprzyjemne.

– Ach – mruknął Lubin. – Tak lepiej.

Zmiana ta była zbyt subtelna, by dostrzec ją gołym okiem, zbyt fundamentalna. Żaden czujnik ruchu, żaden program analizy obrazu nie potrafiłby odczytać znaków. Lenie Clarke wiedziała jednak natychmiast, na jakimś pierwotnym poziomie, starszym nawet niż sama ludzkość. Coś w jej trzewiach nie zapomniało tego uczucia pomimo milionów lat istnienia. Zebrane wokół stworzenia nagle stały się jednością, ogromną, skłębioną istotą z miriadą ciał i jednym, bezlitosnym umysłem. Lenie Clarke patrzyła jak stworzenie rusza w jej stronę i przypominała sobie, czym była, czym była *od zawsze*.

Zwierzyną.

– *Błysk!* – warknął Lubin. Niemal za późno przypominała sobie, by zamknąć oczy. Cztery wybuchy w krótkich odstępach czasu. Konstelacja przygaszonych, czerwonych słońc na krótko rozblęśla pod jej powiekami.

– *Ruszaj!*

Otworzyła oczy. Złożony organizm popękał w szwach, ot tak. Pojedyncze drapieżniki krążyły dookoła, oślepione i zdezorientowane. *Na krótko* oślepione, przypomniawszy sobie. *Na krótko* zdezorientowane.

Miała kilka sekund na działanie i nic do stracenia. Zaszarżowała.

Zacząła strzelać z odległości trzech metrów od najbliższego stworza. Broń wypluła pięć pocisków. Dwa trafiły w bok stworzenia, które warknęło i znieruchomiało. Para potworów zderzyła się ze sobą zaledwie metr od niej: dwa szybkie strzały i już szukała nowych celów. Gdzieś z boku stożek ognistych igieł pokrył fragment terenu. Zignorowała to, nie przerywając ognia. Ciemny, masywny kształt przebiegł obok niej, krwawiąc płomieniami. Na wszelki wypadek posłała mu jeszcze kulę i nagle znów przeszła przemianę, gdy napompowane adrenaliną obwody śródmózgowia przeszły z trybu *ucieczka* w tryb *walka*, a paraliżujący strach ustąpił krwiożerczej furii. Trafiła w nogę. Trafiła w wielką, falującą klatkę piersiową, równie czarną i gładką jak jej skóra głębinowa. Trafiła w upiorny, wyszczerzony pysk, ale dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że spoglądał prosto *na nią*.

Jakaś jej część, o której istnieniu nie wiedziała, podsunęła jej liczbę: *siedem*. *Tyle zdołasz zabić, zanim znów się na ciebie rzucą...*

Zerwała się do biegu. Lubin również biegł, biedny niewidomy Lubin, Lubin ludzki czołg. Z powrotem przełączył na granaty rozpryskowe i torował sobie ognistą drogę na godzinie dwunastej. W pełnym pędzie wpadł na podjazd...

*...mówiłam mu, że na drodze nie ma żadnych przeszkód, ale będzie wkurzony, gdy potknie się o studzienkę kanalizacyjną...*

*...zupełnie jak widzący człowiek. Ogary kłapały za nim szczękami, stale krążąc wokół i nie mając zamiaru pozwolić ofierze uciec.*

Do Clarke też się zbliżały. Ich łapy dudniły za jej plecami niczym ulewa na brezentowym zadaszaniu.

Znów była na asfalcie, zaledwie kilka metrów za rufą Lubina.

– *Godzina siódma!* – krzyknęła, nurkując.

Ognisty deszcz przeleciał jej tuż nad głową. Żwir i szorstki chodnik zdarty jej skórę na dłoniach, poobijały łokcie i ramiona pod warstwami jeansu i kopolimerów. Ciało i futra buchnęły płomieniami tak blisko, że mogła ogrzać w nich twarz.

Przetoczyła się na plecy.

– *Godzina trzecia! Granaty przestały działać!*

Lubin odwrócił się, a następnie plunął ogniem we wskazanym kierunku. Trzy inne psy szarżowały na niego z godziny jedenastej. Wciąż leżąc na plecach, Clarke obiema rękami uniosła broń nad głowę i załatwiła je, mając w zapasie jeszcze trzy metry.

– *Błysk!* – krzyknął ponownie Lubin. Clarke przetoczyła się i schyliła głowę, zamykając oczy. Trzy kolejne wybuchy, trzy kolejne pomarańczowe słońca. Na chwilę rozświetliły wspomnienie ostatniego widoku – tego momentu, gdy Lubin rzucił komendę, a wszystkie psy zadrżały i *odwróciły łb...*

*Mądre, mądre pieski*, zachichotała jakaś histeryczna, mała dziewczynka w jej głowie. *Usłyszały słowo, które zapamiętały wcześniej i zamknęły oczy...*

Otworzyła własne, przerażona tym, co zaraz zobaczy.

Sztuczka nie zadziałała dwa razy. Lubin podnosił broń, desperacko próbując przełączyć tryby, gdy ogromny, zaśliniony potwór rzucił mu się do gardła, w pełni świadomy swoich działań. Lubin wystrzelił na ślepo z przyłożenia. Krew i kości eksplodowały z potylicy zwierzęcia, ale jego zewłok



gnał dalej. Sto kilogramów okrwawionego impetu grzmotnęło mężczyznę prosto w pierś. Lubin padł jak szmaciana lalka, chwytając swojego martwego napastnika, jakby mógł zatriumfować nad *masą-razy-przyspieszenie* dzięki sile samej choleralnej determinacji.

Nie mógł, rzecz jasna. Nie mógł zatriumfować nad niczym. Zabił tylko jednego ogara. Zniknął pod kłębowiskiem tuzina innych.

Nagle Clarke szarżowała, strzelając i strzelając, i strzelając. Słyszała krzyki, ale żaden z nich nie mógł pochodzić od czegoś, co mogła trafić. Coś gorącego i twardego uderzyło ją z boku. Coś zimnego i jeszcze twardszego łomotnęło ją w plecy. Potwór uśmiechnął się do niej otwartym, zaślinionym pyskiem. Jego łapy przyszpiliły ją do ziemi jak sterta pustaków. Jego oddech cuchnął mięsem i benzyną.

Przypomniała sobie coś, co powiedział Ken: *Możliwe, że będziesz mieć łatwiej. Podejrzewam, że skupią się na mnie...* Naprawdę powinna była go o to zapytać, gdy miała ku temu szansę. Teraz było za późno.

*Zostawiają mnie, pomyślała chłodno, na deser...*

Gdzieś z niedaleka dochodził odgłos trzaskających kości.

*Jezu Chryste, Ken. Co ty sobie myślałeś?*

Nacisk na jej klatkę piersiową zelżał. Ze wszystkich stron dochodziły ją odgłosy sapiących potworów.

*Myślałeś, że mamy jakąś szansę w piekle? Zostałeś oślepiiony, a ja... mnie równie dobrze mogło spotkać to samo. Próbowaleś umrzeć, Ken? A może tylko myślałeś, że jesteś niezniszczalny?*

*To mogłabym zrozumieć, może. Sama niemal w to uwierzyłam.*

Co dziwne, nic nie próbowało rozszarpać jej krtani. *Ciekawe, co je powstrzymuje*, pomyślała.

Otworzyła oczy. Wieża KRASZ-u majaczyła przed nią na tle nieba, zupełnie jakby spoglądała z grobu na olbrzymi nagrobek.

Usiadła w okręgu o średnicy około czterech metrów. Jego obwód otaczały masywne, czarne cielska. Obserwowały ją, spokojnie siedząc na zadach.

Clarke chwiejnie stanęła na nogach. Głowa swędziała ją wspomnieniem tego irytującego, niesłyszalnego gwizdu, który na nowo podrażnił jej ucho wewnętrzne. Poczula go tuż przed tym, jak potwory zaatakowały po raz pierwszy. Poczula go ponownie, przed chwilą. *Ultradźwięki*, rozumiała.

Heckler & Koch leżał u jej stóp. Schyliła się, by go podnieść. Ciemne kształty zeszywniały, niespokojnie kłapiąc szczękami. Ale nikt jej nie powstrzymał.

Sikorsky-Bell leżał z przetrąconym kręgosłupem w odległości około pięćdziesięciu metrów po jej lewej stronie. Pękata klatka piersiowa i wąski odwłok sterczały do góry na podobieństwo przekrzywionej litery V, zbiegając się u dołu we wspólnym punkcie. Poszarpana, zwęglona dziura ziała ponuro w ścianie kabiny pilota, jakby ze środka śmigłowca wypęzła na świat rozgrzana do białości larwa. Zrobiła jeden chwiejny krok w tym kierunku.

Psy zjeżyły się i pozostały na miejscach.

Stanęła. Obróciła głowę w stronę czarnej wieży.

Wataha rozstała się przed nią.

Poruszały się wraz z nią, zmuszając do podążania określoną trasą i stale depcząc jej po piętach. Po kilku krokach jej własna prywatna bańka stopiła się z inną. Dwie kieszenie pustej przestrzeni przeszły przemianę w jedną podłużną wakuolę o średnicy dziesięciu metrów w najszerszym miejscu.

Dwa ogromne, rozszarpane cielska leżały przed nią w kałuży krwi i rozlanych wnętrzności. Spod

blźszego truchła wystawiała nieruchoma stopa. Gdy Clarke podeszła bliżej, coś innego – ciemnego, śliskiego, dziwnie płatowatego – drgnęło nieco dalej wzdłuż skrwawionego boku potwora. Przypominało groteskowo rozdętego pasożyta, który wypełził z trzewi swojego wybebeszonego gospodarza.

Kolejny *ruch*. Nagle dotarło do niej, co widzi: skąpaną we krwi pięść uczeponą lepkiego, zmierzwionego futra.

– Ken! – Schyliła się, dotknęła umazanej juchą dłoni. Ta drgnęła, jakby ktoś ją dźgnął, po czym zniknęła pod zewłokiem, zostawiając po sobie jedynie niejasne wrażenie okaleczenia. Padlina nieznacznie się poruszyła.

Lubin nie rozszarpał tych dwóch zwierząt na strzępy. Jedynie przyprawił im dwie śmiertelne dziury. Patroszenie nastąpiło, gdy demoniczna horda próbowała rozerwać swoich poległych towarzyszy w pragmatycznej, pozbawionej skrupułów próbie dostania się do celu.

Lubin użył ich jako *tarcz*.

– Ken, to ja. – Chwyciła kępy futra i szarpnęła. Śliska od krwi sierść stawiała jej opór. Odłamki kości kłuły ją w dłonie. Za trzecią próbą środek ciężkości potwora przekroczył jakiś punkt graniczny. Truchło stoczyło się z Lubina niczym wielka kłoda.

Mężczyzna wystrzelił na ślepo. Śmiercionośne odłamki wyprysnęły w niebo. Clarke padła na ziemię...

– *To ja, ty kretynie!*

...i powiodła spanikowanym wzrokiem dookoła, obawiając się, że Lubin sprowokuje tym nowy atak. Jednak członkowie watahy zrobili jedynie kilka kroków tył, milczący jak zawsze.

– Cl... Clarke?

Nawet nie przypominał człowieka. Każdy centymetr kwadratowy jego ciała połyskiwał ciemną juchą. Pistolet w jego dłoni drżał.

– To ja – powtórzyła. Nie miała pojęcia, jak wiele z tej krwi należy do niego. – Wszystko z tob...

– ...psy? – Oddychał szybko i raptownie, przez zaciśnięte zęby, jak spanikowany chłopczyk.

Rzuciła okiem na swoją eskortę, która odpowiedziała tym samym.

– Na razie trzymają dystans. Ktoś je odwołał.

Opanował drżenie dłoni. Spowolnił oddech. Na nowo narzucił sobie dyscyplinę. Stary, znajomy Lubin powracał do życia wyłącznie dzięki sile woli.

– Mówiłem – wykaszał.

– Wszystko z to...

– Żyję... – Powoli wstał, kilka razy sztywniejąc i krzywiąc usta. – ...ledwo. – Jego prawe udo krwawiło. Brzydka rana znaczyła mu bok twarzy, biegnąc od szczęki aż po linię włosów, prosto przez uszkodzony oczodół prawego oka.

Clarke wydała z siebie stłumiony jęk.

– Jezu, twoje *oko*...

Mężczyzna dotknął twarzy.

– I tak kiepsko mi służyło. – Okaleczoną dłoń, która wcześniej tylko jej mignęła, teraz mogła obejrzeć w całości – brakowało jej dwóch palców.

– A twoja dłoń... Ken, ona...

Mężczyzna zacisnął dłoń. Świeże strupy pękły w miejscach kikutów, pociekła z nich ciemna maź.

– Tylko wygląda źle – wychrypiał.

– Wykrwawisz się albo...

Pokręcił głową, na chwilę tracąc równowagę.

– Zwiększona krzepliwość. Część standardowego wyposażenia. Nic mi nie będzie.

*Chyba cię pojebało.* Psy postąpiły kilka kroków do przodu z jednej strony, zrobiły im miejsce z drugiej. Najwyraźniej zostanie na miejscu nie wchodziło w grę.

– Jak uważasz. – Chwyciła go pod ramię. – Tędy.

– Nie zboczymy z toru. – To nie było pytanie.

– Nie. Nie mamy innego wyboru.

Znów odkaszlnął. Gęsty płyn pociekł mu z kącika ust.

– Gonią nas jak stado.

Ogromny, czarny pysk delikatnie pchnął ją z tyłu.

– Wolę myśleć o nich jak o gwardii honorowej – odparła.

Szereg szklanych drzwi pod betonowym zadaszeniem, oficjalne logo Pogromców Entropii wprawione w kamień nad głową. Psy utworzyły półkole wokół wejścia, pchając ich naprzód.

– Co widzisz? – spytał Lubin.

– Te same zewnętrzne drzwi. Za nimi trzymetrowy hol. Widzę... Widzę drzwi na środku zapory.

Tylko zarys, bez klamki, klawiatury, czegokolwiek.

Mogłaby przysiąc, że wcześniej tam tego nie było.

Lubin splunął krwią.

– Chodźmy.

Pociągnęła jedno drzwi. Otworzyły się. Przekroczyli próg.

– Jesteśmy w przedsionku.

– A psy?

– Wciąż na zewnątrz. – Wataha usiadła teraz w rzędzie tuż za szkłem, zaglądając do środka. –

*Chyba nie zamierza...* och. Wewnętrzne drzwi właśnie się otworzyły.

– Do środka czy na zewnątrz?

– Do środka. Ciemne wnętrze. Nic nie widzę. – Zrobiła krok naprzód. Nakładki przystosują się do ciemności, gdy już w nią wkroczą.

*Jeśli w nią wkroczą.* Lubin zastygł w bezruchu, zaciskając pozostałe palce okaleczonej dłoni w karykaturalną pięść. W drugiej dłoni ścisnął pistolet wycelowany przed siebie. Broń ani drgnęła. Jego zniszczona twarz wyrażała uczucia, których Clarke nigdy wcześniej u niego nie widziała: obraz nieprzemijającego gniewu i poniżenia balansującego na granicy człowieczeństwa.

– Ken, drzwi są otwarte.

Wskaźnik ustawiony na ładunek świdrujący.

– Są otwarte, Ken. Możemy po prostu wejść. – Położyła mu dłoń na przedramieniu, próbowała zmusić go, by je opuścił, ale całe jego ciało zeszywniało w nagłym ataku tęcza. – Nie musimy...

– Już ci mówiłem – warknął. – Lepiej będzie pójść naokoło. – Jego ramię zmieniło pozycję na godzinę trzecią, wskazując ścianę przedsionka. Jego bezużyteczne oko wciąż patrzyło na wprost.

– Ken... – Obróciła głowę, podświadomie oczekując, że potwory za ich plecami wpadną do środka i ogryzą mu rękę. Psy jednak pozostały na swoich miejscach, pozwalając tragedii rozegrać się bez żadnej interwencji.

– *On chce* byśmy szli dalej – powiedział Lubin. – Zawsze wszystko planuje, zawsze przejmuje inicjatywę. A my, do chuja, tylko... *reagujemy*...

– A wywalenie dziury w ścianie, gdy drzwi stoją otworem? To nie jest *reagowanie*?

Lubin pokręcił głową.

– To droga ucieczki.

Wystrzelił. Ładunek wgrzył się w boczną ścianę, wirując dostatecznie szybko, by skruszyć nawet horyzont zdarzeń. Mur wybuchł niczym płaski Wezuwiusz. Niemal natychmiast okryła ich chmura pyłu o barwie brudnej szarości. Kłujące drobiny uderzyły w twarz Clarke. Zamknęła oczy, krztusząc się w nagłej burzy piaskowej. Gdzieś w głębi wiru usłyszała brzęk tłuczonego szkła.

Coś chwyciło ją za nadgarstek i szarpnęło w bok. Gdy uniosła powieki, jej oczom ukazało się wirujące, zawiesiste następstwo wybuchu. Lubin pociągnął ją w kierunku otworu w ścianie. Pochylił nad nią pokiereszowaną twarz.

– Tędy. Wprowadź nas do środka.

Ona prowadziła. On kuśtykał u jej boku. Powietrze wypełniał syk osuwającego się gruzu. Cały budynek narzekał na tego rodzaju profanację. Pusta, poskręcana framuga drzwi sterczała pod dziwnym kątem w półmroku. Kawałki potłuczonego szkła chrzęściły im pod stopami niczym diamentowy pył.

Ani śladu psów. Nie, żeby widziała cokolwiek dookoła, ale być może wystraszył je wybuch. Może wyszkolono je, by zostały na zewnątrz niezależnie od okoliczności. A może już za chwilę odnajdą te zniszczone drzwi i wpadną do środka, by dokończyć robotę...

Przed nimi ziała dziura w ścianie. Gdzieś z drugiej strony ciekła woda. Próg ze zbrojonego betonu wystawał może pięć centymetrów ponad podłogę, stanowiąc krawędź urwiska – po drugiej stronie *nie było* posadzki, jedynie szyb o szerokości metra, ginący w mroku u góry i u dołu. Skręcone żyły metalu i plastiku wisiały podtrzymywane przez niepewne uchwyty lub biegły przy ziemi, wciśnięte w szyb pod nieprzewidywalnymi kątami. Strumień wody spadał w pustą przestrzeń, płynąc z rozerwanej rury i rozpryskując się na jakiejś niewidocznej kratce poniżej.

Mur po drugiej stronie szybu również został skruszony. Przejście spowijała ciemność.

– Ostrożnie – powiedziała.

Weszli w ciemną, wysoko sklepioną przestrzeń, którą z mglistych wspomnień Clarke kojarzyła jako główną recepcję. Lubin wymierzył pistolet w otwór, z którego właśnie się wyłonili. Nic na nich nie wyskoczyło. Nikt za nimi nie podążał.

– Lobby – oznajmiła Clarke. – Ciemno. Biurka recepcji i kioski po lewej. Nikogo tu nie ma.

– Psy?

– Jeszcze nie.

Pozostałe palce Lubina przebiegły po krawędziach wyłomu.

– Co to?

Kobieta nachyliła się. We wzmocnionym półmroku coś połyskiwało w przekroju poprzecznym wyrwy jak cienka żyła cennej rudy. Przysmażone kawałki sterczały tu i tam ze strzaskanego podłoża.

– Jakiegoś rodzaju siatka – powiedziała. – Wprawiona w ścianę. Metaliczna, gęsty splot. Jak gruba dzianina.

Mężczyzna pokiwał głową z ponurą miną.

– Klatka Faradaya.

– Co?

– Ekranowanie. Przed efektami impulsu.

Niemal jak na boską komendę, zapłonęły wszystkie światła.

## EMPATA

W jednej chwili Clarke została oślepiąca. Poderwała H&K i zaczęła nim wymachiwać bez większego sensu.

– Światła...

– Wiem.

Gdzieś z głębi budynku doszedł ich odgłos przebudzonej maszynerii.

– Jezu pierdolony w dupę Chryste – rzekł wszechobecny głos. – Zawsze musicie tak wszystko utrudniać? Przecież drzwi były otwarte.

– Achilles? – Jej nakładki rozpoczęły proces dostosowywania. Przedmioty i elementy budowy zaczęły wyłaniać się z mlecznego tła. Jednak mgła nie była jedynie wynikiem pracy nakładek. Pył po wybuchu zawisł w powietrzu, tłumiąc kontrast otoczenia. Wypolerowana, kamienna płyta po przeciwległej stronie lobby, dobre dziesięć metrów od wyłomu, popękała i zwała się na ziemię w beładnej kupie.

– Albo mogliście po prostu wylądować na dachu – ciągnął głos. – Ale nie. *Musieliście* ruszyć na barykady, a teraz spójrzcie na siebie. *Spójrzcie na siebie*. Ledwie stoicie na nogach.

Gdzieś w oddali zawarczały wentylatory, wciągając smugi i wstęgi pyłu przez kratki pod sufitem. Powietrze się przejaśniło. Lubin wsparł się o ścianę, oszczędzając ranną nogę. Światła przywróciły barwy otoczeniu Clarke. Krew na ciele Lubina razila brudnym szkarłatem. Wyglądał, jakby ktoś obdarł go żywcem ze skóry.

– Przydałaby nam się jakaś pomoc – powiedziała Clarke.

Westchnienie skądś, zewsząd.

– Tak samo jak ostatnim razem, gdy się tu pojawiliście. Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają, co?

– To *twoja* wina, ty chuju. *Twoje* psy...

– Standardowe środki bezpieczeństwa po impulsie. Poza tym, czy kazałem ci walczyć z nimi na *ślepo*? Ken, co w ciebie wstąpiło? Masz cholerne szczęście, że zauważyłem w porę.

– *Spójrz* na niego! *Pomóż* mu!

– Daj spokój – nalegał Lubin, a jego głos był ledwie głośniejszy od szeptu. – Nic mi nie jest.

Budynek i tak go usłyszał.

– Wszyscy widzą, że *coś* ci jest, Ken. Choć to też nie tak, że jesteś nieszkodliwy. Nie jestem aż tak głupi, by dać się podejść komuś, kto przed chwilą siłą wdarł się do mojego domu. Dlatego dojdźmy do jakiegoś porozumienia, a może połatamy cię, zanim wykrwawisz się na śmierć. Co tutaj robicie?

Lubin otworzył usta, zakaszał, spróbował raz jeszcze:

– Myślę, że dobrze wiesz.

– Założmy, że nie wiem.

– Mieliśmy umowę. Miałeś sprawdzić, kto polował na nas na grzbiecie.

Clarke zamknęła oczy, przypominając sobie: *reszta planu pozostała taka sama*.

– Gdybyś jeszcze nie zauważył, ostatnimi czasy mam całe mnóstwo roboty – oznajmiło pomieszczenie. – Zapewniam jednak, że pracuję nad tym.

– Sądzę, że zrobiłeś już o wiele więcej. Sądzę, że już do tego *doszedłeś*, jeszcze zanim straciłeś większą część swojego zaplecza. Swoją drogą, możemy powiedzieć ci, jak to wszystko odzyskać. Jeśli w ogóle jest to jakiś czynnik w twoich analizach.

– Aha. I nie mogliście po prostu zadzwonić do mnie z Podunk, Maine, czy gdzie tam jeszcze byliście?

– Próbowaliśmy. Jednak albo miałeś ostatnimi czasy całe mnóstwo roboty, albo wszystkie kanały padły.

Budynek przez chwilę szumiał cicho, jakby zatopiony w myślach. Nieco głębiej w korytarzu, za nieużywanymi punktami informacyjnymi, automatami z broszurami i opuszczonym blatem recepcji, szereg bramek kontrolnych mrugał do nich rubinowymi diodami LED. Na oczach Clarke jedna z nich

zmieniła kolor na zielony.

– Tędy – powiedział Desjardins.

Lenie wzięła Lubina pod łokieć. Mężczyzna kuśtykał za nią, utrzymując niewielki dystans. Dostatecznie mały, by używać jej w roli przewodnika, ale na tyle duży, by nie stała się jego kulą inwalidzką. Jego przejście znaczył asymetryczny rząd ciemnych i lepkich odcisków.

Każda bramka przypominała aluminiowy cylinder o szerokości pół metra, sięgając od podłogi do sufitu niczym kraty w klatce. Jedyna droga wiodła pomiędzy nimi. Czarna taśma o długości przedramienia Clarke opasała każdą bramkę na wysokości oczu, skrząc się kolorowymi konstelacjami kodów – całość rozblęsnęła na czerwono, jeszcze zanim dotarli do połowy korytarza.

– Ach, no tak – mruknął Desjardins. – Bramka potnie was na kawałeczki, jeśli spróbujecie cokolwiek przemycić. – Gdy podeszli bliżej, poniżej wyświetlacza wysunął się półokrągły panel. – Po prostu wrzucicie wszystko do środka.

Lubin wymacał komorę, po czym umieścił w niej pistolet oraz pas. Clarke poszła za jego przykładem, składając broń, podczas gdy Lubin mocował się z plecakiem. Gdy Clarke próbowała mu pomóc, strącił z ramienia jej dłoń. Plecak wylądował na szczycie sterty. Panel zniknął z pola widzenia.

Panoramiczny wyświetlacz wybuchł szeregiem obrazów i akronimów. Clarke rozpoznała część z nich dzięki krótkiej lekcji, jakiej Lubin udzielił jej po drodze: taser, pistolet mikrofalowy, mechaniczny podnośnik, lep na muchy w aerozolu. Inne rzeczy, których nigdy wcześniej nie widziała. O ile dobrze wiedziała, Lubin zabrał je wszystkie ze swojego schowka na dnie Atlantyku.

– Czy to stripper elektronów? – spytał Desjardins. – I bomba impulsowa! Przywiozłeś własny maleńki ładunek EMP! Czyż to nie urocze?!

Lubin nie skomentował tego, zaciskając szczęki.

– To już wszystko? Żadnych paskudnych gazów bojowych, ani ukrytego okablowania? Bo nie chcę wam mówić, ale te bramki są *bardzo* bezlitosne. Jeśli przejdziecie przez z nie z *czym*...

– Nasze implanty – rzuciła Clarke.

– Nie stanowią problemu.

Lubin wymacał drogę pomiędzy słupkami bramki. Żadnych sygnałów dźwiękowych, żadnych laserów strzelających do niego z góry. Clarke przeszła zaraz po nim.

– Winda znajdziecie tuż za rogiem – oznajmił Achilles.

Zupełnie rozbrogieni wkroczyli do królestwa Desjardinsa. Clarke prowadziła Lubina głosem lub sporadycznym dotknięciem. Nie śmiała na głos wyrażać swojego zdania, nawet szeptem. Zamiast tego delikatnie ścisnęła jego ramię, ale po tych wszystkich latach spędzonych razem to wystarczyło, by zrozumiał, co miała na myśli: *Nawet przez chwilę tego nie kupił.*

Lubin odpowiedział ślepym spojrzeniem i drgnięciem rozbitej wargi: *Oczywiście, że nie.*

Wszystko zgodnie z planem. Jaki by on nie był.

Całą fizykę musiała przyjąć na wiarę.

Mogła kupić wszystko, co Lubin wyluszczył jej w drodze na miejsce. Nie miało znaczenia, czy Desjardins wierzył w ich historyjkę, dopóki myślał, że są przydatni. Nie będzie próbował zabić ich od razu, o ile zmieni zdania.

Co nie oznaczało, że nie spróbuje ich *unieszkodliwić*. Nie zamierzał chyba wpuścić nikogo do swojej tajnej kryjówki bez zachowania środków ostrożności – rozbroi ich, uwięzi na zamkniętej powierzchni i odetnie sznurki.

*Nic śmiercionośnego, przewidział Lubin, nic, co mogłoby naruszyć strukturę. To znacznie*

*ogranicza jego możliwości. Damy sobie radę.*

Na razie nie było najgorzej. Wciąż nie potrafiła przełknąć tego, w *jaki sposób* mieli sobie dać radę.

Dobre pół litra wody chlupotało w rurkach ukrytych w klatce piersiowej Clarke, nie mogąc znaleźć ujścia ze względu na taśmę zaklejającą wlot elektrolizera. Pięćset milimetrów płynu to nie było za wiele. W morskiej głębinie stały prąd wody morskiej przepływał przez jej implanty, dając jej nieskończony zapas tlenu. Trudno było jej uwierzyć, że stojące męty uwięzione w hydraulice przetrwają dłużej niż tylko chwilę.

*Czterysta pięćdziesiąt gramów tlenu molekularnego*, powiedział Lubin. *Niemal tyle samo, ile otrzymałabyś z dwóch tysięcy litrów powietrza.*

Jej racjonalna strona nie mogła dyskutować z obliczeniami. Jednak jej żołądek nie był matematykiem.

Stanęli przed szeregiem wind. Jedne drzwi były otwarte. Ze środka wylewało się łagodne światło.

*Teraz nas zamknie.*

Weszli do środka. Drzwi zamknęły się. Kabina ruszyła.

W dół.

*To szaleństwo*, pomyślała. *To nie zadziała*. Lecz już teraz wydawało jej się, że słyszy cichy syk gazu uciekającego z ukrytych dysz...

Kaszlnęła, uruchamiając implanty i modląc się do jakiegoś bliżej nieokreślonego bóstwa, by Lubin nie spieprzył swoich obliczeń.

Najwyraźniej nie. Poczuła znane, subtelne wibracje w okolicach klatki piersiowej. Jej trzewia zwinęły się i zalały własnym, prywatnym zapasem soli fizjologicznej. Płyn wezbrał w jej krtani, po czym wypełnił usta. Krótkie uczucie mdłości towarzyszyło zalaniu ucha wewnętrznego. Słona strużka pociekła jej po brodzie, zanim przypomniała sobie, by zacisnąć wargi. Świat przycichł. Wszystkie dźwięki, poza biciem jej własnego serca, stały się odległe i przytłumione.

Nagle nie odczuwała już potrzeby oddychania.

Cały czas jechali w dół. Lubin opadł na ścianę windy, jego twarz przypominała zakrwawioną maskę cyklopa. Clarke poczuła ciepłą wilgoć na górnej wardze – ciekło jej z nosa. Uniosła dłoń i podrapała jego koniuszek, dyskretnie dopychając zatyczkę w lewej dziurce, tamując przeciek.

Niespodziewanie jej ciało *zadudniło* gdzieś głęboko, niemal na poziomie ultradźwiękowym, który wprowadził w drżenie kości, zupełnie jakby stanowiły część jakiegoś ogromnego instrumentu basowego. W gardle poczuła słaby odruch wymiotny. Wszystkie jej wnętrzości wibrowały.

*Dwie najbardziej prawdopodobne opcje*, dumał Lubin, *to gaz i infradźwięki*.

Nie miała pojęcia, czy gaz stanowił część arsenału Desjardinsa – o ile wiedziała powietrze już zostało nim nasycone. Ewidentnie za to był tu jakiś rodzaj głośnika. Lustro akustyczne musiało zajmować całą przestrzeń pod sufitem lub może pod podłogą. Ściany skupiały wibracje, budując rezonans wewnątrz kabiny. Dźwięk zostałby dostrojony, by tworzyć paskudną harmonikę w płucach i uszach wewnętrznych, w zatokach oraz krtani.

Czuła mdłości nawet pomimo, że jej układ oddechowy i twarde jamy ciała zostały zalane. Z trudem potrafiła sobie wyobrazić wpływ, jaki miałyby to na zwykłe ciało. Implanty nie radziły sobie z gazami żołądkowo-jelitowymi – głębokomorskie ciśnienie sprawiało, że miękkie wnętrzości zapadały się w sobie bez żadnych skutków ubocznych – natomiast ataki akustyczne były raczej nakierowane na twardsze, bardziej przewidywalne przestrzenie powietrzne. Mimo tego fale dźwiękowe Desjardinsa *na coś* jednak wpływały. Mogła jedynie powstrzymać się przed zarzyganiem kabiny solą fizjologiczną i popuszczeniem w skórę głębinową. Każdy lądowiec leżałby

już na ziemi, obsrany, rzygający lub nieprzytomny. Clarke zwarła oba końce i próbowała wytrzymać.

Winda stanęła. Światła zgasły.

*Już wie, pomyślała. Domyślił się, oczywiście, że się domyślił. Jak mogliśmy sądzić inaczej? Jak mógłby niczego nie zauważyć?*

Już za chwilę winda znów ruszy i przewlecze ich przez tę sypiącą się, zaminowaną ruinę, gdzie sześćdziesiąt pięć pięter nafaszerowanych pułapkami zamieni ich w...

W głowie jej pojaśniało. Kości przestały wibrować. Trzewia wróciły na miejsce.

– Dobra, ludziska – głos Desjardinsa brzmiał piskliwie i cicho w zalanych uszach Clarke. – Koniec przejażdżki.

Drzwi stanęły otworem.

Oaza świetlistej maszyny na rozległej, czarnej równinie. To właśnie ujrzałyby nagie oczy – powtórne przyjscie Mesjasza niemalże, podobną Chrystusowi postać skąpaną w blasku technologii, zawieszoną w bezkresnej pustce.

Dla Lenie Clarke nie było ciemno. Mroczna równina okazywała się być zwykłym parkingiem podziemnym, pustą, szarą jaskinią o długości pół przecznicy. Równo rozmieszczone dźwigary podpierały ciężki strop. Rury i światłowody wychodziły ze ścian, wijąc się po ich powierzchniach na podobieństwo siateczki rzadkich winorośli. Kable łączyły się w luźne pęki, prowadząc do ustawionych w podkowę stacji roboczych skąpanych w chemicznym świetle.

W rolę Chrystusa wcielił się ktoś, kogo Lenie Clarke poznała już wcześniej. Po raz pierwszy spotkała go w ciemnościach znacznie głębszych niż te, jako zakładnika Kena Lubina. Wtedy Achilles Desjardins był człowiekiem przekonanym o tym, że wkrótce umrze.

Wtedy o wiele łatwiej było odczytać jego intencje.

Zakrzepła krew spękała wokół ust Lubina. Klatka piersiowa uniosła się. Clarke wyłączyła własne implanty, wyciągając wtyczki z nosa, jeszcze zanim nastąpił odpływ. Na środku pomieszczenia, w samym sercu technologicznej podkowy, stał Desjardins.

– Myślałem, że mogę im to wynagrodzić – powiedział.

W jakiś dziwny, pokręcony sposób, w zasadzie miło było znów go zobaczyć.

– Fakt bycia potworem – wyjaśnił, jakby ktoś go o to pytał. – Dlatego dołączyłem do Pogromców Entropii, wiecie? Nie mogłem zmienić tego, czym byłem, ale pomyślałem... no wiecie, jeśli pomogę ratować świat, może wynagrodzę to innym. – Rozciągnął usta w smutnym uśmiechu. – To głupie, nie? Spójrzcie, dokąd mnie to zaprowadziło.

– Spójrz, dokąd zaprowadziło to nas wszystkich – rzekł Lubin.

Uśmiech Desjardinsa znikł. Nic nie przesłaniało jego oczu, ale w jednej chwili stał się równie nieprzenikniony jak każdy ryfter.

*Proszę, pomyślała Clarke. Niech to będzie jakieś potworne, głupie nieporozumienie. Powiedz, że wszystko zrozumieliśmy na opak. Proszę. Udowodnij nam, że się mylimy.*

– Wiem, dlaczego tu jesteś – powiedział, patrząc na Lubina.

– A i tak wpuściłeś nas do środka – zauważył Ken.

– Cóż, miałem nadzieję, że do tego momentu będę miał nieco większą przewagę, ale cóż. Przy okazji, niezła sztuczka z tymi implantami. Nie zdawałem sobie nawet sprawy, że działają bez zaplombowanej skóry głębinowej. Głupi błąd jak na Achilleś, mistrza łączenia faktów, co? – Wzruszył ramionami. – Ostatnio miałem sporo na głowie.

– Wpuściłeś nas – powtórzył Lubin.

Desjardins skinął głową.



– Zgadza się. Ale radzę się już dalej nie zbliżać.

Znajdowali się około czterech metrów od jego fortu. Lubin stanął. Clarke poszła za jego przykładem.

– Chcesz, żebyśmy cię zabili? – spytała. – O to chodzi?

– Samobójstwo z rąk ryftera, hmm? – Parsknął pod nosem. – Niewątpliwie byłaby w tym jakaś poetyckość, jak sądzę. Ale nie.

– Więc o co chodzi?

Przechylił głowę. Gest ten sprawił, że przypominał teraz ośmiolatka.

– To był *wasz* pomysł z włączeniem doboru krewniaczego moim Lenie, prawda?

Clarke skinęła głową, przełykając gorzką prawdę: *Więc to też jego sprawa.*

*Czyli jednak jest winny...*

– Tak myślałem – przyznał Achilles. – To jedna z tych rzeczy, która mogłaby przyjść do głowy tylko komuś, kto wiedział, skąd się wywodzą. Niewielu takich zostało. Na dodatek, dość łatwo jest to wprowadzić, ale już nie tak łatwo *cofnąć*. – Spojrzał z nadzieją na Lubina. – Ale zdaje się, że mówiłeś, że wiesz jak...?

Lubin obnażył zęby w krwawym grymasie uśmiechu.

– Kłamałem.

– Tak. Tego też się domyśliłem. – Desjardins wzruszył ramionami. – Wygląda na to, że została nam do omówienia tylko jedna kwestia.

Clarke pokręciła głową.

– O czym ty...

Stojący obok Lubin spał miśnie. Desjardins na ułamek sekundy zerknął w bok. Na dany sygnał powierzchnia pobliskiej ściany zamigotała i pojaśniała. Obraz, który pojawił się na inteligentnej farbie był nieco rozmazany, ale łatwo rozpoznawalny: odczyt sonaru.

– To Atlantyda – powiedziała Clarke niepewnie.

– Widzę – rzekł Lubin.

– Nie w czasie rzeczywistym, rzecz jasna – wyjaśnił prawołamacz. – Szybkość transmisji jest chujowo *mała*, a jeśli dodać do tego kwestię odległości i osłony, to wychodzi na to, że mogę podkraść taki obrazek tylko raz na jakiś czas. Ale wiecie, co mam na myśli.

Lubin trwał bez ruchu.

– Kłamiesz.

– Jedna rada, Ken. Wiesz, że niektórych twoich ludzi strasznie kręci siedzenie w głębinach i spacerowanie w ciemności? Naprawdę powinieneś odradzić im zabieranie ze sobą kalmarów. Nigdy nie wiadomo, gdzie mogą skończyć ich transpondery bezpieczeństwa.

– Nie. – Clarke potrząsnęła głową. – Ty? To *wszystko* twoja sprawa? – *Nie Grace. Nie Seger. Nie korpy, nie ryfterzy, nie MM, ani nawet nie dwóch żalonych gości na łódce.*

*Ty. Przez cały ten czas.*

– Nie mogę przypisać sobie *wszystkich* zasług – przyznał Desjardins. – Alice pomogła mi nieco zmodyfikować behemota.

– Dość niechętnie, jak sądzę – rzucił Lubin.

*Och, Achillesie. Jedna szansa na uprzątnięcie tego całego bałaganu, a ty ją spierdoliłeś. Jedna szansa na zawarcie pokoju, a ty grozisz wszystkim, których znałam. Jeden żalony promyk nadziei, a ty...*

*Jak śmiesz. Jak śmiesz.*

Teraz miarka się przebrała.

Zrobiła krok naprzód. Lubin wyciągnął okaleczoną dłoń i osadził ją w miejscu.

Desjardins zignorował ją.

– Nie jestem durniem, Ken. Nie stanowicie głównych sił, po prostu to wszystko, co mogliście zebrać w tak krótkim czasie. Ale ty też nie jesteś idiotą, więc posiłki są już w drodze. – Uniósł dłoń, uprzedzając jakiegokolwiek protesty. – W porządku, Ken, naprawdę. Wiedziałem, że dojdzie do tego prędzej czy później i powziąłem odpowiednie środki ostrożności. Ale dzięki wam najwyraźniej *straciłem* nieco pola manewru, jeśli idzie o duże pukawki...

Mężczyzna poruszył oczami. Jego palce drgnęły. Clarke przypomniała sobie Rickettsa, któremu jedno mrugnięcie i spojrzenie wystarczyło, aby dogadać się z *Phocoeną*.

Obraz na ścianie zniknął. W jego miejsce pojawiły się cyfry.

– Teraz *jestem* w bezpośrednim kontakcie z *nimi*. Widzisz ich, Ken? Kanał 6?

Lubin pokiwał głową.

– Więc wiesz, gdzie są.

Clarke również wiedziała. Cztery komplety długości i szerokości geograficznych. Wyzerowane odczyty głębokości. Zasięg do celu. Szereg małych, migających ikon: WSTRZYMAJ.

– Nie chcę tego robić – oznajmił Achilles. – Koniec końców, miał to być mój dom spokojnej starości. Nie chciałem go wysadzać tylko... wygładzić nieco fałdy. Wprowadzić zmiany, że tak powiem. Ale skoro i tak wkrótce będę martwy...

Chciała wyrwać się z uchwytu Lubina. Jednak nawet okaleczony, Lubin przypominał skałę. Jego dłoń unieruchomiła ją niczym granitowy szpon, wilgotny od krwi. Mogła jedynie wić się w uścisku, ale nie potrafiła się uwolnić.

– Mam też inne opcje – ciągnął prawołamacz. – Domy na różne ewentualności, można by rzec. Zamiast tego mogę zamieszkać w jednym z nich. – Uniósł dłoń do telemetrii. – Wam powinno zależeć bardziej niż mnie.

*Planował to od lat*, zrozumiała Clarke. *Nawet, gdy myśleliśmy, że nam pomaga. A od kiedy my chowamy się w norach jak króliki, podczas gdy padają kolejne linie, a nasze kontakty przestają odpowiadać, on działa cały czas, odcinając nas, odkażając okolicę, by żaden niechętny do współpracy lokator nie przypałał się, gdy opuści go szczęście i będzie potrzebował kryjówki...*

– Ty dupku – szepnęła, naprężając ciało.

Nawet na nią nie spojrzał.

– To kiedy przybędzie kawaleria, Ken? Jak ich wezwałeś? Ile wiedzą?

– Jeśli ci powiem – rzekł Lubin – odwołasz atak.

– Nie, Ken, ty odwołasz *swój* atak. Skorzystaj z tego swojego tajnego kodu, żeby wyłączyć autopilota twojej łodzi podwodnej albo przekonać Helsinki, że jednak się pomyliłeś, czy co tam musisz zrobić.

– A ty wysadzisz Atlantyde tak czy inaczej.

– Po co? Jak już mówiłem, mam inne opcje. Po co marnować tylu dobrych zakładników? Większą wartość mają dla mnie żywi.

– Teraz.

– Tylko *teraz* się liczy, kolego.

Clarke rzucała gniewne spojrzenia – to na mężczyznę, który próbował ją zabić, to na tego, który ryzykował życie, by ją ocalić. *Podczas każdej godziny spędzonej w tym miejscu zabijasz więcej ludzi niż kiedykolwiek żyło w Atlantydzie*, pomyślała.

*Z każdą chwilą ja zabijam kolejne osoby, zostawiając cię tutaj.*

A Ken Lubin zamierzał ubić z nim interes.

Widziała to w jego postawie, w tej zniszczonej, oślepionej twarzy, która trwała u jej boku lub osłaniała jej plecy przez te wszystkie lata. Nie był zupełnie nieprzenikniony. Nie dla niej. Nawet teraz.

– Znam cię, Ken – mówił Desjardins. – Ty i ja znamy się od lat. Jesteśmy bratnimi duszami. Tworzymy własne zasady i, na Boga, żyjemy według nich. Ludzie nie mają znaczenia. Populacja nie ma znaczenia. Znaczenie mają jedynie *zasady*, prawda, Ken? Znaczenie ma jedynie *misja*.

– Jeśli nie pójdziesz na układ, misja zakończy się niepowodzeniem.

– Ken – szepnęła.

– Ale możesz ich uratować – ciągnął prawołamacz. – Nie po to tu jesteś? Po prostu podaj mi swoje parametry a misja zakończy się sukcesem. Odejdiesz wolno, ja odwołam atak, a zanim zniknę wyślę ci nawet namiary na ten paskudny, nowy szczep behemota, z którym mocują się twoi kumple. Zakładam, że spora ich liczba nie czuje się teraz zbyt dobrze.

Przypomniała sobie latającą maszynę, która przemawiała jego głosem: *Jeśli śmierć dziesięciu osób będzie oznaczać przetrwanie tysiąca, to tak...* Przypomniała sobie Patricję Rowan, rozdartą wewnątrz, która pokazywała światu jedynie zimną i wyrachowaną twarz: *Próbowałam służyć większemu dobru.*

– Albo – powiedział Desjardins – możesz spróbować mnie sprzątnąć, zabijając tym samym wszystkich, których chciałeś uratować. – Nawet na chwilę nie odwrócił wzroku od Lubina. Zupełnie jakby ich dwójka dzieliła wspólną przestrzeń we wszechświecie, jakby Clarke nawet nie istniała. – Twój wybór. Ale nie powinieneś zwlekać zbyt długo z podjęciem decyzji – wasze modyfikacje nieźle wszystko popierdoliły. Nie wiem nawet, jak długo będę w stanie kontrolować *te* obwody.

Zastanowiła się, co zrobiłaby Patricia Rowan, gdyby postawiono ją przed takim wyborem. Pomyślała o tych martwych milionach, które wcale by nie umarły, gdyby ona zginęła *najpierw*.

Przypomniała sobie słowa Kena Lubina sprzed miliona lat: *Czy jest coś, czego byś nie zrobiła, w zamian za cofnięcie tego wszystkiego?*

– Nie – szepnęła.

Desjardins uniósł brew i – w końcu – łaskawie zechciał na nią spojrzeć.

– Nie mówiłem do ciebie. Ale gdybym to *ja* był Lenie Clarke... – Posłał jej uśmiech. – ...nie byłbym tak bezwstydnym, by udawać, że w ogóle obchodzi mnie reszta tego pojebanego świata.

Lenie wywinęła się z uchwytu i *kopnęła* z całej siły. Jej but trafił prosto w ranę na udzie mężczyzny. Lubin zatoczył się z krzykiem.

A Clarke była wolna i już ugiwała kolana do skoku.

Rzuciła się prosto na Desjardinsa. *Nie będzie ryzykował*, powtarzała sobie. *To jego jedyne atut, jeśli naciśnie ten przycisk, będzie trupem, musi chyba wiedzieć, że...*

Oczy Desjardinsa strzeliły w lewo. Palce drgnęły. A wtedy cieniutka nić wątpliwości rozkwitła w przerażenie na wielką skalę, gdy cyfry na ścianie zaczęły się poruszać...

WSTRZYMAJ zaczęło transmutować w zupełnie nowe słowo, raz po raz aż do samego końca listy. Clarke rozpaczliwie próbowała nie patrzeć w tę stronę, niesiona na skrzydłach jakiejś szaleńczo infantylnej nadziei *może jeśli nie będę patrzeć to nic się nie stanie, może ciągle jest czas, ale zobaczyła to, nie mogła tego przeoczyć, czas jakby stanął na chwilę, zanim cała plansza znikła:*

WYKONAJ.

W następnej chwili zwała się na ziemię.

Coś *bzyczało* głęboko w jej głowie. Kości zawibrowały w rytm elektrycznych impulsów. Nogi ugięły się pod nią, ręce stanowiły jedynie martwy ciężar. Czaszka boleśnie uderzyła o kant stacji roboczej, potem jeszcze raz o ziemię. Powietrze uciekło jej z płuc ze zmęczonym westchnieniem –

próbowała wstrzymać oddech, ale usta odmówiły jej posłuszeństwa, ślina pociekła po brodzie. Puściły zwieracze pęcherza. Implanty w piersi zaczęły stukotać, pracując nierówno.

– Trudno nie kochać symetrii – oznajmił głos dobiegający gdzieś z drugiej strony wszechświata. – Ostatnia ofiara, wiesz? Ostatnia ofiara i najpotężniejsza kobieta na świecie zamknięte razem w jednym ciele. *Ja* natomiast, cóż, sam mam ostatnie zdanie w jednej lub dwóch kwestiach...

Nie wyczuwała bicia serca. Ciemność wezbrała gdzieś z głębi czaszki, zawirowała jej przed oczami.

– To kurwa *mityczne*, ot co – ciągnął głos, odległy i ledwie słyszalny. – Po prostu *musieliśmy* się spotkać...

Nie miała pojęcia, o czym on mówi. Nie obchodziło jej to. W jej świecie nie było nic poza szumem i chaosem, i pustką w głowie oprócz WYKONAJ WYKONAJ WYKONAJ WYKONAJ.

*Nawet nie wiedzą, że są już martwi*, pomyślała. *Torpedy jeszcze nawet nie dotarły do Atlantydy. To ostatnie minuty ich życia, a oni nawet o tym nie wiedzą.*

*Ale i tak pożyją dłużej niż ja...*

Dłoń wokół kostki. Tarcie o podłogę.

*Żegnaj, Jelaine. Żegnaj, Avril. Żegnajcie Dale, Abro i Hannuk...*

Odgłos łapczywego wdechu, gdzieś bardzo blisko. Uczucie rozluźniającego się ciała.

*Żegnaj, Kevin. Żegnaj, Grace. Przykro mi, że nie udało się nam dogadać...*

Puls. Znow miała puls.

*Żegnaj, Jerry. Żegnaj, Pat. Raz jeszcze...*

Jakieś głosy. Jakieś światło, gdzieś. Wszędzie.

*Żegnaj, Alyx. O Boże, tak mi przykro. Alyx.*

– ...żegnaj, świecie.

Ten głos dobiegł gdzieś z zewnątrz.

Otworzyła oczy.

– Wiesz, że mówię poważnie – ciągnął Desjardins.

Jakimś cudem Ken Lubin wciąż był na nogach, przechylając się na lewo. Trzymał się tuż poza kręgiem światła. Achilles Desjardins tkwił zaś w samym jego środku. Spotkali się twarzą w twarz po dwóch stronach stacji roboczej sięgającej na wysokość pasa.

Lubin musiał wyciągnąć ją z pola neuroindukcyjnego. Znow uratował jej życie. Niezłe jak na niewidomego psychopatę. Teraz spoglądał ślepo w twarz wroga, trzymając wyciągniętą dłoń. Prawdopodobnie próbował ustalić granicę pola.

– Muszę przyznać, że oddana z niej mała zdzira – rzekł Desjardins. – Gotowa była poświęcić garstkę ludzi, których zna, by ocalić całą planetę obcych jej osób. Myślałem, że jest zbyt ludzka, by wykazać się racjonalnym myśleniem. – Pokręcił głową. – To wszystko nie będzie miało większego znaczenia, gdy cały świat pierdolnie tak czy inaczej, prawda? Przecież wszyscy ci uciekinierzy z Grzbietu, którzy wkrótce umrą w... Och, wybacz, którzy *już umarli*... tylko po co? Jedyne, co możesz zrobić, by nadać ich śmierci jakiegokolwiek znaczenie, to odwrócić się i wyjść.

*Nie żyją*, pomyślała Clarke. *Zabiłam ich wszystkich...*

– Wiesz, jak wiele satelitów bojowych wciąż gdzieś tam krąży, Ken. I wiesz, że jestem dostatecznie dobry, bo dobrać się przynajmniej do części z nich. Nie wspominając nawet o składach broni chemicznej oraz biologicznej, walających się po ziemi po setkach lat badań i rozwoju. Wszystko to podłączone jest do mojej lewej komory serca, kolego. Lenie powinna dziękować duchowi pierdolonej entropii, że mnie *nie* zabiła, w przeciwnym wypadku niebo zapłakałoby ognistymi łzami.

Clarke spróbowała się poruszyć. Jej mięśnie zdrząły, kompletnie skacowane. Z trudem uniosła rękę. Nie mieli do czynienia ze zwykłym polem medycznym. To najwyraźniej zostało przystosowane do tłumienia zamieszek. Posiadało zastosowanie przemysłowe.

Lubin wciąż milczał. Udało mu się wykonać kolejny chwiejny krok. Cały czas nie opuszczał ręki.

– Kanały od siódmego do dziewiętnastego – oznajmił Desjardins. – Sam sprawdź. Widzisz zabezpieczenia? Widzisz, dokąd prowadzą? Miałem pięć lat, by się przygotować, Ken. Zabijesz mnie, zabijesz miliardy.

– Szczerze... sędzę, że sporo tych połączeń już nie istnieje – cichy głos Lubina był pełen napięcia.

– Co, że niby te wasze Lenie? Nigdzie się nie dostaną, dopóki bramki są zamknięte. A nawet wtedy, to co? One są *niq*, Ken. Stanowią skoncentrowaną esencję Lenie Clarke u szczytu możliwości. Gdy już zatopią zęby w detonatorach, sądzisz, że długo będą się zastanawiać nad ich *samodzielnym* uruchomieniem?

Lubin nieznacznie przechylił głowę, jakby usłyszał interesujący dźwięk.

– To dobry układ, Ken. Przyjmij ofertę. I tak trudno będzie ci mnie zabić. Chcę przez to powiedzieć, że wiem jakim twardym jesteś *hombre*, ale twoje nerwy ruchowe działają tak samo jak u wszystkich. Poza tym nie chciałbym być niemiły, ale jesteś *ślepy*.

Zrozumienie ukłuło Clarke niczym sopel lodu: *Achilles, idioto, nie wiesz, co robisz? Nie czytałeś jego akt?*

Teraz to Lubin mówił:

– Czemu w ogóle chcesz się układać?

– Ponieważ *jesteś* naprawdę twardym *hombre*. Prawdopodobnie mógłbyś wytropić mnie po samym zapachu, gdyby było trzeba i chociaż dziś masz naprawdę kiepski dzień, to zwyczajnie wolę nie ryzykować.

*Rozmawiasz z Kenem Lubinem, wściekała się bezsilnie, uwięziona we własnym martwym ciele. Naprawdę myślisz, że możesz mu grozić?*

– Więc znikniemy, ty znikniesz, świat odetchnie. – Clarke nie była w stanie skupić na Lubinie wzroku. – Dopóki ktoś cię nie zabije.

Próbowała coś powiedzieć. Zdobyła się jednak zaledwie na jęk, ledwie słyszalny nawet dla niej.

*To nie jest groźba...*

– Ty znikniesz – odparł Desjardins. – Lenie jest moja. Zachowałem ją na koniec.

*To zachęta...*

– Działasz na podstawie fałszywych przesłanek – zauważył Lubin.

– Tak? Czyli jakich?

– Że nie mam tego wszystkiego głęboko w dupie.

Clarke zobaczyła napięte mięśnie lewej nogi Lubina i nową strużkę krwi ciekącą po prawej. Ułamek sekundy później mężczyzna był już w powietrzu, lecąc *przez* pole neuroindukcyjne, ponad dzielącym ich blatem, po nieprawdopodobnym skoku z miejsca. Lubin grzmotnął w Desjardinsa z mocą lawiny, samą siłą rozpędu. Obaj zniknęli za pulpitem przy wtórze odgłosów pękającego plastiku i zderzających się ciał.

Chwila ciszy.

Leżała tak, czując mrowienie w sparaliżowanym ciele, i zastanawiała się, komu kibicować. Jeśli impet nie przeniósł Lubina na drugą stronę pola, zapewne umierał teraz, nie mogąc liczyć na żadną pomoc. A nawet jeśli udało mu się przedostać na drugą stronę, przez jakiś czas byłby bezradny. Desjardins wciąż miał szansę, o ile nie ogłuszyła go kolizja.

*Achilles, ty morderco. Ty psychopato, ty pierdolony ludobójco. Ty potworze. Jesteś gorszy niż*

*ja. Piekło nie jest dla ciebie dostatecznie głębokie.*

*Uciekaj stamtąd. Proszę. Zanim cię zabije.*

Ktoś zacharczał. Clarke usłyszała słabe skrobanie paznokci ma plastiku lub metalu. Mięśisty, głuchy odgłos, jakby ktoś wyrzucił martwą rybę na pokład – lub poruszenie sparaliżowanej kończyny, która wracała do życia. Krótkie odgłosy szamotaniny.

*Ken. Nie rób tego.*

Włożyła wszystkie siły w jeden, desperacki krzyk: „Nie!”. Wyszedł z tego za ledwie szept.

Po drugiej stronie barykady wilgotne *trzaśnięcie*. A potem cisza.

*O Boże, Ken. Czy wiesz, co uczyniłeś?*

*Oczywiście, że wiesz. Zawsze wiedziałeś. Mogliśmy ich uratować, mogliśmy wszystko naprawić, ale oni mieli co do ciebie rację. Pat miała rację. Alyx miała rację. Ty potworze. Ty potworze. Wszystko zniszczyłeś.*

*Niech cię szlag.*

Wbiła spojrzenie w sufit, czując jak łzy wypływają jej spod nakładek, i czekała na koniec świata.

Znów niemal mogła się poruszać, gdyby tylko miała ku temu jakiś powód. Przetoczyła się na bok. Usiadł obok niej ze skrzyżowanymi nogami. Jego zakrwawiona twarz była równie nieprzenikniona jak zawsze. Przypominał prymitywnego, wyrzeźbionego bożka, pokrytego posoką z ludzkiej ofiary.

– Jak długo jeszcze? – wyrzęziła.

– Długo?

– Czy już się zaczęło? Enklawy stoją w ogniu? Bomby spadają? To wystarczyło, żeby ci kurwa stanął?

– Ach. To. – Lubin wzruszył ramionami. – Tylko blefował.

– *Co?! – Oparła się na łokciu. – Ale... całe to okablowanie, przyciski bezpieczeństwa... przecież ci je pokazał...*

– Wszystko na pokaz.

– Więc przejrzałeś jego blef?

– Nie. Wyglądało to całkiem przekonująco.

– To jak...

– Nie miało to sensu.

– Ken, on zniszczył *Atlan...* – Nagły, nieprawdopodobny promyk nadziei. – A może to też był blef...?

– Nie – odparł cicho.

Opadła z powrotem na posadzkę. *Oby to był tylko zły sen*, modliła się.

– Zniszczył Atlantyde, ponieważ mógł uciec się do innego czynnika odstrasającego. Spełnienie mniejszej groźby zwiększało wiarygodność poważniejszej. – Mężczyzna bez sumienia wzruszył ramionami. – Ale skoro już i tak był martwy, to inne czynniki przestały mieć znaczenie. Po co spełniać groźbę, skoro w żaden sposób nie pomoże ci ona osiągnąć celu.

– Ale mógłby to zrobić. *Ja* bym tak zrobiła.

– Ty jesteś mściwa. Desjardins taki nie był. Interesowało go tylko własne samozadowolenie. – Uniósł nieco kąciki ust. – To było nadzwyczaj mądre z jego strony. Większość ludzi zaprogramowana jest na zemstę. Być może Spartakus uwolnił go również od tego.

– Ale *mógł* to zrobić.

– W przeciwnym wypadku nie byłaby to wiarygodna groźba.

– Więc skąd wiedziałeś?

– Nie tak łatwo zmontować maszynę końca świata. Kosztowałoby go to mnóstwo czasu i wysiłku, a nie miałyby nic w zamian. Błef stanowił logiczną alternatywę.

– To nie wystarczy, Ken. Spróbuj ponownie.

– Kiedyś poddałem go przesłuchaniu Ganzfelda. Zyskałem pewien wgląd w jego...

Potrząsnęła głową.

Przez jakiś czas oboje milczeli. W końcu:

– Obaj urwaliśmy się ze smyczy.

– Myślałam, że przygotowałeś sobie nową smycz. Myślałam, że twoje *zasady*...

– Mimo wszystko. Wiem, jak się czuł. – Lubin wyprostował nogi – ostrożnie, powoli – po czym wstał z ociąganiem.

– Wiedziałaś, co *zrobi*? – nie potrafiła ukryć błagalnego tonu w głosie.

Wyglądał jakby spoglądał na nią z góry.

– Lenie, nigdy w życiu niczego tak naprawdę nie *wiedziałem*. Zawsze działałem na podstawie oceny ryzyka.

Nie to chciała usłyszeć. Chciała, żeby opisał jej jakieś widomą lukę w teatrze cieni Desjardinsa, przedstawił przekonujący dowód, który jasno mówił *nie dojdzie do najgorszego*. Chciała, aby wskazał jej kanał sygnału wejściowego, który prowadził do pustego gniazda, jakimś cudem odłączonego od sieci światłowodów. Cokolwiek tylko nie historyjkę o ryzykownym przedsięwzięciu, bazującym na empatycznym połączeniu między dwoma mężczyznami bez sumienia.

Zastanawiała ją, czy Lubin jest zawiedziony, choćby odrobinę, że Desjardins zmyślił to wszystko. Zachodziła w głowę, czy naprawdę tego oczekiwał.

– Skąd ta smutna mina? – spytał Lubin, wyczuwając to, czego nie mógł zobaczyć. – Właśnie uratowaliśmy świat.

Pokręciła głową.

– I tak przegrywał. Wiedział o tym lepiej niż my.

– Więc przynajmniej skróciliśmy czas oczekiwania. Uratowaliśmy miliony.

*Ile milionów*, zadawała sobie pytanie, a po chwili: *tylko jakie to ma znaczenie?* Czy uratowanie dwunastu milionów teraz rekompensowało stratę dziesięciu milionów w przeszłości? Czy krwiożercza Mroczna Madonna mogła jakimś sposobem stać się Świętą Lenie W Czerni, wybawczynią dwóch milionów na czysto? Czy algebra winy naprawdę była aż tak elementarna?

Dla Lenie Clarke to nie miało większego znaczenia. Ponieważ uratowanym dzisiaj milionom tak naprawdę jedynie oszczędzili losu, na który ona ich skazała na samym początku. Nie istniał sposób, żaden sposób, dzięki któremu mogłaby wyrównać te rachunki.

– Przynajmniej – powiedziała w końcu – nie będę powiększać swojego długu.

– To strasznie pesymistyczne założenie – zauważył Lubin.

Uniosła spojrzenie.

– Jak możesz tak myśleć? – mówiła tak cicho, że ledwie słyszała własny głos. – Wszyscy *nie żyją*...

Mężczyzna pokręcił głową.

– *Prawie* wszyscy. Pozostali otrzymali właśnie kolejną szansę.

Ken Lubin podał jej dłoń. Gest tak absurdalny, że aż graniczący z farsą – ten rozdarty i kaleki potwór, zakrwawiony i krwawiący, potrafił udawać, że jest na pozycji, w której może udzielić pomocy komuś innemu. Lenie Clarke patrzyła na niego przez długą chwilę, zanim postanowiła ją przyjąć.

*Kolejną szansę*, pomyślała, stając o własnych siłach.

*Chociaż wcale na nią nie zasługujemy.*



# EPILOG: MACIERZ HESSEGO

BŁĄD ZBIEŻNOŚCI. PRZEKROCZONO GRANICE UFNOŚCI.  
DALSZE PROGNOZY NIEPEWNE.

## PODZIĘKOWANIA

Zwyczajowa grupa ludzi, bez których nigdy nie dociągnąłbym tego do końca:

David Hartwell, mój edytor, zauważył kilka poważnych problemów strukturalnych w moim pierwszym szkicu i pomógł mi je rozwiązać. Moshe Feder zgodził się na codzienną harówkę, od pierwszej wersji, przez kolejne przeredagowania, przez krzyki i wrzaski, przez darcie szat, aż do rozdzierającego, histerycznego płaczu i ostatecznie – narodzin.

Barwna zbieranina wywrotowych, literackich i politycznych, malkontentów – Laurie Channer, Cory Doctorow, Nalo Hopkinson, Becky Maines, John McDaid, Janis O’Conner, Steve Samenski, Isaac Szpindel i Pat York – zebrała się potajemnie w Nieznanej Lokalizacji w lecie 2002 roku (co zresztą stało się naszym corocznym obrzędem). Tam właśnie kompletnie zrównali z ziemią pierwsze dwa rozdziały tego cudeńka (a także kilka innych), a następnie pomogli je na nowo pozszywać. To już drugi raz, gdy całe mnóstwo ludzi czyta sam początek powieści, ale prawie nikt nie widzi reszty aż do momentu, gdy jest za późno, by cokolwiek zmienić. Podejrzewam, że ma to jakiś związek z poczuciem własnej wartości.

Jednak fakt, że prawie nikt nie *przeczytał* całości, nie oznacza, że całe mnóstwo ludzi nie *przyczyniło się* do jej powstania. David Nickle podsuwał mi rady, przemyślenia i całe mnóstwo ironicznych uwag przez cały proces pisania. Jego wkład był tak cenny, że niemal jestem skłonny przymknąć oko na fakt, że musiałem wstawać o pięprzonej piątej trzydzieści rano i przebiec dziesięć mil, by z tego skorzystać. Laurie Channer zносиła ciągle humory związane z opowieścią, której nie wolno było jej czytać (nawet teraz, gdy to piszę), nawet mimo tego, że nieustannie zwracałem się do niej po uwagi.

Wiele szczegółów związanych ze sceną z rozbitym śmigłowcem zawdzięczam Glennowi Normanowi i Glennowi Morrisonowi, dwóm pilotom, którzy okazali się o wiele bardziej pomocni niż mógłbym oczekiwać. Naprawdę zaskoczyło mnie, gdy dowiedziałem się, że nawet jeśli śmigłowiec straci w powietrzu moc, wciąż można uniknąć katastrofy, ćwicząc technikę awaryjną o nazwie „autorotacja”. Glenn Morrison w rzeczywistości przetrwał katastrofę upiornie podobną do opisanej tutaj, jeśli nie liczyć faktu, że nie jest niewidomy (gwoli ścisłości, nie uważa, by istniała jakakolwiek szansa na prawidłowe wykonanie tej sztuczki, jeśli *zostałeś* oślepiony, a gość zna się na rzeczy; z drugiej strony, nie zna Kena Lubina).

W mojej powieści znalazło się też miejsce dla historii z życia innych ludzi. Niektóre

impresjonistyczne szczegóły sceny z atakiem psów zaczerpnąłem od Roba Cunninghama po jego wyprawie do Indii (możecie znać Roba jako gościa, który stworzył boskie projekty statków kosmicznych w *Homeworld* oraz *Homeworld 2*, komputerowych RTS-ach od Relic Entertainment). Eksperymenty ośmioletniego Achillesa Desjardinsa z hamulcami powietrznymi zapożyczyłem ze wspomnień z dzieciństwa Marka Showella, ichtiologa, choć z tego co wiem, Mark nie jest seksualnym sadystą (prędzej masochistą, wzięwszy pod uwagę gościa, pod którego opieką postanowił pisać pracę magisterską).

Isaac Szpindel, doktor nauk medycznych, uczony w tak wielu różnych kwestiach, że robi mi się od tego niedobrze, bardzo pomógł mi przy pisaniu dialogów Taki. Dave „bioinformatyk” Block odpowiedział na niezliczone pytania dotyczące sztucznych nukleotydów i minimalnych rozmiarów genotypów (niestety, jedną z rzeczy, których mnie nauczył, jest to, że nie da się wcisnąć 1,1 Mb genotypu do komórki o średnicy 250nm, co stało w sprzeczności z opisem behemota, który pojawił się w Wirze). Major David Buck z Nowozelandzkich Sił Obronnych pomógł mi w temacie bomb paliwowo-powietrznych. Steve Ballentine, Hannu Blommila, Rick Kleffel, Harry Pulley, Catriona Sparks, Bebe Schroer, Janine Stinson, Mac Tonnie i David Williams podsuwali mi istotne prace naukowe, recenzje oraz opinie i/lub artykuły prasowe, które w taki lub inny sposób znalazły swoje miejsce w książce. Jan Stinson przejrzał również rękopis swoim sokolim wzrokiem, wyłapując literówki i inne rzeczy, których mam nadzieję, że reszta z was nie zauważy. Nie wspominając nawet o innych, o których prawdopodobnie zapomniałem, za co z góry przepraszam.

Żadnej z tych osób nie możecie jednak winić, jeśli ta książka ssie, jako że żadna z nich nie miała możliwości jej przeczytać (jeśli naprawdę ssie, to może właśnie dlatego). Nie możecie też winić Davida Hartwella, który *przeczytał* całość, ponieważ książka ta ssalaby nawet bardziej bez jego uwag. Możecie winić tylko mnie i prawdopodobnie powinniście, bo już mam wasze pieniądze.

Cóż, przynajmniej jakieś pięćdziesiąt centów.

## UWAGI I ŹRÓDŁA

Raz jeszcze przyszła pora na wyliczenie różnych inspiracji, które – mam nadzieję – posłużą jako ciekawe źródło wiedzy, nawet jeśli ich podstawowym zadaniem jest krycie mojego tyłka przed ludźmi, którzy szukając dziury w całym.

Jeśli zabrnęliście aż tak daleko w tę sagę, te wyjaśnienia mogą okazać się wam nie dość wyczerpujące. Źródła wszystkich związanych z prawdziwą nauką elementów, które pojawiły się w Rozgwieździe i Wirze zostały przytoczone na końcu każdej z tych książek. Nie będę się więc powtarzał, nawet pomimo, że część z nich pojawia się również w Behemocie (zamierzam jednak przytoczyć wyniki jednych badań, które opublikowano już po ukazaniu się Wiru, bo dzięki temu wyjdę na osobę o zdolnościach proroczych). Zatem, jeśli szukacie oryginalnych źródeł traktujących o inteligentnych żelach, „dostrajaniu” czy ekosystemie Wiru, musicie cofnąć się do poprzednich książek. Prawdopodobnie nie znajdziecie w nich odpowiedzi na wszystkie pytania, ale przynajmniej sprawicie, że moje wyniki sprzedaży nie będą wyglądały aż tak kiepsko.

## Atlantyda

Istnieje takie miejsce na środku Atlantyku, gdzie wszystkie prądy cichną – prawdziwe oko ogromnego cyklonu pomiędzy Europą i Ameryką Północną.<sup>[1]</sup> Wydawało mi się, że to rozsądne miejsce, by ukryć się przed śmiertcionośnymi cząsteczkami, potencjalnie przenoszonymi drogą powietrzną i kropelkową, więc umieściłem Atlantyde właśnie tam. Inspiracje dla otaczającej ją

topografii wziętem z wydanego w 2003 roku raportu na temat głębokomorskiej mineralogii.<sup>[12]</sup> Do stworzenia Niemożliwego Jeziora zainspirowała mnie warstwa ultrasolonej ciężkiej wody, opisanej w przełomowej serii dokumentalnej „Blue Planet”.<sup>[13]</sup> Załamanie się Prądu Labradorskiego lub Gólfstromu wydaje się coraz bardziej prawdopodobne, jeśli wziąć pod uwagę coraz większy napływ wód roztopowych z Arktyki.<sup>[14]</sup>,<sup>[15]</sup> Wiem, że nie ma to większego wpływu na fabułę, ale Lenie Clarke martwi się o to w pierwszym rozdziale, więc warto o tym wspomnieć: *wielkie ośmiornice już teraz ważą więcej niż cała rasa ludzka, a robią się coraz większe*<sup>[16]</sup>!

## Behemot

Nieustannie odkrywamy nowe formy życia coraz głębiej w litosferze. Gdy ostatnio sprawdzałem, głębokomorskie skały, stanowiące podłoże Grzbietu Juan de Fuca – tak, tego samego, z którego behemot uciekł pod koniec *Rozgwiadzy* – dowiodły istnienia dotąd nieznanymi drobnoustrojów.<sup>[17]</sup> Próbkę wody z odwiertów 300 metrów poniżej dna oceanu pokazują obniżone poziomy siarczanów: coś, co tam żyje, nie zostało jeszcze sklasyfikowane i żywi się siarką. Nie ma żadnych dowodów na to, że byłoby w stanie zniszczyć świat, gdyby wydostało się na powierzchnię, ale nie ma też dowodów na to, że tak by się *nie stało*. Mogę jedynie mieć nadzieję.

Jest to jednak płonna nadzieja. Patricia Rowan miała rację, twierdząc, że behemot, przez wzgląd na swoje pochodzenie, powinien być beztlenowcem.<sup>[18]</sup> Samo wydostanie się z dna oceanu wymagałoby wyjątkowo wygodnej mutacji lub celowej modyfikacji. Mam szczęście, że fabuła zakładała właśnie coś podobnego.

Waters niedawno donosił o odkryciu starożytnego, żyjącego w kominach termalnych, mikroba nazwanego *Nanoarchaeum equitans*<sup>[19]</sup>, którego rozmiary genomu, proporcje śmieciowego DNA i średnica zgadzają się z behemotem. Nawet lepiej, to rodzaj pasożyta/symbionta (żyje dzięki znacznie większemu archeonowi o nazwie *Ignicoccus*). Jednakże, jego minimalistyczny genom (ok. 500 kilobaz, czyli połowa tego co behemot) nie posiada przepisu na produkcję niektórych istotnych enzymów, które tym samym musi czerpać od żywiciela. Nigdy nie byłby więc w stanie żyć samodzielnie. Behemot, posiadający obszerniejszy genom, jest bardziej samowystarczalny – ale jak mieści wszystkie te dodatkowe geny w kapsule o wielkości zaledwie 60% swego odpowiednika, pozostaje zagadką.

Rybołowi i korpy wdali się w dyskusję na temat szans behemota na złapanie przejażdżki w ciele ryb w stanie larwalnym. Sam się o to martwiłem, nawet gdy pisałem *Rozgwiadę* – gdyby tak było, nie istniałby żaden powód, dla którego behemot nie mógłby przejąć władzy nad światem już miliardy lat temu. Bezkęrgowe larwy zdają się pokonywać całkiem spore dystanse w morskich głębinach. Na szczęście zazwyczaj wchodzą w stan wstrzymanego rozwoju, przez co byłyby kiepskimi nosicielami behemota (który potrzebuje gospodarza o aktywnym metabolizmie, by wytrzymać długoterminowy stres termo-osmotyczny). Przy okazji wygląda na to, że nawet mocno rozprzestrzenione gatunki ryb larwalnych trzymają się wewnątrz ustalonych granic geograficznych, wzięwszy pod uwagę brak przepływu informacji genetycznych wśród populacji żyjących wokół blisko położonych wysp.<sup>[10]</sup>, <sup>[11]</sup> Co gorsza, lokalna topografia i warunki chemiczne mogą ograniczyć występowanie różnych głębokowodnych gatunków.<sup>[12]</sup>, <sup>[13]</sup>

Więc udało mi się jakoś wybrnąć. Nie przewidziałem tego, ale niewykluczone, że ta wiedza jeszcze kiedyś postanowi obrócić się przeciwko mnie – przynajmniej jednej dorosłej rybie udało się przepłynąć od Patagonii aż do Grenlandii.<sup>[14]</sup>

## Seppuku

Sztuczne mikroby to w dzisiejszych czasach nic nowego: J. Craig Venter (gość od ludzkiego genomu) zdołał stworzyć sztuczny genom, nawet kiedy to pisał<sup>[15]</sup>, w nadziei, że tego typu organizmy będą w stanie wyleczyć świat z bolączek. Peter Schulz i jego zespół zdołali zmodyfikować *E. coli*, by syntetyzowała zupełnie nowy aminokwas, który nie istnieje w naturze<sup>[16]</sup>, w nadziei, że bakteria będzie w stanie pokonać pierwotny szczep. Zupełnie syntetyczne organizmy, zbudowane z wymiennych modułów genetycznych, powstaną już wkrótce.<sup>[17]</sup> Mam nadzieję, że ci goście będą mieć więcej szczęścia niż żel-dżokeje Jakoba Holtzbrinka, którzy modyfikowali behemota.

Szablon genetyczny Seppuku został zsyntetyzowany po raz pierwszy przez Lesliego Orgela<sup>[18]</sup> w 2000 roku. TNA naprawdę wchodzi w reakcję z konwencjonalnymi kwasami nukleinowymi. Pomysł włączenia obcych genów do naszego materiału nuklearnego jest nawet starszy niż sztuczne mikroby – nie tylko nasze geny pełne są pasożytniczego DNA od różnych bakcyli, ale funkcjonalne geny, które pierwotnie zostały zaszczipione w komórkach przez przodka naszych mitochondriów najwyraźniej migrowały do jądra.<sup>[19]</sup> Do wielkich poziomych transferów pomiędzy gatunkami dochodziło w historii Ziemi wiele razy<sup>[20]</sup>, natomiast symbiotyczne przyłączenie małej komórki do większej posiada długą i zaszczytną historię, odzwierciedloną w każdej eukariotycznej komórce na tej planecie (w *Wirze* przytaczałem przykład chloroplastów i mitochondriów, apikoplasty to kolejny przykład na zdegenerowane endosymbionty, które można znaleźć w *toksoplazmie* i *plasmodium*<sup>[21]</sup>).

Zachwył Taki Ouellette nad proliną w roli katalizatora metabolicznego jest spóźniony o jakieś pół wieku, gdyż Movassaghi i Jacobsen już teraz wskazali na potencjał tak prostych molekuł do działania w formie enzymów.<sup>[22]</sup>

## Chemia postaci

Niektórzy czytelnicy mogą zastanawiać się, czy mam problemy z rozróżnieniem osobowości od neurochemii. Słuszna uwaga, ale nie wińcie mnie – wińcie naukowców, którzy nie przepuszczą choćby jednego tygodnia, by nie opublikować nowych dowodów na to, że osobowość *jest* tylko innym słowem na biochemię, aczkolwiek zapisanym niezwykle skomplikowaną czcionką (np. skłonność do przemocy Hannuka Yaegera wynika z poziomu monoaminooksydazy<sup>[23]</sup>). O ile nie jesteście jednymi z tych wyznawców królika wielkanocnego, którzy myślą, że osobowość wynika z jakiegoś nieokreślonego czynnika boskiego, to nie istnieje inny sposób na mechanistyczne postrzeganie ludzkiej natury.

Jednym z głównych założeń całej sagi ryfterów, które umieściłem w *Rozgwieździe*, a następnie rozwijałem w *Wirze* i *Behemocie*, jest to, że *falszywe* wspomnienia wykorzystywania mogą wywołać zmiany neurologiczne równie prawdziwe, jak te wywołane przez realne wspomnienia. Gdy pisałem *Rozgwiadę* były to czyste spekulacje, ale niedawne badania dowiodły tego empirycznie.<sup>[24]</sup> <sup>[25]</sup>

Szczegóły na temat opieki i karmienia socjopatów zostały zapożyczone z pracy Roberta Hare'a<sup>[26]</sup> i innych.<sup>[27]</sup> Pojawiająca się w *Behemocie* idea, że adaptacyjna wartość socjopatii znalazłaby uznanie w korporacyjnym otoczeniu, również nie jest bezpodstawna.<sup>[28]</sup> <sup>[29]</sup> Te źródła powinny pomóc zrozumieć, że Ken Lubin i Achilles Desjardins nie są socjopatami w klasycznym sensie tego słowa. Tego rodzaju osoby to coś więcej niż tylko brak sumienia.

*Wir* zakładał, że Moralniak został stworzony głównie na podstawie genów pewnych pasożytów, które mogły zmieniać zachowanie swoich nosicieli. Sam mechanizm nie był jeszcze znany, gdy książka się ukazywała, choć niektórzy spekulowali już, że dzieje się to na samym poziomie neuroprzekazników. Zaryzykowałem, usprawiedliwiając działanie Moralniaka na podstawie tych hipotez i ryzyko się opłaciło – przynajmniej jeden pasożyt działa poprzez mieszanie w neuronach

regulujących poziom serotoniny u nosiciela. <sup>[30]</sup>

Pomniejszanie znaczenia impulsu etycznego przez Alice Jovellanos bierze się z ostatnich badań, które ustaliły, że moralne „rozumowanie” wcale nie jest racjonalne – zachodzi głównie w ośrodkach mózgu odpowiedzialnych za emocje, prowadząc do niespójnych i nieuzasadnionych przekonań na temat tego, co jest „słuszne” lub „niesłuszne”.<sup>[31]</sup> Będący komentarzem do tego artykuł dobrze podsumowuje tzw. „paradoks kolejki”, nie wspominając nawet o niemożliwych do podważenia powodach wpychania ludzi na tory.<sup>[32]</sup> Argumenty Jovellanos mogą wydawać się nazbyt uproszczone – koniec końców kora przedczołowa musi odgrywać *jakaś* rolę w podejmowaniu decyzji natury moralnej<sup>[33]</sup>, <sup>[34]</sup>, <sup>[35]</sup> – lecz z drugiej strony Jovellanos była fanatyczką. Co przypłaciła życiem.

Skoro już mowa o podejmowaniu decyzji natury moralnej, żądza zemsty Lenie Clarke z wcześniejszych części cyklu o ryfterach – nie wspominając nawet o tym samym w przypadku Kena Lubina – nie stanowiła jedynie nadużywanego elementu narracji. Wygląda na to, że jesteśmy zaprogramowani, by karać tych, którzy nam zaszkadzili *nawet jeśli* – ta część może być nieco sprzeczna z intuicją – nawet jeśli nasze czyny bardziej zaszkodzą *nam* niż tym, przeciw którym są skierowane.<sup>[36]</sup> Lubię myśleć, że powodem, dla którego świat otrzymuje kolejną szansę na koniec tej historii jest fakt, że Spartakus wyłączył u Achillesa Desjardinsa odruch zemsty, w tej samej chwili, gdy pozbawił go sumienia. Może i był potworem. Może i był seksualnym sadystą. Ale w tym jednym, zmodyfikowanym zakątku swojej duszy, był bardziej cywilizowany niż ja i ty razem wzięci.

Na koniec, najbardziej niepokojące echa prawdziwego świata w tym wyimaginowanym piekle pochodzą z The Village Voice<sup>[37]</sup>, który donosi o prowadzonych badaniach nad „pigułką przeciw wyrzutom sumienia” – leku mającym na celu leczenie zespołu stresu pourazowego, który przyniósłby ulgę zarówno oprawcy, jak i ofierze. Tego typu neurochemiczne modyfikacje można by osiągnąć dzięki doprowadzeniu do spięcia w samym procesie winy, pozwalając spać znacznie spokojniej po całym dniu koszenia tłumów niesfornych cywilów, występujących przeciwko polityce rządu. Tak, ja nazwałem swoją wersję *Rozgrzeszeniem*, ale wiecie, to miała być *ironia*...

### **Tutaj Wir postanowił wyjść na zewnątrz...**

Odrobina nastrojowego tła ze świata ponad linią wody.

Rozwijające się kraje posiadają całe mnóstwo powodów, by mieć pretensje do pozostałych dwóch typów. Podejrzewam, że za pięćdziesiąt lat w Afryce powstanie coś w rodzaju ruchu schadenfreude w odpowiedzi na upadek infrastruktury społecznej Ameryki Północnej. Wisienką na tym gorzkim torcie będzie to, że większość afrykańskiej populacji będą stanowiły kobiety – opieram tę prognozę na tym, że przynajmniej w Etiopii źle odżywione kobiety częściej rodzą córki niż synów<sup>[38]</sup> (prawdopodobnie z tego samego powodu dzieje się tak też u innych gatunków). Generalnie sugeruję, że pokolenia chorób, głodu i wyzysku/obojętności doprowadzą do powstania siedliska słusznie wkurzonej i niezrównoważonej pod względem płci populacji, gdzie mit o apokaliptycznej wendecie prześladowanej kobiety *bardzo szybko* znalazłby wyznawców. Przypomnijcie sobie teologię wyzwolenia, tę agresywną inkarnację katolicyzmu, która wyrosła na bazie politycznego ożywienia w Ameryce Łacińskiej w ostatnim wieku. Teraz przenieście go Afryki i zaszczeplcie w jej sercu obraz wojowniczej Madonny.

Różne elementy uzbrojenia przedstawione w powieści – począwszy od arsenału Miki, przez pułapki Desjardinsa, na południowoafrykańskich rakietach kończąc – zostały zapożyczone z różnych źródeł, m.in. USAF<sup>[39]</sup>, *The Economist*<sup>[40]</sup>, programu pokojowych badań Cornell University<sup>[41]</sup>, a nawet od Europejskiego Centrum Prognoz Średnioterminowych<sup>[42]</sup>. Najwyraźniej bojowe poddźwięki nie są aż tak skuteczne (z drugiej strony to niezwykle, jak łatwo stworzyć swój własny impuls

elektromagnetyczny<sup>[43]</sup>).

## Elektroniczna zwierzyna i ewolucja cyfrowa

*Wir* bazował na założeniu, że ten sam darwinowski proces, który ukształtował życie na świecie, można zastosować do świata cyfrowego – że samoodtworzające się programy dosłownie zyskują życie, jeśli zostaną spełnione warunki naturalnej selekcji. To założenie zyskało niedawno solidniejsze fundamenty. Terminy takie jak „organizmy cyfrowe” pojawiają się w szanowanych magazynach naukowych.<sup>[44]</sup>, <sup>[45]</sup>, <sup>[46]</sup> Możesz nawet pobrać darmowe aplikacje, które pozwolą ci eksperymentować z cyfrową ewolucją na twoim własnym komputerze.<sup>[47]</sup> E-życie jest na właściwej ścieżce. Być może ekosystem Wiru depcze mu już po piętach.

*Wir* poszerzył ideę Internetu jako ekosystemu o „superorganizm konsensusu”, który wykorzystywał mit o Mrocznej Madonnie w celach reprodukcyjnych. Pięć lat później części tego superorganizmu transmutowały – z odrobiną pomocy przyjaciół – w „rozpruwacze” i „Lenie” z *Behemota*. Z punktu widzenia ekologii, przeszliśmy od klimaksu do zachwaszonego i ubogiego krajobrazu pełnego wirtualnych szcurków, mew i kudzu – utrzymane w tym duchu aspekty wirtualnej ekologii w tej powieści stanowią echa dynamik przetrwania gatunków szkodliwych, pospolitych w prawdziwych ekosystemach.

Typową odpowiedzią na plagę niechcianych insektów jest rozpylenie pestycydów. Typową odpowiedzią szkodników na takie działa jest a) uodpornienie się na działanie chemikaliów i b) zwiększenie tempa reprodukcyjnego dla zrównoważenia zwiększonej śmiertelności. Gdy do tego dochodzi, ludzie „managerowie” nie śmieją *wstrzymać* oprysków – szkodniki przechodzą w stan chronicznej plagi, gdyż zwiększone tempo rozplodu doprowadziłoby do katastrofalnego boomu populacji w momencie zakończenia oprysków. Właśnie do tego doszło podczas plagi *Choristoneura occidentalis* w nadmorskich rejonach Ameryki Północnej, w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych.<sup>[48]</sup> Podejrzewam, że sytuacja może powtórzyć się w przypadku obecnej plagi korników.

Nie potrzebujecie doktoratu, by dostrzec podobieństwo między tym a sytuacją z egzorcystami/rozpruwaczami z N’AmNetu. Lenie Clarke nigdy nie studiowała podstaw ekologii. Zawsze działała na podstawie swoich pokręconych i niezwiązanych powodów. Jak na ironię, jej działania były słuszne z czysto ekologicznego punktu widzenia. Populacje szkodników cyklicznie szczytują i spadają drastycznie, jeśli zostawić je samym sobie. Gdy już doprowadzisz je do stanu chronicznej plagi, być może najlepszym sposobem na przywrócenie naturalnej równowagi jest zdjęcie nogi z hamulca, zaciśnięcie zębów i zbieranie cięgów, dopóki system się nie ustabilizuje.

Zakładając, że w ogóle do tego dojdzie.

## Przewidywanie przyszłości

Inteligentne żele. Mózgosery. Neuronowe puddingi, których korpy użyły, aby zdezorientować ryfterów w pierwszej części tej książki, a które odegrały nieco istotniejszą rolę w poprzednich tomach. One już istnieją, w prawdziwym życiu. Neurony wyhodowane ze szcurzych mózgów nadzorują działanie zdalnych robotów w którymś z pobliskich laboratoriów.<sup>[49]</sup>

Wkurza mnie to. Miałem nadzieję, że miną lata, zanim dojdzie do czegoś podobnego.

# Przypisy

- [1] Van Dober, C.L. i inni, Evolution and biogeography of deep-sea vent and seep invertebrates, *Science* 295, 2002, str. 1253–1257.
- [2] Rona, P.A., Resources of the sea floor, *Science* 299, 2003, str. 673–674.
- [3] BBC, The blue planet: a natural history of the ocean, część 3: The Deep, 2001.
- [4] Peterson, B.J. i inni, Increasing river discharge to the Arctic Ocean, *Science* 298, 2002, str. 2171–2173.
- [5] Weaver, A. J i C. Hillaire-Mercel, Global Warming and the next ice age, *Science* 304, 2004, str. 400–402.
- [6] Bildstein, T., Global warming is good (if you like calamari), *Australasian Science*, sierpień 2002.
- [7] Cowen, J.P. i inni, Fluids from Aging Ocean Crust That Support Microbial Life, *Science* 299, 2003, str. 120–123.
- [8] Kasting, J.F. i J.L. Siefert, Life and the evolution of Earth's atmosphere, *Science* 296, 2002 str. 1066–1068.
- [9] Waters, E. i inni, The genome of *Nanoarchaeum equitans*: Insights into early archaeal evolution and derived parasitism, *Proc. Natl. Acad. Sci.* 100, 2003, str. 12984–12988.
- [10] Palumbi, S.R. i R.R. Warner, Why Gobies are like Hobbits, *Science* 299, styczeń 2003, str. 51–52.
- [11] Taylor, M.S. i M.E. Hellberg, Genetic Evidence for Local Retention of Pelagic Larvae in a Caribbean Reef Fish, *Science* 299, styczeń 2003, 299: str. 107–109.
- [12] Vrijenhoek, R.C., Gene flow and genetic diversity in naturally fragmented metapopulations of deep-sea hydrothermal vent animals, *J. Heredity* 88, 1997, str. 285–293.
- [13] Somero, G.N., Biochemical ecology of deep-sea animals, *Experientia* 48, 1992, str. 537–543.
- [14] Moller, P.R. i inni, Fish migration: Patagonian toothfish found off Greenland, *Nature* 421, 2003, str. 599.
- [15] Zimmer, C., Tinker, tailor: can Venter stitch together a genome from scratch?, *Science* 299, 2003, str. 1006–1007.
- [16] Mehl, R.A. i inni, Generation of a Bacterium with a 21 Amino Acid Genetic Code, *J. Amer. Chem. Soc.* 125, 2003, str. 935–939.
- [17] Ferber, D., Microbes made in order, *Science* 303, 2004, str. 158–161.
- [18] Orgel, L., A simpler nucleic acid, *Science* 290, 2000, str. 1306.
- [19] Gabaldón, T. i M.A. Huynen, Reconstruction of the proto-mitochondrial metabolism, *Science* 301, 2003, str. 609.
- [20] Raymond, J. i inni, Whole-genome analysis of photosynthetic prokaryotes, *Science* 298, 2002, str. 1616–1620.
- [21] Funes, S. i inni, A green algal apicoplast ancestor, *Science* 298, 2002, str. 2155.
- [22] Movassaghi, M. i E.N. Jacobsen, The simplest „enzyme”, *Science* 298, 2002, str. 1904–1905.
- [23] Caspi, A. i inni, Role of genotype in the cycle of violence of maltreated children, *Science* 297, 2002, str. 851–854.
- [24] Beckman, M., False memories, true pain, *Science* 299, 2003, str. 1306.

- [25] Offer, D. i inni, Altering of Reported Experiences, *J. Amer. Academy Child and Adolescent Psych.* 39 (6), 2000, str. 735–742.
- [26] Hare, R.D., *Without Conscience: The Disturbing World of the Psychopaths Among Us*. Guilford Press, 1999, str. 236.
- [27] Goldberg, C., Data accumulating on psychopaths, *The Tornado Star*, lipiec 2003, przedruk z *Boston Globe*.
- [28] MacMillan, J. i L.K. Kofoed, Sociobiology and antisocial behavior, *J. Mental and Nervous Diseases* 172, 1984, str. 701–706.
- [29] Harpending, H.C. i J. Sodus, Sociopathy as an adaptation, *Ethology and Sociobiology* 8, 1987, str. 63S–72S.
- [30] Helluy, S. i F. Thomas, Effects of *Microphallus papillorobustus* (Platyhelminthes, trematoda) on serotonergic immunoreactivity and neuronal architecture in the brain of *Gammarus insensibilis* (Crustacea, Amphipoda), sprawozdanie dla Royal Society of London 270, 2003, str. 563–568.
- [31] Greene, J.D. i inni, An fMRI investigation of emotional engagement in moral judgment, *Science* 293, 2001, str. 2105–2108.
- [32] Helmuth, L., Moral Reasoning Relies on Emotion, *Science* 293, 2001, str. 1971–1972.
- [33] Anderson, S.W. i inni, Impairment of social and moral behavior related to early damage in human prefrontal cortex, *Nature Neuroscience* 2, 1999, str. 1032–1037.
- [34] MacMillan, M., *An Odd Kind of Fame: Stories of Phineas Gage*. MIT Press, Cambridge, MA, 2000, str. 576.
- [35] Moll, J. i inni, The Neural Correlates of Moral Sensitivity: A Functional Magnetic Resonance Imaging Investigation of Basic and Moral Emotions, *J. Neurosci.* 22 (7), 2002, str. 2730–2736.
- [36] Sanfrey, A.G. i inni, The Neural Basis of Economic Decision-Making in the Ultimatum Game, *Science* 300, 2003, str. 1755–1758.
- [37] Baard, E., The Guilt-Free Soldier: New Science Raises the Specter of a World Without Regret, *The Village Voice*, 22–28 stycznia 2003.
- [38] Gibson, M.A. i R. Mace, Strong mothers bear more sons in rural Ethiopia. *Biology Letters*, sprawozdanie dla Royal Society dostarczone online, 20 maja 2003 r.
- [39] „When Killing Just Won’t Do” – fragm. z *Nonlethal weapons: terms and references*, na potrzeby United States Air Force Institute for National Security Studies, za *Harper’s Magazine* 36 (1833), str. 17–19.
- [40] Anonim, Come fry with me, *The Economist* 366 (8309), 2003, str. 68–69.
- [41] Altmann, J., Acoustic weapons – a prospective assessment: sources, propagation, and effects of strong sound, *Occasional Paper #22*, 1999, str. 87.
- [42] Beljaars, A., The parameterization of the planetary boundary layer, 1992, dostępne na <http://www.ecmwf.int>
- [43] <http://www.spacecatlightning.com/marxgenerator01.htm>
- [44] Lenski, R.E. i inni, Genome complexity, robustness, and genetic interactions in digital organisms, *Nature* 400, 1999, str. 661–664.
- [45] Wilke, C.O. i C. Adami., The biology of digital organisms, *Trends Ecol Evol* 17, 2002, str. 528–532.
- [46] O’Neill, B., Digital Evolution, *Public Library of Science Biology* 1, 2003, str. 11–14.
- [47] <http://dllib.caltech.edu/avida/>



[48] Jeśli szukasz jakichkolwiek źródeł w tym temacie, to niestety masz pecha. Jedynie cytuję tutaj z pamięci ciekawostkę z zajęć z teorii ekologii z czasów studiowania na University of Guelph.

[49] Eisenberg, A., Wired to the Brain of a Rat, a Robot Takes On the World, *The New York Times*, 15 maja 2003.

Tytuł oryginału: Behemoth: β-Max/Behemoth: Seppuku

Copyright © 2004 by Peter Watts  
Copyright for the Polish translation © 2013 by Wydawnictwo Ars Machina

Tłumaczenie: Dominika Rycerz-Jakubiec, Andrzej Jakubiec  
Redakcja i korekta: Jolanta Chabik  
Ilustracja na okładce: Marek Madej  
Opracowanie graficzne okładki: Łukasz Fedorowicz  
Projekt typograficzny, skład i łamanie: Michał Pięsto

Wydanie I elektroniczne

ISBN: 978-83-63523-04-6

WYDAWNICTWO  
Wydawnictwo „Ars Machina”  
ul. Hetmańska 6/5  
20-553 Lublin  
<http://www.arsmachina.pl>

Konwersja i edycja publikacji

